DMITRY GLUKHOVSKY

METRO

2033

z rosyjskiego przełożył

PAWEŁ PODMIOTKO

Tytuł oryginału
Метро 2033
Copyright © DMITRY GLUKHOVSKY, 2007
through
Nibbe & Wiedling Literary Agency
WWW.NIBBE-WIEDLING.DE
Przekład z języka rosyjskiego
PAWEŁ PODMIOTKO
Redakcja i korekta
PIOTR MOCNIAK
Projekt logo, okładki i mapy
JACEK DOROSZENKO
WWW.DOROSZENKO.COM
Skład i przygotowanie do druku
TOMASZ BRZOZOWSKI
Copyright © for this edition
Insignis Media, Kraków 2010
ISBN-13: 978-83-61428-17-6
Insignis Media
ul. Bronowicka 42 30-091 Kraków
telefon / faks +48 (12) 636 01 90
biuro@insignis.pl
www.insignis.pl
Druk i oprawa:
Opolgraf
www.opolgraf.com.pl
Wyłączna dystrybucja:
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
www.olesiejuk.pl

Drodzy moskwianie i goście stolicy!
Moskiewskie metro to system transportu, którego użytkowanie wiąże się z podwyższonym ryzykiem.

[Informacja w wagonie moskiewskiego metra]

Ten, któremu starczy odwagi i wytrwałości, by przez całe życie wpatrywać się w mrok, pierwszy dojrzy w nim przebłysk światła.

Chan

Spis treści:

ROZDZIAŁ 1 **KONIEC ŚWIATA** 5
ROZDZIAŁ 2 **MYŚLIWY** 19
ROZDZIAŁ 3 **JEŚLI NIE WRÓCĘ** 32
ROZDZIAŁ 4 **GŁOS TUNELI** 45
ROZDZIAŁ 5 **ZA GARŚĆ NABOJÓW** 59
ROZDZIAŁ 6 **PRAWO SILNIEJSZEGO** 71
ROZDZIAŁ 7 **KRÓLESTWO CIEMNOŚCI** 87
ROZDZIAŁ 8 **CZWARTA RZESZA** 103
ROZDZIAŁ 9 **DU STIRBST** 120
ROZDZIAŁ 10 **NO PASARÁN!** 136
ROZDZIAŁ 11 **NIE WIERZĘ** 151
ROZDZIAŁ 12 **POLIS** 167
ROZDZIAŁ 13 **WIELKA BIBLIOTEKA** 183
ROZDZIAŁ 14 **TAM, NA GÓRZE** 298
ROZDZIAŁ 15 **PLAN** 317
ROZDZIAŁ 16 **PIEŚNI UMARŁYCH** 340
ROZDZIAŁ 17 **DZIECI CZERWIA** 362
ROZDZIAŁ18 **WŁADZA** 385
ROZDZIAŁ 19 **OSTATNIA BITWA** 428
ROZDZIAŁ 20 **URODZENI, BY PEŁZAĆ** 450

ROZDZIAŁ 1
KONIEC ŚWIATA

- Kto tam? Hej, Artem! Zobacz no!

Artem podniósł się niechętnie ze swojego miejsca przy ognisku i, przewieszając karabin z pleców na pierś, ruszył w ciemność. Stanął na samym skraju oświetlonej przestrzeni i jak umiał głośno i sugestywnie, z demonstracyjnym szczękiem odciągnął zamek i ochryple zawołał:

- Stać! Hasło!

Z ciemności, w której chwilę wcześniej rozległ się dziwny szmer i głuche pomruki, dało się słyszeć pośpieszne, lekkie kroki. Coś przestraszyło się mocnego głosu Artema i szczęku broni i pobiegło w głąb tunelu. Artem szybko wrócił do ogniska i rzucił do Piotra Andriejewicza:

- No i nic, nie pokazał się. Nic nie powiedział, tylko zwiał.

- Ty ofermo! Miałeś rozkaz: nie odpowiadają - strzelać od razu! Skąd ty wiesz, co to było? Może to czarni się podkradają?!

- Nie... To chyba w ogóle nie ludzie... Bardzo dziwne dźwięki... No i kroki nie takie jak człowieka. Czy ja niby ludzkich kroków nie słyszałem? Poza tym, gdyby to byli czarni, to czy oni choć raz tak uciekali? Sam pan wie, Piotrze Andriejewiczu, że ostatnimi czasy czarni od razu rzucają się naprzód - atakowali już patrole gołymi rękami i szli wyprostowani na karabin maszynowy. A ten od razu zwiał... Jakieś tchórzliwe bydlę.

- Pięknie, Artem! Za dużo mędrkujesz! Masz rozkaz, to działaj według rozkazu i się nie zastanawiaj. Może to zwiadowca? Zobaczył, że nas tu mało - teraz przyjdzie ich więcej i... Może nas tu zaraz lekko i przyjemnie ukatrupią, ciach nożem po gardle i całą stację wyrżną, tak jak się to skończyło z Poleszajewską - a wszystko dlatego, że tyś gada na czas nie załatwił... Spójrz na mnie! Następnym razem każę ci ich gonić w tunelu!

Artem skulił się na myśl o tunelu za siedemsetnym metrem. Strach było sobie nawet wyobrazić, żeby tam pójść. Nikt nie miał odwagi chodzić dalej niż siedemset metrów na północ. Patrole dojeżdżały do pięćsetnego i po tym jak poświeciły na słup graniczny reflektorem drezyny i upewniły się, że żaden śmierdziel za niego nie przelazł, pośpiesznie wracały. Zwiadowcy, chłopy na schwał, byli żołnierze piechoty morskiej - ci zatrzymywali się na sześćset osiemdziesiątym, chowali w dłoniach zapalone papierosy i zamierali, przyklejeni do szkieł noktowizorów. A potem cofali się, powoli, spokojnie, nie spuszczając oczu z tunelu i w żadnym wypadku nie odwracając się do niego plecami.

Posterunek, na którym się teraz znajdowali, mieścił się na czterysta pięćdziesiątym, pięćdziesiąt metrów od słupa granicznego. Lecz granica była sprawdzana raz dziennie, a obchód zakończył się już parę godzin temu. W tym momencie ich stanowisko było ostatnie, a przez te kilka godzin, które minęły od poprzedniej kontroli, stwory, które mogły się przestraszyć patrolu, na pewno znów zaczęły podpełzać bliżej. Ciągnęło je do ognia, bliżej ludzi...

Artem usiadł na swoim miejscu i spytał:

- A co się stało z tą Poleszajewską?

I chociaż znał już tę mrożącą krew w żyłach historię - słyszał ją od straganiarzy na stacji - miał ochotę usłyszeć to jeszcze raz, jak dziecko, które ma niepowstrzymaną chęć na straszne bajki o bezgłowych mutantach i wampirach porywających dzieci.

- Z Poleszajewską? To ty nie słyszałeś? Dziwna była z nimi historia. Dziwna i straszna. Najpierw zaczęli im ginąć zwiadowcy. Wchodzili do tuneli i nie wracali. Ci ich zwiadowcy to wprawdzie żółtodzioby, nie to co nasi, ale w końcu to i mniejsza stacja, i ludzi mniej tam żyje... Żyło. Tak więc, zaczęli im znikać zwiadowcy. Poszedł jeden oddział

- i zniknął. Najpierw myśleli, że coś ich zatrzymało, poza tym tunel tam zakręca, zupełnie jak u nas - po tych słowach Artem poczuł się nieswojo - ani z posterunków, ani tym bardziej ze stacji nic nie widać, choćbyś nie wiem jak świecił. Nie było ich i nie było, minęło pół godziny, godzina, dwie. Myślisz sobie: gdzie tam się można zgubić - odchodzili tylko na kilometr, dalej mieli zabronione, zresztą sami też nie byli głupi... W każdym razie nie doczekali się i wysłali wzmocniony patrol. Szukali i szukali, wołali i wołali - wszystko na próżno. Nikogo. Zwiadowcy przepadli. A co najciekawsze, nikt nie widział co się z nimi stało. Gorzej, że nic nie było słychać... Zupełnie nic. I żadnych śladów.

Artem zaczął już żałować, że poprosił Piotra Andriejewicza, żeby opowiedział o Poleszajewskiej. Czy był lepiej poinformowany, czy dodawał coś od siebie, dość że opisywał takie szczegóły, o jakich nie śniło się straganiarzom, chociaż uwielbiają opowiadać bajki i są w tym mistrzami. Od tych szczegółów mróz szedł po kościach i robiło się nieswojo nawet przy ognisku, a każdy, nawet najbardziej niewinny szmer dochodzący z tunelu rozbudzał wyobraźnię.

- No i masz. Nie było słychać strzałów, więc stwierdzili, że zwiadowcy widocznie od nich odeszli - może byli z czegoś niezadowoleni i uciekli. No i pal ich sześć. Chcą łatwego życia, chcą się szwendać z jakimiś mętami, z tymi wszystkimi anarchistami, to niech się szwendają. Tak myśleć było łatwiej. Spokojniej. A za tydzień zniknął jeszcze jeden oddział zwiadowców. Akurat ta grupa w ogóle nie powinna była odchodzić dalej niż pół kilometra od stacji. I znowu ta sama historia. Ani widu, ani słychu. Jak kamień w wodę. Ci na stacji zaczęli się niepokoić. Jak w ciągu tygodnia znikają dwa oddziały, to już coś jest nie w porządku. Z tym już trzeba coś zrobić. Podjąć jakieś działania. No więc, ustawili na trzechsetnym metrze blokadę. Naznosili worków z piaskiem, postawili karabin maszynowy, reflektor - według wszelkich reguł fortyfikacji. Posłali gońca na Biegową - ze stacjami Biegowa i Ulica 1905 Roku są w konfederacji. Wcześniej należało też do niej Oktiabrskoje Pole, ale potem coś się tam stało, nikt nie wie dokładnie co, jakaś awaria - stacja stała się niezdatna do życia i wszyscy się stamtąd rozeszli. Tak, ale to nieważne... Posłali na Biegową tego gońca, żeby ostrzegł, znaczy, że dzieje się coś niedobrego, i w razie czego poprosił o pomoc. Ledwo pierwszy goniec przylazł na Biegową, nawet dzień nie minął - tamci obmyślali jeszcze odpowiedź - przybiega drugi, cały spocony, i mówi, że ich wzmocniony posterunek został wybity do nogi nie oddawszy ani jednego strzału. Wszystkich wyrżnęli. Jakby we śnie - i to jest właśnie straszne! Przecież oni nie mogli zasnąć przy takim strachu, nie mówiąc o rozkazach i poleceniach. Wtedy na Biegowej zrozumieli, że jeśli nic się nie zrobi, to niedługo też będą mieli taki cyrk. Stworzyli grupę uderzeniową złożoną z weteranów - jakaś setka ludzi, broń maszynowa, granatniki... Zajęło to oczywiście dobre półtora dnia, ale wreszcie wysłali ich na ratunek. A kiedy oddział wszedł na Poleszajewską, to nie było tam już żywej duszy, ani ciał - wszędzie tylko krew. Tak. I licho wie kto to zrobił. Bo ja nie wierzę, że ludzie są w ogóle zdolni do czegoś takiego.

- A co się stało z Biegową? - nie swoim głosem spytał Artem.

- Nic się nie stało. Zobaczyli co się dzieje i zawalili tunel prowadzący do Poleszajewskiej. Słyszałem, że zasypało jakieś 40 metrów, bez ciężkiego sprzętu tego nie odgrzebiesz, a i ze sprzętem, proszę ciebie, nie bardzo... I skąd tu ten sprzęt wziąć? Już z 15 lat będzie jak wszystko zgniło, cały ten sprzęt...

Piotr Andriejewicz umilkł i patrzył w ogień. Artem cicho odkaszlnął i powiedział:

- Tak... Trzeba było oczywiście strzelać... Głupstwo palnąłem.

Z południa, od strony stacji, dało się słyszeć wołanie:

- Hej tam, na czterysta pięćdziesiątym! Wszystko u was w porządku?

Piotr Andriejewicz złożył dłonie w tubę i krzyknął w odpowiedzi:

- Chodźcie bliżej! Jest sprawa!

Z tunelu, od stacji, świecąc latarkami, zbliżyły się do nich trzy postacie, pewnie strażnicy z trzechsetnego metra. Kiedy podeszli do ogniska, wyłączyli latarki i usiedli obok.

- Witaj, Piotrze! To ty tu jesteś? A tak sobie myślałem: kogóż to dziś wysłali na koniec świata? - powiedział starszy uśmiechając się i stukając w paczkę, żeby wyciągnąć papierosa.

- Słuchaj, Andriucha! Mój chłopak coś tu widział. Ale nie udało mu się strzelić... Schowało się w tunelu. Mówił, że nie przypominało człowieka.

- Niepodobne do człowieka? A jak wyglądało? - Andriej odwrócił się w stronę Artema.

- Kiedy ja nawet nie widziałem... Spytałem tylko o hasło, a to coś od razu rzuciło się z powrotem, na północ. Ale to nie były ludzkie kroki... Były lekkie i bardzo szybkie, jakby miało nie dwie nogi, a cztery...

- Albo trzy! - mrugnął Andriej i zrobił straszną minę.

Artem wzdrygnął się na wspomnienie historii o trójnogich ludziach z Linii Filewskiej, której część stacji znajdowała się na powierzchni, a tunel był zupełnie płytko, tak że nie było prawie żadnej ochrony przed promieniowaniem. Rozłaziły się stamtąd na całe metro trójnogie, dwugłowe i inne jeszcze stwory.

Andriej zaciągnął się papierosem i powiedział swoim ludziom:

- Dobra, chłopaki, jak już żeśmy przyszli, to czemu by trochę nie posiedzieć? Jak znów do nich przylezą trójnogi, to pomożemy. Hej, Artem! Macie tu czajnik?

Piotr Andriejewicz sam wstał, nalał wodę z kanistra do obtłuczonego, osmolonego czajnika i powiesił go nad ogniem. Po kilku minutach czajnik zaczął kipieć i gwizdać i od tego dźwięku, tak domowego i przytulnego, Artemowi zrobiło się cieplej i spokojniej. Przyjrzał się siedzącym wokół ogniska: sami silni, pewni, zahartowani przez tutejsze niełatwe życie ludzie. Takim można było wierzyć, na nich można było polegać. Ich stacja zawsze słynęła jako jedna z najszczęśliwszych na całej linii - i wszystko to dzięki tym, którzy się tu zebrali, i takim jak oni. Łączyły ich wszystkich ciepłe, prawie braterskie relacje.

Artem był już po dwudziestce, przyszedł na świat jeszcze tam, na górze, i nie był tak chudy i blady, jak wszyscy urodzeni w metrze, którzy nigdy nie ośmielają się pokazać na powierzchni, bojąc się nie tylko promieniowania, ale też palących, zgubnych dla podziemnego życia promieni słonecznych. Fakt - Artem sam w świadomym życiu był tam tylko raz, i to tylko na moment - poziom promieniowania był tak wysoki, że zbyt ciekawscy zaczynali się smażyć po kilku godzinach, nie mogąc się do woli nachodzić i napatrzeć na niezwykły świat na powierzchni.

Ojca nie pamiętał wcale. Matka była z nim do czasu, aż skończył pięć lat - mieszkali na stacji Timirjazewskiej. Było im dobrze i życie płynęło jednostajnie i spokojnie, aż Timirjazewska padła pod naporem szczurów.

Olbrzymie, szare, mokre szczury, bez żadnego uprzedzenia, wysypały się z jednego z ciemnych bocznych tuneli. Niezauważona odnoga skręcała w bok i w dół od głównego północnego toru i schodziła na dużą głębokość, by zagubić się w skomplikowanej plątaninie setek korytarzy, w labiryncie pełnym strachu, lodowatego zimna i wstrętnego smrodu. Tunel ten prowadził do królestwa szczurów, miejsca, w które nie odważyłby się zapuścić najbardziej szalony poszukiwacz przygód. Nawet zagubiony, niezorientowany w podziemnych planach i przejściach wędrowiec, który zatrzymałby się na jego progu, wyczułby tchnące stamtąd czarne, straszne niebezpieczeństwo i odskoczyłby od ziejącej wyrwy, jak od zadżumionego miasta.

Nikt nie był straszny dla szczurów. Nikt nie schodził do ich włości. Nikt nie ośmielał się przekraczać ich granic.

Ale tym razem przyszły same.

Wielu ludzi zginęło w dniu, w którym gigantyczne szczury, jakich nie widziano nigdy ani na stacji, ani w tunelach, zalały żywym strumieniem wystawione posterunki i stację, grzebiąc pod sobą jej obrońców i ludność, zagłuszając masą swych ciał ich przedśmiertne krzyki. Pożerając na swojej drodze wszystko: martwych i żywych ludzi oraz swoich zabitych pobratymców - ślepo, bezlitośnie, poruszane niepojętą dla człowieka siłą, szczury rwały do przodu, coraz dalej i dalej.

Przeżyło tylko kilka osób. Nie kobiety, nie starcy ani dzieci - nikt z tych, których zwykle w pierwszej kolejności się ratuje - lecz pięciu zdrowych mężczyzn, którzy potrafili wyprzedzić śmiercionośną rzekę. Udało im się ją prześcignąć tylko dlatego, że stali z drezyną na posterunku w tunelu południowym. Słysząc krzyki ze stacji, jeden z nich pobiegł, żeby zobaczyć co się stało. Kiedy ujrzał ją ze skraju peronu, Timirjazewska już dogorywała. Od razu przy wejściu, widząc pierwsze wylewające się na peron potoki szczurów, zrozumiał co się stało i już miał biec z powrotem, wiedząc, że w niczym broniącym stacji nie pomoże, gdy nagle ktoś złapał go z tyłu za rękę. Obejrzał się; uczepiona jego rękawa kobieta z wykrzywioną strachem twarzą zawołała, próbując przekrzyczeć chór rozpaczliwych jęków:

- Uratuj go, żołnierzu! Zlituj się!

Zobaczył, że kobieta podaje mu dziecięcą rączkę, maleńką, pulchną dłoń, i schwycił tę dłoń, nie myśląc o tym, że ratuje komuś życie, lecz dlatego, że nazwano go żołnierzem i poproszono o litość. I ciągnąc za sobą to dziecko, a potem w ogóle trzymając je pod pachą, rzucił się na wyścigi z pierwszymi szczurami, na wyścigi ze śmiercią - przed siebie, wzdłuż tunelu, tam, gdzie czekała drezyna i koledzy z posterunku. Już z daleka, ponad pięćdziesiąt metrów od nich, krzyknął, żeby zapalali. Ich drezyna miała silnik, jako jedyna wśród dziesięciu najbliższych stacji, i tylko dlatego mogli wyprzedzić szczury. Strażnicy mknęli przed siebie i z dużą prędkością minęli zapuszczoną Dmitrowską, na której gnieździło się kilku odludków. Krzyczeli do nich: „Uciekajcie! Szczury!", ale wiedzieli, że nie uda im się już uratować. Podjeżdżając do posterunków Sawielowskiej, z którą, dzięki Bogu, mieli w tym czasie układ pokojowy, zaczęli zawczasu zwalniać, żeby przy takiej szybkości nie zastrzelili ich na podjeździe jako bandytów, i ze wszystkich sił wołali do strażników: „Szczury! Szczury idą!". Byli gotowi na dalszą jazdę przez Sawielowską i dalej, wzdłuż linii, błagając, żeby ich przepuścili, póki jest dokąd uciekać, póki szara fala nie zaleje całego metra.

Lecz na ich szczęście na Sawielowskiej znalazło się coś, co uratowało uciekinierów, stację i być może całą Linię Sierpuchowsko-Timirjazewską: kiedy zlani potem dojeżdżali do straży krzycząc o śmierci, której ledwo udało im się umknąć, tamci już pośpiesznie ściągali pokrowiec z jakiegoś potężnego urządzenia.

Był to miotacz płomieni zmontowany przez miejscowe złote rączki ze znalezionych części, prymitywny, ale niezwykle silny. Gdy tylko pokazały się pierwsze szeregi szczurów, a z mroku zaczął dobiegać narastający szum i zgrzytanie tysięcy szczurzych łap, strażnicy odpalili miotacz i nie wyłączali go, aż skończyło się paliwo. Huczące, pomarańczowe płomienie wypełniły tunel na długości kilkudziesięciu metrów i paliły, spalały szczury, bez przerwy, dziesięć, piętnaście, dwadzieścia minut. Tunel napełnił się ohydną wonią palonego mięsa i dzikim szczurzym wyciem... A za plecami strażników z Sawielowskiej, którzy zostali bohaterami słynnymi na całą linię, zamarła stygnąca drezyna, w każdej chwili gotowa do nowego skoku, a na niej pięciu mężczyzn, uciekinierów ze stacji Timirjazewska i jeszcze jedna osoba - uratowane przez nich dziecko. Chłopiec. Artem.

Szczury cofnęły się. Ich ślepa wola została złamana przez jedno z ostatnich osiągnięć ludzkiego geniuszu wojskowego. Ludzie zawsze umieli zabijać lepiej niż każde inne żywe stworzenie.

Szczury uciekły i wróciły do swego ogromnego królestwa, którego prawdziwych rozmiarów nie znał nikt. Wszystkie te leżące na niezbadanej głębokości labirynty były tak tajemnicze i, zdawałoby się, bez żadnego pożytku dla pracy metra, że nie zważając na zapewnienia ludzi z autorytetem, nie można było uwierzyć, iż wszystko to stworzyli zwykli jego budowniczowie.

Jeden z tych autorytetów pracował nawet kiedyś, jeszcze w tamtych czasach, jako pomocnik maszynisty kolejki podziemnej. Takich ludzi niewielu już zostało i byli w cenie, gdyż na samym początku okazali się jedynymi, którzy nie rozkleili się i nie ulegli strachowi, znalazłszy się poza wygodną i bezpieczną kapsułą pociągu, w ciemnych tunelach moskiewskiego metra, w tych kamiennych trzewiach megalopolis. Wszyscy na stacji odnosili się do niego z szacunkiem i tego samego uczyli swoje dzieci, dlatego pewnie Artem go zapamiętał, a zapamiętał na całe życie: wyniszczonego chudego człowieka, zmarniałego przez długie lata pracy pod ziemią, w wytartym, wyblakłym uniformie pracownika metra, który to strój dawno już stracił fason, ale nadal był zakładany z dumą, z jaką emerytowany admirał wdziewa paradny mundur. Artem zaś, wówczas jeszcze zupełny dzieciak, widział w mizernej postaci pomocnika maszynisty niewypowiedzianą siłę i charakter...

Trudno się dziwić! Pracownicy metra byli dla pozostałych jego mieszkańców tym, kim tubylczy przewodnicy dla ekspedycji naukowych w dżungli. Święcie im wierzono i całkowicie na nich polegano, od ich wiedzy i umiejętności zależało przeżycie pozostałych. Wielu z nich zostało przywódcami stacji po tym, jak rozpadł się jedyny system władzy i metro z kompleksowego obiektu obrony cywilnej, ogromnego schronu przeciwatomowego zmieniło się w mrowie niezwiązanych jedną władzą stacji, i pogrążyło w chaosie i anarchii. Stacje stały się swego rodzaju karłowatymi państewkami, niezależnymi i samodzielnymi, każde ze swoją ideologią, ustrojem, przywódcą i wojskiem. Wojowały ze sobą, łączyły się w federacje i konfederacje, jednego dnia będąc metropoliami powstających imperiów, by następnego upaść i dać się skolonizować wczorajszym przyjaciołom czy niewolnikom. Zawierały krótkotrwałe sojusze przeciw wspólnemu zagrożeniu, aby, kiedy niebezpieczeństwo minie, z nowymi siłami rzucić się sobie do gardeł. Tłukły się z zapamiętaniem o wszystko: o przestrzeń życiową, o jedzenie - hodowle drożdży białkowych, plantacje niepotrzebujących światła dziennego grzybów, kurniki i chlewy, w których blade podziemne świnie i kurczaki karmiono bezbarwnymi podziemnymi grzybami - i oczywiście o wodę, to jest o filtry. Barbarzyńcy, niepotrafiący naprawić urządzeń filtrujących, które przestały działać, umierali od skażonej promieniowaniem wody i ze zwierzęcą zawziętością rzucali się na ostoje cywilizacji, stacje, gdzie sprawne były prądnice i małe, chałupnicze elektrownie wodne, gdzie regularnie remontowano i czyszczono filtry, gdzie dzięki dbałości troskliwych kobiecych rąk mokrą ziemię przebijały białe kapelusiki pieczarek, a w zagrodach chrumkały syte świnie.

Naprzód, do niekończącego się, szalonego szturmu, gnał ich instynkt samozachowawczy i odwieczna zasada rewolucji: odebrać i podzielić. Obrońcy dostatnich stacji, łączeni przez byłych zawodowych wojskowych w oddziały bojowe, walcząc do ostatniej kropli krwi odpierali ataki barbarzyńców, przechodzili do kontrnatarcia, oddając i odbierając w boju każdy metr tuneli. Stacje budowały potęgę wojskową, żeby na najazdy odpowiadać ekspedycjami karnymi, by wypierać swych cywilizowanych sąsiadów z ważnych życiowo obszarów, jeśli nie udało się osiągnąć porozumienia drogą pokojową, a wreszcie żeby odpierać całe to plugastwo wyłażące ze wszystkich dziur i tuneli. Wszystkie te dziwne, pokraczne i groźne stworzenia, z których każde z łatwością mogłoby doprowadzić Darwina do obłędu swym jawnym nieprzestrzeganiem praw ewolucji. Jakkolwiek wyraźnie różniły się od znanych człowiekowi zwierząt, wszystkie te potwory - czy to nieszkodliwi przedstawiciele miejskiej fauny przeobrażeni w stworzenia z piekła rodem, czy to istoty od zawsze zamieszkujące podziemne głębiny, a teraz rozdrażnione

przez ludzi - one również były częścią życia na Ziemi. Zniekształconą i wynaturzoną, ale jednak. I wszystkimi rządził ten główny impuls, któremu podlega całe organiczne życie na tej planecie: przeżyć. Za wszelką cenę przeżyć.

Artem wziął biały emaliowany kubek, w którym chlupotała ich zwykła stacyjna herbata. Nie była to oczywiście żadna herbata, a napar z suszonych grzybów z dodatkami, bo tej prawdziwej prawie już nie było. Oszczędzano ją i pito tylko w wielkie święta, zresztą była kilkadziesiąt razy droższa od naparu z grzybów. Mimo to mieszkańcy WOGN-u lubili swój napój, byli z niego dumni i nazywali „herbatą". Co prawda obcy, nieprzyzwyczajeni, na początku go wypluwali, ale potem, kiedy przywykli, całkiem im smakowało. Fama ich herbaty rozniosła się nawet poza granice stacji - ruszyli do nich straganiarze. Najpierw przychodzili pojedynczo, ryzykując własną skórą, lecz wkrótce herbata obiegła całą linię, zainteresowała się nią nawet Hanza, a po czarodziejski napar zaczęły ciągnąć do WOGN-u wielkie karawany. Popłynęły pieniądze. A gdzie są pieniądze, tam jest i broń, i drewno, i witaminy. Tam jest życie. Odkąd na WOGN-ie zaczęto robić herbatę, stacja zaczęła rosnąć w siłę, przenieśli się tu przedsiębiorczy ludzie z okolicznych stacji i tuneli, nadszedł czas rozkwitu. Mieszkańcy WOGN-u byli też bardzo dumni ze swoich świń i opowiadali legendy o tym, że to właśnie tutaj trafiły do metra: stało się to jeszcze na samym początku, kiedy jacyś śmiałkowie dostali się do na wpół zburzonego pawilonu „Hodowla Trzody Chlewnej" na terenie właściwej Wystawy Osiągnięć Gospodarki Narodowej i przygnali zwierzęta na stację.

- Słuchaj, Artem! Co tam u Suchego? - spytał Andriej, siorbiąc herbatę małymi, ostrożnymi łykami, co chwila na nią dmuchając.

- U wujka Saszy? Wszystko dobrze. Niedawno wrócił z naszymi ludźmi z wyprawy wzdłuż linii. Z ekspedycji. Ale pan to na pewno wie.

Andriej był jakieś piętnaście lat starszy od Artema. Był w zasadzie zwiadowcą i rzadko stał na posterunku bliżej niż na czterysta pięćdziesiątym metrze, a i wtedy zawsze był dowódcą blokady. Teraz wystawili go na trzechsetnym, za osłoną, ale jego i tak ciągnęło w głąb tunelu, więc wykorzystał pierwszy pretekst, pierwszy fałszywy alarm, żeby podejść bliżej ciemności, bliżej tajemnicy. Lubił i dobrze znał tunel i wszystkie jego odnogi. Na stacji zaś, wśród farmerów, wśród pracusiów, handlarzy i urzędników, czuł się nieswojo, jakby był niepotrzebny. Nie umiał się zmusić do spulchniania ziemi pod uprawę grzybów czy, co jeszcze gorsze, do tuczenia tymi grzybami tłustych świń, stojąc po kolana w nawozie na stacyjnych farmach. Handlować też nie mógł, po prostu nie cierpiał handlu, bo zawsze był żołnierzem, wojownikiem, i wierzył całą duszą, że jest to jedyne zajęcie godne mężczyzny. Był dumny z tego, że to on, Andriej, całe życie zajmował się obroną i tych cuchnących farmerów, i wiecznie zaaferowanych straganiarzy, i niemożliwie rzeczowych rządzących, i dzieci, i kobiet. Kobiety przyciągała jego drwiąca, lekceważąca niebezpieczeństwo siła, jego stuprocentowa pewność siebie, jego spokój o siebie i tych, którzy byli z nim, bo zawsze umiał ich obronić. Kobiety obiecywały mu miłość, obiecywały dom, lecz on czuł się w domu dopiero za pięćdziesiątym metrem, kiedy światła stacji znikały za zakrętem. Kobiety tam za nim nie szły. Bo po co?

A teraz, rozgrzany herbatą, zdjął swój stary czarny beret i wycierając rękawem mokre od pary wąsy, zaczął chciwie wypytywać Artema o nowiny i plotki przyniesione z ostatniej ekspedycji przez jego ojczyma - tego samego człowieka, który dziewiętnaście lat temu uratował Artema przed szczurami na Timirjazewskiej, a potem nie potrafił zostawić chłopczyka i go wychował.

- Coś tam może i wiem, ale posłucham z przyjemnością i drugi raz. Nie chce ci się opowiadać, czy jak? - nalegał Andriej.

Nie trzeba było go długo przekonywać: Artemowi i tak było miło przypomnieć sobie i przekazać opowieści ojczyma, w końcu wszyscy będą go słuchać z otwartymi ustami.

- Cóż, dokąd szli, to pan na pewno wie... - zaczął Artem.

- Wiem, że na południe. Cholernie wszystko utajnione u tych waszych wysłanników - uśmiechnął się Andriej. - Specjalne zadania od władz, sam rozumiesz! - mrugnął porozumiewawczo do jednego ze swoich ludzi.

- Nic w tym nie było tajnego - zaprotestował Artem. - Celem ich ekspedycji było rozpoznanie sytuacji, zebranie informacji... Wiarygodnych informacji. Dlatego obcym straganiarzom, co to na naszej stacji strzępią języki, nie można wierzyć, bo może to straganiarze, a może prowokatorzy szerzący dezinformacje.

- Straganiarzom w ogóle nie można wierzyć - burknął Andriej. - Wyrachowani z nich ludzie. Nigdy nie wiesz: dziś sprzedaje taki twoją herbatę Hanzie, a jutro opchnie komuś ciebie samego z całym kramem. Może i u nas zbierają informacje? Po prawdzie, to nawet naszym niespecjalnie ufam.

- Co do naszych, to się pan myli, Andrieju Arkadiewiczu. Nasi są w porządku. Sam znam prawie wszystkich. Ludzie jak ludzie. Tyle, że lubią pieniądze. Chcą żyć lepiej od innych, do czegoś dążą - spróbował ująć się za miejscowymi straganiarzami Artem.

- Chwileczkę. Ja właśnie o tym. Lubią pieniądze. Chcą żyć lepiej niż inni. A kto wie, co oni robią, kiedy wychodzą do tunelu? Możesz mi z przekonaniem powiedzieć, że na pierwszej lepszej stacji nie zwerbują ich jacyś agenci? Możesz, czy nie?

- Jacy agenci? Czyim agentom sprzedali się nasi straganiarze?

- No właśnie, Artem! Jesteś jeszcze młody i nie wiesz wielu rzeczy. A jak będziesz słuchał starszych, to dłużej pożyjesz.

- Ktoś musi się tym zajmować! Jak by nie było straganiarzy, to byśmy tu kwiczeli bez amunicji, walilibyśmy z berdanek solą do czarnych i popijali sobie herbatkę - nie ustępował Artem.

- Dobra, dobra, znalazł się ekonomista... Nie gorączkuj się. Opowiadaj lepiej co tam Suchy widział. Co u sąsiadów? Na Aleksiejewskiej? Na Ryżskiej?

- Na Aleksiejewskiej? Nic nowego. Hodują własne grzyby. Bo co to za stacja? Taki przysiółek... Mówi się - tu Artem zniżył głos, gdyż przekazywał tajną informację - że chcą się do nas przyłączyć. A Ryżska w sumie też nie jest przeciwna. Rośnie na nich presja z południa. Nastroje mają ponure: wszyscy szepczą o jakimś zagrożeniu, wszyscy czegoś się boją, a czego - nikt nie wie. Albo w tamtej części linii powstało jakieś imperium, albo boją się, że Hanza będzie się chciała rozszerzać, albo jeszcze coś. I wszystkie te przysiółki się do nas tulą. I Ryżska, i Aleksiejewska.

- A czego dokładnie chcą? Co proponują? - interesował się Andriej.

- Proszą, żeby zjednoczyć się z nimi w federację ze wspólnym systemem obrony, wzmocnić po obu stronach granice, w tunelach między stacjami założyć stałe oświetlenie, zorganizować milicję, zasypać boczne tunele i korytarze, uruchomić drezyny transportowe, położyć kabel telefoniczny, na wolnym miejscu posadzić grzyby... Żeby mieć wspólną gospodarkę, pracować, pomagać sobie nawzajem jeśli będzie trzeba.

- A gdzie oni byli wcześniej? Gdzie byli, kiedy z Ogrodu Botanicznego, z Miedwiedkowa, szły na nas te śmierdziele? Kiedy czarni nas szturmowali, to gdzie oni byli? - burczał Andriej.

- Hej, Andriej, uważaj, żeby nie zapeszyć! - wtrącił się Piotr Andriejewicz. - Na razie czarnych nie ma, i bardzo dobrze. Nie my z nimi wygraliśmy. Coś tam się u nich dzieje i się uspokoili. Może na razie zbierają siły? Tak więc sojusz nam nie zaszkodzi. Tym bardziej zjednoczenie z sąsiadami. To korzystne i dla nich, i dla nas.

- I będziemy mieli wolność, równość i braterstwo! - rzucił ironicznie Andriej wyłamując palce.

- Nie interesuje pana, co mówię, tak? - obrażonym głosem spytał Artem.

- Nie, mów dalej, Artem, mów dalej - powiedział Andriej. - Z Piotrem skończymy się kłócić później. To nasz dyżurny temat.

- No, dobra. I mówi się, że nasz główny niby się zgadza. Nie ma zasadniczych przeszkód. Trzeba tylko przedyskutować szczegóły. Niedługo będzie zjazd. A potem referendum.

- A jakże! Referendum. Lud powie tak - znaczy tak. Powie nie - znaczy, że lud się pomylił. Niech się namyśli jeszcze raz - szydził Andriej.

- Artem, a co się dzieje za Ryżską? - nie zwracając na niego uwagi dopytywał się Piotr Andriejewicz.

- Co tam dalej mamy? Prospekt Mira. No, Prospekt Mira to wiadomo. Granica Hanzy. Ojczym mówił, że między Hanzą a czerwonymi jest bez zmian: pokój. Nikt już nie wspomina o wojnie - opowiadał Artem.

„Hanza" była nazwą Związku Stacji Linii Okrężnej. Stacje te, znajdując się na przecięciu wszystkich pozostałych nitek, a więc również szlaków handlowych, połączone tunelami, prawie od samego początku były miejscami spotkań kupców ze wszystkich krańców metra. Bogaciły się z niewiarygodną szybkością i wkrótce, rozumiejąc, że ich bogactwo u zbyt wielu wywołuje zawiść, postanowiły się zjednoczyć. Oficjalna nazwa była zbyt długa i ludzie przezwali związek Hanzą - ktoś kiedyś trafnie porównał go ze związkiem miast handlowych w średniowiecznych Niemczech. Słówko było dźwięczne i tak już zostało.

Hanza początkowo składała się tylko z części stacji, zjednoczenie odbywało się stopniowo. Był odcinek Linii Okrężnej od stacji Kijewskiej do Prospektu Mira, tak zwany Północny Łuk, i stowarzyszone z nim Kurska, Tagańska i Oktiabrska. Potem już Hanza wchłonęła Pawielecką i Dobrynińską i utworzył się drugi łuk - Południowy. Jednak główny problem i główna przeszkoda w zjednoczeniu Łuku Północnego z Południowym tkwiła w Linii Sokolniczeskiej.

„Oto w czym rzecz - opowiadał Artemowi jego ojczym. - Linia Sokolniczeska zawsze była osobno. Jak popatrzeć na plan, to zaraz zwraca się na nią uwagę. Po pierwsze, jest prosta jak strzała. Po drugie, na wszystkich planach jest jaskrawo czerwona. A i nazwy stacji pasują: Krasnosielska, Krasnyje Worota, Komsomolska, Biblioteka im. Lenina i znów Leninskie, tym razem Gory. I czy to przez takie nazwy, czy to z jakiejś innej przyczyny, ciągnęli na tę linię wszyscy czujący nostalgię za chwalebną socjalistyczną przeszłością. Wyjątkowo dobrze przyjęły się na niej idee odrodzenia państwa sowieckiego. Najpierw jedna stacja oficjalnie wróciła do ideałów komunizmu i ustroju socjalistycznego, potem sąsiednia, potem ludzie z drugiej strony tunelu zarazili się od nich rewolucyjnym optymizmem, obalili swoją administrację i wtedy już poszło z górki. Pozostali przy życiu kombatanci, byli działacze Komsomołu i partyjni funkcjonariusze, niezmienny lumpenproletariat - wszyscy napływali na rewolucyjne stacje.

Utworzono komitet odpowiedzialny za rozpowszechnianie nowej rewolucji i idei komunistycznych po całym metrze, pod nieledwie leninowską nazwą: Międzystacjonówka. Szkolono tam grupy zawodowych rewolucjonistów i propagandystów i wysyłano ich coraz dalej w głąb wrogiego obozu. Wszystko szło w zasadzie bez większych zgrzytów, gdyż wygłodniali ludzie na bezpłodnej Linii Sokolniczeskiej pragnęli przywrócenia sprawiedliwości, która w ich rozumieniu mogła przyjąć tylko formę urawniłowki. Wkrótce szkarłatny płomień rewolucji, który zapłonął na jednym jej końcu, ogarnął całą nitkę. Dzięki cudem ocalałemu mostowi przez Jauzę, połączenie między stacją Sokolniki a Placem Prieobrażeńskim nadal istniało. Z początku krótki odcinek naziemny trzeba było pokonywać tylko nocami w jadących z pełną prędkością drezynach. Potem, siłami skazanych na śmierć, na moście postawiono ściany i dach. Stacjom przywracano stare sowieckie nazwy: Czystyje Prudy znów zostały Kirowską, Łubianka - Dzierżyńską, Ochotnyj Riad - Prospektem

Marksa. Stacje o nazwach neutralnych zostały gorliwie przemianowane na coś bardziej oczywistego ideologicznie: Sportiwna - na Komunisticzeską, Sokolniki na Stalińską, a Plac Prieobrażeński, od którego wszystko się zaczęło, na Sztandar Rewolucji. I tak oto linia, niegdyś Sokolniczeska, choć przez masy nazywana „czerwoną" - w rozmowach moskwian przyjęło się wówczas nazywanie wszystkich nitek metra według kolorów, którymi były oznaczone na mapie - w pełni oficjalnie została Linią Czerwoną. Dalej jednak tak łatwo nie poszło.

Do czasu, kiedy Linia Czerwona ostatecznie się ukształtowała i zaczęła wysuwać pretensje do stacji z innych nitek metra, wyczerpała się cierpliwość wszystkich pozostałych. Zbyt wielu ludzi pamiętało czym jest sowiecka władza. Zbyt wielu ludzi widziało w grupach agitacyjnych, rozsyłanych przez Międzystacjonówkę po całym metrze, przerzuty nowotworu grożącego unicestwieniem całego organizmu. I niezależnie jak długo agitatorzy i propagandyści z Międzystacjonówki obiecywali elektryfikację całej sieci kolejki, zapewniając, że w połączeniu z sowiecką władzą da to komunizm (to tak bezwstydnie nadużywane leninowskie hasło chyba nigdy nie było bardziej aktualne), ludzie spoza ich linii nie dawali posłuchu tym obietnicom. Międzystacjonalnych bajkopisarzy wyłapywano i wydalano z powrotem do państwa sowieckiego.

Wtedy przywódcy czerwonych postanowili, że pora działać bardziej zdecydowanie: jeśli pozostała część metra w żaden sposób nie zajmuje się wesołym ogniem rewolucji, trzeba ją podpalić. Sąsiednie stacje, zaniepokojone nasileniem komunistycznej propagandy i działalności wywrotowej, doszły do podobnego wniosku. Doświadczenie historii jasno dowodziło, że bakcyl komunizmu najlepiej przenosi się na bagnetach.

I uderzył grom.

Koalicja antykomunistycznych stacji, prowadzona przez Hanzę, przeciętą Linią Czerwoną na pół i chcącą zamknąć koło, przyjęła wyzwanie. Czerwoni nie liczyli oczywiście na zorganizowany opór i przecenili swoje siły. Oczekiwane przez nich łatwe zwycięstwo trudno było wróżyć nawet w dalekiej przyszłości.

Wojna, która okazała się długa i krwawa, mocno uszczupliła i tak niezbyt liczną ludność metra. Zmagania trwały bez mała półtora roku i składały się w większości z walk pozycyjnych, ale były też konieczne wypady i działania dywersyjne partyzantów, zawały tuneli, rozstrzeliwanie jeńców, kilka przypadków bestialstwa z obu stron. Było tam wszystko: operacje wojskowe, manewry okrążające i przełamania, bohaterskie czyny, zwycięscy wodzowie, bohaterowie i zdrajcy. Lecz najbardziej charakterystyczne w tej wojnie było to, że żadnej z walczących stron nie udało się przesunąć linii frontu na jakąś znaczącą odległość. Czasem zdawało się, że komuś udało się zdobyć przewagę, zająć jakąś graniczną stację, lecz wróg sprężał się, mobilizował dodatkowe siły i szala przechylała się na drugą stronę.

A wojna pochłaniała zasoby. Wojna zabierała najlepszych ludzi. Wojna była wyniszczająca.

I pozostali przy życiu zmęczyli się nią. Władze rewolucyjne po cichu zmieniły pierwotne plany na bardziej skromne. Jeśli na początku głównym celem wojny było rozprzestrzenienie socjalistycznej władzy i komunistycznych idei na teren całego metra, to teraz czerwoni chcieli chociaż przejąć kontrolę nad tym, co uważali za największą świętość - stacją Plac Rewolucji. Po pierwsze ze względu na nazwę, po drugie ze względu na to, że było z niej bliżej niż z jakiejkolwiek innej stacji metra do Placu Czerwonego i Kremla, którego wieże wciąż jeszcze wieńczyły rubinowe gwiazdy, jeśli wierzyć nielicznym śmiałkom, tak silnym mocą ideologii, że wybrali się na powierzchnię, by na niego popatrzeć. No, i oczywiście tam, na górze, obok Kremla, w samym centrum Placu Czerwonego znajdowało się Mauzoleum. Czy ciało Lenina tam jeszcze było, czy nie, nikt nie wiedział, ale nie miało to nawet specjalnego znaczenia. Przez długie lata sowieckich

rządów Mauzoleum przestało być po prostu grobowcem, a stało się wartością samą w sobie, sakralnym symbolem ciągłości władzy. To właśnie tam przyjmowali defilady dawni wielcy wodzowie. To właśnie do niego dążyli wodzowie dzisiejsi. A powiadali, że to właśnie ze stacji Plac Rewolucji, z jej pomieszczeń technicznych, prowadziły tajemne przejścia do sekretnych laboratoriów przy Mauzoleum, a stamtąd - do samego grobu.

W posiadaniu czerwonych była stacja Plac Swierdłowa, dawniej Ochotnyj Riad, którą umocnili i uczynili przyczółkiem, z którego dokonywali wypadów i ataków na Plac Rewolucji.

Niejedna wyprawa krzyżowa z błogosławieństwem władz rewolucyjnych ruszyła, by wyzwolić tę stację i ten grób. Ale jej obrońcy też rozumieli jakie znaczenie ma ona dla czerwonych i walczyli do ostatka. Plac Rewolucji zmienił się w niedostępną fortecę. Najzacieklejsze i najbardziej krwawe walki toczyły się właśnie na przedpolu tej stacji. Poległo tam najwięcej ludzi. Bitwy te miały swoich Aleksandrów Matrosowów[1], wystawiających pierś na ogień karabinów, i bohaterów, którzy obwiązywali się granatami, by wylecieć w powietrze razem ze stanowiskiem ogniowym nieprzyjaciela, nie mówiąc już o wykorzystywaniu przeciw ludziom zakazanych miotaczy płomieni... Wszystko na nic. Odbijali stację na jeden dzień, ale nie udawało im się na niej umocnić, więc ginęli i wycofywali się nazajutrz, kiedy koalicja przechodziła do kontrnatarcia.

To samo, tyle że w przeciwnym kierunku, działo się na stacji Biblioteka im. Lenina. Tam bronili się czerwoni, a siły koalicyjne wielokrotnie próbowały ich wyprzeć. Stacja miała dla koalicji znaczenie strategiczne, gdyż ewentualny udany szturm pozwoliłby rozbić Linię Czerwoną na dwie części, a poza tym umożliwiała bezpośrednie przejście na trzy inne linie, i to takie, których Linia Czerwona w żadnym innym miejscu nie przecinała. Była więc węzłem chłonnym, który, zainfekowany przez czerwoną zarazę, otworzyłby jej drogę do ważnych dla życia organów. I żeby temu zapobiec, Bibliotekę im. Lenina trzeba było zdobyć, zdobyć za wszelką cenę.

Lecz tak jak nieudane były wysiłki czerwonych, by zająć Plac Rewolucji, tak bezowocne okazały się działania koalicji, by wyprzeć ich z Biblioteki.

A tymczasem ludność była coraz bardziej zmęczona. Zaczęły się już dezercje, coraz częściej występowały przypadki bratania się walczących, kiedy po obu stronach frontu żołnierze rzucali broń... Ale, w odróżnieniu od pierwszej wojny, czerwonym to nie pomagało. Rewolucyjny zapał powoli wygasał. Nie lepiej wyglądało to u koalicji: ludzie, niezadowoleni z tego, że muszą stale drżeć o swoje życie, rzucali wszystko i całymi rodzinami uciekali ze stacji centralnych na peryferia. Hanza słabła i pustoszała. Wojna boleśnie uderzyła w handel, straganiarze znajdowali ścieżki omijające ją kołem, ważne szlaki handlowe pustoszały i cichły...

Politycy, coraz mniej popierani przez wojsko, musieli szybko szukać możliwości zakończenia wojny, zanim ich broń obróci się przeciwko nim. Wtedy, w warunkach ścisłej tajemnicy i, co konieczne w takich wypadkach, na neutralnej stacji, spotkali się przywódcy wrogich stron: towarzysz Moskwin ze strony sowieckiej, a z koalicji - prezydent Hanzy Łoginow i szef Konfederacji Arbackiej Kołpakow.

Traktat pokojowy został podpisany bardzo szybko. Strony wymieniły się stacjami. Linia Czerwona zyskała pełnię władzy nad na wpół zburzonym Placem Rewolucji, lecz oddawała Konfederacji Arbackiej Bibliotekę im. Lenina. Dla jednych i drugich był to niełatwy krok. Konfederacja traciła jednego ze swoich członków, a razem z nim tereny na północnym wschodzie. W Linii Czerwonej pojawiła się wyrwa, bo na samym jej środku znalazła się stacja od niej niezależna, która przecinała ją na pół. Mimo że obie strony miały

[1] Aleksander Matrosow (1924-1943) - żołnierz sowiecki, który podczas II wojny światowej zginął zasłaniając własnym ciałem otwór niemieckiego działa; synonim najwyższego poświęcenia dla ojczyzny [przyp. tłum.].

zagwarantowany swobodny tranzyt przez swoje dawne terytoria, taka sytuacja nie mogła nie niepokoić czerwonych... Lecz to, co proponowała koalicja, było zbyt kuszące. I Linia Czerwona się nie oparła. Na traktacie pokojowym najwięcej zyskiwała oczywiście Hanza, która mogła teraz swobodnie zamknąć krąg stacji i pokonać ostatnie przeszkody na drodze do rozkwitu. Ustalono też zachowanie status quo i zakaz prowadzenia działalności agitacyjnej i wywrotowej na terenie dawnego nieprzyjaciela. Wszyscy byli zadowoleni. A teraz, kiedy umilkły działa i głosy polityków, nadeszła kolej propagandystów, którzy musieli wyjaśnić masom, że to właśnie ich strona osiągnęła wspaniałe sukcesy dyplomatyczne i, w istocie, wygrała wojnę.

Minęły lata od owego pamiętnego dnia, kiedy podpisano traktat pokojowy. Przestrzegały go obie strony: Hanza dojrzała w Linii Czerwonej wygodnego partnera ekonomicznego, a ta porzuciła swoje agresywne zamiary: towarzysz Moskwin, gensek Komunistycznej Partii Moskiewskiego Metra imienia W.I. Lenina dialektycznie dowiódł możliwości stworzenia komunizmu na jednej, izolowanej linii i podjął historyczną decyzję o zapoczątkowaniu owego tworzenia. Stare urazy zostały zapomniane.

Tę lekcję historii najnowszej Artem świetnie zapamiętał, tak jak starał się zapamiętywać wszystko, co mówił mu ojczym.

- Dobrze, że przestali się zarzynać... - stwierdził Piotr Andriejewicz. - Przecież półtora roku nie można było postawić nogi za Okrężną: człowiek był wszędzie osaczony, dokumenty sprawdzali po sto razy. Miałem tam wtedy sprawę do załatwienia i nie mogłem przejść inaczej niż przez Hanzę. No to poszedłem. I zatrzymali mnie od razu na Prospekcie Mira. O mało co, a postawiliby pod ścianę.

- Naprawdę? Nigdy o tym nie opowiadałeś, Piotrze... Jak to z tobą było? - zainteresował się Andriej.

Artem nieco zmarkotniał, widząc, że berło opowiadającego zostało brutalnie wyrwane z jego rąk. Ale historia zapowiadała się ciekawie, więc nie wchodził im w słowo.

- Jak? Bardzo prosto. Wzięli mnie za szpiega czerwonych. Znaczy, wychodzę z tunelu na Prospekcie Mira, na naszej linii. A ten Prospekt też należy do Hanzy. Można powiedzieć, aneksja. Więc tam to jeszcze nie było zbyt surowej kontroli - mieli tam targ, strefę handlową. Wiecie, w Hanzie wszędzie tak jest: te stacje, które znajdują się na samej Okrężnej, to jakby ich dom; w przejściach ze stacji „okrężnych" na „promieniste" jest granica - urząd celny, kontrola paszportowa...

- Przecież my to wszystko wiemy, co tu nam będziesz wykłady robił... Opowiadaj lepiej co się tam z tobą stało! - przerwał mu Andriej.

- Kontrola paszportowa - powtórzył z uporem Piotr Andriejewicz, surowo marszcząc brwi. - Na stacjach linii promienistych mają targi, bazary... Tam obcy mogą wejść. A przez granicę - nie da rady. Wylazłem na Prospekcie Mira, miałem przy sobie pół kilo herbaty... Potrzebowałem nabojów do karabinu. Chciałem wymienić. A tam - stan wojenny. Amunicji nie sprzedają. Pytam jednego straganiarza, drugiego - wszyscy się wymawiają i powolutku odsuwają na bok. Jeden tylko mi szepnął: „Jakie naboje, matole... Spływaj stąd i to szybko, na pewno już cię namierzyli". Podziękowałem i ruszyłem powolutku z powrotem do tunelu. I przy samym wyjściu zatrzymuje mnie patrol, a ze stacji słyszę gwizdki i biegnie jeszcze jeden oddział. Dokumenty, mówią. Daję im paszport ze stemplem naszej stacji. Przyglądają mu się uważnie i pytają: „A przepustka gdzie?". Ja zdziwiony: „Co za przepustka?". Okazuje się, że aby wejść na stację trzeba mieć obowiązkową przepustkę: przy wyjściu z tunelu jest stolik, kancelarię tam mają. Sprawdzają tożsamość i, jeśli to konieczne, wydają przepustkę. Nadmuchali sobie biurokrację, szczury jedne...

Jak przeszedłem obok tego stołu, nie wiem... Czemu mnie wtedy te dranie nie zatrzymały? I tłumacz to teraz tym z patrolu. Stoi tam taki żłób, ostrzyżony na zero, i krzyczy: wślizgnąłeś się! Przekradłeś! Potajemnie przedostałeś! Kartkuje mi dalej paszport i

widzi pieczątkę Sokolników. Wcześniej mieszkałem na Sokolnikach... Widzi stempel i oczy mu wręcz nabiegają krwią. Normalnie jak czerwona płachta na byka. Ściąga z pleców karabin i ryczy: ręce za głowę, na ziemię! Od razu widać, że szkolony. Łapie mnie za kark i ciągnie tak po ziemi przez całą stację, do przejścia na torach, do dowódcy. I gada przy tym: poczekaj no, dostanę tylko zezwolenie od dowództwa - i zaraz pod ścianę, szpiegu zakichany. Aż mi się słabo zrobiło. Próbuję się wytłumaczyć, mówię do niego: „Jaki tam ze mnie szpieg? Handlowcem jestem! Zobacz, przywiozłem herbatę, z WOGN-u". A on na to, że mi całą tę herbatę wsadzi i jeszcze karabinem upchnie, żeby się więcej zmieściło. Widzę, że mało jestem przekonujący i że jeśli dowództwo da mu teraz wolną rękę, to zaciągną mnie na dwusetny metr, postawią twarzą do rur i zgodnie z prawem wojennym zrobią mi parę dodatkowych dziurek. Myślę sobie, jakoś kiepsko to wygląda... Podchodzimy do bramki, a ten żłób idzie się poradzić, gdzie będzie lepiej mnie zastrzelić. Patrzę na jego dowódcę - i po prostu kamień z serca: Paszka Fiedotow, do jednej klasy żeśmy chodzili, jeszcze po szkole długo się przyjaźniliśmy, a potem jakoś straciliśmy się z oczu...

- O żesz w mordę! Aleś nas przestraszył! A ja już myślałem, że po tobie, zabili cię - złośliwie wtrącił Andriej i wszyscy zebrani przy ognisku na czterysta pięćdziesiątym metrze, zgodnie się roześmiali.

Nawet sam Piotr Andriejewicz, choć najpierw zerknął ze złością na Andrieja, potem nie wytrzymał i uśmiechnął się. Śmiech poniósł się po tunelu budząc gdzieś w jego głębinach zniekształcone echo, niepodobne do niczego, nieco niesamowite huczenie... Przysłuchując mu się, wszyscy stopniowo ucichli.

Wtedy, z głębi tunelu, z północy, całkiem wyraźnie dało się słyszeć te same podejrzane dźwięki: szmery i lekkie, drobne kroki.

Andriej był oczywiście pierwszym, który to wszystko usłyszał. Natychmiast umilkł i dając innym znak, żeby też się nie odzywali, podniósł z ziemi karabin i zerwał się z miejsca. Powoli odciągnął zamek, wprowadził nabój do komory i bezszelestnie, przyciskając się do ściany, ruszył od ogniska w głąb tunelu. Artem też się podniósł: ciekawiło go, kogo oszczędził poprzednim razem, ale Andriej odwrócił się do niego i gniewnie syknął.

Z kolbą przy ramieniu zatrzymał się w miejscu, gdzie ciemność zaczynała gęstnieć, położył się plackiem i zawołał:

- Dajcie światło!

Jeden z jego ludzi, trzymający w pogotowiu silną, zasilaną akumulatorem lampę, złożoną przez miejscowych majstrów z części starego samochodowego reflektora, włączył ją i mrok przecięła oślepiająco biała smuga światła. W ich polu widzenia pojawił się na ułamek sekundy wyrwany z ciemności niewyraźny kształt: zupełnie mały, zdawałoby się niegroźny, i pędem rzucił się do tyłu, na północ. Artem nie wytrzymał i krzyknął co sił:

- No, strzelaj! Przecież ucieknie!

Ale Andriej z jakiegoś powodu nie strzelał. Piotr Andriejewicz także wstał, trzymając w gotowości karabin, i zawołał:

- Andriucha! Żyjesz?

Ludzie przy ognisku zaczęli niespokojnie szeptać, dało się słyszeć szczękanie zamków. Wreszcie Andriej, otrzepując kurtkę, pojawił się w świetle lampy.

- Ano żyję, żyję! - wydusił przez śmiech.

- Czego rżysz? - spytał z niepokojem Piotr Andriejewicz.

- Trzy nogi! I dwie głowy. Mutanty! Czarni podchodzą! Wyrżną wszystkich! Strzelaj, bo ucieknie! Ile hałasu narobili. Ale numer! - ciągle śmiał się Andriej.

- Czemu nie dałeś rady strzelić? Mojego chłopaka jeszcze rozumiem - młody jest, nie załapał. A ty, jak go przegapiłeś? Przecież nie jesteś małym chłopcem, wiesz, co się stało z Poleszajewską? - spytał gniewnie Piotr Andriejewicz, kiedy Andriej wrócił do ogniska.

- Słuchałem o tej waszej Poleszajewskiej już z dziesięć razy! - machnął ręką Andriej. - To był pies! Nawet nie pies, a szczeniak... Już drugi raz się wam skrada do ognia, do ciepła i światła. A wy go żeście o mało nie zaciukali i jeszcze mnie teraz pytacie: czemuż to się z nim cackam? Oprawcy!

- Skąd miałem wiedzieć, że to pies? - obraził się Artem. - Wydawał takie dźwięki... A potem mówią, że tydzień temu widzieli szczura wielkości świni - wzdrygnął się. - Wywalili w niego pół magazynka, a ten nawet nie drgnął.

- Tak, wierz sobie we wszystkie bajki! Poczekaj no, zaraz ci przyniosę tego szczura! - powiedział Andriej, przewiesił karabin przez ramię, odszedł od ogniska i rozpłynął się w mroku.

Po chwili z ciemności dobiegł jego wysoki gwizd. A potem dał się też słyszeć głos, łagodny, wabiący:

- No, chodź tu... Chodź tu, malutki, nie bój się!

Namawiał dość długo, jakieś dziesięć minut, wołając i gwiżdżąc, aż w końcu jego sylwetka znów zamajaczyła w półmroku. Wrócił do ogniska, uśmiechnął się triumfalnie i rozchylił kurtkę. Wypadł z niej na ziemię szczeniak, trzęsący się, wynędzniały, mokry, niewiarygodnie ubłocony, ze zmierzwioną sierścią niewidomej maści, o czarnych, pełnych strachu oczach i stulonych maleńkich uszkach. Znalazłszy się na ziemi, natychmiast spróbował dać drapaka, ale mocna ręka Andrieja złapała go za kark i przeniosła z powrotem. Głaszcząc go po głowie, Andriej zdjął kurtkę i przykrył pieska.

- Niech się psina ogrzeje... - wyjaśnił.

- Zostaw go, Andriucha, na pewno jest zapchlony! - próbował go ugadać Piotr Andriejewicz. - Może i robaki ma. I w ogóle, złapiesz jakąś zarazę, zaniesiesz na stację...

- Już dobra, Andriejewicz! Przestań nudzić. Popatrz na niego! - i, rozchylając połę kurtki, Andriej zademonstrował mu mordkę szczeniaka, ciągle jeszcze drżącego, czy to ze strachu, czy z zimna. - Andriejewicz, spójrz mu w oczy! Te oczy nie mogą kłamać!

Piotr Andriejewicz spojrzał sceptycznie na szczeniaka. Jego oczy, choć przestraszone, były niewątpliwie uczciwe. Piotr Andriejewicz złagodniał.

- Dobra... Znalazł się młody przyrodnik... Czekaj, poszukam mu czegoś na ząb - mruknął i zaczął grzebać w plecaku.

- Szukaj, szukaj. Może wyrośnie z niego coś przydatnego. Owczarek niemiecki, na przykład - stwierdził Andriej i przesunął kurtkę ze szczeniakiem bliżej ognia.

- A skąd tu się wziął szczeniak? Z tej strony przecież nie ma ludzi. Tylko czarni. Czy czarni trzymają psy? - patrząc podejrzliwie na drzemiącego w cieple szczeniaka, spytał jeden z ludzi Andrieja, wynędzniały chudy mężczyzna z potarganymi włosami, który do tej pory słuchał w milczeniu.

- Masz oczywiście rację, Kirył - z powagą odparł Andriej. - Z tego co wiem, czarni wcale nie trzymają zwierząt.

- To jak oni żyją? Coś jedzą? - głucho spytał drugi człowiek, który z nimi przyszedł, z cichym elektrycznym trzaskiem drapiąc się po nieogolonej szczęce.

Był to wysoki, wyglądający na doświadczonego, barczysty i krzepki mężczyzna, z ogoloną na łyso głową. Ubrany był w długi i dobrze skrojony skórzany płaszcz, co w dzisiejszych czasach samo w sobie było rzadkością.

- Czy jedzą? Mówią, że wszystkie świństwa zjadają, padlinę, szczury, ludzi. Niewybredni są, rozumiesz... - krzywiąc twarz z obrzydzenia, odpowiedział Andriej.

- Kanibale? - spytał ogolony bez śladu zdziwienia; czuło się, że przychodziło mu już spotykać się z ludożerstwem.

- Kanibale... To nie ludzie. Potwory. Licho ich wie, czym oni w ogóle są. Dobrze, że broni nie mają, to ich odpieramy. Na razie. Piotr! Pamiętasz, pół roku temu udało się wziąć jednego żywcem do niewoli?

- Pamiętam - odezwał się Piotr Andriejewicz. - Dwa tygodnie przesiedział u nas w karcerze, wody naszej nie pił, jedzenia nie ruszał, tak i zdechł.

- Nie przesłuchiwaliście go?

- Ani słowa po naszemu nie rozumiał. Mówią do niego po rosyjsku, a on milczy. W ogóle cały czas milczał. Jakby nabrał wody w gębę. Bili go - milczał. Dawali jeść - milczał. Czasem tylko ryczał. I jeszcze wył przed śmiercią, i to tak, że cała stacja się obudziła.

- To skąd się tu wziął ten pies? - przypomniał rozczochrany Kirył.

- A cholera go wie, skąd się wziął... Może uciekł od nich. Może i jego chcieli zeżreć. Tunel ma wszystkiego ze dwa kilometry. Pies dałby chyba radę od nich przybiec... A może do kogoś należał? Szedł ktoś z północy, natrafił na czarnych. A piesek zdążył na czas dać nogę. Zresztą nieważne, skąd się tu wziął. Sam na niego popatrz - przypomina jakąś poczwarę? Przypomina mutanta? Psinka jak psinka, nic specjalnego. I do ludzi ją ciągnie - znaczy, że wyuczona. Niby czemu od trzech godzin się szwenda przy ognisku?

Kirył zamilkł, rozmyślając nad tymi argumentami. Piotr Andriejewicz dolał do czajnika wody z kanistra i zapytał:

- Komuś jeszcze herbaty? Ostatni kubek, niedługo już koniec zmiany.

- Herbata, to jest coś! Dawaj - zaaprobował Andriej, pozostali też się ożywili.

Woda w czajniku zaczęła wrzeć. Piotr Andriejewicz nalał chętnym jeszcze po kubku i poprosił:

- Wy, tego... O czarnych lepiej nie rozmawiać. Poprzednim razem tak sobie siedzieliśmy, mówiliśmy o nich, aż przyleźli. I chłopaki mi opowiadali, że z nimi też tak wyszło. Może to zbiegi okoliczności, ja tam przesądny nie jestem, ale jeśli nie? Jeśli oni to wyczuwają? Prawie już skończyliśmy zmianę, po co nam w ostatnim momencie to diabelstwo?

- A jak... Pewnie, że nie warto - poparł go Artem.

- Już dobra, chłopie, nie pękaj! Damy im radę! - spróbował podnieść go na duchu Andriej, ale zabrzmiało to niezbyt przekonująco.

Jedna myśl o czarnych i nieprzyjemny dreszcz przeszywał nawet Andrieja, chociaż starał się tego nie pokazywać. Ludzi nie bał się żadnych: ani bandytów, ani zbirów-anarchistów, ani żołnierzy Armii Czerwonej. Za to wszystkie potwory napełniały go obrzydzeniem, i nie to żeby ich się bał, ale myśleć o nich tak spokojnie, jak o jakimkolwiek niebezpieczeństwie ze strony ludzi nie potrafił.

Wszyscy umilkli. Ciężka, dławiąca cisza otoczyła skupionych przy ognisku ludzi. Trzaski płonących poskręcanych polan były tylko ledwo słyszalne, ale z daleka, z północy, od czasu do czasu dochodziło głuche dudniące burczenie, tak jakby moskiewskie metro było gigantycznym jelitem nieznanego monstrum. I od tych dźwięków ogarniał ludzi strach.

ROZDZIAŁ 2
MYŚLIWY

W głowie Artema znów pojawiły się myśli o różnych paskudztwach. Czarni... Przeklęci nieludzie podczas jego warty tylko raz podchodzili do stacji, ale zdrowo się wtedy przestraszył, bo jak tu się nie przestraszyć...

Siedzi człowiek na straży. Grzeje się przy ognisku. I nagle słyszy: z tunelu, gdzieś z głębi, rozlega się miarowy, głuchy stukot - najpierw gdzieś daleko, cicho, a potem coraz bliżej i głośniej... I nagle uszy rozsadza straszne cmentarne wycie, już całkiem niedaleko... Popłoch! Wszyscy się zrywają, worki z piaskiem i skrzynie, na których siedzieli, zwalają na barykadę, naprędce, żeby było gdzie się ukryć, a dowódca nie żałując gardła, krzyczy ze wszystkich sił: „Alarm!".

Ze stacji biegną na pomoc odwody, na trzechsetnym metrze zdejmują pokrowiec z karabinu maszynowego, a tu, gdzie trzeba będzie przyjąć na siebie główne uderzenie, ludzie rzucają się na ziemię, za workami z piaskiem, mierzą w czeluść tunelu karabinami, celują... Wreszcie, kiedy wyczekają aż upiory podejdą całkiem blisko, zapalają reflektor i w jego świetle widać dziwaczne, absurdalne sylwetki. Nagie, z połyskującą czarną skórą, ogromnymi oczami i wyrwami ust... Miarowo idą naprzód, na umocnienia, na ludzi, na śmierć, wyprostowani, nie schylając się, wciąż bliżej i bliżej... Trzy... Pięć... Osiem stworów... I nagle ten, który idzie pierwszy zadziera głowę i wydaje z siebie żałobne wycie.

Dreszcz idzie po skórze, człowiek ma ochotę zerwać się i uciec, rzucić karabin, rzucić towarzyszy, wszystko rzucić w diabły i uciekać... Reflektor wymierzony jest w pyski koszmarnych stworów, by ostre światło cięło ich po źrenicach, ale widać, że nawet nie mrużą powiek, nie osłaniają się dłońmi, lecz szeroko otwartymi oczami patrzą w reflektor i dalej miarowo idą naprzód i naprzód... Bo czy oni w ogóle mają źrenice?

I wtedy, w końcu, z trzechsetnego metra przybiegają z ciężkim karabinem, kładą się obok, dźwięczą komendy... Wszystko gotowe... Rozbrzmiewa długo oczekiwany rozkaz: „Ognia!". Naraz zaczyna terkotać kilka automatów, dudni cekaem. Mimo to czarni nie zatrzymują się, nie schylają: wyprostowani, nie myląc kroku, tak jak wcześniej, miarowo i spokojnie kroczą naprzód. W świetle reflektora widać, jak kule rozrywają lśniące ciała, jak odrzucają ich w tył, padają, lecz znów się podnoszą, prostują i idą dalej. I znów, tym razem ochrypłe, bo gardło już przestrzelone, rozlega się straszliwe wycie. Minie jeszcze kilka minut, zanim grad stali złamie wreszcie ten nieludzki, bezmyślny upór. A potem, kiedy wszystkie upiory padną już na ziemię, znieruchomieją i przestaną oddychać, z daleka, z dobrych pięciu metrów, będą jeszcze kontrolnie dobijane strzałami w głowę. I nawet kiedy będzie po wszystkim, kiedy wrzuci się już trupy do szybu, przed oczami długo jeszcze będzie stał ten straszny widok: jak w ich czarne ciała wbijają się kule, a szeroko otwarte oczy spala światło reflektora, lecz oni i tak miarowo idą naprzód...

Artem wzdrygnął się przy tej myśli. Owszem, lepiej o nich nie gadać, pomyślał. Tak na wszelki wypadek.

- Hej, Andriejewicz! Zbierajcie się! Już idziemy! - zawołali do nich z południa, z ciemności. - Koniec waszej zmiany!

Siedzący przy ognisku zaczęli się ruszać, otrząsać z odrętwienia, wstawać, rozciągać, zakładać broń i plecaki, przy czym Andriej wziął też ze sobą przygarniętego szczeniaka. Piotr Andriejewicz i Artem wracali na stację, a Andriej ze swymi ludźmi do siebie, na trzechsetny metr: ich warta jeszcze się nie skończyła.

Podeszli do nich zmiennicy, wymienili uściski dłoni, zapytali, czy nie działo się coś dziwnego, nietypowego, życzyli, jak należy, dobrego wypoczynku i usiedli blisko ognia, kontynuując swoją wcześniejszą rozmowę.

Kiedy wszyscy ruszyli tunelem na południe, do stacji, Piotr Andriejewicz zaczął rozmawiać o czymś z ożywieniem z Andriejem, widocznie wracając do jednego z ich wiecznych sporów, a ostrzyżony na zero wielkolud, który wypytywał o dietę czarnych, został w tyle, zrównał się z Artemem i zmienił krok, żeby iść z nim ramię w ramię.

- Czyli co, znasz Suchego, tak? - spytał Artema głuchym, niskim głosem, nie patrząc mu w oczy.

- Wujka Saszę? Jasne, że tak! To mój ojczym. I mieszkamy razem - odpowiedział zgodnie z prawdą Artem.

- Coś takiego... Ojczym. Nic nie wiedziałem... - mruknął łysy.

- A jak pan się nazywa? - postanowił spytać Artem, sądząc, że jeśli ktoś pyta o jego krewnego, to on ma prawo odwrócić pytanie.

- Ja? Jak się nazywam? - powtórzył ze zdziwieniem łysy - A po co ci to?

- No, bo przekażę wujkowi Saszy... Suchemu, że pan o niego pytał.

- Aha, po to... Hunter... Powiedz, że pytał o niego Hunter. Myśliwy. I że go pozdrawia.

- Hunter? To przecież nie jest imię. To pana nazwisko? Czy przezwisko? - dopytywał się Artem.

- Nazwisko? Hmm... - uśmiechnął się Hunter. - A co? Całkiem... Nie, chłopcze, to nie nazwisko. To mój, jakby ci to powiedzieć... Zawód. A ty jak masz na imię?

- Artem.

- No i dobrze. Poznaliśmy się. Na pewno będziemy tę naszą znajomość kontynuować. I to już wkrótce. Trzymaj się!

Mrugnął do Artema na pożegnanie i zatrzymał się na trzechsetnym metrze, razem z Andriejem.

Droga była dość krótka, z daleka słychać już było ożywiony gwar stacji. Piotr Andriejewicz, idący obok Artema, spytał go z niepokojem:

- Słuchaj, Artem, a co to w ogóle za facet? Co on ci tam mówił?

- Dziwny jakiś... Pytał o wujka Saszę. Jakiś jego znajomy, czy co? A pan go nie zna?

- Właściwie nie... Przyszedł do nas na stację tylko na parę dni, ma tu jakieś sprawy, zdaje się, że Andriej w sumie jakby go znał, no to wprosił się z nim na wartę. Licho wie, do czego mu to potrzebne. Fizjonomię ma jakoś znajomą...

- Tak. Kogoś z takim wyglądem na pewno trudno zapomnieć - przypuścił Artem.

- No właśnie. Gdzie ja go widziałem? A nie wiesz, jak się nazywa? - zainteresował się Piotr Andriejewicz.

- Hunter. Tak powiedział - Hunter. I weź tu się domyśl, co to znaczy.

- Hunter? Jakieś nierosyjskie nazwisko... - spochmurniał Piotr Andriejewicz.

W oddali ukazała się już czerwona łuna: na WOGN-ie, jak na większości stacji, nie działało zwykłe oświetlenie, i oto już trzecią dekadę ludzie żyli tu pod szkarłatnym światłem lamp awaryjnych. Tylko w „apartamentach prywatnych" - namiotach i pokojach - z rzadka świeciły normalne lampki elektryczne. Zaś tylko kilka najbogatszych stacji metra rozświetlały prawdziwe lampy rtęciowe. Opowiadano o nich legendy i bywało, że prowincjusze z końcowych, zapomnianych przez Boga stacyjek, latami pielęgnowali marzenia, by dotrzeć tam i popatrzeć na to cudo.

Przy wyjściu z tunelu zdali broń na wartowni, podpisali pokwitowanie, i Piotr Andriejewicz, ściskając Artemowi rękę na pożegnanie, powiedział:

- Uderzamy w kimono! Sam ledwo trzymam się na nogach, a ty pewnie w ogóle śpisz na stojąco. I pozdrów gorąco Suchego. Niech wpadnie w gości.

Artem pożegnał się i, czując jak nagle zwaliło się na niego zmęczenie, powlókł się do siebie, „do mieszkania".

Na stacji WOGN mieszkało około dwustu ludzi. Niektórzy w pomieszczeniach służbowych, ale większość w namiotach na peronie. Były to namioty wojskowe, stare już i podniszczone, ale bardzo dobrze wykonane. Nie miały tu, pod ziemią, okazji spotkać się z wiatrem ani deszczem, były też często naprawiane, więc dało się w nich całkiem dobrze żyć: nie przepuszczały ciepła ani światła, nawet wygłuszały dźwięki, a czego więcej chcieć od mieszkania...

Namioty były przytulone do ścian po obu ich stronach, wzdłuż torów, jak i w głównym holu. Peron został przekształcony w rodzaj ulicy: pośrodku pozostawiono dość szerokie przejście. Niektóre namioty, te większe, dla licznych rodzin, były rozstawione pomiędzy filarami. Kilka arkad - w obu końcach i w środku sali - było jednak, co konieczne, pustych, by można było przejść. Niżej, pod podłogą peronu, znajdowały się też inne pomieszczenia, lecz niskie sklepienie sprawiało, że nie nadawały się do mieszkania; na WOGN-ie wykorzystywano je jako składy żywności.

Między dwoma północnymi tunelami, kilkadziesiąt metrów za stacją, znajdował się krótki łącznik, zbudowany niegdyś, by pociągi mogły zawracać i jechać w przeciwną stronę. Teraz jeden z tych tuneli był zasypany tuż za rozwidleniem do łącznika, drugi natomiast prowadził na północ, do stacji Ogród Botaniczny i niemal już podmoskiewskiego Mytiszczi. Pozostawiono go jako drogę ucieczki w razie ostateczności i to właśnie w nim Artem miał wartę. Niezasypany odcinek drugiego przejazdu i tunel łączący go z pierwszym były przeznaczone na uprawę grzybów. Rozmontowano tam szyny, spulchniono i użyźniono ziemię; zwoziło się tu zawartość dołów na odpadki i wszędzie, równymi rzędami, bielały kapelusze grzybów. Na trzechsetnym metrze zasypany był również jeden z dwóch tuneli wiodących na południe, i na samym jego końcu, jak najdalej od ludzkich siedzib, mieściły się kurniki i zagrody dla świń.

Dom Artema stał na ulicy Głównej - mieszkał tu z ojczymem w jednym z niewielkich namiotów. Jego ojczym był ważnym człowiekiem, związanym z administracją, odpowiadał za kontakty z innymi stacjami, więc nie dokwaterowano im do namiotu nikogo więcej, dostali go jako osobiste mieszkanie najwyższej kategorii.

Dość często ojczym znikał na dwa-trzy tygodnie i nigdy nie brał ze sobą Artema, wymawiając się tym, że sprawy, którymi będzie musiał się zajmować, są zbyt niebezpieczne i nie chce narażać go na ryzyko. Wracał z tych swoich wypraw wychudzony, zarośnięty, czasem ranny, i pierwszy wieczór spędzał zawsze z Artemem opowiadając mu rzeczy, w które trudno było uwierzyć nawet przywykłemu do niewiarygodnych historii mieszkańcowi tego groteskowego świata.

Artema ciągnęło oczywiście do podróży, ale włóczyć się tak po prostu po metrze było zbyt niebezpiecznie: patrole niezależnych stacji były bardzo nieufne, z bronią nie przepuszczały, a wchodzić do tuneli bez broni to pewna śmierć. Tak więc od czasu, kiedy przybył tu z ojczymem z Sawielowskiej, Artem nie miał okazji brać udziału w dalszych wyprawach. Wybierał się czasem w różnych sprawach na Aleksiejewską, oczywiście nie sam, a w grupie, która docierała nawet do Ryżskiej. Ciągnęła się za nim jeszcze jedna wyprawa, o której nie mógł nawet nikomu opowiedzieć, chociaż tak bardzo chciał...

Wydarzyło się to dawno temu, kiedy w Ogrodzie Botanicznym nie było nawet słychać o żadnych czarnych, a była to po prostu opuszczona, nieoświetlona stacja, posterunki WOGN-u stały o wiele dalej na północ, zaś sam Artem był jeszcze zupełnym dzieciakiem. Wtedy to, razem z przyjaciółmi, zebrali się na odwagę: w trakcie zmiany warty przekradli się przez ostatni posterunek z latarkami i ukradzioną czyimś rodzicom dwururką i długo łazili po Ogrodzie Botanicznym. Było strasznie, ale też ciekawie. W świetle latarek wszędzie było widać resztki ludzkiej obecności: zwęglone szczątki, spalone książki, zepsute zabawki, porwane ubrania... Spod stóp czmychały im szczury, a z północnego tunelu od czasu do czasu rozlegały się dziwne pomruki. I któryś z przyjaciół Artema, nie pamiętał już

kto konkretnie, ale pewnie musiał to być Żeńka, najbardziej żywy i ciekawski ze wszystkich trzech, zaproponował: a może spróbować usunąć zaporę i dostać się na górę, schodami ruchomymi... popatrzeć po prostu, jak tam jest? Co tam jest?

Artem natychmiast zaprotestował. Zbyt świeże były w jego pamięci niedawne opowieści ojczyma o ludziach, którzy przebywali na powierzchni, o tym, jak potem długo chorują i jakie straszne rzeczy można czasem zobaczyć tam, na górze. Zaraz jednak zaczęli go przekonywać, że to wyjątkowa szansa: kiedy następnym razem uda im się tak sobie, bez dorosłych, wejść na prawdziwą porzuconą stację, a tu jeszcze można wyjechać na powierzchnię i zobaczyć, na własne oczy zobaczyć, jak to jest, kiedy nad głową jest tylko pusta przestrzeń... A kiedy stracili nadzieję, że przekonają go po dobroci, oznajmili, że skoro jest takim tchórzem, to niech siedzi tu na dole i czeka, póki nie wrócą. Myśl, by zostać samemu na porzuconej stacji, a przy tym zepsuć sobie opinię u dwóch najlepszych przyjaciół, wydała się Artemowi zupełnie nie do zniesienia, więc z ciężkim sercem zgodził się pójść.

O dziwo, mechanizm podnoszący zaporę oddzielającą peron od ruchomych schodów działał. I to właśnie Artemowi udało się go włączyć po pół godzinie zaciekłych starań. Pordzewiała żelazna ściana z piekielnym zgrzytem odsunęła się na bok i ich oczom ukazał się krótki rząd stopni prowadzących w górę schodów ruchomych. Niektóre zapadły się i przez ziejące dziury w świetle latarek widać było gigantyczne koła zębate, które wiele lat wcześniej zatrzymały się na zawsze, przeżarte rdzą, porosłe czymś brunatnym, wprawionym w niemal niezauważalne kołysanie... Nie było im łatwo zmusić się do wejścia na górę. Parę razy stopnie, na które wchodzili, poddawały się ze skrzypnięciem i zapadały w dół, a chłopcy przechodzili nad wyrwą łapiąc za wystające resztki lamp. Droga na górę nie była długa, ale początkowe zdecydowanie ulotniło się już po pierwszym zapadniętym stopniu, i, żeby nabrać odwagi, wyobrażali sobie, że są prawdziwymi stalkerami.

Stalkerami...

Słowo to, dziwne i obce językowi rosyjskiemu, całkiem dobrze się w nim przyjęło. Wcześniej mówiono tak też o ludziach, których bieda popychała do tego, by przekradać się na porzucone poligony wojska i rozbierać niewybuchłe pociski i bomby, a potem oddawać mosiężne łuski do punktu skupu metali kolorowych; nazywano tak i dziwaków, którzy w czasie pokoju łazili po kanałach, i jeszcze wielu innych... Wszystkie te znaczenia miały jednak coś wspólnego: był to zawsze zawód skrajnie niebezpieczny, zawsze było to zetknięcie z niezbadanym, niepojętym, zagadkowym, złowieszczym, niewyjaśnionym... Kto wie, co działo się na porzuconych poligonach, gdzie pokaleczona tysiącami wybuchów, poorana transzejami i zryta katakumbami radioaktywna ziemia dawała potworne plony? I można się było tylko domyślać, co mogło zamieszkać w kanałach megalopolis po tym, jak ich budowniczowie zamykali za sobą włazy, by na zawsze opuścić te mroczne, ciasne i cuchnące korytarze...

W metrze stalkerami nazywano tych rzadkich śmiałków, którzy mieli odwagę pokazać się na powierzchni. W ochronnych skafandrach z przyciemnionymi szkłami, uzbrojeni po zęby, ludzie ci wychodzili na górę po niezbędne wszystkim przedmioty: amunicję, sprzęt, części zamienne, paliwo... Ludzi, którzy się na to odważyli były setki. Ujść przy tym z życiem i wrócić potrafili nieliczni - i tacy byli na wagę złota, ceniono ich jeszcze bardziej niż byłych pracowników metra. Najróżniejsze niebezpieczeństwa czekały tam, na górze, na tych, którzy ośmielili się wyjść - od samego promieniowania po straszne, zdeformowane przez nie stwory. Na powierzchni też istniało życie, lecz nie było to już życie w zwykłym ludzkim rozumieniu.

Każdy stalker był człowiekiem legendą, półbogiem, na którego wszyscy - od małych po wielkich - patrzyli w zachwycie. Kiedy dzieci rodzą się w świecie, w którym nie ma już dokąd i po co latać i żeglować, a słowa „lotnik” i „marynarz” zacierają się i stopniowo tracą

swój sens, dzieci te chcą zostać stalkerami. Wychodzić odzianym w lśniącą zbroję, gdy odprowadzają cię setki pełnych zachwytu i uwielbienia spojrzeń, wychodzić na górę, do bogów, by walczyć z potworami i wracając tu, pod ziemię, przynosić ludziom paliwo, amunicję, światło i ogień. Przynosić życie.

Stalkerem chciał zostać i Artem, i jego przyjaciel Żeńka, i Witalik-Maruda. Tak więc, zmuszając się do pięcia w górę po przeraźliwie skrzypiących schodach o zapadających się stopniach, wyobrażali sobie siebie w skafandrach ochronnych, z miernikami radiacji, z wielkimi giwerami w dłoniach, jak na prawdziwych stalkerów przystało. Lecz nie mieli ani radiometrów, ani ochrony, a zamiast groźnych wojskowych karabinów jedynie przedpotopową dwururkę, z której może wcale nie dało się strzelać...

Schody skończyły się dość szybko i chłopcy znaleźli się prawie na powierzchni. Na szczęście była noc, inaczej z pewnością by oślepli. Oczy, przez długie lata życia pod ziemią przywykłe do ciemności, do szkarłatnego światła ognisk i lamp awaryjnych, nie wytrzymałyby takiego obciążenia. Oślepieni i bezradni, mieliby małe szanse wrócić jeszcze do domu.

Hol stacji Ogród Botaniczny był prawie doszczętnie zburzony, połowa dachu zawaliła się i przez wyrwę widać było wolne już od chmur radioaktywnego pyłu, ciemnogranatowe letnie niebo, usiane miriadami gwiazd. Cóż to gwiaździste niebo znaczy dla dziecka, które nawet nie jest w stanie sobie wyobrazić, że nad głową może nie być sufitu? Kiedy podnosi się wzrok i nie opiera się on o betonowy strop i przegniłe sploty przewodów i rur, a gubi w granatowej otchłani, rozpostartej nagle nad głową - cóż to za uczucie! A gwiazdy! Czy człowiek, który nigdy nie widział gwiazd, może sobie wyobrazić, czym jest nieskończoność, jeśli samo pojęcie nieskończoności z pewnością pojawiło się kiedyś wśród ludzi natchnionych widokiem nocnego nieboskłonu? Miliony świetlistych ogników, srebrne gwoździe wbite w sklepienie z granatowego aksamitu...

Chłopcy stali tak trzy... pięć... dziesięć minut, nie mając sił, by się odezwać. Nie ruszyliby się z miejsca i do rana na pewno usmażyliby się żywcem, gdyby gdzieś całkiem blisko nie rozległo się straszne, mrożące krew w żyłach wycie. Ocknęli się i błyskawicznie odskoczyli w tył, do ruchomych schodów i co tchu rzucili się w dół, zupełnie zapominając o środkach ostrożności i kilka razy prawie wpadając w wyrwy, wprost na ostrza kół zębatych. Pomagając i wyciągając się nawzajem, w krótkim czasie pokonali całą drogę powrotną.

Przeskoczywszy na złamanie karku ostatnie dziesięć stopni i gubiąc po drodze dwururkę, rzucili się od razu do pulpitu sterującego barierą. Ale - niech to licho! - zardzewiałe żelastwo zaklinowało się i zapora nie chciała wrócić na swoje miejsce. Śmiertelnie przerażeni, że będą ich gonić monstra z powierzchni ziemi, chłopcy pomknęli do swoich, do północnego posterunku.

Rozumiejąc jednak, że zostawiając śluzę otwartą, zrobili coś bardzo złego - być może otworzyli mutantom drogę w dół, do metra, do ludzi - zdołali umówić się, że będą trzymać język za zębami i nie powiedzą żadnemu dorosłemu, gdzie byli. Na posterunku powiedzieli, że weszli w boczny tunel, żeby zapolować na szczury, ale zgubili broń, przestraszyli się i wrócili.

Artem, oczywiście, dostał wtedy od ojczyma lanie jak się patrzy. Tylna część ciała jeszcze długo piekła go od oficerskiego pasa, ale Artem wytrzymał niczym wzięty w niewolę partyzant i nie wygadał tajemnicy wojskowej. Jego koledzy też milczeli.

Uwierzyli im.

I właśnie teraz, gdy wspominał tę historię, Artem coraz częściej się zastanawiał: czy tamta wyprawa, a co najważniejsze, otwarta przez nich zapora, nie jest przypadkiem związany z tym diabelstwem, które szturmuje ich posterunki od kilku lat?

Witając napotkanych po drodze ludzi, zatrzymując się to tu, to tam, by wysłuchać nowin, uścisnąć dłoń przyjaciela, cmoknąć w policzek znajomą dziewczynę, powiedzieć

starszym co słychać u ojczyma, Artem dotarł wreszcie do domu. W środku nikogo nie było i postanowił nie czekać na ojczyma, tylko pójść spać: ośmiogodzinny dyżur każdego mógł zwalić z nóg. Zdjął buty, zrzucił kurtkę i wtulił twarz w poduszkę. Sen nie kazał na siebie czekać.

Zasłona namiotu uniosła się i do środka bezszelestnie wślizgnęła się masywna sylwetka, której twarzy nie można było dojrzeć - widać było tylko, jak wygolona czaszka złowieszczo połyskuje w czerwonym oświetleniu awaryjnym. Zabrzmiał głuchy głos: „Proszę, znów się spotykamy. Widzę, że twojego ojczyma tu nie ma. To nic. Jego też dopadniemy. Wcześniej, czy później. Nie ucieknie. A na razie pójdziesz ze mną. Mamy o czym rozmawiać. Na przykład o zaporze na Botanicznym". Artem zlodowaciał - poznał w nim swojego niedawnego znajomego z posterunku, tego, który przedstawił się jako Hunter. A ten już zbliżał się do niego, powoli, bezszelestnie, a jego twarzy wciąż nie było widać, światło padało pod jakimś dziwnym kątem... Artem chciał zawołać o pomoc, lecz potężna ręka, zimna jak u trupa, zasłoniła mu usta. Wreszcie udało mu się wymacać lampę, włączyć ją i poświecić tamtemu w twarz. To, co zobaczył, pozbawiło go na ułamek sekundy sił i napełniło przerażeniem: zamiast ludzkiej twarzy, choćby srogiej i groźnej, zamajaczył przed nim straszny czarny pysk z parą ogromnych bezmyślnych oczu bez białek i rozwartą paszczą... Artem szarpnął się, wyślizgnął z uścisku i rzucił do wyjścia z namiotu. Nagle zgasło światło i na stacji zrobiło się całkiem ciemno, tylko gdzieś w oddali widać było słaby poblask ogniska. Artem, niewiele myśląc, rzucił się tam, w stronę światła. Wampir wyskoczył za nim rycząc: „Stój! Nie masz dokąd uciec!". Gruchnął straszny śmiech, stopniowo przechodząc w znajome cmentarne wycie. Artem biegł nie odwracając się, słysząc za sobą tupot ciężkich butów, powolny, miarowy, zupełnie jakby jego prześladowca wiedział, że nie musi się nigdzie śpieszyć, że Artem i tak, wcześniej, czy później, wpadnie w jego ręce...

Kiedy Artem podbiegł do ogniska, dostrzegł, że przy ogniu, plecami do niego, siedzi jakiś człowiek. Zaczął nim potrząsać, prosić o pomoc, ale ten od razu upadł na wznak i stało się jasne, że od dawna nie żyje, a twarz ma z jakiejś przyczyny pokrytą szronem. I w tym zamarzniętym człowieku Artem rozpoznał wujka Saszę, swojego ojczyma...

- Hej, Artem! Starczy już tego spania! Wstawaj no! Kimasz już siedem godzin non stop... Wstawaj już, śpiochu! Gości trzeba przyjąć! - rozległ się głos Suchego.

Artem usiadł na legowisku i utkwił w nim ogłupiały wzrok.

- Oj, wujku Saszo... To ty... Wszystko z tobą w porządku? - spytał wreszcie, po minucie mrugania oczami. Z trudem zwalczył w sobie chęć spytania, czy Suchy w ogóle żyje, i to tylko dlatego, że fakt ten był widoczny gołym okiem.

- Jak widzisz, tak! Wstawaj no, nie ma co się pokładać. Poznasz mojego przyjaciela - powiedział Suchy.

Tuż obok dał się słyszeć znajomy głuchy głos i Artem pokrył się potem - wspomniał niedawny koszmar.

- Ach, to wy już się znacie? - zdziwił się Suchy. - Obrotny z ciebie chłopak, Artem!

Wreszcie do namiotu wsunął się gość. Artem wzdrygnął się i przycisnął do ściany namiotu - to był Hunter. Koszmar znów stanął mu przed oczyma: puste ciemne oczy, łoskot ciężkich butów za plecami, skostniały trup przy ognisku...

- Tak. Już się poznaliśmy - przemówił Artem, niechętnie podając rękę gościowi.

Dłoń Huntera okazała się ciepła i sucha, i Artem powoli zaczął nabierać pewności, że to był tylko sen, nie ma w tym człowieku nic złego, po prostu wyobraźnia, rozpalona strachem z ośmiu godzin spędzonych na posterunku, znalazła ujście w jego snach...

- Słuchaj, Artem! Zrób nam przysługę! Zagotuj troszkę wody na herbatę! Próbowałeś już naszej herbaty? - mrugnął Suchy do gościa. - Ech, mocne zielsko!

- Już miałem okazję - odparł Hunter, kiwając głową. - Dobra ta herbata. Na Pieczatnikach też robią, ale straszną lurę. A wasza to zupełnie co innego.

Artem poszedł po wodę, potem do wspólnego ogniska, żeby zagrzać ją w czajniku. Rozpalanie ognia w namiotach było surowo wzbronione: spaliło się tak już kilka stacji.

Po drodze myślał o tym, że Pieczatniki są przecież zupełnie po drugiej stronie metra, licho wie, ile tam się idzie, tyle po drodze przesiadek, przejść, przez tyle stacji trzeba się przedostać - tu fortelem, tam siłą, gdzie indziej dzięki znajomościom... A ten tak niedbałe rzuca: „Na Pieczatnikach też...". Tak, nie ma co, ciekawa postać, chociaż trochę straszna. A łapska ma, jakby ścisnął imadłem, a przecież z Artema też nie słabeusz i nie jest z tych, co to nie zmierzą się siłą przy podaniu ręki.

Kiedy zagotował wodę w czajniku, wrócił do namiotu. Hunter zrzucił już swój płaszcz, pod którym ukazał się czarny golf, ściśle opinający mocną szyję i potężne, umięśnione ciało, włożony w zapięte oficerskim pasem wojskowe spodnie. Na golfie miał kamizelkę taktyczną z mnóstwem kieszeni, a pod pachą, w kaburze na szelkach tkwił potwornych wręcz rozmiarów pistolet ze stali oksydowanej. Dopiero kiedy przyjrzał się dokładnie, Artem zrozumiał, że jest to stieczkin z przykręconym do lufy długim tłumikiem i jeszcze jakimś przyrządem przytwierdzonym od góry, najprawdopodobniej celownikiem laserowym. Taki potwór musiał kosztować cały majątek. A przy tym, jak od razu zauważył Artem, nie była to zwykła broń do samoobrony, to na pewno. I tu przypomniało mu się, jak Hunter, przedstawiając się, dodał do swojego imienia: „Myśliwy".

- No, Artem, polewaj gościowi herbaty! Siadaj Hunter, siadaj! Opowiadaj! - pohukiwał Suchy. - Cholera wie, ile cię nie widziałem!

- O mnie później. Nic ciekawego. Za to słyszałem, że u was dzieją się dziwne rzeczy. Przyłazi do was jakieś cholerstwo. Z północy. Usłyszałem dziś parę historii, kiedy staliśmy na posterunku. Co to jest? - w swoim stylu, krótkimi, jakby wyciosanymi słowami spytał Hunter.

- To jest śmierć, Hunter - nagle sposępniał Suchy. - Skrada się tu nasza przyszła śmierć. Pełznie nasz los. Oto, co to jest.

- A dlaczego śmierć? Słyszałem, że bardzo skutecznie ich odpieracie. Przecież nie mają broni. Ale co to jest? Kim są i skąd przychodzą? Nigdy nie słyszałem o czymś takim na innych stacjach. Nigdy. A to znaczy, że nigdzie więcej tego nie ma. Chcę wiedzieć, co to jest. Czuję ogromne niebezpieczeństwo. Chciałbym znać stopień tego niebezpieczeństwa, zrozumieć jego naturę. Po to tu jestem.

- Niebezpieczeństwo należy likwidować, tak, Myśliwy? Ciągle pozostajesz kowbojem... Ale czy niebezpieczeństwo można zlikwidować? Oto jest pytanie - uśmiechnął się smutno Suchy. - Oto zagadka. Tu wszystko jest bardziej złożone, niż ci się wydaje. O wiele bardziej. To nie są zwykłe zombi, chodzące truposze z filmów. Tam wszystko jest proste: ładujesz rewolwer srebrnymi kulami - ciągnął, obrazowo podnosząc dłoń złożoną w kształt pistoletu - pif-paf i siły zła zostają zwyciężone. Ale to jest coś innego. Coś strasznego... A przecież trudno mnie wystraszyć, Hunter, i ty to wiesz.

- Panikujesz? - ze zdziwieniem spytał Hunter.

- Ich główną bronią jest strach. Ludzie ledwo wytrzymują na swoich pozycjach. Leżą z automatami, z karabinami maszynowymi, a na nich idą tamci, bezbronni. I wszyscy, wiedząc, że mają jakościową i liczebną przewagę, o mało nie uciekają, tracą zmysły ze strachu, a niektórzy, powiem ci w tajemnicy, stracili je na dobre. I to nie jest zwykły strach, Hunter! - Suchy zniżył głos. - To jest... Nie wiem nawet, jak ci to wyjaśnić słowami... To za każdym razem jest silniejsze. Oni jakoś oddziałują na głowę... I mnie się wydaje, że świadomie. Czujesz ich już z daleka i to uczucie ciągle narasta, taki ohydny niepokój, czy coś, i zaczynają ci się trząść łydki. A niczego jeszcze nie słychać i nie widać, ale wiesz już, że są gdzieś blisko, idą... Idą... I wtedy słychać wycie, że tylko uciekać... A jak podejdą

bliżej, zaczyna cię trząść. I jeszcze długo później widzi się, jak idą z otwartymi oczami prosto na reflektor...

Artem wzdrygnął się. Okazuje się, że koszmary prześladowały nie tylko jego. Wcześniej starał się nie rozmawiać z nikim na ten temat - bał się, że uznają go za tchórza lub wariata.

- Psychikę człowiekowi osłabiają, bestie! - ciągnął Suchy. - I wiesz co, nastrajają się jakby na twoją falę, i następnym razem jeszcze mocniej ich czujesz, jeszcze bardziej się boisz. To nie jest zwykły strach... Ja to wiem.

Umilkł. Hunter siedział nieruchomo badając go wzrokiem, najwidoczniej myśląc o tym, co usłyszał. Potem upił trochę gorącego napoju i powiedział cicho i powoli:

- To zagrożenie dla nas wszystkich, Suchy. Dla całego tego zafajdanego metra, nie tylko dla waszej stacji.

Suchy milczał, jakby nie chcąc odpowiadać, ale nagle wybuchnął:

- Dla całego metra, powiadasz? No nie, nie tylko dla metra. Dla całej naszej postępowej ludzkości, która się z całym tym swoim postępem doigrała. Czas zapłacić! Walka gatunków, Myśliwy. Walka gatunków. Ci czarni to nie diabelstwo, ani żadne wampiry. To *homo novus* - następne stadium ewolucji, lepiej od nas przystosowane do otaczającego nas środowiska. Przyszłość należy do nich, Myśliwy! Może *homo sapiens* pogniją jeszcze ze dwadzieścia, nawet pięćdziesiąt lat w cholernych norach, które sami sobie wykopali kiedy jeszcze było ich zbyt wielu i nie mieścili się wszyscy naraz na powierzchni, więc tych biedniejszych w dzień trzeba było upychać pod ziemią. Staniemy się bladzi, wątli, jak Morlokowie Wellsa, pamiętasz *Wehikuł czasu:* w przyszłości żyły tam pod ziemią takie stwory? Oni też kiedyś byli *homo sapiens*... Tak, jesteśmy optymistami, nie chcemy zdychać! Na własnym gównie będziemy hodować grzybki, a świnia zostanie nowym najlepszym przyjacielem człowieka, można powiedzieć wspólnikiem w przeżyciu... Z apetycznym chrzęstem będziemy żreć multiwitaminy, których całe tony przygotowali nasi troskliwi przodkowie. Będziemy lękliwie wypełzać na powierzchnię, żeby szybko złapać jeszcze jeden kanister benzyny, jeszcze kilka czyichś łachów, a jak będziemy mieli dużo szczęścia - jeszcze jedną garść nabojów, a potem biegiem z powrotem, do swych dusznych podziemi, jak złodzieje oglądając się na boki, czy ktoś nie zauważył. Bo tam, na górze, nie jesteśmy już u siebie w domu. Świat nie należy już do nas, Myśliwy... Świat nie należy już do nas.

Suchy umilkł, patrząc jak para unosi się powoli znad filiżanki z herbatą i niknie w półmroku namiotu. Hunter nie odpowiadał i nagle Artem pomyślał, że nigdy jeszcze nie słyszał takich słów od swojego ojczyma. Nic nie zostało z jego zwykłej pewności, że wszystko na pewno będzie dobrze, z jego „Nie pękaj, damy radę!", z jego krzepiącego puszczania oczka... Czy może to zawsze było tylko na pokaz?

- Milczysz, Myśliwy? Milczysz... Dalej, no, kłóć się ze mną! Gdzie twoje argumenty? Gdzie ten twój optymizm? Jak rozmawialiśmy ze sobą ostatnim razem, to jeszcze dowodziłeś, że poziom promieniowania spadnie i ludzie wrócą kiedyś na powierzchnię ziemi. Ech, Myśliwy....Wstanie słońce nad lasem, ale nie dla mnie już..." - szyderczo zaśpiewał Suchy. - Wczepimy się zębami w życie, będziemy się go trzymać ze wszystkich sił, bo przecież cokolwiek mówili filozofowie i twierdzili sekciarze, a nuż nic tam nie ma? Nie chce się wierzyć, nie chce, ale gdzieś tam, w głębi duszy, wiesz, że tak właśnie jest... A przecież podoba nam się to wszystko, Myśliwy, nieprawdaż? Obaj bardzo lubimy żyć! Obaj będziemy pełzać po śmierdzących podziemiach, spać w objęciach wieprzy i żreć szczury, ale przeżyjemy! Tak? Obudź się, Myśliwy! Nikt nie napisze o tobie książki pt. „Opowieść o prawdziwym człowieku", nikt nie będzie opiewał twojej chęci życia, twojego przerośniętego instynktu przetrwania... Jak długo wytrzymasz na grzybach, multiwitaminach i wieprzowinie? Poddaj się, *homo sapiens*! Nie jesteś już władcą przyrody!

Zostałeś obalony! Nie, nie musisz koniecznie od razu zdychać, nikt nie nalega. Poczołgaj się jeszcze w agonii, zachłystując się własnymi ekskrementami... Ale wiedz, *homo sapiens,* przeżyłeś już swoje! Ewolucja, której prawa pojąłeś, zatoczyła już pełne koło, i nie jesteś już jej ostatnim stadium, nie jesteś koroną stworzenia. Jesteś dinozaurem. Trzeba ustąpić miejsca nowym, doskonalszym gatunkom. Nie należy być egoistą. Gra skończona, pora dać pograć innym. Twój czas minął. Wymarłeś. I niech przyszłe cywilizacje łamią sobie głowy nad tym, dlaczego *homo sapiens* wymarł. Chociaż wątpię, żeby to kogokolwiek zainteresowało...

Hunter, podczas tego monologu uważnie studiujący swoje paznokcie, podniósł w końcu wzrok na Suchego i ciężko przemówił:

- Nieźle się załamałeś odkąd cię ostatnio widziałem. Przecież pamiętam jak mi mówiłeś, że jeśli zachowamy kulturę, jeśli się nie poddamy, nie oduczymy się mówić po rosyjsku, jeśli nauczymy nasze dzieci czytać i pisać, to nieważne, może i pod ziemią pociągniemy... Ty mi to mówiłeś, czy nie ty? A teraz - poddaj się, *homo sapiens*... Jak to tak?

- Po prostu co nieco zrozumiałem, Myśliwy. Odczułem to, co ty może jeszcze zrozumiesz, a może nie zrozumiesz nigdy: jesteśmy dinozaurami i dożywamy swoich dni... Niech to potrwa dziesięć czy nawet sto lat, ale i tak...

- Opór jest bezcelowy, tak? - złym głosem pociągnął Hunter. - Do tego zmierzasz?

Suchy milczał ze wzrokiem wbitym w podłogę. Nigdy nikomu nie przyznał się do swojej słabości i najwidoczniej dużo go kosztowało, by powiedzieć coś takiego staremu przyjacielowi i to jeszcze przy Artemie. Ciężko mu się było przyznać do kapitulacji...

- A właśnie, że nie! Niedoczekanie! - powoli przemówił Hunter prostując się do pełnej wysokości. - I oni też się nie doczekają! Nowe gatunki, powiadasz? Ewolucja? Nieodwracalne wymieranie? Gówno? Świnie? Witaminy? Nie takie rzeczy przeżyłem. Nie boję się tego. Rozumiesz? Ja rąk do góry nie będę podnosił. Instynkt przetrwania? Możesz tak to nazwać. Tak, będę się łapał życia zębami. Znam ja tę twoją ewolucję. Inne gatunki niech poczekają wspólnie w kolejce. Nie jestem bydłem, które prowadzą na rzeź. Kapituluj sobie i idź do tych swoich doskonalszych i lepiej przystosowanych, ustępuj im swojego miejsca w historii! Jeśli czujesz, że już się nawojowałeś, to wal - dezerteruj, ja cię nie osądzę. Ale nie próbuj mnie przestraszyć. I nie staraj się ciągnąć mnie za sobą na rzeź. Po co prawisz, mi kazania? Jak nie będziesz sam, jak poddasz się w grupie, to będzie mniejszy wstyd? Czy może wrogowie obiecują miskę gorącej kaszy za każdego towarzysza wziętego w niewolę? Moja walka jest beznadziejna? Twierdzisz, że jesteśmy na skraju przepaści? Pluję w tę twoją przepaść. Jeśli uważasz, że twoje miejsce jest na dnie, to bierz jak najwięcej powietrza i skacz. Bo mnie z tobą nie po drodze. Jeśli Człowiek Rozumny, wyrafinowany i cywilizowany *homo sapiens* wybiera kapitulację, to rezygnuję z tego zaszczytnego określenie i lepiej stanę się zwierzęciem. I jak zwierzę będę chwytać się życia i rzucać innym do gardeł, żeby przeżyć. I przeżyję. Rozumiesz?! Przeżyję!

Usiadł i cicho poprosił Artema, żeby nalał mu jeszcze herbaty. Suchy sam wstał, mroczny i milczący, i poszedł napełnić czajnik i zagrzać wodę. Artem został w namiocie w cztery oczy z Hunterem. Jego ostatnie słowa, ta jego dźwięcząca w uszach pogarda, jego zawziętość i pewność, że uda mu się przeżyć, rozpaliły Artemowi serce. Długo nie mógł się zdecydować by przemówić jako pierwszy. I wtedy Hunter sam zwrócił się do niego:

- No, a ty co myślisz, chłopcze? Mów, nie wstydź się... Też tak chcesz, jak roślinka? Jak dinozaur? Siedzieć na tyłku i czekać aż po ciebie przyjdą? Znasz przypowieść o żabie w śmietanie? Jak dwie żaby wpadły do dzbanka ze śmietaną? Jedna, myśląc racjonalnie, szybko zrozumiała, że opór jest bezcelowy i że losu nie da się oszukać. A może jest jakieś życie pozagrobowe, więc po co się niepotrzebnie wysilać i na próżno pocieszać płonnymi nadziejami? Złożyła łapki i poszła na dno. A druga była na pewno durna, albo niewierząca. I

zaczęła się szamotać. Wydawałoby się, po co się szarpać, jeśli wszystko przesądzone? Szamotała się i szamotała... Aż ubiła śmietanę na masło. I wylazła z dzbanka. Uczcijmy pamięć jej towarzyszki, przedwcześnie poległej w imię postępu filozofii i racjonalnego myślenia.

- Kim pan jest? - odważył się w końcu spytać Artem.

- Kim jestem? Już wiesz. Jestem Myśliwym.

- Ale co to znaczy myśliwy? Czym pan się zajmuje? Poluje pan?

- Jak by ci to wyjaśnić... Wiesz, jak jest zbudowany ludzki organizm? Składa się z milionów maluteńkich komórek - jedne przekazują sygnały elektryczne, drugie przechowują informacje, trzecie wchłaniają substancje odżywcze, czwarte transportują tlen... Ale wszystkie, nawet najważniejsze z nich, zginęłyby szybciej niż w jeden dzień, zginąłby cały organizm, gdyby nie było komórek odpowiedzialnych za odporność. Nazywają się one makrofagi. Pracują metodycznie i regularnie, jak zegarek, jak metronom. Kiedy choroba wnika w organizm, znajdują ją, śledzą, gdziekolwiek się zapuści, wcześniej czy później łapią i... - Hunter wykonał gest jakby ukręcał komuś szyję i wydał nieprzyjemny chrzęszczący dźwięk - likwidują.

- Ale jaki to ma związek z pańskim zawodem? - upierał się Artem.

- Wyobraź sobie, że całe metro to ludzki organizm. Złożony organizm, składający się z czterdziestu tysięcy komórek. Ja jestem makrofagiem. Myśliwym. To mój zawód. Każde niebezpieczeństwo, dostatecznie poważne by zagrażać całemu organizmowi, należy likwidować. To jest moja praca.

Wrócił wreszcie Suchy z czajnikiem i, nalewając wrzący wywar do kubków, najwidoczniej w czasie swej nieobecności zebrawszy myśli, zwrócił się do Huntera:

- I cóż zamierzasz przedsięwziąć, by zlikwidować źródło niebezpieczeństwa, kowboju? Wybrać się na polowanie i powystrzelać wszystkich czarnych? Wątpię, żeby cokolwiek z tego wyszło. Nie ma rady, Hunter. Nie ma.

- Zawsze zostaje jeszcze jedno wyjście, ostatnie. Zawalić wasz północny tunel w cholerę. Całkowicie. I odciąć się od twojego nowego gatunku. Niech się rozmnażają na górze i nie ruszają nas, kretów. Podziemia to teraz nasze środowisko życia.

- Opowiem ci coś ciekawego. Mało kto o tym wie na naszej stacji. Zasypaliśmy już jeden tor. Dokładnie nad nami, nad północnymi tunelami, płyną wody gruntowe. I już wtedy, kiedy zasypywaliśmy drugą linię północną, o mało nas nie zalało. Użylibyśmy trochę silniejszego ładunku - i żegnaj, ojczysta stacjo WOGN. Tak więc, jeśli teraz zawalimy kolejny północny tunel, nie tylko nas zaleje. Zmyje nas stąd radioaktywna zupa. Wtedy to będzie nie tylko nasz koniec. Oto gdzie kryje się prawdziwe zagrożenie dla metra. Jeśli właśnie teraz i w taki sposób rozpoczniesz wojnę gatunków, to nasz przegra. Szach.

- A co ze śluzą? Czy nie można po prostu zamknąć śluzy w tunelu z tej strony? - przypomniał sobie Hunter.

- Śluzy z całej linii rozebrali nieznani mędrcy jeszcze jakieś piętnaście lat temu i przeznaczyli na umocnienia jakiejś tam stacji, dziś nikt już nie pamięta której. Czyżbyś sam o tym nie wiedział? No, to jeszcze raz: szach.

- Powiedz mi... Czy ostatnimi czasy ich ataki się nasilają? - Hunter chyba się poddał i zmienił temat rozmowy.

- Nasilają? Jeszcze jak! A przecież, w co trudno uwierzyć, jakiś czas temu nic o nich w ogóle nie wiedzieliśmy. A teraz proszę - główne zagrożenie. I wierz mi, bliski jest dzień, kiedy po prostu nas zmiotą, ze wszystkimi naszymi umocnieniami, reflektorami i karabinami maszynowymi. Przecież nie można poderwać całego metra dla jednej marnej stacji... Fakt, robią tu całkiem niezłą herbatę, ale wątpię, żeby ktokolwiek zgodził się ryzykować życie nawet dla tak wspaniałej herbaty jak nasza. W końcu zawsze jest konkurencja z Pieczatników... Znów szach! - smutno uśmiechnął się Suchy. - Nikomu nie

jesteśmy potrzebni. Sami już wkrótce nie będziemy w stanie wytrzymać ich naporu. Odciąć ich zasypując tunel nie możemy. Wyjść na powierzchnię i tam ich wybić też nie jesteśmy w stanie, z powszechnie zrozumiałych powodów... Mat. Przegrałeś, Myśliwy! Ja też. Wszyscy w najbliższym czasie całkowicie przegramy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli - krzywo uśmiechnął się Suchy.

- Zobaczymy - odparł Hunter. - Zobaczymy.

Siedzieli dalej rozmawiając o najrozmaitszych rzeczach; często padały nieznane Artemowi imiona, urywki niedopowiedzianych lub niewysłuchanych kiedyś do końca historii. Od czasu do czasu nagle wybuchały jakieś stare spory, z których Artem niewiele rozumiał i które widocznie ciągnęły się latami, przygasając na czas rozstania i znów rozpalając się przy spotkaniu.

W końcu Hunter wstał, powiedział, że czas iść spać, bo w odróżnieniu od Artema nie kładł się po dyżurze, i pożegnał się z Suchym. Ale przed wyjściem nagle obrócił się do Artema i szepnął mu: „Wyjdź na chwilę".

Artem wyskoczył z namiotu od razu za nim, nie zwracając uwagi na zdziwiony wzrok ojczyma. Hunter czekał na niego na zewnątrz, szczelnie zapinając swój długi płaszcz i podnosząc kołnierz.

- Przejdziemy się? - zaproponował i ruszył nieśpiesznie po peronie przed siebie, w stronę namiotu dla gości, w którym nocował. Artem niepewnie poszedł za nim, próbując domyślić się, o czym taki człowiek chce porozmawiać z nim, chłopaczkiem, który jak dotąd nie zrobił dla innych absolutnie nic znaczącego, a nawet zwyczajnie przydatnego.

- Co myślisz o tym, czym się zajmuję? - spytał Hunter.

- Fantastyczne... Przecież jeśli by pana nie było... No, i innych, takich jak pan, jeśli jest was więcej... To my wszyscy już dawno byśmy... - wymamrotał zmieszany Artem.

Zrobiło mu się wstyd własnej nieumiejętności wysławiania się. Akurat teraz, kiedy taki człowiek zwrócił na niego uwagę i osobiście chce mu coś powiedzieć, poprosił nawet żeby z nim wyjść, żeby tak w cztery oczy, bez ojczyma, on czerwieni się jak panienka i coś tam smętnie mamrocze...

- Doceniasz to? No, jeśli lud docenia - uśmiechnął się Hunter - to znaczy, że nie ma co słuchać defetystów. Trzęsie się twój ojczym, ot co. A przecież to naprawdę odważny człowiek... W każdym razie był nim. Dzieje się u was coś strasznego, Artem. Coś, czego nie można tak zostawić. Twój ojczym ma rację: to nie jest po prostu jakieś cholerstwo, jak na dziesiątkach innych stacji, nie wandale, nie wyrodki. Tu jest coś nowego. Coś złowieszczego. Od tych nowin wieje zimnem. Mogiłą. Wszystkiego dwie doby na waszej stacji i już zaczyna mnie przenikać ten strach. I im więcej o nich wiesz, im dłużej ich obserwujesz, im częściej ich widzisz, tym silniejszy jest strach, tak to rozumiem. Ty, na przykład, niewiele razy ich widziałeś, tak?

- Do tej pory jeden raz: dopiero niedawno zacząłem chodzić na dyżury na północ - przyznał się Artem. - Ale szczerze mówiąc, wystarczył mi ten jeden raz. Do dziś męczą mnie koszmary.

Ostatniej nocy, na przykład. A przecież tyle czasu już minęło od tamtego spotkania!

- Koszmary, powiadasz? Ty też je masz? - spochmurniał Hunter. - Tak, nie wygląda to na przypadek... Pomieszkać tu jeszcze trochę, parę miesięcy, pochodzić regularnie na te wasze dyżury i nie wykluczone, że też skapcanieję... Nie, dzieciaku. W jednym twój ojczym się pomylił. To nie on to mówi. Nie on tak uważa. To oni myślą za niego i oni za niego mówią. Poddajcie się, mówią, opór jest bezcelowy. A on jest dla nich tubą. I sam tego pewnie nie rozumie... I pewnie rzeczywiście dostrajają się dranie i naciskają na psychikę. Co za diabelstwo! Powiedz mi, Artem - zwrócił się do niego bezpośrednio, po imieniu, i chłopak zrozumiał, że zamierza powiedzieć mu coś naprawdę ważnego. - Masz jakąś

tajemnicę? Coś takiego, czego nie powiedziałbyś nikomu ze stacji, a postronnemu człowiekowi możesz zdradzić?

- Nno... - zawahał się Artem i przenikliwemu człowiekowi wystarczyłoby to, by wiedzieć, że taka tajemnica istnieje.

- Ja też mam swój sekret. Wymienimy się? Muszę się z kimś podzielić swoją tajemnicą, ale chcę być pewny, że nikt jej nie wypaple. Dlatego zdradź mi swoją - i nie jakieś pierdoły o dziewczynach, tylko coś poważnego, czego nikt nie powinien usłyszeć. Ja też ci powiem coś niecoś. To dla mnie ważne. Bardzo ważne, rozumiesz?

Artem się wahał. Męczyła go oczywiście ciekawość, ale strach było zdradzić właśnie tę tajemnicę człowiekowi, który był nie tylko ciekawym rozmówcą, którego życie pełne było przygód, ale, jak można sądzić, zimnokrwistym zabójcą, który bez najmniejszego wahania usuwał wszelkie przeszkody na swojej drodze. A przecież jeśli Artem rzeczywiście okaże się mieć związek z inwazją czarnych...

Hunter spojrzał mu zachęcająco w oczy:

- Nie masz powodu się mnie bać. Gwarantuję ci nietykalność! - i konspiracyjnie mrugnął.

Podeszli do namiotu dla gości, na tę noc oddanego Hunterowi do pełnej dyspozycji, ale zostali na zewnątrz. Artem zastanowił się ostatni raz i jednak się zdecydował. Nabrał jak najwięcej powietrza, a następnie pośpiesznie, na jednym oddechu, przedstawił całą historię wyprawy na stację Ogród Botaniczny. Kiedy przerwał, Hunter przez jakiś czas milczał, by przetrawić to co usłyszał. Potem odezwał się ochrypłym głosem:

- Ogólnie biorąc, ciebie i twoich przyjaciół powinno się za to zabić, ze względów wychowawczych. Ale zagwarantowałem ci już nietykalność. Na twoich przyjaciół się to jednak nie rozciąga...

Artemowi ścisnęło się serce, poczuł jak drętwieje mu ze strachu ciało i uginają się pod nim nogi. Nie był w stanie mówić i dlatego milcząc oczekiwał dalszego ciągu mowy oskarżycielskiej.

- Jednak ze względu na wiek i ogólny kretynizm w chwili zajścia, a także na długi czas, jaki od tego minął, zostajecie ułaskawieni. Będziecie żyć - i, żeby szybciej wyprowadzić Artema z odrętwienia, Hunter jeszcze raz mrugnął do niego, tym razem na zachętę. - Ale pamiętaj, że twoi sąsiedzi ze stacji nie będą mieli dla ciebie litości. Tak więc dobrowolnie włożyłeś mi w ręce potężną broń przeciw samemu sobie. A teraz wysłuchaj mojej tajemnicy...

I, póki Artem żałował swej gadatliwości, mówił dalej:

- Nie szedłem na tę stację przez całe metro na próżno. Nie poddam się. Zagrożenie powinno zostać usunięte, jak już na pewno nie raz dziś słyszałeś. Powinno i zostanie usunięte. Ja to zrobię. Twój ojczym się boi. Jak rozumiem, powoli zmienia się w ich narzędzie. Sprzeciwia się coraz słabiej i jeszcze mnie próbuje przekonać. Jeśli te wody gruntowe to prawda, to o wariancie z zawaleniem tunelu trzeba oczywiście zapomnieć. Ale twoja opowieść cokolwiek mi rozjaśniła. Jeśli czarni po raz pierwszy zaczęli się tu zakradać po waszej wycieczce, to znaczy, że przychodzą z Ogrodu Botanicznego. Zdaje się, że hodowali nie to, co trzeba w tym Ogrodzie Botanicznym, jeśli coś takiego się tam urodziło... A to znaczy, że można ich zablokować tam, bliżej powierzchni. Bez niebezpieczeństwa uwolnienia wód gruntowych. Tylko że licho wie, co się dzieje za siedemsetnym metrem północnego tunelu. Tam wasza władza się kończy. Zaczyna się władza mroku - najbardziej rozpowszechniona forma rządów na terytorium moskiewskiego metra. Pójdę tam. Nikt nie może o tym wiedzieć. Powiesz Suchemu, że wypytywałem cię o sytuację na stacji i to będzie prawda. Nie będziesz raczej musiał niczego wyjaśniać: jak wszystko pójdzie gładko, sam wszystko wyjaśnię komu trzeba. Ale może się też zdarzyć tak - przerwał na moment badawczo patrząc Artemowi w oczy - że nie wrócę. Usłyszysz wybuch czy nie, jeśli nie

wrócę do jutra rano, ktoś powinien przekazać, co się ze mną stało, i opowiedzieć moim kolegom, co za cholerstwo siedzi w waszych północnych tunelach. Wszystkich swoich dawnych znajomych z tej stacji, w tym twojego ojczyma, dziś widziałem. I czuję, widzę niemal, jak maleńki robak zwątpienia i strachu zżera mózgi wszystkim, którzy są często poddani ich wpływowi. Nie mogę polegać na ludziach o robaczywych mózgach. Potrzebuję zdrowego człowieka, którego rozsądku nie szturmowały jeszcze te wampiry. Potrzebuję ciebie.

- Mnie? Ale jak ja mogę panu pomóc? - zdziwił się Artem.

- Posłuchaj. Jeśli nie wrócę, będziesz musiał za wszelką cenę - za wszelką cenę, słyszysz?! - dotrzeć do Polis. Do Miasta... I odnaleźć tam człowieka o przezwisku Młynarz. Opowiesz mu całą historię. I jeszcze jedno. Dam ci teraz pewną rzecz, przekażesz mu ją jako dowód, że to ja cię posłałem. Wejdź na chwilę! - Hunter zdjął kłódkę z wejścia, podniósł zasłonę i przepuścił Artema do środka.

W namiocie było ciasno przez stojący na podłodze ogromny plecak w barwach ochronnych i imponujących rozmiarów kufer. W świetle lampki Artem dojrzał ciemno połyskującą w głębi torby lufę jakiejś solidnej broni, najprawdopodobniej rozłożonego wojskowego erkaemu. Zanim Hunter ukrył go przed oczami postronnych, Artem zdołał zauważyć matowoczarne metalowe skrzynki z taśmami z amunicją, ułożone ciasno w rzędzie po jednej stronie broni oraz małe zielone granaty przeciwpiechotne po drugiej.

Bez żadnego komentarza na temat tego arsenału, Hunter otworzył boczną kieszeń plecaka i wyciągnął z niej małą metalową kapsułkę, zrobioną z łuski naboju. Ze strony, po której powinna była znajdować się kula, kapsułka kończyła się przykręconym wieczkiem.

- Proszę, trzymaj. Nie czekaj na mniej dłużej niż dwa dni. I nie bój się. Wszędzie spotkasz ludzi, którzy ci pomogą. Zrób to koniecznie! Wiesz, co od ciebie zależy. Przecież nie muszę ci tego jeszcze raz wyjaśniać, prawda? To wszystko. Życz mi powodzenia i spływaj... Muszę się wyspać.

Artem ledwie wydusił z siebie słowa pożegnania, ścisnął potężną łapę Huntera i powlókł się do swojego namiotu, garbiąc się pod ciężarem obarczającej go misji.

ROZDZIAŁ 3
JEŚLI NIE WRÓCĘ

Artem myślał, że po przyjściu do domu nie ominie go przesłuchanie: ojczym z pewnością będzie wyciągał z niego informacje, dopytując się o czym rozmawiał z Hunterem. Jednak wbrew jego oczekiwaniom, ten wcale nie czekał na niego z przygotowanymi dybami i hiszpańskimi butami, a spokojnie pochrapywał - dotychczas, przez ponad dobę, nie mógł się wyspać.

Przez nocne patrole i spanie w dzień, Artema znów czekała praca na nocną zmianę, w fabryce herbaty.

Dziesięciolecia życia pod ziemią, w ciemności częściowo rozpraszanej słabym czerwonym światłem sprawiły, że prawdziwe rozumienie dnia i nocy stopniowo zatarło się. Nocą oświetlenie stacji nieco przygasało, tak jak niegdyś w pociągach dalekobieżnych, aby ludzie mogli się wyspać, lecz nigdy, oprócz sytuacji awaryjnych, nie gasło całkowicie. Jakkolwiek wyostrzył się ludzki wzrok przez lata przeżyte w ciemności, wciąż jednak nie mógł się równać z oczami stworzeń zamieszkujących tunele i porzucone przejścia.

Podział na „dzień" i „noc" odbywał się bardziej z przyzwyczajenia, niż z konieczności. „Noc" miała sens o tyle, o ile większości mieszkańców stacji wygodnie było spać w jednym czasie, odpoczywała też wtedy trzoda, przygaszano światło i zabraniano hałasować. O dokładnym czasie mieszkańcy stacji dowiadywali się dzięki dwóm stacyjnym zegarom, zawieszonym nad wejściami do tuneli z przeciwnych stron. Owe zegary miały wagę porównywalną z takimi obiektami o strategicznym znaczeniu, jak skład amunicji, filtry wodne i generator prądu. Wiecznie o nie dbano, najmniejsze awarie były natychmiast naprawiane, a wszelkie, nie tylko dywersyjne, ale nawet zwykłe, chuligańskie próby ich zniszczenia były karane w najsurowszy sposób, aż do wygnania ze stacji.

Obowiązywał tu surowy kodeks karny, według którego administracja WOGN-u sądziła przestępców przy pomocy trybunału błyskawicznego, ze względu na stan nadzwyczajny, wprowadzony obecnie, jak wszystko na to wskazywało, na zawsze. Akcje dywersyjne dotyczące obiektów strategicznych pociągały za sobą najwyższy wymiar kary. Za palenie i zaprószanie ognia na peronie poza specjalnie wydzielonym miejscem, jak i za nieprawidłowe obchodzenie się z bronią i materiałami wybuchowymi, groziło natychmiastowe wygnanie ze stacji i konfiskata majątku.

Te drakońskie prawa miały swoje wytłumaczenie w tym, że już kilka stacji spłonęło do szczętu. Ogień błyskawicznie rozprzestrzeniał się po namiotowych miasteczkach, pożerając wszystkich bez różnicy, i oszalałe, pełne bólu krzyki jeszcze wiele miesięcy po katastrofie dźwięczały echem w uszach mieszkańców sąsiednich stacji, a zwęglone ciała, sklejone stopionym plastikiem i brezentem, szczerzyły popękane od niewyobrażalnego gorąca zęby w świetle latarek mijających je przestraszonych straganiarzy i wędrowców, którzy przypadkiem zabłądzili do tego piekła.

By uniknąć tak strasznego losu, na większości stacji nieostrożne obchodzenie się z ogniem zaliczono do kategorii ciężkich zbrodni.

Wygnaniem karano także kradzieże, sabotaż i celowe uchylanie się od pracy. Przy tym, biorąc pod uwagę, że prawie cały czas wszyscy byli na widoku, a na stacji mieszkało coś ponad dwustu ludzi, przestępstwa takie, i w ogóle jakiekolwiek, popełniano dość rzadko, i przeważnie byli to obcy.

Praca na stacji była obowiązkowa, i wszyscy, od małego do dużego, mieli wypracować swoją codzienną normę. Ferma świń, uprawy grzybów, fabryka herbaty, kombinat mięsny, służba przeciwpożarowa i inżynieryjna, cech producentów broni - każdy z mieszkańców pracował w jednym, albo i dwóch z tych miejsc. Mężczyźni mieli do tego

obowiązek raz na dwie doby odbyć wartę pod bronią w jednym z tuneli, a podczas konfliktów lub gdy w głębinach metra pojawiało się jakieś nowe niebezpieczeństwo, patrole były wielokrotnie wzmacniane, zaś na torach bez przerwy stały gotowe do walki odwody.

Życie było tak dokładnie wyregulowane na bardzo nielicznych stacjach i dobra sława, która przylgnęła do WOGN-u, przyciągała mnóstwo ludzi chcących na nim zamieszkać. Jednak na osiedlanie się obcych zgadzano się rzadko i niechętnie.

Do nocnej zmiany w fabryce herbaty było jeszcze kilka godzin i Artem, nie wiedząc gdzie się podziać, powlókł się do swojego najlepszego przyjaciela, Żeńki - tego samego, z którym swego czasu odbyli zapierającą dech w piersiach wyprawę na powierzchnię.

Żeńka był jego rówieśnikiem, ale, w odróżnieniu od Artema, mieszkał ze swoją prawdziwą rodziną: ojcem, matką i młodszą siostrzyczką. Przypadki, kiedy udało się uratować całej rodzinie, były nieliczne, i Artem w głębi duszy zazdrościł swojemu przyjacielowi. Oczywiście bardzo kochał ojczyma i szanował go nawet teraz, po tym jak puściły mu nerwy, ale świetnie przy tym rozumiał, że Suchy to dla niego nie ojciec, w ogóle nie rodzina, i nigdy nie nazywał go tatą.

A Suchy, który na początku sam poprosił Artema, żeby mówił mu „wujku Saszo", z czasem tego pożałował. Przybywało mu lat, a on, stary wilk tunelowy nadal nie założył prawdziwej rodziny, nie miał nawet kobiety, która czekałaby na jego powroty. Na widok matek z małymi dziećmi ściskało mu się serce i marzył o tym, że i w jego życiu przyjdzie taki dzień, kiedy nie będzie już trzeba kolejny raz odchodzić w ciemność, znikając z życia stacji na długie dni i tygodnie, a może i na zawsze. A wtedy, myślał z nadzieją, znajdzie się kobieta gotowa zostać jego żoną, i urodzą im się dzieci, które, kiedy nauczą się mówić, zaczną nazywać go nie wujkiem Saszą, a ojcem.

Starość i niemoc były coraz bliżej, zostawało coraz mniej czasu i z pewnością trzeba się było śpieszyć, ale wciąż nijak nie udawało się wyrwać. Jedna misja zastępowała drugą i nie było na razie nikogo, komu mógłby przekazać część swojej pracy, powierzyć swoje kontakty, zdradzić sekrety zawodowe, żeby samemu zająć się jakąś lekką robotą na stacji. Już od dawna zastanawiał się nad spokojniejszym zajęciem, wiedział nawet, że z pewnością może liczyć na posadę we władzach stacji, dzięki swojemu autorytetowi, wzorowemu przebiegowi służby i przyjacielskim stosunkom z administracją.

Na razie jednak nie widział nawet na horyzoncie nikogo zasługującego na rolę zmiennika i, pocieszając się myślami o szczęśliwym jutrze, żył dniem dzisiejszym, wciąż odkładając ostateczny powrót i nadal zraszając swym potem i krwią granit obcych stacji i beton odległych tuneli.

Artem wiedział, że ojczym, mimo prawie ojcowskiej miłości do niego, nie myśli o nim jako o kontynuatorze swojego dzieła i ogólnie biorąc uważa go za nicponia, i to zupełnie niezasłużenie. Nie brał Artema w dalsze wyprawy, chociaż ten już wydoroślał i nie można już było wymawiać się tym, że jest jeszcze mały i porwą go zombi albo zjedzą szczury. Nawet się nie domyślał, że właśnie tą niewiarą w Artema popychał go do najbardziej szalonych awantur, za które zresztą sam go potem lał. Widać chciał, żeby Artem nie narażał życia na bezsensowne niebezpieczeństwo w wędrówkach po metrze, a żył tak jak marzyło się samemu Suchemu: w spokoju i bezpiecznie, przy pracy i wychowywaniu dzieci, nie tracąc na próżno młodości. Lecz życząc Artemowi takiego życia, zapominał, że sam, zanim zaczął do niego dążyć, przeszedł przez ogień i wodę, wyszedł cało z setek przygód i nasycił się nimi. I to nie mądrość, która przyszła z wiekiem, przemawiała teraz przez niego, a przeżyte lata i zmęczenie. Zaś w Artemie kipiała energia, on dopiero zaczynał żyć i wieść żałosne życie rośliny, krojąc i susząc grzyby, zmieniając pieluchy, nie ośmielając się nigdy wychodzić za pięćsetny metr, wydawało mu się zupełnie nie do pomyślenia. Pragnienie, by dać nogę ze stacji rosło w nim z każdym dniem, kiedy coraz jaśniej rozumiał jaki los przygotowuje dla niego ojczym. Kariera producenta herbaty i rola ojca wielu dzieciom

zupełnie się Artemowi nie podobała. To właśnie pociąg do przygód, chęć, by dać się porwać, ot tak, przeciągom tuneli, i dać się im nieść w nieznane, na spotkanie losu, odgadł w nim pewnie Hunter prosząc go o taką niełatwą, związaną z ogromnym ryzykiem przysługę. Myśliwy miał dobrego nosa do ludzi i już po godzinnej rozmowie zrozumiał, że może na Artemie polegać. Nawet jeśli ten nie dojdzie do miejsca przeznaczenia, to przynajmniej nie zostanie na stacji zapomniawszy o zadaniu, jeśli Hunterowi stanie się cokolwiek na stacji Ogród Botaniczny.

I Myśliwy nie pomylił się w swym wyborze. Żeńka na szczęście był w domu, i teraz Artem mógł przeputać wieczór przy najnowszych plotkach, rozmowach o przyszłości i mocnej herbacie.

- Czołem! - zawołał przyjaciel na powitanie Artema. - Ty też dziś w nocy pracujesz w fabryce? Mnie też wpisali. Tak mnie łamało w kościach, że chciałem już prosić kierownictwo o zastępstwo. Ale jak ciebie wpisali ze mną, to nieważne, wytrzymam. Byłeś dzisiaj w patrolu, tak? Na warcie? No, opowiadaj! Słyszałem, że mieliście tam wypadek... Co tam się działo, co?

Artem spojrzał z ukosa na młodszą siostrzyczkę Żeńki, którą tak zaciekawiła ich rozmowa, że przestała nawet opychać obierkami z grzybów szmacianą lalkę uszytą przez mamę i wstrzymała oddech patrząc na nich z kąta namiotu okrągłymi oczami.

- Słuchaj, młoda! - rozumiejąc, co Artem miał konkretnie na myśli, surowo odezwał się Żeńka - teraz, tego, zabieraj swoje rzeczy i idź się pobawić do sąsiadów. Katia cię chyba zapraszała w gości. Należy utrzymywać dobre stosunki z sąsiadami. Tak więc zbieraj swoje dzidzie i uciekaj!

Dziewczynka pisnęła coś z oburzeniem i z miną skazańca zaczęła się zbierać, żaląc się przy tym swojej lalce, tępo zapatrzonej w sufit na wpół wytartymi oczyma.

- Myślałby kto, że tacy ważni! Ja i tak wszystko wiem! Będziecie gadać o tych waszych muchomorach! - rzuciła z pogardą na pożegnanie.

- A ty, Lenka, jeszcze za mała jesteś na dyskusje o muchomorach. Mleko masz jeszcze pod nosem! - przywrócił ją do pionu Artem.

- Co to jest mleko? - z niedowierzaniem spytała dziewczynka dotykając ust.

Ale do wyjaśnień nikt się nie zniżył, i pytanie zawisło w powietrzu.

Kiedy poszła, Żeńka zasunął od środka wejście do namiotu i spytał:

- No, to co się stało? No, wal! Tyle już tu słyszałem. Jedni mówią, że z tunelu wylazł ogromny szczur, inni, że zwiadowcę czarnych odstraszyliście, a nawet żeście go ranili. Komu wierzyć?

- Nikomu nie wierz! - poradził Artem. - Wszyscy łżą. To był pies. Malutki szczeniak. Andriej go przygarnął, ten z piechoty morskiej. Powiedział, że wyrośnie mu z niego owczarek niemiecki - uśmiechnął się Artem.

- A ja przecież od Andrieja jak nic słyszałem, że to był szczur! - powiedział zmieszany Żeńka. - Specjalnie mi naściemniał, czy co?

- To ty nie wiesz? Przecież to jego ulubiony dowcip: o szczurach wielkości świni. Żartowniś z niego, rozumiesz - odparł Artem. - A u ciebie co nowego? Co słyszałeś od chłopaków?

Przyjaciele Żeńki byli straganiarzami, dostarczali herbatę i wieprzowinę na Prospekt Mira, na targ. Z powrotem wieźli multiwitaminy, szmatki i wszelakie badziewie, czasem nawet książki, zatłuszczone, często z brakującymi stronicami, które nieznanymi drogami docierały na Prospekt Mira, przebywając połowę metra, wędrując ze skrzyni do skrzyni, z kieszeni do kieszeni, od handlarza do handlarza, aby w końcu odnaleźć swojego pana.

Mieszkańcy WOGN-u byli dumni z tego, że mimo oddalenia od centrum i głównych szlaków handlowych, udawało im się nie tylko przeżyć w pogarszających się z dnia na dzień

warunkach, ale też podtrzymywać, choćby w obrębie stacji, błyskawicznie wygasającą w całym metrze ludzką kulturę.

Władze stacji starały się poświęcać tej kwestii jak najwięcej uwagi. Dzieci obowiązkowo uczono czytać, a na stacji była nawet mała biblioteka, do której zwoziło się w zasadzie wszystkie kupione na jarmarkach książki. Bieda była w tym, że straganiarzom nie wypadało przebierać w tytułach, co im dawano to brali, i wszelakiej makulatury gromadziło się bez liku.

Lecz mieszkańcy stacji odnosili się do książek tak, że nawet z najbardziej bezużytecznej książki w bibliotece nikt nigdy nie wyrwał ani stroniczki. Książki były traktowane jak świętość, ostatnia pamiątka przepięknego świata, który pogrążył się w niebycie. I dorośli, ceniąc każdą sekundę wspomnień przywoływanych przez lekturę, przekazywali to uczucie do książek swoim dzieciom, które nie miały już czego pamiętać, które nigdy nie znały - bo nie mogły znać - innego świata oprócz niekończącego się labiryntu ponurych i ciasnych tuneli, korytarzy i przejść.

W metrze były nieliczne miejsca, w których drukowane słowo było równie czczone, i mieszkańcy WOGN-u z dumą uważali swoją stację za jedną z ostatnich ostoi kultury, północną forpocztą cywilizacji na Linii Kałużsko-Ryżskiej. Książki czytali i Artem, i Żeńka. Żeńka za każdym razem wyczekiwał powrotu swoich znajomych z targu i pierwszy leciał do nich dowiedzieć się, czy nie dostali czegoś nowego. Wtedy książka najpierw trafiała do Żeńki, a dopiero potem do biblioteki.

Artemowi książki ze swoich wypraw przynosił ojczym, a w ich namiocie było coś w rodzaju prawdziwej półki z książkami. Stały na niej pożółkłe ze starości, czasem nieco nadgryzione przez szczury i pleśń, czasem pokryte brunatnymi plamkami czyjejś zaschłej krwi, rzeczy, których nie miał nikt inny na stacji, a może i w całym metrze: Márquez, Kafka, Borges, Vian, kilka tomów rosyjskiej klasyki.

- Tym razem chłopaki nic nie przywieźli - powiedział Żeńka. - Lecha mówi, że jeden facet za miesiąc dostanie partię książek z Polis. Obiecał parę przynieść.

- Przecież ja nie o książkach! - machnął ręką Artem. - Co tam słychać? Jak sytuacja?

- Sytuacja? Właściwie nic ciekawego. Oczywiście chodzą różne słuchy, ale to tak zawsze, wiesz przecież, straganiarze nie potrafią bez plotek i opowieści. Od razu chudną, nie trzeba ich karmić, tylko dać plotki opowiedzieć. Ale wierzyć w te historie, czy nie - to też jest pytanie. Teraz jest niby spokojnie. Oczywiście jeśli porównać z czasami, kiedy Hanza walczyła z czerwonymi. Aha! - przypomniał sobie. - Na Prospekcie Mira zabronili sprzedawać kwasa. Teraz, jeśli znajdą u straganiarza kwasa, wszystko konfiskują, wywalają ze stacji i jeszcze spisują dane. Lecha mówi, że jak znajdą kolejny raz, to na kilka lat zabraniają w ogóle wchodzić na ich terytorium. Do całej Hanzy! Dla straganiarza to jest w ogóle śmierć.

- No ładnie! Tak po prostu zabronili? Co ich ugryzło?

- Według Lechy, uznali że to narkotyk, bo ma się po nim haluny. I że mózg zaczyna obumierać, jeśli długo się go pije. Niby o zdrowie ludzi się troszczą.

- Lepiej by się zatroszczyli o swoje zdrowie! Co się tak nagle naszym zaniepokoili?

- Wiesz co? - powiedział Żeńka o ton ciszej. - Lecha mówi, że oni w ogóle rozpuszczają dezy, jeśli chodzi o szkodliwość dla zdrowia.

- Jakie dezy? - spytał ze zdziwieniem Artem.

- Dezinformację. Posłuchaj tego. Lecha zaszedł raz wzdłuż naszej linii za Prospekt Mira. Dotarł do Suchariewskiej. Miał tam jakieś ciemne sprawki, nie zaczął nawet opowiadać jakie. I napotkał tam pewnego ciekawego gościa. Maga.

- Kogo?! - Artem nie wytrzymał i wybuchnął śmiechem. - Maga? Na Suchariewskiej? Ześwirował ten twój Lecha! I co, mag mu podarował czarodziejską różdżkę? Czy kwiat paproci?

- Głupi jesteś - obraził się Żeńka. - Myślisz, że wszystko wiesz najlepiej? To, że do tej pory nie widziałeś magów ani o nich nie słyszałeś, nie znaczy, że ich nie ma. A w mutantów z Filowki wierzysz?

- A co tu wierzyć? I tak istnieją, to jasne. Ojczym mi opowiadał. A o magach jakoś nic nie słyszałem.

- Nawiasem mówiąc, Suchy, przy całym moim szacunku do niego, też na pewno nie jest wszechwiedzący. A może, po prostu, nie chciał cię straszyć. Krótko mówiąc, nie chcesz słuchać, idź w cholerę.

- Dobra już, Żeńka, opowiadaj. To jednak ciekawe. Chociaż brzmi oczywiście... - Artem uśmiechnął się ironicznie.

- Więc tak. Nocowali tam przy ognisku. Wiesz, na Suchariewskiej nikt nie mieszka na stałe. Tylko straganiarze z innych stacji zatrzymują się tam na noc, bo władze Hanzy wypraszają ich po sygnale z Prospektu Mira. No, i różne typy się tam wałęsają, jacyś szarlatani, złodziejaszki - kleją się do straganiarzy. I podróżni tam odpoczywają, przed wyprawą na południe. Tam, za Suchariewską, w tunelach, zaczyna się jakiś obłęd. Niby niczego tam nie ma: ani szczurów, ani żadnych mutantów, a jednak ci, którzy chcą przejść, bardzo często przepadają. Po prostu znikają bez śladu. Następna stacja za Suchariewską to Turgieniewska. Przylega do Linii Czerwonej: było tam przejście na Czystyje Prudy czerwoni teraz nazwali ją z powrotem Kirowska: był podobno taki komuch, Kirow... Przestraszyli się, że sąsiadują z taką stacją. Zamurowali przejście. I Turgieniewska stoi teraz pusta. Porzucona. Tak więc tunel od Suchariewskiej do najbliższej ludzkiej siedziby jest długi... I właśnie w nim giną ludzie. Jak idą pojedynczo, to prawie na pewno nie przejdą. A jeśli karawana ma ponad dziesięć osób, to przechodzą. I mówią, że nic tam nie ma, normalny tunel, czysty, spokojny, pusty, nie ma nawet żadnych rozgałęzień, więc w sumie nie za bardzo jest gdzie się podziać... Nie ma żywego ducha, nic nie szeleści, ani stworów żadnych nie widać... A potem, nazajutrz, ktoś się nasłucha o tym, jak tam czysto i przytulnie, splunie na zabobony, pójdzie tym tunelem - i po nim, jakby krowa jęzorem machnęła. Był człowiek, nie ma człowieka.

- Mówiłeś coś o jakimś magu - cicho przypomniał Artem.

- Zaraz dojdę i do maga, trochę cierpliwości - obiecał Żeńka. - Tak więc, ludzie boją się iść sami tymi tunelami na południe. I szukają sobie na Suchariewskiej towarzyszy, w sensie, żeby przejść tamtędy razem. A jak nie ma akurat targu, to ludzi jest mało i czasem trzeba siedzieć i czekać całymi dniami, jak nie tygodniami, aż zbierze się wystarczająco dużo ludzi, żeby iść. W końcu, im więcej luda, tym większa szansa. Lecha mówi, że można tam czasem spotkać bardzo ciekawych ludzi. Hołoty, oczywiście, też jest sporo, trzeba umieć odróżnić. Bywa jednak tak, że się uda - i wtedy takich rzeczy się człowiek nasłucha... Ale do rzeczy... Lecha spotkał tam maga. Nie takiego jak myślisz, jakiegoś wyłysiałego staruszka Hassana z czarodziejskiej lampy...

- Hassan to dżin, a nie mag - ostrożnie poprawił go Artem, lecz Żeńka zignorował jego uwagę i mówił dalej:

- Facet jest okultystą. Pół życia poświęcił na studiowanie mistycznej literatury. Lecha mówił konkretnie o jakimś Castanedzie... Więc gość niby czyta myśli i widzi przyszłość, odnajduje zaginione przedmioty, wie zawczasu o niebezpieczeństwie. Twierdzi, że widzi duchy. Wyobraź sobie, facet nawet... - Żeńka zrobił artystyczną pauzę - wędruje po metrze bez broni! W ogóle, bez żadnej broni. Tylko składany nożyk - żeby kroić jedzenie - i taki kijek, z plastiku. Właśnie! Twierdzi, że ci co tego kwasa robią, i ci co go piją, to wariaci. Bo to w ogóle nie jest to, co myślimy. To nie jest żaden kwas, a te muchomory, to nie są tak naprawdę żadne muchomory. Odkąd pamięta, w europejskiej części Rosji nic takiego nie rosło. Wpadł mi zresztą kiedyś w ręce podręcznik grzybiarza, ale o tych muchomorach rzeczywiście nie ma tam ani słowa. I nie ma nawet nic do nich podobnego... Ci, którzy je

jedzą, myśląc, że to po prostu halucynogen, żeby film sobie obejrzeć, ale mylą się - tak powiedział ten mag. I gdyby przygotować te muchomory troszkę inaczej, to można dzięki nim wejść w taki stan, z którego można kontrolować wydarzenia w świecie realnym będąc w świecie tych muchomorów, do którego się dostajesz, kiedy je jesz.

- Czyli ten twój mag to prawdziwy narkoman! - oznajmił pewnym głosem Artem. - Tutaj też wielu popija kwasa dla odprężenia, sam wiesz, ale nikt do takiego stopnia się jeszcze nie nażłopał. Chłop się uzależnił, na sto procent. Niewiele mu już pewnie zostało. Słuchaj, wujek Sasza opowiedział mi kiedyś taką historię... Na jakiejś stacji, nie pamiętam już jakiej, przysiadł się do niego nieznajomy dziadyga, i dawaj opowiadać, że jest potężnym telepatą i toczy bezustanną bitwę przeciw takim samym silnym telepatom i przybyszom z innych planet, tyle że złym. I że tamci już go prawie pokonali, a on może nie przetrzyma już nawet tego dnia, bo wszystkie siły traci na walkę. A stacja była podobna do Suchariewskiej, taka stacyjka: ogniska, ludzie siedzą bliżej środka peronu, dalej od tuneli, żeby się wyspać i jutro znów ruszyć w drogę. I wtedy obok wujka i tego staruszka przechodzi, powiedzmy, jakichś trzech ludzi, a stary ze strachem mówi: widzisz, o, ten pośrodku, to jeden z głównych złych telepatów, agent ciemności. A po bokach idą kosmici. Pomagają mu. A ich wódz mieszka w najgłębszym punkcie metra. Jak mu tam było, ojczym mi opowiadał... Kończy się na „-ski". I mówi dalej: tamci nie chcą do mnie podchodzić, bo tu ze mną siedzisz. Nie chcą, żeby zwykli ludzie dowiedzieli się o naszej walce. Ale teraz atakują mnie energią, a ja ich blokuję. Jeszcze powalczę! Ciebie to śmieszy, a mojemu ojczymowi nie było wtedy zbytnio do śmiechu. Wyobraź sobie: zapomniany przez Boga zakątek metra, wiadomo, co tam się może dziać? Brzmi to oczywiście bzdurnie, ale mimo wszystko. I tu wujkowi Saszy, choć powtarza sobie, że to po prostu chory człowiek, zaczyna się już wydawać, że ten, co szedł w środku, między dwoma kosmitami, jakoś tak wrogo na niego spojrzał, i oczy mu się jakby trochę świeciły...

- Jakaś bzdura - niepewnie powiedział Żeńka.

- Może i to była bzdura, ale na odległych stacjach, sam rozumiesz, trzeba być gotowym na wszystko. Więc staruszek mówi mu, że wkrótce czeka go, to jest tego staruszka, ostatnia bitwa ze złymi telepatami. I że jeśli przegra - a sił ma coraz mniej - to wszystkich czeka koniec. Opowiada, że wcześniej dobrych było więcej i walczyli jak równi z równymi, ale potem źli zaczęli przeważać i ten staruszek jest jednym z ostatnich. A może i zupełnie ostatni. I jeśli zginie i źli zwyciężą, to będzie koniec. Totalna kaszana!

- Moim zdaniem i tak tu mamy totalną kaszanę - zauważył Żeńka.

- Czyli póki nie jest totalna, to jest do czego dążyć - odrzekł Artem. - No, i na do widzenia, stary mówi: „Synku! Daj mi cokolwiek do jedzenia. Mało sił mi zostało. A ostatnia bitwa się zbliża... I od jej wyniku zależy nasza wspólna przyszłość. Twoja też!". Rozumiesz? Dziadek sępił jedzenie. Myślę, że tak samo z tym magiem. Też ma na pewno nierówno pod sufitem. Tylko na innym gruncie.

- Nie, jednak stanowczo jesteś idiota! Nie posłuchałeś nawet do końca... poza tym, kto ci powiedział, że staruszek łgał? Przy okazji, jak on się nazywał? Ojczym ci nie mówił?

- Mówił, ale już dokładnie nie pamiętam. Jakieś śmieszne imię... Zaczynało się „Cu". Czy to „Cumak", czy „Cudak"... Ci włóczędzy często tak mają: jakaś kretyńska ksywa zamiast imienia. A czemu pytasz? Jak się ten twój mag nazywał?

- Powiedział Lesze, że obecnie mówią na niego Carlos. Że niby podobny. Nie wiadomo, co miał na myśli, ale tak to właśnie wyjaśnił. Źle, że nie dosłuchałeś do końca. Na koniec rozmowy powiedział Lesze, że następnego dnia lepiej nie iść południowym tunelem - a on właśnie nazajutrz zamierzał wracać. Posłuchał go i nie poszedł. I słusznie. Dokładnie tego dnia jacyś zwyrodnialcy napadli na karawanę w tunelu między Suchariewską a Prospektem Mira, chociaż wydawało się, że to bezpieczne przejście. Połowa straganiarzy zginęła. Reszta ledwo uszła z życiem. Taki numer!

Artem umilkł i zamyślił się.

- Ogólnie biorąc, to nic na pewno nie wiadomo. Wszystko się może zdarzyć. Ojczym mi opowiadał, że kiedyś też się działy takie rzeczy. Mówił jeszcze, że na najbardziej oddalonych stacjach, gdzie ludzie dziczeją i robią się z nich jaskiniowcy, zapominają o tym, że człowiek jest rozumnym stworzeniem, tam się dzieją takie dziwne rzeczy, których my, ze swoim logicznym myśleniem, nie jesteśmy w ogóle w stanie wyjaśnić. Co prawda nie chciał uściślać, co to za rzeczy. Zresztą tego mi nie opowiadał, przypadkiem podsłuchałem.

- Ha! Mówię ci: tu czasem o takich numerach można usłyszeć, że normalny człowiek w życiu nie uwierzy. Przykładowo Lecha poprzednim razem jeszcze jedną historię mi opowiedział... Chcesz posłuchać? Czegoś takiego, to pewnie nawet od swojego ojczyma nie usłyszysz. Lesze na targu opowiadał jeden straganiarz z Sierpuchowskiej... Tylko powiedz, wierzysz w duchy?

- No... Po rozmowach z tobą za każdym razem zaczynam się nad tym zastanawiać. Ale potem, jak pobędę sam, albo porozmawiam z normalnymi ludźmi, to raczej przestaję - z trudem powstrzymując uśmiech, odpowiedział Artem.

- A poważnie?

- No cóż, coś tam oczywiście o tym czytałem. I wujek Sasza sporo opowiadał. Ale szczerze mówiąc, nie bardzo chce się wierzyć we wszystkie te historie. Tak w ogóle, Żeńka, to cię nie rozumiem. I tak mamy tu na stacji niekończący się koszmar z tymi czarnymi, czegoś takiego pewnie nie ma nigdzie indziej, w całym metrze. Gdzieś na centralnych stacjach o naszym życiu opowiadają dzieciom straszne bajki i pytają się nawzajem: Wierzysz w te bajki o czarnych, czy nie?". A tobie i tego mało. Chcesz się jeszcze czegoś bać?

- Czyli ciebie nie interesuje nic innego oprócz tego, co możesz zobaczyć i dotknąć? Czyli uważasz, że świat ogranicza się do tego, co widzisz? Do tego, co słyszysz? Taki kret, na przykład, nie widzi. Jest ślepy od urodzenia. Ale przecież to nie znaczy, że wszystkie rzeczy, których kret nie widzi, tak naprawdę nie istnieją. Tak samo ty...

- Dobra. Co za historię chciałeś opowiedzieć? O straganiarzu z Linii Sierpuchowskiej?

- Straganiarzu? A... Lecha na tym targu poznał jednego gościa. Tak w ogóle, to on niezupełnie był z Sierpuchowskiej. Pochodził z Linii Okrężnej. Obywatel Hanzy, ale mieszka na Dobrynińskiej. I mają tam przejście na Sierpuchowską. Na tej linii, nie wiem czy twój ojczym ci opowiadał, za skrzyżowaniem z Okrężną nie ma życia, to jest, wydaje mi się, że do następnej stacji, Tulskiej, stoją posterunki Hanzy. To taki rodzaj zabezpieczenia: pomyśleli, linia jest niezamieszkała, nigdy nie wiadomo, co stamtąd przylezie, więc zrobili sobie strefę buforową. I dalej niż do Tulskiej nikt nie chodzi. Mówią, że nie ma tam czego szukać. Wszystkie stacje puste, sprzęt zniszczony - nie da się tam żyć. Martwa strefa: ani zwierząt, ani żadnych stworów, nawet szczurów nie ma. Pusto. Ale ten straganiarz miał znajomego, takiego włóczęgę, który poszedł za Tulską. Nie wiem, czego tam szukał. No, i on potem opowiadał temu straganiarzowi, że nie wszystko jest na Linii Sierpuchowskiej takie proste. I że nie przypadkiem tak tam pusto. Mówił, że wyczyniają się tam takie rzeczy, że normalnie nie można sobie tego wyobrazić. To nie przypadek, że nawet Hanza nie próbuje jej kolonizować, choćby pod uprawę czy hodowlę...

Żeńka zamilkł, czując że Artem wreszcie zapomniał o swoim zdrowym cynizmie i słucha go z otwartymi ustami. Rozsiadł się wtedy wygodnie i powiedział ledwo kryjąc uczucie triumfu:

- Ale ciebie to na pewno nie interesuje, nie chcesz słuchać bzdur. Tak, bajeczki na dobranoc. Nalać ci herbatki?

- Poczekaj z tą twoją herbatką! Powiedz mi lepiej, dlaczego tak naprawdę Hanza nie zaczęła kolonizować tego odcinka. To rzeczywiście dziwne. Ojczym mówił, że ostatnimi

czasy mają w ogóle problem z przeludnieniem - nie starcza im już dla wszystkich miejsca. I jak to? Zrezygnowali z takiej szansy zagarnięcia dodatkowej ziemi? Zupełnie to do nich niepodobne!

- Aha, jednak cię to ciekawi? Tak więc, ten wędrowiec zabrnął całkiem daleko. Mówił, że idzie się i idzie, i ani ducha. Nie ma w ogóle nikogo i niczego, jak w tym tunelu za Suchariewską. Wyobrażasz sobie, nawet szczurów nie ma! Tylko woda kapie. Stacje stoją porzucone, ciemne, dosłownie, jakby nigdy nie były zamieszkane. I coraz bardziej przytłacza cię poczucie niebezpieczeństwa. Aż miażdży... Szedł szybko, w niecałe pół dnia przeszedł cztery stacje. Człowiek był pewnie niespełna rozumu. No bo, żeby w taką dzicz wybrać się samemu! Tak czy owak, doszedł do Sewastopolskiej. Tam jest przejście na Kachowską. Wiesz co to za linia, ta Kachowska, ma wszystkiego trzy stacje. Jakieś nieporozumienie. Jak wyrostek robaczkowy... I na Sewastopolskiej postanowił przenocować. Namęczył się, nadenerwował... Znalazł tam jakieś szczapki, rozpalił ognisko, żeby nie było tak strasznie, wlazł do śpiwora i położył się spać na środku peronu. A nocą...

W tym miejscu Żeńka wstał, przeciągnął się i z uśmiechem sadysty powiedział:

- No, rób jak chcesz, ale ja akurat mam wielką ochotę napić się herbaty! - i, nie czekając na odpowiedź, wyszedł z czajnikiem z namiotu, zostawiając Artema sam na sam z wrażeniami po opowieści.

Artem był na niego oczywiście zły za to wyjście, ale postanowił wytrzymać do końca historii, i dopiero potem wygarnąć Żeńce, co o nim myśli. Nieoczekiwanie przypomniał sobie Huntera i jego prośbę... bardziej nawet rozkaz... Lecz potem myśli znów wróciły do opowieści Żeńki.

Kiedy ten wrócił, nalał Artemowi naparu do szklanki z rżniętego szkła, umieszczonej w bardzo rzadkim żelaznym koszyczku - w takich roznoszono kiedyś prawdziwą herbatę w pociągach - i kontynuował:

- Tak więc położył się spać obok ogniska, a wokoło cisza, ciężka taka, jakbyś uszy zatkał watą. I w środku nocy nagle budzi go dziwny dźwięk... kompletnie szalony, niemożliwy dźwięk. Od razu oblał się zimnym potem i podskoczył na miejscu. Usłyszał dziecięcy śmiech. Dźwięczny dziecięcy śmiech... Od strony torów. Był cztery stacje od ostatnich ludzkich siedzib! W miejscu, gdzie nie ma nawet szczurów, rozumiesz? Było się czego wystraszyć... Wyskakuje ze śpiwora, biegnie między filarami do torów... I widzi... Do stacji podjeżdża pociąg. Prawdziwy, kilka wagonów. Reflektory świecą oślepiającym światłem - włóczęga mógłby stracić wzrok, na szczęście na czas zakrył oczy ręką. Z okien bije żółte światło, w środku siedzą ludzie, i wszystko to odbywa się w pełnej ciszy! Jak makiem zasiał! Nie słychać hałasu silnika, ani stukotu kół. Zupełnie bezdźwięcznie pociąg sunie przez stację i nieśpiesznie odjeżdża w głąb tunelu... Rozumiesz? Facet usiadł jak stał i słabo mu się zrobiło na sercu. A tu ludzie w oknach, jakby żywi, o czymś bezgłośnie rozmawiają... Pociąg, wagon za wagonem, przejeżdża obok niego, a on widzi, że w ostatnim oknie ostatniego wagonu stoi chłopczyk, jakieś siedem lat, i patrzy na niego. Patrzy, pokazuje go palcem, śmieje się... I ten śmiech słychać! Jest tak cicho, że facet słyszy, jak serce mu się kołacze w piersi i jeszcze ten dziecięcy śmiech... Pociąg zagłębia się w tunelu i śmiech dźwięczy coraz ciszej i ciszej... milknie w oddali. I znów pustka. I absolutna, straszliwa cisza.

- I wtedy się obudził? - złośliwie, ale z nadzieją w głosie, spytał Artem.

- Chciałoby się! Rzucił się z powrotem, do wygasłego ogniska, szybko zebrał manatki i biegł bez przerwy aż do Tulskiej. Całą drogę pokonał w godzinę. Zdaje się, bardzo się bał...

Artem milczał, pod wrażeniem opowieści. W namiocie zapanowała cisza. Wreszcie Artem zebrał się w sobie, odkaszlnął upewniając się, że nie załamie mu się głos, i spytał Żeńkę tak obojętnie, jak tylko mógł:

- I co, ty w to wierzysz?

- Po prostu nie pierwszy raz słyszę takie historie o Linii Sierpuchowskiej - odpowiedział tamten. - Tylko nie zawsze ci opowiadam. Przecież z tobą nie da się o tym pogadać jak należy. Od razu zaczynasz robić sobie jaja... Dobra, zasiedzieliśmy się, zaraz trzeba będzie iść do pracy. Zbierajmy się. Pogadamy tam.

Artem niechętnie wstał, przeciągnął się i powlókł do domu, żeby wziąć co nieco do jedzenia do roboty. Ojczym ciągle jeszcze spał, na stacji było całkiem cicho: było już pewnie po sygnale i do końca nocnej zmiany w fabryce zostało mało czasu. Należało się pośpieszyć. Mijając namiot dla gości, w którym zatrzymał się Hunter, Artem zobaczył, że wejście jest odsłonięte, a w środku jest pusto. Coś ścisnęło mu gardło. Zaczęło do niego w końcu docierać, że wszystko, o czym mówił z Hunterem, to nie był sen, że wszystko to naprawdę się stało, a rozwój wydarzeń może mieć na niego całkiem bezpośredni wpływ. A nawet - a bo to wiadomo? - wyznaczyć jego dalsze losy.

Fabryka herbaty znajdowała się w ślepym zaułku, pod zablokowaną śluzą oddzielającą ich od nowego wyjścia z metra, przed prowadzącymi w górę schodami ruchomymi. Fabryką można ją było nazwać tylko bardzo umownie: cała praca odbywała się ręcznie. Strata drogocennego prądu na wyrób herbaty była zbytnim marnotrawstwem.

Za żelaznymi parawanami oddzielającymi teren fabryki od reszty stacji, od ściany do ściany rozciągnięty był metalowy drut, na którym suszyły się oczyszczone kapelusiki grzybów. Kiedy było wyjątkowo wilgotno, rozpalano pod nimi niewielkie ogniska, żeby suszyły się szybciej i nie pokrywały pleśnią. Pod drutami były stoły, na których pracownicy najpierw kroili, a potem kruszyli zasuszone grzyby. Gotową herbatę pakowano w papierowe lub foliowe paczuszki, w zależności od tego, co akurat było na stacji, i dodawali do niej różne ekstrakty i proszki, których skład był trzymany w tajemnicy i znany tylko naczelnikowi fabryki. Tak oto wyglądał nieskomplikowany proces produkcji herbaty. Gdyby nie ciągłe dyskusje w trakcie pracy, osiem godzin krojenia i proszkowania grzybów byłoby z pewnością skrajnie nudnym zajęciem.

Artem pracował na tej zmianie razem z Żeńką i tym rozczochranym facetem o imieniu Kirył, z którym wcześniej stał na warcie. Widząc Żeńkę, Kirył bardzo się ożywił, widać było, że już wcześniej o czymś rozmawiali, i natychmiast zaczął opowiadać mu jakąś historię, widocznie niedokończoną poprzednim razem. Artem nie był zainteresowany słuchaniem od środka, więc całkowicie pogrążył się we własnych myślach. Niedawna opowieść Żeńki o Linii Sierpuchowskiej zaczęła stopniowo blaknąć w pamięci, a na powierzchnię znów wypłynęła rozmowa z Hunterem, o której, wydawało by się, Artem zupełnie zapomniał.

Cóż robić? Zadanie, jakim obarczył go Hunter, było zbyt poważne, aby o nim nie myśleć. A jeśli Hunterowi nie uda się to, co zamierzał? Zdecydował się na kompletnie szalony krok, wybierając się do jaskini wroga, do samego piekła. Niebezpieczeństwo, na które się naraża jest ogromne, a nawet on sam nie zna jego prawdziwych rozmiarów. Może się tylko domyślać, co go czeka za pięćsetnym metrem, tam gdzie niknie ostatni odblask ogniska pograniczników, być może ostatniego na świecie płomienia skrzesanego ludzką ręką na północ od WOGN-u. Wszystko, co wiedział o czarnych, wiedział każdy mieszkaniec stacji, jednak nikt nie decydował się na coś takiego. Tak naprawdę, nie było nawet wiadomo, czy rzeczywiście to na stacji Ogród Botaniczny znajduje się przejście, którym stwory z powierzchni ziemi przenikają do metra.

Prawdopodobieństwo tego, że Hunterowi nie uda się wykonać misji, którą wziął na siebie, było zbyt wysokie. Widocznie zagrożenie idące z północy okazało się tak duże i tak szybko rosło, że nie można było dopuścić do żadnego opóźnienia. Być może Myśliwy wiedział o jego naturze coś, czego nie zdradził ani dyskutując z Suchym, ani w rozmowie z Artemem.

Przy tym chyba świetnie zdawał sobie sprawę z poziomu ryzyka i rozumiał, że może nie podołać swojemu zadaniu, inaczej po co przygotowywałby Artema na taki obrót wydarzeń? Hunter nie wyglądał na nadmiernie strachliwego, a to znaczy, że prawdopodobieństwo tego, iż nie wróci na WOGN, istniało i było nawet całkiem spore.

Ale jak Artem miałby rzucić wszystko i odejść ze stacji nic nikomu nie mówiąc? W końcu Hunter sam bał się uprzedzać kogokolwiek innego, w obawie przed „robaczywymi mózgami”... Czy jest możliwe, by dotrzeć do Polis, do legendarnej Polis, samotnie, pokonując wszystkie te znane i ukryte niebezpieczeństwa, które czekały podróżników w ciemnych i głuchych tunelach? Artem od razu pożałował, że poddał się surowemu urokowi i hipnotyzującemu spojrzeniu Myśliwego, zdradził mu swój sekret i zgodził się spełnić tak ryzykowne polecenie.

- Hej, Artem! Artem! Śpisz tam, czy co? Czemu nie odpowiadasz? - potrząsnął go za ramię Żeńka. - Słyszysz, co mówi Kirył? Jutro wieczorem zbiera się u nas karawana na Ryżską. Mówią, że nasze władze postanowiły się z nimi zjednoczyć, a na razie ślemy im pomoc humanitarną z racji tego, że wkrótce się połączymy. A tamci niby znaleźli jakiś magazyn z kablami. Góra chce taki przeciągnąć między stacjami, gadają, że telefon zrobią. A przynajmniej telegraf. Kirył mówi, że jutro ma wolne i może pójść. A ty chcesz?

Artem pomyślał w tym momencie, że los sam daje mu szansę, by wykonał zadanie, jeśli okaże się to konieczne. Milcząc kiwnął głową.

- Super! - ucieszył się Żeńka. - Ja też się wybieram. Kirył! Zapisz nas, dobrze? O której jutro wychodzimy, o dziewiątej?

Do końca zmiany Artem nie wyrzekł już ani słowa, nie potrafiąc odpędzić zajmujących go mrocznych myśli. Żeńka był wydany na pastwę rozczochranego Kiryła i wyraźnie się za to obraził. Artem nadal mechanicznie szatkował grzyby, kruszył je na proszek, zdejmował z drutu nowe kapelusiki i znów kruszył, i tak w nieskończoność.

Przed oczami stała mu twarz Huntera w chwili, kiedy mówił, że może nie wrócić - spokojna twarz człowieka, który przywykł ryzykować życie. A w sercu, jak plama z atramentu, rozlewało się przeczucie nadciągającego nieszczęścia.

Po pracy Artem wrócił do swojego namiotu. Ojczyma już nie było, widocznie wyszedł załatwiać swoje sprawy. Artem położył się na posłaniu, wtulił twarz w poduszkę i od razu zasnął, choć zamierzał jeszcze raz, w ciszy i spokoju, przemyśleć swoje położenie.

Sen, gorączkowy i pełen majaków ze wszystkich rozmów, myśli i przeżyć minionego dnia, omotał go i wciągnął całkowicie w swoje odmęty. Artem zobaczył siebie siedzącego przy ognisku na stacji Suchariewska, razem z Żeńką i wędrownym magiem o nietypowym hiszpańskim imieniu Carlos. Carlos uczył go i Żeńkę prawidłowo robić kwasa z grzybków i wyjaśniał, że wykorzystywanie go tak, jak to jest przyjęte na WOGN-ie, to zwykła zbrodnia, bo te muchomory tak naprawdę w ogóle nie są grzybami, tylko nowym rodzajem rozumnego życia na Ziemi, który, być może, z czasem zastąpi człowieka. Że owe grzyby to nie niezależne organizmy, a jedynie cząstki jednej, połączonej neuronami całości, rozciągającej się na całe metro gigantycznej grzybni. I że w rzeczywistości każdy, kto pije kwasa, nie tyle przyjmuje środki psychotropowe, a wchodzi w kontakt z tym nowym rodzajem rozumnego życia. I jeśli wszystko zrobić prawidłowo, to można się z nią zaprzyjaźnić, a wtedy będzie pomagać temu, kto komunikuje się z nią poprzez kwasa. Lecz potem nagle pojawił się Suchy i, grożąc palcem, powiedział, że kwasa w ogóle nie można brać, gdyż od jego długotrwałego przyjmowania mózgi stają się robaczywe. I Artem postanowił sprawdzić, czy rzeczywiście tak jest: oznajmił wszystkim, że idzie się przewietrzyć, a sam ostrożnie zaszedł za plecy maga o hiszpańskim imieniu i zrozumiał, że ten nie ma potylicy i widać mu mózg poczerniały od mnóstwa dziur zrobionych przez robaki. Długie białawe robaki, wijąc się w kółko, wgryzały się w tkankę mózgową i tworzyły nowe przejścia, a mag ciągle mówił, jak gdyby nigdy nic... Wtedy Artem

przestraszył się i chciał stamtąd uciec, zaczął ciągnąć Żeńkę za rękaw, żeby wstał i poszedł z nim, ale Żeńka tylko machał na niego niecierpliwie i prosił Carlosa, żeby opowiadał dalej, a Artem widział, jak robaki pełzną po posadzce z głowy maga w stronę Żeńki i, wspinając się po plecach, próbują dostać się mu do uszu...

W tym momencie Artem zeskoczył na tory i rzucił się biegiem co sił, jak najdalej od stacji, lecz przypomniał sobie, że to ten sam tunel, którym nie można chodzić samotnie, a tylko w grupie, odwrócił się i pobiegł z powrotem na stację, ale z jakiegoś powodu nijak nie mógł do niej dotrzeć.

Za plecami nagle zapaliło mu się światło, i Artem, jak na sen porażająco wyraźnie i logicznie zobaczył na dnie tunelu swój cień... Odwrócił się - z głębi metra nieubłaganie jechał na niego pociąg, z diabelskim zgrzytem i hukiem kół, ogłuszając go i oślepiając reflektorami...

Tu nogi odmówiły mu posłuszeństwa, stały się bezsilne, jakby były to tylko puste nogawki, wypchane dla pozoru jakimiś szmatami. I kiedy pociąg był już w odległości kilku metrów od Artema, wizja nagle straciła swój realizm, zblakła i zniknęła.

Zamiast tego pojawiło się przed nim coś nowego, zupełnie innego: Artem ujrzał Huntera ubranego od stóp do głów w śnieżną biel, w pokoju z równie oślepiająco białymi ścianami i bez żadnych mebli. Hunter stał z opuszczoną głową, świdrował oczami podłogę. Potem podniósł wzrok i popatrzył prosto na Artema. Wrażenie było bardzo dziwne, bo w owym śnie Artem nie czuł swojego ciała, lecz patrzył na wydarzenie jakby z boku. Kiedy popatrzył w oczy Hunterowi, wypełnił go niepojęty niepokój, oczekiwanie na coś bardzo ważnego, co już, już miało się wydarzyć...

Hunter odezwał się do niego, i Artema uderzyło poczucie niewiarygodnej realności tego, co się działo. Kiedy poprzednio śniły mu się koszmary, zdawał sobie sprawę z tego, że po prostu śpi i wszystkie wydarzenia, w których bierze udział to tylko płody pobudzonej wyobraźni. W tym widzeniu świadomość tego, że w dowolnym momencie można się obudzić, była całkowicie nieobecna.

Szukając wzroku Artema - choć ten miał wrażenie, że Hunter tak naprawdę go nie widzi i podejmuje te wysiłki na ślepo - Myśliwy powoli i ciężko przemówił: „Nadszedł czas. Musisz wypełnić to, co mi obiecałeś. Musisz to zrobić. Pamiętaj, to nie jest sen! To nie jest sen!”.

Artem szeroko otworzył oczy. I nawet wtedy, w głowie, ostatni raz, przerażająco wyraźnie znów rozległ się głuchy i nieco zachrypnięty głos: „To nie jest sen!”.

- To nie jest sen - powtórzył Artem. Szczegóły koszmaru o robakach i pociągu szybko się zacierały, lecz swoją drugą wizję Artem zapamiętał świetnie, ze wszystkimi detalami. Ciągle miał w głowie dziwny ubiór Myśliwego, zagadkowy, pusty biały pokój, i słowa: „Musisz wypełnić to, co mi obiecałeś!”.

Wszedł ojczym i z niepokojem w głosie spytał Artema:

- Powiedz no, nie widziałeś Huntera po naszej wczorajszej dyskusji? Robi się już wieczór, a on gdzieś przepadł, i namiot pusty. Poszedł czy co? Nic ci wczoraj nie mówił o swoich planach?

- Nie, wujku Saszo, pytał po prostu o sytuację na stacji, co tu się u nas dzieje - sumiennie skłamał Artem.

- Boję się o niego. Oby nie napytał sobie biedy i jeszcze na nas czegoś nie sprowadził - powiedział nerwowo Suchy - Nie wie, z kim ma do czynienia... Ech! A ty co, nie pracujesz dzisiaj?

- Zgłosiliśmy się na dziś z Żeńką do karawany na Ryżską, żeby przekazać im pomoc, a potem zaczniemy stamtąd przeciągać kabel telegraficzny - odpowiedział Artem, uświadamiając sobie nagle, że już podjął decyzję. Z tą myślą coś w jego wnętrzu pękło,

poczuł dziwną ulgę, a przy tym jakąś pustkę w środku, zupełnie jakby wycięto mu z piersi guza ciążącego mu na sercu i przeszkadzającemu oddychać.

- Karawana? Siedziałbyś lepiej w domu, zamiast szlajać się po tunelach. Ja tam powinienem iść, akurat mam sprawę na Ryżskiej, ale nieszczególnie się dziś czuję. Następnym razem na pewno... Ale nie idziesz jeszcze? O dziewiątej? No, to jeszcze będzie czas się pożegnać. Na razie się pakuj! - i zostawił Artema samego.

Chłopak zaczął gorączkowo chować do plecaka rzeczy, które mogły się przydać w drodze: latarka, baterie, więcej baterii, grzyby, paczka herbaty, pasztetowa ze świni, pełny magazynek do automatu, który kiedyś skądś świsnął, plan metra, dodatkowe baterie... Nie można zapomnieć o paszporcie: na Ryżskiej się oczywiście nie przyda, ale już poza jej obrębem pierwszy patrol niezależnej stacji może go zawrócić, a i postawić pod ścianą, w zależności od sytuacji politycznej. Jeszcze kapsułka, którą dał mu Hunter. Wszystko.

Założywszy plecak, Artem ostatni raz obrzucił wzrokiem swój dom i stanowczym krokiem ostatecznie wyszedł z namiotu.

Grupa, która miała ruszać z karawaną, zbierała się na peronie, przy wejściu do południowego tunelu. Na torach stała już ręczna drezyna z załadowanymi skrzyniami z mięsem, grzybami i paczkami z herbatą, a na nich leżał jakiś wymyślny przyrząd, sporządzony przez miejscowych speców, prawdopodobnie aparat telegraficzny.

Oprócz Żeńki i Kiryła w drogę wybierało się jeszcze dwóch ludzi: ochotnik i dowódca przysłany przez administrację, który miał nawiązywać stosunki i prowadzić rozmowy. Wszyscy oprócz Żeńki już się zebrali i grali teraz w domino, w oczekiwaniu na sygnał do wyjścia. W pobliżu stały ułożone w piramidę, lufami w górę, wydane im na czas wyprawy karabiny z zapasowymi magazynkami przyczepionymi do tych pierwszych taśmą izolacyjną.

W końcu pojawił się Żeńka, który przed wyjściem musiał nakarmić siostrę i odesłać ją do sąsiadów do powrotu rodziców z pracy.

W ostatnim momencie Artem nagle przypomniał sobie, że w końcu nie pożegnał się z ojczymem. Przeprosił i obiecał, że za chwilę wróci, rzucił plecak i pobiegł do domu. W namiocie nikogo nie było, i Artem ruszył w stronę pomieszczeń, w których niegdyś przebywał personel metra, a teraz pracowała administracja stacji. Suchy tam był, siedział naprzeciwko Dyżurnego stacji, wybranego w głosowaniu naczelnika WOGN-u, i z ożywieniem z nim dyskutował. Artem zapukał w futrynę i cichutko zakasłał.

- Dzień dobry, Aleksandrze Nikołajewiczu. Mogę porozmawiać sekundkę z wujkiem Saszą?

- Oczywiście Artem, proszę. Herbaty? - serdecznie odrzekł Dyżurny.

- No, co, wychodzicie już? Kiedy będziecie z powrotem? - spytał Suchy, odsuwając się z krzesłem od stołu.

- Nie wiem dokładnie... - wymamrotał Artem. - Zobaczymy jak wyjdzie...

Rozumiał, że może nigdy więcej nie zobaczy ojczyma, i trudno mu było kłamać właśnie jemu, jedynemu człowiekowi, który go naprawdę kocha, że wróci jutro czy pojutrze i wszystko będzie jak dawniej.

Artem poczuł, że pieką go oczy i ze wstydem odkrył, że zrobiły się wilgotne. Zrobił krok do przodu i mocno objął ojczyma.

- No, co ty, Artemka, co ty... Przecież wy już pewnie jutro wrócicie... No? - uspokajał go zdziwiony Suchy.

- Jutro wieczorem, jeśli wszystko pójdzie według planu - potwierdził Aleksander Nikołajewicz.

- Bądź zdrowy, wujku Saszo! Powodzenia! - ochrypłym głosem powiedział Artem, ścisnął ojczymowi dłoń i szybko wyszedł wstydząc się swojej słabości.

Suchy ze zdziwieniem patrzył w ślad za nim.

- Czemu to się chłopak rozkleił? Niby nie pierwszy raz idzie na Ryżską...

- Nie martw się, Sasza, to nic, przyjdzie czas, to zmężnieje ci dzieciak. Będziesz jeszcze tęsknił za czasami, kiedy żegnał się z tobą ze łzami w oczach idąc na wycieczkę dwie stacje dalej! Więc co tam mówiłeś, co myślą na Aleksiejewskiej o patrolowaniu tuneli? Nam by to bardzo pasowało...

Kiedy Artem dołączył biegiem do grupy, dowódca oddziału wydał każdemu karabin za pokwitowaniem i powiedział:

- No co, chłopy? Przysiądziemy przed wyjściem? - i pierwszy usiadł na wypolerowanej przez długie lata drewnianej ławce. Pozostali w milczeniu poszli za jego przykładem. - No, z Bogiem! - dowódca wstał, ciężko zeskoczył na tory i zajął miejsce na czele oddziału.

Artem i Żeńka, jako najmłodsi, wleźli na drezynę gotując się na ciężką pracę. Kirył i drugi ochotnik ulokowali się z tyłu, zamykając oddział.

- Jedziemy! - odezwał się dowódca.

Artem i Żeńka naparli na dźwignie, Kirył popchnął lekko drezynę z tyłu, pojazd skrzypnął, ruszając z miejsca, i powoli potoczyła się naprzód. Zamykający ruszyli w ślad za nim, i grupa zniknęła w czeluści południowego tunelu.

ROZDZIAŁ 4
GŁOS TUNELI

Niepewne światełko latarki dowódcy błądziło bladożółtą plamą po ścianach tunelu, lizało wilgotną ziemię i znikało bez śladu, kiedy latarka kierowała się do przodu. Przed nimi był głęboki mrok, chciwie pożerający słabe promienie kieszonkowych latarek już w odległości dziesięciu kroków. Nudno i przygnębiająco poskrzypywała drezyna, tocząc się donikąd, a ciszę przerywali ciężkimi oddechami i miarowym stukiem podkutych butów idący za nią ludzie.

Wszystkie południowe posterunki zostały już w tyle, dawno już zgasły za ich plecami ostatnie odblaski ognisk - terytorium WOGN-u skończyło się. I chociaż odcinek między WOGN-em a Ryżską był w ostatnich czasach uważany za praktycznie pozbawiony niebezpieczeństw, dzięki dobrym stosunkom sąsiedzkim i dość ożywionej wymianie między stacjami, regulamin nakazywał być ciągle w pogotowiu.

Niebezpieczeństwo wcale nie zawsze pochodziło z północy lub południa - dwóch możliwych kierunków w tunelu. Mogło się czaić w górze, w szybach wentylacyjnych, z lewej lub z prawej strony, w licznych rozgałęzieniach, za zamkniętymi na głucho drzwiami dawnych pomieszczeń gospodarczych czy tajemnych przejść. Czekało w dole, w zagadkowych włazach, pozostawionych przez budowniczych metra, zapomnianych i zasypanych przez ekipy remontowe, gdzie w głębinach miażdżących największych śmiałków uczuciem irracjonalnego lęku zaczęło się lęgnąć coś strasznego, kiedy metro było jeszcze po prostu środkiem komunikacji...

Oto dlaczego promień latarki dowódcy niespokojnie błądził po ścianach, a palce zamykających pochód nieustannie dotykały bezpieczników karabinów, gotowe w każdym momencie włączyć ogień ciągły i nacisnąć spust. Oto dlaczego między idącymi padało tak mało słów: gadanie osłabiało czujność i przeszkadzało w słuchaniu oddechu tuneli.

Artem poczuł już zmęczenie, ale wciąż pracował i pracował, a dźwignia po każdym opuszczeniu znów wracała do dawnej pozycji, mechanizm zgrzytał monotonnie, wciąż i wciąż obracały się koła. Bezskutecznie wpatrywał się w mrok przed sobą, a w głowie, w takt stukotu kół, równie ciężkim i urywanym rytmem, kołatało mu się zdanie, jakie dzień wcześniej usłyszał od Huntera, jego słowa o tym, że władza mroku to najbardziej rozpowszechniona forma rządów na terytorium moskiewskiego metra.

Starał się myśleć o tym, jak właściwie ma się dostać do Polis, próbował układać plany, lecz powoli rozlewający się po mięśniach palący ból i zmęczenie podnoszące się od na wpół zgiętych nóg, poprzez krzyż i ogarniające ręce wypierało mu z głowy wszystkie co bardziej skomplikowane myśli.

Gorący słony pot, z początku zbierający się na czole drobnymi kropelkami, teraz, kiedy krople urosły i stały się ciężkie, zaczął obficie spływać mu po twarzy, zalewał oczy, a nie było kiedy go wytrzeć, bo po drugiej stronie mechanizmu stał Żeńka i puścić dźwignię oznaczało zrzucenie całej pracy na niego. W uszach coraz głośniej huczała krew i Artem przypomniał sobie, że kiedy był mały, lubił przyjmować różne niewygodne pozy, żeby poczuć to pulsowanie w uszach, gdyż ten dźwięk przypominał mu miarowy krok szeregu żołnierzy na defiladzie... I można było zamknąć oczy i wyobrazić sobie, że to on jest przyjmującym tę defiladę marszałkiem, a wierne dywizje wybijają krok przechodząc przed nim i każdy skrajny żołnierz w szeregu równa na niego krok... Jak było to narysowane w książkach o wojsku.

Wreszcie dowódca, nie odwracając się, powiedział:

- Dobra, chłopaki, złaźcie, zamieniajcie się miejscami. Przeszliśmy połowę.

Artem wymienił spojrzenie z Żeńką, zeskoczył z drezyny, i obaj bez uzgadniania usiedli na szynach, chociaż powinni byli zająć pozycję przed i za pojazdem.

Dowódca spojrzał na nich uważnie i rzekł ze współczuciem:

- Smarkacze...

- Smarkacze - ochoczo przyznał Żeńka.

- Wstawajcie, no, nie ma co się rozsiadać. Ruszamy. Opowiem wam ładną bajeczkę.

- My też możemy panu opowiedzieć różne historie! - oznajmił z przekonaniem Żeńka, nie chcąc wstawać.

- Te wasze, to ja wszystkie znam. O tych czarnych, o mutantach... O tych waszych grzybach oczywiście. Ale jest i parę takich, o których nic nie słyszeliście. A może to i nie żadne bajki, tylko akurat nikt nie może tego udowodnić... To jest, bywali tacy, co próbowali, ale czego się dokładnie dowiedzieli, już nam nie mogą opowiedzieć.

Artemowi dość było tego wstępu, by znaleźć u siebie drugi oddech. Teraz każda informacja o tym, co zaczyna się za stacją Prospekt Mira, miała dla niego ogromne znaczenie. Spiesznie wstał z torów, przewiesił karabin z pleców na pierś i zajął swoje miejsce za drezyną.

Małe popchnięcie dla rozpędu i koła znów zaczęły śpiewać swą smętną pieśń. Grupa ruszyła. Dowódca patrzył przed siebie, niespokojnie badając ciemność, dlatego nie wszystko, co mówił, było słychać.

- Ciekaw jestem, co wasze pokolenie w ogóle wie o metrze? - mówił dowódca. - Tak, opowiadacie sobie nawzajem różne bajki. Ktoś tam gdzieś tam był, ktoś inny sam wszystko wymyślił. Jeden drugiemu przerwał historię, którą szepnął mu trzeci, który z kolei podkoloryzował opowieść, usłyszaną przy herbacie od czwartego, a podawał za własne przygody... To główny problem metra: brak niezawodnej komunikacji. Nie ma możliwości szybkiego przemieszczania się z jednego końca na drugi: gdzieś nie ma przejścia, gdzieś jest zagrodzone, gdzieś indziej jakieś dziwactwa się dzieją, a sytuacja codziennie się zmienia... Bo myślicie, że to całe metro jest duże? Pociągiem z jednego końca na drugi jedzie się wszystkiego godzinę. A przecież teraz ludzie idą całymi tygodniami i najczęściej nie dochodzą. I nigdy nie wiesz, co cię tak naprawdę czeka za zakrętem. Teraz niby wyprawiliśmy się na Ryżską z pomocą humanitarną... Ale problem w tym, że nikt - w tym ja i Dyżurny - nie da głowy, czy kiedy tam przyjdziemy nie przywitają nas gradem ołowiu. Albo że stacja będzie doszczętnie spalona, bez żywej duszy. Albo nagle się okaże, że Ryżska należy teraz do Hanzy i dlatego nie ma i nigdy nie będzie dla nas przejścia do pozostałej części metra. Nie ma dokładnych informacji... Wczoraj rano dostałem wieści - wszystkie jeszcze przed wieczorem się zdezaktualizowały i polegać na nich dzisiaj nie można. Zupełnie jakby iść przez ruchome piaski według mapy sprzed stu lat. Gońcy tak długo idą, że wiadomości, które niosą, często okazują się już albo niepotrzebne, albo nieprawdziwe. Prawda ulega zniekształceniu. Ludzie nigdy nie znajdowali się w takich warunkach... I strach pomyśleć co się stanie, jak skończy nam się paliwo do generatorów i nie będzie już prądu. Czytaliście *Wehikuł czasu* Wellsa? Tam byli tacy Morlokowie...

Dla Artema była to już druga rozmowa w tym stylu w ciągu ostatnich dwóch dni, wiedział już o Morlokach i Herbercie Wellsie i jakoś nie chciał znów o nich słuchać. Dlatego, nie zważając na Żeńkę, który próbował protestować, zdecydowanie popchnął rozmowę z powrotem na dawne tory:

- No, a co wiadomo o metrze waszemu pokoleniu?

- Hmm... Mówić o diabelstwie w tunelach to zły omen... O Metrze-2 i Niewidzialnych Obserwatorach? Nie będę. Ale o tym, gdzie kto mieszka, mogę opowiedzieć coś niecoś ciekawego. Wiecie, na przykład, że tam, gdzie kiedyś była Puszkińska - jest tam przejście na dwie inne stacje, Czechowską i Twerską - wszystko to teraz zajęli faszyści?

- Jacy znów faszyści? - z niedowierzaniem spytał Żeńka.

- Nasi, rodzimi. Kiedyś, dawno, kiedy jeszcze żyliśmy tam - dowódca wskazał palcem sklepienie - też tacy byli. Byli faszyści z ogolonymi głowami i jeszcze tacy, co się nazywali RJN[2], i inne jeszcze kloce, przeciwni imigracji, i różni tam jeszcze, taka już była w tamtych czasach moda. Licho wie, co znaczą te skróty, teraz już nikt nie pamięta, nawet oni już pewnie nie pamiętają. Potem jakby zniknęli. Ani widu, ani słychu. Aż tu nagle, jakiś czas temu, objawili się na Puszkińskiej. „Metro dla Rosjan!" Słyszeliście coś takiego? Albo: „Dobra rzecz - obcy precz!". Wyrzucili wszystkich nie-Rosjan z Puszkińskiej, potem z Czechowskiej, dotarli do Twerskiej. Pod koniec zrobiły się z nich zwierzęta, zaczęły się pogromy. Teraz zrobili sobie Rzeszę. Czwartą czy piątą... Coś koło tego. Dalej na razie niby nie idą, ale nasze pokolenie jeszcze pamięta historię dwudziestego wieku. Ale że faszyści... Zresztą mutanty z Filewskiej, jakby kto pytał, istnieją naprawdę... A nasi czarni, ile są warci! I są jeszcze różni sekciarze, sataniści, komuniści... Panoptikum. Po prostu panoptikum.

Jadąc minęli wyważone drzwi do opuszczonych pomieszczeń służbowych. Wcześniej były tam czy to łazienki, czy to schrony... Całe wyposażenie - żelazne piętrowe łóżka, albo ciężki sprzęt sanitarny - dawno już zabrano i nikt się już teraz nie pchał do pustych ciemnych pokojów porozrzucanych po tunelach. Chociaż wszyscy niby wiedzieli, że niczego tam nie ma... Ale licho nie śpi!

Przed nimi dało się zauważyć słabe migotanie. Zbliżali się do Aleksiejewskiej. Stacja była słabo zaludniona i wystawiała tylko jeden posterunek, na pięćdziesiątym metrze - na więcej nie mogli sobie pozwolić. Dowódca dał rozkaz zatrzymać się jakieś 40 metrów od ogniska rozpalonego przez wartowników z Aleksiejewskiej, i kilka razy włączył i wyłączył latarkę w określonej kolejności dając umówiony sygnał. Na tle płomieni zarysowała się czarna sylwetka - szedł do nich kontroler. Będąc jeszcze daleko, krzyknął:

- Stójcie w miejscu! Nie zbliżajcie się!

Artem zadał sobie pytanie: czyżby naprawdę mogło się tak zdarzyć, że kiedyś nie wezmą ich za swoich na stacji, która zawsze uważała się za zaprzyjaźnioną, i przyjmą jak wrogów?

Człowiek zbliżył się do nich nie śpiesząc się. Ubrany był w wytarte spodnie w panterkę i waciak z grubo namalowanym znakiem „A" - widocznie pierwszą literą nazwy stacji. Zapadłe policzki miał nieogolone, oczy podejrzanie mu błyszczały, a ręce nerwowo gładziły lufę wiszącego na szyi automatu. Przypatrzył się ich twarzom, a poznając, uśmiechnął się i na znak zaufania zarzucił karabin na plecy.

- Czołem, chłopcy! Żyjecie jakoś? Na Ryżską idziecie? Wiemy, wiemy, uprzedzali nas. Chodźcie!

Dowódca zaczął o coś wypytywać wartownika, ale niewyraźnie, i Artem, w nadziei, że jego też nikt nie usłyszy, powiedział cicho do Żeńki:

- Jakiś wygłodniały. Wydaje mi się, że nie z sympatii wzięli się do tego sojuszu z nami.

- No, i co z tego? - odparł jego przyjaciel. - My też mamy swoje interesy. Jeśli nasza administracja na to idzie, to znaczy, że tego potrzebujemy. To, że zamierzamy ich karmić, to nie filantropia.

Minąwszy ognisko na pięćdziesiątym metrze, gdzie siedział drugi wartownik, ubrany tak samo jak człowiek, który ich powitał, drezyna wtoczyła się na stację. Aleksiejewska była słabo oświetlona, a zamieszkujący ją ludzie wydawali się małomówni i ponurzy. Na gości z WOGN-u patrzyli jednak przyjaźnie. Grupa zatrzymała się pośrodku peronu i dowódca

[2] Rosyjska Jedność Narodowa - ultraprawicowa partia rosyjska powstała w latach dziewięćdziesiątych XX wieku [przyp. tłum.].

zarządził przerwę na dymka. Artema z Żeńką zostawili na drezynie - żeby pilnowali, a resztę wezwali do ogniska.

- O faszystach i Rzeszy to ja jeszcze niczego nie słyszałem - powiedział Artem.

- Mnie opowiadali, że gdzieś w metrze są faszyści - odrzekł Żeńka. - Ale mówili tylko, że są na Nowokuźnieckiej.

- Kto tak mówił?

- Lecha opowiadał - niechętnie przyznał Żeńka.

- Dużo ciekawych rzeczy ci opowiadał - przypomniał Artem.

- Ale faszyści przecież naprawdę istnieją! No, pomylił chłopak miejsce. Ale przecież nie skłamał! - tłumaczył się przyjaciel.

Artem umilkł i zamyślił się. Przerwa na Aleksiejewskiej powinna potrwać nie krócej niż pół godziny: dowódca prowadził jakąś rozmowę z miejscowym naczelnikiem - pewnie o mającym nastąpić połączeniu. Potem powinni byli ruszyć dalej, żeby przed końcem dnia dojść do Ryżskiej. Po noclegu, rozwiązaniu wszystkich kwestii i obejrzeniu znalezionego kabla, należałoby wysłać z powrotem gońca po dalsze wytyczne. Jeśli kabel będzie można wykorzystać do komunikacji między trzema stacjami, będzie trzeba go rozwinąć i tworzyć łączność telefoniczną. Ale jeśli okaże się, że się nie nadaje, przyjdzie od razu wracać na stację.

W ten sposób Artem miał do dyspozycji nie więcej niż dwa dni. W tym czasie koniecznie musiał wynaleźć pretekst, pod którym można by było przebić się przez posterunki graniczne Ryżskiej, jeszcze bardziej podejrzliwe i upierdliwe od patroli WOGN-u. Ich nieufność była w pełni uzasadniona: tam, na południu, zaczynało się wielkie metro i południowa granica Ryskiej była celem ataków o wiele częściej. Niechby niebezpieczeństwa grożące ludności Ryżskiej były nie tak tajemnicze i straszne jak zagrożenie wiszące nad WOGN-em, ale cechowała je za to niewiarygodna różnorodność. Żołnierze broniący południowych dojść do Ryżskiej nigdy nie wiedzieli czego się spodziewać i dlatego musieli być gotowi na wszystko.

Od Ryżskiej do Prospektu Mira prowadziły dwa tunele. Zasypanie jednego z nich z jakichś powodów nie było możliwe i mieszkańcom stacji przychodziło obstawiać jeden i drugi. Zużywali na to zbyt wiele sił, dlatego właśnie tak ważne było dla nich zabezpieczenie choćby od północy. Jednocząc się z Aleksiejewską i, co najważniejsze, z WOGN-em, przerzucali ciężar obrony z tego kierunku na ich barki i zapewniali spokój w tunelach między stacjami, a to oznacza możliwość wykorzystania ich do celów gospodarczych. Zaś na stacji WOGN widziano w tym dobry pretekst do rozszerzenia swoich wpływów, terytorium i potęgi.

W związku ze zbliżającym się zjednoczeniem, posterunki graniczne Ryżskiej przejawiały podwyższoną czujność: konieczne było dowieść przyszłym sojusznikom, że w kwestii obrony południowych rubieży można na nich liczyć. Dlatego przedostanie się przez nie tak w jednym, jak i w drugim kierunku wydawało się sprawą bardzo trudną, za trudną. I problem ten Artem musiał rozwiązać w ciągu jednego, najwyżej dwóch dni.

Jednak, mimo swego skomplikowania, nie był to wcale problem nierozwiązywalny. Pytanie brzmiało: co robić dalej. Nawet jeśli uda się przeniknąć za południową granicę, trzeba jeszcze znaleźć względnie bezpieczną drogę do Polis. Ponieważ decyzję trzeba było podjąć szybko, na WOGN-ie Artem nie miał właściwie czasu przemyśleć swojej trasy do Polis. W domu mógłby wypytać o niebezpieczeństwa znajomych straganiarzy bez wzbudzania niczyich podejrzeń. Pytać o drogę Żeńkę, a tym bardziej innego członka oddziału, Artem nie chciał, bo świetnie rozumiał, że z pewnością wzbudzi to podejrzenia, a już Żeńka będzie dobrze wiedział, że Artem coś ukrywa. Przyjaciół ani na Aleksiejewskiej, ani na Ryżskiej Artem nie miał, a nie zamierzał wierzyć nieznajomym w tak ważnej kwestii.

Korzystając z tego, że Żeńka odszedł pogadać z siedzącą nieopodal na peronie dziewczyną, Artem ukradkiem wydobył z plecaka mały plan metra, wydrukowany na odwrocie przypalonej na skrajach ulotki reklamowej, zachwalającej dawno nieistniejący bazar z ciuchami, i kilka razy obrysował Polis ogryzkiem zwykłego ołówka.

Droga do niego wydawała się tak prosta i krótka... W tych mitycznych, starodawnych czasach, o których opowiadał dowódca, kiedy ludzie nie potrzebowali broni podróżując od stacji do stacji, nawet jeśli trzeba się było przesiąść i znaleźć na obcej linii; w czasach, kiedy droga od jednej końcowej stacji do drugiej nie zajmowała nawet godziny; w tych czasach, kiedy tunele przemierzały tylko grzmiące, pędzące pociągi - wtedy odległość dzielącą WOGN i Polis można było pokonać szybko i bez przeszkód.

Prosto, wzdłuż linii do Turgieniewskiej, tam przejść na Czystyje Prudy, jak nazywała się stacja na stareńkim planie, który oglądał Artem, czy też Kirowską, na którą znów przemianowali ją komuniści, i czerwoną, Sokolniczeską linią prosto do Polis... W epoce pociągów i lamp światła dziennego taka wyprawa nie zajęłaby nawet trzydziestu minut. Ale od kiedy słowa „czerwona linia" zaczęto pisać z wielkich liter, czerwona flaga zawisła nad przejściem na Czystyje Prudy, a i same Czystyje Prudy przestały nimi być, nie można było nawet myśleć o tym, żeby próbować dostać się do Polis najkrótszą drogą.

Ze znanych powodów władze Linii Czerwonej dały spokój próbom uszczęśliwienia na siłę ludności całego metra przez objęcie jej władzą Rad, i przyjęły nową doktrynę, dopuszczającą możliwość budowy komunizmu na wydzielonej linii metra. Chociaż, nie potrafiąc zrezygnować ze swego marzenia, wciąż ambitnie nazywały je Metrem im. W.I. Lenina, żadnych praktycznych kroków w tym kierunku dawno już nie przedsiębrały.

Mimo to, nie bacząc na pozorne pokojowe nastawienie reżimu, jego wewnętrzna paranoiczna istota ani trochę się nie zmieniła. Setki agentów służby bezpieczeństwa wewnętrznego, dawnym zwyczajem i nawet z pewną nostalgią nazywanej KGB, stale uważnie śledziło szczęśliwych mieszkańców Linii Czerwonej, a już ich zainteresowanie gośćmi z innych linii było prawdziwie bezgranicznie. Bez specjalnego zezwolenia władz „czerwonych" nikt nie mógł przeniknąć na żadną z ich stacji. A ciągłe sprawdzanie paszportów, permanentna inwigilacja i ogólna kliniczna podejrzliwość szybko wyławiały zarówno obcych wędrowców, którzy zabłądzili tu przypadkiem, jak i specjalnie wysłanych szpiegów. Pierwszych zrównywano z drugimi, los jednych i drugich był bardzo smutny. Dlatego Artemowi nie przyszło nawet do głowy, żeby dostać się do Polis przez trzy stacje i trzy tunele należące do Linii Czerwonej.

Bo i nie mogła być tak prosta droga do samego serca metra. Do Polis... Sama ta nazwa, wymówiona przez kogoś w rozmowie, zmuszała Artema, i nie tylko jego, by milkł z szacunkiem. Jeszcze dzisiaj pamiętał ze szczegółami, kiedy pierwszy raz usłyszał nieznajome słowo w opowieści jakiegoś gościa ojczyma, a potem, kiedy ów gość poszedł, spytał cichutko Suchego, co to słowo znaczy. Ojczym popatrzył wtedy na niego uważnie i z ledwo zauważalnym smutkiem w głosie powiedział: „To jest, Artemka, pewnie ostatnie miejsce na Ziemi, gdzie ludzie żyją jak ludzie. Gdzie nie zapomnieli jeszcze co to znaczy »człowiek«, i jak właściwie to słowo powinno brzmieć". Ojczym uśmiechnął się smutno i dodał: „To jest Miasto...".

Polis znajdowała się w miejscu największego w moskiewskim metrze przejścia między stacjami, na skrzyżowaniu czterech różnych linii, i zajmowała całe cztery stacje metra: Aleksandrowski Sad, Arbacką, Borowicką i Bibliotekę im. Lenina, razem z łączącymi te stacje przejściami. Na tym ogromnym terytorium mieściło się ostatnie autentyczne ognisko cywilizacji, ostatnie miejsce, w którym mieszkało tyle ludzi, że przebywający tam niekiedy prowincjusze nie nazywali go później inaczej niż Miasto. Ktoś dał Miastu inną nazwę, oznaczającą w sumie to samo: Polis. I może stąd, że w tym słowie

dało się słyszeć dalekie i ledwo wyczuwalne echo potężnej i pięknej starożytnej kultury, która jakby obiecywała opiekę nad tym skupiskiem ludzkim, obca nazwa przyjęła się.

Polis pozostawała dla metra zjawiskiem zupełnie wyjątkowym. Tam i tylko tam można było spotkać strażników tych starych i dziwnych gałęzi wiedzy, które nie znajdowały po prostu zastosowania w surowym nowym świecie, z jego zmienionymi prawami. Wiedza ta była dla mieszkańców prawie wszystkich pozostałych stacji, właściwie dla całego, pogrążającego się powoli w otchłani chaosu metra, tak bezużyteczna, jak i jej posiadacze. Zewsząd wyganiani, swoją jedyną przystań znajdowali w Polis, gdzie oczekiwano ich zawsze z otwartymi ramionami, gdyż rządzili tu ich współbracia. Dlatego w Polis i tylko w Polis można było spotkać zgrzybiałych profesorów, którzy kiedyś mieli swoje katedry na słynnych uniwersytetach, teraz na wpół zburzonych, opuszczonych, przejętych przez szczury i pleśń. Tylko tam mieszkali ostatni artyści, twórcy, poeci. Ostatni fizycy, chemicy, biolodzy... Ci, którzy pod sklepieniem swoich czaszek przechowywali wszystko, co ludzkości udało się osiągnąć i odkryć przez tysiące lat nieprzerwanego rozwoju. Ci, z których śmiercią wszystko to zostałoby stracone na wieki.

Polis znajdowała się w miejscu, gdzie niegdyś było samo centrum miasta, od którego imienia nazwano metro. Przy tym, dokładnie nad Polis wznosił się gmach Biblioteki im. Lenina - najobszerniejszego zbioru informacji minionej epoki. Setki tysięcy książek w dziesiątkach języków, obejmujących z pewnością wszystkie obszary, w których pracowała ludzka myśl i gromadzono informacje. Setki ton papieru usianego wszelkimi możliwymi literami, znakami, hieroglifami, z których części nie miał już kto czytać, wszak języki, w których były napisane, zginęły wraz z mówiącymi w nich narodami... Lecz wciąż ogromną liczbę książek można było jeszcze przeczytać i zrozumieć, i umarli setki lat temu ludzie, którzy je napisali, mogli wiele jeszcze opowiedzieć żyjącym.

Ze wszystkich tych nielicznych konfederacji, imperiów i po prostu potężnych stacji, które były w stanie wysyłać na powierzchnię ekspedycje, tylko Polis wyprawiała stalkerów po książki. Tylko tam wiedza miała taką wartość, że ludzie byli gotowi ryzykować życie ochotników, płacić bajeczne honoraria najemnikom i odmawiać sobie dóbr materialnych, aby zdobyć dobra duchowe.

Mimo pozornej niepraktyczności i idealizmu swoich władz, Polis przetrwała przez te wszystkie lata, a bieda obchodziła ją z daleka, zaś jeśli coś groziło jej bezpieczeństwu, zdawało się, że całe metro gotowe było połączyć siły, by ją obronić. Echa ostatnich zmagań, do których doszło tam w czasie pamiętnej wojny między Linią Czerwoną a Hanzą już ucichły i wokół Polis znów zapanowała czarodziejska aura niedostępności i dobrobytu.

I kiedy Artem myślał o tym zdumiewającym miejscu, nie dziwiło go, że droga do niego zwyczajnie nie może być łatwa, musi obowiązkowo być zawiła, pełna niebezpieczeństw i prób, inaczej sam cel wyprawy straciłby część swojej zagadkowości i czaru.

Jeżeli droga przez Kirowską, Linią Czerwoną do Biblioteki im. Lenina wydawała się niemożliwa do pokonania i zbyt ryzykowna, to minąć posterunki Hanzy i przejść po Linii Okrężnej można było spróbować. Artem uważniej wpatrzył się w przypalony plan. Jeśli udałoby mu się przeniknąć na wewnętrzne terytorium Hanzy, po wymyśleniu jakiegokolwiek pretekstu, zagadaniu wartowników, przebiciu się siłą czy jeszcze inaczej, wtedy droga do Polis byłaby całkiem krótka. Artem przytknął palec do planu i powiódł nim wzdłuż linii. Gdyby zejść z Prospektu Mira w prawo, wzdłuż Okrężnej, zaledwie dwie stacje należące do Hanzy dalej, wyszedłby na Kurską. Tam można by było zmienić linię na Arbacko-Pokrowską, a stamtąd już rzut kamieniem do Arbackiej, czyli do samej Polis. Co prawda na drodze stał Plac Rewolucji, oddany po wojnie Linii Czerwonej w zamian za Bibliotekę im. Lenina, ale przecież czerwoni zagwarantowali wolny tranzyt wszystkim podróżnym, co było jednym z głównych punktów traktatu pokojowego. I ponieważ Artem w

ogóle nie zamierzał wchodzić na stację jako taką, a jedynie przejść obok, to w zasadzie powinni go przepuścić bez przeszkód. Po zastanowieniu postanowił pozostać na razie przy tym planie i spróbować dowiedzieć się po drodze więcej o tych stacjach, przez które miał przejść. Jeśli coś nie pójdzie zgodnie z planem, powiedział do siebie, to zawsze będzie można znaleźć zapasową trasę. Wpatrując się w splot wielu stacji Artem pomyślał, że dowódca jednak lekko przesadził malując trudności podczas nawet najkrótszych wypraw po metrze. Na przykład, można było zejść z Prospektu Mira nie w prawo, a w lewo - Artem pociągnął palcem w dół, wzdłuż Linii Okrężnej - do Kijewskiej, a tam przejściem czy Linią Filewską, czy Arbacko-Pokrowską tylko dwie stacje do Polis. Zadanie nie wydawało się już Artemowi niemożliwe do wykonania. To małe ćwiczenie z planem dodało mu wiary w siebie. Wiedział teraz jak działać i nie wątpił już, że kiedy karawana dotrze do Ryżskiej, nie wróci z grupą do domu, na WOGN, a będzie kontynuował wyprawę do Polis.

- Studiujesz plan? - spytał go nad samym uchem Żeńka, który podszedł do Artema tak, że ten nie zauważył go, pogrążony w swoich myślach.

Zaskoczony, Artem aż podskoczył w miejscu i w zmieszaniu próbował schować plan.

- Nie, nie... Ja, tego... Chciałem znaleźć te stacje, w których jest ta Rzesza, o której nam dziś opowiadali.

- No i co, znalazłeś? Nie? Ech ty, daj, pokażę ci - z poczuciem wyższości powiedział Żeńka.

W rozkładzie stacji orientował się o wiele lepiej od Artema, od innych swoich rówieśników też, i bardzo był z tego dumny. Za pierwszym razem bezbłędnie wskazał potrójne przejście między Czechowską, Puszkińską i Twerską. Artem westchnął z ulgą, lecz Żeńka uznał, że to zazdrość.

- To nic, przyjdzie czas, że też będziesz się orientował w tych sprawach nie gorzej ode mnie - chciał pocieszyć Artema.

Ten zrobił minę oznaczającą wdzięczność i szybko zmienił temat rozmowy.

- A ile będzie trwała przerwa? - spytał.

- Młodzież! Wstajemy! - rozległ się dźwięczny bas dowódcy i Artem zrozumiał, że to koniec odpoczynku, i w końcu nie udało mu się nic zjeść.

Znów przyszła kolej, by wsiadł z Żeńką na drezynę. Zazgrzytał mechanizm, zastukały o beton kirzowe buty i grupa znów weszła do tunelu.

Tym razem oddział szedł naprzód w milczeniu, i tylko dowódca, zawoławszy do siebie Kiryła, szedł z nim równym krokiem i o czymś cichutko dyskutował. Artem nie miał ani chęci, ani sił, by ich podsłuchiwać - całą jego energię pochłaniała przeklęta drezyna.

Zamykający pochód, pozostawiony sam, czuł się wyraźnie nieswojo i co chwilę bojaźliwie oglądał się za siebie. Artem stał na drezynie twarzą w jego stronę i doskonale widział, że akurat z tyłu nie ma niczego strasznego, ale kusiło, żeby obejrzeć się przez ramię i popatrzeć w przód, w głąb tunelu. Ten strach i niepewność prześladowały go cały czas, zresztą nie tylko jego. Każdy samotny podróżny zna to uczucie. Wymyślono nawet dla niego własną nazwę, „strach tunelu" - kiedy idzie się tunelem, szczególnie ze słabą latarką, cały czas wydaje się, że niebezpieczeństwo jest tuż za plecami. Czasem wrażenie to tak się nasila, że czuje się na potylicy czyjś ciężki wzrok, a nawet wcale nie wzrok... Kto wie, kto lub co tam jest i jak postrzega świat... Bywa też, że dręczy to człowieka nie do wytrzymania, a gdy odwróci się błyskawicznie, wyceluje latarką w ciemność, nie ma tam nikogo... Cisza... Pustka... Wszystko wydaje się spokojne. Ale póki patrzysz przed siebie, aż do bólu oczu wpatrujesz się w mrok, to coś gęstnieje za twoimi plecami, znów za plecami, i znów masz ochotę rzucić się do przodu, oświetlić tunel za sobą i sprawdzić, czy nikogo tam nie ma, czy ktoś nie podszedł, kiedy patrzyłeś w drugą stronę... I znów... Najważniejsza rzecz to nie tracić panowania nad sobą, nie poddać się temu lękowi, przekonać samego siebie, że to wszystko bzdury, że nie ma się czego bać, że nic tam nie było słychać...

Lecz bardzo trudno być opanowanym, szczególnie kiedy idziesz sam. Ludzie tracili w ten sposób zmysły. Po prostu nie mogli się więcej uspokoić, nawet kiedy dotarli do zamieszkanej stacji. Potem, oczywiście, stopniowo dochodzili do siebie, ale nie mogli już się zmusić, by ponownie wejść do tunelu - natychmiast ogarniała ich ta sama dławiąca trwoga, znana każdemu mieszkańcowi metra, która jednak dla nich zmieniła się w zgubną chorobę.

- Nie bój się, patrzę! - krzyknął Artem, by dodać otuchy zamykającemu. Ten kiwnął głową, ale po paru minutach nie wytrzymał i znów się obejrzał. Trudno wytrzymać...

- Jeden znajomy Siergieja dokładnie w ten sposób odleciał - cicho powiedział Żeńka, domyślając się o co chodzi Artemowi. - On miał co prawda poważniejszy powód. Postanowił, rozumiesz, samemu przejść ten sam tunel na Suchariewskiej, pamiętasz, o którym ci kiedyś opowiadałem. Tam, gdzie samotny człowiek nijak nie może przejść, a z karawaną prościutko? Chłopak przeżył. A wiesz dlaczego przeżył? - Żeńka krzywo się uśmiechnął. - Bo nie starczyło mu odwagi, żeby dojść dalej niż do setnego metra. Jak tam szedł, to taki był dzielny i zdecydowany. Ha... Wrócił po dwudziestu minutach - oczy wytrzeszczone, włosy mu dęba stoją ze strachu, ani słowa po ludzku nie potrafi wymówić. I niczego się już od niego nie dowiedzieli - od tej pory gada jakoś bez sensu, a głównie mamrocze. I w żadnym tunelu już nogi nie postawił, więc sterczy ciągle na Suchariewskiej i żebrze. Teraz jest tamtejszym wioskowym głupkiem. Morał jest jasny?

- Tak - niepewnie powiedział Artem.

Przez jakiś czas oddział poruszał się w pełnej ciszy. Artem znów pogrążył się w swoich rozmyślaniach i szedł tak dość długo próbując wymyślić jakieś wiarygodne kłamstwo, którego można byłoby użyć na blokadzie przy wyjściu z Ryżskiej.

Ciągnęło się to tak długo, aż dotarło do niego, że myśleć przeszkadza mu wciąż narastający dziwny szum, dochodzący z tunelu przed nimi. Odgłos ten, z początku prawie niesłyszalny, gdzieś na chwiejnej granicy między dźwiękami słyszalnymi dla ludzkiego ucha a ultradźwiękami, powoli i całkiem niezauważalnie stawał się głośniejszy, tak że nie dało się określić momentu, kiedy Artem zaczął go słyszeć. W chwili, gdy to spostrzegł, dźwięk był już całkiem silny, przypominając najbardziej świszczący szept - niezrozumiały, nieludzki.

Artem szybko zerknął na pozostałych. Wszyscy szli zgodnie i w ciszy. Dowódca nie rozmawiał już o niczym z Kiryłem, Żeńka rozmyślał o jakichś swoich sprawach, a zamykający spokojnie patrzył w przód, nie kręcąc się już nerwowo. Żaden z nich nie okazywał najmniejszego niepokoju. Nic nie słyszeli. Nic! Artem poczuł lęk. Spokój i milczenie całej grupy, jeszcze bardziej zauważalne na tle narastającego świstu, były zupełnie niepojęte i przerażające. Artem puścił dźwignię drezyny i wyprostował się. Żeńka popatrzył na niego ze zdziwieniem. Oczy miał jasne, nie było w nich ani ślady otumanienia, czy czegoś podobnego, co bał się w nich znaleźć Artem.

- A ty co? - zapytał z niezadowoleniem. - Zmęczyłeś się, czy co? Powiedziałbyś zawczasu, a nie - rzucasz tak po prostu.

- Niczego nie słyszysz? - z niedowierzaniem spytał Artem, i coś w jego głosie sprawiło, że Żeńka zmienił się na twarzy.

Zaczął nasłuchiwać nie przestając pracować rękami. Drezyna jednak zwolniła, bo Artem wciąż jeszcze stał z wyrazem zakłopotania, łowiąc odgłosy tajemniczego szumu.

Dowódca zauważył to i odwrócił się.

- Co z wami? Bateryjki się skończyły?

- Niczego pan nie słyszy? - spytał go Artem.

W tej samej chwili do serca zakradło mu się straszne uczucie, że tak naprawdę nie ma żadnego szumu - proszę, nikt niczego nie słyszy. Po prostu odbił mu dekiel i ma zwidy

ze strachu... Od tych wszystkich opowiadań i nieodstępującego ich, skradającego się zaraz za plecami zamykającego, mroku.

Dowódca dał znak, by się zatrzymać, by nie przeszkadzało skrzypienie drezyny i stukot butów, i zamarł. Ręce podniosły mu się do karabinu, stał nieruchomo i naprężony wsłuchiwał się obróciwszy się jednym uchem w stronę tunelu.

Dziwny dźwięk był obecny cały czas, Artem słyszał go teraz wyraźnie, i im był wyraźniejszy, tym uważniej Artem wpatrywał się w twarz dowódcy, próbując zrozumieć, czy ten słyszy to wszystko, co napełniało świadomość chłopaka nasilającym się niepokojem.

Lecz twarz dowódcy stopniowo się wypogodziła i Artema uderzyło gorące poczucie wstydu. Trudno, żeby było inaczej: zatrzymał oddział przez jakieś głupoty, stchórzył i jeszcze innych przestraszył.

Żeńka najwidoczniej też niczego nie słyszał, chociaż i próbował. Porzucając w końcu to zajęcie spojrzał na Artema ze zjadliwym uśmieszkiem i, zaglądając mu w oczy, spytał z przejęciem:

- Haluny?

- Odwal się! - z niespodziewanym rozdrażnieniem rzucił Artem. - Co wy, ogłuchliście wszyscy, czy co?

- Haluny! - podsumował z przekonaniem Żeńka.

- Cisza. Zupełnie nic nie słychać. Widocznie ci się wydawało. To nic, zdarza się, nie napinaj się, Artem. Do roboty i jedziemy dalej - miękko, z wyczuciem sytuacji, powiedział dowódca i sam ruszył naprzód.

Artemowi nie pozostało nic innego, jak wrócić na miejsce. Szczerze próbował utwierdzić się, że ten szept tylko mu się przywidział, że to wszystko z napięcia, próbował się rozluźnić i nie myśleć o niczym w nadziei, że razem z wirującymi w panice myślami, z głowy uda się wyrzucić i ten diabelski szum. Na jakiś czas udało mu się zatrzymać myśli, ale w opustoszałej na mgnienie oka głowie dźwięk stał się donośny, głośniejszy i wyraźniejszy. Nabierał mocy w miarę jak wszyscy przemieszczali się coraz dalej na południe, a gdy nasilił się tak, że Artemowi wydało się, że wypełnił całe metro, nagle zauważył, że Żeńka pracuje tylko jedną ręką, a drugą, widocznie nieświadomy tego, co robi, trze sobie uszy.

- Co ty? - szepnął do niego Artem.

- Nie wiem... Zatykają się... Jakoś swędzi... - odezwał się Żeńka.

- A niczego nie słyszysz? - z cieniem nadziei spytał Artem.

- Nie, słyszeć to nie słyszę, ale jakoś uszy mi zatyka - szepnął w odpowiedzi Żeńka, a w jego głosie z niedawnej ironii nie zostało już śladu.

Dźwięk sięgnął apogeum i wtedy Artem pojął skąd on dochodzi. Jedna z rur biegnących wzdłuż ścian tunelu, mieszczących kable telefoniczne i licho wie co jeszcze, w tym miejscu dosłownie pękła i to właśnie z tej czarnej czeluści obramowanej poszarpanymi, sterczącymi w różnych kierunkach żelaznymi drzazgami wydobywał się ów dziwny szum. Dochodził z głębi rury i ledwo Artem zdążył pomyśleć o tym, czemu nie ma w niej żadnych przewodów ani niczego innego, a tylko całkowita pustka i ciemność, gdy dowódca nagle się zatrzymał i powoli, z wysiłkiem powiedział:

- Chłopcy, może, tego... Zróbmy przerwę, coś źle się czuję. Mam jakiś mętlik w głowie.

Zbliżył się na miękkich nogach do drezyny, żeby przysiąść na jej skraju, ale krok od niej runął jak wór na ziemię. Żeńka patrzył na niego z zakłopotaniem i tarł uszy już dwiema rękami, nie ruszając się z miejsca. Kirył z jakiegoś powodu szedł dalej sam, jak gdyby nic się nie stało, nie reagując w żaden sposób na wołanie. Zamykający usiadł na szynach i nieoczekiwanie rozpłakał się bezsilnie jak dziecko. Latarka wycelowana była w sklepienie tunelu i cała ta scena oświetlona z dołu stała się jeszcze bardziej złowieszcza.

Artem spanikował. Najwidoczniej z całego ich oddziału tylko on nie stracił zmysłów, lecz dźwięk stał się kompletnie nie do wytrzymania, nie pozwalając skupić się na żadnej, choćby nieco bardziej złożonej myśli.

W rozpaczy zatkał sobie uszy i to trochę pomogło. Wtedy z rozmachem wymierzył policzek Żeńce, który z ogłupiałą miną tarł sobie uszy, i wrzasnął do niego starając się zagłuszyć hałas, zapomniawszy, że był on słyszalny tylko dla niego:

- Podnieś dowódcę! Połóż go na drezynie! W żadnym wypadku nie możemy tu zostać! Trzeba się stąd zabierać! - i, podnosząc z ziemi latarkę, rzucił się za Kiryłem, kroczącym jak lunatyk coraz dalej i dalej, już na ślepo, bo bez latarki w tunelu przed nimi było ciemno choć oko wykol.

Na jego szczęście Kiryl szedł dość wolno. W parę długich susów Artem dogonił go i walnął w ramię. Kiryl jednak nadal szedł i obaj coraz bardziej oddalali się od pozostałych. Artem wybiegł do przodu i, nie wiedząc co robić, skierował światło latarki w oczy Kiryła. Były zamknięte, ale Kiryl od razu się skrzywił i stracił rytm kroku. Wtedy Artem, podtrzymując go jedną ręką, drugą podniósł mu powiekę i poświecił prosto w źrenicę. Kiryl krzyknął, zamrugał trzęsąc głową i po ułamku sekundy jakby się ocknął, otworzył oczy patrząc nic nierozumiejącym wzrokiem na Artema. Oślepiony latarką, niemal niczego nie widział i z powrotem, do drezyny, Artem musiał ciągnąć go za rękę.

Na drezynie leżało bezwładne ciało dowódcy, obok siedział Żeńka, wciąż z tym samym tępym wyrazem twarzy. Artem zostawił Kiryła przy drezynie i rzucił się do zamykającego, który nadal płakał siedząc na szynach. Popatrzywszy mu w oczy, Artem znalazł wzrok pełen bólu i cierpienia, i tak silne było to wrażenie, że aż się cofnął, czując, że wbrew woli płyną mu łzy.

- Oni wszyscy, wszyscy zginęli... Tak cierpieli! - wychwycił Artem wśród spazmów.

Artem spróbował podnieść zamykającego, ale ten wyrwał się i wykrzyknął z niespodziewaną wściekłością:

- Świnie! Nieludzie! Nigdzie z wami nie pójdę, wolę zostać tutaj! Oni są tacy samotni, tyle jest tu ich bólu, a wy chcecie mnie stąd zabrać? To wy jesteście wszystkiemu winni! Nigdzie nie pójdę! Nigdzie! Puść mnie, słyszysz?!

Artem z początku chciał go uderzyć w policzek, w nadziei, że chociaż w jakimś stopniu wróci mu to przytomność, ale przestraszył się, że w takim wzburzeniu tamten może mu oddać. Zamiast tego padł przed zamykającym na kolana i, z trudem przebijając się przez szum we własnej głowie, miękko przemówił, sam nie do końca rozumiejąc o co chodzi:

- Ale przecież chcesz im pomóc, prawda? Chcesz, żeby więcej nie cierpieli?

Tamten popatrzył na Artema przez łzy i z nieśmiałym uśmiechem szepnął:

- Oczywiście... Oczywiście, że chcę im pomóc.

- A więc musisz pomóc mnie. Oni chcą, żebyś mi pomógł. Wsiądź na drezynę i stań za dźwignią. Musisz mi pomóc dostać się na stację.

- Oni tak ci powiedzieli? - zamykający spojrzał na Artema z niedowierzaniem.

- Tak - z przekonaniem odrzekł Artem.

- A potem puścisz mnie z powrotem, do nich?

- Daję słowo, że jeśli będziesz chciał wrócić, puszczę cię z powrotem - obiecał Artem i póki jego rozmówca nie zdążył się rozmyślić, zaciągnął go do drezyny.

Postawił przy dźwigniach zamykającego, mechanicznie posłusznego Żeńkę i Kiryła, nadal nieprzytomnego dowódcę zwalił na środek, po czym stanął na czele pochodu, wycelował karabin w ciemność i szybkim krokiem poszedł naprzód. Sam się sobie dziwiąc usłyszał, jak drezyna potoczyła się w ślad za nim. Artem wiedział, że zrobił rzecz niedopuszczalną nie zabezpieczywszy tyłów, ale rozumiał, że teraz najważniejsze to oddalić się jak można najszybciej z tego strasznego miejsca.

Dźwigniami pracowało teraz trzech ludzi i oddział posuwał się szybciej niż przed zatrzymaniem, a Artem z ulgą słyszał jak ohydny szum cichnie i z wolna słabnie poczucie zagrożenia. Wciąż pokrzykiwał na pozostałych, aby przypadkiem nie zwalniali tempa, gdy nagle usłyszał za sobą zupełnie przytomny i zdziwiony głos Żeńki:

- Co się tak rządzisz?

Artem dał znak, by się zatrzymali. Zrozumiawszy, że minęli niebezpieczną strefę, wrócił do grupy i bez sił opadł na ziemię, opierając się plecami o drezynę. Wszyscy stopniowo dochodzili do siebie. Zamykający przestał szlochać i tylko masował sobie palcami skronie, rozglądając się z niedowierzaniem wokół. Dowódca poruszył się i podniósł z głuchym jękiem, żaląc się, że pęka mu głowa.

W ciągu pół godziny można było ruszać dalej. Oprócz Artema nikt niczego nie pamiętał.

- Wiesz, nagle opadła na mnie taka niemoc, mętlik w głowie i jakoś tak od razu wszystko zgasło. Raz tak miałem od gazu w jednym tunelu daleko stąd. Ale gdyby to był gaz, to powinien inaczej działać, na wszystkich naraz, bez wyboru... A ty cały czas słyszałeś ten twój dźwięk? Tak, dziwne to wszystko, nie ma co gadać... - głośno myślał dowódca. - I jeszcze to, że Nikita beczał... Słuchaj, Wasilicz, nad kim tak płakałeś? - zapytał zamykającego.

- Cholera wie... Ja nie pamiętam. To jest, minutę temu jeszcze jakbym coś pamiętał, a potem jakoś się to ulotniło... Wiesz, to jest jak ze snem: zaraz jak się obudzisz - wszystko pamiętasz i masz taki wyraźny obraz przed oczami. A minie kilka minut, rozbudzisz się bardziej, i już pusto. Tylko jakieś skrawki... I teraz mam to samo. Pamiętam, że kogoś mi było bardzo żal... Ale kogo, dlaczego? Pustka.

- A pan tam chciał zostać, w tunelu. Na zawsze. Z nimi. Bronił się pan przede mną. Obiecywałem panu jeszcze, że jeśli pan zechce, to panu pozwolę tam wrócić - powiedział Artem, spoglądając z ukosa na zamykającego Nikitę. - Tak więc, puszczam pana wolno - dodał i uśmiechnął się.

- Nie, nie, dziękuję - ponuro odparł Nikita i wzdrygnął się. - Jakoś się rozmyśliłem.

- Dobra, chłopcy. Koniec paplania. Nie będziemy sterczeć w środku tunelu. Najpierw dojdźmy na miejsce, potem wszystko przedyskutujemy. Będziemy jeszcze musieli jakoś wrócić... Ale nie ma co planować na przyszłość, w taki dzionek to daj Boże, żeby choć dojść tam, gdzie trzeba. Jedziemy! - zakończył dowódca. - Słuchaj, Artem, chodź ze mną. Jesteś dziś w sumie naszym bohaterem - dodał nieoczekiwanie.

Kirył zajął pozycję za drezyną, Żeńka, mimo protestów, został przy dźwigniach z Nikitą Wasiliewiczem, i pochód ruszył dalej.

- Mówisz, że rura tam pękła? I to z niej słyszałeś ten szum? Wiesz, Artem, może rzeczywiście wszyscy jesteśmy głuche kołki i ni cholery nie słyszymy? Ty jesteś pewnie specjalnie wyczulony na to cholerstwo. Jak widać, w tej sprawie ci się poszczęściło, chłopcze! - ocenił dowódca. - Bardzo dziwne, że to dochodziło z rury. Mówisz, że rura była pusta? Licho wie co tam teraz nimi płynie - kontynuował, spoglądając z niepokojem na wężowiska rur biegnących wzdłuż ścian tunelu.

Do Ryżskiej było już całkiem niedaleko. Po kwadransie zamigotały w oddali odblaski ogniska na posterunku, dowódca zwolnił kroku i dał latarką umówiony sygnał. Przez posterunek przepuścili ich szybko, bez zwłoki, i drezyna wtoczyła się na stację.

Ryżska była w lepszym stanie niż Aleksiejewska. Kiedyś dawno, na powierzchni nad stacją znajdował się wielki targ. Wśród tych, którzy zdołali wtedy dobiec do metra i się uratować, wielu było handlarzy właśnie z tego bazaru. Od tej pory stację zamieszkiwał lud przedsiębiorczy, a i niewielka odległość do Prospektu Mira, czyli do Hanzy, do głównych szlaków handlowych, uwidaczniała się w jej dobrobycie. Paliło się tam elektryczne awaryjne światło, tak jak i na WOGN-ie. Patrole były ubrane w stare, znoszone mundury w

panterkę, które mimo wszystko wyglądały porządniej niż pomalowane waciaki na Aleksiejewskiej.

Dla gości wydzielono osobny namiot. Teraz rychłego powrotu nie było w planach, niejasne było, co to za nowe zagrożenie kryje się w tunelu i jak sobie z nim poradzić. Administracja stacji i dowódca małego oddziału z WOGN-u zebrali się na naradę, a pozostali mieli nadmiar wolnego czasu. Artem, zmęczony fizycznie i wyczerpany nerwowo, od razu rzucił się na swoją leżankę, twarzą do dołu. Nie chciało mu się spać, ale był kompletnie bez sił. Za parę godzin obiecano przyrządzić dla gości uroczystą kolację, sądząc po wieloznacznych mrugnięciach i szeptach gospodarzy, można nawet było mieć nadzieję na mięso. Na razie jednak można było leżeć i o niczym nie myśleć.

Za ściankami namiotu nasilał się gwar. Ucztę przygotowywano wprost na środku peronu, gdzie paliło się główne ognisko. Artem nie wytrzymał i wyjrzał na zewnątrz. Kilku ludzi sprzątało posadzkę i rozkładało brezent, kawałek dalej, na torach ktoś rozbierał tuszę wieprzową, obcęgami cięto na kawałki zwój stalowego drutu, co zapowiadało szaszłyki. Ściany były tu nietypowe: nie pokryte marmurem, jak na WOGN-ie i Aleksiejewskiej, lecz wyłożone żółtymi i czerwonymi kafelkami. Połączenie to, jak się zdaje, wyglądało kiedyś całkiem wesoło. Teraz co prawda płytki i tynk pokrywała warstwa sadzy i tłuszczu, ale tak czy inaczej trochę dawnego uroku się zachowało. A co najważniejsze, na drugim torze stał, do połowy schowany w tunelu, prawdziwy pociąg, choć z wybitymi oknami i otwartymi drzwiami.

Pociągi były spotykane nie na każdym przejeździe i nie na każdej stacji. Przez dwie dekady wiele z nich - szczególnie te, które utknęły w tunelach i nie nadawały się do mieszkania - ludzie stopniowo rozebrali część po części, przystosowując koła, szyby i tapicerkę do swoich potrzeb, na każdej stacji innych. Ojczym mówił Artemowi, że w Hanzie jeden z torów nawet specjalnie oczyścili z pociągów, żeby towarowe i pasażerskie drezyny mogły bez przeszkód kursować między punktami przeznaczenia. Słuchy chodziły, że tak samo postąpiono na Linii Czerwonej. W tunelu, którym szli z WOGN-u do Prospektu Mira, nie ostał się ani jeden wagon, ale to akurat był najprawdopodobniej przypadek.

Powoli zaczęli się zbierać miejscowi, z namiotu wyszedł zaspany Żeńka, po pół godzinie przyłączyło się do nich miejscowe kierownictwo i dowódca grupy Artema, a pierwsze kawałki mięsa zaskwierczały na ogniu. Dowódca i władze stacji dużo się uśmiechali i żartowali, widocznie zadowoleni z rezultatów rozmów. Przyniesiono butlę z jakimś miejscowym rozweselaczem, wzniesiono toasty i wszyscy wpadli w świetne humory. Artem jadł swój szaszłyk i zlizywał cieknący mu po rękach gorący tłuszcz, patrząc na tlące się węgle, od których szło gorąco i niejasne uczucie przyjemności i spokoju.

- To ty ich wyciągnąłeś z tej pułapki? - zwrócił się do niego nieznajomy człowiek, siedzący obok i od kilku minut uważnie mu się przyglądający.

Artem drgnął. Do tej pory, całkowicie pogrążony w swoich myślach i obserwacji głowni czerwieniejących w ognisku, nie zauważał nikogo dookoła.

- Kto tak panu powiedział? - odpowiedział pytaniem na pytanie, wpatrując się w nieznajomego. Ten był krótko ostrzyżony, nieogolony, spod grubej, ale sztywnej z wyglądu skórzanej kurtki widać było ciepłą marynarską bluzę. Artemowi nie udało się dojrzeć nic podejrzanego: z wyglądu jego rozmówca przypominał zwykłego straganiarza, jakich na Ryżskiej było do licha i trochę.

- Kto? No, przecież wasz brygadzista to opowiadał - kiwnął na siedzącego nieopodal i z ożywieniem dyskutującego o czymś z kolegami dowódcę.

- No, tak, ja - niechętnie przyznał Artem. Chociaż jeszcze całkiem niedawno planował zawrzeć parę przydatnych znajomości na Ryżskiej, teraz, kiedy powstawała ku temu świetna okazja, z jakiejś przyczyny poczuł się nieswojo.

- Jestem Burbon. A jak ciebie zwą? - nadal interesował się mężczyzna.

- Burbon? - zdziwił się Artem. - Dlaczego tak? To nie był jakiś król?

- Nie, młody. Był taki alkohol. Woda ognista, rozumiesz. Mówią, że bardzo poprawiała nastrój. To jak ci dali na imię? - nie ustępował nieznajomy.

- Artem.

- Słuchaj, Artem, a kiedy wracacie do siebie? - dopytywał się Burbon, przez co Artem stał się jeszcze bardziej podejrzliwy.

- Nie wiem. Teraz nikt dokładnie nie powie, kiedy będziemy wracać. Jeśli pan słyszał, co się z nami działo, to sam pan powinien zrozumieć - nieprzyjaźnie odparł Artem.

- Słuchaj, mów mi na ty, nie jestem od ciebie o tyle starszy, żebyś tu, tego... W skrócie, pytam, bo... Sprawę mam do ciebie, młody. Nie do wszystkich od was, a konkretnie do ciebie, w sensie, osobiście. Potrzebna mi twoja pomoc. Rozumiesz? Nie na długo...

Artem nic nie zrozumiał. Facet mówił mętnie i coś w sposobie w jaki wymawiał słowa sprawiało, że Artem kulił się w sobie. Najmniej na świecie chciało mu się teraz ciągnąć tę niejasną rozmowę.

- Słuchaj, młody, ty się, tego, nie spinaj - jakby wyczuwając jego wątpliwości, Burbon pośpieszył je rozwiać. - Nie ma w tym żadnego kitu, wszystko jest czyste... No, prawie wszystko. W skrócie, sprawa jest taka: przedwczoraj nasi poszli do Suchariewskiej, no, wiesz, prosta droga... ale nie doszli. Jeden tylko przyszedł z powrotem. Ni cholery nie pamięta, przybiegł na Prospekt cały zasmarkany, beczał jak ten od was, co wasz brygadzista o nim opowiadał. Pozostali się nie pojawili. Może doszli potem do Suchariewskiej... A może nigdzie nie doszli, bo już trzeci dzień nikt stąd na Prospekt nie przychodzi, a i stamtąd nikt nie chce już iść w tę stronę. Jakoś pękają, boją się tu iść. W skrócie, myślę, że tam jest to samo dziwo, co i wy mieliście. Jak posłuchałem waszego brygadzisty, to od razu... W sensie, zrozumiałem. No, linia w końcu ta sama. I rury te same... - tu Burbon odwrócił się gwałtownie przez ramię, widocznie sprawdzając, czy ktoś nie podsłuchuje

- A ciebie to dziwo nie bierze - cicho mówił dalej. - Rozumiesz?

- Zaczynam - niepewnie odparł Artem.

- W skrócie, muszę tam teraz iść. Koniecznie, rozumiesz? Koniecznie. Nie wiem dokładnie, ale możliwe, że mi tam odbije, jak wszystkim chłopakom od nas, tak samo jak całej waszej brygadzie. Oprócz ciebie.

- Ty... - niepewnie, jakby próbując smaku tego słowa, czując jak nieprzyjemnie i dziwnie było mu zwracać się do takiego typa na „ty", zaczął Artem - chcesz, żebym cię przeprowadził przez ten tunel? Żebym cię doprowadził do Suchariewskiej?

- Coś w tym stylu - z ulgą przytaknął Burbon. - Nie wiem, czy słyszałeś, czy nie, ale tunel tam, za Suchariewską, jest jeszcze lepszy od tego, takie cholerstwo, będę musiał go jeszcze jakoś przejść. A tu jeszcze ta sprawa z chłopakami wyszła. Ale spoko, nie rzucaj się, jak mnie przeprowadzisz, nie pozostanę twoim dłużnikiem. Co prawda będę potem musiał iść dalej, na południe, ale mam tam, na Suchariewce, swoich ludzi, odstawią cię z powrotem, z kurzu otrzepią i tak dalej.

Artem, który z początku chciał posłać Burbona z jego propozycją do diabła, nagle zrozumiał, że pojawiła się dla niego szansa przeniknąć, bez walki i w ogóle jakichkolwiek problemów, za południowe posterunki Ryżskiej. I dalej... Burbon, choć nie rozgadywał się o swoich dalszych planach, mówił, że będzie szedł przez przeklęty tunel z Suchariewskiej do Turgieniewskiej. Właśnie tamtędy Artem zamierzał próbować przejść. Turgieniewska - Trubna - Cwietoj Bulwar - Czechowska... A stamtąd do Arbackiej rzut kamieniem... Polis... Polis...

- Jak płacisz? - Artem postanowił pocertolić się dla pozoru.

- Jak będziesz chciał. Generalnie walutą - Burbon spojrzał z powątpiewaniem na Artema, starając się ocenić, czy ten rozumie o co chodzi. - No, w sensie, naboje do kałacha. Ale jeśli wolisz żarcie, alkohol czy kwasa - mrugnął okiem - też da się załatwić.

- Nie, naboje będą w porządku. Dwa magazynki. No, i jedzenie na drogę tam i z powrotem. Nie targuję się - jak mógł najbardziej pewnie podał swoją cenę Artem, starając się wytrzymać pytający wzrok Burbona.

- Konkretnie... - z niejasną intonacją odparł ten. - Dobra. Dwie paczki do kałacha. I żarcie. No, nic - powiedział niewyraźnie, widocznie sam do siebie - to jest tego warte. Dobra, młody, jak ci tam, Artem? Na razie idź się przespać, zajdę do ciebie niedługo, jak ta cała kołomyja się uspokoi. Spakuj szmatki, jak umiesz pisać, to zostaw kartkę, żeby nie organizowali za nami pościgu. Tego... Bądź gotowy, jak przyjdę. Rozumiesz?

ROZDZIAŁ 5
ZA GARŚĆ NABOJÓW

Właściwie nie było potrzeby się pakować, ponieważ Artem, co zrozumiałe, jeszcze niczego nie wypakował, a zresztą nie miał nic szczególnego do wyjmowania. Nie wiadomo było tylko, jak niepostrzeżenie wynieść karabin, żeby nie zwrócić niczyjej uwagi.

Automaty wydali im ciężkie, wojskowe, kalibru 7.62, z drewnianymi kolbami. Na WOGN-ie karawany do najbliższych stacji zawsze wyprawiano z takimi maszynkami.

Artem leżał z głową pod kołdrą, nie odpowiadając na pełne niedowierzania pytania Żeńki: czemu tu śpi, kiedy na zewnątrz jest tak fajnie, i czy on w ogóle przypadkiem nie zachorował. W namiocie było gorąco i duszno, tym bardziej pod kołdrą. Sen ciągle nie przychodził, choć Artem próbował wszystkiego, by zmusić się do zaśnięcia, a kiedy wreszcie się udało, miał bardzo niespokojne i niejasne sny, jakby widziane przez mętne szkło: dokądś biegł, rozmawiał z kimś bez twarzy, znowu biegł... Obudził go ten sam Żeńka, szarpiąc za ramię i szepcząc:

- Słuchaj, Artem, jakiś facet do ciebie... Masz jakieś kłopoty, czy co? - spytał z niepokojem. - Może obudzę wszystkich naszych...

- Nie, wszystko dobrze, po prostu muszę z nim porozmawiać. Spij, Żeńka. To chwila - równie cicho wyjaśnił Artem, zakładając buty i czekając aż Żeńka znów się położy. Potem ostrożnie wyciągnął z namiotu swój plecak i chciał zrobić to samo z karabinem, gdy nagle Żeńka, słysząc brzęk metalu, znów spytał z przestrachem:

- Po co ci to? Jesteś pewny, że wszystko w porządku?

Artemowi przyszło się wypierać i zmyślać, że po prostu chce coś pokazać znajomemu, że się założyli, że wszystko dobrze, i tak dalej.

- Łżesz! - podsumował z przekonaniem Żeńka. - Dobra. Kiedy mam zacząć się niepokoić?

- Za rok - mruknął Artem w nadziei, że zabrzmiało to wystarczająco niewyraźnie, odwinął drzwi namiotu i wyszedł na peron.

- No, młody, grzebiesz się - z niezadowoleniem wycedził przez zęby czekający na niego Burbon. Ubrany był tak, jak poprzednio, tyle że na ramionach wisiał mu wysoki plecak. - W mordę! Co ty, zamierzasz wlec się z tą armatą przez wszystkie posterunki? - spytał, z niesmakiem pokazując na automat. U niego, ku swemu zdziwieniu, Artem żadnej broni nie dostrzegł.

Światło na stacji przygasło. Na peronie nie było ludzi, wszyscy już się położyli, zmęczeni imprezą. Artem starał się iść jak najszybciej, wciąż obawiając się natknąć na kogoś ze swojej grupy, ale przy wejściu do tunelu Burbon zatrzymał go, każąc zwolnić kroku. Wartownicy na torach zauważyli ich i spytali z daleka, dokąd to wybrali się o wpół do drugiej w nocy, ale Burbon zwrócił się do jednego z nich po imieniu i wyjaśnił, że w interesach.

- Słuchaj, generalnie... - pouczył Artema zapalając latarkę. - Teraz będą posterunki na setnym i dwieście pięćdziesiątym. Ty, przede wszystkim, bądź cicho. Sam się z nimi dogadam. Niedobrze, że masz kałacha w wieku mojej babci, nigdzie go nie schowasz... Gdzieś ty wykopał takie cholerstwo?

Na setnym metrze wszystko poszło gładko. Tliło się tam małe ognisko, przy którym siedziało dwóch ludzi w ubraniach w panterkę. Jeden z nich drzemał, a drugi po przyjacielsku podał Burbonowi rękę.

- Interesy? Jasne... - powiedział przeciągle z konspiracyjnym uśmiechem.

Do dwieście pięćdziesiątego metra Burbon nie wyrzekł ani słowa, krocząc przodem z ponurą miną. Był jakiś zły, nieprzyjemny, i Artem zaczął już żałować, że zdecydował się z

nim wyruszyć. Został krok w tyle, sprawdził czy z karabinem wszystko w porządku i położył palec na bezpieczniku.

Przy ostatnim posterunku zatrzymano ich na dłużej. Tam Burbona czy to dobrze nie znali, czy też przeciwnie, znali właśnie zbyt dobrze, w każdym razie dowódca wziął go na bok, każąc zostawić plecak przy ognisku, i długo o coś wypytywał. Artem, czując się trochę głupio, został przy ognisku i lakonicznie odpowiadał na pytania wartowników. Ci wyraźnie się nudzili i mieli ochotę na pogawędkę. Artem wiedział z własnego doświadczenia, że gadatliwi wartownicy to dobry znak: jeśli się nudzą, to znaczy, że jest spokojnie. Gdyby działo się teraz u nich coś dziwnego, coś wyłaziłoby z głębi tunelu, z południa, ktoś próbowałby się przedrzeć, czy byłoby słychać podejrzane dźwięki, to skupiliby się wokół ogniska, milczeli w napięciu i nie spuszczali oczu z tunelu. Czyli dziś jest spokój i można iść bez obaw, w każdym razie do Prospektu Mira.

- Ty przecież nie jesteś stąd. Z Aleksiejewskiej, czy co? - dopytywali się wartownicy, zaglądając Artemowi w oczy.

Artem, pamiętając nakaz Burbona, by milczeć i z nikim nie rozmawiać, mruknął coś nieartykułowanego, co można było zrozumieć w dowolny sposób, dając pytającym pełną swobodę interpretacji. Wartownicy, znudzeni dopraszaniem się od niego odpowiedzi, przeszli do dyskusji o jakimś Michaju, który niedawno handlował na Prospekcie Mira i miał nieprzyjemności z władzami stacji.

Zadowolony, że w końcu się od niego odczepili, Artem siedział i poprzez płomienie ogniska wpatrywał się w południowy tunel. Był to niby wciąż ten sam niekończący się szeroki korytarz, co na północ od WOGN-u, gdzie Artem całkiem niedawno tak samo siedział przy ognisku na placówce na czterysta pięćdziesiątym metrze. Z pozoru niczym się nie różnił. Lecz było w nim coś, czy to wyjątkowy zapach, który przywiewały tunelowe przeciągi, czy to osobny nastrój, aura, właściwa tylko temu tunelowi i nadająca mu indywidualność, czyniąca go niepodobnym do wszystkich innych. Artem przypomniał sobie, jak ojczym mówił, że nie ma w metrze dwóch jednakowych tuneli, a i w tym samym przeciwne kierunki różnią się od siebie. Taka ponadwrażliwość rozwijała się przez długie lata wypraw i to dalece nie u wszystkich. Ojczym nazywał to „słyszeniem tunelu" i „słuch" taki posiadał, szczycił się nim, i nie raz zwierzał się Artemowi, że będąc w takich czy innych opałach, ocalał tylko dzięki owemu zmysłowi. U wielu innych, mimo długich wędrówek po metrze, nic takiego się nie wykształcało. Niektórzy wpadali w niezrozumiały strach, ktoś słyszał głosy, dziwne dźwięki, stopniowo tracił rozum, lecz wszyscy zgadzali się w jednym: nawet jeśli w tunelach nie ma żywego ducha, to jednak nie są puste. Płynie nimi powoli i ociężale coś niewidzialnego i prawie niewyczuwalnego, wypełniając je swoim własnym życiem, niczym ciężka, zimna krew w żyłach skamieniałego lewiatana.

I teraz, nie słysząc już rozmowy wartowników, bezskutecznie usiłując dojrzeć cokolwiek w ciemnościach, gęstniejących gwałtownie dziesięć kroków od ognia, Artem zaczynał rozumieć, co miał na myśli ojczym, opowiadając mu o „czuciu tunelu". W świadomym życiu nie miał jeszcze okazji zapuścić się dalej. Choć Artem wiedział, że za tą niewyraźną granicą wyznaczoną przez płomień ogniska, gdzie czerwony blask mieszał się z drżącymi cieniami, są jeszcze ludzie, to w tym ułamku sekundy wydawało mu się to niewiarygodne. Wydawało się, że życie kończyło się te dziesięć kroków od niego, przed nim nic już nie było, tylko czarna pustka odpowiadająca na krzyk zwodniczym, głuchym echem.

Ale gdyby posiedzieć tak dłużej, gdyby zatkać uszy, gdyby spojrzeć w głąb tunelu, nie tak, jakby chciało się tam dostrzec coś konkretnego, a inaczej, próbując jakby rozpuścić swój wzrok w ciemności, zlać się z tunelem, stać się częścią tego lewiatana, komórką jego ciała, to poprzez dłonie broniące dostępu dźwiękom z zewnętrznego świata, mijając narządy słuchu, prosto do mózgu zacznie się sączyć delikatna melodia - nieziemski głos z wnętrza, smutny, niepojęty... Zupełnie inny od tego przerażającego, brzęczącego szumu,

wydobywającego się z rozerwanej rury w tunelu między Aleksiejewską i Ryżską, nie, to coś innego, coś czystego, głębokiego...

Miał wrażenie, że przez chwilę udało mu się zanurzyć w cichej rzece tej melodii, i nagle, nie rozumem a prędzej intuicją, rozbudzoną pewnie tymże hałasem z rozerwanej rury, Artem pojął istotę tego zjawiska bez zrozumienia jego przyczyny. Potoki wypływające na zewnątrz z tej rury, jak mu się zdało, były tym samym, co eter nieśpiesznie płynący tunelami, ale te w rurze były zaropiałe, czymś zakażone, niespokojne i wrzące, a w tych miejscach, gdzie nabrzmiałe od napięcia rury pękały, owa ropa wylewała się na świat, przynosząc rozpacz, mdłości i szaleństwo wszystkim żywym stworzeniom...

Artemowi wydało się nagle, że jest bliski zrozumienia czegoś bardzo ważnego, tak jakby ostatnie pół godziny jego błądzenia w nieprzeniknionych ciemnościach tuneli i mrokach własnej świadomości pomogły podnieść zasłonę kryjącą wielką tajemnicę, oddzielającą wszystkie rozumne stworzenia od poznania prawdziwej natury tego nowego świata, wydartego przez dawne pokolenia wnętrzu Ziemi.

Równocześnie poczuł jednak strach, zupełnie jakby zajrzał za przymknięte drzwi, by dowiedzieć się, co jest za nimi, i zobaczył jedynie bijące stamtąd nieznośne, palące oczy światło. I jeśli otworzyć zakazane drzwi, to owe światło wyleje się niepowstrzymanie i spali na miejscu śmiałka, który ośmieli się to zrobić. Jednak owo światło, to była właśnie Wiedza.

Wir wszystkich tych myśli, uczuć i przeżyć porwał Artema zupełnie niespodziewanie, był zupełnie nieprzygotowany na coś takiego i dlatego odrzucił to z przestrachem. Nie, wszystko to było tylko fantazją. Niczego nie słyszał i niczego nie wyczuwał, to znów tylko gra wyobraźni. Z mieszanymi uczuciami ulgi i rozczarowania zajrzał w siebie i zauważył jak otwierająca się przed nimi na mgnienie oka porażająca, nieopisana perspektywa szybko niknie, przygasa, i mentalny wzrok znów widzi tylko niewyraźny miraż.

Przestraszył się tej wiedzy, odsunął się, i teraz podniesiona już nieco zasłona ciężko opadła z powrotem, być może na zawsze. Huragan w jego głowie ucichł równie nagle, jak się zaczął, męcząc tylko i pustosząc umysł.

Artem, wstrząśnięty, siedział i nadal próbował pojąć, gdzie kończyły się jego fantazje, a zaczynała rzeczywistość, jeśli oczywiście takie odczucia w ogóle mogły być rzeczywiste. Powolutku duszę wypełniła mu gorzka obawa, że był o krok od oświecenia, najprawdziwszego oświecenia, lecz się nie zdecydował, nie odważył zdać na łaskę prądu eteru w tunelach, i teraz całe życie przyjdzie mu kroczyć w ciemnościach, bo wtedy przestraszył się światła autentycznej Wiedzy. „Ale co to jest Wiedza?” - pytał się znowu i znowu, próbując określić to, od czego tak pośpiesznie i tchórzliwie odstąpił. Pogrążony w myślach, nie zauważył nawet, że przynajmniej kilka razy wypowiedział już te słowa na głos.

- Wiedza, chłopcze, to światło, a niewiedza - ciemność! - ochoczo objaśnił mu jeden z wartowników. - Dobrze mówię? - mrugnął wesoło do swoich towarzyszy.

Artem wbił w niego zmieszany wzrok i siedziałby tak dłużej, gdyby nie powrót Burbona, który kazał mu wstać i pożegnał się z resztą, mówiąc, że chętnie by jeszcze, prawda, zostali, ale bardzo im się śpieszy.

- Uważaj! - surowo rzucił w ślad za nim dowódca posterunku. - Stąd wypuszczam cię z bronią - machnął ręką w kierunku karabinu Artema - ale z powrotem już przy mnie tędy nie przejdziesz. Mam w tych sprawach dokładne rozkazy.

- Mówiłem ci, durniu... - gniewnie syknął do Artema Burbon, kiedy już pośpiesznie oddalili się od ogniska. - No, to teraz sobie wrócisz... Przedzieraj się siłą. Wisi mi to, generalnie. Przecież wiedziałeś, że tak, kurna, będzie!

Artem milczał, nie słysząc prawie jak rugał go Burbon. Zamiast tego, przypomniało mu się nagle, że ojczym mówił wtedy, gdy wyjaśniał unikalność i niepowtarzalność każdego z tuneli, że każdy z nich ma swoją melodię i że można nauczyć się ją słyszeć. Ojczym

pewnie chciał to po prostu ładnie ująć, ale wspominając, co czuł siedząc przy ognisku, Artem pomyślał, że to było to, iż właśnie to mu się udało. Że słuchał, rzeczywiście słuchał - i słyszał! - melodię tuneli.

Jednak wspomnienia o tym, co się wydarzyło, szybko blakły i po półgodzinie Artem nie mógł już ręczyć, że wszystko to rzeczywiście się stało, a nie było jedynie przywidzeniem, gdy patrzył w pełgające płomienie ogniska.

- Dobra... Zapewne nie zrobiłeś tego celowo, a zwyczajnie brak ci po prostu oleju w głowie - powiedział pojednawczo Burbon. - Jeśli jestem dla ciebie, tego, nieuprzejmy, to wybacz. Nerwową mam pracę. No dobra, w sumie wyjść się udało, a to już coś. Teraz trzeba gnać prosto na Prospekt, bez żadnych przystanków. Tam odpoczniemy. Jak będzie spokojnie, to dużo czasu nam to nie zajmie. A dalej będzie kłopot.

- A czy to nie problem, że tak idziemy? Chodzi mi o to, że kiedy ruszamy z WOGN-u karawanami, to jest nas nie mniej niż trzech, obowiązkowo jest zamykający i w ogóle... - powiedział Artem oglądając się za siebie.

- To, młody, ma oczywiście swoje plusy: chodzić karawaną, z zamykającym i wszystkim - zaczął wyjaśniać Burbon. - Ale, zrozum, jest też jeden konkretny minus. To nie od razu widać. Trzeba się przekonać na własnej skórze. Kiedyś też się bałem. Co tam trzech - kiedyś z chłopakami w ogóle mniej niż w pięciu nie chodziliśmy, a nawet w sześciu i więcej. Myślisz, że to pomoże? Ni cholery nie pomaga. Szliśmy raz z towarem i dlatego mieliśmy ochronę: dwóch z przodu, trzech w środku, no i zamykający niby według podręcznikowych zasad. Od Tretjakowskiej szliśmy do... kiedyś nazywała się Marksistowska. Tunel był taki sobie. Od razu mi się nie spodobał. Ciągnęło jakąś zgnilizną... I była mgła. Gówno było widać, pięć kroków od nas już niczego, latarka specjalnie nie pomagała. Więc postanowiliśmy przywiązać linę do paska zamykającego, przeciągnąć ją przez pasek jednego z tych cwaniaków, co szli pośrodku, a drugi koniec dać dowódcy na czele grupy. Żeby nie rozdzielić się w tej mgle. No i idziemy sobie spacerkiem, wszystko dobrze, spokojnie, śpieszyć się nie ma dokąd, nikogo nie ma, tfu-tfu, przynajmniej na razie, no to, myślę sobie, dojdziemy w czasie krótszym niż czterdzieści minut... A wyszło jeszcze szybciej... - wzdrygnął się i milczał chwilę zanim znów zaczął opowiadać.

- Gdzieś w połowie drogi Tolian, gość, który szedł w środku, pyta, co tam u zamykającego. A ten milczy Tolian poczekał i pyta znowu. Ten milczy. Tolian ciągnie wtedy za linkę i wyciąga koniec. A lina przegryziona. Dosłownie przegryziona, na końcu nawet jakieś mokre świństwo... A tamtego nigdzie nie ma. I nic nie słyszeli. Kompletnie nic. Ja sam szedłem z Tolianem w środku. Pokazuje mi tę końcówkę i kolana mu się trzęsą. No więc zawołaliśmy jeszcze, niby dla porządku, ale oczywiście nikt nie odpowiedział. Nie miał już kto odpowiadać. No to spojrzeliśmy na siebie, i w długą, tak że do Marksistowskiej doszliśmy błyskawicznie.

- Może chciał zażartować? - z nadzieją w głosie spytał Artem.

- Zażartować? Może i tak. Ale więcej nikt go nie widział. Tak więc, zrozumiałem wtedy jedną rzecz: jak masz dziś wykitować, to dziś wykitujesz, i nie pomoże ci żadna ochrona. Idzie się wtedy tylko wolniej. I wszędzie, z wyjątkiem jednego tunelu - od Suchariewskiej do Turgieniewskiej, bo tam jest inny problem - chodzę od tej pory tylko w parze ze zmiennikiem. Jakby co, wyniesie mnie. Za to idzie się szybciej. Kapujesz?

- Kapuję. A czy nas chociaż wpuszczą na Prospekt Mira? W końcu idę z tym - Artem wskazał na swój automat.

- Na stację promienistą cię wpuszczą. Na Linię Okrężną - na pewno nie. Tak czy owak by cię nie wpuścili, a z giwerą to w ogóle nie ma co marzyć. Ale tam nie musimy iść. W ogóle nie będziemy tam długo siedzieć. Odpoczniemy tylko i pójdziemy dalej. Ty, tego... Byłeś w ogóle kiedyś na Prospekcie?

- Tylko jak byłem mały. A tak, to nie - przyznał się Artem.

- No, to niech cię, że tak powiem, wprowadzę w sytuację... Właściwie żadnych posterunków tam nie ma, nie ma takiej potrzeby. Jest targ, a tak normalnie nikt tam nie mieszka. Ale jest tam i przejście na Okrężną, czyli do Hanzy... Stacja na linii promienistej jest niby niczyja, ale patrolują ją żołnierze Hanzy, żeby był porządek. Dlatego trzeba się zachowywać spokojnie, kapujesz? Bo jak nie, to wyrzucą człowieka do diabła, zamkną przed nim swoje stacje i będzie lament. Dlatego, kiedy tam dojdziemy, to wyłaź na peron i siedź sobie spokojnie, a tym swoim samowarem - kiwnął na pokiereszowany karabin - nikomu się specjalnie nie chwal. Ja tam, tego... muszę z tym i owym pogadać, będziesz musiał posiedzieć i poczekać. Kiedy dojdziemy do Prospektu, to pomyślimy, jak się przedostać przez ten diabelski tunel do Suchariewskiej.

Burbon znowu umilkł i zostawił Artema samemu sobie. Tunel był tu niby niezły, ziemia tylko nieco wilgotna i wzdłuż szyn, w tym samym kierunku co oni, podążał wąski ciemny strumyczek. Ale po jakimś czasie z boku dał się słyszeć cichy szmer i zgrzytliwy pisk, brzmiący dla Artema jak gwóźdź skrobiący po szkle, sprawiając, że wzdrygnął się z obrzydzenia. Małych stworów nie było na razie widać, ale ich obecność zaczynała już być odczuwalna.

- Szczury... - Artem wypluł to ohydne słowo, czując jak dreszcz przechodzi mu po skórze.

Wciąż jeszcze nawiedzały go w nocnych koszmarach, mimo że wspomnienia o tym strasznym dniu, kiedy zginęła jego matka i cała stacja, zalana potokami szczurów, już prawie się zatarły. Zatarły? Nie, po prostu weszły głębiej, tak jak wchodzi w ciało nie wyciągnięty na czas kolec. Jak przemieszcza się przegapiony przez nie dość sprawnego chirurga odłamek kuli. Z początku przyczaja się i nieruchomieje, nie przysparzając cierpień i nie przypominając o sobie, ale kiedyś, wprawiony w ruch niewiadomą siłą, rozpocznie swoją zgubną drogę przez arterie, sploty nerwów, rozpruwając życiowo ważne organy i skazując swego nosiciela na niewyobrażalne męki.

Tak i pamięć o tym dniu, o ślepej wściekłości i bezmyślnym okrucieństwie nienasyconych bestii, o przeżytym wówczas przerażeniu, wbiła się stalową igłą głęboko w podświadomość, aby trwożyć Artema po nocach i kłuć go elektrycznym wyładowaniem, zmuszając ciało, by odruchowo wzdrygało się widząc te zwierzęta, czując tylko ich zapach. Dla Artema, jak i dla jego ojczyma, i może też dla pozostałej czwórki, która uratowała się wtedy z nimi na drezynie, szczury były czymś znacznie bardziej przerażającym i obrzydliwym, niż dla wszystkich innych mieszkańców metra.

Na stacji WOGN szczurów prawie nie było: wszędzie stały pułapki i była rozsypana trutka, dlatego Artem odwykł już od ich widoku. Ale w całej reszcie metra aż się od nich roiło, o czym nie pamiętał, czy może starał się nie myśleć, kiedy podejmował decyzję o wyprawie.

- Co ty, młody, szczurów się boisz? - złośliwie spytał Burbon. - Nie lubisz? Delikacik z ciebie... Przyzwyczajaj się. Bez szczurów się tu nigdzie nie obejdzie... Ale to nic, to nawet dobrze: przynajmniej nie będziesz głodował - dodał i puścił oczko, a Artem poczuł, że zaczyna go mdlić. - Ale tak serio - ciągnął już poważnie Burbon - to bój się raczej, kiedy szczurów nie ma. Jak nie ma szczurów, to znaczy, że jest tu jakieś niezłe cholerstwo, jeśli nawet szczury nie przeżyły. I jeśli to cholerstwo to nie ludzie, wtedy trzeba się bać. A jak szczury biegają, to znaczy, że to normalne miejsce. Zwyczajne. Kapujesz?

Z kim jak z kim, ale z tym typem Artemowi zupełnie nie chciało się dzielić swoimi lękami. Dlatego w milczeniu kiwnął głową. Szczurów nie było tu zbyt wiele, uciekały od światła latarki i były prawie niezauważalne, ale mimo to jeden z nich zaplątał się Artemowi pod nogi i jego but zamiast napotkać twardą powierzchnię, dotknął czegoś miękkiego i śliskiego, a w uszy uderzył go przenikliwy pisk. Zaskoczony Artem stracił równowagę i o mało nie poleciał na twarz razem z całym swoim ekwipunkiem.

- Nie bój się, młody, nie bój - dodał mu otuchy Burbon. - To jest nic. Jest w tej norze parę takich tuneli, gdzie jest ich takie mrowie, że wprost po nich się łazi. Bywało tak, że szło się, a pod nogami takie przyjemne chrupanie - i paskudnie zarechotał, zadowolony z wywołanego efektu.

Artem się wzdrygnął. Znów zmilczał, ale pięści same mu się zacisnęły. Z jaką przyjemnością zasunąłby teraz Burbonowi w tę jego wyszczerzoną gębę! Z oddali dobiegł ich nagle jakiś niewyraźny gwar i Artem momentalnie zapomniał o wszystkim, złapał za uchwyt karabinu i spojrzał pytająco na Burbona.

- Nie napinaj się, wszystko w porządku. Podchodzimy już do Prospektu - uspokoił go Burbon i poklepał protekcjonalnie po ramieniu.

Chociaż uprzedził już wcześniej Artema, że przed Prospektem Mira nie ma żadnych posterunków, ten i tak poczuł się nieswojo: wyjść tak od razu na obcą stację, nie zobaczywszy wcześniej z daleka słabego światełka ogniska, wyznaczającego granicę, nie spotkawszy na drodze żadnych przeszkód. Kiedy zbliżyli się do wyjścia z tunelu, harmider nasilił się i ujrzeli słabą łunę.

Wreszcie po lewej ukazały się żeliwne schodki i mały mostek z balustradą, przyklejony do ściany tunelu, który pozwalał wejść z torów na poziom peronu. Na żelaznych stopniach załomotały podkute buciory Burbona i po kilku krokach tunel nagle otworzył się w lewo - wyszli na stację.

W oczy uderzyło ich teraz ostre białe światło: z boku stał niewidoczny z tunelu mały stolik, za którym siedział człowiek w nieznanym i dziwnym szarym uniformie, w staroświeckiej czapce z otokiem.

- Witamy - przywitał ich odsuwając lampę. - Handel, tranzyt?

Kiedy Burbon wyjaśniał cel wizyty, Artem przypatrywał się temu, co przedstawiała sobą stacja metra Prospekt Mira. Na peronie, blisko torów, królował półmrok, lecz spomiędzy filarów dobiegało łagodne żółte światło, od którego Artemowi nieoczekiwanie ścisnęło się serce. Chciał skończyć wreszcie wszystkie formalności i popatrzeć, co się dzieje na właściwej stacji, tam, za arkadami, skąd dochodzi to do bólu znajome, ciepłe światło... I chociaż Artemowi wydało się, że nigdy wcześniej nie widział niczego podobnego, widok ten na mgnienie oka cofnął go w daleką przeszłość i przed oczami pojawił mu się dziwny obraz: małe pomieszczenie zalane ciepłym żółtym światłem, szeroki tapczan, na nim półleżąc czyta książkę młoda kobieta o niewidocznej twarzy, pośrodku pokrytej pastelową tapetą ściany granatowy kwadrat okna... Wizja przemknęła mu przez głowę i sekundę później uleciała, wprawiając go w konfuzję i podniecenie. Co właśnie zobaczył? Czyżby słabe światło ze stacji mogło rzucić na niewidzialny ekran zatarty gdzieś w podświadomości stary slajd z obrazkiem z dzieciństwa? Czyżby ta młoda kobieta, spokojnie czytająca książkę na obszernym, wygodnym tapczanie, była jego matką?

Niecierpliwie podsunąwszy pogranicznikowi paszport, zgodziwszy się, mimo sprzeciwu Burbona, oddać karabin do przechowalni na czas pobytu na stacji, Artem pobiegł, przyciągany tym światłem niczym ćma, za filary, tam skąd dochodził targowy gwar.

Prospekt Mira różnił się i od WOGN-u, i od Aleksiejewskiej, i od Ryżskiej. Prosperująca Hanza mogła pozwolić sobie na założenie lepszego oświetlenia niż lampy awaryjne dające światło tym stacjom, które Artemowi udało się zwiedzić w świadomym życiu. Nie, to nie były prawdziwe żyrandole, które oświetlały metro jeszcze wtedy, a po prostu słabe żarówki zwisające co dwadzieścia kroków z przewodu przeciągniętego pod sklepieniem przez całą stację. Ale dla Artema, który przywykł do mętnoczerwonego światła awaryjnych lamp, do niepewnego blasku ognisk, do słabego światła maciupeńkich kieszonkowych latarek rozjaśniających wnętrza namiotów, to, co tu widział, wydało się całkiem niezwykłe. Było to to samo światło, które rozświetlało jego wczesne dzieciństwo, jeszcze tam, na górze, miało w sobie magię, która przypominała o czymś, co już dawno

pogrążyło się w niebycie. Znalazłszy się na stacji, Artem nie rzucił się ku straganom jak wszyscy pozostali, ale oparł się plecami o kolumnę, przysłonił sobie ręką oczy i ciągle stał i patrzył na te lampy, wciąż i wciąż, aż do bólu oczu.

- Co ty, sfiksowałeś, czy co? Czego się tak na nie gapisz, chcesz żeby ci oczy wypaliło? Będziesz potem ślepy jak szczeniak i co ja z tobą zrobię?! - rozległ mu się nad uchem głos Burbona. - Jak już oddałeś im bałałajkę, to popatrz chociaż co tu się dzieje... A nie gap się na lampki!

Artem spojrzał na Burbona nieprzyjaźnie, ale posłuchał.

Ludzi na stacji nie było zbyt wielu, ale wszyscy rozmawiali tak głośno przy targowaniu się, namawianiu, zamawianiu, próbach przekrzyczenia się nawzajem, że stało się jasne, dlaczego słychać ten harmider z daleka, jeszcze przy dojściu do stacji. Na obu torach stały resztki pociągów: po kilka wagonów przystosowanych do mieszkania. Wzdłuż peronu, w dwóch rzędach stały stragany, na których - tu porządnie ułożony, tam zwalony na niechlujne stosy - był wystawiony na sprzedaż różnoraki sprzęt. Z jednej strony stacja była zamknięta żelazną kurtyną - niegdyś otwierało się tam wyjście na powierzchnię - zaś z przeciwnego końca peronu, za linią płotów, widniało skupisko szarych worków, najwidoczniej stanowiska strzeleckie. Pod sufitem rozciągnięta była biała płachta z narysowanym na niej brązowym okręgiem, symbolem Linii Okrężnej. Tam, za tym ogrodzeniem, wznosiły się cztery pary krótkich schodów ruchomych - przejście na Okrężną - i zaczynało się terytorium potężnej Hanzy, gdzie żaden obcy nie miał prawa wstępu. Za blokadą i po stacji przechadzali się hanzeatyccy pogranicznicy, ubrani w porządne, nieprzemakalne kombinezony z kamuflażem, który z jakiegoś powodu był szary, w takich samych kepi i z przewieszonymi przez ramię krótkimi automatami.

- Czemu mają szary kamuflaż? - spytał Artem.

- A temu, że z dobrobytu w dupach im się poprzewracało - pogardliwie odrzekł Burbon. - Ty tu, tego... pospaceruj sobie na razie, a ja pohandluję z paroma ludźmi.

Artem nie zauważył na straganach niczego szczególnie ciekawego: była tu herbata, pęta kiełbasy, baterie do latarek, kurtki i płaszcze ze świńskiej skóry, jakieś podniszczone książki, głównie zwykła pornografia, półlitrowe butelki wypełnione jakąś podejrzaną substancją z dumnym napisem „Samogon” na krzywo naklejonych etykietkach, i faktycznie nie było ani jednego straganu z kwasem, który kiedyś można było dostać bez żadnego problemu. Nawet mizerny człowieczek z fioletowym nosem i załzawionymi oczami, ochrypłym głosem posłał Artema do diabła, kiedy ten spytał, czy nie ma choć trochę „towaru”. Był za to stały kram z drewnem: sękate polana i gałęzie, które stalkerzy przynosili z powierzchni, paliły się zadziwiająco długo i prawie nie dymiły. Płacono tu za wszystko blado pobłyskującymi, spiczastymi nabojami do kałasznikowa, niegdyś najpopularniejszej i najbardziej rozpowszechnionej broni na Ziemi. Sto gramów herbaty - pięć nabojów, pęto kiełbasy - piętnaście nabojów, butelka samogonu - dwadzieścia. Mówili tu na nie pieszczotliwie: „kulki”. „Słuchaj, chłopie, zobacz jaka konkretna kurtka, niedrogo, trzysta kulek i jest twoja! Dobra, dwieście pięćdziesiąt, stoi?”.

Patrząc na równe rzędy „kulek” na straganach, Artem wspomniał słowa swojego ojczyma: „Czytałem kiedyś, że Kałasznikow był dumny ze swojego dzieła, z tego, że jego automat jest najpopularniejszy na świecie. Mówił, że jest szczęśliwy, że to właśnie dzięki jego konstrukcji granice Ojczyzny są bezpieczne. Nie wiem, gdybym ja wymyślił ten mechanizm, to chyba bym zwariował. Pomyśleć tylko, że właśnie przy pomocy twojego wynalazku dokonuje się większość zabójstw na Ziemi! To nawet straszniejsze niż być wynalazcą gilotyny”.

Jeden nabój - jedna śmierć. Czyjeś zabrane życie. Sto gramów herbaty - pięć ludzkich żywotów. Kawałek kiełbasy? Proszę, zupełnie niedrogo: całych piętnaście trupów. Skórzana kurtka dobrej jakości, dzisiaj w promocji, zamiast trzystu tylko dwieście

pięćdziesiąt, oszczędzacie życie pięćdziesięciu ludzi. Dzienny obrót tego targu był, można powiedzieć, równy całej pozostałej przy życiu populacji metra.

- No, co, znalazłeś coś sobie? - spytał Burbon, który właśnie podszedł.

- Nie ma tu nic ciekawego - machnął ręką Artem.

- Rzeczywiście, to wszystko jeden chłam. Ech, młody, są w tej norze takie miejsca, gdzie można dostać wszystko, co zechcesz. Idziesz i namawiają cię na wyścigi: „Broń, narkotyki, dziewczynki, podrobione dokumenty" - westchnął rozmarzony Burbon. - A te gnidy - kiwnął w kierunku flagi Hanzy - urządziły tu żłobek: tego nie wolno, tamtego nie wolno... Dobra, idziemy po twoją motykę, i w drogę. Teraz będzie ten chromolony tunel.

Odebrali karabin Artema i usiedli na kamiennej ławce przed wejściem do południowego tunelu. Panował tu półmrok i Burbon specjalnie wybrał właśnie to miejsce, żeby wzrok mógł się przyzwyczaić do ciemności.

- Krótko mówiąc sprawa wygląda tak: ja za siebie nie ręczę. Wcześniej czegoś takiego nie miałem, więc nie wiem, co zacznę robić, jeśli natkniemy się na to dziwo. Tfu-tfu, oczywiście, odpukać w niemalowane i tak dalej, ale jeśli to napotkamy... No, jak się rozbeczę albo, nie wiem, ogłuchnę, to jeszcze pół biedy. Ale, z tego co rozumiem, każdy tam dostaje innego świra. Chłopaki od nas, w każdym razie, już na Prospekt nie wrócili. Myślę, że w ogóle nie wyszli z tunelu i jeszcze się na nich dzisiaj natkniemy. Tak więc ty, tego... Bądź gotowy, w końcu jesteś naszą czujką... A jeśli zacznę się wściekać, drzeć się, będę chciał cię załatwić... To jest problem, kapujesz? Nie wiem co wtedy zrobić... Dobra! - postanowił w końcu Burbon po długich wahaniach. - W sumie porządny z ciebie chłopak, w plecy mi raczej nie strzelisz. Oddam ci swoją giwerę na czas przejścia przez ten tunel. Popatrz na mnie - uprzedził go, intensywnie patrząc mu w oczy - żartów sobie ze mną nie strój! Kiepsko u mnie z poczuciem humoru.

Wytrząsnął z plecaka jakieś łachy i ostrożnie wyciągnął spomiędzy nich zawinięty w foliową torebkę automat. To też był kałasznikow, ale skrócony, jak u straży granicznej Hanzy, ze składaną kolbą i z krótką lufą bez muszki, którą miała broń Artema. Burbon wyjął z niego magazynek i schował z powrotem do plecaka, przykrywając z wierzchu bielizną.

- Trzymaj! - przekazał broń Artemowi. - Nie chowaj go zbyt głęboko. Może się przydać. Chociaż przejście spokojne... - i, nie kończąc, zeskoczył na tory. - Dobra, idziemy. Wcześniej wejdziesz - szybciej wyjdziesz.

To było przerażające. Kiedy szli z WOGN-u do Ryżskiej, Artem wiedział, że różne rzeczy mogą się zdarzyć, ale tak czy owak tymi tunelami codziennie tam i z powrotem uwijali się ludzie, a dalej, przed nimi, była zamieszkana stacja, na której ich oczekiwano. Tam było tylko nieprzyjemnie, jak zresztą każdemu i zawsze, gdy opuszczał spokojne, oświetlone miejsce. Nawet kiedy wyruszali w drogę do Prospektu Mira z Ryżskiej, mimo wszystkich wątpliwości, można było pocieszać się myślą, że przed nimi jest stacja należąca do Hanzy: mają dokąd iść, i można będzie odpocząć bez żadnych obaw.

Ale teraz było po prostu strasznie. Rozciągający się przed nimi tunel, pozostawał kompletnie czarny, królował tu jakiś niezwyczajny, pełny, absolutny mrok, gęsty i prawie namacalny. Porowaty jak gąbka, chciwie pochłaniał światło ich latarek, którego ledwo starczało na to, żeby rozjaśnić skrawek ziemi na krok przed nimi. Wytężając jak się dało słuch, Artem próbował wychwycić zalążek tego dziwnego, kłującego szumu, ale na próżno: widocznie dźwięki przenikały przez tę ciemność równie ciężko i powoli jak światło. Nawet rześko stukające przez całą drogę podkute buty Burbona brzmiały w tym tunelu ospale i głucho.

W prawej ścianie nagle pokazała się wyrwa: światło latarki utonęło w czarnej dziurze i Artem nie od razu zrozumiał, że było to po prostu odgałęzienie idące w bok od głównego tunelu. Obejrzał się pytająco na Burbona.

- Nie bój się. Tu był przejazd między liniami - wyjaśnił Burbon - żeby pociągi mogły wyjechać stąd prosto na Okrężną. Ale Hanza go zasypała: nie są głupi, żeby zostawiać tu otwarty tunel...

Szli potem dość długo w milczeniu, ale cisza była coraz bardziej przygniatająca, i pod koniec Artem nie wytrzymał.

- Słuchaj, Burbon - powiedział, próbując rozwiać to diabelstwo - czy to prawda, że niedawno jacyś zwyrodnialcy napadli tu na karawanę?

Ten nie odpowiedział od razu, Artem pomyślał nawet, że nie dosłyszał pytania i chciał je powtórzyć, ale wtedy Burbon się odezwał:

- Słyszałem o czymś takim. Ale mnie tu wtedy nie było, dokładnie ci nie powiem.

Jego słowa też brzmiały głucho i Artem z trudem uchwycił sens tego, co usłyszał, starając się oddzielić znaczenie słów od swoich ciężko płynących myśli o tym, dlaczego tak źle tu słychać.

- Jak to? To nikt ich nie widział, czy jak? Przecież z jednej strony jest stacja i z drugiej? To dokąd poszli? - kontynuował, choć nie dlatego, że go to specjalnie interesowało, a po prostu żeby słyszeć swój głos.

Minęło jeszcze kilka minut, zanim Burbon wreszcie odpowiedział, ale tym razem Artem nie miał już ochoty go przynaglać, w głowie słyszał echo słów, które sam przed chwilą wypowiedział i zbyt był zajęty wsłuchiwaniem się w te odgłosy.

- Podobno jest tu gdzieś, tego... Coś w rodzaju włazu. Zamaskowanego. Normalnie go nie widać. Bo jak w takich ciemnościach cokolwiek zauważyć? - z jakimś nienaturalnym rozdrażnieniem dodał Burbon.

Musiało minąć trochę czasu, by Artem zdołał przypomnieć sobie, o czym rozmawiali, z wysiłkiem spróbować uchwycić sens i zadać następne pytanie, znów po prostu dlatego, że chciał przeciągnąć rozmowę, choćby tak niezgrabną i trudną, lecz będącą wybawieniem od ciszy.

- Czy tu zawsze jest tak... ciemno? - spytał Artem, czując ze strachem, że jego słowa zabrzmiały już całkiem cicho, zupełnie jakby miał zatkane uszy.

- Ciemno? Tu jest tak zawsze. Wszędzie jest ciemno. Nadchodzi... wielka ciemność, która... otoczy Ziemię, i będzie... wiecznie panować - z dziwnymi pauzami odezwał się Burbon.

- Co to, jakaś książka? - rzekł Artem, zauważając w duchu, że musi dokonywać coraz większych wysiłków, żeby usłyszeć własne słowa i przy okazji zwracając uwagę na to, że język Burbona niepokojąco się zmienił. Lecz Artem nie miał wystarczająco sił, żeby się tym zdziwić.

- Księga... Bój się... prawd ukrytych w starych... foliałach, gdzie słowa tłoczone są złotem, a papier... czarny jak heban... nie płonie - rzekł ciężko Burbon, i Artema uderzyła myśl, że z jakiegoś powodu nie odwraca się już w jego stronę, jak wcześniej, kiedy coś mówił.

- Piękne! - prawie krzyknął Artem. - Skąd to?

- I piękno... będzie strącone i zdeptane, i... zaduszą się prorocy pragnący ogłosić swe... proroctwa, albowiem dzień... który nadchodzi, będzie... czarniejszy od ich najstraszliwszych... lęków, a to, co ujrzą... wypali im umysły.., - ciągnął głucho Burbon.

Nagle zatrzymał się, gwałtownie obrócił głowę w lewo, tak że Artem aż usłyszał, jak trzeszczą mu kręgi szyjne, i popatrzył chłopcu prosto w oczy.

Artem cofnął się kilka kroków i na wszelki wypadek namacał bezpiecznik karabinu. Burbon patrzył na niego szeroko otwartymi oczami, ale źrenice miał dziwnie skurczone, zmienione w dwa maleńkie punkty, choć w nieprzeniknionych ciemnościach tunelu powinny, przeciwnie, rozszerzyć się do maksimum, próbując zaczerpnąć jak najwięcej

światła. Jego twarz wydawała się nienaturalnie spokojna, ani jeden mięsień nie był napięty, z ust zniknął mu nawet stały pogardliwy uśmieszek.

- Umarłem - odezwał się Burbon. - Mnie już nie ma.

I, prosto jak kłoda, runął twarzą w dół.

I wtedy w uszy Artema wdarł się ten sam przerażający dźwięk, lecz teraz nie narastał i nie nasilał się stopniowo, jak wtedy - nie, spadł nagle z pełną mocą, ogłuszając go i na mgnienie oka usuwając mu grunt spod nóg. W tym miejscu dźwięk okazał się o wiele silniejszy niż poprzednim razem, i Artem, przygnieciony do ziemi, zmiażdżony, długo nie mógł zebrać się w garść, by wstać. Zatkał uszy rękami, jak wtedy, krzyknął najgłośniej jak mógł i zerwał się z ziemi. Potem, podniósłszy latarkę, która wypadła Burbonowi z rąk, zaczął gorączkowo świecić nią po ścianach, szukając źródła dźwięku, rozerwanej rury. Lecz rury były tu zupełnie nienaruszone, dźwięk dochodził skądś z góry.

Burbon leżał nieruchomo w tej samej pozycji, i kiedy Artem przewrócił go twarzą w górę, jego oczy nadal były otwarte. Artem, z trudem przypominając sobie co trzeba robić w takich wypadkach, chwycił go za nadgarstek, by wyczuć puls, choćby słaby jak nitka, choćby nierówny, ale wyczuwalny... Na próżno. Wtedy złapał Burbona za ręce i oblewając się potem, ciągnął jego ciężkie ciało naprzód, jak najdalej od tego miejsca. Było to diabelnie trudne, szczególnie, że zapomniał zdjąć wspólnikowi plecak.

Kilkadziesiąt kroków dalej Artem nagle potknął się o coś miękkiego i w nozdrza uderzył go mdlący, słodkawy zapach. Od razu przypomniały mu się słowa: „Jeszcze się na nich natkniemy”, i starając się nie patrzeć pod nogi, ze zdwojonym wysiłkiem minął rozpostarte na szynach ciała.

Wciąż ciągnął Burbona za sobą. Głowa zwisała mu bez życia, jego stygnące ręce wyślizgiwały się ze spoconych od wysiłku dłoni Artema, ale chłopak nie zwracał na to uwagi, nie chciał zwracać na to uwagi, musiał wyciągnąć stąd Burbona, przecież mu obiecał, przecież mieli umowę!

Szum zaczął powoli cichnąć i nagle zupełnie zniknął. Znów nastała cisza i, czując ogromną ulgę, Artem pozwolił sobie wreszcie usiąść na szynach i złapać oddech. Burbon leżał obok nieruchomo, a Artem, ciężko dysząc, z rozpaczą patrzył na jego bladą twarz. Po jakichś pięciu minutach z trudem zmusił się, by powstać i chwyciwszy Burbona za przeguby, idąc tyłem, ruszył dalej. W głowie miał zupełną pustkę, dźwięczało mu w niej tylko stanowcze postanowienie, by, cokolwiek się stanie, zaciągnąć tego człowieka na następną stację. Potem ugięły się pod nim nogi i zwalił się na tory, ale po kilkuminutowym odpoczynku znów zaczął się wlec naprzód, trzymając Burbona za kołnierz. „Dojdę tam, dojdę tam, dojdę tam, dojdę tam...” - zapewniał sam siebie, choć już w to prawie nie wierzył. Zupełnie wyczerpany, ściągnął z ramienia swój karabin, przełączył drżącymi palcami bezpiecznik na ogień pojedynczy i, kierując lufę na południe, wystrzelił i zawołał: „Ludzie!”, ale ostatnim dźwiękiem, jaki usłyszał, nie był ludzki głos, a zgrzyt szczurzych łap i głodne popiskiwanie.

Nie wiedział jak długo tak leżał, uczepiwszy się kołnierza Burbona, i ściskając rękojeść automatu, kiedy w oczy uderzył go promień światła. Stał nad nim nieznajomy starszy mężczyzna z latarką w jednej ręce i osobliwą bronią w drugiej.

- Mój młody przyjacielu - zwrócił się do niego przyjemnym, dźwięcznym głosem. - Możesz porzucić swojego towarzysza. Jest martwy jak Ramzes Drugi. Chcesz tu zostać, żeby połączyć się z nim na łonie Abrahama, jak się da najszybciej, czy na razie na ciebie poczeka?

- Proszę mi pomóc donieść go do stacji - słabym głosem poprosił Artem, osłaniając ręką twarz przed światłem.

- Obawiam się, że przyjdzie nam ten niemądry pomysł odrzucić - zakomunikował ze smutkiem mężczyzna. - Jestem zdecydowanie przeciwny przekształcaniu stacji

Suchariewska w kostnicę, i tak nie jest tam zbyt przytulnie. A potem, jeśli nawet doniesiemy tam martwe ciało twojego kolegi, wątpię, żeby ktokolwiek na tej stacji podjął się zabrać go w ostatnią drogę w należyty sposób. Jakie to ma znaczenie, że to ciało rozłoży się tutaj, a nie na stacji, jeśli jego nieśmiertelna dusza wzniosła się już do Stwórcy, lub ulegnie przeistoczeniu - w zależności od wyznania? Chociaż tu wszystkie religie mylą się w równym stopniu.

- Obiecałem mu... - wyszeptał Artem. - Mieliśmy umowę...

- Przyjacielu! - powiedział nieznajomy, spochmurniawszy - Zaczynam tracić cierpliwość. Pomaganie nieboszczykom nie mieści się w moich zasadach, bo jest na świecie wystarczająco dużo żywych, którzy potrzebują pomocy. Wracam na Suchariewska: od długiego przebywania w tunelach zaczyna się u mnie reumatyzm. Jeśli chcesz jak najszybciej połączyć się ze swoim towarzyszem, proponuję ci tu zostać. Szczury i inne miłe stworzenia na pewno ci w tym pomogą. Poza tym, jeśli niepokoi cię prawna strona zagadnienia, to po śmierci jednej ze stron umowę uważa się za zerwaną, jeśli któryś z jej punktów nie stanowi inaczej.

- Ale przecież nie można go tak zostawić! - cicho próbował przekonać swojego wybawcę Artem. - To przecież był żywy człowiek. Mam go zostawić szczurom?!

- Sądząc z wszelkich oznak, to rzeczywiście był żywy człowiek - odrzekł ten, sceptycznie przyglądając się ciału. - Ale teraz jest to bez wątpienia człowiek martwy, a to nie to samo. Dobrze, jeśli bardzo chcesz, będziesz mógł tu potem wrócić, żeby rozpalić stos pogrzebowy, czy co tam jest u was przyjęte w takich wypadkach. Wstawaj! - wydał Artemowi polecenie i ten, wbrew swej woli, podniósł się z ziemi.

Mimo protestów Artema, nieznajomy zdecydowanym ruchem ściągnął z Burbona plecak, zarzucił go sobie na ramię i, podtrzymując chłopca, szybko ruszył naprzód. Z początku Artemowi było ciężko iść, lecz z każdym kolejnym krokiem nieznajomy jakby przekazywał mu cząstkę swojej niespożytej energii. Ból w nogach minął i umysł nieco mu się rozjaśnił. Przypatrzył się uważniej twarzy swojego wybawcy. Z wyglądu był po pięćdziesiątce, ale prezentował się zadziwiająco świeżo i rześko. Ręka, którą podtrzymywał Artema, była twarda i ani razu w ciągu całej drogi nie drgnęła ze zmęczenia. Siwiejące, krótko ostrzyżone włosy i mała, wypielęgnowana bródka wzmogły czujność Artema: nieznajomy był zbyt zadbany jak na metro, a szczególnie jak na tę zapadłą dziurę, w której, jak można było przypuszczać, mieszkał.

- Co się stało z twoim kolegą? - spytał nieznajomy. - Nie wyglądało to na napad, chyba że czymś go otruli... I mam wielką nadzieję, że to nie to, o czym myślę - dodał, nie rozwodząc się o tym, czego konkretnie się obawiał.

- Nie... Sam umarł - nie mając sił wyjaśniać okoliczności śmierci Burbona, których sam dopiero co zaczął się domyślać, powiedział Artem. - To długa historia. Potem opowiem.

Tunel nagle się skończył i znaleźli się na stacji. Coś tu wydało się Artemowi dziwne, nietypowe, ale minęło kilka sekund zanim wreszcie dotarło do niego w czym rzecz.

- Tu jest ciemno? - zbity z tropu spytał swojego towarzysza.

- Tu nie ma władzy - odezwał się ten. - I nie ma kto dać mieszkańcom światła. Dlatego każdy, kto go potrzebuje, musi zdobyć je sam. Jedni potrafią to zrobić, inni nie. Ale nie bój się, na szczęście ja należę do tej pierwszej grupy - rześko wskoczył na peron i podał Artemowi rękę.

Weszli w pierwszą arkadę i wkroczyli do sali. Tylko jedna długa nawa, kolumnady i arkady po bokach, zwyczajne żelazne ściany, odgradzające ich od schodów ruchomych - ledwo rozświetlona w niektórych miejscach wątłymi ogniskami, a w większej części pogrążona w ciemnościach, Suchariewska przedstawiała sobą widok przygnębiający i skrajnie ponury. Przy ogniskach krzątały się grupki ludzi, ktoś spał bezpośrednio na ziemi,

od ogniska do ogniska kroczyły dziwne, zgięte w pół sylwetki w łachmanach. Wszyscy oni cisnęli się ku środkowi sali, jak najdalej od tuneli.

Ognisko, do którego nieznajomy przyprowadził Artema było wyraźnie jaśniejsze od pozostałych i znajdowało się daleko od centrum peronu.

- Kiedyś ta stacja spali się i zostaną tylko zgliszcza - pomyślał na głos Artem, ponuro patrząc na salę.

- Za czterysta dwadzieścia dni - spokojnie poinformował go jego towarzysz. - Tak że lepiej będzie, jak ją do tej pory opuścisz. W każdym razie ja właśnie tak zamierzam postąpić.

- Skąd pan to wie? - spytał go zdumiony Artem, w mgnieniu oka przypominając sobie wszystkie zasłyszane opowieści o magach i jasnowidzach, wpatrując się w twarz rozmówcy, starając się dojrzeć na niej oznaki nadludzkiej wiedzy.

- Serce matki wie najlepiej - odpowiedział ten z uśmiechem. - Dobrze, teraz musisz się przespać, a potem się poznamy i porozmawiamy.

Z jego ostatnim słowem na Artema nagle znów spadło okropne zmęczenie, które nawarstwiało się w tunelu przed Ryżską, w nocnych koszmarach, w jego niedawnej próbie woli. Nie mając sił dalej się sprzeciwiać, Artem opadł na kawałek brezentu rozciągnięty przy ognisku, włożył sobie pod głowę plecak i zapadł w długi, ciężki i pusty sen.

ROZDZIAŁ 6
PRAWO SILNIEJSZEGO

Sufit był tak mocno zakopcony, że po pokrywającym go kiedyś białym tynku nie zostało ani śladu. Artem patrzył na niego tępym wzrokiem, nie rozumiejąc, gdzie się znajduje.

- Obudziłeś się? - usłyszał znajomy głos i zmusił rozsypaną układankę myśli i wydarzeń, by ułożyła się w obraz wczorajszego (czy rzeczywiście?) dnia. Wszystko to zdawało się teraz nierealne. Nieprzezroczysta jak mgła ściana snu oddzielała rzeczywistość od wspomnień.

Wystarczy zasnąć i się obudzić, by wyrazistość przeżyć gwałtownie przygasła, i we wspomnieniach trudno już odróżnić marzenia od autentycznych wydarzeń, które stają się równie wyblakłe jak sny, jak myśli o przyszłości czy możliwej przeszłości.

- Dobry wieczór - przywitał Artema ten, który go znalazł. Siedział po drugiej stronie ogniska, Artem widział swojego przewodnika poprzez płomienie i przez to jego twarz przybrała wygląd tajemniczy a nawet mistyczny. - Teraz chyba możemy przedstawić się sobie nawzajem. Posiadam zwyczajne imię, podobne do tych, które otaczają cię w tym życiu. Jest ono zbyt długie i niczego o mnie nie mówi. Ale jestem ostatnim wcieleniem Czyngis-chana, i dlatego możesz mi mówić Chan. Tak jest krócej.

- Czyngis-chana? - Artem spojrzał nieufnie na swego rozmówcę, najbardziej jakoś zdziwiony tym, że ten przedstawił się właśnie jako ostatnie wcielenie, chociaż sam w ogóle nie wierzył w reinkarnację.

- Przyjacielu mój! - urażonym tonem zaoponował Chan. - Nie warto z tak jawną podejrzliwością badać wykroju moich oczu i sposobu zachowania. Od tamtych czasów żyłem w wielu innych, bardziej przyzwoitych wcieleniach. Ale Czyngis-chan wciąż pozostaje najbardziej znaczącym etapem na mojej drodze, chociaż akurat z tamtego życia, przyznaję z najgłębszym żalem, nie pamiętam absolutnie nic.

- A dlaczego Chan, a nie Czyngis? - nie poddawał się Artem. - Chan to przecież nawet nie nazwisko, a rodzaj stanowiska, jeśli dobrze pamiętam.

- Wywołuje niepotrzebne skojarzenia, nie mówiąc już o Ajtmatowie[3] - niechętnie i niezrozumiale wyjaśnił jego rozmówca. - A poza tym nie uważam za swój obowiązek informować byle kogo o genezie mojego imienia. A jak ty się nazywasz?

- Ja jestem Artem, i nie wiem kim byłem w poprzednim życiu. Może kiedyś moje imię też było głośniejsze - powiedział Artem.

- Bardzo mi miło - rzekł Chan, najwyraźniej w pełni usatysfakcjonowany i tym. - Mam nadzieję, że będziesz mi towarzyszył w moim skromnym posiłku - dodał, wieszając nad ogniskiem poobijany żelazny czajnik, podobny do tego, który był na WOGN-ie na północnym posterunku.

Artem podniósł się energicznie, wsadził rękę do swojego plecaka i wyciągnął stamtąd kawał kiełbasy, który wziął na drogę jeszcze na WOGN-ie.

Składanym nożykiem ukroił kilka kawałków i rozłożył je na czystej ściereczce, którą także miał w plecaku.

- Proszę - podsunął kiełbasę nowemu znajomemu - do herbaty.

Herbata Chana była taka sama, jak w domu, na WOGN-ie, Artem od razu ją poznał. Pociągając napój z metalowego emaliowanego kubka w milczeniu, przypominał sobie wydarzenia minionego dnia. Gospodarz najwidoczniej też myślał o jakichś swoich sprawach i na razie go nie niepokoił.

Obłęd, wypływający na świat z pękniętych rur, działał na każdego inaczej. I kiedy Artem odczuwał go po prostu jako hałas, który go ogłuszał, nie dawał się skupić, zabijał

[3] Czyngis Ajtmatow (1928-2008) - najwybitniejszy pisarz kirgiski XX wieku [przyp. tłum.].

myśli, lecz oszczędzał sam umysł, to Burbon zwyczajnie nie wytrzymał tak potężnego ataku i zginął. Tego, że ów szum potrafi zabijać, Artem się nie spodziewał, inaczej nie zgodziłby się wkroczyć w czarny tunel między Prospektem Mira a Suchariewską.

Tym razem szum zakradł się niezauważalnie, z początku przytępiając zmysły. Artem był teraz przekonany, że wszystkie zwykłe dźwięki były przez niego zagłuszone, zaś jego samego nie dało się usłyszeć, choć tylko do czasu, potem blokował bieg myśli, tak że te zamarzały, zamierały i pokrywały się szronem bezsilności, aż w końcu zadał ostatnie druzgoczące uderzenie.

Ale jak on mógł nie zauważyć od razu, że Burbon nagle zaczął mówić językiem, który nie przyszedłby mu do głowy, nawet gdyby naczytał się apokaliptycznych proroctw? Wchodził w to z Burbonem coraz głębiej, jak zaczarowany, i spadło na nich jakieś straszne zamroczenie, lecz bez poczucia zagrożenia, i sam Artem myślał o jakichś bzdurach, o tym, że nie wolno milczeć, że trzeba mówić, zaś żeby spróbować sobie uświadomić, co się z nimi dzieje, jakoś nie przychodziło do głowy, coś przeszkadzało...

Miał ochotę wszystkie te wydarzenia wyrzucić ze świadomości, zapomnieć, było to niedostępne rozumowi, w końcu przez wszystkie lata przeżyte na WOGN-ie o podobnych rzeczach miał okazję tylko słuchać, i łatwiej było wierzyć, że nic takiego nie może się zdarzyć na tym świecie, że po prostu nie ma w nim na to miejsca. Artem potrząsnął głową i znów rozejrzał się dookoła.

Wokół panował ten sam duszny półmrok. Artemowi przyszło do głowy, że tu nigdy nie bywa jasno, może się tylko zrobić ciemniej, kiedy skończy się zapas chrustu na ogniska, który przyniosły tu jakieś karawany. Zegar nad wejściem do tuneli zgasł już dawno temu, na tej stacji nie było władzy, nie było komu troszczyć się o nich, i Artem zastanowił się, dlaczego Chan powiedział mu „dobry wieczór", chociaż, według jego obliczeń, powinien być ranek, albo południe.

- To teraz jest wieczór? - z niedowierzaniem spytał Chana.

- U mnie jest wieczór - odpowiedział ten w zadumie.

- Co pan ma na myśli? - nie zrozumiał Artem.

- Widzisz, jak sądzę pochodzisz ze stacji, gdzie zegar jest sprawny i wszyscy patrzą na niego z nabożeństwem, synchronizując wskazówki swoich ręcznych zegarków z czerwonymi cyframi nad wejściem do tuneli. Wasz czas jest dla wszystkich jeden, tak jak i światło. Tu wszystko jest na odwrót: nikt nie miesza się do spraw innych. Nikt nie musi zapewniać światła wszystkim, których tu przyniosło. Podejdź do ludzi i zaproponuj im to - twój pomysł wyda im się absurdalny. Każdy, kto potrzebuje światła, powinien przynieść je tu ze sobą. To samo tyczy się czasu: każdy, kto go potrzebuje, w obawie przed chaosem, przynosi tutaj własny czas. Każdy ma tu swój własny i każdy z nich jest inny, w zależności od tego, kto kiedy stracił rachubę, ale wszystkie są jednakowo prawidłowe, każdy wierzy w swój czas, podporządkowuje swoje życie jego rytmom. U mnie jest teraz wieczór, u ciebie ranek, i co z tego? Tacy jak ty, podróżując, przechowują zegarki tak troskliwie, jak ludzie pierwotni strzegli rozżarzonego węgielka w wypalonej skorupie, w nadziei, że wykrzeszą z niego ogień. Ale są też inni: ci, którzy zgubili, a może wyrzucili swój węgielek. Rozumiesz, w metrze przecież w gruncie rzeczy zawsze jest noc, dlatego czas nie ma tu sensu, choćby jak najuważniej go kontrolować. Rozwal swój zegarek, a zobaczysz w co przeobrazi się czas, to bardzo interesujące. Zmieni się nie do poznania. Przestanie być rozdrobniony, rozbity na kawałki, godziny, minuty, sekundy. Czas jest jak rtęć: rozdrobni się go, a on znowu się zrośnie, znowu stanie się niepodzielną całością. Ludzie go oswoili, uwiązali na łańcuszki swoich zegarków kieszonkowych i stoperów, i dla tych, którzy trzymają go na łańcuchu, biegnie jednakowo. Ale spróbuj go oswobodzić, a zobaczysz: dla różnych ludzi czas płynie inaczej, dla kogoś wolno i ociężale, odmierzany wypalonymi papierosami, wejściami i wyjściami, a dla innego pędzi i zmierzyć go można tylko przeżytymi żywotami.

Myślisz, że teraz jest rano? Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że masz rację: w przybliżeniu jeden do czterech. Tym niemniej ten poranek nie ma żadnego sensu, przecież on istnieje tam, na powierzchni, gdzie nie ma już życia. W każdym razie nie ma tam już ludzi. Czy ma znaczenie to, co dzieje się na górze, dla tych, którzy nigdy tam nie bywają? Nie. Dlatego też mówię ci „dobry wieczór", a ty, jeśli chcesz, możesz odpowiedzieć „dzień dobry". A co do samej stacji, to nie posiada ona w ogóle żadnego czasu, może oprócz jednego, przedziwnego: dziś jest czterysta dziewiętnasty dzień i jest to odliczanie wsteczne.

Zamilkł i wypił łyk gorącej herbaty, a Artemowi zachciało się śmiać, kiedy sobie przypomniał, że na WOGN-ie stacyjny zegar był czczony jak świętość, i gdy tylko się zaciął, ściągało to na złapanych na gorącym uczynku oskarżenia o dywersję i sabotaż. Ale by się kierownictwo zdziwiło, dowiadując się, że nie ma już żadnego czasu, że zniknął sam sens jego istnienia! To, co powiedział Chan, przypomniało nagle Artemowi pewną zabawną rzecz, która nie raz go zadziwiała, kiedy podrósł.

- Mówi się, że kiedyś, kiedy jeszcze jeździły pociągi, w wagonach ogłaszano: „Uwaga, drzwi się zamykają, następna stacja taka-i-taka, peron z prawej albo z lewej strony" - powiedział. - To prawda?

- Wydaje ci się to dziwne? - podniósł brwi jego rozmówca.

- Ale jak można określić, z której strony jest peron? Jeśli idę z południa na północ, to peron jest z prawej, a jeśli idę z północy na południe, to z lewej. A siedzenia w pociągu stały w ogóle wzdłuż ścian, jeśli dobrze rozumiem. Więc dla pasażerów peron jest z przodu, albo z tyłu, przy czym dokładnie dla połowy jest tak, a dla drugiej połowy dokładnie odwrotnie.

- Masz rację - poważnie odrzekł Chan. - Faktycznie, maszyniści mówili tylko w swoim imieniu, to oni jechali w kabinie z przodu i dla nich prawo było bezwzględnie po prawej, a lewo bezwzględnie po lewej. Ale oni przecież i tak o tym wiedzieli i mówili w istocie sami do siebie. Dlatego, w zasadzie, mogliby i milczeć. Ale słuchałem tych słów od dziecka, tak do nich przywykłem, że nigdy się nad nimi nie zastanawiałem.

- Obiecałeś mi, że opowiesz, co się stało z twoim towarzyszem - przypomniał Artemowi po jakimś czasie.

Artem chwilę zwlekał, nie będąc pewnym, czy można opowiedzieć temu człowiekowi o tajemniczych okolicznościach śmierci Burbona, o hałasie, który słyszał dwa razy w czasie ostatniej doby, o jego zgubnym działaniu na ludzki umysł, o swych przeżyciach i przemyśleniach z chwili, gdy udało mu się podsłuchać melodię tunelu - i stwierdził, że jeśli jest sens opowiadać komuś o takich rzeczach, to tylko człowiekowi, który szczerze wierzy, że jest ostatnim wcieleniem Czyngis-chana i uważa, że czas już nie istnieje.

A więc mętnie, nerwowo, nie zachowując kolejności zdarzeń, starając się przekazać raczej swoje odczucia niż fakty, zaczął streszczać swoje przygody.

- To głosy umarłych - rzekł cicho Chan po tym, gdy Artem skończył opowiadać.

- Co? - spytał Artem wstrząśnięty.

- Słyszałeś głosy umarłych. Mówiłeś, że z początku przypominało to szept lub szelest? Tak, to oni.

- Jakich umarłych? - nijak nie mógł sobie tego wyobrazić Artem.

- Wszystkich ludzi, którzy od samego początku umarli w metrze. To właśnie wyjaśnia również, dlaczego jestem ostatnim wcieleniem Czyngis-chana. Więcej wcieleń nie będzie. Na wszystko przyszedł kres, mój przyjacielu. Nie wiem dokładnie jak to się stało, ale tym razem ludzkość przesadziła. Nie ma już ani raju, ani piekła. Nie ma już czyśćca. Po tym, jak dusza oddziela się od ciała - mam nadzieję, że wierzysz chociaż w nieśmiertelność duszy? - nie ma już schronienia. Ile potrzeba megaton, gigaton, żeby wyparowała noosfera? Przecież była tak samo realna jak ten czajnik. Jakkolwiek to się stało, nie ograniczaliśmy się. Unicestwiliśmy i niebo, i piekło. Wypadło nam żyć w przedziwnym świecie, w świecie, w którym dusza po śmierci musi zostać. Rozumiesz mnie? Umrzesz, ale twoja umęczona

dusza nie ulegnie reinkarnacji, a ponieważ nie ma już nieba, nie będzie dla niej ukojenia ani odpoczynku. Jest skazana na pozostanie tam, gdzie spędziłeś całe swoje życie - w metrze. Chyba nie umiem podać ci dokładnego teozoficznego wyjaśnienia, dlaczego tak się dzieje, ale wiem na pewno: w naszym świecie dusza po śmierci zostaje w metrze... Będzie się miotać pod sklepieniami tych podziemi, w tunelach, do końca czasów, bo nie ma już gdzie iść. Metro łączy w sobie życie biologiczne i pozagrobowe w jego obydwu postaciach. Teraz zarówno Eden, jak i Piekło znajdują się w tym samym miejscu. Mieszkamy wśród dusz umarłych, otaczają nas szczelnym kręgiem - wszyscy przejechani przez pociąg, zastrzeleni, uduszeni, pożarci przez potwory, spaleni żywcem, ci, którzy zginęli tak dziwną śmiercią, że nikt z żyjących nic o tym nie wie i nie będzie sobie nawet umiał wyobrazić. Dawno już męczyłem się nad tą zagadką: dokąd oni odchodzą, dlaczego ich obecność nie jest codziennie wyczuwalna, dlaczego z ciemności nie czuć wciąż ich lekkiego zimnego wzroku... Poznałeś strach tunelu? Myślałem kiedyś, że to umarli na ślepo podążają za nami tunelami, krok za krokiem, znikając w ciemności kiedy tylko się odwrócimy. Oczy są tu nieprzydatne, nie da się nimi ujrzeć zmarłego, ale gdy po plecach przechodzą ci ciarki, włosy stają dęba, całym ciałem wstrząsa dreszcz, świadczy to o niewidzialnych prześladowcach. Tak myślałem kiedyś. Ale po tym, co mi opowiedziałeś, wiele rzeczy stało się dla mnie jasne. Nieznanym sposobem umarli dostają się do rur, do łączności... Kiedyś, dawno, zanim urodził się mój ojciec, a nawet dziadek, przez martwe miasto, które leży na powierzchni, płynęła rzeczka. Ludzie, którzy w nim wtedy mieszkali, potrafili ujarzmić tę rzekę i puścić ją rurami pod ziemię, gdzie pewnie płynie po dziś dzień. Podobnie tym razem - ktoś zamknął w rurach samą Letę, rzekę śmierci... Twój towarzysz nie mówił swoimi słowami i to nie on mówił. To były głosy umarłych, słyszał je w głowie i powtarzał, a potem oni pociągnęli go za sobą.

Artem wlepił wzrok w swojego rozmówcę i nie mógł oderwać oczu od jego twarzy przez cały czas opowiadania. Po twarzy Chana przebiegały niewyraźne cienie, oczy rozpalał mu piekielny ogień... Gdy kończył opowiadać, Artem był już prawie pewny, że Chan oszalał, że głosy z rur pewnie też coś mu podszepnęły. I chociaż Chan ocalił go przed śmiercią i tak gościnnie przyjął, dłuższy pobyt u niego stawał się niewygodny i nieprzyjemny. Trzeba było się zastanowić, jak przedostać się dalej, przez ten najbardziej złowieszczy ze wszystkich tuneli metra, o których przyszło mu dotąd słyszeć - od Suchariewskiej do Turgieniewskiej i dalej.

- Tak więc będziesz musiał mi wybaczyć moje drobne oszustwo - dodał po krótkiej pauzie Chan. - Dusza twojego kolegi nie wzniosła się do Stwórcy, nie uległa przeistoczeniu i nie odrodziła się w innej formie. Zjednoczyła się z tymi nieszczęśnikami w rurach.

Te słowa przypomniały Artemowi, że zamierzał wrócić po ciało Burbona, żeby przynieść je na stację. Burbon mówił, że ma tu przyjaciół, którzy mieli wyprawić Artema z powrotem, gdyby wyprawa się udała. To z kolei przypomniało mu o plecaku, którego Artem w końcu nie otworzył, i w którym, oprócz magazynków do automatu Burbona, mogły się znajdować inne przydatne rzeczy. Ale jakoś bał się zarządzać jego zawartością, do głowy przychodziły mu różne zabobony, i Artem postanowił tylko rozpiąć plecak i zajrzeć do niego, starając się niczego w nim nie ruszać, a tym bardziej nie przetrząsać.

- Możesz się nie bać - jakby wyczuwając jego rozterki, nieoczekiwanie uspokoił go Chan. - Ten przedmiot jest teraz twój.

- Moim zdaniem to, co pan zrobił, nazywa się rabunkiem - cicho powiedział Artem.

- Możesz się nie obawiać zemsty, on już w nikogo się nie wcieli - powiedział Chan, odpowiadając nie na to, co Artem powiedział na głos, ale na to, co kołatało mu się w głowie. - Uważam, że umarli, kiedy dostają się do tych rur, zatracają siebie, stają się częścią całości, ich wola rozpływa się w woli pozostałych, a umysł usycha. On już nie jest osobą. A jeśli boisz się nie martwych, a żywych... Cóż, zanieś ten chlebak na środek stacji i wywal jego

zawartość na ziemię. Wtedy nikt nie oskarży cię o kradzież, twoje sumienie będzie czyste. Ale ty starałeś się uratować tego człowieka, i byłby ci za to wdzięczny. Pomyśl o tym chlebaku, jako o swojej zapłacie za to, co zrobiłeś.

Mówił z taką powagą i przekonaniem, że Artem odważył się włożyć rękę do plecaka i zaczął wyciągać i rozkładać na oświetlonym przez ognisko brezencie jego zawartość. Znalazł tam jeszcze cztery magazynki do karabinu Burbona, oprócz tych dwóch, które wyjął oddając Artemowi broń. Zadziwiające było, po co straganiarzowi, za którego Artem wziął Burbona, tak pokaźny arsenał. Pięć z odnalezionych magazynków Artem dokładnie zawinął w ścierkę i schował do swojego plecaka, a jeden włożył do skróconego kałasznikowa. Karabin był w świetnym stanie: starannie nasmarowany i wypielęgnowany, błyszczał i przyciągał oczy kruczoczarną stalą. Zamek chodził płynnie, wydając przy tym głuchy szczęk, bezpiecznik przełączał się między ogniem ciągłym a pojedynczym nieco opornie - wszystko to świadczyło o tym, że automat był praktycznie nowy. Rękojeść wygodnie leżała w dłoni, łoże lufy było dobrze wypolerowane. Ta broń roztaczała aurę niezawodności, budziła spokój i pewność siebie. Artem od razu zdecydował, że jeśli zostawi sobie cokolwiek z własności Burbona, to będzie to właśnie ten karabin.

Obiecanych magazynków z nabojami kalibru 7.62 do swojej starej „motyki" jednak nie znalazł. Niezrozumiałe było, jak Burbon zamierzał się z nim rozliczyć. Rozmyślając o tym, Artem doszedł do wniosku, że ten, być może, nie miał zamiaru niczego mu dawać, lecz, po minięciu niebezpiecznego odcinka, wypaliłby mu z karabinu w potylicę, wrzucił do jakiegoś szybu i już nigdy o nim nie wspomniał. A jeśli ktokolwiek spytałby go, gdzie się podział Artem, znalazłoby się mnóstwo wyjaśnień: mało to może się zdarzyć w metrze, a młody przecież sam się zgodził.

Oprócz różnych szmat, planu metra upstrzonego notatkami zrozumiałymi tylko dla ich martwego właściciela, i jakichś stu gramów kwasa, na dnie plecaka pokazało się kilka kawałków wędzonego mięsa zawiniętych w foliowe torebki oraz notatnik. Artem nie zdecydował się go czytać, zaś reszta zawartości plecaka była dla niego rozczarowaniem. W głębi duszy miał nadzieję zdobyć coś tajemniczego, być może drogocennego, dla której to rzeczy Burbon tak bardzo chciał przebyć tunel do Suchariewskiej. Po cichu myślał o Burbonie jako o kurierze, może przemytniku albo kimś w tym rodzaju. To by w każdym razie wyjaśniało jego decyzję, by przeprawić się przez diabelski tunel za wszelką cenę i gotowość sypnięcia groszem. Ale po tym jak z plecaka wyciągnął ostatnią parę bielizny na zmianę i na dnie, choćby nie wiadomo ile świecił, nie dostrzegł już nic oprócz starych czerstwych okruchów chleba, stało się jasne, że przyczyna jego natarczywości była inna. Artem długo jeszcze łamał sobie głowę, czego właściwie Burbon tak potrzebował za Suchariewską, ale i tak nie potrafił wymyślić niczego prawdopodobnego.

Domysły szybko wyparła myśl o tym, że w końcu porzucił tego nieszczęśnika na środku tunelu i zostawił szczurom, chociaż zamierzał wrócić, żeby zrobić coś z ciałem. Fakt, że miał dość mgliste wyobrażenie o tym, jak konkretnie oddać straganiarzowi ostatnie honory i co począć z trupem. Spalić go? Ale do tego potrzeba silnych nerwów, a duszący dym i smród palonego mięsa i tlejących włosów na pewno doleci do stacji, a wtedy nie będzie można uniknąć nieprzyjemności. Taszczyć ciało na stację będzie ciężko i strasznie, bo co innego ciągnąć za przeguby człowieka w nadziei że żyje i odpychając natrętne myśli, że nie oddycha, że ma niewyczuwalny puls, a zupełnie inna - złapać za ręce stuprocentowego nieboszczyka. A co potem? Burbon, kłamiąc w sprawie zapłaty, mógł tak samo oszukać go co do przyjaciół na stacji, którzy mieli na niego czekać. Wtedy, przyniósłszy tu ciało, Artem znalazłby się w jeszcze gorszym położeniu.

- A co wy robicie z tymi, którzy umierają? - po długich rozmyślaniach Artem zwrócił się do Chana.

- Co masz na myśli, przyjacielu? - odpowiedział ten pytaniem. - Mówisz o duszach zmarłych, czy też o ich śmiertelnych ciałach?

- O trupach - burknął Artem, któremu cały ten galimatias z życiem pozagrobowym zaczął się już przejadać.

- Z Prospektu Mira do Suchariewskiej wiodą dwa tunele - powiedział Chan, i Artem zrozumiał: rzeczywiście, pociągi chodziły przecież w dwie strony i zawsze były potrzebne dwa tunele... A więc czemu Burbon, wiedząc o drugiej drodze, wolał iść na spotkanie swojego losu? Czyżby w drugim tunelu kryło się jeszcze większe niebezpieczeństwo? - Ale przejść można tylko jednym - ciągnął jego rozmówca - ponieważ w drugim tunelu, bliżej naszej stacji, zapadła się ziemia i teraz jest tam coś w rodzaju głębokiego wąwozu, nieważne z której strony się stoi, drugiego końca nie widać, a światło nawet najsilniejszych lamp nie sięga dna. Dlatego wszelcy idioci opowiadają, że mamy tu bezdenną przepaść. Ten wąwóz to nasz cmentarz. Tam wysyłamy, jak to określasz, trupy. Artemowi zrobiło się niedobrze, kiedy wyobraził sobie, że przyjdzie mu wracać w miejsce, z którego zabrał go Chan, w drodze powrotnej taszczyć nadgryzione przez szczury ciało Burbona, nieść je przez stację, a potem do wąwozu w drugim tunelu. Sam sobie spróbował wytłumaczyć, że wrzucić nieboszczyka do wąwozu to w istocie to samo, co zostawić go w tunelu, bo nijak nie można tego nazwać pogrzebem. Lecz kiedy prawie już uwierzył, że pozostawienie wszystkiego bez zmian jest najlepszym wyjściem z sytuacji, przed oczami wstrząsająco wyraźnie stanęła mu twarz Burbona mówiącego: „Umarłem", i od razu oblał go zimny pot. Podniósł się z trudem, przewiesił przez ramię swój nowy automat i powiedział:

- No, to idę. Obiecałem mu. Umówiliśmy się. Muszę - i na uginających się nogach ruszył przez hol w stronę żelaznych schodków prowadzących z peronu na tory przy wejściu do tunelu.

Latarkę przyszło mu zapalić jeszcze zanim po nich zszedł. Postukał butami po stopniach i zamarł na sekundę, wahając się czy iść dalej. W twarz wionęło mu ciężkie, napełnione odorem zgnilizny powietrze i na moment mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa, chociaż z całych sił starał się zmusić do zrobienia następnego kroku. I kiedy wreszcie ruszył, przezwyciężywszy strach i obrzydzenie, na ramię spadła mu ciężka dłoń. Krzyknął zaskoczony i błyskawicznie się odwrócił, czując jak ściska mu się coś w środku, wiedząc, że już nie zdąży zerwać z ramienia karabinu, niczego nie zdąży...

Lecz to był Chan.

- Nie bój się - uspokajająco rzekł do Artema. - Chciałem cię sprawdzić. Nie musisz tam iść. Ciała twojego towarzysza już tam nie ma.

Artem wlepił w niego wzrok nie rozumiejąc.

- Kiedy spałeś, dokonałem obrzędu pogrzebowego. Nie masz po co tam iść. Tunel jest pusty - i Chan odwrócił się od Artema i ruszył z powrotem w kierunku arkad.

Z poczuciem ogromnej ulgi chłopak pośpieszył za nim. Dogoniwszy Chana po dziesięciu krokach, Artem spytał go ze wzburzeniem:

- Ale dlaczego pan to zrobił i dlaczego nic mi pan nie powiedział? Przecież mówił pan, że nie ma znaczenia, czy ciało zostanie w tunelu, czy przeniesie się je na stację.

- Dla mnie to rzeczywiście nie ma znaczenia - wzruszył ramionami Chan. - Ale za to dla ciebie było to ważne. Wiem, że twoja wyprawa ma cel i że droga przed tobą jest długa i najeżona cierniami. Nie rozumiem na czym polega twoja misja, ale jej ciężar będzie zbyt duży dla ciebie samego, więc postanowiłem ci pomóc, choćby w takim stopniu - spojrzał na Artema z uśmiechem.

Kiedy wrócili do ogniska i usiedli na pomiętym brezencie, Artem nie wytrzymał:

- Co pan miał na myśli, kiedy wspominał o mojej misji? Mówiłem we śnie?

- Nie, przyjacielu, we śnie akurat milczałeś. Ale miałem widzenie, a w nim prosił mnie o pomoc człowiek, którego połowa imienia brzmi jak moje imię. Uprzedzono mnie o

twoim pojawieniu się i to właśnie dlatego wyszedłem ci naprzeciw i zabrałem, kiedy czołgałeś się z trupem twojego kolegi.

- A więc to dlatego? - z niedowierzaniem spojrzał na niego Artem. - Myślałem, że usłyszał pan strzały...

- Słyszałem i strzały, echo jest tu głośne. Ale naprawdę nie myślisz chyba, że wychodzę do tuneli za każdym razem, kiedy ktoś strzela? Skończyłbym swój ziemski żywot o wiele wcześniej i zupełnie haniebnie, gdybym tak postępował. Ale ten przypadek był wyjątkowy.

- A co to za człowiek, którego połowa imienia brzmi jak pana imię?

- Nie potrafię powiedzieć kto to jest, nigdy go wcześniej nie widziałem, nigdy z nim nie rozmawiałem, ale ty go znasz. Powinieneś sam do tego dojść. Zobaczyłem go tylko raz, i to nie na jawie, ale od razu poczułem jego ogromną siłę; kazał mi pomóc młodzieńcowi, który wyjdzie z południowych tuneli, i przed oczami stanęła mi twoja postać. Wszystko to był tylko sen, ale poczucie jego realności było tak silne, że kiedy się obudziłem, nie umiałem uchwycić granicy między snem a jawą. To był potężny człowiek z błyszczącą, ogoloną na zero głową, ubrany cały na biało... Znasz go?

Tu Artemem jakby wstrząsnęło, wszystko przeleciało mu przed oczami i jasno ukazał mu się widok, o którym mówił Chan. Człowiek, którego połowa imienia brzmi jak imię jego wybawcy... Hunter! Podobne widzenie miał i Artem: kiedy się wahał, czy ruszać w podróż, zobaczył Myśliwego, ale nie w długim czarnym płaszczu, w którym pojawił się na WOGN-ie w ten pamiętny dzień, a w bezkształtnym śnieżnobiałym stroju.

- Tak. Znam tego człowieka - zupełnie inaczej patrząc na Chana powiedział Artem.

- Wtargnął w moje widzenia senne, a tego zwykle nikomu nie wybaczam. Ale z nim było zupełnie inaczej - ciągnął w zadumie Chan. - On, tak jak i ty, potrzebował mojej pomocy, i nie rozkazywał, nie zmuszał do poddania się jego woli, a prędzej natarczywie prosił. Nie umie hipnotyzować i wędrować po cudzych myślach, po prostu było mu ciężko, bardzo ciężko, rozpaczliwie myślał o tobie i szukał pomocnej dłoni, ramienia, na którym mógłby się oprzeć. Podałem mu dłoń i podstawiłem ramię. Wyszedłem ci na spotkanie.

Artem zachłysnął się myślami, które kotłowały się i wypływały w jego świadomości jedna za drugą, rozwijały się, nieprzetłumaczalne na słowa, i znów szły na dno, język stanął mu kołkiem i chłopak długo nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Czyżby ten człowiek rzeczywiście wiedział zawczasu o jego przyjściu? Czyżby Hunter umiał jakimś sposobem to przewidzieć? Czy Hunter żył, czy też komunikował się z nimi jego bezcielesny duch? Ale wtedy trzeba by było wierzyć w koszmarne i absurdalne obrazy życia pozagrobowego namalowane przez Chana, a przecież o tyle lżej i przyjemniej było wmawiać sobie, że to po prostu szaleniec. I, co najważniejsze, jego rozmówca wiedział coś o zadaniu, które Artem miał wykonać, nazywał to misją i nawet jeśli trudno mu było określić jej cel, rozumiał jej wagę i istotność, współczuł Artemowi i chciał mu pomóc w jego doli...

- Dokąd idziesz? - patrząc Artemowi w oczy i jakby czytając w jego myślach, cicho spytał Chan. - Powiedz mi dokąd wiedzie twoja droga, pomogę ci uczynić następny krok do celu, jeśli będzie to w mojej mocy. On mnie o to prosił.

- Polis - westchnął Artem. - Muszę się dostać do Polis.

- A jak zamierzasz dojść do Miasta z tej zapomnianej przez Boga stacji? - zainteresował się Chan. - Przyjacielu, powinieneś był iść wzdłuż Linii Okrężnej, z Prospektu Mira do Kurskiej albo Kijewskiej.

- Tam jest Hanza, nie mam tam żadnych znajomych, nie udałoby mi się tamtędy przejść. Zresztą wszystko jedno, teraz nie mogę już wrócić na Prospekt Mira, boję się, że nie wytrzymam drugi raz przejścia przez ten tunel. Chciałem dostać się do Turgieniewskiej: przeglądałem stary plan i widziałem tam przejście na stację Sreteński Bulwar. Stamtąd prowadzi niedokończona linia, i nią można dojść do Trubnej - Artem wydobył z kieszeni

osmaloną ulotkę z planem na odwrocie. Ta nazwa zupełnie mi się nie podoba, szczególnie teraz[4], ale nie ma wyjścia. Z Trubnej jest przejście na Cwietoj Bulwar, widziałem je w domu na planie, a stamtąd, jeśli wszystko pójdzie dobrze, można iść prosto do Polis.

- Nie - powiedział ponuro Chan kręcąc głową. - Nie uda ci się dostać do Polis tą drogą. Te plany kłamią. Drukowali je na długo zanim to wszystko się stało. Mówią o liniach, których nigdy nie dokończono, o stacjach, które się zawaliły, grzebiąc pod swymi sklepieniami setki niewinnych ludzi, milczą o straszliwych niebezpieczeństwach czających się na drodze i sprawiających, że wiele tras staje się niemożliwymi. Twój plan jest niemądry i naiwny jak trzyletnie dziecko. Daj mi go - wyciągnął rękę.

Artem posłusznie włożył karteczkę w jego dłoń. Chan natychmiast ją zmiął i rzucił w ogień. Kiedy Artem rozmyślał o tym, że to chyba było niepotrzebne, choć nie odważył się protestować, Chan zażądał:

- A teraz pokaż mi ten plan, który znalazłeś w plecaku swojego towarzysza.

Artem pogrzebał w swoich rzeczach i wyciągnął plan, ale nie śpieszył się z przekazaniem go Chanowi, pamiętając o smutnym losie poprzedniego. Nie chciał zostać bez żadnego planu metra. Widząc jego wahanie, Chan pośpieszył z wyjaśnieniami:

- Nic z nim nie zrobię, nie bój się. I wierz mi, niczego nie robię bez celu. Może ci się wydawać, że niektóre moje działania są pozbawione sensu, a nawet szalone. Ale sens w nich jest, po prostu tobie jest on niedostępny, bo twoja percepcja i rozumienie świata są ograniczone. Jesteś dopiero na samym początku drogi. Jesteś zbyt młody, by zrozumieć niektóre rzeczy.

Nie mając siły się sprzeciwiać, Artem przekazał Chanowi znaleziony w rzeczach Burbona plan, kartonowy kwadracik rozmiarów kartki pocztowej, jak ta pożółkła stara pocztówka z pięknymi błyszczącymi bombkami pokrytymi szronem i napisem „Szczęśliwego Nowego 2007 Roku", którą udało mu się jakoś zdobyć od Witalika w zamian za wyliniałą żółtą gwiazdkę z pagonów, którą znalazł u ojczyma w kieszeni.

- Ależ on ciężki - powiedział ochryple Chan, i Artem zauważył, że jego dłoń z leżącym na niej kawałkiem kartonu nagle opadła, tak jakby plan istotnie ważył ponad kilogram. Sekundę temu, trzymając go w ręku, Artem nie dostrzegł w nim niczego wyjątkowego. Papier jak papier.

- Ten plan jest o wiele mądrzejszy od twojego - powiedział Chan. - Kryje się tu taka wiedza, że nie chce mi się wierzyć, że należała do człowieka, który szedł z tobą. Rzecz nawet nie w tych notatkach i znakach, którymi jest upstrzony, chociaż i one mogą wiele powiedzieć. Nie, on niesie z sobą coś...

Jego słowa nagle się urwały.

Artem podniósł wzrok i spojrzał na niego uważnie. Czoło Chana pokryły głębokie zmarszczki, i niedawny posępny ogień znów zapłonął mu w oczach. Jego twarz tak się zmieniła, że Artemowi zrobiło się strasznie i znów chciał się wynieść z tej stacji jak najszybciej i w dowolnym kierunku, nawet z powrotem do śmiertelnie niebezpiecznego tunelu, z którego z takim trudem uszedł z życiem.

- Oddaj mi go - nie tyle poprosił, ile rozkazał Chan. - Podaruję ci inny, nie poczujesz różnicy. I dodam jeszcze dowolną rzecz, jakiej sobie zażyczysz - dodał.

- Proszę, należy do pana - łatwo ustąpił Artem, z ulgą wypluwając słowa zgody, rosnące mu w ustach i ciągnące za język. Czekały tam od momentu, kiedy Chan wymówił: „Oddaj", i kiedy Artem wreszcie wyrzucił je z siebie, nagle pomyślał, że te słowa nie były jego, lecz jakby obce, podyktowane.

[4] *Truba* (ros.) - rura [przyp. tłum.].

Chan nagle odsunął się od ogniska, tak że jego twarz skryła się w mroku. Artem domyślił się, że próbuje zapanować nad sobą i nie chce, by chłopak był świadkiem jego wewnętrznej walki.

- Widzisz, przyjacielu - rozległ się z ciemności jego głos, jakiś słaby, niezdecydowany, niemający już nic z tej mocy i woli, która przestraszyła Artema chwilę wcześniej - to nie jest plan. Ściślej mówiąc, nie tylko plan. To Przewodnik po metrze. Tak, tak, to bez wątpienia on. Człowiek o odpowiedniej wiedzy potrafiłby przejść całe metro w dwa dni, bo ten plan... on jakby żyje... Sama mówi ci dokąd i którędy masz iść, przestrzega przed niebezpieczeństwem... Czyli jest dla ciebie przewodnikiem. Dlatego też tak się nazywa - Chan znów zbliżył się do ognia. - Przewodnik, z wielkiej litery, tak ma na imię. Słyszałem o nim. W całym metrze jest ich tylko kilka, a może został już tylko ten? Spuścizna jednego z najpotężniejszych magów minionej epoki.

- Tego, który siedzi w najgłębszym punkcie metra? - chciał błysnąć wiedzą Artem, ale zaraz urwał: twarz Chana spochmurniała.

- Nigdy więcej nie mów tak lekkomyślnie o rzeczach, o których nie masz pojęcia! Nie wiesz, co dzieje się w najgłębszym punkcie metra, nawet ja wiem niewiele, i daj Boże, żebyśmy niczego się nigdy nie dowiedzieli. Ale mogę cię zapewnić, że to, co tam się dzieje całkowicie różni się od tego, co opowiadali ci twoi znajomi. I nie powtarzaj cudzych czczych wymysłów o tym punkcie, bo przyjdzie ci kiedyś za to zapłacić. Nie ma to żadnego związku z Przewodnikiem.

- Nieważne - szybko uspokoił go Artem, nie chcąc przegapić szansy, by znów skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory - może pan sobie wziąć ten Przewodnik. Przecież nie umiem z niego korzystać. Poza tym, jestem panu tak wdzięczny za to, że pan mnie uratował, że nawet jeśli weźmie pan ode mnie plan, i tak nie spłaci to mojego długu wobec pana.

- To prawda - zmarszczki na twarzy Chana wygładziły się, głos znów złagodniał. - Nie będziesz potrafił się nim posługiwać jeszcze przez długi czas. Cóż, jeśli dasz go mnie, to będziemy kwita. Mam zwyczajny rozkład linii, jeśli chcesz przerysuję wszystkie adnotacje z Przewodnika i oddam ci to w zamian. I jeszcze... - poszperał w swoich torbach - mogę ci zaproponować coś takiego - i wydobył małą latarkę o dziwnym kształcie. - Nie potrzebuje baterii, tu jest taki mechanizm, coś jak sprężyna do ćwiczenia nadgarstka: widzisz te dwie rączki? Trzeba je ściskać palcami i latarka sama produkuje prąd, żarówka się świeci. Słabo oczywiście, ale bywają sytuacje, kiedy to słabe światło wydaje się jaśniejsze od lamp rtęciowych w Polis... Nie raz mnie uratowała, mam nadzieję, że i tobie się przyda. Trzymaj, jest twoja. Bierz, bierz, transakcja i tak jest niesprawiedliwa, i to ja jestem twoim dłużnikiem, a nie odwrotnie.

Według Artema wymiana była akurat wyjątkowo udana. Co mu przyjdzie z mistycznych właściwości planu, jeśli jest głuchy na jego głos? Możliwe przecież, że sam by go wyrzucił, pokręciwszy nim trochę w rękach i na próżno próbując zorientować się w wyrysowanych na nim znaczkach.

- Tak więc trasa, jaką obrałeś, nie doprowadzi cię nigdzie indziej, tylko nad przepaść - kontynuował przerwaną rozmowę Chan, ostrożnie trzymając w rękach plan. - Czekaj no, proszę, weź mój stary plan i obserwuj - wręczył Artemowi maluteńki schemacik linii, wydrukowany na odwrocie starego kieszonkowego kalendarzyka. - Mówiłeś o przejściu z Turgieniewskiej na Sreteński Bulwar? Czyżbyś nie wiedział nic o złej sławie otaczającej tę stację i prowadzący z niej długi tunel do Kitaj-Gorodu?

- No, mówili mi, że samemu nie można się w niego zapuszczać, a bezpiecznie jest tylko z karawaną, więc pomyślałem, że do Turgieniewskiej z karawaną, a tam ucieknę od nich do tego przejścia, przecież nie zaczną mnie gonić - odparł Artem, czując jak w głowie kłębią mu się jakieś niewyraźne myśli, kłując go i strasząc. Ale co to jest?

- Tam nie ma przejścia. Zamurowali. Nie wiedziałeś o tym?

Jak mógł zapomnieć?! Oczywiście, mówili mu o tym wcześniej, ale wyleciało mu z głowy... Czerwoni przestraszyli się diabelstwa z tego tunelu i zamurowali jedyne wyjście z Turgieniewskiej.

- Ale nie ma tam innego wyjścia? - spytał ostrożnie.

- Nie, i plany milczą na ten temat. Przejście na linię w budowie nie zaczyna się na Turgieniewskiej. Ale nawet gdyby był tam otwarty korytarz, to wątpię czy starczyłoby ci odwagi zostawić grupę i tam wejść. Szczególnie jak w oczekiwaniu na zebranie się karawany nasłuchasz się najnowszych plotek o tym uroczym zakątku.

- No to co mam zrobić? - ponuro spytał Artem studiując plan.

- Można dojść do Kitaj-Gorodu. O, to bardzo interesująca stacja i ludzie tam są przezabawni; jednak tam, jak sądzę, nie da się przepaść bez śladu tak, że nawet twoi najbliżsi przyjaciele po jakimś czasie zaczną wątpić, czy w ogóle kiedyś istniałeś. Natomiast na Turgieniewskiej to jest akurat bardzo prawdopodobne. Od Kitaj-Gorodu, zobacz - powiódł palcem - tylko dwie stacje do Puszkińskiej, tam jest przejście na Czechowską, jeszcze jedno i jesteś w Polis. To będzie, proszę ciebie, jeszcze krótsza droga niż ta, którą chciałeś iść.

Artem poruszał cicho ustami, podliczając liczbę stacji i przesiadek na obu trasach. Jakkolwiek liczył, droga wytyczona przez Chana była znacznie krótsza i bezpieczniejsza i niejasne było dlaczego Artem sam o niej nie pomyślał. A więc nie było już wyboru.

- Ma pan rację - powiedział wreszcie. - A czy karawany często tędy chodzą?

- Obawiam się, że nie. Jest jeszcze jeden mały, ale przykry szczegół: żeby ktoś zechciał przejść przez nasz przystanek na drodze do Kitaj-Gorodu, czyli wejść w południowy tunel, powinien najpierw dostać się tu z przeciwnej strony. A teraz zastanów się, czy łatwo jest tu przyjść z północy? - Chan pokazał palcem przeklęty tunel, z którego Artem ledwo uszedł z życiem. - Z drugiej strony ostatnia karawana na południe szła tędy dość dawno i jest nadzieja, że od tego czasu zebrała się już nowa grupa. Porozmawiaj z ludźmi, popytaj, tylko nikomu za dużo nie chlapnij, bo kręci się tu kilku zbirów, którym w żadnym wypadku nie można ufać... No, dobra, pójdę z tobą, żebyś nie narobił głupot - dodał po namyśle.

Artem chwycił za swój plecak, ale Chan powstrzymał go gestem:

- Nie obawiaj się o swoje rzeczy. Mnie tak się tutaj boją, że żadna kanalia nie ośmieli się nawet zbliżyć do mojego legowiska. A póki tu przebywasz, jesteś pod moją ochroną.

Artem zostawił plecak przy ognisku, ale automat mimo wszystko wziął, nie chcąc rozstawać się ze swoim nowym skarbem, i pośpieszył w ślad za Chanem, który długimi krokami, nieśpiesznie szedł w stronę ognisk płonących po drugiej stronie holu. Przyglądając się ze zdziwieniem uciekającym spod ich nóg wygłodzonym brodaczom zakutanym w śmierdzące łachmany, Artem pomyślał, że Chana faktycznie się tutaj boją. Ciekawe dlaczego?

Pierwszy ogień minęli, ale Chan nie zwolnił kroku. Było to maciupeńkie ognisko, ledwo się tliło, a siedziały przy nim dwie przytulone do siebie postaci: kobieta i mężczyzna. W ich ustach szeleściły i ulatywały nie docierając do uszu ciche słowa w nieznanym języku. Artem był ich tak ciekawy, że o mało nie zwichnął sobie szyi, nie potrafiąc oderwać wzroku od tej pary.

Przed nimi było drugie ognisko, duże, jasne, dookoła niego leżał cały obóz. Przy ogniu siedzieli i grzali ręce rośli faceci, wyglądający na twardzieli. Ryczeli ze śmiechu, powietrze wypełniały tak ciężkie przekleństwa, że Artem aż trochę się przestraszył i zwolnił kroku. Chan jednak spokojnie i pewnie podszedł do siedzących, pozdrowił ich i usiadł przy ogniu, tak że Artemowi nie pozostało nic innego jak pójść za jego przykładem i przysłuchiwać się rozmowie.

- ...Patrzy na siebie i widzi, że na rękach ma taką samą wysypkę, a pod pachami coś twardego puchnie i strasznie boli. O żesz w mordę... Wyobraź sobie jak się przestraszył! Różni ludzie różnie reagują. Jeden od razu się zastrzeli, inny wariuje, zaczyna się rzucać na innych, próbuje obłapiać, żeby nie samemu zdychać. Niektórzy uciekają do tuneli, za Okrężną, na pustkowia, żeby nikogo nie zarazić... Ludzie bywają różni. A on, jak to zobaczył, to pyta się naszego doktora: jest szansa na wyleczenie? Doktor mu wprost odpowiada: żadnych szans. Po tym jak się pojawi ta wysypka zostają ci dwa tygodnie życia. Patrzę, a Dowódca już powolutku wyjmuje makarowa z kabury, na wszelki wypadek, gdyby ten zaczął się rzucać... - opowiadał urywającym się ze szczerego zdenerwowania głosem chudy, zarośnięty facet w waciaku, patrząc na słuchających wodnistymi szarymi oczyma.

I chociaż Artem nie rozumiał jeszcze do końca o co idzie, duch, który przenikał tę opowieść i cisza wzbierająca w rechoczącym jeszcze przed chwilą towarzystwie sprawiły, że wzdrygnął się i szeptem, by nie wzbudzać niczyjej uwagi, spytał Chana:

- O czym on mówił?

- Dżuma - ciężko odrzekł Chan. - Zaczęło się.

W jego słowach czuć było odór rozkładających się ciał i tłusty dym z płonących stosów pogrzebowych, słychać w nich było bicie dzwonów na trwogę i wycie ręcznej syreny.

Na stacji WOGN i w okolicach epidemie nigdy się nie zdarzały, roznoszące zarazę szczury trzebiono, poza tym na stacji było kilku doświadczonych lekarzy. O śmiertelnych chorobach zakaźnych Artem wiedział tylko z książek. Niektóre z nich przeczytał zbyt wcześnie i zostawiły one głęboki ślad w jego pamięci, na długo zawładnęły światem dziecięcych strachów. Dlatego, kiedy usłyszał słowo „dżuma", poczuł zimny pot oblewający mu plecy i zakręciło mu się w głowie. Nie wypytywał już o nic Chana, tylko wsłuchiwał się z bolesną ciekawością w opowieść chudzielca w waciaku.

- Ale Ryży nie był z takich, psychikę miał mocną. Postał z minutę w milczeniu i mówi: „Dajcie mi nabojów, pójdę stąd. Teraz już nie mogę być z wami". Dowódca od razu odetchnął z ulgą, tak głośno, że aż to usłyszałem. Jasna sprawa: strzelać do swojego to mało zabawne, nawet jeśli jest chory. Dali Ryżemu dwa magazynki - chłopaki się zrzucili. I poszedł na północny wschód, za Awiamotorną. Więcej go nie widzieliśmy. A dowódca spytał potem naszego doktora po jakim czasie widać objawy choroby. Ten mówi: okres inkubacji trwa tydzień. Jeśli po tygodniu od kontaktu nic się nie dzieje, to znaczy, że człowiek się nie zaraził. Wtedy dowódca postanowił: wyjdziemy na stację i zrobimy tygodniowy postój, potem zobaczymy. Do wnętrza pierścienia Okrężnej nie możemy wejść: jeśli zaraza tam przeniknie, to wymrze całe metro. Więc siedzieliśmy tam cały tydzień. Prawie do siebie nawzajem nie podchodziliśmy: skąd wiadomo, kto jest zarażony? Tam był jeszcze jeden chłopak, którego wszyscy nazywali Stakan, bo bardzo lubił wypić. Więc od niego wszyscy w ogóle uciekali, wszystko dlatego, że kumplował się z Ryżym. Podejdzie do kogoś ten Stakan, a tamten daje od niego nogę na drugi koniec stacji. A niektórzy nawet mierzyli do niego z broni, bo jeszcze mu odbije. Kiedy Stakanowi skończyła się woda, chłopaki się z nim podzielili, a jakże, ale tak, że stawiali na ziemi i odchodzili, do siebie nikt go nie dopuszczał. W ciągu tygodnia gdzieś przepadł. Mówili potem różne rzeczy, niektórzy opowiadali nawet bajki, że jakiś stwór go porwał, ale tunele są tam spokojne, czyste. Osobiście myślę, że po prostu zauważył u siebie wysypkę albo nabrzmiało mu pod pachami, i dlatego uciekł. Nikt więcej się w naszym oddziale nie zaraził, poczekaliśmy jeszcze, potem dowódca sam wszystkich sprawdził. Wszyscy zdrowi.

Artem zauważył, że nie bacząc na jego zapewnienia, wokół opowiadającego robi się coraz luźniej, chociaż miejsca przy ognisku wcale nie było tak dużo i wszyscy siedzieli skupieni ramię przy ramieniu.

- Długo tu szedłeś, bratku? - cicho, ale z naciskiem spytał przysadzisty brodacz w skórzanej kamizelce.

- Będzie już ze trzydzieści dni jak wyszliśmy z Awiamotornej - odrzekł chudy rzucając na niego niespokojne spojrzenia.

- No to mam dla ciebie nowiny. Na Awiamotornej panuje dżuma. Dżuma, rozumiesz?! Hanza zamknęła i Tagańską, i Kurską. Mówią na to kwarantanna. Mam tam znajomych, obywateli Hanzy. I na Tagańskiej, i na Kurskiej w przejściach stoją miotacze płomieni i palą wszystkich, którzy znajdą się w zasięgu. Mówią na to dezynfekcja. Widać u jednych okres inkubacji trwa tydzień, a u innych dłużej, bo jednak zanieśliście tam zarazę.

Zakończył, nieprzyjemnie obniżając głos.

- No co wy, chłopaki? Jestem przecież zdrowy! No, sami popatrzcie! - chłopina zerwał się z ziemi i zaczął gorączkowo ściągać z siebie waciak, odsłaniając niewiarygodnie brudny podkoszulek, śpiesząc się w obawie, że nie zdoła ich przekonać.

Napięcie narastało. Obok chudego nie został już nikt, wszyscy skupili się po drugiej stronie ogniska, ludzie zaczęli się nerwowo namawiać i Artem wyłowił ciche szczękanie bezpieczników. Spojrzał pytająco na Chana, przekładając swój nowy automat z pleców w położenie bojowe, lufą do przodu. Chan zachowywał milczenie, ale powstrzymał go ruchem dłoni. Potem szybko się podniósł i bezgłośnie odszedł od ogniska ciągnąc za sobą Artema. Po jakichś dziesięciu krokach zatrzymał się i dalej obserwował wydarzenia.

Pośpieszne, nerwowe ruchy rozbierającego się mężczyzny wydawały się w świetle ogniska jakimś szalonym, pierwotnym tańcem. Gwar w tłumie ucichł i akcja trwała w złowieszczej ciszy. Wreszcie udało mu się uwolnić od górnej części bielizny i triumfalnie zawołał:

- O, patrzcie! Jestem czysty! Jestem zdrowy! Nic nie ma! Jestem zdrowy!

Brodacz w kamizelce wyciągnął z ogniska płonącą z jednego końca deskę i ostrożnie zbliżył się do chudego, przypatrując mu się z odrazą. Skóra zbyt rozmownego faceta była ciemna od brudu i świeciła się tłusto, ale widocznie brodaczowi nie udało się odkryć żadnych śladów wysypki, bo po wnikliwej obserwacji zakomenderował:

- Podnieś ręce!

Nieszczęśnik pośpiesznie zadarł ręce do góry odkrywając przed wzrokiem tłoczących się po drugiej stronie ogniska ludzi porosłe cienkim włosem pachy. Brodacz demonstracyjnie zatkał nos wolną ręką i podszedł jeszcze bliżej wypatrując dymienic, ale i tam nie mógł znaleźć żadnych objawów dżumy.

- Jestem zdrowy! Zdrowy! Czy przekonaliście się teraz?! - prawie w histerii wykrzykiwał chłopina przechodzącym w pisk głosem.

W tłumie rozległy się nieżyczliwe szepty. Wyczuwając ogólne nastroje i nie chcąc się poddawać, przysadzisty nagle ogłosił:

- No, przypuśćmy, że ty jesteś zdrowy. Ale to jeszcze nic nie znaczy!

- Jak to, nic nie znaczy? - spytał ze zdziwieniem spłoszony chudy, i jakoś od razu zmarkotniał.

- A tak. Ty mogłeś nie zachorować. Może jesteś uodporniony. A zarazę przywlec tu mogłeś, absolutnie. W końcu przebywałeś z tym twoim Ryżym? Byłeś z nim w jednym oddziale? Rozmawiałeś z nim, piłeś z jednej manierki? Rękę mu podawałeś na przywitanie? Podawałeś, bratku, nie łżyj.

- No i co z tego, że podawałem? Przecież nie zachorowałem... - odpowiedział zgnębiony chudzielec. Zastygł, bezsilnie spoglądając na tłum jak zaszczute zwierzę.

- A to, że nie jest wykluczone, że się zaraziłeś, bratku. Tak więc wybacz, nie możemy ryzykować. Profilaktyka, bratku, rozumiesz? - brodacz rozpiął guziki kamizelki odsłaniając brunatną skórzaną kaburę. Wśród stojących po drugiej stronie ogniska odezwały się głosy poparcia i znów zaszczękały zamki karabinów.

- Chłopaki! Ale przecież jestem zdrowy! Przecież nie zachorowałem. O, patrzcie! - chudy znów podniósł ręce do góry, ale teraz wszyscy krzywili się tylko lekceważąco i z jawnym obrzydzeniem.

Przysadzisty wyciągnął z kabury pistolet i wycelował w tamtego, który jakby nie mógł pojąć co się z nim dzieje, i tylko mamrotał, że jest zdrów, przyciskając do piersi zmięty waciak: było chłodnawo, a on już zaczynał marznąć.

Tu Artem nie wytrzymał. Odbezpieczył broń i zrobił krok w kierunku tłumu, nie wiedząc dokładnie co zamierza zrobić. Czuł bolesne ssanie w dołku, gardło miał ściśnięte, tak że nie udałoby mu się teraz nic powiedzieć. Ale coś w tym człowieku, coś w jego opuszczonych, pełnych rozpaczy oczach, w bezmyślnym, mechanicznym mamrotaniu ukłuło Artema, zmusiło go, by zrobił krok naprzód. Nie wiadomo co zrobiłby później, ale na ramię spadła mu ręka, i Boże, jaka tym razem była ciężka!

- Stój - spokojnie rozkazał Chan, i Artem zastygł jak wkopany w ziemię, czując, że jego krucha decyzja rozbija się o granit cudzej woli. - W niczym nie możesz mu pomóc. Możesz albo zginąć, albo skierować na siebie ich gniew. W obu przypadkach twoja misja pozostanie niewypełniona i powinieneś o tym pamiętać.

W tym momencie chudy nagle podskoczył, krzyknął, przyciskając do siebie waciak, jednym ruchem zeskoczył na tory i z nadludzką szybkością pomknął w kierunku czarnej czeluści południowego tunelu, wydając dzikie, jakby zwierzęce krzyki. Brodacz wystartował za nim, próbując wycelować mu w plecy, ale potem machnął ręką. To już było zbyteczne i wiedzieli o tym wszyscy stojący na peronie. Niejasne tylko było, czy wygnany facet pamiętał dokąd biegnie i miał nadzieję na cud, czy po prostu ze strachu wszystko wyleciało mu z głowy.

Po kilu minutach głuchą, ciężką ciszę przeklętego tunelu przeciął skowyt i odgłosy jego kroków nagle się urwały. Nie ucichły stopniowo, a umilkły w jednym momencie, zupełnie jakby ktoś wyłączył dźwięk, nawet echo zniknęło od razu, i znów zapanowała cisza. Było to tak dziwne, tak nienormalne dla ludzkiego ucha i mózgu, że wyobraźnia próbowała wypełnić tę lukę, i wydawało się, że gdzieś w oddali słychać jeszcze było krzyk. Ale wszyscy wiedzieli, że tylko im się to roiło.

- Stado szakali bezbłędnie wyczuwa chorą jednostkę, przyjacielu - odezwał się Chan, i Artem o mało się nie cofnął dostrzegając błądzące w jego oczach drapieżne ogniki. - Chory jest dla stada ciężarem i zagrożeniem dla zdrowia. Dlatego stado chorego zagryza. Rozrywa go na strzępy. Na strzępy - powtórzył z naciskiem, jakby smakując te słowa.

- Ale to przecież nie są szakale - Artem wreszcie znalazł w sobie odwagę by zaprotestować i nagle zaczął wierzyć, że istotnie ma do czynienia z reinkarnacją Czyngis-chana. - To przecież ludzie!

- A co zrobisz? - odparował Chan. - Degradacja. Nasza medycyna jest na poziomie szakali. I człowieczeństwa też w nas tyle zostało. I stąd...

Artem wiedział, co na to odpowiedzieć, ale kłócić się ze swoim jedynym obrońcą na tej dzikiej stacji byłoby mało stosowne. Chan zaś, po chwili oczekiwania na kontrargumenty, doszedł widać do wniosku, że Artem przyznał mu rację, i zmienił temat rozmowy.

- A teraz, póki wśród naszych przyjaciół panuje takie ożywienie spowodowane rozprzestrzenianiem się chorób zakaźnych i sposobami ich zwalczania, powinniśmy kuć żelazo póki gorące. Inaczej mogą nie zdecydować się na wyjście stąd jeszcze przez długie tygodnie. A teraz, kto wie, może uda się to przyśpieszyć.

Ludzie przy ognisku dyskutowali z ożywieniem nad tym, co się stało. Wszyscy byli zdenerwowani i w rozterce, padł na nich upiorny cień straszliwego niebezpieczeństwa i próbowali teraz postanowić, co robić dalej, ale myśli ich, jak myszy doświadczalne w

labiryncie, kręciły się w miejscu, bezradnie waliły w ściany, miotały się bezmyślnie to do przodu, to do tyłu, nie mogąc znaleźć wyjścia.

- Nasi przyjaciele są bardzo bliscy paniki - skomentował z zadowoleniem Chan, uśmiechając się kącikiem ust i wesoło spoglądając na Artema. - Poza tym, podejrzewają, że właśnie zlinczowali niewinnego człowieka, a taki postępek nie zachęca do racjonalnego myślenia. Teraz mamy do czynienia nie z kolektywem, a ze stadem. Doskonały stan mentalny do manipulacji psychiką! Wszystko się składa jak najlepiej.

Od tego triumfalizmu Chana Artemowi znów zrobiło się nieswojo. Próbował się do niego uśmiechnąć - w końcu Chan starał się mu pomóc - ale wyszedł z tego żałosny i nieprzekonujący grymas.

- Najważniejsze teraz, to mieć autorytet. Siłę. Stado szanuje siłę, a nie logiczne argumenty - dodał Chan kiwnąwszy głową. - Stój i patrz. Za mniej niż dzień będziesz mógł kontynuować wyprawę - i z tymi słowami zrobił kilka długich kroków i wcisnął się w tłum.

- Tutaj nie można zostać! - zagrzmiał jego głos i gwar od razu ucichł.

Ludzie z czujną ciekawością przysłuchiwali się jego słowom. Chan używał swego potężnego, nieomal hipnotycznego daru przekonywania. Już od pierwszych słów Artema uderzyło silne poczucie zagrożenia, jakie zawisło nad każdym, kto odważy się zostać na stacji po tym, co się stało.

- On zakaził tu całe powietrze! Jeszcze trochę nim pooddychamy i koniec z nami. Wszędzie tu są zarazki i na pewno złapiemy to cholerstwo, jeśli zostaniemy tu choć chwilę dłużej. Pozdychamy jak szczury i będziemy gnić na środku sali, na ziemi. Nikt tu nie przyjdzie nam pomóc, nie ma co się łudzić! Możemy liczyć tylko na siebie. Musimy jak najszybciej uciekać z tej przeklętej stacji, pełno tu zarazków. Jeśli wyjdziemy teraz, wszyscy razem, to nie będzie trudno przebić się przez ten tunel. Ale trzeba działać, i to szybko!

Ludzie zaszemrali z aprobatą. Większość z nich nie umiała, tak jak i Artem, sprzeciwić się kolosalnej sile przekonywania, jaką posiadał Chan. W ślad za jego słowami Artem posłusznie przeżywał wszystkie stany i uczucia, które miały wywołać: poczucie zagrożenia, strach, panikę, brak rozwiązania, potem słabą nadzieję, która rosła w miarę jak Chan mówił o proponowanym przez siebie wyjściu z sytuacji.

- Ilu was jest?

Od razu paru ludzi zaczęło liczyć zebranych. Oprócz Chana z Artemem, przy ognisku było osiem osób.

- Czyli nie ma na co czekać! Jest nas już dziesięciu, możemy przejść! - obwieścił Chan i nie dając ludziom dojść do siebie, kontynuował: - Zbierajcie rzeczy, w ciągu godziny musimy wyjść! Szybko, wracaj do ogniska, i też weź swoje manatki - szepnął Artemowi Chan, ciągnąc go za sobą do ich małego biwaku. - Grunt to nie dać się im opamiętać. Jak będziemy się grzebać, zaczną wątpić, czy opłaca im się iść stąd na Czystyje Prudy. Niektórzy z nich szli w ogóle w drugą stronę, inni po prostu mieszkają na tej stacyjce i zwyczajnie nie będą mieli gdzie się podziać. Widać będę musiał cię odprowadzić do Kitaj-Gorodu, inaczej obawiam się, że w tunelu stracą motywację albo w ogóle zapomną dokąd i po co idą.

Artem szybko wrzucił do plecaka co bardziej przydatne rzeczy należące do Burbona i kiedy Chan zwijał swój brezent i gasił ognisko, on mógł kątem oka obserwować co dzieje się na drugim końcu holu. Ludzie, którzy z początku biegali z ożywieniem pakując swoje skarby, poruszali się coraz mniej zgodnie i energicznie. Tu ktoś przysiadł przy ognisku, tam ktoś powlókł się po coś na środek peronu, a dwaj inni podeszli do siebie i zaczęli o czymś rozmawiać. Zaczynając już rozumieć co się święci, Artem pociągnął Chana za rękaw.

- Oni tam rozmawiają - ostrzegł.

- Co zrobić, komunikacja z podobnymi do siebie jest nieodłączną cechą istot ludzkich - odparł Chan. - I nawet jeśli ktoś zdławił ich wolę, a oni sami są w istocie zahipnotyzowani,

to dalej ciągnie ich do rozmowy. Człowiek jest zwierzęciem społecznym i nic na to nie poradzisz. W innych okolicznościach pokornie przyjąłbym każdy przejaw człowieczeństwa jako Boży zamysł lub nieuchronny skutek ewolucji, w zależności od tego z kim bym rozmawiał. Jednak w tym przypadku taki sposób myślenia jest szkodliwy. Musimy im przeszkodzić, mój młody przyjacielu, i skierować ich myśli na prawidłowe tory - podsumował, zarzucając na plecy swój ogromny podróżny tobół.

Ognisko zgasło i gęsty, nieledwie materialny mrok otoczył ich ze wszystkich stron. Wyjąwszy z kieszeni podarowaną mu latareczkę, Artem ścisnął jej rękojeść. Wewnątrz mechanizmu coś zabrzęczało i lampka ożyła. Wytrysnęło z niej nierówne, migotliwe światło.

- Dawaj, dawaj, ciśnij, nie bój się - zachęcił go Chan - może pracować o wiele lepiej.

Kiedy podeszli do pozostałych, nieświeże przeciągi z tuneli zdołały już wywiać im z głów pewność, że Chan ma rację. Naprzód wystąpił ten sam krępy typ z brodą, który uprzednio zajmował się kontrolą sanitarno-epidemiologiczną.

- Słuchaj, bratku - zwrócił się niedbale do towarzysza Artema.

Nawet na niego nie patrząc, Artem wyczuł przez skórę jak elektryzuje się atmosfera wokół Chana. Sądząc z wszelkich oznak, spoufalanie się doprowadzało go do wściekłości. Ze wszystkich ludzi, których Artem dotąd poznał, najmniej chciał oglądać rozwścieczonego Chana. Był wprawdzie jeszcze Myśliwy, lecz ten wydał się Artemowi na tyle chłodny i zrównoważony, że wyobrazić go sobie w gniewie było po prostu niemożliwe. Pewnie nawet zabijał z wyrazem twarzy, z jakim inni czyszczą grzyby albo parzą herbatę.

- Naradziliśmy się tu i uważamy... - ciągnął przysadzisty - że coś bez sensu kombinujesz. Mnie, na przykład, zupełnie nie po drodze przez Kitaj-Gorod. I koledzy też są przeciw. Co nie, Siemionowicz? - zwrócił się o wsparcie do tłumu. Odezwał się czyjś głos poparcia, fakt, że na razie dość bojaźliwy. - My to w ogóle szliśmy na Prospekt, do Hanzy, zanim się zaczęło to cholerstwo w tunelach. To przeczekamy i ruszymy dalej. I nic nam nie będzie. Spaliliśmy jego rzeczy a z tym powietrzem, to ty nam wody z mózgu nie rób, przecież to nie dżuma płucna. Jak się mieliśmy zarazić, to się zaraziliśmy, nic nie poradzimy. Nie można roznosić zarazy po całym metrze. Tyle że, najpewniej, nie ma żadnej zarazy, tak więc spadaj, bratku, z tymi swoimi propozycjami! - coraz bardziej bezceremonialnie rozprawiał brodaty.

Słysząc taki upór Artem nieco się speszył. Ale spojrzawszy ukradkiem na swojego towarzysza poczuł, że przysadzistemu nie wyjdzie to na zdrowie. W oczach Chana znów płonęły piekielne, pomarańczowe ogniki, emanowała od niego taka zwierzęca złość i taka siła, że Artema przeszedł dreszcz i włosy na głowie zaczęły mu stawać dęba, miał ochotę wyszczerzyć kły i zawyć.

- To po co go było wysyłać na śmierć, jeśli żadnej zarazy nie było? - przymilnym i rozmyślnie miękkim głosem spytał Chan.

- A dla profilaktyki! - odpowiedział przysadzisty, patrząc mu bezczelnie w oczy.

- Nie, mój przyjacielu, to nie medycyna. To morderstwo. Jakim prawem to zrobiłeś?

- Nie nazywaj mnie przyjacielem, nie jestem twoim psem, kapujesz? - odgryzł się rozeźlony brodacz. - Jakim prawem? A prawem silniejszego! Słyszałeś o takim? Więc ty nam tu nie tego... Bo skończymy zaraz i z tobą, i z tym twoim gówniarzem! Dla profilaktyki. Kapujesz?! - i znanym już Artemowi ruchem rozpiął kamizelkę i położył rękę na kaburze.

Tym razem Chanowi nie udało się powstrzymać Artema, i brodaty znalazł się na muszce jego karabinu zanim zdążył rozpiąć kaburę. Artem ciężko dyszał i słuchał jak bije mu serce, jak w skroniach pulsuje krew, a żadne rozumne myśli nie przychodziły mu do głowy. Wiedział tylko jedno: jeśli brodacz powie jeszcze jedno słowo, albo jego ręka

powędruje dalej w stronę rękojeści pistoletu, natychmiast naciśnie na spust. Artem nie chciał zdychać jak tamten facet: nie pozwoli, by stado rozszarpało go na strzępy.

Brodacz zastygł w miejscu i nie robił żadnych ruchów, pobłyskując ze złością ciemnymi oczyma. I wtedy stało się coś niepojętego. Chan, do tej chwili stojący z boku, nagle zrobił duży krok do przodu, tak że jego twarz znalazła się tuż przy twarzy ich przeciwnika, i patrząc mu w oczy cicho powiedział:

- Stop. Albo mi się podporządkujesz, albo umrzesz. Groźne spojrzenie brodacza zmiękło, ręce, niczym sznurki, bezsilnie zwisły mu wzdłuż ciała - tak nienaturalnie, że Artem nie miał wątpliwości: jeśli coś na niego podziałało, to nie automat, a słowa Chana.

- Nigdy nie mów o prawie silniejszego. Jesteś na to zbyt słaby - rzekł Chan i wrócił do Artema, ku jego zaskoczeniu, nie próbując nawet rozbroić przeciwnika.

Przysadzisty stał nieruchomo, rozglądając się z zakłopotaniem dookoła. Gwar ucichł i ludzie czekali, co Chan teraz powie. Odzyskał kontrolę nad sytuacją.

- Uważamy dyskusję za zakończoną, doszliśmy do konsensusu. Wychodzimy za piętnaście minut - odwrócił się do Artema i powiedział: - Mówisz, że to ludzie? Nie, mój przyjacielu, to zwierzęta. Stado szakali. Zamierzali nas zagryźć. I zrobiliby to. Ale jednego nie wzięli pod uwagę. Oni są szakalami, ale ja jestem wilkiem. I są stacje, gdzie znają mnie tylko pod tym imieniem.

Artem milczał, porażony tym, co zobaczył i wreszcie rozumiejąc kogo Chan tak mu przypominał.

- Ale z ciebie też jest wilczek - dodał po chwili, nie odwracając się, i Artemowi wydało się, że w jego głosie słyszy zaskakująco ciepłe nuty.

ROZDZIAŁ 7
KRÓLESTWO CIEMNOŚCI

Rzeczywiście, ten tunel był absolutnie pusty i czysty. Sucho pod nogami, przyjemny wiaterek wiejący w twarz, ani jednego szczura, żadnych podejrzanych rozgałęzień i ziejących czernią szybów, zaledwie parę zatrzaśniętych bocznych drzwi do pomieszczeń służbowych - w tym tunelu można by chyba żyć nie gorzej niż na dowolnej stacji.

Ponadto, ten naprawdę nierzeczywisty spokój i czystość nie tylko nie budziły podejrzeń, ale błyskawicznie rozwiewały obawy, z którymi ludzie tu wchodzili. Opowieści o tych, którzy tu przepadli zaczynały się wydawać głupimi wymysłami, i Artem zaczął wątpić, czy dzika scena z nieszczęśnikiem wziętym za zadżumionego wydarzyła się naprawdę, czy tylko przyśniła mu się, kiedy drzemał na kawałku brezentu przy ognisku brodatego filozofa.

Artem i Chan zamykali pochód, gdyż ten ostatni obawiał się, że ludzie zaczną po kolei zostawać w tyle i wtedy, wedle jego słów, do Kitaj-Gorodu nie dojdzie nikt. Teraz miękko kroczył obok Artema, spokojny, jak gdyby nigdy nic, i głębokie zmarszczki, które pokrywały mu twarz podczas zajścia na Suchariewskiej, wygładziły się. Burza ucichła i przed Artemem znów szedł mądry i opanowany Chan, a nie rozwścieczony wilk. Mimo to Artem czuł, że powrót do tamtego stanu nie zająłby nawet minuty.

Rozumiejąc, że następna okazja, by uchylić zasłonę kryjącą niektóre z tajemnic metra nie nadarzy się szybko, jeśli w ogóle, Artem nie mógł powstrzymać pytania:

- A pan rozumie, co się dzieje w tym tunelu?

- Tego nie wie nikt, także ja - niechętnie odpowiedział Chan. - Tak, są rzeczy, o których nawet mnie zupełnie nic nie wiadomo. Jedyne, co mogę ci powiedzieć, to że jest to otchłań. Na własny użytek nazywam to miejsce czarną dziurą... Ty pewnie nigdy nie widziałeś gwiazd? Mówisz, że kiedyś widziałeś? I wiesz co nieco o kosmosie? Zatem umierająca gwiazda może zmienić się w taką dziurę, jeśli po swoim zgaśnięciu, pod wpływem własnego, niewiarygodnie silnego przyciągania, zacznie pożerać samą siebie, wciągając materię z powierzchni w głąb, do jądra, stając się coraz mniejsza rozmiarem, ale coraz gęstsza i coraz cięższa. I im gęstsza się staje, tym bardziej wzrasta jej siła ciążenia. Ten proces jest nieodwracalny i przypomina lawinę śnieżną: przy wzroście ciążenia cała ta rosnąca ilość materii będzie coraz gwałtowniej zapadać się do środka tego monstrum. Na pewnym etapie jego moc osiągnie takie rozmiary, że zacznie zasysać do siebie swoich sąsiadów, całą materię znajdującą się w zasięgu jego oddziaływania, a w końcu nawet fale świetlne. Gigantyczna siła pomoże mu pożerać promienie innych słońc i przestrzeń wokół niego będzie martwa i czarna - nic, co dostanie się do jego królestwa, nie będzie już na siłach się wyrwać. Jest to gwiazda ciemności, czarne słońce, które roztacza wokół siebie tylko chłód i mrok - umilkł, przysłuchując się rozmowom idących przed nimi.

- Ale co to wszystko ma wspólnego z tunelem? - nie wytrzymał Artem po pięciominutowym milczeniu.

- Wiesz, że posiadam dar jasnowidzenia. Czasem udaje mi się zajrzeć w przyszłość, przeszłość, albo przenieść się myślą w inne miejsca. Bywa, że coś jest niejasne, ukryte przede mną, na przykład nie mogę na razie zobaczyć jak skończy się twoja wyprawa, i w ogóle twoja przyszłość jest dla mnie zagadką. To takie uczucie, jakbyś patrzył przez mętną wodę i niczego nie możesz rozpoznać. Ale kiedy próbuję przeniknąć wzrokiem to, co się tutaj dzieje, lub pojąć naturę tego miejsca - przed sobą mam tylko czerń, światło mojej myśli nie wraca z absolutnej ciemności tego tunelu. Dlatego sam dla siebie nazywam go czarną dziurą. Oto wszystko, co mogę ci o nim opowiedzieć. - Umilkł, ale po kilku sekundach dodał niewyraźnie: - I to dlatego tu jestem.

- Czyli nie wie pan, dlaczego czasami tunel jest zupełnie bezpieczny, a innym razem połyka podróżnych? I dlaczego tylko tych, co idą pojedynczo?

- Wiem o tym nie więcej niż ty, chociaż już trzeci rok staram się rozwikłać tę tajemnicę. Wszystko na nic.

Echo niosło daleko ich kroki. Powietrze było tu jakieś przezroczyste, oddychało się zadziwiająco lekko, ciemność nie wydawała się straszna. I nawet słowa Chana nie były niepokojące ani przerażające, tak że Artemowi przyszło do głowy, że jego towarzysz był tak posępny nie z powodu sekretów tego tunelu, a w rezultacie własnych nieudanych poszukiwań. Jego niepokój wydał się Artemowi wydumany a nawet śmieszny. Przecież są tu i nie widać żadnego zagrożenia, przejście jest proste, czyste... W głowie zagrała mu nawet jakaś żywa melodia i, widocznie, wyrwała mu się niechcący na głos, bo Chan spojrzał na niego nagle z rozbawieniem i spytał:

- Co tam, wesoło ci? Ładnie tu, prawda? Tak cicho i czysto, co?

- Aha! - radośnie potwierdził Artem.

I tak lekko i swobodnie zrobiło mu się od tego na duchu, że Chan wyczuł jego nastrój i zaraził się nim... Że on też idzie teraz z uśmiechem, a nie zatopiony w swoich chmurnych myślach, że on też teraz wierzy temu tunelowi...

- A chodź, zamknij oczy, wezmę cię za rękę, żebyś się nie potknął... Widzisz coś? - spytał z zainteresowaniem Chan, miękko ściskając Artema za nadgarstek.

- Nie, niczego nie widzę, tylko trochę światła latarek przez powieki - powiedział nieco rozczarowany Artem, posłusznie mrużąc oczy, i nagle cicho krzyknął.

- Aha, wzięło cię! - z zadowoleniem zauważył Chan. - Pięknie, co?

- Niesamowicie... Tak jak wtedy... Nie ma sufitu, i wszystko takie niebieskie... Boże mój, jakie to piękne! I jakie powietrze!

- To, mój przyjacielu, jest niebo. Ciekawe, prawda? Jeśli będąc w odpowiednim nastroju zamknie się tu oczy i rozluźni, wielu ludzi je widzi. To oczywiście dziwne, nie ma co... Nawet ci, którzy nigdy nie byli na powierzchni. A wrażenie jest takie, jakbyś był na górze... Jeszcze przed.

- A pan? Pan to widzi? - nie chcąc otwierać oczu, błogo spytał Artem.

- Nie - spochmurniał Chan. - Prawie wszyscy widzą, a ja nie. Tylko gęstą, intensywną czerń wokół tunelu, jeśli rozumiesz co chcę przez to powiedzieć. Czerń na górze, na dole, po bokach, i tylko jedna nitka światła wzdłuż tunelu, i to jej się trzymamy idąc przez labirynt. Może jestem ślepy. A może ślepi są wszyscy pozostali. Dobra, otwieraj oczy, nie jestem przewodnikiem niewidomych i nie zamierzam prowadzić cię za rękę do Kitaj-Gorodu - puścił nadgarstek Artema.

Artem próbował iść dalej ze zmrużonymi oczyma, ale potknął się o szynę i o mało nie poleciał na ziemię z całym bagażem. Wtedy niechętnie podniósł powieki i długo jeszcze szedł w milczeniu, głupio się uśmiechając.

- Co to było? - spytał wreszcie.

- Fantazje. Majaki. Nastrój. Wszystko razem - rzekł Chan. - Ale to się zmienia. To nie twój nastrój i nie twoje sny. Jest nas tu dużo, i na razie nic się nie dzieje, ale ten nastrój może się zrobić zupełnie inny, i jeszcze to poczujesz. Popatrz no, wychodzimy już na Turgieniewską! Szybko doszliśmy. Ale zatrzymywać się na niej w żadnym wypadku nie możemy, nawet na odpoczynek. Ludzie na pewno będą prosić o przerwę, ale nie wszyscy wyczuwają tunel. Większości z nich nie jest nawet dostępne to, co widziałeś. Musimy iść dalej, chociaż teraz będzie coraz trudniej. Weszli na stację.

Jasny marmur pokrywający ściany prawie nie różnił się od tego z Prospektu Mira i Suchariewskiej, ale tam ściany i sklepienie były tak zakopcone i tłuste, że kamienia nie dało się prawie dojrzeć. Tutaj prezentował się w całej swej krasie, i trudno było oderwać od niego wzrok. Ludzie odeszli stąd tak dawno, że nie zachowały się żadne ślady ich pobytu.

Stacja była w zadziwiająco dobrym stanie, jakby nigdy nie zalewała jej woda i nie znała pożarów, i gdyby nie egipskie ciemności i warstwa pyłu na posadzce, można by było pomyśleć, że zaraz wyleje się na nią rzeka pasażerów, lub da się słyszeć melodyjka dla oczekujących i na peron wjedzie pociąg. Przez te wszystkie lata prawie nic się na niej nie zmieniło. Jeszcze ojczym opowiadał mu o tym z niedowierzaniem i podziwem.

Na Turgieniewskiej nie było filarów. Niskie arkady przecinały marmur ścian co kilka metrów. Latarki karawany były za słabe, żeby przebić mrok holu i oświetlić przeciwległą ścianę, dlatego idący mieli wrażenie, że za tymi łukami nie ma nic, tylko czarna pustka, jak gdyby stali na samym skraju Wszechświata, nad krawędzią, za którą kończy się przestrzeń.

Minęli stację całkiem szybko i, wbrew obawom Chana, nikt nie wyraził chęci, by zrobić tu postój. Ludzie wyglądali na zaniepokojonych i coraz częściej mówili, że trzeba jak najszybciej ruszać dalej, w kierunku zamieszkałych miejsc.

- Czujesz, nastrój się zmienia... - cicho oznajmił Chan i podniósł palec w górę, jakby próbował określić kierunek wiatru. - Naprawdę powinniśmy przyśpieszyć, oni czują to przez skórę nie gorzej niż ja z tą moją mistyką. Ale coś nie pozwala mi iść dalej. Poczekaj chwilę...

Ostrożnie wyjął z zanadrza plan, który nazywał „Przewodnikiem" i, nakazawszy pozostałym nie ruszać się z miejsca, z jakiegoś powodu zgasił latarkę, zrobił parę długich, miękkich kroków i rozpłynął się w ciemności.

Kiedy odszedł, od grupki stojącej z przodu oddzielił się jeden człowiek, i powoli, jakby zmuszając się siłą, podszedł do Artema i odezwał się tak lękliwie, że ten z początku nawet nie poznał bezczelnego przysadzistego brodacza, który groził im na Suchariewskiej:

- Słuchaj, chłopcze, niedobrze tak tutaj stać. Powiedz mu, że się boimy. Jest nas oczywiście dużo, ale różne rzeczy się zdarzają... Ten tunel jest przeklęty i stacja też. Powiedz mu, że powinniśmy iść. Słyszysz? Powiedz mu... Proszę - odwrócił wzrok i pośpieszył z powrotem.

To jego ostatnie „proszę" wstrząsnęło Artemem i nieprzyjemnie go zaskoczyło. Zrobił kilka kroków do przodu, żeby zbliżyć się do grupy i słyszeć jej rozmowy. Nagle zauważył, że po jego dawnym wesołym nastroju nie było już śladu.

W głowie, gdzie maleńka orkiestra dopiero co grała brawurowe marsze, było teraz boleśnie pusto i cicho, słychać było tylko wiatr wyjący ponuro w tunelach przed nimi. Artem ucichł. Cała jego istota zamarła, oczekując z przygnębieniem na jakieś nieodwracalne zmiany. I słusznie. W mgnieniu oka osnuł ich jakby niewidzialny cień, zrobiło się jakoś zimno i bardzo nieprzytulnie, Artema opuściło to uczucie spokoju i pewności, które opanowało go niepodzielnie, kiedy weszli do tunelu. Tu Artem wspomniał słowa Chana, że to nie jego nastrój, nie jego radość, i że to nie od niego zależy zmiana tego stanu. Poświecił nerwowo latarką dookoła: spadło na niego przytłaczające poczucie czyjejś obecności. Omiatał słabym światłem zakurzony biały marmur, lecz gruba czarna zasłona za arkadami nie ustępowała, mimo panicznego miotania się smugi światła, od czego wzmagała się iluzja, że za owymi arkadami kończy się świat. Artem nie wytrzymał i niemal biegiem rzucił się w kierunku pozostałych.

- Chodź do nas, chodź, młody - powiedział mu ktoś o niewidocznej twarzy. Zapewne oni też starali się oszczędzać baterie. - Nie bój się. Ty jesteś ludź i my jesteśmy ludzie. Kiedy coś takiego się dzieje, ludź musi być razem z innymi. Ty też to czujesz?

Artem przyznał z ochotą, że wyczuwa coś w powietrzu, i z zadowoleniem, robiąc się ze strachu nienormalnie gadatliwy, zaczął dyskutować z ludźmi z karawany o swoich przeżyciach, lecz w głowie wciąż wracał myślą do tego, gdzie się podział Chan, czemu już od dziesięciu minut ani go nie widać, ani nie słychać. Przecież świetnie wiedział, i jeszcze Artemowi przypominał, że po tych tunelach nie można chodzić samemu, a jedynie w grupie, w tym jest ratunek. Dlaczegóż to się od nich odłączył, czemu ośmielił się rzucić wyzwanie

niepisanemu prawu tego miejsca? Czyżby po prostu o nim zapomniał, albo może zawierzył swojemu wilczemu instynktowi? W to pierwsze Artemowi jakoś nie chciało się wierzyć, w końcu Chan wyznał, że stracił trzy lata życia na badanie tego dziwnego miejsca. A przecież wystarczy i jednego razu, żeby pojąć pierwszą regułę: nie rozdzielać się, zawsze pocić się i panicznie bać na myśl o wejściu do tunelu samemu.

Lecz nim jeszcze Artem zdążył wymyślić, co też mogło się stać z jego wybawcą tam, przed nimi, kiedy ten bezszelestnie pojawił się obok, wzbudzając ożywienie w grupie.

- Oni nie chcą już tu stać. Boją się. Chodźmy szybciej naprzód - poprosił Artem. - Ja też czuję tu coś...

- Oni się jeszcze nie boją - zapewnił go Chan, oglądając się za siebie, i kiedy kontynuował, Artemowi wydało się, że jego twardy, ochrypły głos zadrżał: - Ty też jeszcze nie wiesz, co to strach, więc nie warto bez sensu tracić tlenu. To ja się boję. I pamiętaj, nie rzucam takich słów na wiatr. Boję się, bo wszedłem w mrok za stacją. Przewodnik nie pozwolił mi zrobić następnego kroku, inaczej niechybnie bym zginął. Nie możemy iść dalej. Tam się coś kryje... Ale panują tam ciemności, mój wzrok ich nie przenika i nie wiem, co dokładnie tam na nas czeka. Popatrz! - szybkim ruchem podniósł plan na wysokość wzroku. - Widzisz? Poświeć tu! Popatrz na przejazd stąd do Kitaj-Gorodu! Nic nie zauważyłeś?

Artem wpatrywał się w maleńki fragment planu z takim natężeniem, że aż rozbolały go oczy. Nie umiał dojrzeć w nim nic niezwykłego, ale nie znalazł śmiałości, żeby przyznać się do tego Chanowi.

- Ślepiec! Czy ty nic nie widzisz? Przecież jest cały czarny! To znaczy śmierć! - wyszeptał Chan i zabrał plan.

Artem przyjrzał mu się z obawą. Chan znów wydał mu się szaleńcem. Przypomniała mu się zasłyszana od Żeńki historia o człowieku, który odważył się wejść do tuneli w pojedynkę, o tym, że udało mu się przeżyć, ale zwariował ze strachu. Czy coś takiego stało się również z Chanem?

- I wracać też już nie można! - szeptał Chan. - Udało nam się przejść w momencie dobrego nastroju. Ale teraz kłębią się tam ciemności i nadciąga burza. Jedyne, co możemy teraz zrobić, to iść naprzód, ale nie tym tunelem, lecz równoległym. Może na razie jest wolny. Hej! - zawołał do pozostałych. - Macie rację! Musimy ruszać. Ale nie możemy iść tą drogą. Tam przed nami śmierć.

- To w takim razie jak pójdziemy? - niepewnie spytał któryś z ludzi.

- Przejdziemy przez stację i do równoległego tunelu - tak powinniśmy zrobić. I to jak najszybciej!

- O, nie! - uparł się niespodziewanie jeden z nich. - Przecież wiadomo, że iść lewym tunelem, kiedy ten jest wolny przynosi pecha i śmierć! Nie pójdziemy lewym!

Rozległo się kilka głosów poparcia. Grupa dreptała w miejscu.

- O czym on mówi? - spytał ze zdziwieniem Artem.

- Widocznie jakiś miejscowy folklor - skrzywił się z niezadowoleniem Chan. - Do diabła! Zupełnie nie mamy czasu ich przekonywać, zresztą nie mam już siły... Słuchajcie! - odezwał się do nich. - Ja idę drugim tunelem. Ci, którzy mi wierzą, mogą iść ze mną. Pozostałych żegnam. Na zawsze. W drogę! - rzucił Artemowi i wrzuciwszy najpierw plecak na peron, ciężko podciągnął się na rękach i wskoczył na poziom stacji.

Artem zamarł niezdecydowany. Z jednej strony to, co Chan wiedział o tych tunelach i w ogóle o metrze, wychodziło poza ramy ludzkiego rozumienia i, jak się zdaje, można mu było wierzyć. Z drugiej, czy nie była to niezmienna zasada przeklętych tuneli, żeby iść jak największą grupą ludzi, bo tylko tak można było mieć nadzieję na sukces?

- No, co ty? Nie masz siły? Daj rękę! - Chan przyklęknął na jedno kolano i wyciągnął do niego dłoń.

Artem bardzo nie chciał napotkać w tym momencie jego wzroku, obawiał się, że dojrzy w nim te dawne iskry szaleństwa, które rozbłyskiwały od czasu do czasu i tak go za każdym razem przerażały. Czy Chan rozumie na co się decyduje rzucając wyzwanie nie tylko wszystkim ludziom w tej grupie, ale i naturze tuneli? Czy wystarczająco zrozumiał i czuje ich istotę? Odcinek, który pokazał mu na planie linii, nie był czarny Artem gotów był przysiąc, że był bladopomarańczowy, jak i cała pozostała linia. I to jest pytanie: kto tu naprawdę jest ślepy?

- No, już! Czego się grzebiesz? Czy ty nie rozumiesz, zwłoka nas zabija! Ręka! Do jasnej cholery, daj rękę! - krzyczał już Chan, ale Artem powoli, drobnymi kroczkami oddalał się od peronu, ciągle z opuszczonym wzrokiem, coraz dalej od Chana, coraz bliżej szepczącej grupy.

- Chodź z nami, młody, nie zadawaj się z tym żłobem, to będziesz cały! - dało się od nich słyszeć.

- Głupcze! Zginiesz z nimi wszystkimi! Jeśli plujesz na swoje życie, to pomyśl chociaż o misji! - płynęły im na przekór słowa Chana.

Artem odważył się w końcu podnieść głowę i spotkać wzrokiem jego rozszerzone źrenice, ale nie było w nich widać nawet gasnącego płomyka szaleństwa, tylko desperację i śmiertelne zmęczenie.

Zawahał się i zatrzymał, ale w tej samej chwili czyjaś ręka opadła na jego ramię i łagodnie pociągnęła go za sobą.

- Chodźmy! Niech zdycha sam, a chce jeszcze ciebie zaciągnąć za sobą do grobu! - usłyszał Artem. Sens słów docierał do niego opornie, myśli poruszały się ociężale i, po ułamku sekundy sprzeciwu, dał się pociągnąć za pozostałymi.

Grupa wstała z miejsca i ruszyła naprzód, w czerń południowego tunelu. Szli dziwnie powoli, jakby pokonując opór jakiejś gęstej materii, jakby idąc po pas w wodzie.

I wtedy Chan zaskakująco lekko oderwał się od ziemi, jednym sprężystym skokiem znalazł się na torach i w dwóch susach pokonał odległość, na którą zdążyli się oddalić, jednym ostrym ciosem zwalił z nóg człowieka trzymającego Artema, jego samego złapał wpół i rzucił się do tyłu. Artemowi wszystko to wydało się dziwnie spowolnione. Obserwował skok Chana przez ramię z niemym zdziwieniem, jego lot rozciągnął się dla niego na długie sekundy. Z tym samym tępym niedowierzaniem ujrzał jak wąsaty mężczyzna w kurtce z brezentu, miękko trzymający go za ramię i ciągnący ku pozostałym, ciężko wali się na ziemię.

Ale od chwili, gdy przejął go Chan, czas znów przyśpieszył i reakcja tamtych na to, co się stało, kiedy odwrócili się na dźwięk uderzenia, wydała mu się prawie błyskawiczna. Robili już pierwsze kroki w kierunku Chana, podnosząc lufy karabinów, a ten bokiem, miękkimi krokami odchodził do tyłu, jedną ręką przyciskając do siebie wciąż jeszcze oszołomionego Artema, chowając go za sobą i zasłaniając własnym ciałem. W wyciągniętej do przodu ręce Chana kołysał się, blado pobłyskując, nowiutki automat Artema.

- Uciekajcie - ochryple powiedział Chan. - Nie widzę sensu w zabijaniu was, tak czy owak umrzecie przed upływem godziny. Zostawcie nas. Uciekajcie - mówił, krok za krokiem oddalając się w kierunku środka stacji, aż postacie zastygłych w niezdecydowaniu ludzi zamieniły się w niewyraźne sylwetki i zaczęły się zlewać z ciemnością.

Dał się słyszeć jakiś harmider, pewnie podnosili z ziemi wąsacza znokautowanego przez Chana, i grupa ruszyła w kierunku wejścia do południowego tunelu bez prób nawiązania kontaktu. Dopiero wtedy Chan opuścił karabin i ostrym tonem nakazał Artemowi wdrapać się na peron.

- Jeszcze trochę i znudzi mi się ratowanie ci skóry, mój młody przyjacielu - wycedził z nieskrywanym rozdrażnieniem.

Artem pokornie wdrapał się na górę, Chan poszedł w jego ślady. Podniósł swoje toboły i ciągnąc za sobą Artema ruszył w kierunku czarnej czeluści za arkadami.

Hol na Turgieniewskiej był dość krótki. Z lewej kończył się marmurową ścianą, z prawej, z tego co było widać w świetle latarek, zamykała go zapora z karbowanego żelaza. Całą stację pokrywał nieco pożółkły ze starości marmur, jedynie trzy szerokie arkady wiodące do schodów na dawne Czystyje Prudy, przemianowanych potem przez czerwonych na Kirowską, były obudowane grubymi szarymi blokami betonu. Stacja była zupełnie pusta, na ziemi nie walały się żadne przedmioty, nie widać było śladów człowieka, szczurów ani karaluchów. Artem rozglądając się dokoła przypomniał sobie rozmowę z Burbonem, który twierdził, że szczurów nie należy się bać, a sprawa jest podejrzana dopiero wtedy, kiedy ich nie ma.

Chan wziął go za ramię i szybkim krokiem przeciął stację, przy czym Artem nawet przez kurtkę poczuł, że ręka Chana drży, jak gdyby miał dreszcze. Kiedy zrzucili swoje bagaże z krawędzi peronu, gotując się do skoku na tory, na ich plecy padła słaba smuga światła, i Artema znów zaskoczyła szybkość z jaką jego towarzysz zareagował na zagrożenie. Ułamek sekundy później Chan leżał już płasko na ziemi, celując w źródło światła. Latarka nie była mocna, ale świeciła im prosto w oczy, i trudno było określić, kto puścił się za nimi w pogoń. Z małym opóźnieniem, na ziemię rzucił się też Artem. Doczołgał się do plecaków i zaczął odczepiać od jednego z nich swoją starą broń. Może i była ciężka i nieporęczna, ale za to nienagannie robiła w celu dziury średnicy 7.62 mm, a mało komu udawało się dalej funkcjonować z takimi dodatkowymi otworami w organizmie.

- O co chodzi? - zadudnił głos Chana, i Artem zdążył jeszcze pomyśleć, że jeśli ktoś chciałby ich zabić, to z pewnością już dawno by to zrobił.

Łatwo wyobraził sobie, jak musi wyglądać z boku: bezradnie wijący się na ziemi, w świetle latarki i na celowniku karabinu, wykonując bezmyślne ruchy, jak ślimak pod spadającym na niego butem. Tak, gdyby tamten chciał go zabić, leżałby już w kałuży krwi, bez szans na dosięgnięcie swojego automatu.

- Nie strzelajcie! - rozległ się głos. - Nie trzeba...

- Zabierz światło! - zażądał Chan, który korzystając z pauzy przesunął się za filar i wyjął własną latarkę.

Artemowi udało się w końcu zerwać drut. Mocno chwycił kolbę i przeturlał się na bok, uciekając z linii strzału i skrył się w jednej z arkad. Był teraz gotów wychylić się z drugiej strony i posłać serię w nieznajomego, jeśli ten wystrzeli pierwszy.

Ale gość najwidoczniej usłuchał, bo w ślad za poprzednim zabrzmiało kolejne polecenie Chana, wydane już nie tak napiętym głosem:

- Dobrze! Teraz broń na ziemię, szybko!

O granitową posadzkę zadzwoniło żelazo, i Artem z lufą skierowaną naprzód przesunął się w bok i znalazł się w holu. Jego podejrzenie okazało się słuszne: piętnaście kroków od nich, oświetlony bijącym z arkady światłem (Chan zdążył przejąć inicjatywę), stał, z rękami w górze, ten sam brodacz, z którym mieli utarczkę na Suchariewskiej.

- Nie trzeba strzelać - drżącym głosem poprosił jeszcze raz. - Nie zamierzałem was atakować. Pozwólcie mi iść z wami. Mówiliście przecież, że chętni mogą się przyłączyć. Ja... Ja ci wierzę - powiedział do Chana. - Ja też czuję, że tam, w prawym tunelu, coś jest. Oni już poszli, wszyscy tam poszli. A ja zostałem i chcę spróbować z wami.

- Masz węch - ocenił Chan przyglądając się badawczo facetowi. - Ale zaufania, przyjacielu, to ty we mnie nie wzbudzasz. Kto wie, skąd wziąłeś ten pomysł - dodał żartobliwie. - Tak czy owak rozpatrzymy twoją prośbę. Pod warunkiem, że cały swój arsenał na razie oddasz mnie. Tunelem idziesz przed nami. Jak będziesz robił głupie żarty, niczym dobrym się to dla ciebie nie skończy.

Brodacz popchnął nogą w kierunku Chana swój pistolet, który leżał na ziemi, i delikatnie położył obok siebie kilka zapasowych magazynków. Artem wstał i zbliżył do niego cały czas mając go na muszce.

- Trzymam go! - zawołał.

- Trzymaj ręce w górze i naprzód! - zagrzmiał Chan. - Szybko, skacz na tory. Stań tam, plecami do nas.

Jakieś dwie minuty od wejścia do tunelu, kiedy szli już zorganizowanym trójkątem - brodacz o imieniu Tuz pięć kroków z przodu, Chan z Artemem za nim - a szli szybko i sprawnie, nagle z prawej strony, przebiwszy się przez wielometrową masę ziemi, rozległ się przytłumiony krzyk. Urwał się tak samo nieoczekiwanie, jak się pojawił...

Tuz obejrzał się na nich z przestrachem, zapominając nawet skierować w bok latarkę. Skakała mu w drżących rękach i jego podświetlona od dołu twarz, wykrzywiona grymasem przerażenia, poraziła Artema nawet bardziej niż usłyszany przed chwilą krzyk.

- Tak - kiwnął głową Chan w odpowiedzi na nieme pytanie. - Pozostali się pomylili. Ale nie możemy jeszcze być pewni, czy my mieliśmy rację.

Ruszyli dalej. Spoglądając od czasu do czasu na swojego opiekuna, Artem dostrzegał u niego coraz więcej oznak zmęczenia. Lekko drżące ręce, nierówny krok, wielkie krople potu zbierające mu się na twarzy. A przecież tak krótko szli... Ta droga była dla niego wyraźnie bardziej męcząca, niż dla Artema. Zastanawiając się, na co traci siły jego towarzysz, chłopak wciąż wracał do myśli, że Chan okazał się mieć rację w tej sytuacji, że go uratował. Gdyby Artem dał się pociągnąć za karawaną, nieuchronnie zginąłby w prawym tunelu, zginąłby tajemniczą śmiercią, przepadłby bez śladu.

A przecież było ich tam wielu: sześciu, czy coś koło tego. Żelazna zasada nie zadziałała? A Chan wiedział, wiedział! Czy to przewidział, czy też rzeczywiście podpowiedział mu to magiczny Przewodnik. Wydawałoby się to nawet śmieszne, kawałek papieru z kolorowymi kreskami... Czyżby te brednie mogły mu pomóc? Ale przecież ten przejazd, między Turgieniewską a Kitaj-Gorodem, przecież on był pomarańczowy, naprawdę pomarańczowy. A może jednak czarny?

- Co to? - spytał Tuz, zatrzymując się nieoczekiwanie i patrząc z niepokojem na Chana. - Czujesz to? Za nami...

Artem spojrzał na niego z niedowierzaniem i chciał już rzucić jakiś sarkastyczny komentarz na temat zszarganych nerwów, bo sam absolutnie niczego nie poczuł. Ustąpiło nawet to ściskające go niczym kleszcze, przygniatające poczucie zagrożenia, które spadło na niego na Turgieniewskiej. Lecz ku jego zdziwieniu Chan znieruchomiał, gestem nakazał ciszę i cofnął się parę kroków.

- Co za słuch! - ocenił po pół minucie. - Jesteśmy zachwyceni. Królowa jest zachwycona - dodał nie wiadomo po co. - Jeśli się stąd wydostaniemy, stanowczo powinniśmy porozmawiać. Niczego nie słyszysz? - spytał Artema.

- Nie, wszystko wydaje się w porządku - po chwili nasłuchiwania odrzekł chłopak. Poczuł w tej chwili coś jakby... Zazdrość? Urazę? Złość, że jego opiekun powiedział tak o tym nieokrzesanym brodatym diable, który jeszcze parę godzin wcześniej o mało nie załatwił ich obu. Chyba tak...

- Dziwne. Wydawało mi się, że masz zaczątki umiejętności słyszenia tuneli... Może nie rozwinęła się jeszcze w pełni? Ale o tym później, później. To wszystko później - pokręcił głową Chan. - Masz rację - potwierdził, zwracając się do Tuza. - To tu idzie. Musimy ruszać, i to jak najszybciej - nasłuchiwał przez chwilę i zupełnie jak wilk, z niepokojem pociągnął nosem. - To płynie z tyłu, jak fala. Musimy uciekać! Jeśli nas dogoni, wszystko skończone - urwał ruszając z miejsca.

Artem musiał rzucić się za nim i prawie biec, by nie zostać w tyle. Brodacz kroczył teraz obok nich, szybko przebierając krótkimi nogami i ciężko dysząc.

Szli tak jakieś dziesięć minut, i przez cały ten czas Artem nijak nie mógł pojąć, po co się tak śpieszą, tracąc oddech, potykając się o szyny, kiedy w tunelu za nimi było pusto i cicho, bez żadnych oznak pościgu. Musiało minąć z dziesięć minut, nim poczuł to na plecach. To coś rzeczywiście deptało im po piętach, doganiając ich krok po kroku: coś czarnego, nie fala, a prędzej wicher, czarny wicher niosący pustkę... I jeśli im się nie uda, jeśli on doścignie ich małą grupkę, to czeka ich to, co tamtych sześciu, to, co wszystkich pozostałych śmiałków i głupców, którzy wchodzili do tuneli pojedynczo czy w złym momencie, kiedy szalały tam piekielne huragany, zmiatając wszystko, co żywe... Takie myśli, niejasne pojmowanie tego, co się tu działo, po kolei przemknęły Artemowi przez głowę, i popatrzył trwożliwie na Chana. Ten zauważył to spojrzenie i wszystko zrozumiał.

- No co, ciebie też chwyciło? - wysapał. - Niedobrze! To znaczy, że jest już całkiem blisko.

- Trzeba iść szybciej! - wychrypiał Artem, nie zatrzymując się. - Póki nie jest za późno!

Chan przyśpieszył kroku i puścił się teraz kłusem, w milczeniu, nie odpowiadając już na pytania Artema. Ze zmęczenia, które przywidziało się chłopakowi, nie zostało już w tym człowieku nawet śladu, i na jego obliczu znów pojawiło się coś zwierzęcego. Żeby za nim nadążyć, Artem musiał zacząć biec, i kiedy wydawało się przez chwilę, że wreszcie udaje im się oddalić od nieubłaganej pogoni, Tuz potknął się o podkład kolejowy i jak długi poleciał na ziemię, rozbijając sobie do krwi twarz i ręce.

Siłą rozpędu zdążyli jeszcze przebiec jakieś piętnaście kroków, i Artem, widząc już, że brodacz upadł, złapał się na myśli, że nie ma ochoty się zatrzymywać i wracać, że wolałby zostawić go w diabły, tego krótkonogiego lizusa, razem z tą jego cudowną intuicją, i pędzić dalej, zanim to coś nie pochłonie ich samych.

Te myśli napełniły go wstrętem, ale Artemem niespodzianie owładnęła taka niechęć do leżącego na torach i głucho jęczącego Tuza, że głos współczucia zupełnie w nim ucichł. Przez to poczuł nawet pewne rozczarowanie, kiedy Chan rzucił się z powrotem i mocnym szarpnięciem postawił brodacza na nogi. Artem miał cichą nadzieję, że Chan, z jego bardziej niż lekceważącym stosunkiem do cudzego życia, jak i cudzej śmierci, bez wahania porzuci go w tunelu jak zbędny balast i popędzą dalej.

Suchym, niecierpiącym sprzeciwu głosem Chan nakazał Artemowi złapać utykającego Tuza pod rękę, i podtrzymując go z drugiej strony, pociągnął ich za sobą. Biec było teraz o wiele trudniej. Brodacz stękał i zgrzytał zębami z bólu przy każdym kroku, ale Artem nie czuł wobec niego nic prócz rosnącego rozdrażnienia. Długi, ciężki karabin boleśnie obijał mu się o nogi i nie miał wolnej ręki, żeby go przytrzymać. Przytłaczała go świadomość, że dokądś się spóźnia, i wszystko to razem rodziło już nie strach przed czarną próżnią za nimi, a złość i upór.

A śmierć była tuż obok, wystarczyło się zatrzymać i chwilę poczekać, a złowieszczy wicher dogoni cię, porwie i rozerwie na atomy. W ciągu sekundy znikniesz z tego Wszechświata, i nienaturalnie szybko urwie się twój przedśmiertny krzyk... Ale teraz te myśli nie paraliżowały Artema, lecz w połączeniu ze złością i rozdrażnieniem dodawały mu sił, które zbierał na jeszcze jeden krok, potem na następny, i tak bez końca.

I nagle to znikło, przepadło. Poczucie zagrożenia uleciało tak niespodziewanie, że miejsce, które zajmowało w świadomości, stało się nienormalnie puste, niewypełnione, jak po wyrwaniu zęba. Artem stanął jak wryty, jakby badając koniuszkiem języka powstałą dziurę. Za nimi nic już nie było, po prostu tunel - czysty, suchy, pusty, całkowicie bezpieczny. Cała ta ucieczka od własnych lęków i paranoidalnych fantazji, nadmierna wiara w jakieś wyjątkowe zmysły, intuicję, wydała się Artemowi tak śmieszna, tak głupia i bezsensowna, że nie wytrzymał i zachichotał. Tuz, który zatrzymał się razem z nim, z

początku spojrzał na niego zdziwiony, a potem najpierw niepewnie się uśmiechnął aż w końcu wybuchnął śmiechem. Chan patrzył na nich z niezadowoleniem i w końcu splunął:

- No, co, wesoło wam? Ładnie tu, prawda? Tak cicho i czysto, co? - i sam ruszył naprzód. Dopiero wtedy do Artema dotarło, że są zaledwie pięćdziesiąt kroków od stacji, że na końcu tunelu wyraźnie widać światło.

Chan czekał na nich przy wejściu, stojąc na żelaznych schodkach. Zdążył już wypalić wypełnionego czymś skręta, zanim tamci, rozchichotani i zupełnie rozluźnieni, pokonali te pięćdziesiąt kroków.

Artem poczuł przez ten czas sympatię i współczucie do kulejącego i jęczącego z bólu przez śmiech Tuza, trapił go wstyd na wspomnienie myśli, które przemknęły mu przez głowę tam, za nimi, kiedy Tuz się przewrócił. Nastrój był wyjątkowo beztroski i dlatego widok Chana, zmęczonego, wyczerpanego, obserwującego ich z dziwną pogardą, był dla Artema nieco nieprzyjemny.

- Dziękuję! - stukając buciorami po schodkach, wyciągając do niego rękę, Tuz podszedł do Chana. - Gdyby nie ty... Pan... To byłoby po mnie. A... pan... mnie nie zostawił. Dziękuję! Takich rzeczy nie zapominam.

- Nie trzeba - bez cienia entuzjazmu odparł Chan.

- Czemu pan po mnie wrócił? - spytał brodacz.

- Interesujesz mnie jako rozmówca - Chan rzucił peta na ziemię i wzruszył ramionami. - Ot i wszystko.

Po tym jak wszedł nieco wyżej, Artem zrozumiał dlaczego Chan wszedł na peron po schodach, a nie szedł dalej wzdłuż torów. Przed samym wejściem na Kitaj-Gorod droga była zatarasowana przez stertę worków z piaskiem wysokości człowieka. Za nimi, na drewnianych taboretach rozsiedli się ludzie o bardzo groźnej powierzchowności. Krótko ostrzyżone, wysoko wygolone głowy, szerokie bary pod luźnymi kurtkami z wytartej skóry przypominające uniformy, znoszone spodnie od dresu - wszystko to wyglądało właściwie zabawnie, ale z jakiegoś powodu wcale nie nastrajało do śmiechu.

Za workami siedziało ich trzech, na czwartym taborecie leżał stosik kart, a bandyci zamaszyście rzucali na niego kolejne. Słychać było takie przekleństwa, że Artem, nawet po wsłuchaniu się, nie potrafił wyłowić z ich rozmowy choćby jednego słowa nie będącego wulgaryzmem.

Wejść na stację można było tylko przez wąską kładkę i furtkę na szczycie schodów. Lecz tam, blokując przejście, rozsiadł się jeszcze bardziej imponujący cielskiem czwarty strażnik. Artem obrzucił go wzrokiem: głowa wygolona na zero, wodnistoszare oczy, nieco skrzywiony nos, obwisłe uszy, rozciągnięte dresowe spodnie, czarna rękojeść pistoletu - ciężki TT bezpośrednio za pasem - i trudny do zniesienia odór alkoholu, zwalający z nóg i przeszkadzający myśleć.

- Co tam, kurna? - ochryple przeciągnął czwarty strażnik, oglądając Chana i stojącego za nim Artema od stóp do głów. - Turyści, kurna? Czy straganiarze?

- Nie jesteśmy straganiarzami, tylko podróżnymi, nie mamy żadnego towaru - wyjaśnił Chan.

- Podróżni - sróżni! - zrymował mięśniak i głośno zarechotał. - Słuchaj tego, Kolian! Podróżni - sróżni! - powtórzył odwróciwszy się do grających.

Dobiegły go stamtąd głosy aprobaty. Chan cierpliwie się uśmiechnął.

Byk leniwym ruchem oparł się jedną ręką o ścianę, ostatecznie blokując przejście.

- My tu tera mamy ten... urząd celny, kapujesz? - wyjaśnił życzliwie. - Tu się buli kasę. Chcesz przejść - płać. Nie chcesz - wal się na ryj!

- A to z jakiej racji? - pisnął Artem z oburzeniem. I to był błąd.

Byk pewnie nawet nie zrozumiał tego, co usłyszał, ale ton bardzo mu się nie spodobał. Odsunął Chana na bok, zrobił ciężki krok naprzód i znalazł się twarzą w twarz z

Artemem. Opuścił podbródek i zmierzył chłopaka mętnym wzrokiem. Oczy miał zupełnie puste, wydawały się prawie przezroczyste i nie zdradzały żadnych oznak inteligencji. Wyrażały tylko tępotę i złość, i z trudem wytrzymując ten wzrok i mrugając ze zdenerwowania, Artem czuł jak rośnie w nim strach i nienawiść do stworzenia ukrytego za tymi mętnymi szkiełkami i patrzącemu przez nie na świat.

- A ty co, kurna?! - spytał z pogróżką strażnik.

Był od Artema wyższy więcej niż o głowę i jakieś trzy razy szerszy. Artem przypomniał sobie opowiedzianą mu przez kogoś legendę o Dawidzie i Goliacie; szkoda tylko, że zapomniał który był który, jednak historia kończyła się dobrze dla małych i słabych, a to budziło w nim pewien optymizm.

- A ja nic! - odważył się niespodziewanie dla samego siebie.

Ta odpowiedź z jakiejś przyczyny rozstroiła jego rozmówcę, i ten rozczapierzył krótkie grube palce i pewnym ruchem położył łapę na czole Artema. Skóra na jego dłoni była żółta i zrogowaciała, a śmierdziała tytoniem zmieszanym z olejem silnikowym, lecz Artemowi nie udało się wyczuć pełnej gamy aromatów, gdyż mięśniak popchnął go do tyłu.

Pewnie nie włożył w to specjalnie dużo siły, ale Artem przeleciał jakieś półtora metra, zbił z nóg stojącego za nim Tuza, i obaj niezdarnie zwalili się na ziemię, a mięśniak nieśpiesznie wrócił na swoje miejsce. Lecz tam czekała go niespodzianka. Chan zrzuciwszy plecak stał na rozstawionych nogach i mocno trzymając w obu rękach automat Artema. Demonstracyjnie szczęknął bezpiecznikiem i odezwał się cichym głosem, tak bardzo nie zapowiadającym niczego dobrego, że nawet Artemowi, do którego te słowa się nie odnosiły, włosy stanęły dęba:

- No, i po co być niegrzecznym?

I w sumie nie powiedział nic takiego, ale szamoczącemu się na ziemi, próbującemu wstać, urażonemu i zawstydzonemu Artemowi te słowa wydały się głuchym, ostrzegawczym ryknięciem, za którym może nastąpić błyskawiczny skok. Wreszcie podniósł się, zerwał z ramienia swój stary karabin, wycelował w napastnika, odbezpieczył i odciągnął zamek. Teraz był gotów nacisnąć na spust w dowolnym momencie. Serce biło mu w przyśpieszonym tempie, nienawiść ostatecznie przeważyła nad strachem i spytał Chana:

- Mogę go stuknąć? - i sam zdziwił się swojej gotowości, by bez wahania zabić człowieka za to, że go popchnął. Spocona, ogolona głowa wyraźnie odznaczała się na przedłużeniu muszki i szczerbinki i pokusa, by nacisnąć spust była ogromna. A potem niech będzie, co chce, teraz najważniejsze to wykończyć tego gada, utopić go we własnej krwi.

- Szucher! - orientując się, co się dzieje, ryknął byk.

Chan błyskawicznym ruchem wyrwał mu zza pasa pistolet, odskoczył na bok i wziął na muszkę podrywających się ze swoich miejsc „celników".

- Nie strzelaj! - zdążył krzyknąć do Artema i ożywiona przez chwilę scena znów zamarła: zastygły z rękami w górze byk w przejściu i nieruchomy Chan, celujący w trzech bandytów, którzy nie zdążyli podnieść swoich ustawionych w kozioł automatów.

- Nie potrzebujemy rozlewu krwi - spokojnie i dobitnie powiedział Chan, nie tyle prosząc, ile nakazując. - Są tu pewne zasady, Artem - ciągnął, nie spuszczając oczu z trzech karciarzy zastygłych w głupich pozach.

Kto jak kto, ale ci bandyci na pewno doceniali kałasznikowa i jego zabójczą siłę na tak krótkim dystansie, dlatego nie chcieli budzić wątpliwości, że będą grzeczni, u tego, który trzymał ich na celowniku.

- Ich zasady zobowiązują nas, żebyśmy zapłacili im myto za wejście. Ile wynosi opłata? - spytał Chan.

- Trzy kulki od łebka - odezwał się ten, który stał w przejściu.

- Potargujmy się - złośliwie zaproponował bykowi Artem, kierując lufę automatu w rejon jego podbrzusza.

- Dwie - wykazał elastyczność ten, wrogo patrząc na Artema, ale nie decydując się na żadne działanie.

- Daj mu! - polecił Tuzowi Chan. - Przy okazji rozliczysz się ze mną.

Tuz chętnie wsadził rękę do swojej torby podróżnej, zbliżył się do strażnika, odliczył i położył na jego wyciągniętej dłoni sześć błyszczących, ostro zakończonych nabojów. Ten szybko zacisnął pięść i przesypał je do wypchanej kieszeni kurtki, a potem znów podniósł ręce i wyczekująco spojrzał na Chana.

- Cło uiszczone? - podniósł pytająco brwi Chan.

Byk ponuro kiwnął głową nie spuszczając wzroku z jego karabinu.

- Incydent zażegnany? - uściślił Chan.

Bandzior milczał. Chan wyjął z zapasowego magazynka, przyklejonego taśmą do głównego, jeszcze pięć pocisków i włożył je do kieszeni strażnika. Opadły na dno z cichym brzękiem i razem z tym dźwiękiem napięty grymas na twarzy byka zniknął i znów zagościł na niej zwykły leniwo-pogardliwy wyraz.

- Kompensacja za straty moralne - wyjaśnił Chan, ale te słowa nie wywarły żadnego wrażenia.

Najprawdopodobniej byk zwyczajnie ich nie zrozumiał, tak jak i poprzedniego pytania. Domyślał się znaczenia zawiłych wypowiedzi Chana po jego gotowości korzystania z pieniędzy bądź siły; ten język rozumiał doskonale i pewnie tylko nim operował.

- Możesz opuścić ręce - powiedział Chan i powoli skierował lufę w górę, zdejmując karciarzy z celownika.

Tak samo postąpił Artem, ale ręce drżały mu nerwowo, gotów był w dowolnym momencie wziąć na cel wygolony łeb bojówkarza. Nie ufał tym ludziom. Mimo to jego wątpliwości okazały się niepotrzebne: spokojnie opuściwszy ręce, strażnik burknął do pozostałych, że wszystko w porządku, oparł się o ścianę i przyjął sztucznie obojętny wyraz twarzy, przepuszczając podróżnych na stację. Zrównawszy się z nim, Artem tak się rozzuchwalił, że spojrzał mu w oczy, lecz byk nie przyjął wyzwania i patrzył gdzieś w bok.

Kiedy go minął, Artem usłyszał jednak za plecami z wściekłością wypowiedziane „Szczeniak...” i soczyste splunięcie na ziemię. Już chciał się odwrócić, ale Chan, idący krok przed nim, złapał go za rękę i pociągnął za sobą, tak że Artem z jednej strony tłumił w sobie chęć, by wyrwać się i wrócić do tego żałosnego typa, a z drugiej otrzymał świetne usprawiedliwienie dla drugiej części swojej osoby, która tchórzliwie chciała jak najszybciej stamtąd odejść.

Kiedy wszyscy stanęli na ciemnej, granitowej posadzce stacji, za nimi rozległo się nagle przeciągłe:

- Ee... Klamkę oddaj!

Chan zatrzymał się, wytrząsnął z magazynka odebranego TT podłużne naboje z zaokrąglonymi końcami, wsadził go z powrotem i rzucił bykowi.

Ten całkiem zręcznie złapał go w powietrzu i z przyzwyczajenia wsadził w spodnie, obserwując z niezadowoleniem jak Chan rozsypuje zabraną amunicję po posadzce.

- Wybacz - rozłożył ręce Chan. - Profilaktyka. Tak to się nazywa? - mrugnął do Tuza.

Kitaj-Gorod różnił się od pozostałych stacji, które Artem miał okazję odwiedzić: nie miał trzech naw jak WOGN, a składał się z jednej dużej sali z szerokim peronem, po obu stronach którego szły tory, i stwarzało to nieco niepokojące wrażenie niespotykanie wielkiej przestrzeni. Pomieszczenie było chaotycznie oświetlone kołyszącymi się w te i wewte słabymi żarówkami w kształcie gruszek, ognisk nie było żadnych, widocznie ich palenie było tu zabronione. Na środku holu, hojnie rozlewając wokół siebie światło, lśniła biała lampa rtęciowa - dla Artema prawdziwy cud. Ale otaczający go zamęt tak odciągał uwagę, że nawet na tej osobliwości nie mógł zatrzymać wzroku dłużej niż na sekundę.

- Jaka wielka stacja! - westchnął zadziwiony.

- Tak naprawdę widzisz tylko jej połowę - oznajmił Chan. - Kitaj-Gorod jest dokładnie dwa razy większy. O tak, to jedno z najdziwniejszych miejsc w metrze. Słyszałeś na pewno, że schodzą się tu różne linie. Na przykład ten tor, na prawo od nas, to już nitka Tagańsko-Krasnoprieznieńska. Trudno opisać to wariactwo i chaos, który się na niej wyczynia, a na tej stacji spotyka się z twoją pomarańczową, Kałużsko-Ryżską, na której dzieją się rzeczy, w które ludzie z innych linii w ogóle nie chcą wierzyć. Poza tym ta stacja nie należy do żadnej z federacji, a jej mieszkańcy są całkowicie pozostawieni sami sobie. Bardzo, bardzo interesujące miejsce. Nazywam je Babilonem. Z sympatią - dodał Chan patrząc na peron i ludzi uwijających się dokoła.

Stacja kipiała życiem. Z daleka przypominało to Prospekt Mira, ale tam wszystko było o wiele skromniejsze i bardziej zorganizowane. Artemowi przypomniały się słowa Burbona, że są w metrze lepsze miejsca niż ten ubogi bazar, po którym spacerowali na Prospekcie.

Wzdłuż szyn ciągnęły się niekończące się rzędy straganów, cały peron był wypełniony dużymi i małymi namiotami. Jedne z nich były przerobione na sklepy, w innych mieszkali ludzie; na niektórych było napisane „DO WYNAJĘCIA", tam znajdowały się miejsca noclegowe dla podróżnych. Z trudem przedzierali się przez tłum i rozglądając się po bokach Artem zauważył na prawym torze ogromną szaro-niebieską sylwetkę pociągu. Był on jednak niepełny - zaledwie trzy wagony.

Na stacji panował nieopisany zgiełk. Zdawało się, że żaden z jej mieszkańców nie milknie ani na sekundę i cały czas coś mówi, krzyczy, śpiewa, o coś się szaleńczo kłóci, śmieje się albo płacze. Z kilku miejsc naraz, przebijając gwar tłumu, niosła się muzyka, i tworzyło to niezwykły dla życia w podziemiach świąteczny nastrój.

Tak, na WOGN-ie też byli tacy, co lubili pośpiewać, ale tam wszystko było inaczej. Na całą stację mieli może dwie gitary, i czasem u kogoś w namiocie zbierała się kompania, żeby odpocząć po pracy. No i zdarzało się też na posterunku, na trzechsetnym metrze, gdzie nie trzeba do bólu w uszach wsłuchiwać się w szmery dochodzące z południowego tunelu. Przy ognisku śpiewało się cicho przy brzęku strun, ale głównie o rzeczach niezbyt dla Artema zrozumiałych: o wojnach, w których nie brał udziału i które prowadziło się według innych, dziwnych reguł; o życiu tam, na górze, jeszcze przed.

Szczególnie zapamiętał piosenki o jakimś Afganie, które tak lubił Andriej, były żołnierz piechoty morskiej, chociaż z pieśni tych nie dało się prawie nic zrozumieć, oprócz smutku po poległych towarzyszach i nienawiści do wrogów. Ale Andriej tak umiał to zaśpiewać, że wszystkim słuchaczom drżał głos i przechodziły ich dreszcze.

Andriej wyjaśniał młodym, że Afgan to taki kraj, opowiadał o górach, przełęczach, grzmiących potokach, wioskach, śmigłowcach i plastikowych workach. Co to jest kraj, Artem wiedział całkiem dobrze, nie na próżno w swoim czasie uczył go Suchy. Ale jeśli wiedział cokolwiek o państwach i ich historii, to góry, rzeki i doliny nadal były dla niego jakimiś abstrakcyjnymi pojęciami i słowa, które się do nich odnosiły, wywoływały w jego wyobraźni jedynie wspomnienia wyblakłych obrazków z podręcznika geografii, który ojczym przyniósł z jednej ze swoich wypraw.

Ale i sam Andriej nie był nigdy w żadnym Afganie, za młody był na to. Po prostu nasłuchał się piosenek swoich starszych kolegów z wojska.

Ale czy na WOGN-ie grali tak jak na tej dziwnej stacji? Nie. Tam śpiewano pieśni refleksyjne, poważne, i wspominając Andrieja i jego smutne ballady i porównując je z wesołymi, figlarnymi melodiami, które dochodziły z różnych zakątków stacji, Artem nie mógł się nadziwić, jak inna i niepodobna może być muzyka i jak silnie może wpłynąć na nastrój.

Podszedł do najbliższych muzykantów, mimowolnie zatrzymał się i dołączył do małej grupki ludzi, przysłuchując się nie tyle żartobliwym słowom piosenki o czyichś tam wędrówkach po tunelach pod wpływem kwasa, co samej muzyce, przyglądając się ciekawie wykonawcom. Było ich dwóch: jeden, z długimi tłustymi włosami przewiązanymi na czole skórzanym rzemykiem, ubrany w jakieś niewiarygodne wielobarwne łachmany, brzdąkał na gitarze, a drugi, starszy już mężczyzna z solidną łysiną i w wiele razy naprawianych i obklejonych taśmą klejącą okularach, które wiele już widziały, w starej wyliniałej marynarce wydobywał cudne dźwięki z jakiegoś dętego instrumentu, który Chan nazwał saksofonem.

Sam Artem niczego podobnego wcześniej nie widział, z dęciaków znał tylko fujarkę - byli u nich mistrzowie, którzy wycinali fujarki z rurek różnej średnicy, ale tylko na sprzedaż: na WOGN-ie fujarek nie lubiono. No, i jeszcze, podobna nieco do saksofonu, trąbka sygnałówka, w którą czasem trąbiło się na trwogę, jeśli z jakiegoś powodu nawaliła zwykle wykorzystywana syrena.

Na ziemi przed muzykami leżał otwarty futerał od gitary, w którym leżało już z dziesięć nabojów, i kiedy wyśpiewujący na całe gardło długowłosy miał w tekście coś wyjątkowo śmiesznego, dołączając do żartu zabawne miny, tłum od razu odpowiadał radosnym chichotem, rozlegały się oklaski, a do futerału leciał kolejny nabój.

Skończyła się piosenka o błąkającym się po tunelach nieboraku, i długowłosy oparł się o ścianę, żeby odpocząć, a saksofonista w marynarce od razu zaczął grać jakiś nieznany Artemowi, ale najwyraźniej bardzo tu popularny motyw, bo ludzie przyjęli go brawami i jeszcze kilka „kulek" błysnęło w powietrzu i uderzyło o wytarty, czerwony aksamit futerału.

Chan i Tuz rozmawiali o czymś przy najbliższym straganie, i nie pośpieszali na razie Artema, który mógłby z pewnością stać tam jeszcze godzinę i słuchać tych pospolitych piosenek, lecz nagle wszystko się skończyło. Do muzyków kołyszącym się krokiem zbliżyły się dwie potężne postacie, bardzo podobne do tych bandytów, z którymi mieli do czynienia przy wejściu na stację, i w podobny sposób ubrane. Jeden z nich ukucnął i zaczął bezceremonialnie wygrzebywać leżące w futerale naboje, przesypując je do kieszeni swojej skóry.

Długowłosy gitarzysta rzucił się ku niemu, próbując mu przeszkodzić, ale tamten szybko przewrócił go uderzeniem w ramię i, zerwawszy z niego gitarę, zamachnął się, zamierzając roztrzaskać instrument o krawędź filara. Drugi bandyta, nie wysilając się specjalnie, przyciskał do ściany leciwego saksofonistę, kiedy ten próbował się wyrwać i pomóc koledze.

Ani jeden ze stojących wokół słuchaczy nie wstawił się za muzykami. Tłum wyraźnie się przerzedził, a ci, którzy zostali, chowali wzrok albo udawali, że oglądają towary leżące na sąsiednich straganach. Artem poczuł palący wstyd i za nich, i za siebie, ale nie zdecydował się wtrącać.

- Przecież już dzisiaj przychodziliście! - trzymając się za ramię, płaczliwym głosem żalił się długowłosy.

- Słuchaj, ty! Jak macie dzisiaj dobry dzień, to my też mamy mieć dobry dzień, rozumiesz, kurna? A w ogóle, to ty mnie tu nie podskakuj, rozumiesz? Co, do wagonu chcesz, papugo włochata?! - ryknął na niego bandyta opuszczając gitarę. Jasne było, że machał nią bardziej na pokaz.

Przy słowie „wagon" długowłosy natychmiast urwał i szybko pokręcił głową, nie mówiąc więcej ani słowa.

- No, właśnie... Papuga! - z dziwnym akcentem podsumował bydlak i charknął pogardliwie muzykowi pod nogi. Ten ścierpiał w milczeniu i to. Upewniwszy się, że bunt został zdławiony, oba byki niespiesznie się oddaliły, by szukać kolejnej ofiary.

Artem rozejrzał się w rozterce i odkrył, że obok niego stał Tuz, który, jak się okazało, uważnie obserwował tę scenę.

- Kto to jest? - spytał Artem ze zdziwieniem.

- A na kogo według ciebie wyglądają? - spytał retorycznie Tuz. - Zwykłe bandziory. Na Kitaj-Gorodzie nie ma żadnej władzy, wszystko kontrolują dwie grupy. Tą połową rządzą nasi bracia Słowianie. Zebrały się tu wszystkie szumowiny z linii Kałużsko-Ryżskiej, sami bandyci. Generalnie mówią na nich kałużscy, niektórzy: Ryżscy, ale ani z Kaługą ani z Rygą nie mają, rozumie się, nic wspólnego. A tam, widzisz, gdzie jest przejście - wskazał Artemowi schodki idące w prawo i do góry mniej więcej na środku peronu - tam jest jeszcze jedna sala, podobna do tej jak dwie krople wody. Tam panuje taki sam burdel, ale rządzą tam Muzułmanie z Kaukazu, głównie z Azerbejdżanu i Czeczenii. Kiedyś toczyli tu wojnę, każdy chciał zdobyć jak najwięcej. W rezultacie podzielili stację na pół.

Artem dał spokój pytaniom o to, co to takiego Kaukaz, dochodząc do wniosku, że ta nazwa własna, podobnie jak niezrozumiałe i trudne do wymówienia Czeczenia z Azerbejdżanem, pochodzi od nieznanych mu stacji, z których przyszli tu ci bandyci.

- Obecnie między obiema bandami panuje pokój - ciągnął Tuz. - Skubią tych, którzy postanowili zatrzymać się na stacji żeby dorobić, pobierają cło od idących dalej. W obu salach opłata jest jednakowa - trzy naboje, więc nie ma znaczenia, z której strony przychodzisz. Porządku nie ma tu oczywiście żadnego, bo na co im on - nie pozwalają tylko palić ognisk. Chcesz kupić kwasa - na zdrowie, jakiś alkohol - mają go jak lodu. Taką bronią można się tu obładować, że pół metra potem rozwalisz, żaden problem. Prostytucja kwitnie. Ale nie radzę - dodał i mruknął coś zmieszany o własnym doświadczeniu.

- A co to ten wagon? - spytał Artem.

- Wagon? To u nich coś w rodzaju sztabu. Jak ktoś im jakoś podpadnie, odmawia płacenia, jest im winien pieniądze, albo coś innego, to tam go biorą. Jest tam jeszcze więzienie i izba tortur: taki loch dla dłużników czy coś. Lepiej tam nie trafić. Głodny? - Tuz zmienił temat.

Artem kiwnął głową. Licho wie, ile czasu minęło od chwili, kiedy razem z Chanem pili herbatę i jedli na Suchariewskiej. Bez zegara zupełnie stracił zdolność orientacji w czasie. Jego pełne dziwnych przeżyć wyprawy przez tunele mogły rozciągnąć się na długie godziny, a przeleciały jak jedna minuta. Poza tym, w ogóle w tunelach upływ czasu mógł różnić się od zwyczajnego.

Jakkolwiek było, chciało mu się jeść. Rozejrzał się.

- Szaszłyk! Gorący szaszłyk! - wrzasnął stojący nieopodal smagły handlowiec z gęstymi czarnymi wąsami pod garbatym nosem.

Wymowę miał dość dziwną: miękko wymawiał „ł”, a zamiast „o” wychodziło mu zawsze „a”. Artem i wcześniej spotykał ludzi o nietypowej wymowie, ale nigdy nie zwracał na to szczególnej uwagi.

Słowo brzmiało dla Artema znajomo, szaszłyki na WOGN-ie przyrządzano i lubiono. Wieprzowe, rzecz jasna. Ale to, czym wymachiwał ów sprzedawca, przypominało prawdziwy szaszłyk jedynie z dużej odległości. W kawałkach mięsa nabitych na poczerniałe od sadzy szpadki, Artem, po długiej i wytężonej obserwacji, rozpoznał w końcu zwęglone ciałka szczurów z poskręcanymi łapkami. Zrobiło mu się niedobrze.

- Nie jadasz szczurów? - spytał go ze współczuciem Tuz. - A tamci znowu - kiwnął na smagłego handlarza - nie cenią wieprzowiny. Koran im zabrania. Ale to nic, że to szczury - dodał spoglądając łakomie na parujące mięso - ja też kiedyś się brzydziłem, a potem przywykłem. Twardawe są oczywiście i kościste, poza tym czymś zajeżdżają. Ale ci Czeczeni - znowu spojrzał w ich kierunku - umieją przyrządzić szczurzynę, to im trzeba przyznać. Marynują ją w czymś, robi się potem delikatna jak te twoje prosiaki. I z przyprawami! A jak tanio! - zachwalał.

Artem przycisnął dłoń do ust, odetchnął głęboko i starał się myśleć o czymś innym, ale przed oczami cały czas stały mu poczerniałe szczurze tuszki, nabite na rożen: żelazny drut zagłębiał się w ciało z tyłu i wychodził z otwartego pyszczka.

- No, rób jak chcesz, ja się poczęstuję! Chodź, wszystkiego trzy kulki za szaszłyk! - Tuz przywołał ostatni argument i ruszył w kierunku smażalni.

Trzeba było, uprzedziwszy najpierw Chana, obejść najbliższe stragany w poszukiwaniu czegoś bardziej nadającego się do jedzenia. Artem sprawdził całą stację, grzecznie odmawiając natrętnym sprzedawcom samogonu nalewanego do wszystkich możliwych rodzajów flaszek; pożądliwie, ale i z obawą spoglądając na ponętne, na wpół rozebrane panienki stojące przy otwartych wejściach do namiotów i przywołujące przechodniów lepkimi spojrzeniami, może i wulgarne, ale tak nieskrępowane, swobodne, nie to co stłamszone, przytłoczone surowym życiem kobiety z WOGN-u; zatrzymując się przy kramach z książkami - tak, nie ma nic ciekawego. Przeważnie tanie, rozwalające się książeczki rozmiarów kieszonkowych: o wielkiej i czystej miłości - dla kobiet, a zabójstwach i pieniądzach - dla mężczyzn.

Peron miał dwieście kroków długości - trochę więcej niż normalnie. Ściany i zabawne, przypominające kształtem akordeon filary były pokryte barwnym marmurem, głównie żółtawoszarym, miejscami nieco różowym. A wzdłuż torów stację ozdabiały ciężkie, kute płyty z pociemniałego od upływu lat żółtego metalu z wygrawerowanymi na nich ledwie rozpoznawalnymi symbolami minionej epoki. Jednak cała ta piękna prostota zachowała się bardzo słabo, zostawiła po sobie tylko smutne westchnienie, aluzję do dawnej wielkości: sklepienie pociemniało od spalenizny, ściany były upstrzone mrowiem wykonanych farbą i sadzą napisów i prymitywnymi, często sprośnymi rysunkami; gdzieniegdzie marmur był odłupany, a metalowe płyty pogięte i porysowane.

Pośrodku holu, z prawej strony, kilka schodków wyżej, za mostkiem, widać było drugą część stacji. Artem chciał przejść się i tam, ale zatrzymał się przy żelaznym ogrodzeniu utworzonym z dwumetrowych elementów, jak na Prospekcie Mira.

Przy wąskim przejściu stało, opierając się łokciami o płot, kilku ludzi. Od strony Artema - znane już buldogi w sportowych spodniach. Z przeciwnej - smagli, wąsaci bruneci, nie tak ogromnych rozmiarów, ale z wyglądu też nie zachęcający do żartów. Jeden z nich trzymał między nogami karabin, drugiemu z kieszeni sterczała rękojeść pistoletu. Bandyci spokojnie rozmawiali ze sobą i zupełnie nie chciało się wierzyć, że kiedyś był między nimi konflikt. Stosunkowo uprzejmie wyjaśnili Artemowi, że przejście na sąsiednią stację będzie go kosztowało dwa naboje, i że tyle samo będzie musiał zapłacić w drodze powrotnej. Nauczony gorzkim doświadczeniem, Artem nie zakwestionował zasadności tej opłaty, ale po prostu odszedł.

Zatoczywszy koło, uważnie przyglądając się kramom i pchlim targom, wrócił na ten koniec peronu, na który weszli. Odkrył, że hol wcale się tu nie kończy: na górę prowadziły jeszcze jedne schody. Nimi wkroczył w krótki korytarz, przecięty na pół takim samym ogrodzeniem ze strażnikami. Jak widać, przebiegała tu jeszcze jedna granica między dwiema strefami panowania. Natomiast z prawej strony, ku swojemu zdziwieniu, Artem ujrzał prawdziwy pomnik - w rodzaju tych, które oglądał na obrazkach przedstawiających miasto - lecz przedstawiał on nie całego człowieka, jak to było na zdjęciach, a tylko jego głowę.

Ale cóż to była za gigantyczna głowa! Nie mniej niż dwa metry wysokości... Chociaż na górze była czymś zapaskudzona, a do tego głupkowato błyszczał jej wypolerowany od częstego chwytania nos, to jednak budziła szacunek, a nawet pewną grozę. Do głowy przychodziły mu bajki o olbrzymach i jednym, który stracił w walce głowę, a teraz to ona, pokryta brązem, zdobiła marmurowe hole tej małej Sodomy, wydrążonej głęboko w ziemi, aby skryć się przed wszechwiedzącym okiem Pana i uniknąć kary. Twarz odrąbanej głowy

miała smutny wyraz, i Artem miał z początku podejrzenie, że należy ona do Jana Chrzciciela z Nowego Testamentu, który kiedyś miał okazję przejrzeć. Potem jednak uznał, że, sądząc po rozmiarach, chodzi tu o jednego z bohaterów niedawno przypomnianej opowieści o Dawidzie i Goliacie, tego, który był wielki i silny, wręcz olbrzymi, lecz na końcu i tak stracił głowę. Żaden ze snujących się wokół mieszkańców stacji nie umiał mu jednak wyjaśnić, do kogo konkretnie należała ta odcięta głowa, co trochę go rozczarowało.

Za to obok posągu natknął się na wspaniałe miejsce - prawdziwą restaurację urządzoną w przestronnym, czystym namiocie, w przyjemnym, swojskim, ciemnozielonym kolorze, takim jak u nich na stacji. Wewnątrz, w rogach, były plastikowe atrapy kwiatów z liśćmi z materiału, które nie wiadomo co tu robiły, ale były ładne, oraz parę solidnych stolików, na których stały lampki olejowe wypełniające namiot przytulnym, łagodnym światłem. I jedzenie... Pokarm bogów: najdelikatniejsza wieprzowa pieczeń z grzybami - aż ślinka cieknie, u nich przyrządzano takie potrawy tylko w święta, ale nigdy nie wyglądały tak smakowicie i wykwintnie.

Wokół siedzieli ludzie porządni, szacowni, dobrze i gustownie ubrani, pewnie bogaci kupcy. Starannie kroili kotleciki z usmażoną na chrupko skórką, pływające w gorącym aromatycznym tłuszczu, nieśpiesznie wkładali malutkie kąski do ust i cicho, statecznie rozmawiali, dyskutując o swoich sprawach i z rzadka rzucając na Artema uprzejme, ciekawe spojrzenia.

Było oczywiście drogo: trzeba było wyciągnąć z zapasowego magazynka całe piętnaście naboi i położyć je na szerokiej dłoni karczmarza tłuściocha, a potem żałować, że człowiek poddał się pokusie, ale tak czy owak, w brzuchu było tak przyjemnie, spokojnie i ciepło, że głos rozumu w tej błogości umilkł.

I kufel domowego piwa, delikatnego, przyjemnie szumiącego w głowie, ale niezbyt mocnego, nie to co krzepki, mętny samogon w niedomytych butelkach i słoikach, gdzie wystarczy sam zapach, żeby pod człowiekiem ugięły się nogi. Tak, to kolejne trzy naboje, ale co to są trzy żałosne naboje, kiedy dostajesz za nie czarę skrzącego się eliksiru, który zabiera cię poza ten nierzeczywisty świat i pomaga osiągnąć harmonię?

Dopijając piwo małymi łyczkami, zostawszy sam ze sobą, w ciszy i spokoju, po raz pierwszy od kilku dni, Artem spróbował odtworzyć w pamięci minione zdarzenia i zrozumieć co już osiągnął i dokąd ma teraz iść. Jeszcze jeden odcinek zaplanowanej drogi został pokonany, i znów znalazł się na rozstajach.

Jak bohater prawie zapomnianych baśni z dzieciństwa, tych odległych, kiedy nie pamięta się już nawet kto je opowiadał: czy to Suchy, czy rodzice Żeńki, czy to jego własna matka. Artem najbardziej lubił myśleć, że słyszał to od matki, i z mroku nawet jakby wyłaniała się na mgnienie oka jej twarz, i słyszał głos czytający mu z przeciągłą intonacją: „Byli sobie...”.

I oto, tak samo jak ten śmiałek z baśni, stał teraz przy kamieniu na rozstaju i rozciągały się przed nim trzy drogi: na Kuźniecki Most, na Trietiakowską i na Tagańską. Rozkoszował się pienistym napojem, jego ciałem owładnęło błogie znużenie, zupełnie nie chciało mu się myśleć, a w głowie dźwięczało mu w kółko: „Prosto pójdziesz - życie stracisz, w lewo pójdziesz - konia stracisz...”.

Mogłoby się to z pewnością ciągnąć bez końca: spokój był mu po tych wszystkich przeżyciach koniecznie potrzebny. W Kitaj-Gorodzie dobrze się było zatrzymać, rozejrzeć się, popytać miejscowych o trasy; trzeba też było spotkać się jeszcze raz z Chanem, dowiedzieć się, czy pójdzie z nim dalej, czy też ich drogi rozejdą się na tej dziwnej stacji.

Ale wyszło zupełnie nie tak, jak leniwie planował Artem, obserwując ospale mały języczek ognia tańczący w lampce na jego stoliku.

ROZDZIAŁ 8
CZWARTA RZESZA

Huknęły strzały z pistoletów, zagłuszając wesoły gwar tłumu, potem przeraźliwie krzyknęła kobieta, zaterkotał karabin maszynowy, i pulchny karczmarz z zaskakującą dla swojej postury szybkością wyciągnął spod lady krótką broń i rzucił się do wyjścia. Artem zostawił niedopite piwo i wyskoczył za nim, zarzucając plecak i odwodząc bezpiecznik, żałując przy okazji, że każą tu płacić z góry, bo można by było ulotnić się bez płacenia. Może się okazać, że osiemnaście straconych nabojów bardzo by mu się przydało.

Już z góry, ze szczytu schodów, było widać, że dzieje się coś strasznego. Żeby zejść na peron, musiał przeciskać się przez tłum oszalałych ze strachu ludzi, napierających w przeciwnym kierunku, tak że Artem zadał sobie pytanie, czy naprawdę powinien schodzić - popychała go jednak ciekawość.

Na torach rozpościerało się kilka ciał w skórzanych kurtkach, a na peronie, dokładnie pod jego nogami, w kałuży jasnoczerwonej krwi rozlewającej się maleńkimi strumyczkami, twarzą w dół leżała martwa kobieta. Pośpiesznie przestąpił przez nią, starając się nie patrzeć w dół, ale poślizgnął się i o mało nie upadł obok niej. Wokół niego panowała panika, z namiotów wyskakiwali, rozglądając się niepewnie, półnadzy ludzie. Jeden z nich zamarudził próbując trafić nogą w nogawkę spodni, ale nagle zgiął się w pół, złapał za brzuch i powoli opadł na bok.

Jednak skąd padają strzały, tego Artem nie mógł pojąć. Strzelanina trwała, z drugiego końca sali biegli krępi ludzie w skórach, rozpychając na boki piszczące kobiety i przerażonych handlarzy. Ale to nie byli napastnicy, tylko ci sami bandyci, którzy rządzili tą częścią Kitaj-Gorodu. I na całym peronie nie widać było nikogo, kto mógłby spowodować tę rzeź.

Wtedy Artem wreszcie zrozumiał, dlaczego nikogo nie widział. Atakujący ukryli się w tunelu znajdującym się tuż obok niego i stamtąd prowadzili ogień, rażąc ludzi na peronie, sami nie wychodząc na stację, widocznie obawiając się pokazać na otwartej przestrzeni.

To zmieniało postać rzeczy. Nie było już czasu na rozmyślania: tamci wejdą na peron jak tylko zrozumieją, że opór został stłumiony; od tego wejścia należało jak najszybciej uciekać. Artem rzucił się naprzód, mocno ściskając automat i oglądając się przez ramię: echo, błyskawicznie niosące huk wystrzałów pod sklepienie stacji, deformujące dźwięki i zmieniające ich kierunek, sprawiało, że nie było nawet wiadomo z którego właściwie tunelu, prawego czy lewego, prowadzony był ostrzał.

Wreszcie, kiedy odbiegł już dość daleko, zauważył ubrane w barwy ochronne postacie w czeluści lewego tunelu. Zamiast twarzy mieli coś czarnego, i Artemowi zrobiło się w środku zimno. Dopiero po paru chwilach dotarło do niego, że ci czarni, którzy oblegali WOGN, nigdy nie mieli broni ani ubrań. Napastnicy po prostu założyli maski, wiązane kominiarki w rodzaju tych, które można było kupić na dowolnym targu z bronią, a przy zakupie AK-47 nawet dostać bezpłatnie, jako bonus.

Przybyłe posiłki kałużskich rzuciły się na ziemię i też otworzyły ogień, kryjąc się za leżącymi na torach trupami jak za barykadą. Widać było jak kolbami zrywają płyty z dykty, które zastępowały przednie szyby w wagonie sztabowym, odsłaniając zamaskowane gniazdo cekaemu. Gruchnęła ciężka seria.

Podniósłszy wzrok, Artem odszukał wiszącą pośrodku holu podświetloną od wewnątrz tabliczkę z rozkładem stacji. Tamci napadli ze strony Trietiakowskiej: ta droga była odcięta. Żeby dostać się na Tagańską trzeba było wrócić przez całą stację tam, gdzie było teraz istne piekło. Został mu tylko tunel do stacji Kuźniecki Most.

Problem rozwiązał się sam. Artem zeskoczył na tory i ruszył w stronę ciemniejącego przed nim wejścia do jedynego tunelu, jaki mu pozostał. Ani Chana, ani Tuza nigdzie nie było widać. Raz tylko mignęła mu na górze sylwetka przypominająca brodatego filozofa, ale, zatrzymawszy się na moment, Artem zrozumiał, że się pomylił.

Nie był jedynym, który szukał ratunku w tunelu: ponad połowa wszystkich uciekających z peronu rzuciła się właśnie do tego wyjścia. Przejazd rozbrzmiewał przerażonymi głosami i gniewnymi krzykami, ktoś histerycznie szlochał. To tu, to tam migały światełka latarek, gdzieniegdzie majaczyły nieregularne plamy światła pochodni; każdy oświetlał sobie drogę sam.

Artem wyjął z kieszeni prezent od Chana i ścisnął rączkę. Słabe światło latareczki skierował sobie pod nogi, starając się nie potknąć, i pośpieszył naprzód, wyprzedzając małe grupki uciekinierów - czasem całe rodziny, czasem samotne kobiety, starców i młodych zdrowych mężczyzn, taszczących jakieś wory, raczej niebędące ich własnością.

Parę razy stawał, żeby pomóc się podnieść tym, którzy upadli. Przy jednym z nich zatrzymał się dłużej: oparty plecami o ożebrowaną ścianę tunelu, na ziemi siedział całkiem siwy staruszek, z grymasem bólu na twarzy, trzymając się za serce. Obok niego, beztrosko i tępo rozglądając się dookoła, stał nastoletni chłopiec, z którego zwierzęcych rysów i mętnego wzroku widać było, że nie jest zwykłym dzieckiem. Coś ścisnęło Artema za serce, kiedy ujrzał tę dziwną parę, i chociaż sam siebie popędzał i łajał za każde opóźnienie, tym razem stanął jak wryty.

Staruszek spostrzegł, że ktoś zwrócił na nich uwagę i spróbował się uśmiechnąć do Artema i coś powiedzieć, jednak zabrakło mu tchu. Skrzywił się i zamknął oczy zbierając siły, a Artem pochylił się nad nim, chcąc dosłyszeć to, co staruszek starał się mu powiedzieć.

Lecz nagle chłopiec groźnie zamuczał, i Artem nieprzyjaźnie zauważył, że kiedy szczerzy po zwierzęcemu swoje drobne żółte zęby, z ust zwisa mu nitka śliny. Nie potrafiąc przezwyciężyć napływającego wstrętu, odepchnął chłopaczka, a ten cofnął się i niezdarnie usiadł na szynie żałośnie zawodząc.

- Młody... człowieku... - zmusił się do mówienia staruszek. - Tak nie... można... To jest Wanieczka... On przecież... nie rozumie...

Artem tylko wzruszył ramionami.

- Proszę... Nitro... gliceryna... w torbie... na dnie... Jedna kapsułka... Proszę mi dać... Ja... nie mogę... sam... - bardzo już słabo wychrypiał dziadek.

Artem pogrzebał w torbie na zakupy ze skaju, pośpiesznie wymacał nowe, nienapoczęte opakowanie, rozciął paznokciem folię, ledwo złapał wyskakującą z niej kapsułkę i podał ją staruszkowi. Ten z trudem rozciągnął usta w przepraszającym uśmiechu i wycharczał:

- Nie... mogę... ręce... nie słuchają... Pod język... - poprosił i powieki znów mu opadły.

Artem z powątpiewaniem popatrzył na swoje czarne od brudu dłonie, ale usłuchał i wsadził staruszkowi śliską kapsułkę w usta. Nieznajomy słabo kiwnął głową i umilkł. Wciąż nowi i nowi uciekinierzy mijali ich pośpiesznie, lecz Artem widział przed sobą tylko niekończący się rząd butów i pantofli, ubłoconych, często dziurawych jak sito. Czasem potykały się o czarne drewno podkładów kolejowych, wtedy z góry dochodziły grube przekleństwa. Na ich trójkę nikt już nie zwracał uwagi; chłopak wciąż siedział w tym samym miejscu i głucho beczał. Obojętnie, a nawet z pewną złośliwą satysfakcją Artem zauważył, jak któryś z przechodzących solidnie przyłożył mu butem, i ten zaczął wyć jeszcze głośniej, rozmazując pięściami łzy i kiwając się na boki.

Staruszek tymczasem otworzył oczy, ciężko westchnął i wymamrotał:

- Bardzo panu dziękuję... Już mi lepiej... Pomógłby mi pan wstać?

Artem podtrzymał go za rękę, kiedy ten z wysiłkiem się podnosił, i wziął jego torbę, przez co karabin musiał przewiesić na ramię. Staruszek pokuśtykał naprzód, podszedł do chłopca i zaczął łagodnie namawiać go, by wstał. Ten muczał obrażony, a kiedy zobaczył zbliżającego się Artema, groźnie syknął i ślina znów kapnęła mu z wystającej dolnej wargi.

- Rozumie pan, przecież dopiero co kupiłem lekarstwo - wybuchnął staruszek, który doszedł już do siebie - przecież specjalnie tu po nie szedłem, taki kawał, u nas, wie pan, nie da się go dostać, nikt nie przywozi, i poprosić nie ma kogo, a akurat mi się kończyło, ostatnią tabletkę wziąłem po drodze, kiedy nie chcieli nas przepuścić na Puszkińskiej, wie pan, przecież tam są teraz faszyści, toż to prawdziwy skandal, pomyśleć tylko, na Puszkińskiej są faszyści! Słyszałem, że chcą ją nawet przemianować, czy to na Hitlerowską, czy na Schillerowską... Chociaż, oczywiście, oni nawet nie słyszeli o Schillerze, to już nasze, inteligenckie domysły. I proszę sobie wyobrazić, nie chcieli nas tamtędy przepuścić, ci młodzieńcy ze swastykami zaczęli się naśmiewać z Wanieczki, ale co ten biedny chłopiec może im odpowiedzieć przy swojej chorobie? Bardzo się zdenerwowałem, zrobiło mi się słabo na sercu, i dopiero wtedy nas puścili. O czym to ja? Ach tak! I rozumie pan, przecież specjalnie to schowałem jak najgłębiej, żeby nie znaleźli, jeśli będzie przeszukanie, jeszcze pytania będą zadawać, wie pan, mogliby to źle zrozumieć, nie każdy wie, co to za środek... A tu nagle ta strzelanina! Przebiegłem ile mogłem, jeszcze Wanieczkę musiałem ciągnąć, zobaczył lizaki i zupełnie nie chciał iść. I na początku, wie pan, tak lekko ukłuło, myślałem, że może przestanie, obejdzie się bez lekarstwa, w końcu dziś jest na wagę złota, ale potem zrozumiałem, że się nie uda. I właśnie chciałem wyciągnąć tabletkę, kiedy mnie zmogło. A Wanieczka, on przecież nic nie rozumie, ja już od dawna próbuję go nauczyć podawać mi tabletki, kiedy mi słabo, ale on nijak nie może pojąć, to sam je połyka, to ni z tego ni z owego wyciąga i mnie karmi. Mówię mu dziękuję, uśmiecham się, on też się do mnie uśmiecha, wie pan, tak radośnie, muczy wesoło, ale żeby tak w odpowiednim momencie, to jeszcze nigdy mu się nie udało. Nie daj Boże, żeby coś mi się przytrafiło: przecież nie będzie się miał kto nim zająć, nie wyobrażam sobie, co się z nim stanie!

Staruszek wciąż mówił i mówił, badawczo zaglądając Artemowi w oczy, i ten, z jakiegoś powodu, czuł się bardzo niezręcznie. Choć dziadek kuśtykał jak umiał najszybciej, Artemowi i tak wydawało się, że poruszają się zbyt wolno, i coraz mniej ludzi doganiało ich z tyłu. Najprawdopodobniej wkrótce będą ostatni. Wanieczka szedł koślawo po prawej stronie staruszka, wczepiwszy mu się w rękę; na jego twarzy znów zagościła beztroska. Od czasu do czasu wyciągał do przodu prawą rękę i z ożywieniem gulgotał, wskazując jakiś przedmiot, porzucony lub zgubiony w pośpiechu przez uciekających ze stacji, lub po prostu ciemność, która gęstniała teraz przed nimi.

- A pan, to jak się, przepraszam, nazywa, młody człowieku? Bo jak to tak, rozumie pan, rozmawiamy, a jeszcze się sobie nie przedstawiliśmy... Artem? Bardzo mi miło, jestem Michaił Porfiriewicz. Porfiriewicz, właśnie tak. Ojciec miał na imię Porfiry, wie pan, nietypowe imię, i w czasach sowieckich miał nawet w niektórych organizacjach problemy, bo wtedy to zupełnie inne imiona były w modzie: dla chłopca Władilen, dla dziewczynki Stalina... A skąd pan jest? Z WOGN-u? A my z Wanieczką z Barikadnej, kiedyś tam mieszkałem - staruszek uśmiechnął się ze smutkiem - wie pan, tam taki budynek kiedyś stał, wysoki, tuż obok metra... Chociaż pan na pewno już nie pamięta żadnych budynków... Ile pan ma, przepraszam, lat? Zresztą, wszystko to oczywiście nieważne. Miałem tam mieszkanko, dwa pokoje, dość wysoko, i cudowny widok się stamtąd roztaczał na centrum. Nieduże mieszkanko, ale bardzo, wie pan, przytulne, klepki oczywiście, dębowy parkiet, jak u wszystkich w budynku, kuchenka z palnikiem na gaz. Boże, tak sobie teraz myślę, jaka to wygoda, kuchenka gazowa, a wtedy doprowadzała mnie do szału, chciałem elektryczną, tylko ciągle nie mogłem na nią uzbierać. Jak się wchodzi, to z prawej na ścianie wisiała reprodukcja Tintoretta, w ładnej pozłacanej ramie, cóż to był za piękny obraz! Miałem

prawdziwe łóżko, z poduszkami, z prześcieradłem, wszystko było zawsze czyste, duże biurko do pracy, z taką lampką na nóżce, ze sprężynkami, jak ona jasno świeciła. A przede wszystkim, regały z książkami, pod sam sufit. Po ojcu odziedziczyłem dużą bibliotekę, a i sam kolekcjonowałem, ze względu na pracę i zainteresowania. Ach, ale po co ja panu to wszystko opowiadam, pana na pewno nie interesują te bzdury starca... A ja, proszę, do tej pory wspominam, rozumie pan, bardzo mi tego wszystkiego brakuje, szczególnie biurka i książek, a ostatnimi czasy jakoś coraz bardziej tęsknię za tapczanem. Tutaj sobie człowiek nie dogodzi, my tam mamy takie drewniane koje, wie pan, własnej roboty, a innym razem trzeba i wprost na ziemi spać, na jakichś szmatach. Ale to nic, najważniejsze jest tutaj - wskazał na swoją pierś - najważniejsze jest to, co się dzieje w środku, a nie na zewnątrz. Najważniejsze to w sercu być tym samym człowiekiem, nie upaść, a okoliczności - czort, za przeproszeniem, z okolicznościami! Ale z tym łóżkiem, to, wie pan, jakoś naprawdę...

Nie milkł ani na chwilę, i Artem słuchał wszystkiego z żywym zainteresowaniem, chociaż nijak nie mógł sobie wyobrazić, jak to jest mieszkać w wysokim budynku i jak to jest, kiedy z okna rozpościera się widok, albo kiedy na górę można się dostać w kilka sekund, bo wjeżdża się nawet nie schodami ruchomymi, a windą.

Kiedy Michaił Porfiriewicz umilkł na chwilę, żeby złapać oddech, Artem postanowił skorzystać z pauzy, żeby skierować rozmowę z powrotem na odpowiednie tory. Tak, czy inaczej, trzeba było iść przez Puszkińską (czy może już Hitlerowską?), przesiąść się na Czechowską, a stamtąd dostać się do tajemniczej Polis.

- Czy na Puszkińskiej są prawdziwi faszyści? - wtrącił.

- Co pan mówi? Faszyści? Ach, tak... - westchnął skonfundowany staruszek. - Tak, tak, wie pan, tacy ogoleni na zero, na rękawach opaski, coś strasznego. Nad wejściem i wszędzie na stacji wiszą znaki, wie pan, co to kiedyś się oznaczało, że przejścia nie ma: czarna figurka w czerwonym kółku przekreślona ukośną linią. Myślałem, że to jakaś pomyłka, dziwnie dużo wszędzie tych znaków, i nierozważnie o to zapytałem. Okazuje się, że to ich nowy symbol. Oznacza, że czarnym wstęp wzbroniony, czy że zabrania im się w ogóle istnieć, jakiś taki idiotyzm.

Artem wzdrygnął się przy słowie „czarni". Skierował na Michaiła Porfiriewicza przestraszony wzrok i spytał ostrożnie:

- To znaczy, że tam są czarni? Czyżby i tutaj dotarli? - A w głowie rozgorączkowane, paniczne myśli kręciły się jak karuzela; jak to, przecież był w drodze niecały tydzień, a WOGN już padł, czarni atakują już Puszkińską i jego misja jest zaprzepaszczona? Nie udało mu się, nie dał rady? Wszystko to było na próżno? Nie, to niemożliwe, na pewno chodziłyby o tym słuchy, choćby deformujące skalę zagrożenia, ale jednak na pewno coś by się mówiło... A jeśli? To wtedy koniec z nimi wszystkimi...

Michaił Porfiriewicz spojrzał na niego z niepokojem, oddalił się niezauważalnie o krok w prawo i ostrożnie zapytał:

- A pan, przepraszam, to jaką ideologię wyznaje?

- W sumie to żadnej nie wyznaję - zawahał się Artem. - A co?

- A jak pan się odnosi do innych narodowości, na przykład z Kaukazu?

- A co ma do rzeczy Kaukaz? - nie rozumiał Artem. - Tak w ogóle, to nie najlepiej się orientuję w narodowościach. No, byli Francuzi, czy tam Niemcy, Amerykanie też. Ale już ich chyba nie ma... A tych z Kaukazu, to szczerze mówiąc w ogóle nie znam - przyznał niezręcznie.

- Oni właśnie mieszkańców Kaukazu nazywają czarnymi - wyjaśnił Michaił Porfiriewicz, cały czas próbując zrozumieć, czy Artem aby go nie oszukuje i nie rżnie grupa.

- Ale przecież to są, jeśli dobrze rozumiem, normalni ludzie? - uściślił Artem. - Dopiero co kilku dziś widziałem...

- Oczywiście, że normalni! - potwierdził uspokojony Michaił Porfiriewicz. - Zupełnie zwyczajni ludzie, ale te łyse pałki uznały, że czymś się od nich różnią, i ich prześladują. To po prostu nieludzkie! Wyobraża pan sobie, mają tam pod sufitem, prosto nad torami, wbite haki, i na jednym z nich wisiał człowiek, najprawdziwszy człowiek. Wanieczka tak się podekscytował, zaczął pokazywać na niego palcem, mucczeć, więc ci bestialcy zwrócili na niego uwagę.

Na dźwięk swojego imienia chłopiec odwrócił się i wlepił w staruszka mętne spojrzenie. Artemowi wydało się, że słucha i nawet częściowo rozumie o czym rozmawiają, ale jego imię już się nie pojawiło, i szybko stracił zainteresowanie Michaiłem Porfiriewiczem, przenosząc swoją uwagę na szyny, wzdłuż których szli.

- A kiedy już mówimy o narodach, tamci, wszystko na to wskazuje, bardzo szanują Niemców. W końcu to Niemcy stworzyli ich ideologię, ale pan to na pewno wie, co ja będę opowiadał - dodał szybko Michaił Porfiriewicz, i Artem wieloznacznie kiwnął głową, chociaż tak naprawdę wcale niczego nie wiedział, po prostu nie chciał wyjść na nieuka. - Wie pan, wszędzie tam wiszą niemieckie orły, swastyki, rozumie się, jakieś sentencje po niemiecku, cytaty z Hitlera: o waleczności, o dumie, wszystko w takim duchu. Mają tam jakieś parady, marsze. Kiedy tam staliśmy i próbowałem ich przekonać, żeby nie męczyli Wanieczki, przez peron ciągle ktoś maszerował i śpiewał jakieś pieśni. Coś tam o wielkości ducha i pogardzie dla śmierci. Ale tak w ogóle, wie pan, język niemiecki to sobie słusznie wybrali. Jest wprost stworzony do takich rzeczy. Widzi pan, ja trochę mówię po niemiecku... Proszę spojrzeć, mam to gdzieś zapisane... Zwalniając kroku wyciągnął z zanadrza kurtki zatłuszczony notatnik. - Proszę momencik poczekać i poświecić mi z łaski swojej... Gdzie to było? Ach, jest!

W żółtej plamie światła Artem ujrzał skaczące mu przed oczami łacińskie litery, starannie wykaligrafowane na kartce z notesu, a nawet troskliwie otoczone wzruszająco ozdobioną ramką:

Du stirbst. Besitz stirbt.
Die Sippen sterben.
Der einzig lebt - wir wissen es
Der Toten Tatenruhm.

Artem znał alfabet łaciński, nauczył się z jakiegoś przedpotopowego podręcznika szkolnego, odkopanego w bibliotece na stacji. Obejrzał się za siebie z niepokojem i poświecił na notes jeszcze raz. Oczywiście nie udało mu się niczego zrozumieć.

- Co to? - spytał, znów ciągnąc za sobą Michaiła Porfiriewicza, który pośpiesznie wepchnął sobie notes do kieszonki i próbował ruszyć z miejsca Wanieczkę, który akurat czemuś się zaparł i zaczął z niezadowoleniem porykiwać.

- To wiersz - nieco, jak wydało się Artemowi, urażonym tonem odparł staruszek. - Ku czci poległych wojowników. Nie podejmuję się, oczywiście, dokładnego przekładu, ale brzmi to mniej więcej tak: „Umrzesz ty. Umrą wszyscy bliscy twoi. Potęgi upadną. Jedno tylko żyć będzie przez wieki - poległych wojenna chwała". Ale jak to jednak słabiutko brzmi po rosyjsku, co? A po niemiecku po prostu grzmi! „Der Toten Tatenruhm!" Aż ciarki chodzą po plecach! Tak... - zająknął się nagle, wstydząc się widocznie swojego zachwytu.

Jakiś czas szli w milczeniu. Artemowi zdawało się to głupie i irytujące, że z pewnością byli już ostatni, i nie wiadomo było, co dzieje się za ich plecami, a tu nagle zatrzymują się na środku tunelu, żeby przeczytać jakiś wiersz. Ale wbrew swej woli wciąż miał w uszach ostatnie wersy, i nie wiedzieć czemu przypomniał mu się nagle Witalik, z którym był wtedy na stacji Ogród Botaniczny. Witalik Maruda, którego zastrzelili rabusie próbujący przebić się na stację południowym tunelem. Ten tunel zawsze był uważany za bezpieczny, dlatego to właśnie Witalika tam postawili, w końcu miał tylko osiemnaście lat, a Artem akurat kończył wtedy szesnaście. Tego wieczora umawiali się jeszcze, żeby iść do

Żeńki, znajomy straganiarz właśnie przywiózł mu nowego kwasa, jakiegoś specjalnego... Prosto w głowę go trafili, i na środku czoła miał tylko taką malutką dziurkę, czarną, a z tyłu rozerwało mu pół potylicy. I już. „Umrzesz ty...” Z jakiegoś powodu bardzo wyraźnie przypomniał sobie nagle rozmowę Huntera z Suchym, kiedy ojczym powiedział: „A nuż nic tam nie ma?”. Umrzesz i nie będzie żadnej kontynuacji. To wszystko. Nic nie zostanie. Ktoś, oczywiście, jeszcze będzie potem pamiętał, ale niedługo. „Umrą też bliscy twoi”, czy jak to było? Artema przeszedł prawdziwy dreszcz. Kiedy Michaił Porfiriewicz wreszcie przerwał ciszę, nawet go to ucieszyło.

- A panu przypadkiem z nami nie po drodze? Tylko do Puszkińskiej? Czy może zamierza pan tam wyjść? To znaczy, na peron? Bardzo to panu, panie Artemie, odradzam. Nie wyobraża pan sobie, co tam się dzieje. Może poszedłby pan z nami, do Barikadnej? Tak przyjemnie by było z panem podyskutować!

Artemowi znów przyszło w nieokreślony sposób kiwać głową i mruczeć coś niezrozumiale: nie mógł przecież wygadać pierwszemu napotkanemu człowiekowi, nawet temu niegroźnemu staruszkowi, o celu swojej wyprawy Michaił Porfiriewicz, nie słysząc żadnego potwierdzenia, znów zamilkł.

Przez dłuższy czas szli w ciszy, a za nimi wszystko zdawało się być w porządku, tak że Artem wreszcie się rozluźnił. Wkrótce w oddali błysnęły ogniki, najpierw słabo, ale potem coraz jaśniej. Zbliżali się do stacji Kuźniecki Most.

O tutejszych porządkach Artem nie wiedział nic, dlatego na wszelki wypadek postanowił usunąć swoją broń z widoku. Zawinąwszy karabin w podkoszulek, wcisnął go jak najgłębiej do plecaka.

Kuźniecki Most był zamieszkałą stacją i jakieś pięćdziesiąt metrów przed wejściem na peron, pośrodku torów, stał całkiem porządny posterunek, fakt, że tylko jeden, za to z reflektorem, w tym momencie dla wygody zgaszonym, i umocnionym stanowiskiem cekaemu. Karabin był nakryty pokrowcem, ale siedział przy nim otyły mężczyzna w wytartym zielonym mundurze i jadł jakąś breję z obtłuczonej żołnierskiej miski. Dwaj pozostali, w podobnych uniformach, z nieporęcznymi wojskowymi automatami przewieszonymi przez ramię, pedantycznie sprawdzali dokumenty wychodzącym z tunelu. Stała przed nimi krótka kolejka: wszyscy uciekinierzy z Kitaj-Gorodu, którzy wyprzedzili Artema, kiedy ten wlókł się z Michaiłem Porfiriewiczem i Wanieczką.

Wpuszczali powoli i niechętnie, jakiemuś chłopakowi w ogóle odmówili wstępu, i stał teraz z boku w rozterce, nie wiedząc co ma robić i od czasu do czasu próbując zbliżyć się do sprawdzającego, który za każdym razem go odpychał i wołał następnego w kolejce. Każdego z przechodzących dokładnie rewidowano, i na ich oczach znaleźli u jakiegoś mężczyzny niezadeklarowany pistolet makarowa, natychmiast wypchnęli go z kolejki, a kiedy próbował dyskutować, związali go i gdzieś zabrali.

Artem poruszył się niespokojnie przeczuwając nieprzyjemności. Michaił Porfiriewicz spojrzał na niego ze zdziwieniem, Artem szepnął mu do ucha, że też ma broń, ale staruszek tylko uspokajająco kiwnął głową i obiecał, że wszystko będzie w porządku. Nie to, żeby Artem mu nie uwierzył, jednak bardzo był ciekaw, jak konkretnie zamierza załatwić tę sprawę. A dziadek tylko tajemniczo się uśmiechał.

Tymczasem powoli nadchodziła ich kolej, i pogranicznicy właśnie przetrząsali plastikową walizkę jakiejś nieszczęsnej kobiety około pięćdziesiątki, która natychmiast zaczęła lamentować, nazywać celników potworami i dziwić się, że ich do tej pory ziemia nosi. Artem po cichu przyznał jej rację, ale postanowił nie wyrażać swojej solidarności na głos. Pogrzebawszy jak trzeba w jej rzeczach, strażnik z gwizdem zadowolenia wyciągnął ze sterty brudnej bielizny kilka granatów przeciwpiechotnych i przygotował się na wysłuchiwanie wyjaśnień.

Artem był pewny, że kobieta opowie zaraz wzruszającą historię o wnuku, któremu to dziwo jest potrzebne do pracy: rozumie pan, on jest z zawodu spawaczem i to są jakieś części do jego spawalnicy; albo że zacznie opowiadać, jak to znalazła te granaty po drodze i od razu pośpieszyła oddać je w kompetentne ręce. Ale ta, oddalając się na kilka kroków, syknęła przekleństwo i rzuciła się z powrotem do tunelu, by jak najszybciej ukryć się w mroku. Strzelec odstawił na bok miskę i chwycił za broń, ale jeden z pograniczników, najwidoczniej dowódca, powstrzymał go ruchem dłoni. Tamten westchnął rozczarowany i wrócił do jedzenia, zaś Michaił Porfiriewicz zrobił krok do przodu trzymając w gotowości swój paszport.

Co zadziwiające, dowódca straży, który dopiero co bez skrupułów przetrząsnął całą torbę wydawałoby się zupełnie niegroźnej kobiety, szybko przekartkował książeczkę staruszka, a na Wanieczkę wcale nie zwrócił uwagi, jakby go w ogóle nie było. Przyszła kolej na Artema. Ten bez ociągania wręczył swoje dokumenty chuderlawemu, wąsatemu strażnikowi, który zaczął skrupulatnie przeglądać każdą stroniczkę, szczególnie długo zatrzymując światło latarki na stronach z pieczątkami. Pogranicznik przynajmniej pięć razy przenosił wzrok z fizjonomii Artema na fotografię, mrucząc z powątpiewaniem, kiedy Artem z przyjaznym uśmiechem starał się wyglądać jak uosobienie niewinności.

- Dlaczego paszport jest sowieckiego wzoru? - spytał wreszcie surowo strażnik, nie wiedząc, do czego by tu się jeszcze przyczepić.

- Ależ ja byłem mały, kiedy jeszcze były prawdziwe. A potem już nasza administracja mi wypisała na pierwszym lepszym - wyjaśnił Artem.

- Nieporządek tam macie - spochmurniał wąsaty. - Proszę otworzyć plecak.

Jeśli znajdzie karabin, w najlepszym wypadku będzie trzeba iść z powrotem, a mogą też go skonfiskować, pomyślał Artem, ocierając z czoła zdradzający go pot.

Michaił Porfiriewicz podszedł do pogranicznika na niedozwoloną odległość i szepnął mu pośpiesznie:

- Konstantinie Aleksiejewiczu, niech pan zrozumie, że ten młody człowiek to mój znajomy. Bardzo, bardzo porządny chłopiec, ręczę za niego osobiście.

Pogranicznik, otwierając torbę Artema i wkładając do niej rękę, od czego Artemowi zrobiło się zimno, sucho powiedział:

- Pięć - i kiedy Artem próbował się domyślić, o co mu chodzi, Michaił Porfiriewicz wyciągnął z kieszeni garść nabojów, szybko odliczył pięć sztuk i wsunął je do na wpół otwartego chlebaka, który wisiał strażnikowi na ramieniu.

Lecz w tym momencie ręka Konstantina Aleksiejewicza, kontynuując swoją podróż po plecaku Artema najwyraźniej natknęła się na coś strasznego, bo jego twarz znów przybrała wyraz zainteresowania.

Artem poczuł, jak serce spada mu w otchłań, i zamknął oczy.

- Piętnaście - beznamiętnie rzekł wąsaty.

Artem kiwnął głową, odliczył jeszcze dziesięć nabojów i wsypał je do tejże torby. Ani jeden muskuł nie drgnął na twarzy pogranicznika. Po prostu zrobił krok na bok, i droga na Kuźniecki Most była wolna. Podziwiając żelazne panowanie nad sobą tego człowieka, Artem ruszył naprzód.

Kolejne piętnaście minut zeszły na przepychankach z Michaiłem Porfiriewiczem, który uparcie odmawiał wzięcia od Artema pięciu nabojów, zapewniając go, że jego dług jest o wiele większy, i tak dalej w tym duchu.

Kuźniecki Most nie różnił się niczym szczególnym od większości pozostałych stacji, które Artem miał okazję odwiedzić podczas swojej podróży. Wciąż ten sam marmur na ścianach i granitowa posadzka, jedynie arkady były tu wyjątkowe, wysokie i szerokie, co dawało wrażenie wyjątkowo dużej przestrzeni.

Ale najbardziej zadziwiające było co innego: na obu torach stały całe pociągi - niewiarygodnie długie, tak ogromne, że zajmowały prawie całą długość stacji. Z okien płynęło ciepłe światło, przebijając się przez swojskie wielobarwne zasłonki, a drzwi gościnnie stały otworem...

W świadomym życiu Artem ani razu nie miał okazji widzieć niczego podobnego. Tak, zostały na wpół zatarte wspomnienia pędzących z hukiem pociągów ze świetlistymi kwadratami okien, wspomnienia z wczesnego dzieciństwa, ale były one niewyraźne, niedokładne, ulotne, jak i inne myśli o tym, co było wcześniej: człowiek tylko spróbuje wyobrazić coś sobie szczegółowo, odtworzyć w pamięci detale, kiedy nieuchwytny obraz zaciera się, wycieka jak woda przez palce, i przed oczami nie zostaje nic... A kiedy podrósł, widział tylko pociąg, który utkwił w wyjeździe z tunelu na Ryżskiej, czy rozwalone wagony w Kitaj-Gorodzie i Prospekcie Mira.

Artem zastygł w miejscu, patrząc oczarowany na pociągi, licząc wagony niknące w mroku na przeciwległym krańcu peronu, przy przejściu na Linię Czerwoną. Wycięta z ciemności ostrym kręgiem elektrycznego światła, z sufitu zwisała tam karmazynowa flaga, a pod nią nieruchomo stało na posterunku dwóch ludzi z automatami, w jednakowych zielonych mundurach i kaszkietach. Z daleka wydawali się malutcy i śmieszni, przypominali dziecinne żołnierzyki.

Artem miał takie trzy, kiedyś jeszcze, kiedy mieszkał z mamą: jeden - dowódca, z wyciągniętym z kabury maciupeńkim pistoletem, krzyczał coś odwracając się do tyłu, najprawdopodobniej wzywał swój oddział do walki. Dwóch pozostałych stało równo, przyciskając do piersi automaty. Żołnierzyki były z pewnością z różnych zestawów, i nijak nie dało się nimi bawić: dowódca rwał się do ataku, a jego bohaterscy żołnierze zamarli na posterunku, zupełnie jak pogranicznicy Linii Czerwonej, i bitwa wcale ich nie interesowała. Dziwne, te żołnierzyki pamiętał bardzo dobrze, a twarzy matki jakoś nijak nie mógł sobie przypomnieć...

Kuźniecki Most był utrzymany we względnym porządku. Światło, podobnie jak na WOGN-ie, było tu awaryjne, wzdłuż sklepienia ciągnęła się jakaś tajemnicza żelazna konstrukcja, która może kiedyś oświetlała peron. Oprócz pociągu, na stacji nie było zupełnie nic godnego uwagi.

- Tyle się nasłuchałem, że w metrze jest wiele poruszająco pięknych stacji, a gdzie nie popatrzysz, wszystkie są niemal jednakowe - Artem podzielił się swoim rozczarowaniem z Michaiłem Porfiriewiczem.

- Ależ co pan, młody człowieku! Są tu i tak piękne, że by pan nie uwierzył! Weźmy na przykład Komsomolską na Okrężnej, toż to prawdziwy pałac! - zaczął go gorąco przekonywać staruszek. - Jest tam takie ogromne panneau, wie pan, na sklepieniu. Co prawda z Leninem i innymi banialukami... Oj, co też ja mówię - obejrzał się szybko i szeptem wyjaśnił Artemowi: - Na stacji jest pełno szpicli, agentów z Linii Sokolniczeskiej, to jest Czerwonej, proszę wybaczyć, że tak ją po staremu nazywam... Tak że trzeba tu ciszej rozmawiać. Miejscowe władze są niby niezależne, ale konfliktu z czerwonymi nie chcą, i dlatego, jeśli tamci zażądają wydania kogoś, to mogą go i wydać. Nie mówiąc już o zabójstwach - dodał ledwo już słyszalnie i bojaźliwie rozejrzał się dookoła. - Chodźmy może poszukać jakiegoś miejsca, żeby odpocząć, szczerze mówiąc strasznie się zmęczyłem, a i pan, jak mi się wydaje, ledwo się trzyma na nogach. Przenocujemy tu, a potem ruszymy dalej.

Artem przytaknął: ten dzień rzeczywiście okazał się niemożliwie długi i intensywny, i odpoczynek był mu po prostu niezbędny.

Wzdychając zazdrośnie i nie zdejmując wzroku z pociągu, Artem podążał w ślad za Michaiłem Porfiriewiczem. Z wagonów dochodziły czyjeś wesołe śmiechy i rozmowy, w drzwiach, obok których przechodzili, stali zmęczeni po całym dniu pracy mężczyźni, palący

z sąsiadami papierosy i żywo dyskutujący o wydarzeniach minionego dnia. Zebrawszy się przy stoliku, starsi ludzie pili herbatę pod maleńką lampką zwisającą z kosmatego kabla, dookoła szalały dzieci. To wszystko też było dla Artema niezwykłe: na WOGN-ie sytuacja zawsze była bardzo napięta, ludzie cały czas byli gotowi na wszystko. Tak, zbierali się wieczorkiem, by z przyjaciółmi posiedzieć cichutko u kogoś w namiocie, ale nie było nigdy tak, żeby wszystkie drzwi były otwarte na oścież, wszystko było na widoku, żeby przychodzić tak w gości bez zapowiedzi, dzieci wszędzie... Aż za duży dobrobyt panował na tej stacji.

- A z czego tu ludzie żyją? - nie wytrzymał Artem, doganiając dziadka.

- Jak to, to pan nie wie? - zdziwił się łagodnie Michaił Porfiriewicz. - Przecież to Kuźniecki Most! Są tu najlepsi technicy w metrze, wielkie warsztaty. Przywożą im tu sprzęt do naprawy z Sokolniczeskiej, a nawet z Okrężnej. Kwitnąca stacja, kwitnąca. Tutaj to by się żyło! - westchnął rozmarzony. - Ale ciężko to załatwić...

Nadzieje Artema, że im też uda się pospać w wagonach, na siedzeniach, były płonne. Pośrodku holu stał rząd dużych namiotów, w rodzaju tych, w których mieszkali na WOGN-ie, i na najbliższym z nich widniał porządny, namalowany od szablonu napis: HOTEL. W pobliżu ustawiła się kolejka złożona z uchodźców, ale Michaił Porfiriewicz poprosił kierownika na stronę, brzęknął mosiądzem, szepnął parę czarodziejskich słów zaczynających się na „Konstantin Aleksiejewicz", i problem został rozwiązany.

- To tutaj - pokazał zapraszającym gestem, a Wanieczka radośnie zagulgotał.

Podawano tu nawet herbatę, i nie trzeba za nią nic dopłacać, a materace na ziemi były tak miękkie, że kiedy człowiek się na nich położył, strasznie nie chciało się już wstawać. Półleżąc, Artem delikatnie dmuchał na kubek z wywarem i uważnie słuchał staruszka, który z płonącymi oczami, zapomniawszy o swojej herbacie, opowiadał:

- Oni jednak nie mają władzy nad całą linią. O tym, prawda, nikt nie mówi, i czerwoni nigdy się do tego nie przyznają, ale Uniwersytetu nie kontrolują, i wszystkich dalszych stacji też nie! Tak, tak, Linia Czerwona ciągnie się tylko do Sportiwnej. Za Sportiwną, wie pan, zaczyna się długi tunel, dawno temu była tam stacja Leninskie Gory, potem ją przemianowali, ale ja już tak z przyzwyczajenia... I akurat za Leninskimi Gorami, gdzie tory wyjeżdżają na powierzchnię, był most. I, rozumie pan, po wybuchu zaczął się rozpadać, aż kiedyś zawalił się do rzeki, tak że z Uniwersytetem nie było kontaktu prawie od samego początku...

Artem pociągnął łyczek napoju i poczuł jak w środku wszystko mu przyjemnie zamiera w oczekiwaniu na coś tajemniczego, niezwykłego, co zaczynało się za sterczącymi nad przepaścią szynami urwanej Linii Czerwonej daleko na południowym zachodzie. Wanieczka zawzięcie obgryzał paznokcie, przerywając tylko, żeby z zadowoleniem przyjrzeć się owocom swojej pracy, a potem znów brał się do roboty Artem spojrzał na niego prawie z sympatią i poczuł wdzięczność do dzieciaka, że jest grzeczny i milczy.

- Wie pan, mamy u siebie na Barikadnej taki mały klub dyskusyjny - z zawstydzonym uśmiechem wyznał Michaił Porfiriewicz - zbieramy się wieczorami, czasem przychodzą do nas ludzie z Ulicy 1905 Roku, a teraz z Puszkińskiej wygnali wszystkich inaczej myślących, i Anton Pietrewicz się do nas przeniósł... To nic takiego, oczywiście, zwykłe pogaduszki o literaturze, no, czasem o polityce porozmawiamy, i właśnie... Tam u nas, na Barikadnej, wie pan, wykształconych ludzi, też nie bardzo lubią, czego to tam się można nasłuchać: a że zawszona inteligencja, a to, że piąta kolumna... Tak że my tam po cichutku się spotykamy. Ale właśnie Jakow Josipowicz mówił, że ponoć Uniwersytet nie zginął. Że udało im się zablokować tunele, i teraz wciąż jeszcze są tam ludzie. Nie po prostu jacyś ludzie, a... Rozumie pan, tam kiedyś był Moskiewski Uniwersytet Państwowy, to po nim ta stacja się tak nazywa. I podobno części profesury udało się uratować, i studentom też. W końcu pod Uniwersytetem mieściły się ogromne schrony, zbudowane jeszcze za czasów

Stalina, według mnie miały własne połączenie z metrem. I teraz utworzyło się tam takie intelektualne centrum, wie pan... Ale to pewnie tylko legendy. I że wykształceni ludzie są tam u władzy, wszystkimi trzema stacjami i schronami rządzi rektor, a na czele każdej stacji stoi dziekan, a wszystkich wybierają na określoną kadencję. I rozwija się tam też nauka - w końcu są tam studenci, rozumie pan, doktoranci, wykładowcy! I kultura nie umiera, nie to, co u nas, i piszą tam coś, i nie zapominają o naszym dziedzictwie... A Anton Pietrewicz mówił nawet, że pewien znajomy inżynier przekazał mu w tajemnicy, że jakoby oni tam wynaleźli sposób na wychodzenie na powierzchnię, sami stworzyli kombinezony ochronne, i ich ekspedycje czasem pojawiają się w metrze... Zgodzi się pan, że brzmi to nieprawdopodobnie?! - na wpół pytającym tonem dodał Michaił Porfiriewicz, zaglądając w oczy Artemowi, który ujrzał w jego spojrzeniu tyle jakiejś tęsknoty, tyle nieśmiałej, zmęczonej nadziei, że lekko odkaszlnął i odparł z możliwie największym przekonaniem:

- Dlaczego? Brzmi zupełnie realnie! Jest przecież na przykład Polis. Słyszałem, że tam też...

- Tak, Polis to cudowne miejsce, tylko jak tam się teraz dostać? Do tego mówiono mi, że w Radzie władzę znów przejęli wojskowi...

- W jakiej Radzie? - podniósł brwi Artem.

- No, jak to? Polis jest rządzona przez Radę złożoną z ludzi z największym autorytetem. A tam, wie pan, największy autorytet mają albo bibliotekarze, albo wojskowi. No, o Bibliotece to pan na pewno wszystko wie, nie ma sensu o niej opowiadać, ale drugie wejście do Polis znajdowało się kiedyś w samym budynku Ministerstwa Obrony, jeśli dobrze pamiętam, albo w każdym razie gdzieś niedaleko, i części generalicji udało się wtedy ewakuować. Na samym początku władzę przejęli wojskowi, w Polis dość długo panowała taka, wie pan, junta. Ale ludziom jakoś nie bardzo się podobały te ich rządy, były zamieszki, dosyć krwawe, ale to było dawno, na długo przed wojną z czerwonymi. Wtedy poszli na ustępstwa, i utworzono właśnie tę Radę. I tak się złożyło, że powstały w niej dwie frakcje: bibliotekarze i wojskowi. Dziwne to, oczywiście, połączenie. Wie pan, wątpię, żeby ci wojskowi w swoim dotychczasowym życiu spotkali wielu żywych bibliotekarzy. A tu tak się złożyło. I między tymi frakcjami są, rzecz jasna, wieczne kłótnie: to jedni biorą górę, to drudzy. Kiedy była wojna z czerwonymi, obrona była ważniejsza niż kultura i przewaga była po stronie generałów. Zaczął się pokój: bibliotekarze odzyskali wpływy. I tak tam u nich jest, rozumie pan, jak wahadło. Teraz przypadkiem usłyszałem, że to wojskowi mają silniejszą pozycję, i znów wprowadzają dyscyplinę, wie pan, godzinę policyjną i inne radości życia - uśmiechnął się lekko Michaił Porfiriewicz. - Dotrzeć tam jest teraz równie trudno jak do Szmaragdowego Grodu... My tak między sobą nazywamy Uniwersytet, i te stacje obok niego, dla żartu... Bo przecież trzeba iść albo przez Linię Czerwoną, albo przez Hanzę, ale tamtędy się nie da tak po prostu przejść, sam pan rozumie. Kiedyś, zanim nastali faszyści, można było iść przez Puszkińską na Czechowską, a tam do Borowickiej jest jedna stacja. Nieprzyjemny jest wprawdzie ten tunel, ale kiedy byłem młodszy, to zdarzało się, że tamtędy chadzałem.

Artem nie omieszkał zainteresować się, co takiego nieprzyjemnego było we wspomnianym tunelu, i staruszek niechętnie odpowiedział:

- Rozumie pan, tam wprost pośrodku tunelu stoi pociąg, spalony. Dawno już tam nie byłem, nie wiem jak jest teraz, ale kiedyś leżały w nim i siedziały na ławkach zwęglone ludzkie ciała... Coś strasznego. Sam nie wiem, jak to się stało, i znajomych pytałem, co tam się wydarzyło, ale nikt nie potrafił mi tego wyjaśnić. Przez ten pociąg bardzo ciężko przejść, a obejść go nijak nie można, bo tunel zaczął się osypywać, i wszystko wokół wagonów jest zawalone ziemią. A w samym pociągu, to jest w wagonach, dzieją się różne straszne rzeczy, których nie podejmuję się wyjaśnić, bo tak w ogóle to jestem ateistą, wie pan, i we

wszystkie te mistyczne bzdury nie wierzę, dlatego wtedy obwiniałem o to szczury, różne stwory... A teraz już niczego nie jestem pewny.

Te słowa nastroiły Artema na mroczne wspomnienia o szumie w tunelach na jego linii, i wreszcie nie wytrzymał i opowiedział o tym, co stało się z jego oddziałem, a potem z Burbonem i, zawahawszy się jeszcze przez chwilę, spróbował powtórzyć wyjaśnienie zaproponowane przez Chana.

- Ależ co pan, co pan, toż to kompletne brednie! - machnął ręką Michaił Porfiriewicz, surowo marszcząc brwi. - Słyszałem już o takich rzeczach. Pamięta pan, jak panu mówiłem o Jakowie Josipowiczu? A więc, on jest fizykiem i wyjaśniał mi, że takie zakłócenia psychiki są możliwe, kiedy ludzi poddaje się działaniu dźwięku o bardzo niskich, niesłyszalnych dla ludzi, częstotliwościach, jeśli się nie mylę, około siedmiu herców, chociaż z moją dziurawą pamięcią... A dźwięk może się tworzyć sam z siebie, z powodu naturalnych procesów, na przykład ruchów tektonicznych, czy czegoś takiego, ja wtedy, rozumie pan, nie słuchałem zbyt uważnie... Ale żeby dusze zmarłych? I to w rurach? Pozwoli pan...

Z tym staruszkiem bardzo interesująco mijał czas. O wszystkim, o czym opowiadał, Artem od nikogo wcześniej nie słyszał, a i na metro patrzył z jakiejś innej perspektywy, staroświeckiej, zabawnej, i wciąż najwidoczniej ciągnęło go na górę, zaś tutaj było mu ciągle tak nieswojo, jak w pierwszych dniach. I Artem, który często wspominał spór Suchego i Huntera, zapytał go:

- A jak pan myśli... Czy my... to znaczy, ludzie... Czy my jeszcze tam wrócimy? Na górę? Uda nam się przeżyć i wrócić?

I natychmiast pożałował, że zadał to pytanie, gdyż jakby podcięło ono staruszkowi skrzydła: zgarbił się i cicho, przeciągłym głosem, w którym nie było życia, odparł:

- Nie wydaje mi się. Nie wydaje mi się.

- Ale było też metro w innych miastach, tak słyszałem, w Petersburgu i w Mińsku, i w Nowogrodzie - wymieniał Artem wyuczone na pamięć nazwy, które od zawsze były dla niego pustą skorupą, łupiną, która nigdy nie kryła w sobie sensu.

- Ach, Pitier, jakież to było piękne miasto! - nie odpowiadając, tęsknie westchnął Michaił Porfiriewicz. - Rozumie pan, Sobór Izaaka... A Admiralicja, ta iglica... Cóż za gracja, jaki wdzięk! A wieczorami na Newskim Prospekcie: ludzie, gwar tłumu, śmiech, dzieci jedzą lody, młode dziewczyny, takie smukłe... Słychać muzykę... Szczególnie latem, tam rzadko jest ładna pogoda w lecie: tak, żeby było słońce i czyste niebo, ale kiedy już jest... I tak, wie pan, lekko się oddycha...

Jego oczy zatrzymały się na Artemie, ale wzrok szedł dalej i rozpływał się w złudnej dali, gdzie z półprzejrzystej porannej mgiełki wyłaniały się ogromne sylwetki dawno już obróconych w pył gmachów, i Artemowi wydało się, że zaraz obejrzy się przez ramię i przed nim też pojawi się ten zachwycający obraz. Staruszek zamilkł i ciężko westchnął, a Artem nie chciał już go wciągać we wspomnienia.

- Tak, rzeczywiście były też i inne sieci metra poza moskiewskim. Może gdzieś jeszcze jacyś ludzie się uratowali... Ale proszę pomyśleć, młody człowieku! - Michaił Porfiriewicz podniósł w górę żylasty palec. - W końcu tyle lat minęło, i nic. Ani widu, ani słychu. Czyżby przez tyle lat nas nie znaleźli, jeśli miałby kto szukać? Nie - opuścił głowę - nie wydaje mi się...

A potem, po jakichś pięciu minutach milczenia, prawie niesłyszalnie, mówiąc raczej do siebie niż do Artema, westchnął:

- Boże, jaki piękny świat zniszczyliśmy...

W namiocie zapada ciężka cisza. Wanieczka, utulony ich cichą rozmową, spał z otwartymi ustami i lekko pochrapywał, z rzadka tylko zaczynając skomleć jak pies. Michał

Porfiriewicz nie rzekł więcej ani słowa, i choć Artem był pewny, że jeszcze nie śpi, postanowił go nie niepokoić, tylko zamknął oczy i próbował zasnąć.

Myślał, że po tym wszystkim, co mu się przytrafiło w tym niemającym końca dniu, sen przyjdzie natychmiast, ale czas ciągnął się powolutku, materac, który niedawno wydawał się miękki, uciskał mu bok, i przyszło mu się sporo powiercić, nim wreszcie znalazł wygodną pozycję. A w uszach wciąż huczały mu ostatnie, smutne słowa staruszka. Nie. Nie wydaje mi się. Nie wrócą już rozświetlone bulwary, wspaniałe dzieła architektury, lekka, odświeżająca bryza w letni ciepły wieczór, mierzwiąca włosy i głaszcząca po twarzy, nie wróci już to niebo, już nigdy nie będzie takie, o jakim mówił staruszek. Teraz niebo to zamykające się nad nimi, oplatane sparciałymi kablami, żebrowe sklepienie tuneli, i tak będzie zawsze. A wtedy było, jak on to powiedział? Lazurowe? Czyste? Dziwne było to niebo, zupełnie jak to, które Artem widział wtedy, na stacji Ogród Botaniczny, i też usiane gwiazdami, lecz nie aksamitno-granatowe, lecz jasnobłękitne, skrzące się, radosne... I budynki były rzeczywiście ogromne, ale nie przytłaczały swoją masą, były jasne, lekkie, jakby utkane z powietrza, unosiły się, prawie odrywając się od ziemi, ich kontury rozmywały się nieskończenie wysoko. A dokoła było tylu ludzi! Artem nigdy wcześniej nie miał okazji widzieć tak wielu ludzi naraz, może tylko w Kitaj-Gorodzie, ale tutaj było ich jeszcze więcej, cała przestrzeń u stóp gigantycznych budynków i między nimi była wypełniona ludźmi. Kręcili się wszędzie, a dzieci było wśród nich rzeczywiście wyjątkowo dużo, jadły coś, pewnie wspomniane lody. Artem chciał nawet poprosić jedno z nich, żeby dało mu spróbować, bo sam nigdy nie jadł prawdziwych lodów, a kiedy był mały, bardzo chciał choć odrobinkę. Ale nie było skąd ich wziąć, fabryki słodyczy już od dawna produkowały tylko szczury i pleśń, pleśń i szczury. A te małe dzieci, liżąc swoje smakołyki, ciągle uciekały przed nim ze śmiechem, zręcznie się wyślizgując, i nie udało mu się nawet zajrzeć w niczyją twarz. I Artem już nie wiedział, co on właściwie próbuje zrobić: zjeść kawałek loda, czy zajrzeć któremuś dziecku w twarz, zobaczyć, czy te dzieci w ogóle je mają... I nagle ogarnął go strach.

Lekkie sylwetki budynków zaczęły powoli gęstnieć, ciemnieć, i po jakimś czasie wisiały już groźnie nad nim, a potem zaczęły się zacieśniać, coraz bardziej i bardziej. Artem ciągle gonił dzieci, i zaczęło mu się wydawać, że dzieci nie śmieją się dźwięcznie i radośnie, a złośliwie i złowrogo. Zebrał wtedy wszystkie siły i jednak złapał któregoś chłopczyka za rękaw. Ten wił się i wyrywał jak diabeł, ale ścisnąwszy mu gardło stalowym uściskiem, Artemowi udało się jednak zajrzeć złapanemu w twarz. Był to Wanieczka. Ryknął i odsłoniwszy zęby wykręcił szyję i próbował wgryźć się Artemowi w rękę. Wtedy Artem w panice odepchnął go precz, a ten, wstając z kolan, zadarł do tyłu głowę i rozległo się to samo przeciągłe, straszliwe wycie, przed którym Artem uciekł z WOGN-u... I dzieci, które biegały chaotycznie dookoła, zaczęły się zatrzymywać i powolutku, bokiem, nie patrząc w jego kierunku, zbliżać się do niego, zaś za ich plecami wznosiły się, zupełnie już teraz czarne grupy budynków, które też jakby ruszyły w jego kierunku... A potem dzieci, które teraz wypełniały tę niewielką już swobodną przestrzeń między gigantycznymi cielskami domów, podchwyciły wycie Wanieczki, napełniając go zwierzęca nienawiścią i obezwładniającą tęsknotą, aż wreszcie zaczęły sunąć w kierunku Artema. Nie miały twarzy, tylko czarne skórzane maski z wyciętymi otworami ust i błyszczącymi, czarnymi okrągłymi oczami, bez białek i źrenic.

I znów rozległ się głos, którego Artem nijak nie mógł rozpoznać: był cichy, i to straszne wycie go zagłuszało, lecz głos uporczywie powtarzał ciągle to samo, i wsłuchując się w niego, starając się nie zwracać uwagi na zbliżające się dzieci, Artem zaczął w końcu rozumieć, co mówił. „Musisz iść". A potem jeszcze raz. I jeszcze. I Artem poznał ten głos. Głos Huntera.

Otworzył oczy i zrzucił kołdrę. W namiocie było ciemno i bardzo duszno, głowa zrobiła mu się ciężka jak z ołowiu, myśli płynęły leniwie i ociężale. Artem nijak nie mógł dojść do siebie, pojąć, jak długo spał, czy pora już wstawać i ruszać w drogę, czy też można jeszcze obrócić się na drugi bok i czekać aż przyśni mu się coś weselszego.

Wtem zasłona namiotu podniosła się i w utworzonej w ten sposób szczelinie pojawiła się głowa pogranicznika, który wpuścił ich na Kuźniecki Most. Konstantin... jak mu tam było po ojcu?

- Michaile Porfiriewiczu! Michaile Porfiriewiczu! Wstawaj, szybko! Michaile Porfiriewiczu! Co on, umarł, czy co? - i, nie zwracając uwagi na gapiącego się na niego z przestrachem Artema, wlazł do namiotu i zaczął trząść śpiącym staruszkiem.

Pierwszy obudził się Wanieczka i zamuczał z niezadowoleniem. Strażnik nie zwrócił na niego uwagi, a kiedy Wanieczka chciał pociągnąć go za rękę, wymierzył mu siarczysty policzek. Wtedy wreszcie obudził się staruszek.

- Michaile Porfiriewiczu! Wstawaj szybciej! - szepnął trwożliwie pogranicznik. - Trzeba uciekać! Czerwoni wnieśli o wydanie cię za rzucanie kalumnii i wrogą propagandę. Mówiłem przecież, ostrzegałem cię: no, chociaż tutaj, chociaż na naszej parszywej stacji nie opowiadaj o tym swoim Uniwersytecie! Posłuchasz ty mnie kiedyś?

- Pan pozwoli, Konstantinie Aleksiejewiczu, o co chodzi? - staruszek pokręcił głową z zakłopotaniem i stękając podniósł się z posłania. - Przecież nic nie mówiłem, żadnej propagandy nie uprawiałem, niech Bóg broni, tak tylko młodemu człowiekowi opowiedziałem, ale po cichu, bez świadków...

- Młodego człowieka też ze sobą zabierz! Przecież wiesz co za stację tu mamy po sąsiedzku. Wezmą cię na Łubiankę i flaki z ciebie wyprują, a tego twojego chłopaka to od razu pod ścianę postawią, żeby nie gadał co nie trzeba! Szybciej, czemu się guzdrzesz, zaraz tu będą! Na razie jeszcze radzą, co by tu wytargować od czerwonych w zamian, więc się pośpiesz!

Artem w tej chwili już stał z plecakiem na ramionach. Nie wiedział tylko, czy wyjąć broń, czy też obejdzie się bez tego. Staruszek też się ożywił i w ciągu minuty kroczyli już po torach, przy czym Konstantin Aleksiejewicz własnoręcznie zatykał Wanieczce usta, robiąc przy tym miny męczennika, a dziadek spoglądał na niego z niepokojem, obawiając się, czy pogranicznik nie skręci chłopcu karku.

W tunelu prowadzącym do Puszkińskiej stacja była o wiele lepiej umocniona. Minęli tu dwa posterunki, sto i dwieście metrów od wejścia. Na bliższym było betonowe umocnienie, osłona stanowiska strzeleckiego, która przecinała tory i zostawiała tylko wąskie przejście przy ścianie, z lewej za nią był telefon z przewodem ciągnącym się do samego Kuźnieckiego Mostu, na pewno do sztabu, skrzynie z amunicją i drezyna, patrolująca owe sto metrów. Na następnym - zwykłe worki z piaskiem, cekaem i reflektor, tak jak z drugiej strony. W obu wartowniach stali strażnicy, ale Konstantin Aleksiejewicz przeprowadził ich przez wszystkie blokady, doprowadził do granicy i powiedział zmęczonym głosem:

- Chodźmy, pójdę z tobą pięć minut. Obawiam się, że nie będziesz mógł się tu więcej pokazywać, Michaile Porfiriewiczu - mówił pogranicznik, kiedy powoli szli w kierunku Puszkińskiej. - Jeszcze ci starych grzeszków nie wybaczyli, a ty znowu zaczynasz. Słyszałeś? Towarzysz Moskwin osobiście o ciebie pytał. No, dobra, coś wymyślimy. Uważaj na tej Puszkińskiej! - rzucił na drogę, odłączając się od nich i znikając w mroku. - Przejdź przez nią jak najszybciej! Nasi się ich, widzisz, boją! No, bywaj!

Na razie nie było się dokąd śpieszyć, i uciekinierzy zwolnili kroku.

- W jaki sposób zalazł im pan tak za skórę? - spytał Artem, spoglądając z ciekawością na staruszka.

- Widzi pan, po prostu nie darzę ich zbytnią sympatią, i kiedy była wojna... Ogólnie rzec biorąc, rozumie pan, w naszym klubie napisaliśmy pewne teksty... A Anton Pietrowicz,

kiedy jeszcze mieszkał na Puszkińskiej, miał dostęp do maszyny drukarskiej. Wtedy na Puszkińskiej była taka maszyna, jacyś szaleńcy przytaszczyli ją z redakcji „Izwiestii”... I on te teksty drukował.

- A granica u czerwonych tak niegroźnie wygląda: stoi dwóch ludzi i wisi flaga, żadnych umocnień, nic, nie to, co w Hanzie... - wspomniał nagle Artem.

- Rozumie się! Z tej strony są nieszkodliwi, bo granice muszą być szczególnie szczelne nie od zewnątrz, a od środka - uśmiechnął się ironicznie Michaił Porfiriewicz. - Więc tam mają umocnienia, a tutaj tylko dekoracje.

Dalej szli w ciszy, każdy myślał o swoich sprawach. Artem przysłuchiwał się temu, co mówił mu tunel. Ale, dziwna rzecz, zarówno ten, jak i poprzedni, wiodący od Kitaj-Gorodu do Kuźnieckiego Mostu, były jakieś puste, zupełnie nic nie dało się w nich wyczuć, nic ich nie wypełniało, była to tylko bezduszna konstrukcja...

Potem wrócił myślami do dopiero co widzianego koszmaru. Jego szczegóły już zatarły mu się w pamięci, zostało tylko niewyraźne, straszne wspomnienie o dzieciach bez twarzy i jakichś czarnych kształtach na tle nieba. Ale ten głos...

Nie udało mu się jednak dokończyć myśli. Przed nimi dał się słyszeć znajomy wstrętny pisk i szelest pazurków, potem doleciał do nich dusząco-słodkawy odór rozkładających się ciał, i kiedy słabe światło latarki dosięgło wreszcie miejsca, z którego dochodził te dźwięki, pojawił się przed nimi taki widok, że Artem zawahał się, czy nie lepiej byłoby wrócić do czerwonych.

Pod ścianą tunelu, twarzami do ziemi, leżały rzędem trzy spuchnięte ciała. Ręce, związane drutem za plecami, były już mocno obgryzione przez szczury. Przyciskając do nosa rękaw kurtki, by nie czuć ciężkiego, obrzydliwie słodkawego zapachu, Artem pochylił się nad ciałami i poświecił na nie. Były rozebrane do bielizny, a na ich ciałach nie było widać żadnych ran. Lecz włosy na głowie każdego z nich były sklejone zakrzepłą krwią, szczególnie gęstą wokół czarnej plamy śladu po kuli.

- W tył głowy - stwierdził Artem, starając się, by jego głos brzmiał spokojnie, i czując, że robi mu się teraz niedobrze.

Michaił Porfiriewicz zakrył usta ręką, i oczy zrobiły mu się mokre.

- Co oni robią, Boże mój, co oni robią! - odezwał się zdławionym głosem. - Wanieczka, nie patrz, nie patrz, chodź tu!

Ale Wanieczka, nie okazując najmniejszego niepokoju, ukucnął obok najbliższego trupa i zaczął w skupieniu popychać go palcem i żywo gulgotać.

Światło latarki prześlizgnęło się po ścianie i oświetliło kawałek grubego papieru pakowego, przyklejony dokładnie nad ciałami, na wysokości oczu. U góry, ozdobiony podobiznami orłów z rozpostartymi skrzydłami, widniał napisany gotyckim szryftem nagłówek: „Vierter Reich”, a potem już po rosyjsku: „Żadnych czarnych mend bliżej niż trzysta metrów od Wielkiej Rzeszy!”, i barwnym drukiem wspomniany już znak: „Przejścia nie ma” - czarna sylwetka człowieka w przekreślonym kole.

- Łajdaki - wycedził przez zaciśnięte zęby Artem. - Za co, za włosy innego koloru?

Staruszek tylko pokręcił z przygnębieniem głową i pociągnął za kołnierz Wanieczkę, któremu tak się spodobało badanie ciał, że nijak nie chciał wstawać.

- Widzę, że nasza maszyna drukarska wciąż działa - ponuro zauważył Michaił Porfiriewicz, i ruszyli dalej.

Szli coraz wolniej, tak że dopiero po dwóch minutach ukazała się namalowana na ścianie czarną farbą sylwetka orła i napis „300 m”.

- Jeszcze trzysta metrów - zauważył Artem, wsłuchując się z niepokojem w odgłosy szczekania psa, które dochodziły z oddali.

Kiedy do stacji było ponad sto metrów, w oczy zaświeciło im ostre światło, i zatrzymali się.

- Ręce za głowę! Stać spokojnie! - ryknął wzmocniony megafonem głos.

Artem posłusznie położył obie dłonie na potylicy, a Michaił Porfiriewicz podniósł ręce do góry.

- Powiedziałem, wszyscy ręce za głowę! Powoli idźcie naprzód! Żadnych gwałtownych ruchów! - ciągle wydzierał się głos, a Artem nijak nie mógł zauważyć, kto mówi, gdyż światło mieli skierowane prosto w twarz i ostry ból oczu zmuszał do patrzenia w dół.

Kiedy przeszli małymi kroczkami pewną odległość, znów pokornie znieruchomieli, i reflektor został skierowany w bok.

Zbudowano tu całą barykadę, na pozycjach stało dwóch krzepkich strzelców z karabinami i jeszcze jeden człowiek z kaburą na pasie, wszyscy w wojskowych panterkach i czarnych beretach, założonych na bakier na krótko ostrzyżone głowy. Na ich rękawach widniały białe opaski z czymś podobnym do niemieckiej swastyki, lecz nie z czterema końcami, a z trzema. Kawałek dalej widać było ciemne sylwetki jeszcze paru ludzi, u nóg jednego z nich siedział nerwowo skomlący pies. Ściany dookoła były pomazane krzyżami, orłami, hasłami i przekleństwami pod adresem wszystkich nie-Rosjan. To ostatnie nieco zaskoczyło Artema, bo część napisów była po niemiecku. W widocznym miejscu, pod osmaloną płachtą z sylwetką orła i trójramienną swastyką, stał podświetlony plastikowy znak z nieszczęsnym czarnym człowiekiem, i Artem pomyślał, że to pewnie ich odpowiednik kącika z ikonami.

Jeden z pograniczników zrobił krok do przodu i włączył długą, przypominającą pałkę, latarkę, trzymając ją w zgiętej ręce na wysokości głowy. Nie śpiesząc się obszedł całą trójkę, przyglądając się badawczo ich twarzom, widocznie próbując wyszukać u nich jakieś niesłowiańskie rysy. Jednak rysy mieli wszyscy, może za wyjątkiem Wanieczki, którego twarz nosiła znamię jego choroby, względnie rosyjskie, dlatego zabrał latarkę i z rozczarowaniem wzruszył ramionami.

- Dokumenty! - zażądał.

Artem posłusznie wyciągnął paszport, Michaił Porfiriewicz, spóźniony, zaczął szukać swojego w wewnętrznej kieszeni, aż wreszcie także go znalazł.

- A gdzie macie dokumenty na to? - dowódca ze wstrętem pokazał na Wanieczkę.

- Rozumie pan, rzecz w tym, że chłopiec ma... - zaczął wyjaśniać staruszek.

- Milczeeeć! Zwracać się do mnie: „panie oficerze”! Na pytania odpowiadać krótko! - wrzasnął na niego pogranicznik, i latarka podskoczyła mu w dłoniach.

- Panie oficerze, widzi pan, chłopiec jest chory, nie ma paszportu, jest jeszcze mały, rozumie pan, ale proszę spojrzeć, jest tu u mnie wpisany, o, proszę... - zaczął paplać speszony Michaił Porfiriewicz, patrząc przymilnie na oficera i starając się odnaleźć w jego oczach choć iskierkę empatii.

Ale ten stał w miejscu, wyprostowany i twardy jak skała, twarz też jakby mu skamieniała, i Artem znów poczuł chęć zabicia żywego człowieka.

- Gdzie zdjęcie? - splunął oficer, doszedłszy do właściwej stronicy.

Wanieczka, który do tej chwili stał spokojnie, w skupieniu przypatrywał się figurce psa i od czasu do czasu gulgotał z zachwytem, przerzucił swoją uwagę na pogranicznika i, ku przerażeniu Artema, obnażył zęby i zaczął wydawać gniewne dźwięki. Artem nagle tak się o niego przestraszył, że zapomniał o całej swojej niechęci do tego stworzenia, i o tym, że sam parę razy z trudem powstrzymał się od wymierzenia mu porządnego kopniaka.

Celnik zrobił mały krok w tył, popatrzył wrogo na Wanieczkę i wycedził:

- Zabierzcie go. Natychmiast. Albo ja to zrobię.

- Proszę wybaczyć, panie oficerze, on nie wie, co robi - ze zdziwieniem usłyszał Artem swój głos.

Michaił Porfiriewicz spojrzał na niego z wdzięcznością, a pogranicznik, szybko przejrzawszy jego paszport, oddał go Artemowi i chłodno powiedział:

- Do was nie mam pytań. Możecie przejść.

Artem zrobił parę kroków naprzód i stanął, czując że nogi odmawiają mu posłuszeństwa. Oficer obojętnie odwrócił się do niego plecami i powtórzył pytanie o fotografię.

- Widzi pan, rzecz w tym... - zaczął Michaił Porfiriewicz, lecz spostrzegłszy błąd, poprawił się: - Panie oficerze, rzecz w tym, że my tam nie mamy fotografa, a na innych stacjach to kosztuje niewiarygodnie drogo, ja po prostu nie mam pieniędzy, żeby zrobić zdjęcie...

- Rozbierać się! - przerwał tamten.

- Słucham? - łamiącym się głosem spytał Michaił Porfiriewicz, i zadrżały mu nogi.

Artem zdjął plecak i postawił go na ziemi, kompletnie nie myśląc o tym, co robi. Są takie rzeczy, których nie chcesz robić, przysięgasz, że ich nie zrobisz, zabraniasz sobie, a potem to nagle dzieje się samo. Nie da się ich nawet przeanalizować, nie podlegają procesom myślowym: dzieją się i już, pozostaje tylko patrzeć na siebie ze zdziwieniem i zapewniać, że nie ma w tym twojej winy, po prostu samo się stało.

Jeśli ich teraz rozbiorą i zaprowadzą, tak jak tamtych, na trzechsetny metr, Artem wyciągnie z plecaka automat, przełączy bezpiecznik na ogień automatyczny i postara się zabić jak najwięcej tych nieludzi w mundurach, zanim go zastrzelą. Nic poza tym nie miało znaczenia. Nieważne było, że odkąd poznał Wanieczkę i staruszka minął zaledwie dzień. Nieważne, że go zabiją. Co będzie z WOGN-em? Nie można myśleć o tym, co będzie potem. Są rzeczy, o których lepiej po prostu nie myśleć.

- Rozbierać się! - wyraźnie artykułując powtórzył oficer. - Przeszukanie!

- Niech pan pozwoli... - zająknął się Michaił Porfiriewicz.

- Milczeeeć! - wrzasnął tamten. - Szybciej! - i podkreślając swoje słowa czynem, wyciągnął z kabury pistolet.

Staruszek zaczął pośpiesznie rozpinać guziki kurtki, a pogranicznik skierował rękę z pistoletem w bok i w milczeniu obserwował, jak ten zdejmuje kamizelkę, niezdarnie skacząc na jednej nodze zzuwa buty i waha się, czy rozpinać pasek od spodni.

- Szybciej! - syknął gniewnie oficer.

- Ale... Niezręcznie tak... Rozumie pan... - zaczął Michaił Porfiriewicz, ale pogranicznik, wychodząc w końcu z siebie, mocno uderzył go pięścią w zęby.

Artem rzucił się do przodu, ale wtedy z tyłu złapały go dwie silne ręce, i choćby nie wiem jak starał się wyrwać, wszystko na próżno.

Wtedy stało się coś nieoczekiwanego. Wanieczka, który był prawie dwa razy niższy od bandyty w czarnym berecie, nagle wyszczerzył zęby i ze zwierzęcym rykiem rzucił się na prześladowcę. Ten zupełnie nie spodziewał się takiej szybkości po chorym chłopcu, i Wanieczce udało się wczepić zębami w jego lewą rękę, a nawet uderzyć go dłonią w pierś. Jednak po chwili oficer opamiętał się, odrzucił Wanieczkę od siebie, zrobił krok do tyłu, wyciągnął rękę z pistoletem przed siebie i nacisnął spust.

Wystrzał, wzmocniony echem pustego tunelu, prawie rozerwał mu bębenki, ale Artemowi wydało się, że mimo to słyszy jak Wanieczka, siadając na ziemi, cicho westchnął. Pochylił jeszcze głowę w dół, trzymając się obiema rękoma za brzuch, kiedy oficer czubkiem buta przewrócił go na wznak i z wyrazem obrzydzenia na twarzy nacisnął spust jeszcze raz, celując w głowę.

- Uprzedzałem was - rzucił chłodno Michałowi Porfiriewiczowi, który zastygł w miejscu i z otwartymi ustami patrzył na Wanieczkę, wydając z piersi rzężące dźwięki.

W tym momencie Artemowi pociemniało przed oczami, i znalazł w sobie taką siłę, że zaskoczony żołnierz, który trzymał go z tyłu, o mało nie poleciał na ziemię, kiedy ten

rzucił się naprzód. Czas rozciągnął się dla Artema, i starczyło go akurat, żeby złapać za rękojeść automatu, i szczęknąwszy bezpiecznikiem, puścić serię wprost przez plecak w umundurowaną pierś oficera.

Zdążył tylko z satysfakcją zauważyć, jak na zieleni panterki pojawia się przerywana linia dziur po kulach.

ROZDZIAŁ 9
DU STIRBST

Przez powieszenie - zakończył komendant. Bezlitośnie rażąc uszy, zagrzmiały oklaski. Artem z trudem podniósł głowę i rozejrzał się dookoła. Otwierało mu się tylko jedno oko, drugie zupełnie mu obrzmiało: przesłuchujący starali się ze wszystkich sił. Słyszał też nie najlepiej, dźwięki przebijały się jakby przez grubą warstwę waty. Zęby miał, zdaje się, w komplecie. Choć z drugiej strony, po co mu teraz zęby. Znów ten sam jasny marmur, zwykły, obrzydły już biały marmur. Masywne żelazne żyrandole pod sufitem, które kiedyś pewnie świeciły elektrycznym światłem. Teraz tkwiły w nich dymiące łojowe świece, a sklepienie nad nimi było zupełnie czarne. Na całej stacji paliły się tylko dwa takie żyrandole, na samym jej końcu, gdzie w górę biegły szerokie schody, i w miejscu, w którym stał Artem, pośrodku holu, na stopniach łącznika prowadzącego do bocznego przejścia na inną linię.

Gęste półokrągłe arkady, prawie niewidoczne kolumny, mnóstwo wolnego miejsca. Co to za stacja?

- Egzekucja odbędzie się jutro o godzinie piątej rano na stacji Twerska - uszczegółowił grubas stojący obok komendanta.

Tak jak i jego naczelnik, był ubrany nie w zieloną panterkę, a w czarny mundur z błyszczącymi żółtymi guzikami. Również ci dwaj mieli czarne berety, nie były jednak tak duże i zgrzebne jak te należące do żołnierzy w tunelu.

Było tu bardzo wiele wizerunków orłów, trójramiennych swastyk, wszędzie hasła i sentencje, pedantycznie, z lubością wykaligrafowane gotykiem.

Z wysiłkiem koncentrując się na rozmywających mu się przed oczami literach, Artem przeczytał: „METRO DLA ROSJAN!", „CZARNUCHY NA POWIERZCHNIĘ!", „ŚMIERĆ SZCZUROJADOM!". Były też inne, o bardziej abstrakcyjnej treści: „NAPRZÓD, DO OSTATNIEJ WALKI O WIELKOŚĆ ROSYJSKIEGO DUCHA!", „OGNIEM I MIECZEM ZAPROWADZIMY W METRZE PRAWDZIWIE ROSYJSKI PORZĄDEK", potem jeszcze coś z Hitlera, po niemiecku, i względnie neutralne „W ZDROWYM CIELE ZDROWY DUCH!". Szczególne wrażenie zrobił na nim podpis pod umiejętnie wykonanym portretem mężnego wojownika o potężnej szczęce i władczym podbródku i bardzo stanowczo wyglądającej kobiety. Byli pokazani z profilu, tak że mężczyzna nieco zasłaniał swoją bojową koleżankę. „KAŻDY MĘŻCZYZNA ŻOŁNIERZEM, KAŻDA KOBIETA MATKĄ ŻOŁNIERZA!" głosiło hasło. Wszystkie te napisy i rysunki, nie wiedzieć czemu, zajmowały teraz Artema o wiele bardziej niż słowa komendanta.

Na wprost niego, za ogrodzeniem szemrał tłum. Ludzi nie było tu zbyt dużo, i wszyscy jakoś tak marnie ubrani, głównie w waciaki i zatłuszczone spodnie robocze. Kobiet prawie nie było widać, i jeśli wierzyć hasłu, żołnierzy wkrótce powinno zabraknąć. Głowa Artema opadła na pierś - nie miał już siły, żeby trzymać ją prosto; gdyby nie dwóch barczystych konwojentów w beretach, trzymających go pod pachami, w ogóle by się przewrócił.

Znów zaczęły się mdłości, zakręciło mu się w głowie, i nie mógł już ironizować w duchu. Artem pomyślał, że zaraz, przy wszystkich tych ludziach, zwymiotuje.

Tępa nieczułość na to, co się z nim dzieje, pojawiała się u Artema stopniowo. Teraz czuł już tylko abstrakcyjne zainteresowanie tym, co go otaczało, jak gdyby to wszystko nie przytrafiło się jemu, jak gdyby po prostu czytał książkę. Los głównego bohatera interesował go oczywiście, ale, gdyby zginął, można by było po prostu wziąć z półki następną powieść, taką, która kończy się dobrze.

A początek był taki, że długo i dokładnie bili go cierpliwi silni ludzie, zaś inni ludzie, mądrzy i rozsądni, zadawali mu pytania. Pokój był przezornie wyłożony kafelkami niepokojąco żółtego koloru, na pewno bardzo łatwo było zmywać z nich krew, ale pozbyć się stąd jej zapachu było niemożliwością.

Na początek nauczyli go nazywać suchego mężczyznę z przylizanymi jasnymi włosami i drobnymi rysami twarzy, który prowadził przesłuchanie, „panem komendantem". Potem - nie zadawać pytań, a tylko odpowiadać. Potem - odpowiadać konkretnie na zadane pytanie, zwięźle i na temat. Tego zwięźle i na temat uczyli go osobno, i Artem nie mógł pojąć jak to się stało, że wszystkie zęby zostały mu na swoich miejscach, choć kilka mocno się chwiało i w ustach czuł ciągle posmak krwi. Z początku próbował się tłumaczyć, lecz wyjaśniono mu, że nie warto. Później próbował milczeć, ale i to okazało się niewłaściwe, szybko się o tym upewnił. Bardzo bolało. To w ogóle bardzo dziwne uczucie, kiedy bije cię w głowę silny, zdrowy mężczyzna - nie tyle ból, co jakiś huragan, który wymiata wszystkie myśli i rozbija w drzazgi uczucia. Prawdziwe męki przychodzą później.

Po jakimś czasie Artem wreszcie zrozumiał, co trzeba robić. Wszystko było proste: należy tylko jak najlepiej spełniać oczekiwania pana komendanta. Jeśli pan komendant pytał, czy to nie z Kuźnieckiego Mostu przysłano tu Artema, należało tylko twierdząco kiwnąć głową. Na to traciło się mniej sił, a pan komendant nie marszczył w niezadowoleniu swojego niewątpliwie słowiańskiego nosa, zaś jego asystenci nie przysparzali Artemowi kolejnych fizycznych cierpień. Jeśli pan komendant sugerował, że Artema skierowano tu w celu zbierania danych wywiadowczych i prowadzenia dywersji, na przykład organizacji zamachu na życie kierownictwa Rzeszy (w tym i samego pana komendanta), należało znów kiwnąć potakująco, wtedy oprawca z zadowoleniem zacierał ręce, a Artemowi oszczędzano drugie oko. Ale nie można było po prostu kiwać, trzeba było uważnie słuchać, o co konkretnie pytał pan komendant, gdyż jeśli Artem przytakiwał nie w porę, nastrój pana komendanta pogarszał się, i jeden z jego pomocników próbował, na przykład, złamać Artemowi żebro. Po półtorej godziny nieśpiesznej pogawędki, Artem nie czuł już swojego ciała, kiepsko widział, nie najlepiej słyszał i prawie niczego nie rozumiał. Kilka razy próbował stracić przytomność, ale cucili go lodowatą wodą i amoniakiem. Najwyraźniej był bardzo ciekawym rozmówcą.

W efekcie przesłuchujący mieli o nim zupełnie fałszywe wyobrażenie: widzieli w nim nieprzyjacielskiego szpiega i dywersanta, który zjawił się, by zadać Czwartej Rzeszy zdradziecki cios w plecy, przez zgładzenie kierownictwa zasiać chaos, i przygotować w ten sposób inwazję wroga. Oczywistym celem było ustanowienie antynarodowego kaukasko-syjonistycznego reżimu na terytorium całego metra. Chociaż Artem w ogóle mało co rozumiał z polityki, taki globalny cel wydał mu się godzien szacunku, i zgodził się z nim. I dobrze zrobił, może to właśnie dlatego wszystkie zęby zostały mu w końcu na miejscu. Po tym, gdy ostatnie szczegóły spisku zostały odkryte, Artemowi pozwolono w końcu zemdleć.

Kiedy następnym razem udało mu się otworzyć oko, komendant już kończył czytać wyrok. Kiedy tylko formalnościom stało się zadość, a oficjalna data jego rozstania z tym światem została ogłoszona publicznie, na głowę i twarz oskarżonego założono czarną czapkę, i wizja znacznie mu się pogorszyła. Nie było już na co patrzeć, co jeszcze wzmocniło mdłości. Z trudem wytrzymawszy minutę, Artem przestał się opierać, jego ciałem wstrząsnęły torsje i zwymiotował prosto na własne buty. Ochrona zrobiła ostrożny krok w tył, a publiczność zaszemrała z oburzeniem. Przez ułamek sekundy Artem czuł wstyd, a potem poczuł jak głowa gdzieś mu odpływa, a kolana bezwolnie się pod nim uginają.

Silna ręka przytrzymała mu podbródek, i usłyszał znajomy głos, który dźwięczał teraz prawie w każdym jego śnie:

- Chodźmy! Chodź ze mną, Artem! Już po wszystkim. Wszystko dobrze. Wstawaj! - mówił głos, a Artem wciąż nie mógł znaleźć sił, żeby wstać, a nawet podnieść głowę.

Było bardzo ciemno - pewnie przeszkadzała mu czapka, domyślił się. Ale jak ma ją zdjąć, przecież ręce ma związane za plecami? A zdjąć ją trzeba, żeby popatrzeć, czy to ten człowiek, czy tylko mu się wydaje.

- Czapka... - zajęczał w nadziei, że ów człowiek sam zrozumie.

Wtedy czarna zasłona przed oczami zniknęła, i Artem ujrzał przed sobą Huntera. Nic się nie zmienił od czasu, kiedy Artem rozmawiał z nim ostatnim razem, dawno, całą wieczność temu, na WOGN-ie. Ale jak on się tu dostał? Artem ciężko ruszył głową i rozejrzał się. Znajdował się na peronie tej samej stacji, na której odczytywano mu wyrok. Wszędzie wokół leżały martwe ciała; tylko kilka świec na jednym z żyrandoli nadal dymiło. Drugi był zgaszony. Hunter trzymał w prawej ręce ten sam pistolet, który takie wrażenie zrobił na Artemie poprzednim razem, ten stieczkin, który wydawał się tak olbrzymi przez długi, przykręcony do lufy tłumik i zewnętrzny celownik laserowy. Myśliwy patrzył na Artema z niepokojem i uwagą.

- Wszystko z tobą w porządku? Możesz iść?

- Tak. Bez problemu - nadrabiał miną Artem, ale w tym momencie interesowało go całkiem co innego. - Żyje pan? Wszystko się udało?

- Jak widzisz - posłał mu zmęczony uśmiech Hunter. - Dziękuję ci za pomoc.

- Ale przecież nie dałem rady - pokręcił głową, i gorącą falą ogarnął go wstyd.

- Zrobiłeś wszystko, co mogłeś - uspokajająco poklepał go po plecach Hunter.

- A co stało się z moim domem? Co z WOGN-em?

- Wszystko jest w porządku, Artem. Wszystko już za nami. Udało mi się zawalić wejście, i czarni nie mogą już wchodzić do metra. Jesteśmy uratowani. Chodźmy.

- A co się stało tutaj? - Artem rozglądał się dookoła, z przerażeniem odkrywając, że prawie cała sala jest zasłana trupami, i oprócz głosu jego i Huntera, nie słychać żadnych dźwięków.

- To nie ma znaczenia - Hunter twardo popatrzył mu w oczy. - Nie powinieneś się tym niepokoić. - Schyliwszy się, podniósł z posadzki swoją walizkę, w której leżał, lekko dymiąc, wojskowy erkaem. Z taśmy z nabojami prawie nic nie zostało.

Myśliwy ruszył naprzód, i Artemowi pozostało tylko iść za nim. Rozglądając się na boki, dostrzegł coś, czego wcześniej nie zauważył. Z mostka, na którym stał, kiedy czytano mu wyrok, zwisało nad torami kilka ciemnych sylwetek.

Hunter milcząc szedł długimi krokami, jakby zapominając o tym, że Artem ledwo nadąża. Choćby nie wiem jak się starał, odległość między nimi wciąż rosła, i Artem przestraszył się, że Myśliwy w końcu sobie pójdzie, porzucając go na tej strasznej stacji, której cała posadzka była zalana śliską, ciepłą jeszcze krwią, a mieszkańcy to same trupy. Czyżbym był tyle wart, myślał Artem, czyżby moje życie znaczyło tyle, co życie ich wszystkich razem wziętych? Tak, cieszył się, że został uratowany. Ale wszyscy ci ludzie, zwaleni teraz bezładnie jak worki z gałganami na granitowy peron, jeden na drugiego, na szyny, pozostawieni na wieczność w pozie, w jakiej dosięgły ich kule Huntera - czy oni umarli, żeby on mógł żyć? Hunter z taką lekkością dokonał tej wymiany, tak jak w szachach poświęca się kilka słabych figur, żeby zbić tę silną... Jest przecież tylko graczem, a metro to jego szachownica i wszystkie figury należą do niego, bo gra sam ze sobą. Ale w tym jest problem: czy Artem jest tak silną i ważną figurą, żeby uśmiercić dla niego tylu ludzi? Odtąd ta wylana na zimny granit krew będzie pewnie pulsować w jego żyłach - zupełnie jakby ją wypił, zabrał innym, żeby przedłużyć swoje istnienie. Teraz już nigdy nie uda mu się ogrzać...

Artem zmusił się, żeby pobiec naprzód, żeby dogonić Huntera i zapytać, czy będzie jeszcze kiedyś umiał się rozgrzać, czy przy każdym, nawet najgorętszym ognisku będzie mu tak zimno i smutno, jak w mroźną zimową noc na opuszczonej stacyjce.

Lecz Hunter był wciąż tak samo daleko z przodu, i Artemowi może dlatego nie udawało się go dogonić, że ten opadł na cztery łapy i mknął przez tunel zręcznie, niczym jakieś zwierzę. Jego ruchy wydały się Artemowi nieprzyjemnie podobne do ruchów... psa? Nie, szczura... Boże...

- Pan jest szczurem? - wyrwał się Artemowi straszliwy domysł, i sam przestraszył się tego, co powiedział.

- Nie - usłyszał w odpowiedzi. - To ty jesteś szczurem. Szczur! Tchórzliwy szczur!

- Tchórzliwy szczur! - powtórzył ktoś pogardliwie prawie nad samym uchem Artema i soczyście splunął.

Artem potrząsnął głową i natychmiast pożałował, że to zrobił. Dotychczasowy słaby tępy ból, ustąpił teraz miejsca istnej eksplozji. Straciwszy kontrolę nad swoim ciałem, zaczął opadać do przodu, aż płonącym czołem dotknął chłodnego żelaza. Powierzchnia była nierówna i nieprzyjemnie uciskała czaszkę, ale studziła rozpalone ciało, Artem znieruchomiał w tej pozycji na jakiś czas, nie mając siły zdecydować się na cokolwiek więcej. Kiedy odpoczął, ostrożnie spróbował otworzyć nieco lewe oko.

Siedział na ziemi, czołem opierając się o kratę prowadzącą w górę aż do sklepienia i z obu stron zamykającą niski i ciasny łuk między filarami. Przed nim otwierał się widok na hol, z tyłu biegły tory. Wszystkie pobliskie arkady widoczne naprzeciwko, jak i pewnie te z jego strony, były przerobione na takie właśnie klatki. W każdej z nich siedziało po kilka osób. Stacja była zupełnym przeciwieństwem tej, na której skazano go na śmierć. Tamta była nie pozbawiona wdzięku, lekka, przestronna, pełna powietrza, ze smukłymi kolumnami, szerokimi i wysokimi zaokrąglonymi arkadami, i mimo słabego oświetlenia i pokrywających ją napisów i rysunków, w porównaniu z obecną wydawała się istną salą balową. Tutaj wszystko przytłaczało i przerażało: niskie, okrągłe jak w tunelu sklepienie, zaledwie dwa razy wyższe od człowieka, masywne, grube filary, z których każdy był o wiele szerszy niż wybite między nimi łuki. Przy tym były one wypchnięte do przodu, i z wystających części wychodziły kraty zrobione z zespawanych prętów zbrojeniowych. Sklepienie łuków ciążyło ku ziemi, tak że można by było bez trudu dosięgnąć go rękami, gdyby nie miał ich skrępowanych drutem za plecami. W nędznej celi, odciętej od holu kratą, oprócz Artema znajdowało się dwóch ludzi. Jeden leżał na podłodze z twarzą schowaną w stercie szmat, i wydawał z siebie krótkie, głuche jęki. Drugi, czarnooki i od dawna niegolony brunet, siedział w kucki, oparty plecami o marmurową ścianę, i z żywym zainteresowaniem obserwował Artema. Wzdłuż klatek przechadzało się dwóch krzepkich młodzieńców w panterkach i takich samych beretach, jeden z nich na nawiniętej na rękę smyczy trzymał wielkiego psa, od czasu do czasu każąc mu siadać. To oni, jak się zdaje, obudzili Artema.

To był sen. To był sen.

To wszystko mu się przyśniło.

Powieszą go.

- Która godzina? - spytał, z trudem ruszając opuchniętym językiem i patrząc na czarnookiego.

- Półda dziesiątyj - chętnie odpowiedział tamten, wymawiając słowa z tym samym dziwnym akcentem, który Artem miał okazję słyszeć na Kitaj-Gorodzie: zamiast „o” - „a”, zamiast „e” - „y”. I dodał: - Wieczarym.

Pół do dziesiątej. Dwie i pół godziny do dwunastej, i jeszcze pięć do... do wykonania. Siedem i pół godziny. Nie, po tym liczeniu i myśleniu czasu zostało jeszcze mniej.

Kiedyś Artem wciąż próbował sobie wyobrazić, co powinien czuć, o czym powinien myśleć człowiek skazany na śmierć, jedną noc przed egzekucją? Strach? Nienawiść do oprawców? Skruchę?

W nim była tylko pustka. Serce ciężko waliło mu w piersi, w skroniach huczało, w ustach powoli zbierała się krew, póki jej nie połykał. Krew miała zapach mokrego, zardzewiałego żelaza. Czy może to wilgotne żelazo miało zapach świeżej krwi?

Powieszą go. Zabiją.

Więcej go nie będzie.

Uświadomić to sobie, wyobrazić - niemożliwe.

Wszyscy i każdy z osobna rozumie, że śmierć jest nieunikniona. W metrze śmierć była codziennością. Ale zawsze wydaje się, że tobie nie przytrafi się żaden nieszczęśliwy wypadek, że kule cię ominą, choroba cię nie dotknie. A śmierć ze starości nie przyjdzie tak szybko, można o tym nawet nie myśleć. Nie da się żyć w ciągłej świadomości swojej śmiertelności. Trzeba o tym zapomnieć, a jeśli takie myśli mimo wszystko się pojawiają, trzeba je przepędzać, trzeba je zagłuszać, inaczej mogą zapuścić korzenie w świadomości i rozrosnąć się, a ich jadowite zarodniki zatrują życie temu, kto im się podda. Nie wolno myśleć o tym, że i ciebie czeka śmierć. Inaczej można postradać zmysły. Tylko jedno ratuje człowieka od szaleństwa: nieświadomość. Życie skazanego na śmierć, którego stracą za rok, i on o tym wie, życie śmiertelnie chorego, któremu lekarze powiedzieli, ile mu zostało, życie tych ludzi różni się od życia zwykłego człowieka tylko jednym: ci pierwsi dokładnie, lub w przybliżeniu wiedzą kiedy umrą, zaś zwykły człowiek tkwi w niewiedzy, i dlatego wydaje się mu, że może żyć wiecznie, chociaż nie jest wykluczone, że następnego dnia zginie w wypadku. Straszna jest nie sama śmierć. Straszne jest jej oczekiwanie. Za siedem godzin.

Jak to zrobią? Artem nie bardzo wiedział, jak wiesza się ludzi. U nich na stacji było raz rozstrzelanie zdrajcy, ale Artem był wtedy jeszcze mały i niewiele rozumiał, a poza tym, na WOGN-ie nie robiliby z egzekucji publicznego przedstawienia. Pewnie założą pętlę na szyję... i albo podciągną do sufitu... albo każą wejść na jakiś stołek... Nie, nie wolno o tym myśleć.

Chciało mu się pić.

Z trudem przestawił zardzewiałą zwrotnicę i wagonik jego myśli pojechał innym torem - do zastrzelonego przez niego oficera. Do pierwszego człowieka, którego zabił. Przed oczami znów pojawił mu się widok tego, jak niewidoczne kule wbijają się w szeroką pierś z przewieszonym paskiem od kabury, i każda zostawia po sobie wypaloną czarną plamkę, natychmiast nasiąkającą świeżą krwią. Nie odczuwał najmniejszego żalu z tego powodu, i to go zdziwiło. Kiedyś uważał, że każdy zabity będzie jak ciężkie brzemię na sumieniu zabijającego, że będzie pojawiać się w jego snach, niepokoić go na starość, przyciągać niczym magnes wszystkie jego myśli. Nie. Okazało się, że to zupełnie nie tak. Żadnego żalu. Żadnej skruchy. Tylko mroczna satysfakcja. I Artem zrozumiał, że jeśli zabity przywidzi mu się w koszmarze, on po prostu obojętnie odwróci się do zjawy plecami, i ta zniknie bez śladu. A starość... Teraz starości nie będzie.

Zostało jeszcze mniej czasu. Pewnie jednak postawią go na stołku. Kiedy zostaje tak mało czasu, to powinno się przecież myśleć o czymś ważnym, o najistotniejszym, o czym wcześniej nigdy nie miało się czasu pomyśleć, zawsze odkładało się to na potem... O tym, że przeżył swoje życie źle, i gdyby było mu dane jeszcze raz, wszystko zrobiłby inaczej... Nie. Żadnego innego życia w tym świecie mieć nie mógł, i nie było tu czego zmieniać. Może tylko wtedy, kiedy tamten dobijał Wanieczkę strzałem w głowę, nie rzucać się w kierunku karabinu, ale zostać z boku? Ale nic by z tego nie wyszło, i to właśnie Wanieczki i Michaiła Porfiriewicza nigdy nie udałoby mu się wyrzucić ze swoich snów. Co się stało ze staruszkiem? Cholera, żeby choć łyczek wody!

Najpierw wyciągną go z celi... Jak się poszczęści, przeprowadzą przez przejście, to trochę dodatkowego czasu. Jeśli nie założą mu znów na oczy tej przeklętej czapki, zobaczy jeszcze co nieco, oprócz prętów krat i niekończącego się rzędu cel.

- Jaka to stacja? - rozkleił zaschnięte wargi Artem, odrywając się od kraty i podnosząc oczy na sąsiada.

- Twyrska - odezwał się ten i zapytał: - Słuchaj, bracie, a za ca cię wsadzili?

- Zabiłem oficera - powoli odpowiedział Artem. Ciężko mu się mówiło.

- Eee... - zaciągnął współczująco zarośnięty. - Tyraz byndą wieszać?

Artem wzruszył ramionami, odwrócił się od niego, i znów przywarł do kraty.

- Na pywna byndą - zapewnił go jego sąsiad.

Będą. Już niedługo. Od razu na tej stacji, nigdzie go nie wezmą.

Pić się chce... Zmyć ten posmak rdzy w ustach, zwilżyć zaschłą krtań, wtedy może i mógłby rozmawiać dłużej niż minutę. W celi wody nie było, w drugim końcu stało tylko śmierdzące blaszane wiadro. Poprosić strażników? Może dla skazańców są nieco bardziej pobłażliwi? Gdyby mógł wyciągnąć rękę przez kraty i machnąć im... Ale ręce miał związane za plecami, drut wrzynał się w nadgarstki, dłonie mu spuchły i stracił w nich czucie. Spróbował zawołać, ale wyszedł z tego tylko skrzek przechodzący w rozdzierający płuca kaszel.

Obaj strażnicy zbliżyli się do klatki, jak tylko zauważyli jego próby zwrócenia ich uwagi.

- Szczur się obudził - wyszczerzył się ten, który trzymał na smyczy psa.

Artem przechylił głowę do tyłu, żeby widzieć jego twarz i z wysiłkiem wychrypiał:

- Pić. Wody.

- Pić? - udał zdziwienie ten z psem. - A to ci na co? Jeszcze trochę i cię powieszą, a ty chcesz pić! Nie, wody nie będziemy na ciebie marnować. Może szybciej zdechniesz.

Odpowiedź była wyczerpująca i Artem zamknął ze zmęczeniem oczy, ale klawisze najwidoczniej chcieli z nim jeszcze pogawędzić o tym i o owym.

- Co, ścierwo, rozumiesz teraz na kogo podniosłeś rękę? - spytał drugi. - I to Rosjanin, szczur jeden! Przez takie mendy jak ty, co tylko szukają okazji, żeby swoim wbić nóż w plecy, tamci - kiwnął w stronę jego sąsiada, który uciekł w głąb klatki - niedługo podbiją całe metro i prostemu Rosjaninowi nie dadzą odetchnąć.

Zarośnięty spuścił wzrok. Artem znalazł w sobie siłę tylko by wzruszyć ramionami.

- A tego twojego niedorozwoja to słusznie stuknęli - wtrącił się pierwszy strażnik. - Sidorow nam opowiadał, że pół tunelu było we krwi. I słusznie. Niedorobiony! Takich też należy likwidować. Oni nam, ten... materiał genetyczny - przypomniał sobie trudne słowo - zanieczyszczają. I ten wasz dziadyga też już zdechł - zakończył.

- Jak? - zaszlochał Artem. Obawiał się tego, obawiał, ale miał nadzieję: a nuż nie umarł, nie zabili go, a nuż jest gdzieś tutaj, w sąsiedniej celi...

- A tak. Sam zdechł. Nawet przesłuchanie miał całkiem delikatne, a on wziął i kopnął w kalendarz - chętnie wyjaśnił ten z psem, zadowolony, że wreszcie dotknął czymś Artema do żywego.

„Umrzesz ty. Umrą wszyscy bliscy twoi...” Znów zobaczył, jak Michaił Porfiriewicz, zapomniawszy o całym świecie, stojąc pośrodku ciemnego tunelu, przegląda swój notatnik, a potem z przejęciem powtarza ostatni wers. Jak to było? „Der Toten Tatenruhm”? Nie, pomylił się poeta. Chwała dziejów też nie zostanie. Nic nie zostanie.

Potem przypomniało mu się nie wiedzieć czemu, jak Michaił Porfiriewicz tęsknił za swoim mieszkaniem, szczególnie za łóżkiem. Potem myśli zaczęły krzepnąć, płynęły coraz wolniej, aż w końcu zupełnie się zatrzymały. Znów oparł się czołem o kratę i tępo wpatrywał w opaskę na rękawie klawisza. Trójramienna swastyka. Dziwny symbol. Podobny ni to do gwiazdy, ni to do okaleczonego pająka.

- Czemu trzy ramiona? - spytał. - Czemu trzy?

Musiał jeszcze kiwnąć głową, wskazując opaskę, zanim strażnicy zrozumieli, co ma na myśli, i łaskawie wyjaśnili.

- A ile byś chciał? - oburzył się ten z psem. - Ile stacji, tyle ramion, debilu! Symbol jedności. Poczekaj, dobierzemy się do Polis, dodamy i czwarte...

- Jakie tam stacje! - wmieszał się drugi. - To jest starożytny, rdzennie słowiański znak! Nazywa się przesilenie dnia z nocą. Fryce to już później od nas przejęli. Stacje! Durna pała...

- Ale przecież nie ma już dnia i nocy... - wydusił z siebie Artem, czując jak przed oczami znów widzi ciemną zasłonę, sens tego, co usłyszał, wymyka mu się, aż spada w ciemność.

- I już, szczurek zszedł - z zadowoleniem stwierdził klawisz z psem. - Chodźmy, Sieńka, jeszcze z kimś sobie pogadamy.

Artem nie wiedział jak długo był w odrętwieniu, pozbawionym myśli i snów, z rzadka tylko pozwalającym przedostać się do świadomości jakimś niewyraźnym obrazom, wypełnionym smakiem i zapachem krwi, wysuszonym i wysuszającym. Jakkolwiek było, cieszył się, że jego ciało zlitowało się nad mózgiem, zabiło wszystkie myśli i tym samym uwolniło umysł od tęsknoty i zjadania samego siebie.

- Ej, bracie! - potrząsnął go za ramię jego sąsiad z celi. - Nie śpij, już długa śpisz! Już prawie cztyry godziny!

Artem z trudem, jakby do nóg miał przywiązany żelazny odważnik, próbował wypłynąć na powierzchnię z otchłani, w którą wepchnęła go świadomość. Rzeczywistość nie wracała od razu, a rysowała się przed nim powoli, jak dzieje się to z niewyraźnym obrazem na odbitce zanurzonej w roztworze, by ją wywołać.

- Ile? - wychrypiał.

- Cztyry godziny, byz dziesięciu minut - powtórzył brunet.

Cztery bez dziesięciu minut... Pewnie już za jakieś czterdzieści minut przyjdą po niego. I za godzinę i dziesięć minut... Godzinę i dziesięć minut. Godzinę i dziewięć minut. Godzinę i osiem. I siedem.

- Jak ci na imię? - spytał go sąsiad.

- Artem.

- A ja Rusłan. Majemu bratu było Ahmed, jega ad razu razstrzelali. A zy mną nie wiedzą co zrabić. Imię rasyjskie, nie chcą się pamylić - brunet był rad, że wreszcie udało mu się nawiązać dialog.

- Skąd jesteś?

Artema wcale to nie interesowało, ale gadanina zarośniętego sąsiada pomagała mu wypełnić głowę, bo nie wolno było o niczym myśleć. Nie wolno było myśleć o WOGN-ie. Nie wolno było myśleć o misji, którą mu powierzono. Nie wolno myśleć o tym, co stanie się z metrem. Nie wolno. Nie wolno!

- Ja jestym z Kijewskiej, wiesz gdzie ta jest? Nazywamy ją słaneczna Kijewska... - wyszczerzył się w uśmiechu Rusłan. - Duża tam naszych, prawie wszyscy... Żanę tam zostawiłem, dzieci, trójkę. Najstarszy ma po szyść palców u rąk! - dodał z dumą.

...Pić. Nie szklankę, ale chociaż łyczek. Niech będzie ciepła, wziąłby i ciepłą. Niech będzie niefiltrowana. Jakakolwiek. Łyczek. I znów zasnąć, póki nie przyjdą konwojenci. Żeby znów zrobiło się pusto i nie było się czego bać. Żeby nie kręciła się, nie swędziała go, nie dźwięczała mu w uszach myśl, że popełnił błąd. Że nie miał prawa. Że powinien był stamtąd odejść. Odwrócić się plecami. Zatkać uszy. Iść dalej. Przedostać się z Puszkińskiej na Czechowską. A stamtąd jedna stacja. To takie proste. Tylko jedna stacja, i zrobione, zadanie wykonane. Żyje.

Pić. Ręce tak mu zdrętwiały, że kompletnie ich nie czuł.

O ile łatwiej jest umierać tym, którzy w coś wierzą! Tym, którzy są przekonani, że śmierć to nie koniec wszystkiego. W oczach których świat dzieli się wyraźnie na białe i czarne, którzy wiedzą dokładnie, co trzeba robić i dlaczego, którzy niosą pochodnię idei, wiary, a w ich świecie wszystko wygląda prosto i zrozumiale. Tym, którzy nie mają żadnych wątpliwości, żadnych wyrzutów sumienia. Takim ludziom umiera się lekko. Umierają z uśmiechem.

- Kiedyś awoce, o, takie były! A jakie piękny kwiaty! Dawałem je w pryzyncie dziewczynom, byzpłatnie, a ony się da mnie uśmiechały - docierało do niego, ale te słowa nie mogły go już odciągnąć od tamtego.

Z głębi holu dały się słyszeć kroki - nadchodziło kilku ludzi i Artemowi serce ścisnęło się w piersi, zamieniając się w małą, pulsującą nerwowo kuleczkę. Po niego? Jak szybko! Myślał, że czterdzieści minut będzie się ciągnąć dłużej... Albo oszukał go ten cholerny współwięzień, złośliwie powiedział, że zostało więcej czasu, chciał dać nadzieję? Nie, to już...

Wprost przed jego wzrokiem zatrzymały się trzy pary butów. Dwóch ludzi w wojskowych spodniach w panterkę, jeden w czerni. Zazgrzytał zamek i Artem ledwo powstrzymał się, by nie upaść w ślad za otwierającą się kratą.

- Podnieście go - rozległ się wibrujący głos.

Od razu chwycono go pod pachy, i wzniósł się pod sam sufit.

- Pawadzynia! - życzył mu na pożegnanie Rusłan.

Dwaj ludzie z karabinami, nie ci, którzy z nim rozmawiali, inni, ale tak samo pozbawieni twarzy, i trzeci - odziany w czarny mundur i mały beret, z ostrym wąsikiem i wodnistymi niebieskimi oczyma.

- Za mną - rozkazał dowódca i powlekli Artema w kierunku przeciwległego końca peronu.

Próbował iść sam, nie miał ochoty, by go ciągnęli niczym bezwolną kukłę... jeśli już rozstawać się z życiem, to z godnością. Lecz nogi nie słuchały go, uginały się, mógł tylko niezdarnie szurać nimi po posadzce, hamując ich pochód, aż wąsaty w czarnym mundurze srogo na niego spojrzał.

Klatki nie ciągnęły się do samego końca sali. Ich szereg urywał się kawałek za środkiem stacji, w miejscu, gdzie w dół schodziły wstęgi ruchomych schodów. Tam, w dole, płonęły pochodnie, po sklepieniu pełgały złowieszcze krwistoczerwone odblaski. Dolatywały stamtąd pełne bólu krzyki. Artemowi przemknęła myśl o piekle, i nawet poczuł ulgę, kiedy poprowadzili go dalej. Z ostatniej celi jakiś nieznajomy zawołał do niego: „Żegnaj, towarzyszu!", ale nie zwrócił na to uwagi. Przed oczami majaczyła mu szklanka wody.

Pod przeciwległą ścianą stała straż, grubo ciosany stół z dwoma krzesłami i wisiał podświetlony znak zakazu wstępu czarnym. Szubienicy nigdzie nie było widać i Artemowi mignęła przez ułamek sekundy szalona nadzieja, że chcieli go po prostu nastraszyć: tak naprawdę prowadzą go nie po to, żeby go powiesić, ale wypuścić na końcu stacji, tak żeby inni więźniowie nie widzieli.

Wąsaty, który szedł przodem, skręcił w ostatnią arkadę, w stronę torów, i Artem jeszcze mocniej uwierzył w fantastyczny ratunek...

Na szynach stała niewielka, zbita z desek platforma na kółkach, zrobiona tak, że jej powierzchnia znajdowała się na równi z poziomem peronu. Sprawdzając pętlę zwisającą z wbitego w sklepienie haka, stał na niej krępy mężczyzna w mundurze z kamuflażem. Od pozostałych różniły go tylko zakasane rękawy, obnażające krótkie, mocne przedramiona, i naciągnięta na głowę chusta z wyciętymi otworami na oczy.

- Wszystko gotowe? - zabrzęczał czarny mundur, i kat skinął mu głową.

- Nie podoba mi się ta konstrukcja - oznajmił czarnemu. - Dlaczego nie można było wziąć starego dobrego stołeczka? Tam było: trrach! - uderzył pięścią w dłoń. - Kręgosłup chrup! - klient załatwiony. A ten wynalazek... Zanim zdechnie, to ile się będzie rzucał, jak robak na haczyku. A potem, jak zdychają, ile jest jeszcze z nimi roboty! Jelita im przecież puszczają i...

- Cisza! - przerwał mu czarny, zabrał go na bok i coś mu wściekłe syknął.

Kiedy tylko dowódca odszedł, żołnierze natychmiast wrócili do przerwanej rozmowy:

- No i co? - niecierpliwie zapytał ten z lewej.

- A no to - odrzekł scenicznym szeptem ten z prawej - przycisnąłem ją do filara, włożyłem rękę pod spódnicę, no, a ona tak zmiękła i mówi mi... - ale nie mógł dokończyć, gdyż wąsaty wrócił.

- ...Mimo że jest Rosjaninem, przygotowywał zamach! Zdrajca, odstępca, degenerat, a zdrajcy powinni w męczarniach! - pouczył na koniec kata.

Rozwiązali Artemowi zdrętwiałe ręce, zdjęli mu kurtkę i sweter, tak że został tylko w brudnej podkoszulce. Potem zerwali mu z szyi otrzymaną od Huntera łuskę.

- Talizman? - zainteresował się oprawca. - Włożę ci go do kieszeni, może jeszcze się przyda.

Jego głos brzmiał zupełnie niezłośliwie, a nawet jakoś uspokajająco.

Potem znów związali mu ręce z tyłu, i popchnęli na szafot. Żołnierze zostali na peronie, byli już niepotrzebni, bo nie miał szans na ucieczkę, wszystkie siły zużywał na to, żeby ustać na nogach, kiedy kat zakładał mu pętlę na szyję i regulował jej zacisk. Ustać, nie upaść, milczeć. Pić. To wszystko, co zajmowało teraz jego myśli. Wody. Wody!

- Wody... - wychrypiał.

- Wody? - ze smutkiem rozłożył ręce kat. - A skąd ja ci teraz wezmę wodę? Nie da się, gołąbeczku, my tu z tobą i tak mamy opóźnienie w harmonogramie, tak że wytrzymaj jeszcze chwilkę...

Ciężko zeskoczył na tory i, splunąwszy w dłonie, złapał za przywiązaną do szafotu linę. Żołnierze stanęli na baczność, a ich dowódca zrobił ważną, a nawet nieco uroczystą minę.

- Jako nieprzyjacielskiego szpiega, który nikczemnie zdradził swój naród, odstąpił... - zaczął ten w czerni.

Artemowi w głowie zawirował gorączkowy korowód oderwanych myśli i obrazów, poczekajcie, jeszcze wcześnie, jeszcze nie jestem gotowy, ja muszę, potem przed oczyma stanęła mu surowa twarz Huntera i od razu rozpłynęła się w szkarłatnym półmroku stacji, oczy Suchego spojrzały na niego z tkliwością i zgasły. Michaił Porfiriewicz... „Umrzesz ty”... czarni... oni przecież nie mogą... Czekajcie! I nad tym wszystkim, zagłuszając wspomnienia, słowa, chęci, otaczając je duszącym gęstym dymem, wisiało pragnienie. Pić...

- ...wyrodka, plugawiącego swój naród... - wciąż dudnił głos.

Nagle z tunelu rozległy się krzyki i zagrzmiała seria z karabinu maszynowego, potem doleciał ich głośny trzask i wszystko ucichło. Żołnierze złapali za automaty, czarny poruszył się niespokojnie i pośpiesznie zakończył:

- Do egzekucji. Wykonać! - i machnął ręką.

Kat chrząknął i pociągnął za linę, zapierając się nogami o deski podkładu kolejowego. Platforma uciekła Artemowi spod nóg, próbował jeszcze przebierać nimi tak, żeby zostać na szafocie, ale ten odjeżdżał coraz dalej, utrzymać się było coraz trudniej, sznur wrzynał się w szyję i ciągnął go w tył, ku śmierci, a on nie chciał, on tak bardzo nie chciał...

A potem ziemia usunęła mu się spod nóg i całym swoim ciężarem ściągnął pętlę. Ścisnęła mu drogi oddechowe, z gardła wyrwało mu się ochrypłe rzężenie, wzrok

natychmiast stracił ostrość, wszystkie wnętrzności Artema skręciły się, każda komórka błagała o łyk powietrza, ale zaczerpnąć go nijak się nie dało, i jego ciało zaczęło się wić bezmyślnie, konwulsyjnie, a w dole brzucha poczuł ohydną, łaskoczącą słabość.

W tym momencie stację nagle wypełnił gryzący żółty dym, wystrzały zaterkotały całkiem blisko i tu Artem stracił świadomość.

- Hej, wisielec! Dawaj, nie ma co udawać! Puls masz wyczuwalny, więc mi tu nie symulować! - i porządne chlaśnięcie w policzek wróciło mu przytomność.

- Nie będę mu robił jeszcze raz sztucznego oddychania! - powiedział drugi głos.

Tym razem Artem był absolutnie pewny, że to sen, być może jakieś ostatnie majaki przed końcem. Śmierć była tak blisko, a jej żelazny ucisk na gardle czuł tak mocno, jak wtedy, gdy jego nogi straciły podporę i zawisły nad szynami.

- Daruj sobie spanie, jeszcze masz na to czas! - nastawał pierwszy głos. - Tym razem ściągnęliśmy cię z szubienicy, więc porozkoszowałbyś się życiem, a nie mordą w dół leżysz!

Czuł silne mdłości. Artem otworzył nieśmiało jedno oko i od razu je zamknął, upewniwszy się, że chyba jednak musiał przedwcześnie wyzionąć ducha i zaczęło się już dla niego życie pozagrobowe. Nad nim stał stwór nieco tylko podobny do człowieka, lecz tak niezwykły, że czas było przypomnieć sobie wykłady Chana na temat miejsc, do których trafia dusza po oddzieleniu się od śmiertelnego ciała. Skórę to stworzenie miało matowożółtą, co było widać nawet w świetle latarki, zaś w miejsce oczu były tylko wąskie szparki, zupełnie jakby ktoś rzeźbił w drzewie i zakończył prawie całą twarz, a oczy tylko zaznaczył i zapomniał je potem wyżłobić, by się otwarły i mogły popatrzeć na świat. Twarz była okrągła, z wyrazistymi kośćmi policzkowymi, Artem jeszcze nigdy takiej nie widział.

- Nie, tak się nie będziemy bawić - stanowczym tonem oznajmił ktoś nad nim, i w twarz chlusnęła mu woda.

Artem przełknął ją konwulsyjnie, wyciągnął ręce i chwycił dłonie trzymające butelkę. Najpierw na dłuższy czas przyssał się do jej szyjki i dopiero potem podniósł się i rozejrzał dookoła.

Jechał z zawrotną prędkością w ciemnym tunelu, leżąc na dość długiej, co najmniej dwumetrowej drezynie. W powietrzu unosił się słaby zapach spalenizny i Artem pomyślał z niedowierzaniem, że pojazd chyba jest na benzynę. Oprócz niego na drezynie było czterech ludzi i duży, brązowy podpalany pies. Jednym z czwórki był ten, który uderzał Artema po policzkach, drugi okazał się brodatym facetem w czapce uszance z naszytą czerwoną gwiazdą i w waciaku. Za plecami kołysał mu się długi automat, w rodzaju tej „motyki", którą Artem miał wcześniej, tyle że z dodatkowo przytwierdzonym pod lufą bagnetem. Trzecim był chłop na schwał, którego twarzy Artem nie mógł z początku dojrzeć, a potem o mało nie zeskoczył na tory ze strachu: jego skóra była bardzo ciemna, i dopiero kiedy mu się przyjrzał, trochę się uspokoił: to nie był czarny, odcień skóry był zupełnie inny, a i twarz miał on normalną, ludzką, choć z nieco wydętymi wargami i spłaszczonym jak u boksera nosem. Ostatni z nich posiadał względnie zwyczajną powierzchowność, za to jego piękna, szlachetna twarz i męski podbródek przypominały Artemowi trochę plakat z Puszkińskiej. Ubrany był w szykowną skórzaną kurtkę, przewiązaną szerokim paskiem z podwójnym rzędem dziurek i oficerskim bandoletem, a z pasa zwisała mu imponujących rozmiarów kabura. Z tyłu drezyny pobłyskiwał karabin maszynowy diegtiariowa i dziarsko powiewała czerwona flaga. Kiedy padł na nią przypadkowy promień latarki, stało się jasne, że to nie do końca sztandar, a właściwie, że to w ogóle nie jest żaden sztandar, ale oberwany strzęp materiału z czarną podobizną brodatej twarzy. Wszystko to razem o wiele bardziej przypominało bzdurne przywidzenie, niż jego wcześniejszy sen z Hunterem, który bez litości wyrżnął całą Puszkińską.

- Ocknął się! - zawołał radośnie ten z wąskimi oczami. - No, wisielec, gadaj, za co to było?

Mówił bez żadnego akcentu, jego wymowa niczym się nie różniła od tej Artema czy Suchego. To było bardzo dziwne, słyszeć czystą rosyjską mowę z ust takiego niezwykłego stwora. Artem nie mógł się pozbyć wrażenia, że to jakaś farsa i wąskooki tylko otwiera usta, a mówi za niego facet z brodą albo ten w skórzanej kurtce.

- Oficera im... zastrzeliłem - wyznał niechętnie.

- No, to niezły kozak z ciebie! Tak to się robi po naszemu! Tak ich trzeba! - skomentował z entuzjazmem wąskooki, a potężny ciemnoskóry chłopak siedzący z przodu odwrócił się do Artema i podniósł brwi z uwagą. Artemowi przemknęła przez głowę myśl, że ten to już na pewno kaleczy słowa.

- Czyli nie na próżno zrobiliśmy tam taki burdel - uśmiechnął się szeroko, wymawiając wszystko tak nienagannie, że Artem pogubił się i nie wiedział już, co myśleć.

- Jak cię zwą, bohaterze? - spojrzał na niego przystojniak w skórze, i Artem przedstawił się.

- Ja jestem towarzysz Rusakow. To jest towarzysz Banzai - ten w kurtce wskazał wąskookiego. - To towarzysz Maxim - ciemnoskóry znów wyszczerzył zęby w uśmiechu - a to towarzysz Fiodor.

Do psa doszedł na końcu. Artem zupełnie by się nie zdziwił, gdyby jego też przedstawiono jako „towarzysza". Ale pies nazywał się po prostu Karacupa[5]. Artem ścisnął po kolei silną, żylastą dłoń towarzysza Rusakowa, wąską lecz silną rękę towarzysza Banzaia, czarną szuflę towarzysza Maxima i mięsistą kiść towarzysza Fiodora, usilnie starając się zapamiętać wszystkie te imiona, szczególnie najtrudniejsze - Karacupa. Przy tym, szybko się wyjaśniło, że wszyscy zwracali się do siebie nawzajem trochę inaczej. Do dowódcy mówili „towarzyszu komisarzu", ciemnoskórego nazywali raz Maksimka, innym razem Lumumba, wąskookiego po prostu Banzai, a brodacza w uszance - wujek Sasza.

- Witamy w Pierwszej Międzynarodowej Czerwonej Brygadzie Bojowej Metra Moskiewskiego imienia Towarzysza Ernesto Che Guevary! - zakończył uroczyście towarzysz Rusakow.

Artem podziękował i umilkł, rozglądając się po bokach. Nazwa była bardzo długa, jej koniec zlał się w ogóle w coś niezrozumiałego, czerwień od jakiegoś czasu działała na Artema podobnie jak na byka, a słowo „brygada" wywoływało nieprzyjemne skojarzenia z opowieściami Żeńki o bandyckim chaosie panującym gdzieś na Szabołowskiej. Najbardziej intrygowała go fizjonomia na trzepoczącym na wietrze płótnie, i nieśmiało zapytał:

- A kto to jest na waszej fladze? - w ostatniej chwili powstrzymał się, żeby nie chlapnąć „na waszej szmacie".

- A to, bracie, jest właśnie Che Guevara - wyjaśnił mu Banzai.

- Jaka czegewara? - nie zrozumiał Artem, ale po nabiegłych krwią oczach towarzysza Rusakowa i drwiącym uśmieszku Maxima domyślił się, że palnął głupstwo.

- Towarzysz. Ernesto. Che. Guevara - odmierzył każde słowo oddzielnie komisarz. - Wielki. Kubański. Rewolucjonista.

Teraz wszystko zabrzmiało o wiele czytelniej, i chociaż nie stało się bardziej zrozumiałe, Artem postanowił zrobić entuzjastyczny wyraz twarzy i zamilknąć. W końcu ci ludzie uratowali mu życie, i denerwować ich teraz swoją ignorancją byłoby nieuprzejmie.

Spojenia na półokrągłym sklepieniu tunelu migały fantastycznie szybko, w czasie rozmowy zdołali już przemknąć przez jedną na wpół opuszczoną stację i zatrzymali się w półmroku tunelu za nią. W bok skręcała tu ślepa uliczka.

---

[5] Nikita Karacupa (1910-1994) - legendarny radziecki żołnierz ochrony pogranicza, specjalista od pracy z psami tropiącymi [przyp. tłum.].

- Zobaczmy, czy faszystowska gadzina spróbuje nas ścigać - odezwał się towarzysz Rusakow.

Trzeba teraz było mówić szeptem, bo towarzysz Rusakow i Karacupa uważnie przysłuchiwali się dźwiękom dochodzącym z głębi tunelu.

- Dlaczego to zrobiliście? Czemu mnie... odbiliście? - próbując znaleźć odpowiednie słowo spytał Artem.

- Planowy wypad. Dostaliśmy informację - uśmiechając się tajemniczo, wyjaśnił Banzai.

- O mnie? - spytał z nadzieją Artem, który po słowach Chana o jego specjalnej misji, zaczął wierzyć we własną wyjątkowość.

- Nie, ogólną - Banzai zrobił ręką nieokreślony ruch - że planują bestialskie mordy. Towarzysz komisarz postanowił temu zapobiec. Poza tym, takie mamy zadanie: szarpać te swołocze cały czas.

- Z tej strony nie mają barykad, nawet żadnego mocnego reflektora, tylko zwykłe posterunki z ogniskami - dodał Maksimka. - No to przejechaliśmy prosto przez nich. Niestety, trzeba było użyć cekaemu. A potem granat dymny, my w maskach przeciwgazowych, ciebie żeśmy zdjęli, tego domorosłego esesmana szybko osądziliśmy trybunałem rewolucyjnym, i wio z powrotem.

Wujek Fiodor, milczący i popalający jakieś świństwo, które dymiło tak, że aż oczy łzawiły, nagle się przejął:

- Tak, mały, porządnie ci tam przylutowali. Chcesz spirytu? - i, wyciągnąwszy ze stojącej na drezynie żelaznej skrzynki do połowy opróżnioną butelkę z jakimś mętnym płynem, potrząsnął nią i podał Artemowi.

Ten potrzebował dużo odwagi, żeby wziąć łyk. W środku jakby ktoś przejechał mu papierem ściernym, ale imadło, które ściskało mu głowę przez ostatnią dobę, nieco puściło.

- Czyli jesteście... czerwoni? - spytał ostrożnie.

- My, bracie, jesteśmy komuniści! Rewolucjoniści! - powiedział z dumą Banzai.

- Z Linii Czerwonej? - drążył Artem.

- Nie, sami z siebie - jakoś niepewnie odrzekł tamten i szybko dodał: - To ci wyjaśni towarzysz komisarz, on jest u nas na odcinku ideologii.

Towarzysz Rusakow po jakimś czasie wrócił i oznajmił:

- Wszędzie cisza - jego wspaniała, męska twarz wyrażała spokój. - Możemy zrobić przerwę.

Nie było z czego rozpalić ogniska. Mały czajniczek powiesili nad maszynką spirytusową i rozdzielili po równo kawałek zimnej wieprzowej szynki. Jadali, jak na rewolucjonistów, podejrzanie dobrze.

- Nie, towarzyszu Artemie, nie jesteśmy z Linii Czerwonej - twardo oznajmił towarzysz Rusakow, kiedy Banzai powtórzył mu pytanie Artema. - Towarzysz Moskwin przeszedł na pozycje stalinowskie, rezygnując z wszechstacyjnej rewolucji, oficjalnie odcinając się od Międzystacjonówki i zaprzestając działalności rewolucyjnej. To renegat i ugodowiec. My tu z towarzyszami skłaniamy się raczej ku linii trockistowskiej. Można jeszcze wysnuć paralelę z Castro i Che Guevarą. Dlatego mamy go na naszej banderze bojowej - i zamaszystym gestem wskazał zwisającą markotnie szmatkę. - Pozostaliśmy wierni idei rewolucji, w odróżnieniu od tego kolaboracjonisty, towarzysza Moskwina. My tu z towarzyszami potępiamy jego linię.

- Aha, a wachę to kto ci daje? - wtrącił z innej beczki wujek Fiodor, zaciągając się skrętem.

Towarzysz Rusakow zrobił się czerwony i zabójczym wzrokiem spojrzał na wujka Fiodora. Ten tylko szyderczo mruknął i zaciągnął się jeszcze mocniej.

Artem mało co zrozumiał z wyjaśnień komisarza, oprócz najważniejszego: z tymi czerwonymi, którzy zamierzali wypruć flaki z Michaiła Porfiriewicza, a jego samego rozstrzelać, ci tutaj mieli niewiele wspólnego.

To go uspokoiło, i chcąc zrobić dobre wrażenie, i błysnąć wiedzą powiedział:

- Stalin to ten, co leży w Mauzoleum, tak?

Tym razem stanowczo przeholował. Gniewny grymas oszpecił piękną męską twarz towarzysza Rusakowa, Banzai w ogóle odwrócił się plecami, i nawet wujek Fiodor spochmurniał.

- Nie, nie, to Lenin leży w Mauzoleum! - szybko poprawił się Artem.

Groźne zmarszczki na wysokim czole towarzysza Rusakowa wygładziły się, i powiedział tylko surowo:

- Trzeba jeszcze nad wami dużo pracować, towarzyszu Artemie!

Artem zupełnie nie miał ochoty, żeby towarzysz Rusakow nad nim pracował, ale powstrzymał się i nic nie powiedział. O polityce rzeczywiście miał nikłe pojęcie, ale zaczynała go interesować, dlatego, przeczekawszy burzę, którą wywołał, odważył się spytać:

- A dlaczego jesteście przeciw faszystom? To znaczy, ja też jestem przeciw, ale wy jesteście rewolucjonistami, i...

- My tak te gnidy za Hiszpanię, za Ernsta Thalmanna i drugą wojnę! - zaciskając wściekle zęby, wycedził towarzysz Rusakow, i choć Artem znów nic nie zrozumiał, ustrzegł się błędu i nie zdradził swojej niewiedzy.

Kubki wypełniły się wrzątkiem i wszyscy się ożywili. Banzai zaczął zasypywać brodacza jakimiś idiotycznymi pytaniami, ewidentnie, żeby go zdenerwować, a Maksimka, przysiadłszy się do towarzysza Rusakowa, cicho zapytał:

- A powiedzcie, towarzyszu komisarzu, co marksizm-leninizm mówi o bezgłowych mutantach? Mnie to już od dawna niepokoi. Chciałbym być mocny ideologicznie, a w tej kwestii ciągle mam lukę - jego olśniewająco białe zęby błysnęły w uśmiechu wyrażającym poczucie winy.

- Widzisz, towarzyszu Maximie - nie od razu odpowiedział komisarz - to jest, bracie, trudna sprawa - i głęboko się zadumał.

Artema też ciekawiło, co reprezentują mutanty z punktu widzenia polityki, no, i czy w ogóle istnieją. Lecz towarzysz Rusakow milczał, i myśli Artema wróciły na tory, na których tkwiły przez wszystkie ostatnie dni. Musi dotrzeć do Polis. Cudem udało mu się uratować, otrzymał jeszcze jedną szansę, być może ostatnią. Wszystko go bolało, ciężko mu było oddychać, zbyt głębokie wdechy przechodziły w kaszel, a jednego oka nadal nijak nie mógł otworzyć. Tak bardzo chciał teraz zostać z tymi ludźmi! Z nimi czuł się o wiele spokojniej i pewniej, i gęstniejący wokół mrok nieznanego tunelu zupełnie nie przytłaczał: po prostu nie było czasu ani ochoty, by o nim myśleć. Szelesty i skrzypnięcia dochodzące z czarnych czeluści już go nie przerażały, nie budziły niepokoju, i marzył, żeby ten odpoczynek trwał wiecznie: tak cudownie było przeżywać od nowa swoje ocalenie. Choć śmierć kłapnęła mu żelaznymi zębami nad samym uchem, minimalnie tylko chybiając, lepki, zabijający myśli, paraliżujący ciało strach, który owładnął nim przed egzekucją, już się ulotnił, wyparował bez śladu, a jego resztki, ukryte gdzieś pod sercem i w żołądku, wypalił diabelski samogon brodatego towarzysza Fiodora. A sam Fiodor, i narwany Banzai, i poważny komisarz w skórze, i ogromny Maxim-Lumumba - z nimi było tak lekko, jak nie czuł się od czasu, kiedy sto lat temu wyszedł z WOGN-u. Nie zostało mu już nic z tego, co wcześniej posiadał. Świetny nowiutki automat, prawie pięć magazynków z nabojami, paszport, jedzenie, herbata, dwie latarki - wszystko przepadło. Wszystko zostało u faszystów. Tylko kurtka, spodnie... aha! I łuska z wiadomością, o której kat powiedział: „Może jeszcze się przyda”. Co tu teraz robić? Ech, zostać tutaj, z bojownikami

Międzynarodowej, nawet Czerwonej Brygady imienia... imienia... nieważne. Żyć ich życiem i zapomnieć o własnym...

Nie. Nie wolno mu. Nie można się zatrzymywać ani na minutę, nie można odpoczywać. Nie ma prawa. To już nie jest jego życie, jego los należy do innych, od momentu, w którym zgodził się na propozycję Huntera. Teraz już za późno. Trzeba iść. Innego wyjścia nie ma.

Długo siedział w milczeniu, starając się o niczym nie myśleć, lecz ponura decyzja dojrzewała w nim z każdą sekundą, nawet nie w świadomości, a w zmęczonych mięśniach, w nabrzmiałych i obolałych żyłach, zupełnie jakby pluszową zabawkę, z której wypruto wszystkie trociny, tak że stała się bezkształtną szmatą, ktoś naciągnął na twardy, stalowy szkielet. To był już nie całkiem on, jego dawna osobowość rozwiała się razem z tymi trocinami, które zabrały przeciągi w tunelach, rozpadła się na części, a teraz w jego powłoce zamieszkał ktoś inny, kto po prostu nie chciał słuchać rozpaczliwych błagań umęczonego, krwawiącego ciała, kto żelazną pięścią tłumił w zarodku chęć, by się poddać, zostać tu, odpocząć, nic nie robić, i to jeszcze zanim przyjęła ostateczny, rozpoznawalny kształt. Ten inny człowiek podejmował decyzje na poziomie odruchów, reakcji mięśniowych, rdzenia kręgowego, z pominięciem świadomości, w której panowała teraz cisza i pustka, i niekończący się dialog wewnętrzny urwał się w pół słowa.

Wewnątrz Artema jakby wyprostowała się ściśnięta sprężyna. Niezręcznym drewnianym ruchem podniósł się z ziemi i komisarz spojrzał na niego ze zdziwieniem, a Maxim nawet położył rękę na automacie.

- Towarzyszu komisarzu, mogę pana prosić... na słowo - pozbawionym intonacji głosem poprosił Artem.

Tu odwrócił się z niepokojem również Banzai, odczepiwszy się wreszcie od nieszczęsnego wujka Fiodora.

- Mówcie otwarcie, towarzyszu Artemie, nie mam z moimi partyzantami żadnych tajemnic - ostrożnie odparł komisarz.

- Rozumie pan... Jestem wszystkim wam bardzo wdzięczny za to, że mnie uratowaliście. Ale nie mam wam czym odpłacić. Bardzo chciałbym z wami zostać. Ale nie mogę. Powinienem iść dalej. Ja... muszę.

Komisarz nic nie odpowiedział.

- A dokąd to musisz iść? - wtrącił się nieoczekiwanie wujek Fiodor.

Artem zacisnął usta i wbił wzrok w ziemię. Zapanowała niezręczna cisza. Wydało mu się, że patrzą teraz na niego w napięciu i podejrzliwie, próbując odgadnąć jego zamiary. Szpieg? Zdrajca? Dlaczego się kryje?

- No, jak nie chcesz, to nie mów - rzekł pojednawczo wujek Fiodor.

- Do Polis - nie wytrzymał Artem. Nie mógł przez idiotyczną konspirację ryzykować utraty zaufania i sympatii takich ludzi.

- A co, masz tam jakąś sprawę? - zapytał brodacz z niewinną miną.

Artem kiwnął głową w milczeniu.

- Pilną? - wypytywał dalej.

Artem kiwnął jeszcze raz.

- Widzisz, chłopcze, nie będziemy cię zatrzymywać. Nie chcesz nic powiedzieć o swoich sprawach, Bóg z tobą. Ale nie możemy cię przecież porzucić na środku tunelu! Bo nie możemy, prawda, chłopaki? - obrócił się do pozostałych.

Banzai zdecydowanie przytaknął, Maksimka od razu zdjął ręce z lufy karabinu i również potwierdził, że nie mogą. Tu wystąpił towarzysz Rusakow.

- Towarzyszu Artemie, jesteście gotowi przed obliczem bojowników naszej brygady, którzy uratowali wam życie, przysiąc, że nie zamierzacie swoim zadaniem przynieść uszczerbku dziełu rewolucji? - zapytał surowo.

- Przysięgam - z ochotą odpowiedział Artem. Dziełu rewolucji nie zamierzał zrobić żadnej krzywdy, były rzeczy jeszcze poważniejsze.

Towarzysz Rusakow długo i uważnie patrzył mu w oczy, i wreszcie ogłosił werdykt:

- Towarzysze bojownicy! Osobiście wierzę towarzyszowi Artemowi. Proszę głosować za tym, by pomóc mu dotrzeć do Polis.

Wujek Fiodor podniósł rękę jako pierwszy, i Artem pomyślał, że to pewnie właśnie on zdjął go z szubienicy. Potem zagłosował Maxim, a Banzai po prostu kiwnął głową.

- Widzicie, towarzyszu Artemie, tu niedaleko jest nieznany szerokim masom ludowym przejazd, który łączy linie Zamoskworiecką i Czerwoną - powiedział dowódca. - Możemy was przewieźć...

Nie udało mu się zakończyć, gdyż Karacupa, leżący dotąd spokojnie u jego nóg, nagle podskoczył i zaczął ogłuszająco szczekać. Towarzysz Rusakow błyskawicznie wyciągnął z kabury lśniącą TT-kę. Ruchów pozostałych Artem nawet nie potrafił zarejestrować: Banzai już ciągnął linkę silnika, Maxim zajął pozycję z tyłu, a wujek Fiodor z tej samej skrzynki, w której trzymał samogon, wyjął butelkę ze sterczącym z szyjki lontem.

Tunel schodził w tym miejscu w dół, tak że widoczność była bardzo słaba, lecz pies ciągle ujadał, i Artemowi udzielił się ogólny nastrój niepokoju.

- Dajcie mi też karabin - poprosił szeptem.

Gdzieś niedaleko zapaliło się i zgasło światło dość silnej latarki, potem dał się słyszeć czyjś szczekliwy głos wydający krótkie komendy. Po szynach zastukały ciężkie buciory, rozległo się stłumione przekleństwo, i znów wszystko ucichło. Karacupa, któremu komisarz zacisnął pysk ręką, uwolnił się i znów zaczął szczekać.

- Nie chce odpalić - stłumionym głosem mruknął Banzai - trzeba będzie popchnąć!

Artem pierwszy zszedł z drezyny, za nim zeskoczył brodacz, potem Maxim, i ciężko, zapierając się podeszwami o śliskie deski torowiska, ruszyli maszynę z miejsca. Rozpędzała się zbyt wolno, i kiedy uruchomiony w końcu silnik zaczął wydawać przypominające kaszel dźwięki, stukot buciorów grzmiał już całkiem blisko.

- Ognia! - padł rozkaz z ciemności, i wąską przestrzeń tunelu wypełniły odgłosy strzałów. Grzmiały z początku przynajmniej cztery karabiny, kule chaotycznie gwizdały dookoła, odbijały się rykoszetem, krzesząc iskry przy trafieniach w rury.

Artem pomyślał, że nie wydostaną się stąd żywi, lecz Maxim wyprostował się i trzymając cekaem w rękach puścił długą serię, po której automaty umilkły. Wtedy drezyna poszła łatwiej, i pod koniec trzeba było za nią biec, żeby się dało wskoczyć na platformę.

- Uciekają! Naprzód! - ktoś krzyknął z tyłu, i automaty za ich plecami zagrały z potrójną siłą, ale większość kul trafiała w ściany i sufit tunelu.

Brodacz zręcznie podpalił od skręta groźnie syczący lont, zawinął butelkę w jakiś gałgan i rzucił na tory. Po chwili za nimi oślepiająco błysnęło i rozległ się ten sam trzask, który Artem już raz słyszał, kiedy stał z pętlą na szyi.

- Dawaj jeszcze! I dymny! - rozkazał towarzysz Rusakow.

Drezyna spalinowa to po prostu cudo, myślał Artem, kiedy pogoń została daleko w tyle, próbując przedrzeć się przez zasłonę dymną. Maszyna z lekkością sunęła naprzód, i płosząc pieszych, przemknęła przez Nowokuźniecką, na której towarzysz Rusakow kategorycznie zabronił się zatrzymywać. Minęli stację tak szybko, że Artemowi nie udało się jej nawet należycie przyjrzeć. Niczego specjalnego na niej jednak nie zauważył, tylko bardzo skąpe oświetlenie, choć ludzi było na niej całkiem sporo. Banzai szepnął mu, że to bardzo kiepska stacja, a jej mieszkańcy też są dziwni, zaś ostatnim razem, kiedy chcieli się tu zatrzymać, mocno tego pożałowali i ledwo uszli stąd cało.

- Wybacz, towarzyszu, teraz nie będziemy mogli ci pomóc - po raz pierwszy przechodząc na „ty", zwrócił się do niego towarzysz Rusakow. - Teraz przez dłuższy czas

nie będziemy mogli tam wracać. Wycofujemy się do naszej rezerwowej bazy na Awtozawodskiej. Jeśli chcesz, przyłącz się do brygady.

Artem znów musiał przezwyciężyć sam siebie i odrzucić propozycję, ale teraz było to łatwiejsze. Ogarnął go rozpaczliwy śmiech. Cały świat był przeciwko niemu, wszystko szło nie tak. Oddalał się teraz od centrum, i z każdą sekundą ten cel był coraz mniej wyraźny, pogrążał się w mrokach tuneli, które dzieliły Artema od niego, tracił swoją realność, znów zmieniając się w coś abstrakcyjnego i niedosiężnego. Ale wrogość świata do niego i jego zadania budziła w Artemie złość, która wypełniała mu teraz muskuły, upartą złość, rozpalającą mu przygasły już wzrok buntowniczym ogniem, zastępującą mu i strach, i instynkt samozachowawczy, i rozum, i siłę.

- Nie - powiedział, po raz pierwszy twardo i spokojnie. - Muszę iść.

- A więc dojedziemy razem do Pawieleckiej i tam się rozstaniemy - po chwili milczenia zaakceptował jego wybór komisarz. - Szkoda, towarzyszu Artemie. Potrzebujemy bojowników.

Nieopodal Nowokuźnieckiej tunel się rozdwajał. Drezyna skręciła w lewo. Kiedy Artem spytał, co jest w prawym tunelu, usłyszał, że tam nie mogą jechać: kilkaset metrów dalej znajduje się wysunięta placówka Hanzy, istna twierdza. Ten niepozorny tunel, jak się okazało, wiódł do trzech stacji Linii Okrężnej naraz: Oktiabrskiej, Dobrynińskiej i Pawieleckiej. Hanza nie zamierzała burzyć tego łącznika i tym samym unicestwić tak ważnego węzła komunikacyjnego, ale był on wykorzystywany tylko przez jej tajnych agentów. Jeśli ktoś obcy próbował zbliżyć się do placówki, był likwidowany jeszcze na przedpolu, bez szans na tłumaczenia.

Po jakimś czasie za tym rozwidleniem ukazała się Pawielecka. Artem pomyślał, że prawdę mówił któryś z jego znajomych na WOGN-ie, że kiedyś całe metro z jednego końca do drugiego można było przejechać w godzinę, choć wtedy w to nie wierzył. Ech, gdyby miał taką drezynę...

Tyle, że i drezyna by nie pomogła, mało gdzie można było przejechać ot tak, po prostu, na luzie, może tylko wzdłuż granicy Hanzy, a i to tylko na pokonanym przez nich właśnie odcinku.

Nie, niepotrzebnie marzył. W nowym świecie tak już być nie mogło, w nim każdy krok robiło się za cenę niewiarygodnych wysiłków i palącego bólu. Tamte czasy minęły bezpowrotnie. Tamten czarodziejski, przepiękny świat umarł. Już go nie ma. I nie można po nim płakać do końca życia.

Trzeba splunąć na jego grób i nigdy więcej nie odwracać się za siebie.

ROZDZIAŁ 10
NO PASARÁN!

Przed Pawielecką żadnych posterunków nie było widać, rozstąpiła się tylko przed nimi, dając im przejechać i uważnie przyglądając się drezynie, grupka włóczęgów siedząca jakieś trzydzieści metrów od wejścia na stację.

- Co to, nikt tu nie mieszka? - spytał Artem, starając się by jego głos brzmiał obojętnie.

Zupełnie nie miał ochoty zostać sam na porzuconej stacji, bez broni, jedzenia i dokumentów.

- Na Pawieleckiej? - towarzysz Rusakow spojrzał na niego ze zdziwieniem. - Oczywiście, że mieszkają!

- Ale dlaczego w takim razie nie ma tu posterunków? - upierał się Artem.

- No, przecież to Pa-wie-lec-ka! - wmieszał się Banzai, przy czym nazwę stacji wymówił z naciskiem, sylaba po sylabie. - Kto by ją chciał ruszyć?

Artem zrozumiał, że rację miał ten starożytny mędrzec, który umierając wyjawił, że wie tylko, że nic nie wie. Wszyscy mówili o nietykalności Pawieleckiej jak o czymś nie potrzebującym wyjaśnień i dla każdego zrozumiałym.

- Nie orientujesz się, czy co? - nie mógł uwierzyć Banzai. - Poczekaj, zaraz sam zobaczysz!

Pawielecka zdumiała Artema od pierwszego wejrzenia. Sklepienia były tu tak wysokie, że pochodnie sterczące z wbitych w ściany obręczy nie sięgały ich swoim drżącym światłem, co sprawiało niepokojące i magiczne wrażenie rozciągającej się nad głową nieskończoności. Ogromne półokrągłe arkady podtrzymywały zgrabne smukłe kolumny, które nieznanym sposobem były w stanie unieść potężne sklepienia. Przestrzeń między łukami arkad pokrywały zmatowiałe, ale wciąż jeszcze przypominające swą dawną wielkość, płaskorzeźby z brązu, i choć przedstawiały tylko tradycyjne sierpy i młoty, w obramowaniu tych łuków na wpół zapomniane symbole zburzonego imperium wyglądały tak dumnie i wyzywająco, jak w dniu, kiedy je wykuto. Niekończący się rząd kolumn, miejscami zalany drżącym, krwawym światłem pochodni, niknął w niewiarygodnie dalekiej ciemności, i nie chciało się wierzyć, że tam się urywa. Wydawało się, że płomienie liżą takie same wdzięczne marmurowe kolumny jeszcze setki i tysiące kroków dalej, nie mogąc się po prostu przebić przez gęsty, prawie wyczuwalny mrok. Ta stacja była pewnie kiedyś siedzibą cyklopa, i dlatego wszystko tu było takie gigantyczne...

Czyżby nikt nie śmiał się na niej osiedlić tylko dlatego, że jest tak piękna?

Banzai przełączył silnik na jałowe obroty, drezyna toczyła się coraz wolniej, stopniowo się zatrzymując, a Artem wciąż chciwie patrzył na niezwykłą stację. W czym rzecz? Dlaczego nikt nie niepokoi Pawieleckiej? W czym kryje się jej świętość? Przecież nie tylko w tym, że przypomina raczej bajkowy podziemny pałac niż element infrastruktury komunikacyjnej?

Tymczasem wokół nieruchomej drezyny zebrał się cały tłum oberwanych i brudnych chłopców w każdym możliwym wieku. Przyglądali się maszynie z zazdrością, a jeden odważył się nawet zeskoczyć na tory i dotykał silnika pogwizdując z podziwem, póki Fiodor go nie przegonił.

- To wszystko, towarzyszu Artemie. Tu nasze drogi się rozchodzą - przerwał rozmyślania Artema dowódca. - Poradziłem się towarzyszy i postanowiliśmy dać ci mały prezent. Trzymaj! - i podał Artemowi automat, pewnie jeden z tych, które zabrano zabitym konwojentom. - I jeszcze to - w jego dłoni była latarka, którą oświetlał sobie drogę wąsaty faszysta w czarnym mundurze. - To wszystko zdobyczne, więc bierz śmiało. Należy ci się.

Zostalibyśmy tu dłużej, ale nie możemy się zatrzymywać. Kto wie jak długo te faszystowskie świnie będą nas gonić. A za Pawielecką na pewno nie ośmielą się pokazać.

Mimo dopiero co zyskanej hardości i zdecydowaniu, Artemowi zrobiło się nieprzyjemnie ciężko na sercu, kiedy Banzai ściskał mu dłoń, życząc powodzenia, Maxim klepnął go przyjaźnie po ramieniu, a brodaty wujek Fiodor wyciągnął dla niego niedopitą flaszkę ze swoim wynalazkiem, nie wiedząc, co by mu jeszcze podarować:

- Bierz, chłopcze, jeszcze się kiedyś spotkamy. Nie umrzemy, żyć będziemy!

Towarzysz Rusakow jeszcze raz potrząsnął jego ręką i jego piękna męska twarz spoważniała.

- Towarzyszu Artemie! Na pożegnanie chciałbym ci powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, wierz w swoją gwiazdę. Jak mawiał towarzysz Ernesto Che Guevara: „Hasta la victoria siempre!". A po drugie, i najważniejsze: „NO PASARÁN!".

Pozostali bojownicy podnieśli w górę zaciśnięte w pięści prawe dłonie i chórem powtórzyli zaklęcie: „No pasarán!". Artemowi nie pozostało nic innego jak również zacisnąć pięść i odpowiedzieć tak zdecydowanie i rewolucyjnie, jak tylko potrafił: „No pasarán!", chociaż dla niego osobiście cały ten rytuał był kompletną abrakadabrą. Jednak nie chciał psuć tej podniosłej chwili pożegnania głupimi pytaniami. Widocznie wszystko zrobił tak, jak trzeba, bo towarzysz Rusakow spojrzał na niego z dumą i zadowoleniem, a potem uroczyście zasalutował.

Motor zaterkotał głośniej, i drezyna, spowita w siny obłok spalin, odprowadzana przez grupkę radośnie piszczących dzieci, rozpłynęła się w mroku. Artem znowu był zupełnie sam i tak daleko od domu, jak nigdy przedtem.

Pierwszą rzeczą, na którą zwrócił uwagę wędrując wzdłuż peronu, były zegary. Artem od razu naliczył ich cztery sztuki. Na WOGN-ie czas był bardziej czymś symbolicznym: jak książki, jak próby stworzenia szkoły dla dzieci - na znak tego, że mieszkańcy stacji nadal walczą, że nie chcą ulegać degradacji, że pozostali ludźmi. Ale tutaj, jak się zdawało, zegary grały jakąś inną, nieskończenie ważniejszą rolę. Pospacerowawszy jeszcze trochę, Artem zauważył i inne osobliwości: po pierwsze, na samej stacji nie było widać żadnych mieszkań, a jedynie kilka sczepionych wagonów, które stały na drugim torze i zagłębiały się w tunelu, tak że z peronu było widać tylko małą część pociągu, przez co Artem na początku wcale go nie zauważył. Handlarze wszystkich specjalności, różne warsztaty: tego wszystkiego było do woli, ale żadnego mieszkalnego namiotu, ani nawet parawanu, za którym można by było przenocować. Jedynie na walających się po stacji kartonach leżeli nieliczni żebracy i kloszardzi. Snujący się po stacji ludzie od czasu do czasu podchodzili do zegarów, niektórzy, posiadający własne zegarki, nerwowo porównywali je z czerwonymi cyframi na ekranach i wracali do swoich spraw. Tu to by się przydał Chan, pomyślał Artem; ciekawe, co by na to powiedział.

Inaczej niż na Kitaj-Gorodzie, gdzie podróżni byli otoczeni żywym zainteresowaniem - próbowano ich nakarmić, coś im sprzedać, gdzieś zaprowadzić - tutaj wszyscy wydawali się pogrążeni we własnych sprawach. Do Artema nie mieli żadnego interesu, i poczucie samotności, zagłuszone z początku przez ciekawość, powróciło z jeszcze większą siłą.

Próbując odegnać narastający smutek, znów zaczął się przypatrywać otaczającym go ludziom. Artem spodziewał się, że również oni będą jacyś inni, ze szczególnym wyrazem twarzy, w końcu życie na takiej stacji nie mogło się na nich nie odcisnąć. Na pierwszy rzut oka wokół niego krzątali się, krzyczeli, pracowali, dyskutowali zwyczajni ludzie, tacy sami jak wszędzie. Ale im uważniej im się przyglądał, tym częściej przechodził go dreszcz: wstrząsająco dużo było tu małych kalek i potworków: tu ktoś bez palców, tam ktoś pokryty ohydnymi krostami, u jeszcze innego w miejscu odciętej trzeciej ręki sterczał gruby kikut. Dorośli najczęściej byli łysi i chorzy - zdrowych, silnych ludzi prawie się nie spotykało. Ich

cherlawe, zwyrodniałe ciała aż kłuły oczy w kontraście z mrocznym ogromem stacji, na której mieszkali.

Pośrodku szerokiego peronu dwa prostokątne otwory prowadzące w dół ukazywały przejście na Linię Okrężną, do Hanzy. Ale nie było tu ani hanzeatyckich pograniczników, ani punktu celnego, jak na Prospekcie Mira, a przecież ktoś wspominał Artemowi, że Hanza trzyma w żelaznej garści wszystkie sąsiednie stacje. Nie, tu wyraźnie działo się coś dziwnego.

Artem nie dotarł do przeciwległego końca holu. Na początek kupił sobie za pięć nabojów miskę krojonych, smażonych grzybów i szklankę zgniłej, nasyconej goryczą wody i ze wstrętem przełknął to świństwo siedząc na przewróconej plastikowej skrzynce, w jakich kiedyś trzymało się opakowania szklane. Potem doszedł do pociągu, w nadziei, że uda mu się tu odpocząć, bo siły miał już na wyczerpaniu, a ciało wciąż jeszcze bolało go po przesłuchaniu. Ale pociąg był zupełnie inny niż ten na Kitaj-Gorodzie: wagony okazały się być obszarpane i kompletnie puste, miejscami spalone lub podtopione; miękkie skórzane siedzenia były wyrwane i dokądś wyniesione; wszędzie widniały plamy zaschniętej krwi, a na podłodze ciemno połyskiwały sterty łusek po nabojach. To miejsce wyraźnie nie było odpowiednie na nocleg, bardziej przypominało twierdzę, która przeżyła już niejedno oblężenie.

Badanie pociągu przez Artema nie trwało długo, ale kiedy wrócił na peron, nie poznał stacji. Stragany opustoszały, gwar ucichł i oprócz kilku włóczęgów, którzy zbili się w gromadę niedaleko przejścia, na peronie nie było widać kompletnie nikogo. Zrobiło się wyraźnie ciemniej, zgasły pochodnie z tej strony, od której wszedł na stację; płonęło tylko kilka w centrum holu, i jeszcze daleko, na jego przeciwległym końcu pobłyskiwało małe ognisko. Na zegarze była ósma wieczorem z minutami. Co się stało? Artem pośpiesznie, na ile pozwalał mu ból, ruszył naprzód. Przejście było zamknięte z obu stron, nie zwykłymi metalowymi bramkami, a mocnymi wrotami obitymi żelazem. Na drugich schodach było dokładnie tak samo, ale jedno skrzydło było uchylone, a za nim widać było solidne kraty zrobione, podobnie jak w kazamatach na Twerskiej, z grubych prętów zbrojeniowych. Za nimi postawiono oświetlony słabą lampką stolik, za którym siedział strażnik w szaroniebieskim mundurze.

- Po ósmej wstęp wzbroniony - odparł w odpowiedzi na prośbę Artema o wpuszczenie do środka. - Brama otwiera się o szóstej rano - i odwrócił się dając do zrozumienia, że rozmowa została zakończona.

Artem wpadł w zakłopotanie. Dlaczego po ósmej wieczorem na stacji kończyło się życie? I co miał teraz zrobić? Bezdomni kłębiący się na swoich kartonach wyglądali odpychająco, nie miał ochoty nawet się do nich zbliżać, więc postanowił spróbować szczęścia przy ognisku, które migotało w przeciwległym końcu holu.

Już z daleka stało się jasne, że to nie zbiorowisko włóczęgów, a posterunek graniczny, czy coś w tym rodzaju: na tle płomieni widać było mocne męskie postacie, można było rozpoznać ostre kontury karabinów; ale czego tam można było strzec, siedząc na samym peronie? Posterunki powinno się wystawiać w tunelach, na przedpolu stacji, im dalej tym lepiej, a tak... Jeśli nawet wylezie stamtąd jakieś cholerstwo, albo napadną ich bandyci, strażnicy nawet nie będą mogli nic zrobić.

Lecz kiedy Artem podszedł bliżej, zauważył coś jeszcze: z tyłu, za ogniskiem, od czasu do czasu pojawiała się jasna, biała smuga światła, skierowana jakby w górę, ale dziwnie krótka, jakby od razu ucięta, nie dosięgając sklepienia, a niknąc, wbrew wszelkim prawom fizyki, po kilku metrach. Reflektor był włączany co jakiś czas, w równych odstępach, i pewnie dlatego Artem wcześniej go nie zauważył. Co to mogło być?

Podszedł do ogniska, grzecznie się przywitał, wyjaśnił, że jest tu przejazdem i z niewiedzy przegapił moment zamknięcia bramy, i zapytał czy mógłby odpocząć tutaj, ze strażnikami.

- Odpocząć? - zapytał ze śmiechem siedzący najbliżej rozczochrany, ciemnowłosy mężczyzna z wielkim, mięsistym nochalem, niewysoki, lecz wyglądający na bardzo silnego. - Tutaj, mój chłopcze, nie odpoczniesz. Dobrze będzie, jak dożyjesz do rana.

Na pytanie, co jest takiego niebezpiecznego w siedzeniu przy ognisku na środku peronu, mężczyzna nic nie odpowiedział, tylko kiwnął głową do tyłu, gdzie zapalał się reflektor. Pozostali byli zajęci własną rozmową i w ogóle nie zwrócili na Artema uwagi. Wtedy postanowił wyjaśnić w końcu, co tu się dzieje, i podszedł do reflektora. To, co zobaczył, zdziwiło go, ale wiele mu wyjaśniło.

Na samym końcu holu stała niewielka budka, w rodzaju tych, które znajdowały się czasem koło schodów ruchomych przy przejściach na inne linie. Dookoła leżały worki, gdzieniegdzie przytwierdzone były masywne, żelazne płyty, jeden z wartowników zdejmował pokrowce z bardzo groźnie wyglądających działek, a drugi siedział w budce. To właśnie na niej postawiono świecący w górę reflektor. W górę! O żadnej osłonie, żadnej barierze nie było tu nawet mowy, od razu za budką zaczynały się schody ruchome prowadzące na powierzchnię. I światło reflektora biło właśnie w tamtym kierunku, niespokojnie krążąc od ściany do ściany, próbując jakby wypatrzyć kogoś w tych egipskich ciemnościach, ale wychwytywał z nich tylko porosłe czymś brązowym resztki lamp, zawilgocony sufit, z którego ogromnymi kawałami odpadał tynk, a dalej... Dalej nie było widać nic.

Wszystko od razu wskoczyło na swoje miejsce.

Z jakiegoś powodu nie było tu typowej metalowej osłony, odcinającej stację od powierzchni, ani na peronie, ani na górze. Pawielecka miała bezpośrednie połączenie ze światem zewnętrznym, i jej mieszkańcy byli ciągle narażeni na niebezpieczeństwo wtargnięcia. Oddychali skażonym powietrzem, pili skażoną wodę, to pewnie dlatego miała taki dziwny smak... Dlatego wśród dzieci pojawiało się tu o wiele więcej mutacji niż, na przykład, na WOGN-ie. Dlatego dorośli byli tacy mizerni: pozbawiając ich włosów, wyniszczając i rozkładając żywe ciało, stopniowa pożerała ich choroba popromienna. Ale najwidoczniej to nie było wszystko, bo jak inaczej wyjaśnić fakt, że cała stacja pustoszała po ósmej wieczorem, a ciemnowłosy wartownik przy ognisku powiedział, że nawet przeżyć jedną noc to tutaj wyczyn?

Po zastanowieniu, Artem zbliżył się do człowieka siedzącego w budce.

- Dobry wieczór - odpowiedział ten na pozdrowienie.

Miał koło pięćdziesiątki, ale zdążył już standardowo wyłysieć, nieliczne siwe włosy zwisały mu jeszcze ze skroni i potylicy, ciemne oczy patrzyły ciekawie na Artema, a prościutka, wiązana kamizelka kuloodporna nie mogła ukryć wydatnego brzuszka. Na piersi wisiała mu lornetka, a obok niej gwizdek.

- Siadaj - wskazał Artemowi najbliższy worek. - Oni tam, rozumiesz, dobrze się bawią, mnie tu samego zostawili, żebym się nudził. Niech chociaż z tobą pogadam. Kto ci tak oko załatwił?

Nawiązała się rozmowa.

- Rozumiesz, nie umiemy zmajstrować niczego chociaż w miarę porządnego - opowiadał z przygnębieniem wartownik pokazując ręką wyjście - tutaj by trzeba nie blachę, a zalać betonem, z blachą już próbowaliśmy i to nie ma sensu. Przychodzi jesień i woda wszystko znosi w cholerę, przy czym najpierw sobie kapie, a potem jak nie przerwie... Było tak już kilka razy, i dużo ludu zginęło, więc od tej pory radzimy sobie w ten sposób. Ale spokojnie żyć się tu nie da, jak na innych stacjach, tylko ciągle jesteśmy w gotowości: co noc złazi tu jakieś ścierwo. W dzień to się nie pokazują, czy to śpią, czy przeciwnie, biegają

po powierzchni. A jak się ściemni, to jest normalnie czarna rozpacz. Przystosowaliśmy się oczywiście, po ósmej wszyscy chronimy się do przejścia, to tam mieszkamy, a tutaj bardziej prowadzimy gospodarstwo. Poczekaj no... - przerwał, szczęknął przełącznikiem na pulpicie, i reflektor rozbłysnął.

Wrócili do rozmowy dopiero kiedy biały jęzor światła oblizał wszystkie trzy pary schodów ruchomych, sufit i ściany, a na końcu uspokajająco zgasł.

- Tam, na górze - wartownik wskazał palcem sklepienie - jest Dworzec Pawielecki. W każdym razie kiedyś był. Przeklęte miejsce. Nie wiem już dokąd stamtąd idą tory, ale teraz dzieje się tam coś strasznego. Takie dźwięki czasem tu dochodzą, że normalnie krew ścina w żyłach. A już jak zaczną leźć na dół... - zamilkł. - Mówimy na te potwory, co idą z góry, przyjezdni - ciągnął po chwili. - Przez ten dworzec. Niby żeby nie było tak strasznie. Kilka razy tacy przyjezdni, co byli silniejsi, cały ten posterunek zmietli. Widziałeś ten pociąg, co tam u nas stoi na torach? Chłopaki poszli do niego. Z dołu nikt by im nie otworzył - tam są kobiety, dzieci, jeśli przyjezdni by tam wleźli, to koniec, po zawodach. A i nasze chłopaki dobrze to rozumieli, wycofali się do pociągu, zaczaili się tam i położyli kilka tych stworów. Ale i sami... żywych zostało tylko dwóch z dziesięciu. Jeden przyjezdny uciekł, polazł w kierunku Nowokuźnieckiej. Rano chcieli go wyśledzić, zostawiał za sobą taki gęsty śluz, ale dał nura w boczny tunel, który prowadzi w dół, a my się tam nie zapuszczamy. Mamy własną biedę.

- A ja słyszałem, że na Pawielecką nikt nigdy nie napada - przypomniał sobie Artem - to prawda?

- Oczywiście - poważnie kiwnął głową wartownik. - Kto nas ruszy? Gdybyśmy nie prowadzili tu obrony, rozpełzliby się stąd po całej linii. Nie, nikt na nas ręki nie podniesie. Hanza w końcu i tak prawie całe przejście nam oddała, ich posterunek jest na samym końcu. Broń nam podrzucają, tylko żebyśmy ich chronili. Lubią cudzymi rękoma wyciągać kasztany z ognia, tyle ci powiem! Mówisz, że jak ci na imię? Artem? A mnie Mark. Poczekaj no, Artem, coś tam szeleści... - i znów szybko włączył reflektor. - Nie, pewnie się przesłyszałem - rzekł niepewnie po chwili.

Artema stopniowo ogarniało przygniatające poczucie zagrożenia. Tak jak Mark, uważnie patrzył w górę, ale tam, gdzie ten widział tylko cienie rozbitych lamp, Artemowi zwidywały się zastygłe w oślepiającym świetle reflektora złowieszcze, fantastyczne sylwetki. Z początku myślał, że to tylko jego wyobraźnia stroi sobie z niego żarty, kiedy jeden z dziwnych kształtów ledwo zauważalnie się poruszył, gdy tylko minęła go plama światła.

- Niech pan poczeka... - wyszeptał. - Proszę spróbować, o, w tamtym kącie, przy tej dużej wyrwie, tylko szybko...

I, jakby przygwożdżone reflektorem, gdzieś daleko, za połową schodów, coś wielkiego, kościstego na moment zamarło, a potem nagle rzuciło się w dół. Mark chwycił uciekający z dłoni gwizdek i dmuchnął w niego ze wszystkich sił. W tej sekundzie wszyscy siedzący przy ognisku zerwali się z miejsc i rzucili na pozycje.

Tam, jak się okazało, był jeszcze jeden reflektor, słabszy, ale sprytnie połączony z nietypowym ciężkim karabinem maszynowym. Artem nigdy wcześniej takiego nie widział: działo miało długą, rozszerzoną na końcu lufę, celownik przypominał kształtem pajęczynę, a pociski były ładowane z oleiście błyszczącej taśmy.

- Tam jest, blisko dziesiątej! - namierzył przyjezdnego ochrypły, chudy facet, przysiadając się do Marka. - Daj lornetkę... Lecha! Dziesiąta, prawy rząd!

- Jest! Dobra, kochasiu, stacja końcowa, teraz siedź spokojnie - mruknął strzelec celując w przyczajony czarny cień. - Trzymam go!

Gruchnęła ogłuszająca seria, dziesiąta, licząc od dołu, lampa rozleciała się w drzazgi, a na górze coś przeraźliwie zaskrzeczało.

- Zdaje się, że go dorwaliśmy - ocenił ten z chrypką. - Dobra, poświeć jeszcze... Leży. Załatwiony, śmierdziel.

Ale z góry jeszcze długo, przynajmniej godzinę, dochodziły ciężkie, niemal ludzkie jęki, od których Artemowi robiło się nieswojo. Kiedy zaproponował, żeby dobić przyjezdnego, żeby się nie męczył, usłyszał w odpowiedzi:

- Chcesz, to biegnij, dobij go. Tutaj, młody, nie strzelnica, każdy nabój się liczy.

Mark został zmieniony, i razem z Artemem podeszli do ogniska. Mark zapalił od płomienia skręta i zamyślił się, a Artem zaczął przysłuchiwać się ogólnej rozmowie.

- Na przykład Lecha wczoraj o krisznowcach opowiadał - niskim, głuchym głosem mówił masywny mężczyzna z niskim czołem i potężnym karkiem - co to siedzą na Oktiabrskim Polu i chcą iść do Instytutu Kurczatowa, żeby wysadzić reaktor jądrowy i załatwić nam wszystkim nirwanę, ale jak na razie nijak nie mogą się wybrać. Wtedy sobie przypomniałem, co ze mną było cztery lata temu, kiedy jeszcze mieszkałem na Sawielowskiej. Kiedyś wybrałem się w interesach na Białoruską. Miałem wtedy kontakty na Nowosłobodskiej, tak że przeszedłem prosto przez Hanzę. No i przychodzę na Białoruską, szybko dotarłem, spotkałem się z kim trzeba, interes z nim załatwiłem, myślę sobie, trzeba to oblać. On mi mówi, żebym był ostrożny, bo tutaj pijani często znikają. Ja na to: Dobra, dobra, daj spokój, nie można tego tak zostawić. Generalnie, obaliliśmy flaszkę na dwóch. Ostatnie, co pamiętam, to jak ten gość chodzi na czworakach i krzyczy „Jestem Łunochod-1!". Budzę się - Matko Boska! - związany, w ustach knebel, bańka ogolona na zero, leżę sam w jakiejś komórce, zdaje się w dawnym komisariacie. Myślę sobie, co za porażka. Po półgodzinie przychodzą jakieś diabły i ciągną mnie za kołnierz do holu. Nie dowiedziałem się dokąd trafiłem, wszystkie tablice zerwane, ściany czymś pomazane, podłoga we krwi, ogniska się palą, prawie cała stacja rozkopana i jakiś dół, głęboki na dwadzieścia metrów najmniej, jak nie trzydzieści. Na podłodze i suficie były narysowane gwiazdy, takie, wiecie, jedną kreską, jak dzieci rysują. No to, myślę, może u czerwonych jestem? Ruszyłem głową - coś niepodobni. Zaciągnęli mnie do tego dołu, a tam drabinka; mówią: złaź po drabince. I kałachami popychają. Patrzę, a tam kupa ludzi na dnie, z łomami i łopatami, i tę dziurę pogłębiają. Ziemię na górę wyciągają kołowrotkiem, ładują na wagoniki i gdzieś wywożą. Nie ma wyjścia, ci kolesie z kałachami to normalnie nawiedzeni byli, wszyscy wytatuowani od stóp do głów, myślę sobie: jakiś lepszy kryminał. Pewnie w mamrze wylądowałem. Ci tu, niby bandziory z autorytetem, robią podkop, chcą uciec. A zwykłe złodziejaszki na nich pracują. Ale potem zrozumiałem, że to bzdura jakaś. Skąd w metrze mamr, jak tu nawet psów nie ma? Mówię im, że się boję wysokości, spadnę tamtym zaraz prosto na łeb, pożytku ze mnie dużo nie będzie. Naradzili się i kazali mi ładować ziemię, którą wyciągają z dołu, do wagoników. Kajdanki mi, ścierwa, założyli, na nogi jakieś łańcuchy, i ładować. A ja cały czas nie mogłem zrozumieć, co oni tu robią. Robota, powiem wprost, do łatwych nie należała. Ja to jeszcze - poruszył potężnymi ramionami - ale tam i słabsi byli, i jak ktoś padał na ziemię, to ci z tatuażami go podnosili i wlekli gdzieś do schodów. Przechodziłem potem raz obok, patrzę, a tam taki jakby pniak, jak ten, co na Placu Czerwonym kiedyś był do egzekucji, w ten pniak był wbity konkretny topór, a dookoła wszystko we krwi i głowy sterczą na kijach. O mało się nie porzygałem. Nie, myślę sobie, trzeba się stąd zmywać, zanim zrobią ze mnie stracha na wróble.

- No, i kto to był? - przerwał mu niecierpliwie ten z chrypką, który siedział za reflektorem.

- Spytałem potem chłopaków, z którymi ładowałem ziemię. Wiesz, kto to był? Sataniści, rozumiesz? Oni, znaczy się, stwierdzili, że koniec świata już nastąpił, i że metro to brama piekieł. I coś tam jeszcze o jakichś kręgach mówili, już nie pamiętam...

- Wrota piekieł - poprawił go strzelec.

- No. Metro to wrota piekieł, a samo piekło leży nieco głębiej, i diabeł, znaczy się, tam na nich czeka, trzeba tylko się do niego dokopać. No to kopią. Cztery lata już minęły od tamtej pory. Może już się dokopali.

- A gdzie to było? - spytał strzelec.

- Nie wiem! Jak Boga kocham, nie wiem. Bo wydostałem się stamtąd tak: schowali mnie w wagoniku, kiedy strażnicy nie patrzyli, i przysypali ziemią. Długo gdzieś jechałem, potem wysypali mnie z wysokości i straciłem przytomność, ocknąłem się, zacząłem się czołgać, wylazłem na jakieś tory, i tak po tych torach szedłem, aż się skrzyżowały z innymi, a ja się na tym skrzyżowaniu wywaliłem. Potem ktoś mnie tam znalazł i ocknąłem się dopiero na Dubrowce, rozumiesz? A ten dobry człowiek, co mnie stamtąd zabrał, już się zdążył zmyć. No i domyśl się teraz, gdzie to było...

Potem mówiono o tym, że podobno na Placu Ilicza i na Rimskiej wybuchła jakaś epidemia i dużo ludzi umarło, ale Artem puścił to wszystko mimo uszu. Myśl, że metro to przedsionek piekła, czy może nawet pierwszy jego krąg, zahipnotyzowała go, i przed oczami stanął mu niewiarygodny obraz: setki ludzi, rojących się jak mrówki, kopiących rękami bezdennie głęboki dół, szyb donikąd, aż za którymś razem łom jednego z nich wejdzie w grunt dziwnie lekko i wpadnie w dół, i wtedy piekło i metro ostatecznie zleją się w jedno.

Potem pomyślał, że oto ta stacja żyje prawie jak WOGN: nieustannie atakują ją jakieś potwory przychodzące z powierzchni, a oni odpierają te ataki w pojedynkę, i jeśli Pawielecka padnie, to te monstra rozejdą się po całej linii. Wychodziło na to, że rola WOGN-u wcale nie była tak wyjątkowa, jak wydawało mu się wcześniej. Kto wie, ile jest jeszcze w metrze takich stacji, z których każda odpowiada za swój odcinek, walcząc nie o powszechny spokój, a o własną skórę... Można uciekać, cofać się do centrum, zawalając za sobą tunele, ale wtedy będzie coraz mniej przestrzeni życiowej, aż wszyscy pozostali przy życiu zbiorą się na małym skrawku ziemi i sami poprzegryzają sobie gardła.

Ale przecież jeśli WOGN nie przedstawia sobą niczego wyjątkowego, jeśli są i inne wyjścia na powierzchnię, których nie da się zamknąć... To znaczy, że... Artem spostrzegł się i zabronił sobie myśleć o tym dalej. To był po prostu głos słabości, zdradziecko podszeptujący argumenty, żeby nie kontynuować Wyprawy, by nie dążyć do Celu. Ale nie wolno się mu poddawać. Takie myślenie to ślepa uliczka.

Aby się oderwać, zaczął się znów przysłuchiwać rozmowie. Najpierw ocenili szanse niejakiego Puszka na jakieś zwycięstwo. Potem ten z chrypką zaczął opowiadać o tym, że jacyś bandyci napadli na Kitaj-Gorod, powystrzelali kupę ludzi, ale na ratunek pośpieszyli kałuższcy i ich odparli, a tamci wycofali się w kierunku Tagańskiej. Artem chciał już zaprzeczyć, że wcale nie w kierunku Tagańskiej, a Trietiakowskiej, ale tu wmieszał się jeszcze jakiś żylasty typ, którego twarzy nie było widać, i powiedział, że kałuższkich generalnie wybili ci z Kitaj-Gorodu i teraz stację kontroluje nowa grupa, o której wcześniej nikt nie słyszał. Ten z chrypką zaczął się z nim gorąco kłócić, a Artema zaczął morzyć sen. Tym razem nie śniło mu się zupełnie nic, i spał tak mocno, że nawet kiedy rozległ się gwizdek alarmowy i wszyscy podskoczyli ze swoich miejsc, jemu i tak nie udało się obudzić. Najwidoczniej alarm był fałszywy, bo żadne strzały po nim nie nastąpiły. Kiedy w końcu obudził go Mark, na zegarze była już za piętnaście szósta.

- Wstawaj, warta skończona! - radośnie potrząsnął Artema za ramię. - Chodźmy, pokażę ci przejście, tam, gdzie cię wczoraj nie wpuścili. Paszport masz?

Artem pokręcił głową.

- No nic, jakoś to załatwimy - obiecał Mark, i po paru minutach rzeczywiście byli już w przejściu między stacjami, a wartownik spokojnie pogwizdywał bawiąc się w dłoni dwoma nabojami.

Korytarz był bardzo długi, dłuższy nawet niż stacja. Wzdłuż jednej ściany stały brezentowe parawany, i paliły się całkiem jasne lampki („Hanza o nas dba" - uśmiechnął się ironicznie Mark), a pod drugą ciągnęło się długie, choć niewysokie, mniej więcej metrowe przepierzenie.

- Tak przy okazji, to jest jedno z najdłuższych przejść między stacjami w całym metrze! - z dumą poinformował Mark. - Pytasz, co to za przepierzenie? To ty nie wiesz? Przecież to słynna rzecz! Połowa ludzi, którzy do nas przychodzą, to właśnie z tego powodu! Poczekaj, teraz jeszcze za wcześnie. Później się zacznie. Tak w ogóle, to najlepiej jest wieczorem, kiedy zamykają wyjście na stację i ludzie nie mają już nic do roboty. Ale może w ciągu dnia będzie jakiś wyścig kwalifikacyjny. Nie, ty naprawdę nic o tym nie słyszałeś? My tu mamy wyścigi szczurów, totalizator! Mówimy na to hipodrom. Coś takiego, a ja myślałem, że wszyscy o tym wiedzą - zdziwił się, kiedy wreszcie zrozumiał, że Artem nie żartuje. - Ty, tak w ogóle, lubisz grać? Ja, na przykład, jestem nałogowym graczem.

Artem był oczywiście ciekaw tych wyścigów, ale nigdy nie miał szczególnej żyłki do hazardu. Do tego teraz, po tym jak przespał tyle godzin, nad jego głową zbierały się chmury burzowe poczucia winy. Nie mógł czekać do wieczora, w ogóle nie mógł już czekać. Musiał iść naprzód, już i tak za dużo czasu stracił. Ale droga do Polis wiodła przez Hanzę, i teraz nie dało się już jej ominąć.

- Chyba nie mogę tu zostać do wieczora - powiedział Artem. - Muszę iść... na stację Polianka.

- Ale tam przecież się idzie przez Hanzę - mrużąc oczy zauważył Mark. - Jak chciałeś przejść przez Hanzę, jeśli nie masz nie tylko wizy, ale nawet paszportu? Tutaj, przyjacielu, nie mogę ci pomóc. Ale spróbuję podsunąć ci pomysł. Naczelnik Pawieleckiej - nie naszej, a tej na Linii Okrężnej - jest wielkim miłośnikiem tych właśnie wyścigów. Jego szczur, Pirat, jest faworytem. Pojawia się tu co wieczór, z ochroną i w pełnym majestacie. Jak chcesz, postaw przeciw niemu.

- Przecież nie mam nawet czego stawiać - zaprotestował Artem.

- Postaw siebie, w zamian za przysługę. Chcesz, to ja cię postawię - w oczach Marka pojawił się błysk hazardzisty. - Jak wygramy, zdobędziesz wizę. Przegramy - i tak się tam dostaniesz, a tam już, prawda, od ciebie będzie zależało, jak się z tego wykaraskać. Czy jest to jakiś pomysł? Moim zdaniem jest.

Artemowi ten plan wcale się nie spodobał. Sprzedawać samego siebie w niewolę, a tym bardziej, przegrywać samego siebie w szczurzym totalizatorze, to było jakoś obraźliwe. Postanowił spróbować przebić się do Hanzy inaczej. Kilka godzin kręcił się w pobliżu poważnych pograniczników w szarych, plamistych mundurach - byli ubrani dokładnie tak, jak ci z Prospektu Mira - próbując do nich zagadać, ale ci nie odpowiadali. Po tym, jak jeden z nich nazwał go z pogardą jednookim (co było niesprawiedliwe, bo lewe oko zaczęło się już otwierać, choć wciąż jeszcze piekielnie bolało) i zasugerował, żeby się odwalił, Artem porzucił wreszcie bezowocne starania i zaczął wypatrywać najbardziej ciemnych i podejrzanych typów na stacji, handlarzy bronią, kwasem - wszystkich, którzy mogli się okazać przemytnikami. Ale nikt nie podejmował się przerzucić Artema do Hanzy za jego karabin i latarkę.

Nadszedł wieczór, który zastał Artema siedzącego na posadzce w przejściu i pogrążonego w cichej rozpaczy i samoponiżeniu. Tymczasem dookoła powstało ożywienie, dorośli wracali z pracy, jedli kolację ze swoimi rodzinami, dzieci coraz mniej hałasowały, układane do snu, aż wreszcie, po zamknięciu bramy, wszyscy wysypali się ze swoich namiotów i zza parawanów, i podeszli do torów wyścigowych. Ludzi było tu dużo, przynajmniej trzysta osób, i znaleźć w tym tłumie Marka nie było łatwo. Ludzie zgadywali,

jak dziś pobiegnie Pirat, czy uda się Puszkowi choć raz go wyprzedzić, padały też imiona innych biegaczy, ale tych dwóch było wyraźnie poza konkurencją.

Do startu podchodzili dumni posiadacze szczurów, niosąc swoich wychuchanych pupili w małych klatkach. Naczelnika Pawieleckiej Okrężnej nie było widać, i Mark też jakby zapadł się pod ziemię. Artem przestraszył się nawet, że znów stoi dziś na warcie i nie przyjdzie. Ale w takim razie jak on zamierzał grać?

Wreszcie w drugim końcu przejścia pojawiła się mała procesja. Krocząc w asyście dwóch ponurych ochroniarzy, bez pośpiechu, dostojnie niósł swoje ciężkie ciało ogolony na łyso starzec z zadbanymi sumiastymi wąsami, w okularach i nienagannym czarnym garniturze. Jeden z ochroniarzy niósł w ręku obitą czerwonym aksamitem skrzynkę z kratką zamiast jednej ze ścianek, w której miotało się coś szarego. To był pewnie słynny Pirat.

Ochroniarz zaniósł skrzynkę ze szczurem na linię startu, a wąsaty starzec podszedł do sędziego siedzącego za stolikiem, władczym gestem przegonił z krzesła jego asystenta, ciężko opadł na zwolnione miejsce i zaczął osobistą rozmowę. Drugi ochroniarz stał obok, plecami do stolika, szeroko rozstawiwszy nogi, z dłońmi na krótkim czarnym automacie, który wisiał mu na piersi. Takiemu człowiekowi strach było nie tylko proponować zakład, ale i w ogóle się do niego zbliżyć.

Wtedy Artem zobaczył, jak do tych szacownych ludzi podchodzi tak po prostu niechlujnie ubrany Mark, przygładzając dawno niemyte włosy, i zaczyna coś opowiadać sędziemu. Z takiej odległości słychać było tylko ton głosu, ale za to było doskonale widać, jak wąsaty starzec na początku zrobił się purpurowy z oburzenia, potem przybrał wyniosłą minę, aż wreszcie kiwnął głową z niezadowoleniem, i zdjąwszy okulary, zaczął je pedantycznie przecierać.

Artem zaczął przeciskać się przez tłum w kierunku linii startu, gdzie stał Mark.

- Wszystko gra! - radośnie oznajmił ten, zacierając ręce.

Na pytanie, co dokładnie ma na myśli, Mark wyjaśnił, że przed chwilą założył się osobiście ze starym naczelnikiem przeciwko Piratowi, zapewniając, że jego nowy szczur wygra z faworytem już w pierwszym wyścigu. Trzeba było dać w zastaw Artema, oznajmił Mark, ale w zamian zażądał wizy na całą Hanzę dla niego i dla siebie. Naczelnik, wprawdzie odrzucił propozycję, mówiąc, że nie zajmuje się handlem niewolnikami (tu Artem westchnął z ulgą), ale dodał, że taką zarozumiałość i bezczelność trzeba ukarać. Jeśli ich szczur przegra, Mark i Artem przez rok będą musieli czyścić wychodki na Pawieleckiej Okrężnej. Jeśli wygra, cóż, dostaną wizy. On był oczywiście całkowicie pewny, że drugi wariant jest wykluczony, i dlatego się zgodził. Postanowił ukarać tych bezczelnych zarozumialców, którzy śmieli rzucić wyzwanie jego ulubieńcowi.

- Ma pan swojego szczura? - ostrożnie zapytał Artem.

- Oczywiście! - zapewnił go Mark. - Istna bestia! On tego Pirata rozerwie na kawałki! Wiesz, jak dziś przede mną uciekał? Ledwo go złapałem! Prawie do Nowokuźnieckiej za nim goniłem.

- A jak się wabi?

- Wabi? Faktycznie, jakże on się wabi? No, powiedzmy, Rakieta - zaproponował Mark. - Rakieta brzmi groźnie?

Artem nie był pewny, czy sens rywalizacji polega na tym, czyj szczur rozerwie przeciwnika na kawałki, ale nic nie powiedział. Potem wyjaśniło się, że swojego szczura Mark złapał dopiero dzisiaj, i wtedy Artem nie wytrzymał.

- A skąd pan wie, że on zwycięży?

- Wierzę w niego, Artem! - rzekł uroczyście Mark. - I tak w ogóle, wiesz, już od dawna chciałem mieć swojego szczura. Stawiałem na cudze, one przegrywały, i myślałem wtedy: to nic, nadejdzie dzień, kiedy będę miał swojego, i on już na pewno przyniesie mi wygraną. Ale ciągle nie mogłem się zdecydować, zresztą to nie takie proste, trzeba zdobyć

specjalne pozwolenie sędziego, a to jest takie nudziarstwo... Życie mi minie, jakiś przyjezdny mnie zeżre, albo sam umrę, a własnego szczura nie będę miał... Potem mi się trafiłeś, i pomyślałem: to jest to! Teraz albo nigdy. Jeśli teraz nie zaryzykujesz, mówię sobie, to znaczy, że już zawsze będziesz stawiać na cudze szczury. I zdecydowałem: jak już grać, to o dużą stawkę. Chciałbym ci oczywiście pomóc, ale nie to jest najważniejsze, wybacz. A tak chciałem podejść do tego wąsatego starego grzyba - ściszył głos Mark - i oświadczyć: stawiam mojego szczura przeciwko pana Piratowi! Tak się wkurzył, że kazał sędziemu zatwierdzić mojego szczura poza kolejką. I wiesz co - dodał, po chwili milczenia - za taką chwilę warto potem przez rok czyścić wychodki.

- Ale przecież nasz szczur na pewno przegra! - zawołał Artem rozpaczliwie, ostatni raz próbując przemówić mu do rozsądku.

Mark spojrzał na niego uważnie, potem uśmiechnął się i powiedział:

- A może jednak nie?

Rzuciwszy surowe spojrzenie zebranej publiczności, sędzia przygładził siwiejące włosy, odkaszlnął z godnością i zaczął odczytywać imiona szczurów uczestniczących w wyścigu. Rakietę wymienił na końcu, ale Mark kompletnie nie zwrócił na to uwagi. Najwięcej oklasków zebrał Pirat, a Rakiecie bił brawo tylko Artem, gdyż Mark miał zajęte ręce: trzymał w nich klatkę. W tym momencie Artem wciąż jeszcze miał nadzieję, że zdarzy się cud, który wybawi go od niesławnego końca w śmierdzącym szambie.

Wtedy sędzia oddał ślepy strzał ze swojego makarowa, i właściciele szczurów otwarli klatki. Rakieta wyrwał się na wolność jako pierwszy, tak że serce Artema radośnie podskoczyło, za to potem, kiedy pozostałe szczury rzuciły się naprzód przez całe przejście, jeden wolniej, drugi szybciej, Rakieta, zupełnie nie uzasadniając swojego dumnego imienia, wbił się w kąt jakieś pięć metrów od startu, i tam już został. Szczurów, według regulaminu, nie można było poganiać. Artem popatrzył z obawą na Marka, oczekując, że ten zacznie szaleć, albo przeciwnie, zgaśnie przytłoczony wstydem. Ale surowym i dumnym wyrazem twarzy Mark przypominał raczej kapitana krążownika, który daje rozkaz zatopienia swojego okrętu, by ten nie wpadł w ręce wroga - jak w podniszczonej książce o wojnie Rosji z kimś tam innym, która leżała w bibliotece na WOGN-ie.

Po paru chwilach pierwsze szczury dotarły do mety.

Wygrał Pirat, na drugim miejscu znalazł się jakiś szczur o niezrozumiałym imieniu, Puszek przybiegł trzeci. Artem rzucił spojrzenie w stronę stolika sędziowskiego. Wąsaty starzec, przecierając spoconą z napięcia łysą czaszkę tą samą ściereczką, którą wcześniej czyścił szkła okularów, oceniał wyniki z sędzią. Artem miał już nadzieję, że o nich zapomniał, kiedy starzec nagle klepnął się w czoło i z łagodnym uśmiechem kiwnął palcem na Marka, przyzywając go.

Wtedy Artem poczuł się prawie jak w chwili, kiedy prowadzili go na egzekucję, choć teraz to uczucie nie było tak intensywne. Przeciskając się w ślad za Markiem do stolika sędziowskiego, pocieszał się tym, że tak czy inaczej wejście na terytorium Hanzy stoi teraz przed nim otworem, trzeba tylko znaleźć sposób na ucieczkę. Ale najpierw czekała go chwila hańby.

Uprzejmie zaprosiwszy ich, by weszli na podest, wąsacz odwrócił się do widowni i pokrótce opisał treść zawartej umowy, a potem grzmiącym głosem oznajmił, że obu nieudaczników wysyła się, tak jak było ustalone, na roboty przy czyszczeniu urządzeń sanitarnych na jeden rok, licząc od dzisiejszego dnia. Nie wiadomo skąd pojawili się dwaj pogranicznicy Hanzy, zabrali Artemowi jego automat, upewniając się, że wróg publiczny przez najbliższy rok będzie niegroźny, i obiecali zwrócić mu broń po odbyciu kary. Potem, przy akompaniamencie gwizdów i obelg tłumu, zaprowadzili ich na Okrężną.

Przejście wychodziło spod podłogi, na środku holu, jak na sąsiedniej stacji, ale na tym podobieństwa między obiema stacjami Pawieleckimi się kończyły. Okrężna robiła

bardzo dziwne wrażenie: z jednej strony sklepienie było tu niskie, a prawdziwych kolumn nie było wcale - w równych odstępach w ścianie wybite były łuki, których szerokość była równa szerokości ściany między nimi. Zdawało się, że pierwszą Pawielecką łatwiej było wykopać, jakby grunt był tam miększy i łatwo było się przez niego przebijać, a tutaj trafiła się jakaś twarda, nieustępliwa skała, którą ciężko było pokonać. Ale z jakiegoś powodu tutaj nie nastrajało to takim smutkiem i nie przytłaczało jak na Twerskiej, może stąd, że stacja była niezwykle dobrze oświetlona, ściany zdobiły nieskomplikowane wzory, a przy łukach ze ścian wystawały imitacje antycznych kolumn, jak na ilustracjach w książce *Mity starożytnej Grecji*. Krótko mówiąc: nie było to najgorsze miejsce dla robót przymusowych.

I oczywiście od razu było wiadomo, że to teren Hanzy. Po pierwsze, było tu nienormalnie czysto, przytulnie, a na sklepieniu, umieszczone w wielkich szklanych kloszach, miękko świeciły najprawdziwsze lampy. We właściwym holu, który wprawdzie nie był tak obszerny, jak na bliźniaczej stacji, nie stał ani jeden namiot, za to było dużo pulpitów, na których leżały sterty przemyślnych elementów maszyn. Siedzieli przy nich ludzie w niebieskich kombinezonach, a w powietrzu unosił się przyjemny lekki zapach oleju maszynowego. Najwidoczniej dzień pracy kończył się tu później niż na Pawieleckiej Promienistej. Na ścianach wisiały sztandary Hanzy - koło zębate na białym tle, plakaty wzywające do podniesienia wydajności pracy i cytaty z jakiegoś A. Smitha.

Pod największą chorągwią, między dwoma nieruchomymi żołnierzami pocztu sztandarowego, stał stolik ze szklaną gablotą, i kiedy Artem przechodził obok, specjalnie zwolnił kroku, żeby przyjrzeć się, cóż to za relikwie leżą pod szkłem.

Na czerwonym aksamicie, czule podświetlone malutkimi lampkami, spoczywały dwie książki. Pierwsza - pierwszorzędnie zachowane wydanie w czarnej oprawie z wyszywanym złotym napisem głoszącym: Adam Smith *Bogactwo narodów*. Druga - mocno podniszczony tomik w porwanej i zaklejonej cienkimi paskami papieru cienkiej okładce, na której tłustym drukiem było napisane: Dale Carnegie *Jak przestać się martwić i zacząć żyć*.

Ani o jednym, ani o drugim autorze Artem nigdy nie słyszał, dlatego dużo bardziej zajmowała go kwestia, czy przypadkiem resztkami tego właśnie aksamitu naczelnik stacji nie obił klatki swojego ulubionego szczura.

Jeden z torów był wolny, i od czasu do czasu przejeżdżały nim załadowane skrzyniami drezyny, przeważnie ręczne. Ale raz zadymiła też spalinowa, zatrzymała się na chwilę na stacji i ruszyła dalej. Artem dojrzał siedzących na niej potężnych żołnierzy w czarnych mundurach i czarno-białych podkoszulkach. Każdy z nich miał na głowie noktowizor, na piersi wisiały im dziwne krótkie automaty, a tułów chroniły im ciężkie kamizelki kuloodporne. Dowódca, gładząc leżący mu na kolanach ogromny ciemnozielony hełm z przyłbicą, wymienił kilka słów ze strażnikami na stacji odzianymi w zwykłe szare panterki, i drezyna skryła się w tunelu.

Na drugim torze stał kompletny pociąg, który był nawet w lepszym stanie niż ten widziany przez Artema na Kuźnieckim Moście. Za zasłoniętym oknami znajdowały się pewnie kwatery mieszkalne, ale były też inne okna, z opuszczonymi szybami, przez które widać było biurka z maszynami do pisania, za którymi siedzieli ludzie z poważnym wyrazem twarzy, zaś na tabliczce przykręconej nad drzwiami do wagonu wygrawerowany był napis: GŁÓWNE BIURO.

Stacja wywarła na Artemie niezatarte wrażenie. Nie, nie poraziła go, jak pierwsza Pawielecka, nie było tu nawet śladu tego tajemniczego, nieco mrocznego przepychu, przypomnienia zdegenerowanym potomkom o minionej, nadludzkiej świetności i potędze budowniczych metra. Za to ludzie tu żyli tak, jakby poza granicą Linii Okrężnej nie panował upadek i szaleństwo podziemnej egzystencji. Tu życie toczyło się równym tempem, było dobrze urządzone, po pracy następował zasłużony odpoczynek, młodzież nie uciekała w iluzoryczny świat kwasa, lecz do zakładów pracy - im wcześniej zaczniesz karierę, tym

wyższy szczebel osiągniesz - ludzie dojrzali zaś nie bali się, że gdy tylko stracą siłę w rękach, wyrzucą ich do tunelu szczurom na pożarcie. Teraz stało się jasne, dlaczego Hanza wpuszczała tak niechętnie i tak niewielu obcych na swoje stacje. Liczba miejsc w raju jest ograniczona, i tylko wejście do piekła jest dla wszystkich otwarte.

- No i w końcu wyemigrowałem! - rozglądając się z zadowoleniem dookoła, ucieszył się Mark.

Na końcu peronu, w oszklonej kabinie z napisem „dyżurny", siedział jeszcze jeden pogranicznik, obok stał niewielki, pomalowany w biało-czerwone pasy szlaban. Kiedy mijające ich drezyny podjeżdżały do niego, posłusznie się zatrzymując, pogranicznik z ważną miną wychodził z kabiny, sprawdzał dokumenty, a czasem też ładunek, i w końcu podnosił szlaban. Artem zauważył w duchu, że wszyscy pogranicznicy i celnicy są bardzo dumni ze swojej pozycji, od razu widać, że zajmują się tym, co lubią najbardziej. Z drugiej strony, pomyślał, takiej pracy nie da się nie lubić.

Zaprowadzili ich za ogrodzenie, od którego prowadziła dróżka do tunelu i skręcały w bok korytarze z pomieszczeniami służbowymi, i zaznajomili ich z powierzonym im miejscem pracy. Przygnębiające żółtawe kafelki, doły w ziemi dumnie przykryte prawdziwymi sedesami, niewiarygodnie brudne kombinezony, obrosłe czymś strasznym szufle, taczka z jednym kółkiem, które wykręcało dzikie ósemki, wagonik, który należało napełniać i pchać w kierunku najbliższej, prowadzącej w dół sztolni. I wszystko to spowite potwornym, niewyobrażalnym smrodem, wżerającym się w ubranie, przesycającym każdy włos od korzenia do koniuszka, przenikającym pod skórę, tak że zaczynasz myśleć, że stał się teraz częścią twojej natury i zostanie z tobą na zawsze, odstraszając tobie podobnych i zmuszając ich, by zeszli ci z drogi zanim jeszcze cię zobaczą.

Pierwszy dzień tej monotonnej pracy ciągnął się tak powoli, że Artem stwierdził, że ich zmiana nie ma końca, będą wygrzebywać, przerzucać, toczyć, znów wygrzebywać, znów toczyć, opróżniać i wracać tylko po to, żeby ten przeklęty cykl powtórzył się jeszcze raz. Pracy nie było końca, ciągle przychodzili nowi goście. Antoni, ani strażnicy stojący przy wejściu do pomieszczenia i tam, gdzie kończyli trasę, przy sztolni, nie kryli odrazy do biednych roboli. Usuwali się na bok ze wstrętem, zatykając nosy rękami, lub, ci delikatniejsi, nabierając pełne płuca powietrza, żeby przypadkiem nie zrobić wdechu w pobliżu Artema i Marka. Na ich twarzach dało się wyczytać takie obrzydzenie, że Artem pytał się w duchu: czy to nie z ich wnętrzności bierze się ta cała ohyda, od której tak pośpiesznie i zdecydowanie się odsuwają? Pod koniec dnia, kiedy mimo ogromnych, płóciennych rękawic skórę na rękach miał zdartą do krwi, Artemowi wydało się, że pojął prawdziwą naturę człowieka i sens jego życia. Człowiek jawił mu się teraz jako zmyślna maszyna do unicestwiania żywności i produkcji łajna, funkcjonująca prawie bezawaryjnie przez całe swoje życie, które nie ma żadnego sensu, jeśli pod słowem „sens" rozumieć jakiś ostateczny cel. Sens zawierał się w procesie: zniszczyć jak najwięcej pokarmu, jak najszybciej go przetworzyć i wyrzucić z siebie odpady, wszystko, co zostało z dymiących wieprzowych kotletów, soczystych duszonych grzybów, pulchnych placuszków, teraz zepsute i skalane. Rysy przychodzących zacierały się, stawali się pozbawionymi twarzy mechanizmami do niszczenia tego, co piękne i przydatne, tworząc w zamian bezużyteczny smród. Artem czuł do ludzi gniew i budzili w nim wstręt, nie mniejszy, niż on w nich. Mark znosił wszystko ze stoickim spokojem i od czasu do czasu pocieszał Artema sentencjami w rodzaju: „To nic, słyszałem, że na emigracji zawsze na początku jest trudno".

I, co najważniejsze, ani pierwszego, ani drugiego dnia nie pojawiła się żadna okazja ucieczki, straż była czujna, i chociaż wystarczyłoby tylko uciec do tunelu za sztolnią, w stronę Dobrynińskiej, było to zadanie niewykonalne. Spali w klitce obok, na noc drzwi były zamykane na klucz, a przez całą dobę, na posterunku, w szklanej kabinie przy wjeździe na stację siedział strażnik.

Nadszedł trzeci dzień ich pobytu na stacji. Czas nie płynął tu w rytmie dni i nocy, lecz pełzł jak ślimak, sekunda za sekundą niekończącego się koszmaru. Artem przywykł stopniowo do myśli, że już nikt nigdy nie podejdzie do niego i z nim nie porozmawia, i że przypadł mu los pariasa. Zupełnie jakby przestał być człowiekiem i przeobraził się w jakieś niewiarygodnie szkaradne stworzenie, w którym ludzie widzą nie tylko coś obrzydliwego i odpychającego, ale do tego coś, co w nieuchwytny sposób ich przypomina, i to odstrasza ich i brzydzi jeszcze bardziej, jak gdyby można było się od niego tą brzydotą zarazić, jakby był trędowaty.

Z początku obmyślał plany ucieczki. Potem przyszła dźwięcząca pustką rozpacz. Po niej nastąpiło ciemne otępienie, kiedy rozum usunął się z jego życia, zasklepił się, wciągając w siebie nitki uczuć i zmysłów i skulił się gdzieś w kąciku świadomości. Artem kontynuował pracę mechanicznie, jego ruchy stały się automatyczne, trzeba było tylko wygrzebywać, przerzucać, toczyć, znów wygrzebywać, znów toczyć, opróżniać i jak najszybciej wracać, żeby znów wygrzebywać. Sny przestały mieć fabułę, Artem, jak na jawie, biegał w nich bez końca, wygrzebywał, popychał, popychał, wygrzebywał i biegał.

Pod wieczór piątego dnia Artem wjechał razem z taczką na walającą się na ziemi łopatę i wylał zawartość, a potem jeszcze sam się w nią wywrócił. Kiedy powoli podnosił się z ziemi, nagle coś pstryknęło mu w głowie, i zamiast biec po wiadro i szmatę, nieśpiesznie skierował się do wejścia do tunelu. Sam czuł się wtedy tak ohydnym, tak odpychającym, że jego aura powinna była odstręczyć każdego. I dokładnie w tym momencie, dzięki niewiarygodnemu zbiegowi okoliczności, wartownik, niezmiennie sterczący na końcu jego zwykłej trasy, z jakiegoś powodu był nieobecny. Ani przez chwilę nie zastanawiając się nad tym, że mogą go ścigać, ruszył wzdłuż szyn. Na ślepo, ale prawie się nie potykając, szedł coraz szybciej i szybciej, aż marsz przeszedł w bieg, ale jego rozum nadal nie wrócił do kontroli nad ciałem, wciąż jeszcze strachliwie się kulił, wciśnięty w swój kąt. Za nim nie było słychać ani krzyków, ani tupotu pogoni, i tylko drezyna z ładunkiem towaru, oświetlająca sobie drogę słabą lampą, przejechała skrzypiąc obok niego. Artem po prostu przylgnął do ściany, przepuszczając pojazd. Jadący nią ludzie czy go nie zauważyli, czy też nie uznali za wskazane, żeby zwracać na niego uwagę; ich spojrzenia prześlizgnęły się po nim bezwiednie, i nie powiedzieli ani słowa.

Nagle ogarnęło go poczucie własnej niewidzialności, którą zyskał dzięki upadkowi; pokryty śmierdzącą cieczą stał się jakby niewidoczny, co dodało mu sił, i świadomość zaczęła mu stopniowo wracać. Udało mu się! Niewiadomym sposobem, wbrew zdrowemu rozsądkowi, wbrew wszystkiemu, udało mu się uciec z tej cholernej stacji, i nikt go nawet nie ściga! To było dziwne, to było nieprawdopodobne, ale wydało mu się, że jeśli teraz choć spróbuje uprzytomnić sobie, co się stało, zimnym skalpelem rozkroić cud, to czar pryśnie, i w plecy natychmiast trafi go światło reflektora patrolowej drezyny.

Na końcu tunelu ukazało się światło. Zwolnił kroku i po chwili wszedł na Dobrynińską. Pogranicznikowi wystarczyło głupawe: „Wzywaliście hydraulika?”, żeby przepuścił go pośpiesznie, rozganiając powietrze wokół siebie ręką, drugą przyciskając do ust. Dalej trzeba było iść naprzód, uciekać jak najszybciej z terytorium Hanzy, póki nie opamięta się wreszcie straż, póki nie słyszy za plecami stukotu podkutych butów, póki nie zagrzmią ostrzegawcze strzały w powietrze, a potem... Szybciej.

Nie patrząc na nikogo, z oczyma wbitymi w ziemię, i wyczuwając przez skórę ten wstręt, który czują do niego otaczający go ludzie, tworząc wokół siebie próżnię, choćby przeciskał się przez największy tłum, Artem kroczył w kierunku posterunku granicznego. Co teraz powiedzieć? Znów pytania, znów żądanie okazania paszportu - jak na nie odpowie?

Głowę Artem trzymał tak nisko, że podbródek opierał na piersi, i nie widział zupełnie nic wokół siebie, tak że z całej stacji zapamiętał tylko równe, ciemne granitowe płyty, którymi była wyłożona posadzka. Szedł naprzód, zamierając w oczekiwaniu na moment, w

którym usłyszy ostry okrzyk, nakazujący mu się zatrzymać. Granica Hanzy była coraz bliżej. Jeszcze chwilę... Chwilę...

- A to co za śmieć? - usłyszał nad uchem zdławiony głos. I już.

- Ja... tego... Zabłądziłem... Nie jestem stąd... - czy to plącząc się ze zmęczenia, czy to wczuwając się w rolę, mruknął Artem.

- Spieprzaj stąd, słyszysz, śmierdzielu?! - głos brzmiał bardzo przekonująco, prawie hipnotycznie, tak że miało się ochotę natychmiast mu podporządkować.

- Kiedy ja... Ja bym... - mamrotał Artem, bojąc się, żeby nie przeszarżować.

- Żebranina na terytorium Hanzy jest surowo wzbroniona! - poważnie oznajmił głos, i tym razem dochodził już z dużej odległości.

- Kiedy ja... tylko troszkę... dzieci mam malutkie... - Artem zrozumiał wreszcie którędy droga i ożywił się.

- Jakie znowu dzieci? To już kompletna bezczelność! - zdenerwował się niewidoczny pogranicznik. - Połow, Łomako, do mnie! Wyrzucić stąd tego szmaciarza!

Ani Połow, ani Łomako nie mieli ochoty brudzić sobie rąk, więc po prostu wypchnęli go lufami karabinów. W ślad za nim frunęły przekleństwa dowódcy. Dla Artema brzmiały one jak niebiańska muzyka.

Sierpuchowska! Hanza została za nim!

Podniósł wreszcie wzrok, lecz to, co wyczytał w oczach pobliskich ludzi sprawiło, że znów wbił go w ziemię. To już nie było uporządkowane terytorium Hanzy, znów pogrążył się w brudnym, biednym domu wariatów, jakim był pozostały obszar metra, ale nawet dla niego Artem był zbyt obrzydliwy. Cudowna zbroja, która uratowała go po drodze, czyniąc go niewidzialnym, zmuszając ludzi, by odwracali się od uciekiniera i go nie zauważali, by przepuszczali go przez wszystkie blokady i posterunki, teraz znów zmieniła się w śmierdzący nawozem strup. Widocznie wybiła już północ.

Teraz, kiedy minęła pierwsza euforia, ta obca, jakby pożyczona siła, która sprawiała, że uparcie szedł tunelem z Pawieleckiej do Dobrynińskiej, naraz zniknęła i zostawiła go samego ze sobą: głodnego, śmiertelnie zmęczonego, bez grosza przy duszy, roztaczającego smród nie do zniesienia, wciąż jeszcze noszącego ślady bicia sprzed tygodnia.

Nędzarze, obok których przysiadł pod ścianą, stwierdziwszy, że teraz może już nie unikać takiej kompanii, wśród przekleństw i urągań rozpełźli się od niego na wszystkie strony, i został całkiem sam. Objął się rękami za ramiona, żeby nie było tak zimno i zamknął oczy i długo tak siedział, nie myśląc o niczym, aż zmorzył go sen.

Artem szedł niekończącym się tunelem. Był on dłuższy niż wszystkie przejazdy, przez które przyszło mu wędrować w życiu razem wzięte. Tunel zakręcał, to szedł w górę, to zjeżdżał w dół, nie było w nim ani jednego prostego odcinka dłuższego niż dziesięć kroków. Ale wciąż nie miał końca, a iść było coraz trudniej, bolały obtłuczone do krwi nogi, doskwierały plecy, każdy kolejny krok wywoływał echo bólu w całym ciele, jednak dopóki zostawała nadzieja, że do wyjścia jest całkiem niedaleko, może jest tuż za tym rogiem, Artem znajdował w sobie siły, by iść. A potem nagle przyszła mu do głowy prosta, lecz straszna myśl: a co, jeśli tunel nie ma wyjścia? Co, jeśli wejście i wyjście są zamknięte, jeśli ktoś, niewidoczny i wszechpotężny, wsadził go - wierzgającego, jak szczur próbujący ugryźć w palec laboranta - do tego labiryntu bez wyjścia, żeby parł naprzód, aż zabraknie mu sił, aż padnie, robiąc to bez żadnego celu, po prostu dla zabawy? Szczur w labiryncie. Świnka morska w kołowrotku. Ale w takim razie, pomyślał, jeśli dalsza droga nie prowadzi do wyjścia, może zaprzestanie bezmyślnego ruchu da mu wyzwolenie? Usiadł na torach, nie dlatego, że się zmęczył, lecz dlatego, że jego droga się skończyła. I ściany wokół zniknęły, a on pomyślał: żeby osiągnąć cel, żeby zakończyć wyprawę, trzeba po prostu przestać iść. Potem ta myśl rozpłynęła się i zniknęła.

Kiedy się obudził, ogarnął go niepojęty strach, i z początku wciąż nie mógł się zorientować, co się stało. Dopiero potem zaczął przypominać sobie fragmenty snu, łączyć te urywki w układankę, ale urywki w żaden sposób nie chciały się trzymać kupy, nie było kleju, który połączyłby je w całość. Tym klejem była jakaś myśl, która przyszła mu do głowy we śnie, była ona rdzeniem, sercem tej wizji, nadawała jej sens. Bez niej była to tylko sterta porwanych płócien, z nią - piękny obraz, pełen czarodziejskiego sensu, otwierający przed nim bezkresne horyzonty. I tej właśnie myśli nie pamiętał. Artem gryzł sobie kłykcie, wpijał się w swoją brudną głowę brudnymi palcami, usta szeptały coś nieartykułowanego, i przechodzący obok patrzyli na niego ze strachem i wrogością. A myśl nie chciała wrócić. I wtedy powoli, ostrożnie, jakby próbując za jeden włosek wyciągnąć z bagna tonącego, zaczął odtwarzać ją z urywków wspomnień. I - o, cudzie! - zręcznie pochwyciwszy jeden z obrazów, nagle przypomniał ją sobie w tym samym brzmieniu, w jakim usłyszał ją w swoim śnie.

Żeby zakończyć wyprawę trzeba po prostu przestać iść. Ale teraz, w jasnym świetle obudzonej świadomości, myśl ta wydała mu się banalna, żałosna, nie zasługująca na uwagę. Żeby zakończyć wyprawę, trzeba przestać iść? No, jasne. Przestań iść, i twoja wyprawa się skończy. Nic prostszego. Tylko czy to jest wyjście? I czy to jest zakończenie wyprawy, do którego dążył?

Często bywa, że myśl, która we śnie wydawała się genialna, po przebudzeniu okazuje się bezmyślnym połączeniem słów...

- O umiłowany bracie! Nieprawość jest na twym ciele i w twojej duszy - usłyszał głos wprost nad sobą.

To było dla niego tak nieoczekiwane, że i odzyskana myśl, i gorycz rozczarowania po jej odzyskaniu, błyskawicznie się rozpłynęły. Nie pomyślał nawet, żeby zwrócić uwagę na swoje otoczenie, tak bardzo już przywykł do tego, że ludzie rozbiegają się na wszystkie strony jeszcze zanim uda mu się powiedzieć chociaż słowo.

- Przygarniamy wszystkich porzuconych i ubogich - ciągnął głos, brzmiał tak miękko, tak uspokajająco, tak łagodnie, że Artem nie wytrzymał, najpierw kątem oka popatrzył w lewo, potem rzucił ponure spojrzenie w prawo, bojąc się odkryć tam kogoś innego, do kogo zwraca się mówiący.

Ale w pobliżu nikogo więcej nie było. Ten ktoś mówił do niego. Wtedy powoli podniósł głowę i napotkał wzrok niewysokiego, uśmiechniętego mężczyzny w obszernym kitlu, jasnowłosego i rumianego, który przyjaźnie wyciągał do niego rękę. Jakiekolwiek współczucie było teraz Artemowi potrzebne niczym tlen, więc z nieśmiałym uśmiechem też wyciągnął dłoń.

„Dlaczego on ode mnie nie ucieka jak wszyscy pozostali?" - pomyślał Artem. „Jest nawet gotowy ścisnąć mi rękę. Dlaczego sam do mnie podszedł, kiedy wszyscy dookoła starają się być ode mnie jak najdalej?"

- Pomogę ci, mój bracie! - ciągnął rumiany - Ja i moi bracia damy ci schronienie i wrócimy ci twoje duchowe siły.

Artem kiwnął tylko głową, ale jego rozmówcy starczyło i to.

- Więc pozwól mi zabrać cię do Wieży Strażniczej, o umiłowany bracie - zapiał, i mocno łapiąc Artema za rękę, pociągnął go za sobą.

ROZDZIAŁ 11
NIE WIERZĘ

Artem nie pamiętał drogi, zresztą nie starał się jej pamiętać. Zrozumiał tylko, że ze stacji poprowadzono go do tunelu, ale który z czterech to był, nie wiedział.

Jego nowy znajomy przedstawił się jako brat Timofiej. Po drodze, zarówno na szarej, niepozornej Sierpuchowskiej, jak i w ciemnym głuchym tunelu, zdawał się mówić praktycznie bez przerwy:

- Raduj się, o umiłowany bracie, albowiem spotkałeś mnie na swej drodze, i odtąd wszystko odmieni się w twoim życiu. Skończył się nieprzenikniony mrok twej tułaczki bez celu, albowiem wyszedłeś ku temu, który szukał.

Artem nie najlepiej rozumiał, co ten miał na myśli, bo szczerze mówiąc jego tułaczka była daleka od zakończenia, ale zaróżowiony, błogosławiony Timofiej mówił tak zgrabnie i tkliwie, że chciało się go słuchać i słuchać, mówić z nim jednym językiem, dziękować mu za to, że nie odepchnął Artema, kiedy odwrócił się od niego cały świat.

- Wierzysz ty w Boga prawdziwego, jedynego, bracie Artemie? - niby przypadkowo zainteresował się Timofiej, patrząc Artemowi wnikliwie w oczy.

Artem mógł tylko odpowiedzieć nieokreślonym ruchem głowy i niewyraźnym burknięciem, co można było zinterpretować jak się chciało: i jako zgodę, i jako przeczenie.

- To dobrze, to przecudownie, bracie Artemie - gruchał Timofiej - jedynie prawdziwa wiara wybawi cię od wiecznych mąk piekielnych i zapewni ci odkupienie twoich grzechów. Dlatego - zrobił surową i uroczystą minę - bo nadchodzi królestwo Boga naszego Jehowy, i wypełniają się święte biblijne proroctwa. Studiujesz Biblię, bracie?

Artem znów coś mruknął, ale tym razem rumiany popatrzył na niego z pewnym powątpiewaniem.

- Kiedy przyjdziemy do Strażnicy, przekonasz się na własne oczy, że badanie Świętej Księgi podarowanej nam z góry jest konieczne, i wielkie dobra spływają na tych, co wrócili na ścieżkę prawdy. Biblia to drogocenny dar Boga naszego Jehowy, można ją tylko porównać do listu miłującego ojca do swoich dziatek - dodał brat Timofiej na wszelki wypadek. - Wiesz, kto pisał Biblię? - nieco surowo zapytał Artema.

Artem stwierdził, że nie ma sensu dalej udawać, i szczerze pokręcił głową.

- O tym, jak i o wielu innych rzeczach, opowiedzą ci w Strażnicy, i otworzą się twoje oczy - przyrzekł mu brat Timofiej. - Wiesz, co powiedział Jezus Chrystus, syn Boży, swoim wyznawcom w Laodycei? - widząc, że Artem ucieka wzrokiem, pokręcił głową z łagodnym wyrzutem. - Jezus rzekł: „Zalecam wam kupić u mnie maść na oczy, byście wtarli ją w oczy i mogli widzieć". Lecz Jezus mówił nie o chorobie ciała - podnosząc palec wskazujący podkreślił brat Timofiej, i zawiesił głos z rosnącą, intrygującą intonacją, która obiecywała żądnym wiedzy zadziwiający ciąg dalszy.

Artem natychmiast wyraził żywe zainteresowanie.

- Jezus mówił o ślepocie duchowej, którą koniecznie trzeba uzdrowić - rozwiązał zagadkę Timofiej. - Tak ty, jak i tysiące innych, którzy pobłądzili, wędrujecie na oślep, albowiem jesteście ślepi. Lecz wiara w prawdziwego Boga naszego Jehowę, to ta maść na oczy, od której twe powieki otworzą się szeroko i ujrzysz świat takim, jaki jest, albowiem fizycznie jesteś widzący, lecz duchowo ślepy.

Artem pomyślał, że maść na oczy bardzo by mu się przydała jakieś cztery dni wcześniej. Ponieważ nic nie odpowiadał, brat Timofiej uznał, że ta skomplikowana idea wymaga przemyślenia, i przez jakiś czas milczał, pozwalając mu pojąć to, co usłyszał.

Ale po pięciu minutach błysnęło przed nimi światło, i brat Timofiej przerwał rozmyślania, by oznajmić radosną wieść:

- Widzisz te ogniki w oddali? Oto jest Strażnica. Dotarliśmy!

Niczego, co przypominałoby strażnicę tu nie było, i Artem poczuł lekkie rozczarowanie. Był to zwykły, stojący pośrodku tunelu pociąg, którego reflektory świeciły słabo w ciemnościach, oświetlając najbliższe piętnaście metrów. Kiedy brat Timofiej i Artem zbliżyli się do pociągu, z kabiny maszynisty wyszedł im na spotkanie otyły mężczyzna w takim samym kitlu, objął rumianego i również zwrócił się do niego „umiłowany bracie", z czego Artem wywnioskował, że jest to raczej figura retoryczna niż wyznanie miłosne.

- Kim jest ten młodzieniec? - uśmiechając się czule do Artema, niskim głosem spytał grubas.

- To Artem, nasz nowy brat, który pragnie razem z nami iść drogą prawdy, studiować Pismo Święte i wyrzec się Szatana - wyjaśnił rumiany Timofiej.

- Tak więc pozwól stróżowi Strażnicy powitać cię, ukochany bracie Artemie! - zahuczał gruby, i Artema znów uderzyło, że i on jakby nie wyczuwa tego nieznośnego smrodu, który przenikał obecnie całą jego istotę.

- A teraz - zagruchał brat Timofiej, kiedy nieśpiesznie sunęli przez pierwszy wagon - zanim jeszcze wejdziesz na spotkanie braci do Sali Królestwa, powinieneś oczyścić swoje ciało, albowiem Jehowa nasz czysty jest i święty, i oczekuje on, by jego wyznawcy zachowywali duchową, moralną i fizyczną czystość, a także czystość myśli. Żyjemy w nieczystym świecie - ze smutną miną obejrzał ubranie Artema, które faktycznie znajdowało się w opłakanym stanie - i aby zachować czystość w oczach Boga, konieczne są z naszej strony poważne starania, bracie - zakończył i wepchnął Artema do wyłożonej plastikowymi płytkami klitki, urządzonej niedaleko wejścia do wagonu. Timofiej poprosił go, żeby się rozebrał, a potem wręczył mu wydzielającą mdły zapach kostkę szarego mydła i jakieś pięć minut polewał go wodą z gumowego węża.

Artem starał się nie zastanawiać, z czego było zrobione mydło. W każdym razie, nie tylko ścierało skórę, ale też likwidowało ohydny zapach, którym nasiąkło jego ciało. Po zakończeniu procedury brat Timofiej wydał Artemowi względnie świeży kitel, podobny do własnego, i spojrzał z dezaprobatą na zawieszoną na jego szyi łuskę, widząc w niej pogański talizman, ale ograniczył się tylko do pełnego wyrzutu westchnienia.

Zadziwiające było też to, że w tym dziwnym pociągu, który od nie wiadomo kiedy tkwił pośrodku tunelu i służył teraz braciom jako schronienie, jest woda i to pod takim ciśnieniem. Ale kiedy Artem zainteresował się, co to za woda płynie ze szlauchu i jak udało się skonstruować takie urządzenie, brat Timofiej uśmiechnął się tylko zagadkowo i oznajmił, że chęć służenia Jehowie naprawdę skłania ludzi do postępków heroicznych i chwalebnych. Wyjaśnienie było więcej niż mętne, ale Artem musiał się nim zadowolić.

Potem przeszli do drugiego wagonu, gdzie między twardymi bocznymi ławkami były wstawione długie stoły, obecnie puste. Brat Timofiej podszedł do człowieka, który krzątał się nad wielkimi parującymi garami, z których unosił się kuszący zapach, i wrócił z dużym talerzem jakiejś papki, która okazała się zupełnie zjadliwa, chociaż Artemowi do końca nie udało się określić jej pochodzenia.

Kiedy pośpiesznie nabierał wytartą aluminiową łyżką gorącą polewkę, brat Timofiej obserwował go z tkliwością, nie przepuszczając okazji, by wtrącić:

- Nie myśl, że ci nie wierzę, bracie, ale twoja odpowiedź na moje pytanie o wiarę w Boga naszego brzmiała niepewnie. Czyżbyś mógł wyobrazić sobie świat, w którym Go nie ma? Czyżby nasz świat mógł powstać sam z siebie, a nie zgodnie z Jego mądrą wolą? Czyżby nieskończona różnorodność form życia, całe piękno ziemi - objął podbródkiem jadalnię - wszystko to mogło powstać przypadkiem?

Artem obrzucił uważnym spojrzeniem wagon, ale nie dostrzegł w nim innych form życia, oprócz nich samych i kucharza. Znów pochylił się nad miską i wydał tylko sceptyczny pomruk.

Wbrew jego oczekiwaniom, jego niezgoda wcale nie zmartwiła brata Timofieja. Przeciwnie, wyraźnie się ożywił, i jego różowe policzki rozpalił czupurny, bojowy rumieniec.

- Jeśli to nie przekonuje cię o Jego istnieniu - ciągnął energicznie brat Timofiej - to pomyśl o czymś innym. Przecież jeśli w tym świecie nie przejawia się Boska wola, to znaczy... - jego głos urwał się, jakby ze strachu, i dopiero po długiej chwili, podczas której Artem kompletnie stracił apetyt, zakończył: - Przecież to znaczy, że ludzie są pozostawieni sami sobie, i w naszym istnieniu nie ma żadnego sensu, i nie ma żadnego powodu, by je przedłużać... To znaczy, że jesteśmy całkiem sami, i nie ma komu się o nas troszczyć. To znaczy, że jesteśmy pogrążeni w chaosie, i nie ma najmniejszej nadziei na światło w końcu tunelu... W takim świecie życie jest straszne. W takim świecie żyć się nie da.

Artem nic mu nie odpowiedział, ale te słowa skłoniły go do zadumy. Do tej pory widział swoje życie jako kompletny chaos, jako zlepek przypadków, pozbawionych związku i sensu. I chociaż mu to ciążyło, i pokusa, by uwierzyć w jakąkolwiek prostą prawdę, która nadałaby jego życiu sens, była wielka, uważał to za małoduszność, i sam, przez ból i wątpliwości, umacniał się w poglądzie, że jego życie nikomu innemu nie jest potrzebne, że każdy powinien sam przeciwstawić się absurdowi i chaosowi egzystencji. Zupełnie jednak nie miał ochoty kłócić się teraz z miłym Timofiejem.

Nastąpił syty, spokojny, błogi stan, Artem czuł szczerą wdzięczność wobec człowieka, który zabrał go, zmęczonego, głodnego, śmierdzącego, ciepło z nim porozmawiał, a teraz go nakarmił i dał mu czyste ubranie. Chciał mu w jakikolwiek sposób podziękować, i dlatego, kiedy ten przywołał go do siebie obiecując zabrać go na spotkanie braci, Artem niezwykle ochoczo poderwał się z miejsca, całym sobą pokazując, że z największą przyjemnością pójdzie właśnie na to spotkanie, i w ogóle gdzie tylko Timofiej będzie chciał.

Na spotkania wydzielony był sąsiedni, trzeci z kolei wagon. Cały był wypełniony ludźmi o najróżniejszej powierzchowności, w większości ubranych w te same kitle. Pośrodku wagonu znajdował się niewielki podest, tak że stojący na nim człowiek wznosił się o pół metra ponad resztę, głową dotykając prawie sufitu.

- To ważne, żebyś teraz wszystko słyszał - mentorskim tonem powiedział do Artema brat Timofiej, delikatnie torując drogę i ciągnąc go za sobą w najgęstszy tłum.

Mówca był dosyć stary, na pierś opadała mu szlachetna siwa broda, a głęboko osadzone oczy niewiadomego koloru patrzyły mądrze i spokojnie. Jego twarz, ani chuda, ani okrągła, pokryta była głębokimi zmarszczkami, lecz wyrażała nie starczą niedołężność i słabość, a mądrość i niepojętą siłę.

- Starszy Jan - głosem pełnym czci szepnął do Artema brat Timofiej. - Masz duże szczęście, bracie Artemie, kazanie dopiero się zaczyna, i usłyszysz od razu kilka lekcji.

Starszy podniósł rękę; szelesty i szepty natychmiast się urwały. Wtedy głębokim, dźwięcznym głosem zaczął:

- Moja pierwsza lekcja dla was, umiłowani bracia, mówi o tym, jak poznać, czego chce od nas Bóg. W tym celu odpowiedzcie na trzy pytania: Jakie ważne wiadomości zawiera Biblia? Kto jest jej autorem? Dlaczego należy ją studiować?

Jego język różnił się od zawiłej maniery mówienia brata Timofieja: mówił całkiem prosto, używając niewyszukanych zwrotów i krótkich zdań. Artema z początku to zdziwiło, ale potem rozejrzał się wokół i spostrzegł, że większość słuchaczy jest w stanie pojąć tylko takie słowa, a różowiutki Timofiej zrobiłby na nich nie większe wrażenie, niż stół albo ściana. Tymczasem siwy kaznodzieja oznajmił, że w Biblii przedstawiona jest prawda o

Bogu: kim jest i jakie są jego prawa. Potem przeszedł do drugiego pytania i powiedział, że Biblię w ciągu 1600 lat pisało około czterdziestu różnych ludzi, lecz wszystkich ich natchnął Bóg.

- Dlatego - zakończył starszy - autorem Biblii nie jest człowiek, lecz Bóg, żyjący w niebiosach. A teraz odpowiedzcie mi, bracia, dlaczego należy studiować Biblię? - I, nie czekając aż bracia odpowiedzą, sam wyjaśnił: - Ponieważ jest to poznanie Boga i wypełnienie Jego woli - warunek waszej wiecznej przyszłości. Nie wszyscy będą radzi, że studiujecie Biblię - uprzedził - ale nie pozwólcie nikomu wam w tym przeszkodzić! - Powiódł po zebranych surowym spojrzeniem.

Nastąpiła chwila ciszy, i starzec, wziąwszy łyk wody, kontynuował.

- Moja druga lekcja dla was, bracia, dotyczy tego, kim jest Bóg. W tym celu odpowiedzcie mi na trzy pytania: Kim jest prawdziwy Bóg i jakie jest Jego imię? Jakie są Jego główne cechy? Jak należy Go wysławiać?

Ktoś z tłumu chciał odpowiedzieć na jedno z pytań, ale inni ostro na niego syknęli, i Jan, jak gdyby nigdy nic, zaczął odpowiadać sam:

- Ludzie oddają cześć wielu rzeczom. Lecz w Biblii jest napisane, że jest tylko jeden prawdziwy Bóg. Stworzył wszystko, tak w niebie, jak i na ziemi. To On dał nam życie, więc należy czcić tylko Jego jedynego. Jak nazywa się prawdziwy Bóg? - podniósł głos starzec, robiąc pauzę.

- Jehowa! - huknął chór wielu głosów.

Artem z niepokojem rozejrzał się dookoła.

- Imię Boga prawdziwego brzmi Jehowa! - potwierdził kaznodzieja. - Ma wiele tytułów, lecz tylko jedno imię. Zapamiętajcie imię naszego Boga i nazywajcie go nie po tchórzowsku, tytułem, a bezpośrednio, po imieniu! Kto odpowie mi teraz, jakie są główne atrybuty naszego Boga?

Artem myślał, że teraz już na pewno znajdzie się w tłumie ktoś wystarczająco uczony, żeby odpowiedzieć na to pytanie. I stojący w pobliżu poważnie wyglądający chłopak podniósł rękę, żeby odpowiedzieć, ale starzec go uprzedził:

- To, jaki jest Jehowa, zawarte jest w Biblii. Jego głównymi atrybutami są: miłość, sprawiedliwość, mądrość i siła. W Biblii jest napisane, że Bóg jest miłosierny, dobry, skłonny do przebaczenia, wielkoduszny i cierpliwy. My, podobni posłusznym dzieciom, powinniśmy Go we wszystkim naśladować.

To, co powiedział, nie wywołało sprzeciwu wśród słuchaczy, i starzec, pogładziwszy swoją wspaniałą brodę, zapytał:

- A teraz powiedzcie mi: Jak należy czcić naszego Boga Jehowę? Jehowa mówi, że powinniśmy czcić tylko Jego. Nie powinniśmy wielbić ikon, obrazów, symboli i modlić się do nich! Bóg nasz nie będzie się dzielił chwałą z nikim więcej! Obrazy nam nie pomogą! - przepowiadający groźnie podniósł głos.

W tłumie odezwały się głosy zgody, a brat Timofiej, odwróciwszy do Artema swoją promieniejącą radością twarz, powiedział:

- Starszy Jan to wielki orator, dzięki niemu bractwo nasze rośnie z każdym dniem, i poszerza się grono wyznawców prawdziwej wiary!

Artem kwaśno się uśmiechnął. Na razie płomienna przemowa starszego Jana nie robiła na nim tak piorunującego wrażenia, jak na wszystkich pozostałych.

Ale może należało posłuchać dalej?

- W mojej trzeciej lekcji opowiem wam, kim jest Jezus Chrystus - rzekł starzec. - I tu pojawiają się trzy pytania: Dlaczego Jezus Chrystus jest nazwany pierworodnym synem Boga? Dlaczego przyszedł na świat jako człowiek? Co zrobi Jezus w niedalekiej przyszłości?

Potem wyjaśniło się, że pierworodnym synem Boga Jezus jest nazywany dlatego, że był on pierwszym dziełem Boga, przed zstąpieniem na Ziemię był bytem duchowym i żył w Niebie. Artema mocno to zdziwiło - prawdziwe niebo w świadomym życiu widział tylko raz, owego fatalnego dnia na stacji Ogród Botaniczny. Ktoś mu kiedyś mówił, że być może w gwiazdach jest życie. Ale kaznodzieja chyba nie o tym mówił?

Kiedy wyjaśnili tę kwestię, starszy Jan zawołał:

- Ale kto z was powie mi, dlaczego Jezus Chrystus, syn Boży, przyszedł na Ziemię jako człowiek? - i zrobił dramatyczną pauzę.

Teraz Artem zaczął już się nieco orientować, co się dzieje dookoła, i stało się zauważalne, kto z uczestników zalicza się do nowo nawróconych, a kto już od dawna uczęszcza na te lekcje. Weterani nigdy nie próbowali odpowiadać na pytania starszego, nowicjusze przeciwnie, starali się pokazać swoją wiedzę i gorliwość, wykrzykując odpowiedzi i machając rękami, ale tylko do chwili, kiedy starzec zaczynał wyjaśniać sam.

- Nie usłuchawszy nakazu Boga, pierwszy człowiek, Adam, uczynił to, co w Biblii nazywa się grzechem - usłyszał z oddali głos starszego. - Dlatego Bóg uczynił Adama śmiertelnym. Adam stopniowo zestarzał się i umarł, ale przekazał grzech wszystkim swoim dzieciom, i dlatego my też starzejemy się, chorujemy i umieramy. I wtedy Bóg posłał swojego pierworodnego syna, Jezusa, żeby ten nauczył ludzi prawdy o Bogu, zachowując własną bezgrzeszność, dał ludziom przykład i ofiarował własne życie, żeby wyzwolić ludzkość od grzechu i śmierci.

Artemowi ta idea wydała się bardzo dziwna. Po co było najpierw karać wszystkich śmiercią, by potem poświęcać własnego syna, żeby wszystko było znów jak na początku? I to przy założeniu, że jest się wszechmocnym?

- Jezus wrócił do Nieba, wskrzeszony, jako byt duchowy. Później Bóg ogłosił go Królem. Wkrótce Jezus usunie z Ziemi wszelkie zło i cierpienie! - obiecał starzec. - Ale o tym po modlitwie, umiłowani bracia!

Zebrani posłusznie schylili głowy i oddali się tajemniczej modlitwie. Teraz Artem pogrążył się w brzęczeniu wielu głosów, z którego można było wychwycić pojedyncze słowa, jednak ogólny sens wciąż mu się wymykał. Po pięciominutowej modlitwie bracia zaczęli ożywioną rozmowę, przeżywając widocznie duchowe uniesienie. Artemowi zrobiło się ciężko na sercu, ale na razie zdecydował się zostać, bo najbardziej przekonująca część lekcji mogła być jeszcze przed nim.

- A w mojej czwartej lekcji powiem wam, kto to taki Szatan - obrzucając stojących wokół pełnym mrocznego ognia wzrokiem, ostrzegawczo oznajmił starszy. - Wszyscy są na to gotowi? Wszyscy, bracia, jesteście wystarczająco silni duchem, żeby o tym posłuchać?

Teraz już na pewno trzeba było odpowiadać, ale Artem nie wyrzekł ani słowa. Skąd miał wiedzieć, czy ma wystarczająco mocnego ducha, jeśli nie wiadomo, o czym będzie mowa?

- I znów trzy pytania: Skąd się wziął Szatan, czyli Diabeł? Jak Szatan oszukuje ludzi? Dlaczego musimy sprzeciwić się Diabłu?

Artem puścił mimo uszu prawie całą odpowiedź na to pytanie, zastanawiając się, gdzie teraz jest i w którym kierunku ma stąd iść. Usłyszał jedynie, że główny grzech Szatana zawierał się w tym, że ten zechciał, by oddawano mu cześć, która według prawa należy się Bogu. I jeszcze w tym, że zwątpił, czy Bóg właściwie panuje i dba o interesy wszystkich swoich poddanych, a także czy choć jeden człowiek jest bezgranicznie oddany Bogu. Język starca wydawał się teraz Artemowi bardzo urzędowy i nie nadający się do dyskutowania takich kwestii. Brat Timofiej od czasu do czasu spoglądał na niego, bezskutecznie próbując odkryć na jego twarzy choć iskierkę zapowiadającą rychłe oświecenie, ale Artem robił się tylko coraz bardziej ponury.

- Szatan oszukuje ludzi, aby to jego czcili - głosił tymczasem starzec. - Trzy są sposoby oszustwa: kłamliwa religia, spirytyzm i nacjonalizm. Jeśli religia głosi kłamstwa o Bogu, służy ona celom Szatana. Wyznawcy kłamliwych religii mogą szczerze sądzić, że czczą prawdziwego Boga, ale w rzeczywistości służą oni Szatanowi. Spirytyzm, gdy ludzie przyzywają duchy, aby ich chroniły, szkodziły innym ludziom, przepowiadały przyszłość i czyniły cuda. Za wszystkim tym stoi zła siła, Szatan! - głos starca zadrżał od nienawiści i obrzydzenia. Poza tym, Szatan oszukuje ludzi budząc w nich skrajną narodową dumę i sprawiając, że czczą organizacje polityczne - starszy ostrzegawczo wzniósł palec. - Ludzie niekiedy uważają, że ich naród lub rasa jest lepsza od innych. Ale to nieprawda.

Artem potarł szyję, na której wciąż jeszcze widniała czerwona blizna, i odkaszlnął. Z tym ostatnim nie mógł się nie zgodzić.

- Istnieje pogląd, że problemy ludzkości zlikwidują organizacje polityczne. Ci, którzy w to wierzą odrzucają Królestwo Boże. Lecz problemy ludzkości rozwiąże tylko Królestwo Jehowy. A teraz opowiem wam, bracia, dlaczego trzeba sprzeciwiać się Diabłu. Żeby sprawić, byście odeszli od Jehowy, Szatan może się uciec do prześladowań i oporu. Ktoś z waszych bliskich może rozgniewać się na was za to, że studiujecie Biblię. Inni mogą zacząć się z was śmiać. Lecz komu jesteście zobowiązani swoim życiem?! - spytał starzec i w jego głosie zabrzmiała stal. - Szatan chce was zastraszyć! Żebyście przestali uczyć się o Jehowie! Nie pozwólcie Szatanowi być górą! - głos Jana zagrzmiał niczym uderzenia gromu. - Sprzeciwiając się Diabłu, pokażecie Jehowie, że chcecie Jego panowania!

Tłum zawył w zachwycie.

Skinieniem ręki starszy Jan powstrzymał powszechną histerię, aby zakończyć spotkanie ostatnią, piąta lekcją.

- Co Bóg zaplanował dla Ziemi? - zwrócił się do słuchaczy rozkładając ręce. - Jehowa stworzył Ziemię, aby wiecznie i szczęśliwie żyli na niej ludzie! Chciał, by Ziemię zasiedlała radosna i pobożna ludzkość. Ziemia nigdy nie zostanie zniszczona. Ona będzie istnieć wiecznie!

Artem nie wytrzymał i prychnął, i natychmiast padły na niego gniewne spojrzenia, a brat Timofiej pogroził mu palcem.

- Pierwsi ludzie, Adam i Ewa, zgrzeszyli, z rozmysłem naruszając prawo Boga - ciągnął mówca. - Dlatego Jehowa wygnał ich z raju, i raj został utracony. Lecz Jehowa nie zapomniał, po co stworzył Ziemię. Obiecał zmienić ją w raj, w którym ludzie będą żyć wiecznie. Jak Bóg wypełni swój plan? - starzec spytał sam siebie.

Sądząc po przeciągającej się pauzie, teraz miał nastąpić kluczowy moment kazania, i Artem cały zamienił się w słuch.

- Zanim Ziemia stanie się rajem, należy usunąć złych ludzi - rzekł złowieszczo Jan. - Naszym przodkom obiecano, że oczyszczenie nastąpi podczas Armagedonu - Bożej wojny o unicestwienie zła. Potem Szatan zostanie spętany na tysiąc lat. Nie będzie nikogo, kto by szkodził Ziemi. Wśród żywych zostanie tylko lud Boga! Przez tysiąc lat nad światem będzie panował Król Chrystus Jezus! - starzec przeniósł pałające spojrzenie na pierwsze rzędy słuchaczy. - Czy rozumiecie, co to znaczy? Boża wojna o unicestwienie zła już się skończyła! To, co stało się z tą grzeszną Ziemią - to właśnie Armagedon! Zło zostało wypalone! Zgodnie z proroctwem przeżyje tylko lud Boga. To my, mieszkańcy metra, jesteśmy ludem Bożym! To my przeżyliśmy Armagedon! Nastanie Królestwo Boże! Wkrótce nie będzie ani starości, ani chorób, ani śmierci! Chorzy uwolnią się od cierpień, starzy znów staną się młodzi! Podczas tysiącletniego panowania Jezusa wierni Bogu ludzie zmienią Ziemię w raj, Bóg wskrzesi do życia miliony umarłych!

Artem wspomniał rozmowę Suchego z Hunterem o tym, że poziom promieniowania na powierzchni nie zmaleje przynajmniej przez pięćdziesiąt lat, o tym, że ludzkość jest

zgubiona, że pojawiły się inne gatunki... Starzec nie wyjaśnił, jak to dokładnie się stanie, że powierzchnia Ziemi przeobrazi się w kwitnący raj.

Artem miał ochotę spytać go jakie to potworne rośliny będą kwitnąć w tym napromieniowanym raju, i jacy ludzie ośmielą się wyjść na górę, żeby go zasiedlić, i czy jego rodzice byli dziećmi Szatana, i za to zginęli w wojnie o unicestwienie zła, ale nie powiedział nic. Wypełniła go taka gorycz i takie niedowierzanie, że oczy zaczęły go piec i poczuł ze wstydem, że po policzku spływa mu łza. Zebrał siły i powiedział tylko jedno:

- A niech pan powie, co Jehowa, nasz prawdziwy Bóg, mówi o bezgłowych mutantach?

Pytanie zawisło w powietrzu. Starszy Jan nie zaszczycił Artema nawet spojrzeniem, ale stojący w pobliżu obejrzeli się na niego z przestrachem i obco, a wokół niego od razu zrobiło się pusto, jakby znów zaczął śmierdzieć. Brat Timofiej chciał go wziąć za rękę, ale Artem się mu wyrwał i, odpychając tłoczących się braci, zaczął się przeciskać do wyjścia. Kilka razy próbowali podstawić mu nogę, raz ktoś nawet uderzył go pięścią w plecy, w ślad za nim niosły się wzburzone szepty.

Wydostał się z Sali Królestwa i ruszył przez jadalnię. Teraz przy stołach było dużo ludzi, przed którymi stały puste aluminiowe miski. Pośrodku działo się coś ciekawego, i wszystkie oczy były skierowane właśnie tam.

- Bracia, zanim przystąpimy do posiłku - mówił niepozorny chudy człowiek z krzywym nosem - posłuchajmy małego Dawida i jego historii, która dopełni dzisiejszą przypowieść o przemocy.

Usunął się na bok i jego miejsce zajął pulchny chłopczyk z wąskim nosem i przyczesanymi płowymi włosami.

- On był rozgniewany i chciał mnie zbić - zaczął Dawid tonem, którym dzieci zwykle deklamują wyuczone na pamięć wierszyki. - Pewnie po prostu dlatego, że byłem mały. Cofnąłem się i krzyknąłem: „Stój! Zaczekaj! Nie bij mnie! Przecież nic ci nie zrobiłem. W czym ci zawiniłem? Powiedz lepiej, co się stało?" - twarz Dawida przybrała wyuczony uduchowiony wyraz.

- I co ci powiedział ten straszny zbój? - wtrącił wzburzony chudzielec.

- Okazało się, że ktoś ukradł mu śniadanie, i po prostu wyładował swój gniew na pierwszej napotkanej osobie - wyjaśnił Dawid, ale coś w jego głosie kazało wątpić, czy sam dobrze rozumie sens tego, co właśnie powiedział.

- I co zrobiłeś? - budując napięcie naciskał chudy.

- Powiedziałem mu po prostu: „Bijąc mnie, nie odzyskasz swojego śniadania", i zaproponowałem, żebyśmy razem poszli do brata kucharza i opowiedzieli mu o tym, co się stało. Poprosiliśmy o jeszcze jedno śniadanie dla niego. Uścisnął mi potem rękę i już zawsze się ze mną przyjaźnił.

- Czy jest tu obecny ten, który skrzywdził małego Dawida? - spytał chudy głosem prokuratora.

W górę natychmiast powędrowała czyjaś ręka i potężny dwudziestoletni chłopak, z głupim i złośliwym wyrazem twarzy, zaczął przeciskać się w kierunku zaimprowizowanej sceny, żeby opowiedzieć, jakie to cudowne działanie miały słowa małego Dawida. Nie szło mu to łatwo, malec miał wyraźnie większą zdolność zapamiętywania słów, których znaczenia nie rozumiał. Kiedy przedstawienie dobiegło końca, a małego Dawida i skruszonego brutala pożegnano brawami, chudy facet znów stanął na ich miejscu i zwrócił się serdecznie do słuchaczy:

- Tak, łagodne słowa posiadają ogromną siłę! Jak jest napisane w Księdze Przysłów, język łagodny kości łamie. Miękkość i łagodność nie są słabością, umiłowani bracia, za miękkością kryje się ogromna siła woli! I przykłady z Pisma Świętego tego dowodzą... -

znajdując w zatłuszczonej książce potrzebną stronicę, zaczął uduchowionym głosem odczytywać jakąś przypowieść.

Artem poszedł dalej, odprowadzany zdziwionymi spojrzeniami, aż wreszcie wszedł do pierwszego wagonu. Tam nikt go nie zatrzymał, i chciał już wyjść na tory, ale stróż Strażnicy, dobroduszny i niewzruszony grubas, który powitał go radośnie przy wejściu, teraz zagrodził mu drogę swoją masywną postacią i marszcząc gęste brwi, spytał surowo, czy Artem ma pozwolenie na wyjście. Wyminąć go w żaden sposób się nie dało.

Kiedy po kilkudziesięciu sekundach strażnik nie doczekał się wyjaśnień, z suchym trzaskiem zacisnął pięści i ruszył na Artema. Zaszczuty Artem rozejrzał się wokół i tu przypomniała mu się historia małego Dawida. Może zamiast rzucać się na słoniopodobnego strażnika, powinien się od niego dowiedzieć, czy ktoś nie zabrał mu śniadania?

Na szczęście z pomocą pośpieszył brat Timofiej, który łagodnie spojrzał na strażnika i rzekł:

- Ten chłopiec może odejść, nikogo nie zatrzymujemy tu wbrew jego woli.

Strażnik spojrzał na niego ze zdziwieniem i posłusznie usunął się na bok.

- Ale pozwól mi się odprowadzić choć kawałek, umiłowany bracie Artemie - zapiał brat Timofiej, i Artem, nie potrafiąc oprzeć się czarowi jego słów, skinął głową. - Może z początku wydało ci się dziwne to, jak tu żyjemy - uspokajająco mówił Timofiej - ale teraz ziarno Boże zostało też zasiane w tobie, i oczy moje widzą, że padło na żyzną glebę. Chcę ci tylko opowiedzieć, jak nie powinieneś postępować teraz, kiedy Królestwo Boże jest bliskie jak nigdy, żebyś nie został odtrącony. Musisz nauczyć się nienawidzić zło i unikać rzeczy, których nienawidzi Bóg: rozpusty, która oznacza niewierność, sodomii, kazirodztwa i homoseksualizmu, gier hazardowych, kłamstwa, złodziejstwa, gniewu, przemocy, czarnej magii, spirytyzmu, pijaństwa - trajkotał brat Timofiej, niespokojnie zaglądając Artemowi w oczy. - Jeśli kochasz Boga i chcesz Go radować, wyrzeknij się tych grzechów! Pomóc mogą ci przyjaciele, którym otworzyły się oczy - dodał, myśląc zdaje się o sobie. - Chwal imię Boga, głoś Królestwo Boże, nie bierz udziału w sprawach tego złego świata, wyrzeknij się ludzi, którzy mówią ci inaczej, albowiem Szatan przemawia ich ustami - mamrotał, ale Artem nic już nie słyszał, szedł coraz szybciej, i brat Timofiej już za nim nie nadążał. - Powiedz, gdzie mogę cię znaleźć następnym razem? - sapiąc, zawołał ze sporej już odległości, prawie niewidoczny w półmroku.

Artem milczał i zaczął biec, a wtedy, z ciemności, dogonił go rozpaczliwy krzyk:

- Oddaj habit!

Artem biegł naprzód, potykając się, nie widząc niczego przed sobą, kilka razy się przewrócił, kalecząc o beton dłonie i obcierając kolana, ale nie wolno było się zatrzymywać - zbyt wyraźnie widział na pulpicie lokomotywy czarny karabin, i teraz już nie wierzył, że bracia, jeśli go dogonią, będą woleli użyć łagodnych słów niż przemocy.

Był o kolejny krok bliżej celu, znajdował się już całkiem blisko Polis, na tej samej linii, trzeba było jeszcze tylko przejść dwie stacje. Najważniejsze to iść naprzód, nie zbaczać ani na krok z drogi, a wtedy...

Artem wyszedł na Sierpuchowską i, nie zatrzymując się na niej ani na chwilę, upewnił się tylko co do kierunku i znów dał nura w czarną czeluść prowadzącego naprzód tunelu.

Ale tam się z nim coś stało.

Zapomniane już uczucie strachu przed tunelem spadło na niego, przygniotło do ziemi, przeszkadzając iść, myśleć, oddychać. Wydawało mu się, że teraz pojawiła się już u niego rutyna, że po wszystkich tych wędrówkach strach go opuści i więcej nie odważy się mu doskwierać. Nie czuł ani strachu, ani niepokoju, kiedy szedł z Kitaj-Gorodu na Puszkińską, kiedy jechał z Twerskiej na Pawielecką, nawet kiedy całkiem sam przemierzał drogę z Pawieleckiej na Dobrynińską. I nagle to uczucie wróciło.

Z każdym krokiem naprzód strach przytłaczał go coraz bardziej, miał ochotę natychmiast się odwrócić i rzucić na złamanie karku na stację, gdzie było chociaż jakiekolwiek światło, gdzie byli ludzie, gdzie nie czuło się ciągle na plecach uważnego, złośliwego wzroku.

Zbyt wiele przebywał z ludźmi i przez to przestał odczuwać to, co spadło na niego przy wyjściu z Aleksiejewskiej. Ale teraz znów ogarnęło go poczucie, że metro to nie tylko zbudowana niegdyś sieć transportu, nie tylko schron atomowy czy miejsce życia kilkudziesięciu tysięcy ludzi... Że ktoś tchnął w nie własne, tajemnicze, z niczym nieporównywalne życie, że posiada ono pewien dziwny i niepojęty dla człowieka umysł i inną od ludzkiej świadomość.

Wrażenie to było tak wyraźne i ostre, że Artemowi wydało się, że strach tunelu to po prostu wrogość tego ogromnego stworzenia, błędnie wybranego przez ludzi na ich ostatnie schronienie, wrogość do tych maleńkich istot, miotających się po jego wnętrzu. Teraz nie chciało, by Artem szedł naprzód, jego dążeniu, by dotrzeć do końca drogi, do Celu, przeciwstawiło swoją wolę, pierwotną i potężną. I jego opór wzrastał z każdym pokonanym przez Artema metrem.

Szedł przez te nieprzeniknione ciemności, nie widząc własnych rąk, nawet kiedy trzymał je tuż przy twarzy. Zupełnie jakby wypadł z przestrzeni i czasu, i przywidziało mu się, że jego ciało przestało istnieć. Jakby nie przemierzał tunelu, a szybował przez substancję czystego umysłu w niewiadomym kierunku.

Artem nie widział uciekających do tyłu ścian, i przez to wydawało mu się, że stoi w miejscu i nie przesuwa się do przodu ani na krok, że cel jego drogi jest tak samo nieosiągalny, jak pięć i dziesięć minut wcześniej. Przebierał wprawdzie nogami po podkładach kolejowych i to mogło świadczyć, że się przemieszcza. Z drugiej strony sygnał informujący jego mózg o każdej nowej desce, na którą trafiała stopa, był zawsze taki sam, tak jakby raz został zapisany i teraz bez końca się powtarzał. To też sprawiało, że można było wątpić w realność ruchu. Czy zbliża się do celu idąc naprzód? Nagle przypomniała mu się dawna wizja, która dawała inną odpowiedź na trapiące go pytanie.

Potrząsnął głową, próbując się pozbyć tych głupich, niepotrzebnych myśli, paraliżujących mięśnie i umysł, lecz te tylko się od tego wyrazu słabości wzmocniły. I wtedy, czy to ze strachu przed tym czymś nieznanym, złym, wrogim, co podnosiło się za jego plecami, czy to żeby udowodnić sobie, że jednak się przemieszcza, Artem ruszył do przodu ze zdwojoną siłą. I ledwo udało mu się zatrzymać, kiedy szóstym zmysłem wyczuł przed sobą przeszkodę, na którą cudem nie wpadł.

Ostrożnie obmacał rękami zimne, zardzewiałe żelazo, wystające z gumowych uszczelek odłamki szkła, stalowe powierzchnie kół i rozpoznał w tajemniczej przeszkodzie pociąg. Był on, zdawało się, porzucony, w każdym razie wokół panowała cisza. Wspomniawszy straszną opowieść Michaiła Porfiriewicza, Artem nie miał odwagi wejść do środka i zamiast tego poszedł wzdłuż sznura wagonów, przyciskając się do ściany tunelu. Kiedy wreszcie minął pociąg, westchnął z ulgą i pośpieszył dalej, znów zaczynając biec.

W ciemności było to naprawdę trudne, ale nogi mu się przystosowały i biegł, aż nagle przed nim i nieco z boku, zajaśniało czerwonawe światło ogniska.

To była ulga nie do opisania - wiedzieć, że znajduje się w realnym świecie i obok niego są prawdziwi ludzie. Nieważne jak są do niego nastawieni. Niech to nawet będą zabójcy, złodzieje, sekciarze, rewolucjoniści - to nie ma znaczenia, najważniejsze, żeby byli podobnymi mu stworzeniami z krwi i kości. Ani na chwilę nie wątpił, że uda mu się znaleźć u nich schronienie i ukryć przed tą niewidzialną, ogromną istotą, która chciała go zadusić - a może przed własnym oszalałym umysłem?

Pojawił się przed nim na tyle dziwny widok, że nie mógł z całą pewnością stwierdzić, czy powrócił do rzeczywistości, czy też tuła się jeszcze po zaułkach własnej podświadomości.

Na stacji Polianka, a to mogła być tylko ona, paliło się tylko jedno niewielkie ognisko, ale nie było tu żadnych innych źródeł światła, i dlatego wydawało się ono jaśniejsze od elektrycznych lamp na Pawieleckiej. Przy ognisku siedziało dwóch ludzi, jeden odwrócony plecami, drugi twarzą do Artema, ale żaden z nich go nie zauważył ani nie usłyszał. Zupełnie jakby oddzielała go od nich niewidzialna ściana, izolująca ich od świata zewnętrznego.

Cała stacja, z tego co było widać w świetle ogniska, była niewyobrażalnie zawalona różnorakim chłamem: można było rozróżnić kształty zepsutych rowerów, opon samochodowych, resztek mebli i jakiejś aparatury, wznosiła się też góra makulatury, z której siedzący od czasu do czasu wyciągali plik gazet lub książkę i dorzucali do ognia. Wprost przed ogniskiem na podstawce stało czyjeś gipsowe popiersie, obok niego leżał zwinięty w kłębek kot. Więcej nie było tu nikogo.

Jeden z siedzących coś nieśpiesznie opowiadał drugiemu. Kiedy podszedł bliżej, Artem zaczął rozumieć:

- Rozdmuchują na przykład pogłoski o Uniwersytecie... Zresztą całkowicie nieprawdziwe. To wszystko echa dawnych mitów o Podziemnym Mieście w Ramenkach. Tego, które było częścią Metra-2. Ale, oczywiście, nie można niczego odrzucać z pełnym przekonaniem. Imperium mitów i legend. Metro-2 byłoby tu, oczywiście, głównym, złotym mitem, gdyby tylko znało go więcej ludzi. Weźmy choćby wiarę w Niewidzialnych Obserwatorów!

Artem podszedł całkiem blisko, kiedy ten, który siedział plecami do niego, oznajmił swojemu rozmówcy:

- Ktoś tam jest.

- Rzeczywiście - przytaknął drugi.

- Możesz przysiąść się do nas - powiedział pierwszy, zwracając się do Artema, ale nie odwracając się do niego. - Tak, czy inaczej, dalej teraz nie można iść.

- Dlaczego? - zaniepokoił się Artem. - Ktoś tam jest, w tunelu?

- Rozumie się, że nikogo nie ma - cierpliwie wyjaśnił tamten. - Kto by tam się pakował? Nie wolno tam teraz wchodzić, mówię przecież. Tak więc siadaj.

- Dziękuję - Artem zrobił nieśmiały krok naprzód i usiadł na ziemi naprzeciwko popiersia.

Byli po czterdziestce. Jeden - siwiejący, w prostokątnych okularach, drugi - jasnowłosy, chudy, z małą bródką. Obaj byli ubrani w stare waciaki, podejrzanie niepasujące do ich twarzy. Palili, wdychając dym przez cienką rurkę z podobnego do fajki wodnej urządzenia, z którego unosił się aromat, od którego kręciło się w głowie.

- Jak cię zwą? - zainteresował się blondyn.

- Artem - odpowiedział mechanicznie Artem, zajęty przyglądaniem się tym dziwnym ludziom.

- Nazywają go Artem - przekazał blondyn temu drugiemu.

- No, to rozumiem - odrzekł tamten.

- Ja jestem Jewgienij Dmitriewicz. A to Siergiej Andriejewicz - powiedział blondyn.

- Może nie trzeba tak oficjalnie? - upewnił się Siergiej Andriejewicz.

- Nie, Sierioża, jak już dożyliśmy tego wieku, trzeba z tego korzystać - oznajmił Jewgienij Dmitriewicz. - Status i takie tam.

- No, i co dalej? - spytał wtedy Siergiej Andriejewicz Artema.

Pytanie zabrzmiało bardzo dziwnie, była to jakby prośba o kontynuację, chociaż nie było czego kontynuować, i Artema wprawiło to w duże zakłopotanie.

- Artem, bo Artem, ale to jeszcze nic nie znaczy. Gdzie mieszkasz, dokąd idziesz, w co wierzysz, w co nie wierzysz, kto winien[6] i co robić[7]? - objaśnił myśl Siergieja Andriejewicza blondyn.

- Tak jak wtedy, pamiętasz? - powiedział nagle nie wiadomo czemu Siergiej Andriejewicz.

- Tak, tak! - zaśmiał się Jewgienij Dmitriewicz.

- Mieszkam na WOGN-ie... w każdym razie kiedyś mieszkałem - niechętnie zaczął Artem.

- Jak to było... Kto położył but na pulpicie odpalania rakiet? - uśmiechnął się blondyn.

- No! Nie ma już żadnej Ameryki! - uśmiechnął się sarkastycznie Siergiej Andriejewicz zdejmując okulary i oglądając je pod światło.

Artem spojrzał na nich z obawą jeszcze raz. Może lepiej będzie po prostu stąd odejść, póki nie jest za późno? Ale to, o czym rozmawiali, zanim go zauważyli, trzymało go przy ognisku.

- A o co chodzi z Metrem-2? Panowie wybaczą, trochę podsłuchałem - przyznał się.

- Chcesz poznać najważniejszą legendę metra? - uśmiechnął się protekcjonalnie Siergiej Andriejewicz. - Co konkretnie cię interesuje?

- Mówiliście coś o jakimś podziemnym mieście i jakichś obserwatorach...

- Cóż, generalnie Metro-2 to schronienie bogów sowieckiego panteonu na czas Ragnaroku, gdy siły zła opanują powierzchnię... - zaczął nieśpiesznie Jewgienij Dmitriewicz, patrząc w sufit i puszczając kółka z dymu. - Legenda głosi, że pod miastem, którego martwe ciało leży tam, na powierzchni, było wybudowane jeszcze jedno metro, dla wybranych. To, co widzisz dookoła, jest metrem dla stada. To, o którym mówią legendy, to metro dla pasterzy i ich owczarków. Na początku wszystkiego, kiedy pasterze nie utracili jeszcze władzy nad swoim stadem, rządzili stamtąd, lecz potem ich siła się wyczerpała, i owce się rozproszyły. Tylko jedna brama łączyła te dwa światy i, jeśli wierzyć przekazom, znajdowała się ona tam, gdzie plan jest teraz rozcięty szkarłatną blizną - na Linii Sokolniczeskiej, gdzieś za stacją Sportiwna. Potem wydarzyło się coś, przez co wejście do Metra-2 zamknęło się na zawsze. Mieszkający tutaj stracili wszelką wiedzę o tym, co dzieje się tam, i samo istnienie Metra-2 stało się czymś mitycznym i nierealnym. Ale - podniósł palec - mimo że wejście do Metra-2 już nie istnieje, to wcale nie oznacza, że przestało istnieć samo Metro-2. Przeciwnie, jest wokół nas. Jego tunele oplatają nitki naszego metra, a jego stacje znajdują się być może tylko kilka kroków za ścianami naszych stacji. Te dwie konstrukcje są nierozdzielne, są jak układ krwionośny i naczynia limfatyczne jednego organizmu. I ci, którzy wierzą, że pasterze nie mogli porzucić swego stada na łaskę losu, mówią, że choć niewidoczni, są obecni w naszym życiu, kierują nami, obserwują każdy nasz krok, ale w żaden sposób się przy tym nie ujawniają i nie dają o sobie znać. Oto i wiara w Niewidzialnych Obserwatorów.

Kot, zwinięty w kłębek obok pokrytego sadzą popiersia, podniósł głowę, otworzył olbrzymie, świetliście zielone oczy i spojrzał na Artema zaskakująco bystro i rozumnie. Jego spojrzenie w ogóle nie przypominało wzroku zwierzęcia, i Artem nie mógłby w tym momencie przysiąc, że jego oczami nie obserwuje go uważnie ktoś inny. Ale wystarczyło, że kotek ziewnął wyciągając szorstki różowy języczek, wtulił się pyszczkiem w swoje posłanie i pogrążył się we śnie, żeby to wrażenie się ulotniło.

- Ale dlaczego oni nie chcą, żeby ludzie o nich wiedzieli? - przypomniał sobie Artem swoje pytanie.

---

[6] *Kto winien* (1847) - powieść Aleksandra Hercena [przyp. tłum.].

[7] *robić* (1862) - powieść Nikołaja Czernyszewskiego [przyp. tłum.].

- Są dwie przyczyny. Po pierwsze, owce zgrzeszyły w tym, że odepchnęły swoich pasterzy w chwili ich słabości. Po drugie, w czasie kiedy Metro-2 było odcięte od naszego świata, pasterze rozwijali się inaczej niż my, i teraz są oni nie ludźmi, a istotami wyższego rzędu, których logika jest dla nas niezrozumiała, a myśli nam nie podlegają. Nie wiadomo, co zaplanowali dla naszego metra, ale są w mocy, żeby zmienić wszystko, nawet przywrócić nam utracony, przepiękny świat, bo odzyskali swoją dawną potęgę. Ponieważ zbuntowaliśmy się niegdyś przeciwko nim i zdradziliśmy ich, nie uczestniczą już w naszym losie. Mimo to, pasterze są wszędzie obecni, i znany jest im każdy nasz oddech, każdy krok, każdy cios - wszystko, co dzieje się w metrze. Na razie po prostu obserwują. I dopiero kiedy odkupimy swój straszny grzech, zwrócą na nas swoje łaskawe spojrzenie i wyciągną do nas rękę. I wtedy zacznie się odrodzenie. Tak twierdzą ci, którzy wierzą w Niewidzialnych Obserwatorów - umilkł wdychając aromatyczny dym.

- Ale jak ludzie mogą odkupić swoją winę? - spytał Artem.

- Tego nie wie nikt, oprócz samych Niewidzialnych Obserwatorów. Ludzie nie potrafią tego pojąć, gdyż nie rozumieją zamysłu Obserwatorów.

- Czyli wychodzi na to, że ludzie nigdy nie będą mogli odkupić swego grzechu? - nie mógł uwierzyć Artem.

- Dziwi cię to? - wzruszył ramionami Jewgienij Dmitriewicz i wypuścił jeszcze dwa piękne duże kółka z dymu, tak że jedno przeleciało przez drugie.

Zapadła cisza, z początku była lekka i przezroczysta, ale stopniowo gęstniała i stawała się coraz głośniejsza i bardziej wyczuwalna. Artem poczuł rosnącą potrzebę, by przerwać ją w jakikolwiek sposób, choćby nic nieznaczącą frazą, nawet nieartykułowanym dźwiękiem.

- A wy skąd jesteście? - przyszło mu do głowy.

- Ja wcześniej mieszkałem na Smoleńskiej, niedaleko metra, jakieś pięć minut - odpowiedział Jewgienij Dmitriewicz, i Artem spojrzał na niego w zdumieniu: jak to mieszkał niedaleko metra? Chciał powiedzieć niedaleko stacji, czyli w tunelu, tak? - Szło się koło budek z pasztecikami, czasem kupowaliśmy tam piwo, a obok tych budek cały czas stały prostytutki, miały tam swój... e... sztab - ciągnął Jewgienij Dmitriewicz, i Artem zaczął się domyślać, że mowa o dawnych czasach, jeszcze przed.

- Tak... Ja też tam mieszkałem niedaleko, na Kalinińskim, w wieżowcu - powiedział Siergiej Andriejewicz. - Ktoś mi mówił jakieś pięć lat temu, a słyszał to od znajomego stalkera, że z tych wieżowców to wióry tylko zostały... Dom Książki stoi elegancko, cała makulatura w nim leży nietknięta, wyobrażasz sobie? A wieżowce rozwalone w pył, tylko kawałki betonu leżą. Dziwne.

- A jak wam się wtedy żyło? - zainteresował się Artem.

Lubił zadawać to pytanie starszym i słuchać potem, jak rzucali wszystko i z zadowoleniem wspominali, jak to wtedy było. Oczy zachodziły im mgłą rozmarzenia, głos brzmiał zupełnie inaczej, a twarze jakby młodniały o parędziesiąt lat. I choćby widok, który się ukazywał ich oczom, w niczym nie przypominał obrazów, które rysowały się przed Artemem podczas ich opowieści, to i tak było to niezwykle zajmujące. I jakoś słodko i gorzko ściskało za serce...

- No, cóż, widzisz, było dobrze. My wtedy... e... dawaliśmy do pieca - odpowiedział przeciągle Jewgienij Dmitriewicz.

Tutaj Artem wyobraził sobie coś zupełnie innego, niż miał na myśli blondyn, i drugi, widząc jego zmieszanie, pośpiesznie wyjaśnił:

- Bawiliśmy się, miło spędzaliśmy czas.

- Tak, dokładnie to miałem na myśli. Dawaliśmy do pieca - potwierdził Jewgienij Dmitriewicz. - Miałem zielonego moskwicza-2141, całą wypłatę na niego przepuszczałem, no, sprzęt muzyczny trzeba było założyć, olej wymienić, raz nawet z głupoty zamontowałem

sobie sportowy gaźnik, a potem i wtrysk azotu - wyraźnie przeniósł się duchem w te piękne czasy, kiedy można było po prostu wziąć i zamontować sobie sportowy gaźnik, a jego twarz przybrała ten sam rozmarzony wyraz, który Artem tak lubił. Szkoda tylko, że z tego, co powiedział niewiele dało się zrozumieć.

- Wątpię, czy Artem wie nawet, co to jest moskwicz, nie mówiąc już o gaźnikach - przerwał słodkie wspomnienia przyjaciela Siergiej Andriejewicz.

- Jak to nie wie? - chudy wycelował gniewne spojrzenie w Artema.

Ten zaczął się przyglądać sufitowi, zbierając myśli.

- A dlaczego palicie tu książki? - przeszedł do kontrataku.

- Już żeśmy przeczytali - odrzekł Jewgienij Dmitriewicz.

- Książki kłamią! - dodał pouczająco Siergiej Andriejewicz.

- Lepiej powiedz, co to za strój masz na sobie? Nie jesteś czasem z jakiejś sekty? - odpowiedział ciosem Jewgienij Dmitriewicz.

- Nie, nie, co wy - szybko tłumaczył się Artem. - Ale oni mnie przyjęli, pomogli, kiedy było ze mną bardzo źle - ogólnie zarysował swoją sytuację, nie podając szczegółów, jak bardzo źle z nim było.

- Tak, tak, tak właśnie robią. Rozpoznaję ich styl. Opuszczeni i ubodzy... e... czy coś w tym rodzaju - pokiwał głową Jewgienij Dmitriewicz.

- Wiecie, byłem na ich spotkaniu: bardzo dziwne rzeczy tam mówią - powiedział Artem. - Postałem, posłuchałem, ale nie wytrzymałem długo. Na przykład, że główną winą Szatana było to, że zachciało mu się sławy i oddawania sobie czci... Wcześniej myślałem, że to wszystko było dużo poważniejsze. A tu się okazuje, że to po prostu zazdrość. Czy świat jest tak prosty, że wszystko kręci się wokół tego, że ktoś się z kimś nie podzielił sławą i wyznawcami?

- Świat nie jest taki prosty - zapewnił go Siergiej Andriejewicz, przejmując od blondyna fajkę wodną i zaciągając się.

- I jeszcze coś... Na przykład, mówią tam, że główne przymioty Boga to miłosierdzie, dobroć, skłonność przebaczania, że jest Bogiem miłości, że jest wszechmogący. Ale przy tym za pierwszy akt nieposłuszeństwa człowiek został wygnany z Raju i stał się śmiertelny. Potem niezliczona liczba ludzi umiera, ale co tam, i pod koniec Bóg posyła swojego syna, żeby zbawił ludzkość. I ten syn sam ginie straszną śmiercią, a przedtem wzywa Boga i pyta, czemu go opuścił. I po co to wszystko? Żeby swoją krwią odkupić grzech pierwszego człowieka, którego Bóg sam sprowokował i ukarał, i żeby ludzie powrócili do Raju i znów byli nieśmiertelni. To jakiś bezsensowna kołomyja, przecież można było po prostu nie karać ich wszystkich tak surowo za to, czego nawet nie zrobili. Albo darować karę ze względu na przedawnienie. Ale po co poświęcać ukochanego syna, i jeszcze go zdradzać? Gdzie tu miłość, gdzie skłonność do przebaczania, gdzie tu wszechmoc?

- Prymitywnie i złośliwie to przedstawiłeś, ale w ogólnym zarysie prawidłowo - podając fajkę koledze, ocenił Siergiej Andriejewicz.

- Oto, co mogę powiedzieć na ten temat... - wciągając dym do płuc i błogo się uśmiechając, Jewgienij Dmitriewicz przerwał na chwilę, a potem kontynuował: - Tak więc, jeśli ich Bóg ma jakieś przymioty, czy też wyjątkowe właściwości, to na pewno nie miłość, nie sprawiedliwość i nie przebaczenie. Sądząc z tego, co działo się na Ziemi od chwili jej... eee... stworzenia, Bogu właściwe jest tylko jedno uczucie: uwielbia ciekawe historie. Najpierw robi jakąś drakę, a potem patrzy, co z tego wychodzi. Jak się robi nudno, dosypie trochę pieprzu. Tak że słuszność miał staruszek Szekspir: świat jest teatrem. Tyle że zupełnie nie takim, o jakim mówił - podsumował.

- Tylko dziś od rana nagadałeś sobie kilka stuleci smażenia się w piekle - zauważył Siergiej Andriejewicz.

- Czyli będziesz tam miał z kim gawędzić - Jewgienij Dmitriewicz przekazał fajkę koledze.

- Z drugiej strony można tam nawiązać tyle ciekawych znajomości - powiedział Siergiej Andriejewicz.

- Na przykład wśród wyższych hierarchów Kościoła katolickiego.

- Tak, ci to już na pewno. Ale, szczerze mówiąc, nasi też...

Obu rozmówców Artema wyraźnie niezbyt wierzyło w to, że za to, co teraz powiedzieli, przyjdzie im kiedykolwiek zapłacić. Ale słowa Jewgienija Dmitriewicza o tym, że to, co przydarza się ludzkości, to po prostu ciekawa historia, naprowadziło Artema na inną myśl.

- Przeczytałem całkiem sporo różnych książek - powiedział, i zawsze mnie dziwiło, że tam wszystko jest nie tak, jak w życiu. No, rozumiecie, tam wydarzenia tworzą linię, i wszystko jest ze sobą powiązane, jedno wynika z drugiego, nic się nie dzieje tak po prostu. Ale przecież tak naprawdę wszystko jest zupełnie inne! Przecież życie składa się z niepowiązanych ze sobą wydarzeń, które dzieją się w przypadkowej kolejności, i nie zdarza się tak, żeby wszystko następowało po sobie zgodnie z logiką. I jeszcze to: na przykład książki kończą się w tym miejscu, gdzie urywa się ciąg logiczny, czyli początek, rozwinięcie, potem szczyt i koniec.

- Nie szczyt, tylko kulminacja - poprawił Artema Siergiej Andriejewicz, wysłuchujący ze znudzoną miną jego spostrzeżeń.

Jewgienij Dmitriewicz też nie wyrażał specjalnego zainteresowania. Przysunął do siebie urządzenie do palenia i wciągnąwszy pachnący dym, wstrzymał oddech.

- Dobrze, kulminacja - ciągnął nieco speszony Artem. - Ale w życiu wszystko jest inaczej, po pierwsze ciąg logiczny może nie dojść do końca, a po drugie, jeśli nawet dojdzie, to na tym nic się nie kończy.

- Chodzi ci o to, że życie nie ma fabuły? - pomógł mu sformułować myśl Siergiej Andriejewicz.

Artem zamyślił się na chwilę, potem kiwnął głową.

- A w przeznaczenie wierzysz? - spytał Siergiej Andriejewicz i przechyliwszy głowę na bok uważnie przyglądał się Artemowi, zaś Jewgienij Dmitriewicz oderwał się od fajki z zaciekawieniem.

- Nie - zdecydowanie odparł Artem. - Nie ma żadnego przeznaczenia. Po prostu przypadkowe zdarzenia, które nam się przytrafiają, a my to już potem sami to wymyślamy.

- A to błąd, błąd... - westchnął z rozczarowaniem Siergiej Andriejewicz, surowo patrząc na Artema znad okularów. - Przedstawię ci teraz małą teoryjkę, i sam zobacz, czy pasuje do twojego życia. Mnie się wydaje, że życie, rzecz jasna, jest puste, i żadnego sensu w nim generalnie nie ma, ani nie istnieje przeznaczenie, to znaczy takie określone, jawne, tak że się rodzisz i wszystko już wiesz: moje przeznaczenie to być kosmonautą, albo, powiedzmy, baleriną, albo zginąć młodo... Nie, tak to nie. Kiedy przeżywasz wyznaczony ci czas... jakby to objaśnić... Może się zdarzyć, że przydarzy ci się coś, co sprawi, że będziesz wykonywał określone działania i podejmował określone decyzje, przy czym masz wolny wybór: jak chcesz, to robisz tak, jak nie - to inaczej. Ale jeśli podejmiesz prawidłową decyzję, to rzeczy, które się będą dalej z tobą działy, już nie będą, jak się wyraziłeś, przypadkowymi zdarzeniami. Będą uwarunkowane wyborem, którego dokonałeś. Nie chodzi mi o to, że jeśli zdecydowałeś się mieszkać na Linii Czerwonej zanim stała się Czerwona, to już nigdzie się stamtąd nie ruszysz i wszystkie zdarzenia w twoim życiu będą wyglądać odpowiednio, mówię o bardziej subtelnych sprawach. Ale jeśli znów znajdziesz się na rozstaju, i znów podejmiesz konieczną decyzję, potem pojawi się przed tobą wybór, który nie wyda ci się już przypadkowy, oczywiście, jeśli się tego domyślisz i będziesz umiał go sobie uświadomić. I twoje życie przestanie być po prostu zbiorem przypadków.

Przeobrazi się... w fabułę, czy coś takiego, wszystko będzie ze sobą powiązane pewnymi ciągami logicznymi, choć niekoniecznie bezpośrednio. I to właśnie będzie twoje przeznaczenie. Na pewnym etapie, jeśli zabrnąłeś na swej drodze wystarczająco daleko, twoje życie tak bardzo zmieni się w fabułę, że zaczną ci się przytrafiać dziwne rzeczy, niewytłumaczalne z punktu widzenia nagiego racjonalizmu, bądź twojej teorii przypadkowych zdarzeń. Za to bardzo dobrze będą się wpisywać w logikę linii fabularnej, w którą teraz zmieniło się twoje życie. Myślę, że przeznaczenie nie istnieje sobie ot tak, trzeba do niego dojść, i jeśli wydarzenia w twoim życiu zaczną się układać w fabułę, to może cię to zabrać tak daleko... Najciekawsze, że człowiek może sam nawet nie podejrzewać, że to się z nim dzieje, albo widzieć wydarzenia w istocie nieprawdziwie, próbować je systematyzować zgodnie ze swoim światopoglądem. Ale przeznaczenie ma własną logikę.

Ta dziwna teoria, która z początku wydała się Artemowi kompletnym hokus-pokus, nagle sprawiła, że spojrzał pod innym kątem na wszystko, co mu się przytrafiło od samego początku, odkąd zgodził się na propozycję Huntera, by wyruszyć do Polis.

Teraz wszystkie jego przygody, wszystkie wędrówki, które dotąd postrzegał jako raczej nieudane, rozpaczliwe próby, by dotrzeć do celu, do którego dążył zawsze, gdziekolwiek by go rzuciło, który przyciągał go jak magnes, chociaż sam już prawie nie wiedział, po co mu to potrzebne - wszystko to ukazało mu się teraz w innym świetle, wydało mu się złożonym systemem, wymyślną, ale logiczną konstrukcją.

Bo jeśli uznać zgodę Artema na propozycję Myśliwego za pierwszy krok na jego drodze, jak powiedział Siergiej Andriejewicz, to wszystkie wydarzenia, jakie potem nastąpiły - i ekspedycja na Ryżską, i to, że na Ryżskiej podszedł do niego Burbon, i Artem się od niego nie odsunął, to następny krok, i że Chan wyszedł Artemowi na spotkanie, choć spokojnie mógł zostać na Suchariewskiej... Ale to jeszcze można było wyjaśnić inaczej, w każdym razie, sam Chan podawał zupełnie inne przyczyny swoich działań. Potem Artem dostaje się w niewolę faszystów, na Twerską, powinni go powiesić, ale dzięki mało prawdopodobnemu zbiegowi okoliczności międzynarodowa brygada postanawia uderzyć na Twerską właśnie tego dnia. Gdyby rewolucjoniści pojawili się o dzień wcześniej albo o dzień później, śmierć Artema byłaby nieunikniona, a wówczas jego wyprawa zakończyłaby się fiaskiem.

Czy rzeczywiście mogło tak być, że upór, z jakim kontynuował swoją drogę, wpływał na dalsze wydarzenia? Czyżby zdecydowanie, gniew, rozpacz, które pobudzały go do każdego następnego kroku, mogły jakimś sposobem kształtować rzeczywistość, tworząc z chaotycznego kłębu zdarzeń, czyichś działań i myśli harmonijny system i - jak powiedział Siergiej Andriejewicz - zmieniać zwykłe życie w fabułę?

Na pierwszy rzut oka nic takiego nie mogło się stać. Ale jeśli się zastanowić... Bo jak inaczej wyjaśnić spotkaniem z Markiem, który zaproponował Artemowi jedyny sposób, by przedostać się na terytorium Hanzy? I, co ważne... najważniejsze... póki był pogodzony z losem i czyścił wychodki, przeznaczenie, jak się zdaje, odwróciło się od niego, ale kiedy - nie próbując nawet przemyśleć tego, co robi - poszedł na przebój, stało się coś niemożliwego: strażnik, który po prostu musiał stać na posterunku, gdzieś zniknął, i nikt go nawet nie ścigał. To znaczy, że kiedy wrócił ze skręcającej w bok ścieżki na własną drogę, postąpił zgodnie z fabularnym rysunkiem swojego życia, a na etapie, do którego dotarł, mogło to już spowodować poważne zakłócenia rzeczywistości, poprawiając ją tak, by główny wątek fabuły Artema mógł bez przeszkód rozwijać się dalej?

To by znaczyło, że jeśli zrezygnuje ze swojego celu, zboczy ze swej drogi, przeznaczenie się od niego odwróci, i niewidoczna tarcza, chroniąca go teraz od śmierci, rozpadnie się na kawałki, nić Ariadny, po której ostrożnie stąpa, urwie się, i zostanie sam na sam z rozszalałą rzeczywistością, rozwścieczoną jego zuchwałym zamachem na chaotyczną istotę bytu... Być może ten, kto raz próbował oszukać przeznaczenie, kto był na tyle

lekkomyślny, by trwać w uporze jeszcze po tym, gdy zebrały mu się nad głową czarne chmury, nie może po prostu ot tak zboczyć ze szlaku? Choćby nawet wszystko uszło mu na sucho, jednak od tej pory jego życie stanie się zupełnie tuzinkowe, szare, i nigdy już nie zdarzy się w nim nic niezwykłego, magicznego, niewytłumaczalnego, a wszystko dlatego, że wątek się urwie, a na bohaterze postawi się krzyżyk...

Czy to znaczy, że Artem nie tylko nie ma teraz prawa, ale nie może zejść ze swej drogi? I to jest właśnie przeznaczenie? Przeznaczenie, w które nie wierzył? A nie wierzył tylko dlatego, że nie potrafił prawidłowo zrozumieć tego, co się z nim dzieje, nie umiał odczytać znaków stojących na jego drodze, i nadal naiwnie uważał ciągnący się po horyzont, specjalnie dla niego skonstruowany trakt za zagmatwany splot porzuconych ścieżek prowadzących w różne strony?

Wyszło na to, że kroczył swoją drogą, a wydarzenia jego życia tworzyły harmonijną fabułę, która panowała nad ludzką wolą i rozumem, tak że jego wrogowie tracili wzrok, a przyjaciele zaczynali widzieć, aby przybyć mu na czas na pomoc. Fabuła, rządząca rzeczywistością tak, że niewzruszone reguły prawdopodobieństwa posłusznie, niczym plastelina, zmieniały swój kształt pod naciskiem wzrastającej potęgi niewidzialnej ręki przestawiającej go po szachownicy życia...

I jeśli rzeczywiście tak było, to znikało samo przez się pytanie, na które wcześniej można było odpowiedzieć jedynie ponurym milczeniem i zaciśnięciem zębów: po co to wszystko? Teraz odwaga, z jaką przekonywał sam siebie i uparcie mówił innym, że nie ma w świecie żadnego zamysłu ani wyższego planu, żadnych reguł i żadnej sprawiedliwości, okazywała się niepotrzebna, gdyż ten zamysł zaczynał być widoczny... Tej myśli nie można się było oprzeć, była zbyt pociągająca, żeby odrzucić ją z tym żelaznym uporem, z którym odpychał wyjaśnienia proponowane przez religie i ideologie.

Wszystko to razem znaczyło tylko jedno.

- Nie mogę tu dłużej zostać - powiedział wyraźnie Artem i wstał, czując jak jego mięśnie wypełnia nowa, potężna siła. - Nie mogę tu dłużej zostać - powtórzył, wsłuchując się we własny głos. - Powinienem iść. Muszę.

Nie odwracając się już ani razu, zapominając o wszystkich lękach, które przywiodły go do tego ogniska, zeskoczył na tory i ruszył naprzód, w ciemność. Wątpliwości opuściły Artema, ustępując miejsca doskonałemu spokojowi i przekonaniu, że wreszcie wszystko robi tak, jak powinien. Zupełnie jakby po tym, jak zboczył z kursu, udało mu się jednak wrócić na lśniące tory swojego przeznaczenia. Deski podkładów, po których kroczył, teraz jakby same przesuwały się do tyłu, nie wymagając z jego strony żadnego wysiłku. Po chwili zupełnie zniknął w ciemnościach.

- Ładna teoria, prawda? - zaciągając się spytał Siergiej Andriejewicz.

- Można by pomyśleć, że w nią wierzysz... - odparł gderliwie Jewgienij Dmitriewicz, drapiąc kota za uchem.

ROZDZIAŁ 12
POLIS

Został już tylko jeden tunel. Tylko jeden tunel, i wyznaczony przez Huntera cel, do którego Artem szedł uparcie i desperacko, zostanie osiągnięty. Dwa, może trzy kilometry przez suchy i cichy przejazd, i jest na miejscu.

W głowie Artema panowała prawie tak samo dźwięcząca pustka, jak w tunelu, i chłopak nie zadawał już sobie pytań. Jeszcze czterdzieści minut i będzie na miejscu. Czterdzieści minut... i jego wyprawa dobiegnie końca.

Nie zdawał sobie nawet sprawy, że idzie wśród egipskich ciemności. Nogi bez potknięć przemierzały kolejne metry. Zupełnie zapomniał o wszystkich grożących mu niebezpieczeństwach, o tym, że jest bezbronny, że nie ma ani dokumentów, ani latarki, ani karabinu, że ubrany jest w dziwaczny sekciarski habit, o tym wreszcie, że nigdy niczego nie słyszał ani o tym tunelu, ani o niebezpieczeństwach, które czyhały w nim na podróżnych.

Pewność tego, że póki podąża swoją drogą, nic mu nie grozi, wypełniała całą jego świadomość. Gdzie się podział nieunikniony, zdawałoby się, strach tuneli? Co się stało ze zmęczeniem i zwątpieniem?

Wszystko zepsuło echo.

Ponieważ w tunelu było tak pusto, dźwięki kroków niosły się we wszystkich kierunkach. Odbite od ścian, huczały, oddalając się stopniowo i przechodząc w szmer, a potem wracając po takim czasie, że zdawało się, że idzie nie tylko Artem, ale jeszcze ktoś inny. Po jakimś czasie to wrażenie stało się na tyle silne, że Artem miał ochotę zatrzymać się i posłuchać, czy echo kroków przypadkiem nie żyje swoim życiem.

Przez kilka minut walczył z pokusą. Jego kroki robiły się coraz wolniejsze i cichsze, a Artem nasłuchiwał, czy odbija się to na sile echa. Wreszcie zupełnie się zatrzymał. Bojąc się głęboko odetchnąć, żeby świst nabieranego do płuc powietrza nie przeszkodził mu wychwycić najmniejszy szelest w oddali, stał tak w nieprzeniknionych ciemnościach i czekał.

Cisza.

Teraz, kiedy przestał się przemieszczać, znów stracił poczucie realności przestrzeni. Póki szedł, chwytał się jakby rzeczywistości podeszwami butów. Zatrzymawszy się wśród atramentowej czerni tunelu, Artem naraz przestał pojmować, gdzie się znajduje.

Wydało mu się też, że kiedy znów ruszył z miejsca, ledwie słyszalne echo kroków dotarło do jego uszu jeszcze zanim jego własna stopa zdążyła stanąć na betonowym podłożu.

Serce zabiło mu mocniej. Ale po chwili udało mu się przekonać siebie, że zwracanie uwagi na wszystkie szmery w tunelach jest głupie i bezsensowne. Przez jakiś czas Artem starał się w ogóle nie wsłuchiwać w echo. Potem, kiedy wydało mu się, że ostatni z cichnących pogłosów zbliżył się do niego, zatkał sobie uszy i szedł dalej. Ale i tego nie starczyło na długo.

Kiedy po paru minutach oderwał dłonie od uszu i kroczył dalej, ku swojemu przerażeniu usłyszał, że echo jego kroków przed nim rzeczywiście jest coraz głośniejsze, jak gdyby zbliżało się do niego. Ale wystarczyło stanąć w miejscu, żeby dźwięki z przodu z sekundowym opóźnieniem też ucichły.

Ten tunel poddawał Artema próbie, testował jego zdolność do przeciwstawienia się strachowi. Ale on się nie da. Zbyt wiele już przeszedł, żeby przestraszyć się ciemności i echa.

Ale czy to było echo?

Zbliżało się, teraz nie było co do tego żadnych wątpliwości. Ostatni raz Artem zatrzymał się, kiedy lekkie kroki było słychać około dwudziestu metrów od niego. To było tak niewytłumaczalne i przerażające, że nie wytrzymał i, ocierając z czoła zimny pot, łamiącym się głosem krzyknął w pustkę:

- Jest tam kto?

Echo odezwało się strasznie blisko i Artem nie poznał swojego głosu. Drżące odgłosy niosły się na wyścigi w głąb tunelu, tracąc sylaby: „jest tam kto... am kto... kto...". Nikt nie odpowiedział. I nagle stało się coś niewiarygodnego: echo zaczęło wracać, powtarzając jego pytanie, w odwrotnej kolejności odzyskując zgubione sylaby, stawało się coraz głośniejsze, aż w końcu trzydzieści kroków od niego ktoś powtórzył przestraszonym głosem jego pytanie.

Tego było dla Artema za wiele. Odwrócił się i ruszył z powrotem, najpierw starając się nie iść zbyt szybko, a potem kompletnie zapominając o tym, że strachowi nie wolno się poddać, potykając się pobiegł. Ale już po chwili zrozumiał, że echo kroków i tak słychać w odległości dwudziestu metrów. Niewidzialny prześladowca nie chciał dać mu spokoju. Artem złapał zadyszkę i biegł już bez wyczucia kierunku, aż w końcu wpadł na ścianę tunelu.

Echo od razu umilkło. Minął jakiś czas, zanim udało mu się zebrać w garść, podnieść i zrobić krok naprzód. To był prawidłowy kierunek: z każdym pokonanym metrem dźwięk szurających o beton butów stawał się coraz bliższy, wychodząc mu naprzeciw. I tylko pulsująca w uszach krew zagłuszała złowieszczy szelest. Za każdym razem, kiedy Artem stawał w miejscu, jego prześladowca zatrzymywał się w ciemnościach - o tym, że to nie echo, był już teraz całkowicie przekonany.

Tak to trwało, aż kroki zabrzmiały w odległości wyciągniętej ręki. I wtedy, krzycząc i machając na oślep pięściami, Artem rzucił się przed siebie, tam gdzie według jego obliczeń powinno się znajdować to coś.

Pięści ze świstem przecięły pustkę. Nikt nie próbował się bronić przed jego uderzeniami. Na próżno mielił powietrze, krzyczał, odskakiwał, wyciągał ręce na boki, próbując pochwycić niewidocznego w ciemności przeciwnika. Pustka. Nikogo tam nie było. Ale gdy tylko złapał oddech i zrobił jeszcze jeden krok w kierunku Polis, gdy ciężki szurgot rozległ się tuż przed nim. Jeszcze jedno machnięcie ręką, i znów nic. Artem poczuł, że traci zmysły. Wypatrując do bólu oczy, próbował zobaczyć choć cokolwiek, uszy starały się wyłowić bliski oddech innej istoty. Ale tam po prostu nikogo nie było.

Postawszy nieruchomo kilka długich minut, Artem pomyślał, że jakkolwiek można wytłumaczyć to dziwne zjawisko, nie przedstawia ono żadnego niebezpieczeństwa. Pewnie coś z akustyką. Przyjdę do domu, zapytam ojczyma, powiedział sobie, i kiedy podniósł już nogę, żeby zrobić kolejny krok do celu, ktoś szepnął mu cicho prosto do ucha:

„Zaczekaj. Teraz nie możesz tam iść".

- Kto to? Kto tu jest? - ciężko dysząc, krzyknął Artem. Ale nikt nie odpowiadał. Wokół niego znów była gęsta pustka. Wierzchem dłoni otarł wtedy pot z czoła i pośpieszył w stronę Borowickiej. Nieuchwytne stopy jego prześladowcy z tą samą szybkością zaszurały w przeciwnym kierunku, stopniowo cichnąc w oddali, aż przeszły w ciszę. Dopiero wtedy Artem się zatrzymał. Nie wiedział i nie mógł wiedzieć, co to było, nigdy o niczym podobnym nie słyszał od żadnego z przyjaciół, ojczym też o czymś takim nie opowiadał mu wieczorami przy ognisku. Ale ktokolwiek szepnął mu do ucha polecenie, by się zatrzymał i poczekał, teraz, kiedy Artem już się go nie bał, kiedy miał czas, żeby zrozumieć, co się stało i nad tym pomyśleć, brzmiało to hipnotycznie przekonująco.

Następne dwadzieścia minut spędził siedząc na szynie, kołysząc się, jakby się upił, z boku na bok, zmagając się z dreszczami i wspominając dziwny, nienależący do człowieka głos, który kazał mu czekać. Ruszył dalej dopiero wówczas, kiedy dreszcze zaczęły powoli

mijać, a straszny szept w jego głowie - zlewać się z cichym świstem budzącego się tunelowego przeciągu.

Przez cały czas szedł po prostu naprzód, starając się o niczym nie myśleć, potykając się czasem o leżące na ziemi kable, ale to było najstraszniejsze, co mu się przydarzyło. Czasu, jak mu się wydawało, nie minęło wiele, chociaż nie mógł określić ile, bo w ciemności minuty zlewały się. Wreszcie zobaczył w końcu tunelu światło.

Borowicka.

Polis.

I wtedy ze stacji dał się słyszeć gruby okrzyk, huknęły wystrzały, i Artem, odskoczywszy do tyłu, wcisnął się w zagłębienie w ścianie. Z oddali niosły się przeciągłe jęki rannych, przekleństwa, potem jeszcze raz, wzmocniony przez tunel, rozległ się terkot serii z automatu.

Zaczekaj...

Artem odważył się wychynąć z kryjówki dopiero kwadrans po tym, jak wszystko ucichło. Podniósł ręce w górę i powoli poszedł w kierunku światła.

To rzeczywiście było wejście na peron. W nadziei widać na nietykalność Polis, Borowicka nie wystawiała posterunków. Pięć metrów przed miejscem, gdzie urywały się okrągłe żebra tunelu, stały betonowe bloki punktu granicznego i w kałuży krwi leżało rozciągnięte ciało.

Kiedy Artem pokazał się w polu widzenia, ubranych w zielone mundury i czapki pograniczników, kazali mu podejść bliżej i stanąć twarzą do ściany. Widząc na ziemi trupa natychmiast usłuchał.

Szybkie przeszukanie, pytanie o paszport, wykręcone za plecami ręce, i wreszcie stacja. Światło. Takie samo. Mówili prawdę, wszyscy mówili prawdę, legendy nie kłamały. Światło było tak ostre, że Artem musiał zmrużyć oczy, żeby nie oślepnąć. Ale blask dosięgał źrenic i przez powieki, oślepiał boleśnie, i dopiero kiedy pogranicznicy zawiązali mu oczy przepaską, przestały go kłuć. Powrót do życia, którym żyły poprzednie pokolenia ludzi, okazał się bardziej bolesny niż Artem mógł sobie wyobrazić.

Przepaskę zdjęto mu z oczu dopiero w wartowni - podobnym do wszystkich innych malutkim pomieszczeniu służbowym, wyłożonym popękanymi kafelkami.

Było tu ciemno, tylko na pomalowanym ochrą drewnianym stole, w aluminiowej miseczce migotała świeca. Zbierając płynny wosk w palce i obserwując jak zastyga, dowódca warty, masywny, nieogolony mężczyzna w zielonej koszuli wojskowej z podwiniętymi rękawami i w krawacie na gumce długo przyglądał się Artemowi zanim spytał:

- Skąd pan przybył? Gdzie paszport? Co się panu stało w oko?

Artem postanowił, że nie ma sensu się wykręcać i szczerze opowiedział, że paszport został u faszystów, a oka też o mało co tam nie zostawił. Dowódca przyjął to zaskakująco życzliwie.

- Wiemy jak jest. Na przykład przeciwległy tunel wychodzi akurat na Czechowską. Ustawiliśmy tam istną twierdzę. Na razie nie wojujemy, ale dobrzy ludzie radzą mieć się na baczności. Jak to się mówi: *si vic pacem, para bellum* - mrugnął do Artema.

Ostatniej frazy Artem nie zrozumiał, ale postanowił nie wypytywać. Jego uwagę przyciągnął tatuaż na zgięciu łokcia dowódcy: zmutowany przez promieniowanie ptak z dwiema głowami, rozpostartymi skrzydłami i haczykowatymi dziobami. Ptak coś mu mgliście przypominał, ale co konkretnie - nie mógł pojąć. A potem, kiedy dowódca odwrócił się do jednego z żołnierzy,

Artem ujrzał, że dokładnie taki sam znak, ale w miniaturze, miał wytatuowany na lewej skroni.

- A w jakiej sprawie pan do nas przychodzi? - ciągnął dowódca.

- Szukam pewnego człowieka... Nazywa się Młynarz. Pewnie przezwisko. Mam dla niego ważną wiadomość.

Wyraz twarzy pogranicznika błyskawicznie się zmienił. Leniwy, dobroduszny uśmiech spełzł mu z ust, zdziwione oczy błysnęły w świetle świecy.

- Może pan przekazać mnie.

Artem pokręcił głową, przeprosił i zaczął tłumaczyć, że w żaden sposób nie może, że tajemnica, pan rozumie, kazano w żadnym wypadku nikomu nie mówić, oprócz samego Młynarza.

Dowódca spojrzał na niego badawczo jeszcze raz, dał znak jednemu z żołnierzy, i ten podał mu czarny aparat telefoniczny z bakelitu, dokładnie wyciągnąwszy pokryty gumą kabel telefoniczny na potrzebną długość. Pogranicznik wykręcił palcem numer na tarczy i powiedział do słuchawki:

- Posterunek Bor Południe. Iwaszow. Do pułkownika Młynariewa.

Kiedy czekał na odpowiedź, Artem zdążył zauważyć, że tatuaż ze zmutowanym ptakiem mieli na skroniach również obaj żołnierze znajdujący się w pokoju.

- Jak przedstawić? - spytał dowódca warty Artema, przycisnąwszy policzkiem słuchawkę do ramienia.

- Proszę powiedzieć, że jestem od Huntera. Pilna wiadomość.

Ten skinął i, wymieniwszy jeszcze kilka zdań z rozmówcą po drugiej stronie linii, zakończył rozmowę.

- Proszę być na Arbackiej, u naczelnika stacji, jutro o dziewiątej. Do tego czasu jest pan wolny - i, machnąwszy ręką żołnierzowi, który natychmiast odsunął się od drzwi, dodał, zwracając się do Artema: - Poczekaj... Jesteś u nas, zdaje się, gościem honorowym i pierwszy raz. Trzymaj, ale są do zwrotu! - i wyciągnął do Artema ciemne okulary w wytartych metalowych ramkach.

Dopiero jutro? Artemowi zrobiło się gorąco: poczuł się rozczarowany i obrażony. To po to tutaj szedł, ryzykując życie swoje i innych? To po to się śpieszył, zmuszał do każdego kolejnego kroku, nawet kiedy brakowało już sił? I czyż nie była to pilna sprawa: poinformować o wszystkim, co wiedział, tego cholernego Młynarza, który nie może dla niego znaleźć wolnej chwili?

A może Artem po prostu się spóźnił, i on już wszystko wie? Czy też wie coś, czego sam Artem jeszcze się nie domyśla? Może spóźnił się tak bardzo, że cała jego misja straciła sens?

- Dopiero jutro? - nie wytrzymał.

- Pułkownik ma dziś zadanie, wróci wcześnie rano - wyjaśnił Iwaszow. - Idź, idź, przynajmniej odpoczniesz - i wyprowadził Artema z wartowni.

Uspokojony, ale wciąż obrażony, Artem założył okulary i pomyślał, że bardzo mu się przydadzą: przy okazji nie będzie widać, że ma podbite oko. Szkła były porysowane, a do tego nieco zniekształcały perspektywę, ale kiedy podziękował strażnikom i wszedł na peron, zrozumiał, że bez okularów by się nie obył. Światło lamp rtęciowych było dla niego zbyt jasne. Zresztą nie tylko Artem nie mógł tu mieć otwartych oczu - na stacji wielu ludzi chowało je za ciemnymi okularami. Pewnie też nietutejsi, pomyślał.

Dziwnie było patrzeć na całkowicie oświetloną stację metra. W ogóle nie było tu cieni. I na WOGN-ie, i na wszystkich innych stacjach i stacyjkach, które do tej pory miał okazję odwiedzić, źródeł światła było niewiele, i nie mogły one oświetlić całej widocznej przestrzeni, dlatego jedynie wychwytywały jej fragmenty. Wszędzie były miejsca, do których nie przedostawał się ani jeden promień światła. Każdy człowiek miał kilka cieni: jeden od świecy, blady i mizerny; drugi, czerwony, od lampy awaryjnej; trzeci, czarny, o ostrych konturach, od latarki elektrycznej. Mieszały się, zachodziły jeden na drugi i na cienie innych osób, ciągnęły się po ziemi czasem przez kilka metrów, straszyły, oszukiwały,

zmuszały, by domyślać się i dopowiadać. A w Polis nieubłagane lampy światła dziennego unicestwiły wszystkie cienie, co do jednego.

Artem zamarł, przyglądając się z zachwytem Borowickiej. Zachowała się w niewiarygodnie dobrym stanie. Na marmurowych ścianach i pobielonym sklepieniu nie było widać śladów sadzy, stacja była wysprzątana, a nad pociemniałym od upływu lat panneau z brązu na końcu peronu pracowała kobieta w niebieskim kombinezonie, pilnie przecierając relief gąbką z płynem czyszczącym.

Pomieszczenia mieszkalne były tu urządzone w arkadach. Tylko po dwa przejścia z każdej strony zostały puste, by umożliwić dojście do torów, pozostałe, z obu stron obudowane cegłą, zostały zmienione w najprawdziwsze apartamenty. Każdy z nich miał prostokątne wejście, w niektórych stały nawet prawdziwe drewniane drzwi i oszklone okna. Z jednego z nich dochodziła muzyka. Przed kilkoma drzwiami leżały dywaniki, by wchodzący mogli wytrzeć nogi. Artem pierwszy raz widział coś takiego. Od tych mieszkań czuć było takie ciepło, taki spokój, że aż ścisnęło mu się serce: przed oczami nagle mignął mu obrazek z dzieciństwa. Ale najbardziej zadziwiające było to, że wzdłuż obu ścian, na całej stacji ciągnął się rząd regałów z książkami. Zajmowały miejsce między „mieszkaniami", i cała stacja nabrała przez to jakiegoś cudownego, nieziemskiego wyglądu, przypominając Artemowi opisy bibliotek w średniowiecznych uniwersytetach, o których czytał w książce pisarza o nazwisku Borges.

Na dalszym skraju holu zaczynały się schody ruchome - tam było przejście na stację Arbacka. Śluza była otwarta, ale przy przejściu był umieszczony niewielki posterunek. Mimo to, wszystkich chcących przejść straż przepuszczała w obu kierunkach, nie sprawdzając nawet dokumentów.

Za to na przeciwległym końcu peronu, obok brązowego reliefu, widać było prawdziwą bazę wojskową. Mieściło się tam kilka zielonych wojskowych namiotów z namalowanymi na nich znakami w rodzaju tych wytatuowanych na skroniach pograniczników. Stał tam też wózek z przytwierdzoną do niego nieznaną Artemowi bronią, którą zdradzała tylko stercząca spod pokrowca długa, pogrubiona na końcu lufa. Obok pełniło wartę dwóch żołnierzy w ciemnozielonych uniformach, hełmach i kamizelkach kuloodpornych. Obóz otaczał schody wznoszące się nad torami. Świecące strzałki wyjaśniały, że znajduje się tam „Wyjście do miasta", i Artem zrozumiał, skąd te środki ostrożności. Drugie schody, które tam prowadziły, były zresztą przegrodzone ścianą z ogromnych betonowych bloków.

Pośrodku stacji rozstawione były mocne drewniane stoły, za którymi, dyskutując z ożywieniem, siedzieli ludzie w długich szarych chałatach z grubego materiału. Podchodząc bliżej, Artem ze zdziwieniem zauważył, że też mają tatuaże na skroniach - jednak nie z podobizną ptaka, a w formie otwartej książki na tle kilku pionowych, przypominających kolumnadę kreseczek. Zauważywszy baczne spojrzenie Artema, jeden z siedzących przy stole uśmiechnął się na powitanie i zapytał:

- Przyjezdny? Pierwszy raz u nas?

Od słowa „przyjezdny" Artem aż się wzdrygnął, ale opanował się i kiwnął głową. Ten, który do niego zagadał, był od niego nieco starszy, i kiedy wstał, żeby podać Artemowi dłoń, wyciągając rękę z szerokiego rękawa chałata, okazało się, że byli mniej więcej tego samego wzrostu, tyle że tamten był drobniejszej budowy.

Nowy znajomy Artema nazywał się Daniła. Nie śpieszył się, żeby mówić o sobie, i było widać, że chciał porozmawiać z Artemem, bo był ciekaw, co się dzieje poza granicami Polis, jakie nowiny na Okrężnej, co słychać o faszystach i czerwonych...

Po półgodzinie siedzieli już w domu u chudego Daniły, w jednym z „mieszkań" umieszczonych między filarami, i pili gorącą herbatę, z pewnością przywiezioną tu okrężną drogą z WOGN-u. Z mebli, w pokoju był zawalony książkami stół, wysokie po sufit

metalowe półki, także pełne grubych tomów, oraz łóżko. Z sufitu zwisała na drucie słaba, mniej więcej 40-watowa lampka, oświetlająca piękny rysunek ogromnej zabytkowej świątyni, w której Artem nie od razu rozpoznał Bibliotekę, wznoszącą się na powierzchni, gdzieś nad Polis.

Po tym, jak skończyły się pytania gospodarza, przyszła kolej Artema.

- A czemu ludzie tu u was mają tatuaże na głowie? - zapytał.

- Co ty, nie wiesz nic o kastach? - zdziwił się Daniła. - I o Radzie Polis też nie słyszałeś?

Artem przypomniał sobie nagle, że ktoś (ależ nie, jak mógł zapomnieć, to był ten staruszek, Michaił Porfiriewicz, zabity przez faszystów) mówił mu, że w Polis władzę dzielą wojskowi i bibliotekarze, ponieważ na górze kiedyś stała Biblioteka i budynek jakiejś organizacji związanej z armią.

- Słyszałem! - kiwnął głową. - Wojskowi i bibliotekarze. Czyli, ty jesteś bibliotekarzem?

Daniła spojrzał na niego z przestrachem, zbladł i zakaszlał. Potem, kiedy się opanował, cicho powiedział:

- Jakim znowu bibliotekarzem? Czy widziałeś choć kiedyś żywego bibliotekarza? To nie radzę! Bibliotekarze siedzą tam, na górze... Widziałeś, jakie tu mamy umocnienia? Nie daj Bóg, żeby tu zeszli... Nigdy nie myl tych rzeczy. Nie jestem bibliotekarzem, tylko kustoszem. Mówią też na nas bramini.

- A cóż to za dziwna nazwa? - uniósł brwi Artem.

- Widzisz, mamy tu coś w rodzaju systemu kastowego. Jak w starożytnych Indiach. Kasta... No, to tak jak klasa... Czerwoni ci tego nie tłumaczyli? Nieważne. Kasta kapłanów, kustoszy wiedzy, tych, którzy zbierają książki i z nimi pracują - wyjaśnił, a Artem ciągle nie mógł się nadziwić, jak starannie unika słowa „bibliotekarz". - I kasta wojowników, którzy zajmują się obroną. Bardzo to przypomina Indie, tam jeszcze była kasta kupców i kasta sług. My też to wszystko mamy. No i między sobą nazywamy to po hindusku. Kapłani to bramini, wojownicy - kszatrijowie, kupcy - waiśowie, słudzy - śudrowie. Członkiem danej kasty zostaje się raz na całe życie. Istnieją osobne obrzędy wtajemniczenia, szczególnie u kszatrijów i braminów. W Indiach to było dziedziczne, rodowe, a u nas wybiera się samemu, kiedy kończysz osiemnaście lat. Tu, na Borowickiej, jest więcej braminów, prawie wszyscy. Tu jest nasza szkoła, biblioteki, cele. Na stacji Biblioteka jest inaczej, przez tranzyt Linii Czerwonej, musi być silna ochrona, choć przed wojną było tam więcej naszych. Teraz przeprowadzili się na Aleksandrowskij Sad. A na Arbackiej są prawie sami kszatrijowie, bo mają tam Sztab.

Słysząc kolejne świszczące staroindyjskie słowo, Artem ciężko westchnął. Wątpił, czy uda mu się zapamiętać wszystkie te wymyślne nazwy za pierwszym razem. Jednak Daniła nie zwrócił na to uwagi i opowiadał dalej:

- Do Rady wchodzą oczywiście tylko dwie kasty: nasza i kszatrijów. Tak w ogóle, to mówimy na nich wojaki - mrugnął do Artema.

- A czemu oni tatuują sobie dwugłowe ptaki? - przypomniał sobie Artem. - Wy macie przynajmniej książki, tu wszystko jest jasne. Ale ptaki?

- Taki mają totem - wzruszył ramionami bramin Daniła. - Wydaje mi się, że kiedyś to był duch opiekuńczy wojsk obrony przeciwatomowej. Zdaje się orzeł. Oni przecież wierzą w jakieś własne dziwne rzeczy. Zasadniczo nie mamy między kastami zbyt dobrych stosunków. Kiedyś nawet był konflikt.

Przez zasłonę dało się zauważyć, jak na stacji zmniejszyli oświetlenie. Nadchodziła tutejsza noc. Artem zaczął się zbierać.

- A nie macie tu jakiegoś hotelu, żeby przenocować? Bo mam jutro o dziewiątej spotkanie na Arbackiej, a nie mam gdzie się zatrzymać.

- Jak chcesz, to nocuj u mnie - wzruszył ramionami Daniła. - Ja będę spał na podłodze, przyzwyczajony jestem. Właśnie miałem się zabierać do kolacji. Zostań, opowiesz, co jeszcze widziałeś po drodze. Bo ja, to, wiesz, w ogóle się stąd nie ruszam. Kodeks kustoszy nie pozwala wychodzić dalej niż na sąsiednią stację.

Artem zastanowił się i skinął głową, na znak zgody. W pokoju było przytulnie i ciepło, a i gospodarz od razu przypadł mu do gustu. Mieli ze sobą coś wspólnego. Piętnaście minut później już czyścił grzyby, a Daniła kroił w plasterki wieprzowinę.

- A ty sam widziałeś choć raz Bibliotekę? - spytał Artem z pełnymi ustami godzinę później, kiedy jedli duszoną wieprzowinę z grzybami z aluminiowych żołnierskich menażek.

- Chodzi ci o Wielką Bibliotekę? - uściślił surowo bramin.

- No, o tę, co jest na górze... Chyba jeszcze tam jest? - Artem pokazał widelcem na sufit.

- Do Wielkiej Biblioteki wychodzą tylko członkowie naszej starszyzny. I stalkerzy, którzy pracują dla braminów - odpowiedział Daniła.

- Czyli to oni przynoszą książki z góry? Z Biblioteki? To znaczy, z Wielkiej Biblioteki - poprawił się szybko Artem, widząc, że jego gospodarz znów się naburmuszył.

- Oni, ale na polecenie starszych kasty. Sami nie dajemy rady, dlatego trzeba korzystać z najemników - niechętnie wyjaśnił bramin. - Według Kodeksu powinniśmy to robić my: strzec wiedzy i przekazywać ją tym, którzy jej poszukują. Ale żeby ją przekazać, najpierw trzeba ją zdobyć. A kto z naszych ośmieli się tam wejść? - westchnął i podniósł oczy ku górze.

- Przez promieniowanie? - skinął ze zrozumieniem Artem.

- To też. Ale przede wszystkim, przez bibliotekarzy - przytłumionym głosem odpowiedział Daniła.

- Ale czy to nie wy jesteście bibliotekarzami, czy też potomkami bibliotekarzy? Tak mi mówiono.

- Wiesz co, nie rozmawiajmy o tym przy jedzeniu. I w ogóle, niech ktoś inny ci o tym opowie. Nieszczególnie lubię ten temat.

Daniła zaczął sprzątać ze stołu, a potem zamyślił się na moment i przesunął na bok część książek z półki. Między tomami stojącymi w drugim rzędzie ukazała się luka, w której pobłyskiwała pękata butelka samogonu. Wśród naczyń znalazły się też ośmiokątne szklaneczki.

Po jakimś czasie Artem, przyglądając się z podziwem półkom, zdecydował się przerwać milczenie.

- Ależ ty masz dużo książek - powiedział po chwili. - U nas, na WOGN-ie, pewnie w całej bibliotece się tyle nie uzbiera. Wszystkie, które mamy, już dawno przeczytałem. Rzadko kiedy jakieś dobre do nas trafiają, chyba że ojczym przyniesie coś porządniejszego, bo straganiarze to zawsze tylko jakieś badziewie sprzedają, kryminały i takie tam. Do tego połowy nie da się w nich zrozumieć. Dlatego też marzyłem, żeby pójść do Polis - przez Wielką Bibliotekę. Po prostu nie umiem sobie wyobrazić, ile ich tam musi być, na górze, jeśli zbudowano dla nich takiego kolosa - i wskazał rysunek wiszący nad stołem.

Oczy błyszczały już jednemu i drugiemu. Daniła, mile połechtany słowami Artema, nachylił się nad stołem i powiedział z naciskiem:

- Przecież to nie ma żadnego znaczenia, te wszystkie książki. A Wielką Bibliotekę też nie dla nich zbudowali. I to nie ich tam strzegą.

Artem spojrzał na niego ze zdziwieniem. Bramin otworzył już usta, żeby kontynuować, ale nagle wstał od stołu, podszedł do drzwi, uchylił je i przez chwilę nasłuchiwał. Potem cicho je zamknął, wrócił na miejsce i szeptem dokończył:

- Całą Wielką Bibliotekę zbudowali dla jednej jedynej Księgi. I tylko ona jedna jest tam ukryta. Pozostałe są potrzebne tylko, żeby ją zasłonić. I to jej tak naprawdę szukają. I jej strzegą - dodał, i przeszedł go dreszcz.

- A co to za księga? - też obniżył głos Artem.

- Stary foliał. Na czarnych jak węgiel stronicach, złotymi literami jest zapisana cała Historia. Do samego końca.

- I po co jej szukają? - szepnął Artem.

- Jak to, nie rozumiesz? - pokręcił głową bramin. - Do końca, do samego końca. A przecież do końca jeszcze daleko... I kto ma tę wiedzę...

Za zasłonką mignął nagle lekki cień, i Artem, chociaż patrzył w oczy Danile, zauważył go i dał mu znak. Urwawszy opowieść w pół słowa, ten zerwał się z miejsca i rzucił do drzwi. Artem pobiegł za nim.

Na peronie nikogo nie było, tylko z przejścia dochodziły oddalające się kroki. Straż spokojnie spała na krzesłach po obu stronach ruchomych schodów.

Kiedy wrócili do pokoju, Artem czekał aż bramin dokończy opowieść, ale ten już wytrzeźwiał i tylko ponuro kręcił głową.

- Nie wolno nam tego opowiadać - uciął. - To jest część Kodeksu tylko dla wtajemniczonych. Wygadałem po pijaku - skrzywił się z niezadowoleniem. - I niech ci nie przyjdzie do głowy mówić komuś, że to słyszałeś. Jeśli ktoś się dowie, że wiesz o Księdze, to nie unikniesz kłopotów. I ja razem z tobą.

I wtedy Artem nagle zrozumiał, dlaczego spociły mu się dłonie w momencie, kiedy bramin powiedział mu o Księdze. Przypomniał sobie.

- A czy tych ksiąg nie jest kilka? - spytał ze ściśniętym sercem.

Daniła popatrzył mu w oczy z niepokojem.

- Co masz na myśli?

- Bój się prawd ukrytych w starych foliałach, gdzie słowa tłoczone są złotem, a papier, czarny jak heban, nie płonie - przemówił, a przed oczami znów zamajaczyła mu mglista ułuda, niewyrażająca niczego twarz Burbona, który mechanicznie wymawiał cudze i niepojęte słowa.

Bramin spojrzał na niego w zdumieniu.

- Skąd ty to wiesz?

- To było objawienie. Czyli tam jest więcej niż jedna Księga... Co jest w pozostałych? - patrząc jak zahipnotyzowany na rysunek Biblioteki, spytał Artem.

- Została tylko jedna. Były trzy foliały - poddał się wreszcie Daniła. - Przeszłość, Teraźniejszość i Przyszłość. Przeszłość i Teraźniejszość zginęły bezpowrotnie wieki temu. Został ostatni, najważniejszy.

- I gdzie on jest?

- Zagubiony w Głównym Magazynie Książek. Jest tam ponad czterdzieści milionów tomów. Jeden z nich - na oko całkiem zwyczajna książka w standardowej oprawie - to właśnie On. Żeby Go rozpoznać, trzeba otworzyć książkę i ją przekartkować - według legendy stronice w księdze są rzeczywiście czarne. Ale żeby przejrzeć wszystkie książki w Głównym Magazynie, trzeba by było poświęcić siedemdziesiąt lat życia, nie licząc snu i odpoczynku. A ludzie nie mogą tam zostać dłużej niż dzień. Poza tym nikt ci nie pozwoli spokojnie stać i przeglądać wszystkie przechowywane tam tomy. I wystarczy na ten temat.

Pościelił sobie posłanie na podłodze, zapalił świecę na stole i wyłączył światło. Artem niechętnie uległ. Jakoś zupełnie nie chciało mu się spać, chociaż nie umiał sobie nawet przypomnieć, kiedy mógł ostatnio odpocząć.

- A ciekawe, czy widać Kreml, kiedy się idzie do Biblioteki? - powiedział w pustkę, bo Daniła zaczynał już pochrapywać.

- Jasne, że widać. Tylko nie wolno na niego patrzeć. Przyciąga - mruknął tamten.

- Jak to, przyciąga?

Daniła podniósł się na łokciu, i jego zmarszczone z niezadowolenia czoło dostało się w żółtą plamę światła.

- Stalkerzy mówią, że kiedy się wychodzi, nie można patrzeć na Kreml. Szczególnie na gwiazdy na wieżach. Jak spojrzysz, to nie oderwiesz już oczu. A jak będziesz patrzeć przez dłuższy czas, to zacznie cię wciągać, nie na darmo wszystkie bramy prowadzące na Kreml stoją otworem. Dlatego stalkerzy nigdy nie chodzą do Wielkiej Biblioteki w pojedynkę. Jeśli jeden przypadkiem trafi wzrokiem na Kreml, drugi zaraz go ocuci.

- A co jest na Kremlu? - wyszeptał Artem przełknąwszy ślinę.

- Nikt nie wie, bo tam się tylko wchodzi, a nikt jeszcze stamtąd nie wrócił. Na tamtej półce stoi książka, jak chcesz, jest w niej ciekawa historia o gwiazdach i swastykach, w tym o tych na kremlowskich wieżach - wstał, wymacał na półce właściwy tom, otworzył na odpowiedniej stronie i znów wszedł pod kołdrę.

Po paru minutach Daniła już spał, a Artem przysunąwszy bliżej świecę, zaczął czytać.

„...będąc najmniej liczną i wpływową z grup politycznych, które walczyły o władzę i wpływy w Rosji po pierwszej rewolucji, bolszewicy nie byli uważani przez żadną z walczących stron za poważnych konkurentów. Nie posiadali poparcia chłopstwa i opierali się jedynie na nielicznych zwolennikach wśród klasy robotniczej i w marynarce. Jednak głównych sojuszników W.I. Leninowi, który uczył się alchemii i zaklinania duchów w zamkniętych szwajcarskich szkołach, udało się znaleźć po drugiej stronie bariery między światami. Właśnie w tym okresie pierwszy raz pojawiają się pentagramy jako symbole ruchu komunistycznego i Armii Czerwonej.

Pentagram to, jak wiadomo, najbardziej rozpowszechniony i najłatwiej dostępny dla początkujących typ portalu między światami, który pozwala przedostawać się do naszej rzeczywistości demonom. Przy tym autor pentagramu, przy jego umiejętnym wykorzystaniu, zdobywa kontrolę nad wezwanym do naszego świata demonem, który jest odtąd zobowiązany, by mu służyć. Zazwyczaj, żeby lepiej kontrolować przyzwaną istotę, wokół pentagramu wyznacza się ochronny okrąg, aby demon nie mógł przekroczyć jego granicy.

Nie wiadomo, jak dokładnie przywódcom ruchu komunistycznego udało się dokonać tego, do czego dążyli najpotężniejsi czarnoksiężnicy wszystkich czasów: ustanowić kontakt z demonami władcami, którym podlegały całe hordy ich pomniejszych braci. Specjaliści są przekonani, że to sami władcy, wyczuwając nadchodzące wojny i największe rzezie w historii ludzkości, zbliżyli się do granicy między światami i przyzwali tych, którzy mogli im pozwolić zebrać żniwo ludzkiego życia. W zamian obiecali im wsparcie i ochronę.

Historia z finansowaniem bolszewickiego kierownictwa przez niemiecki wywiad jest oczywiście prawdziwa, ale byłoby głupie i powierzchowne, aby uważać, że tylko dzięki zagranicznym pomocnikom W.I. Leninowi i jego towarzyszom broni udało się przechylić szalę historii na swoją stronę. Przyszły komunistyczny wódz miał już wtedy protektorów nieskończenie silniejszych i inteligentniejszych, niż oficerowie wywiadu wojskowego wilhelmińskich Niemiec.

Szczegóły tajnej umowy z siłami ciemności są oczywiście niedostępne współczesnym badaczom. Jednak ich rezultat jest znany: w krótkim czasie pentagramy pojawiają się masowo na flagach, nakryciach głowy żołnierzy Armii Czerwonej i na jej, nielicznym na razie, sprzęcie wojskowym. Każdy z nich otwierał bramę do naszego świata demonowi obrońcy, który chronił posiadacza pentagramu od ciosów z zewnątrz. Jako zapłatę demony wedle zwyczaju otrzymywały krew. W samym XX wieku, według najskromniejszych obliczeń, w ofierze złożono około 30 milionów mieszkańców Rosji.

Umowa z władającymi przyzwanymi siłami bardzo szybko się opłaciła: bolszewicy zdobyli i utrwalili władzę, i chociaż sam Lenin, będący łącznikiem między dwoma światami, nie wytrzymał i zmarł w wieku zaledwie 54 lat, pochłonięty od środka przez piekielne płomienie, następcy kontynuowali jego dzieło bez wahania. Wkrótce nastąpiła demonizacja całego kraju. Dzieciom idącym do szkoły przypinano do piersi pierwszy pentagram. Mało kto wie, że początkowo rytuał przygotowania do wstąpienia do pionierów zawierał nakłuwanie szpilką ciała dziecka. W ten sposób demon październikowej «gwiazdeczki» kosztował krwi swojego przyszłego pana i raz na zawsze wstępował z nim w uświęcony związek. Dorastając i stając się pionierem, dziecko dostawało nowy pentagram: spoglądającym na niego ukazywała się część treści Umowy - wyszyty złotem portret Wodza otaczały płomienie, w których zginął. W ten sposób rosnącemu pokoleniu przypominano o jego złożeniu się w ofierze. Potem był Komsomoł, aż wreszcie przed wybranymi otwierała się droga do kasty kapłanów - Partii Komunistycznej.

Miliony przywołanych duchów chroniły wszystko i wszystkich w państwie sowieckim: dzieci i dorosłych, budynki i maszyny, a same demony-władcy usadowiły się w olbrzymich rubinowych pentagramach na wieżach Kremla, dobrowolnie godząc się na uwięzienie w imię powiększenia swojej potęgi. To właśnie stamtąd rozchodziły się po całym kraju niewidzialne linie pola siłowego, powstrzymujące go przed popadnięciem w chaos i podporządkowujące jego mieszkańców woli lokatorów Kremla. W pewnym sensie, cały Związek Sowiecki zamienił się w jeden gigantyczny pentagram, którego ochronnym okręgiem stała się granica państwa".

Artem oderwał się od lektury i rozejrzał dookoła. Świeca już się dopalała i zaczynała kopcić. Daniła głęboko spał, odwrócony twarzą do ściany. Artem przeciągnął się i wrócił do książki.

„Decydującą próbą dla sowieckiej władzy stało się starcie z narodowosocjalistycznymi Niemcami. Chronieni przez siły równie prastare i potężne, co te na usługach Związku Sowieckiego, zakuci w pancerze Teutoni drugi raz w tym tysiącleciu zdołali przebić się w głąb naszego kraju. Tym razem na ich chorągwiach namalowany był odwrócony symbol słońca, światła i rozkwitu. Czołgi z pentagramami na wieżyczkach jeszcze dziś, pięćdziesiąt lat po Zwycięstwie, prowadzą swój wieczny bój z czołgami, których pancerz zdobi swastyka: na wystawach muzeów, na ekranach telewizorów, na kratkowanych kartkach wyrwanych ze szkolnych zeszytów..."

Świeca mignęła ostatni raz i zgasła. Nadszedł czas, by iść spać.

Jeśli odwrócić się plecami do pomnika, w prześwicie między na wpół zburzonymi domami widać było mały kawałek wysokiego muru i sylwetki ostro zakończonych wież. Ale nie wolno było się odwracać i na nie patrzeć, dokładnie to Artemowi wyjaśnili. Zabronione też było zostawianie bez dozoru drzwi ze schodami, bo jeśli było to konieczne, trzeba było dać na czas sygnał alarmowy, a jeśli się obejrzeć, to koniec, już po tobie, i jeszcze inni na tym ucierpią.

Dlatego Artem stał w miejscu, chociaż wciąż korciło go, żeby się odwrócić, i na razie oglądał pomnik, którego cokół zarósł mchem. Przedstawiał on siedzącego w głębokim fotelu ponurego starca, opierającego się na łokciu. Z poszczerbionych źrenic z brązu kapało mu powoli na pierś coś gęstego, przez co wydawało się, że monument płacze.

Zbyt długo nie dało się na to patrzeć. Dlatego Artem obszedł pomnik dookoła i spojrzał uważnie w kierunku drzwi. Było zupełnie spokojnie, panowała całkowita cisza, oprócz słabego wycia wiatru wiejącego pośród ogryzionych szkieletów budynków. Oddział odszedł już dość dawno, ale nie wzięli ze sobą Artema. Kazali mu zostać i pilnować, a gdyby coś się stało, zbiec na stację i ostrzec tamtych.

Czas mijał powoli, mierzył go krokami, którymi obchodził dookoła pomnik: raz, dwa, trzy...

To się stało, kiedy doszedł do pięciuset: tupot i ryk rozległ się z tyłu, za plecami, tam, gdzie nie wolno było patrzeć. Coś pojawiło się bardzo blisko, mogło rzucić się na Artema w każdym momencie. Zamarł, nasłuchując, potem padł na ziemię i przylgnął do cokołu, trzymając automat w gotowości.

Teraz to coś było już tuż obok, najwidoczniej po drugiej stronie pomnika. Artem słyszał wyraźnie jego charczący, zwierzęcy oddech; okrążając cokół powoli zbliżało się do niego. Próbował opanować drżenie rąk i trzymać na celowniku miejsce, w którym powinien pojawić się stwór.

Ale dyszenie i odgłosy kroków nieoczekiwanie zaczęły się oddalać. I kiedy Artem wyjrzał zza pomnika, żeby wykorzystać sytuację i wystrzelić nie spodziewającemu się niczego przeciwnikowi serię w plecy, od razu zapomniał i o nim, i o wszystkim innym.

Gwiazda na kremlowskiej wieży była wyraźnie widoczna nawet stąd. Sama wieża była tylko mglistym kształtem, widocznym w niewyraźnym świetle wyglądającego zza chmur księżyca, lecz gwiazda ostro odcinała się na jej tle, przyciągała uwagę każdego, kto na nią patrzył, z zupełnie zrozumiałej przyczyny. Ona świeciła. Nie wierząc swoim oczom, przycisnął oczy do lornetki polowej.

Gwiazda pałała jasnym, wściekle czerwonym światłem, rozjaśniając kilka metrów przestrzeni wokół siebie, i kiedy Artem lepiej się przyjrzał, zauważył, że światło to było nieregularne. W olbrzymim rubinie była jakby uwięziona burza: rozbłyskiwał błyskawicami, coś w nim się przelewało, gotowało, wybuchało... Było to niesamowite, nieziemskiej zupełnie piękności widowisko, ale z takiej odległości zbyt słabo było widać. Trzeba podejść bliżej.

Zarzuciwszy karabin na plecy, Artem zbiegł ze schodów, przeskoczył pęknięcie w asfalcie ulicy i zatrzymał się dopiero na rogu, skąd widać było już cały mur Kremla... i wieże. Na każdej z nich jaśniała czerwona gwiazda. Ledwo złapał oddech, znów przywarł do szkieł lornetki. Gwiazdy rozbłyskiwały tym samym kipiącym, nierównym światłem, i miało się ochotę patrzeć na nie wiecznie.

Skupiwszy się na najbliższej z nich, Artem ciągle delektował się jej fantastyczną grą światła, aż nagle wydało mu się, że rozróżnia kontury tego, co rusza się wewnątrz, pod powierzchnią kryształów.

Żeby lepiej dojrzeć dziwne kształty, musiał podejść nieco bliżej. Zapomniawszy o wszelkim niebezpieczeństwie, stanął pośrodku otwartej przestrzeni i nie odrywał oczu od lornetki, starając się pojąć, co też udało mu się zobaczyć.

Demony-władcy, przypomniał sobie wreszcie. Marszałkowie armii diabłów, przyzwanych, by broniły państwa sowieckiego. Kraj, a i cały świat rozpadł się już na kawałki, ale pentagramy na kremlowskich wieżach pozostały nietknięte: przywódcy, którzy zawarli umowę z demonami dawno już byli uwięzieni, i nie było komu zwrócić im wolność... Nie było? A on?

Trzeba odnaleźć bramę, pomyślał. Trzeba znaleźć wejście...

- Wstawaj, zaraz musisz wychodzić! - szturchał go Daniła.

Artem ziewnął i przetarł oczy. Dopiero co śniło mu się coś niewiarygodnie zajmującego, ale sen błyskawicznie się ulotnił, i nie udało mu się przypomnieć, co w nim widział. Na stacji włączono już pełne oświetlenie, i słychać było, jak sprzątacze, wesoło pogwizdując, zamiatali peron.

Założył ciemne okulary i poszedł się umyć z przewieszonym przez ramię, niezbyt czystym ręcznikiem frotte, który wręczył mu gospodarz. Toalety znajdowały się z tej samej strony, co brązowe panneau, i kolejka do nich była całkiem spora. Zająwszy miejsce i wciąż jeszcze ziewając, Artem próbował przypomnieć sobie choć część obrazów, które widział we śnie.

Kolejka z jakiegoś powodu przestała się przesuwać, a stojący w niej ludzie zaczęli głośno szeptać. Próbując zrozumieć, w czym rzecz, Artem obejrzał się za siebie. Wszystkie oczy były skierowane na żelazne drzwi na zasuwę. Teraz były otwarte, a w prześwicie stał wysoki człowiek, widząc którego Artem też zapomniał po co tu przyszedł.

Stalker.

Dokładnie tak ich sobie wyobrażał - z opowiadań ojczyma i historyjek straganiarzy. Poplamiony i miejscami osmalony skafander ochronny, długa ciężka kamizelka kuloodporna, potężne bary, na prawym ramieniu niedbale zarzucona potężna bryła erkaemu, z lewej, na podobieństwo bandoletu, zwisa pobłyskująca smarem taśma z nabojami. Masywne sznurowane buty, wpuszczone do środka spodnie, na plecach przestronny płócienny plecak.

Stalker zdjął okrągły hełm specnazu, ściągnął gumową maskę przeciwgazową i, zaczerwieniony, mokry, rozmawiał o czymś z dowódcą posterunku. Był już niemłody, Artem widział siwy zarost na jego policzkach i brodzie i srebrne nitki wśród krótkich, czarnych włosów. Ale biło od niego siłą, pewnością siebie, cały był spięty, czujny, jakby nawet tu, na cichej, jasnej stacji był gotów w każdej chwili stawić czoła niebezpieczeństwu i nie dać mu się zaskoczyć.

Teraz tylko Artem wciąż się jeszcze gapił bezceremonialnie na przybysza, pozostali ludzie, którzy stali w kolejce, najpierw go popędzali, a potem po prostu zaczęli wymijać.

- Artem! Co ty tam robisz tak długo? Patrz, która godzina, spóźnisz się! - podszedł do niego Daniła.

Słysząc to imię, stalker odwrócił się w stronę Artema, przyjrzał mu się uważnie i nagle wykonał w jego kierunku długi krok.

- Nie jesteś przypadkiem z WOGN-u? - spytał głębokim, dźwięcznym głosem.

Artem skinął głową w milczeniu, czując jak zadrżały mu kolana.

- To nie ty szukasz Młynarza? - ciągnął tamten.

Artem znów przytaknął.

- To ja jestem Młynarz. Masz coś dla mnie? - stalker popatrzył Artemowi w oczy.

Artem pośpiesznie wymacał na szyi sznurek z łuską, z którą, niczym z talizmanem, było już nawet jakoś dziwnie się rozstawać, i podał ją stalkerowi. Ten ściągnął skórzane rękawiczki, odkręcił nakładkę i ostrożnie wytrząsnął coś z kapsułki na dłoń. Malutki skrawek papieru. Notatka.

- Chodźmy. Wybacz, wczoraj nie mogłem, zadzwonili, kiedy już wychodziliśmy na górę.

Pośpiesznie pożegnawszy się z Daniłą i podziękowawszy mu, Artem ruszył za Młynarzem ruchomymi schodami, prowadzącymi do przejścia na Arbacką.

- Nie ma żadnych wieści od Huntera? - spytał nieśmiało, ledwo nadążając za stawiającym długie kroki stalkerem.

- Zupełnie nic. Obawiam się, że teraz trzeba o niego pytać tych waszych czarnych - odpowiedział przez ramię Młynarz. - Za to z WOGN-u wiadomości jest aż za dużo.

Artem poczuł, jak mocno zabiło mu serce.

- Jakie? - postarał się ukryć swoje zdenerwowanie.

- Dobrych mało - sucho powiedział stalker - czarni znów ruszyli do ataku. Tydzień temu była ciężka bitwa. Pięciu ludzi zginęło. A czarnych, jak się zdaje, pojawia się tam coraz więcej. Z waszej stacji ludzie zaczynają uciekać. Mówią, że nie mogą wytrzymać strachu. Więc Hunter miał rację, kiedy mi mówił, że kroi się u was coś poważnego. Przeczuwał to.

- A nie wie pan, kto zginął? - spytał z przestrachem Artem, próbując sobie przypomnieć, kto powinien był mieć wartę tego dnia, dokładnie tydzień temu. Jaki to był dzień? Żeńka? Andriej? Tylko nie Żeńka...

- Skąd mam wiedzieć? Zresztą mało tego, że jakieś cholerstwo tam przychodzi, na dodatek z tunelami wokół Prospektu Mira jakieś diabelstwo wynikło. Ludzie tracą pamięć, kilku już umarło na szlaku.

- Co robić?

- Dziś jest posiedzenie Rady. Wysłuchamy opinii starszych braminów i generałów. Tylko wątpię, czy będą jakkolwiek mogli pomóc twojej stacji. Samej Polis ledwie bronią, a i to tylko dlatego, że nikt się nie ośmiela jej poważnie zaatakować.

Wyszli na Arbacką.

Tutaj też świeciły lampy rtęciowe i, podobnie jak na Borowickiej, mieszkania mieściły się w zabudowanych cegłami arkadach. Przed niektórymi z nich stali wartownicy i w ogóle wojskowych było tu nienaturalnie dużo. Pomalowane na biało ściany były miejscami obwieszone rozsypującymi się prawie od upływu lat paradnymi wojskowymi chorągwiami z wyszytymi złotem orłami. Wokół panowało ożywienie: bramini ubrani w długie chałaty dokądś szli; sprzątacze myli posadzkę i pokrzykiwali na tych, którzy próbowali przejść po mokrym; było też wielu ludzi z innych stacji - można ich było rozpoznać po ciemnych okularach lub po dłoniach złożonych w daszek, którymi osłaniali zmrużone oczy. Na peronie znajdowały się tylko pomieszczenia mieszkalne i administracyjne, wszystkie stragany i bary były przeniesione do przejść między stacjami.

Młynarz powiódł Artema na koniec peronu, gdzie zaczynały się pomieszczenia służbowe, posadził go na marmurowej ławeczce, obłożonej wypolerowanym przez tysiące pasażerów drewnem, poprosił, by na niego poczekał i odszedł.

Przyglądając się wymyślnej sztukaterii na sklepieniu, Artem pomyślał, że Polis nie zawiodła jego oczekiwań. Życie rzeczywiście było tu urządzone zupełnie inaczej, i ludzie nie byli tak zatwardziali, rozdrażnieni, zahukani jak na innych stacjach. Wiedza, książki, kultura grały tu, jak się zdawało, zupełnie wyjątkową rolę. Samych kramów z książkami minęli przynajmniej pięć, kiedy szli przejściem między Borowicka a Arbacką. Wisiały tu nawet afisze zapowiadające spektakl według Szekspira, i, tak jak na Borowickiej, gdzieś grała muzyka.

Zarówno przejście, jak i obie stacje były w świetnym stanie, i chociaż na ścianach było widać pęknięcia i zacieki, wszystkie wyrwy były błyskawicznie łatane przez snujące się wszędzie brygady remontowe. Artem zajrzał z ciekawości do tunelu: tam również panował pełny porządek: sucho, czysto, a co każde sto metrów świeciła się lampka elektryczna, i tak aż okiem sięgnąć. Od czasu do czasu mijały go załadowane skrzyniami drezyny, zatrzymując się, żeby wysadzić przygodnego pasażera, lub przyjąć pudło z książkami, które Polis rozsyłała po całym metrze.

„Wkrótce to wszystko może się skończyć - nieoczekiwanie pomyślał Artem. - WOGN już nie wytrzymuje naporu tych potworów... Trudno się dziwić” - powiedział sobie w duchu, wspominając jedną z nocy na warcie, kiedy przyszło mu odpierać atak czarnych, i wszystkie koszmary męczące go po walce.

Czy WOGN padnie? To znaczy, że nie będzie już miał domu, i będzie uważał za szczęście, jeśli jego przyjaciele i ojczym dadzą radę uciec: wtedy pozostanie mu nadzieja, że spotka ich kiedyś w metrze. Jeśli Młynarz powie mu dzisiaj, że Artem wykonał swoje zadanie i nic więcej nie może zrobić, to wtedy ruszy w drogę powrotną, obiecał sobie. Jeśli jego stacji sądzone jest zostać jedyną przeszkodą na drodze czarnych, a jego przyjaciołom i bliskim zginąć w jej obronie, to woli raczej być razem z nimi, niż ukrywać się w tym raju. Zachciało mu się nagle wrócić do domu, spojrzeć na rząd wojskowych namiotów, zakład produkcji herbaty... Pogadać z Żeńką, opowiedzieć mu o swoich przygodach. Na pewno nie uwierzy nawet w połowę... Jeśli jeszcze żyje.

- Chodźmy, Artem - wezwał go Młynarz. - Chcą z tobą pomówić.

Zdążył już pozbyć się swojego skafandra i miał na sobie golf, czarną wojskową furażerkę bez oznaczeń i spodnie z kieszeniami, takie same jak u Huntera. Stalker przypominał czymś Myśliwego, nie z wyglądu oczywiście, lecz zachowaniem. Był tak samo skupiony, napięty, podobnie też mówił: krótkimi, zwięzłymi zdaniami.

Ściany w pomieszczeniu wyłożone były czarnym dębem, a na nich, naprzeciwko siebie, wisiały dwa duże obrazy olejne. Na jednym z nich Artem bez trudu rozpoznał Bibliotekę, na drugim widniał wysoki budynek z fasadą z białego kamienia. Podpis pod nim głosił: „Sztab Generalny MON Federacji Rosyjskiej".

Na środku przestronnego pokoju stał duży drewniany stół, na otaczających go krzesłach siedziało, przyglądając się badawczo Artemowi, dziesięciu ludzi. Połowa w szarych chałatach braminów, druga - w letnich oficerskich mundurach. Rozmieszczeni byli tak, że wojskowi siedzieli pod obrazem ze Sztabem Generalnym, a bramini pod Biblioteką.

U szczytu stołu dumnie zasiadał niewysokiego wzrostu, ale władczo wyglądający człowiek w poważnych okularach i z dużą łysiną. Był ubrany w garnitur z krawatem i nie miał tatuażu oznaczającego przynależność do kasty.

- Do dzieła - zaczął bez przedstawiania się. - Proszę nam opowiedzieć wszystko, co panu wiadomo, w tym o sytuacji z tunelami od pańskiej stacji do Prospektu Mira.

Artem zaczął szczegółowo opisywać historię walki WOGN-u z czarnymi, potem zadanie Huntera, i wreszcie wyprawę do Polis. Kiedy mówił o tym, co wydarzyło się w tunelach między Aleksiejewską, Ryżską i Prospektem Mira, wojskowi i bramini zaczęli szeptać między sobą, jedni z niedowierzaniem, inni z ożywieniem, a siedzący w kącie oficer dopytywał go kilka razy, starannie protokołując jego słowa.

Kiedy dyskusje wreszcie ucichły, poproszono Artema, by kontynuował opowieść, lecz to, co mówił, budziło u słuchaczy małe zainteresowanie, dopóki nie doszedł do stacji Polianka i jej mieszkańców.

- Pan pozwoli! - przerwał mu we wzburzeniu jeden z wojskowych, pulchny mężczyzna około pięćdziesiątki z zaczesanymi do tyłu włosami i okularami w metalowej oprawie wbijającej się w mięsisty nos. - Jest całkowicie pewne, że Polianka jest niezamieszkała. Stacja została porzucona dawno temu. To fakt, przechodzą przez nią codziennie dziesiątki ludzi, ale nikt nie może tam mieszkać. Występują tam regularne wybuchy gazu, i wszędzie rozmieszczone są znaki ostrzegające przed niebezpieczeństwem. A już na pewno nie ma tam żądnych kotów ani makulatury, i to od dawna. Całkowicie pusty peron. Całkowicie. Niech pan daruje sobie te insynuacje.

Pozostali wojskowi zgodnie pokiwali głowami, i zaskoczony Artem umilkł.

Kiedy zatrzymywał się na Poliance, przez moment przyszło mu do głowy, że panująca na stacji swobodna atmosfera nie pasuje do metra. Ale od tych rozmyślań zaraz odciągnęli go mieszkańcy Polianki, którzy byli bardziej niż realni.

Jednak bramini nie poparli tego gniewnego dementi. Najstarszy z nich, łysy staruszek z długą siwą brodą, spojrzał z zainteresowaniem na Artema i wymienił z siedzącymi w pobliżu kilka zdań w niezrozumiałym języku.

- Gaz ten, jak wiadomo, posiada właściwości halucynogenne, jeśli w określonych proporcjach wymiesza się z powietrzem - powiedział pojednawczo bramin siedzący po prawicy staruszka.

- Problem w tym, czy można mu teraz wierzyć co do całej reszty - patrząc na Artema spode łba, odrzekł wojskowy.

- Dziękuję za pańską relację - uciął dyskusję człowiek w garniturze. - Rada ją przedyskutuje i poinformuje pana o rezultatach. Może pan odejść.

Artem ruszył w kierunku wyjścia. Czyżby cała jego rozmowa z dwoma palącymi fajkę wodną mieszkańcami Polianki miała się okazać halucynacją? Ale przecież to by oznaczało, że ten pomysł, iż jest wybrańcem, że może naginać rzeczywistość dopóki podąża

za wyznaczoną mu fabułą, to wszystko twory jego wyobraźni, próba pocieszenia samego siebie... Teraz również tajemnicze spotkanie w tunelu między Polianką a Borowicką nie wydawało mu się już cudem. Gaz? Gaz.

Siedział na ławce pod drzwiami i nawet nie wsłuchiwał się w dalekie głosy spierających się członków Rady. Obok niego chodzili ludzie, przejeżdżały drezyny i spalinówki, minuta za minutą mijał czas, a on siedział i myślał. Czy jego misja rzeczywiście istniała, czy może sam ją wymyślił? Co ma teraz robić? Dokąd ma teraz iść?

Ktoś dotknął jego ramienia. Był to oficer, który robił notatki podczas jego opowiadania.

- Członkowie Rady informują, że Polis nie jest w stanie w niczym pomóc waszej stacji. Dziękują panu za szczegółowy raport o sytuacji w metrze. Jest pan wolny.

Ot i wszystko.

Polis nie może w niczym pomóc. Wszystko na nic. Zrobił wszystko, co mógł, ale niczego to nie zmieniło. Zostało mu tylko wrócić na WOGN i stanąć ramię w ramię z tymi, którzy bronili stacji. Artem podniósł się ociężale z ławki i ruszył sam nie wiedząc dokąd.

Kiedy dotarł już prawie do przejścia na Borowicką, usłyszał za sobą ciche pokasływanie. Artem odwrócił się i zobaczył bramina, który był obecny podczas Rady, tego samego, który siedział po prawicy staruszka.

- Proszę zaczekać, młody człowieku... Zdaje mi się, że powinniśmy z panem porozmawiać o paru sprawach... Prywatnie - zwrócił się do niego bramin z życzliwym uśmiechem. - Jeśli Rada nie jest w stanie nic dla was zrobić, to może wasz pokorny sługa okaże się bardziej przydatny.

Chwycił Artema pod rękę i zaprowadził go do jednego z ceglanych mieszkań w arkadach. Nie było tu okna, nie paliła się żadna elektryczna lampka, i tylko płomyczek małej świeczki rysował kontury twarzy kilku ludzi zebranych w pokoju. Artem nie zdążył im się porządnie przyjrzeć, bo bramin, który go tu przyprowadził, szybko zgasił świecę i pomieszczenie pogrążyło się w ciemności.

- Czy to, co opowiadałeś o Poliance na posiedzeniu Rady jest prawdą? - rozległ się ochrypły głos.

- Tak - twardo odparł Artem.

- Czy wiesz, jak my, bramini, nazywamy Polianke między sobą? Stacja przeznaczenia. Kszatrijowie mogą sobie uważać, że to gaz powoduje wizje, nie mam nic przeciwko temu. Nie zamierzamy leczyć ze ślepoty naszych niedawnych wrogów. My wierzymy, że na tej stacji ludzi spotykają wysłannicy Opatrzności. Większości z nich Opatrzność nie ma nic do powiedzenia, i ci po prostu przechodzą przez pustą, porzuconą stację. Lecz ci, którzy napotkali kogoś na Poliance, powinni potraktować to spotkanie z całą uwagą i na całe życie zapamiętać to, co tam usłyszeli. Pamiętasz, co to było?

- Zapomniałem - skłamał Artem, nie ufając specjalnie tym ludziom, którzy przypominali mu członków jakiejś sekty.

- Nasza starszyzna jest przekonana, że nie przyszedłeś do nas przypadkiem. Nie jesteś zwykłym człowiekiem, i twoje szczególne zdolności, które już nie raz uratowały ci życie po drodze, mogą pomóc również nam. Zaś my wyciągniemy za to pomocną dłoń do ciebie i twojej stacji. Jesteśmy kustoszami wiedzy, i wśród tej wiedzy jest i taka, która może uratować WOGN.

- Co wy z tym WOGN-em?! - wybuchnął Artem. - Ciągle tylko mówicie o WOGN-ie! Jak byście nie rozumieli, że przyszedłem tutaj nie tylko z powodu mojej stacji, nie tylko z powodu własnych problemów! Wszystkim wam, co do jednego, grozi niebezpieczeństwo! Najpierw padnie WOGN, potem cała linia, a potem zginie całe metro...

Nikt mu nie odpowiedział. Zapadła głucha cisza, było słychać tylko miarowe oddechy obecnych. Artem poczekał jeszcze chwilę i zapytał, nie mogąc wytrzymać milczenia:

- Co mam zrobić?

- Wyjść na górę, do wielkiego magazynu książek. Znaleźć tam pewną rzecz, która według prawa należy do nas, i przynieść ją tutaj. Jeśli uda ci się odnaleźć to, czego szukamy, podzielimy się z tobą wiedzą, która pomoże ci zlikwidować zagrożenie. I niech spłonie Wielka Biblioteka, jeśli kłamię.

ROZDZIAŁ 13
WIELKA BIBLIOTEKA

Artem wyszedł na stację, w oszołomieniu rozglądając się dokoła. Dopiero co zawarł jedną z najdziwniejszych umów w swoim życiu. Jego zleceniodawcy nie chcieli nawet wyjaśnić mu, co konkretnie ma zabrać z magazynu książek, obiecując, że o szczegółach poinformują go potem, kiedy wyjdzie już na górę. I chociaż przemknęła mu przez głowę myśl, że może chodzić o Księgę, o której poprzedniego wieczora opowiadał mu Daniła, nie ośmielił się spytać o nią braminów. A poza tym, kiedy gościnny gospodarz zdradzał mu wczoraj tę tajemnicę, obaj byli porządnie podpici, tak więc miał podstawy, by wątpić w jej wiarygodność.

Obiecano mu, że nie wyjdzie na powierzchnię sam. Bramini zamierzali sformować cały oddział. Razem z Artemem miało wyjść przynajmniej dwóch stalkerów i jeden człowiek z ramienia kasty, któremu będzie musiał natychmiast przekazać znalezisko, jeśli ekspedycja zakończy się sukcesem. To on ma pokazać Artemowi coś, co pomoże mu zażegnać wiszące nad WOGN-em niebezpieczeństwo.

Teraz, kiedy z egipskich ciemności pokoju wyszedł na peron, warunki umowy wydały mu się absurdalne. Jak w tej starej baśni, wymagano od niego, żeby poszedł tam, nie wiadomo gdzie, przyniósł to, nie wiadomo co, i za to obiecano mu cudowne wybawienie, nie mówiąc nawet jakie ono będzie. Ale co mu pozostało? Wrócić z pustymi rękami? Czy tego oczekiwał od niego Myśliwy?

Kiedy Artem spytał swoich tajemniczych rozmówców, w jaki sposób odnajdzie w olbrzymim magazynie Biblioteki to, czego szukają, odpowiedziano mu, że zrozumie wszystko na miejscu. Usłyszy. Nie chciał więcej dopytywać, bojąc się, że bramini stracą przekonanie o jego niezwykłych zdolnościach, w które sam nie bardzo wierzył. Na koniec dostał surowe upomnienie, że wojskowi nie mogą się o niczym dowiedzieć, inaczej umowa przestanie obowiązywać.

Artem usiadł na ławeczce pośrodku holu i zamyślił się. To była niesamowita szansa, żeby wyjść na powierzchnię, dokonać tego, co w świadomym życiu udało mu się zaledwie raz, i zrobić to bez strachu przed karą i konsekwencjami. Wyjść na górę, i to nie samemu, a z najprawdziwszymi stalkerami, wykonując tajne zadanie kasty kustoszy... W końcu nie zapytał, dlaczego tak nie lubią słowa „bibliotekarze”.

Obok niego, na ławce ciężko usiadł Młynarz. Wyglądał teraz na zmęczonego i spiętego.

- Dlaczego na to poszedłeś? - spytał głosem bez wyrazu, patrząc przed siebie.

- Skąd pan wie? - zdziwił się Artem. Od jego rozmowy z braminami nie minął nawet kwadrans.

- Będę musiał iść z tobą - nie odpowiadając na pytanie, przygnębionym głosem ciągnął Młynarz - odpowiadam teraz za ciebie przed Hunterem, cokolwiek z nim się stało. A umowy z braminami zerwać się nie da. Jeszcze nikomu się to nie udało. I, co najważniejsze, niech ci nie przyjdzie do głowy wygadać się przed wojskowymi. - Wstał, pokręcił głową i dodał: - Gdybyś ty wiedział, w co się pakujesz... Idę spać. Jutro wieczorem wychodzimy.

- A pan nie należy do wojskowych? - zawołał za nim Artem. - Słyszałem, jak nazywali pana pułkownikiem.

- Pułkownik pułkownikiem, ale nie z ich resortu - niechętnie odrzekł Młynarz i odszedł.

Pozostałą część dnia Artem poświęcił na zwiedzanie Polis: spacerował bez celu po bezgranicznej przestrzeni przejść i schodów, patrzył na wspaniałe kolumnady, dziwiąc się, ileż to ludzi może pomieścić to podziemne miasto, od deski do deski przestudiował wydrukowaną na papierze pakowym gazetkę „Wiadomości Metra”, słuchał brodatych

muzyków, przeglądał książki na straganach, bawił się z wystawionymi na sprzedaż szczeniakami, dowiadywał się najnowszych plotek - i przez cały ten czas nie mógł się pozbyć wrażenia, że ktoś go śledzi. Kilka razy nawet obejrzał się gwałtownie, w nadziei, że napotka czyjś uważny wzrok, ale na próżno - dookoła przewalał się zaaferowany tłum i nikt nie zwracał na niego uwagi.

Znalazł w jednym z przejść hotel i przespał parę godzin, zanim o dziesiątej wieczorem, jak było umówione, pojawił się na posterunku przy wyjściu z Borowickiej do miasta. Młynarz się spóźniał, ale wartownicy byli poinformowani i zaproponowali Artemowi, żeby zaczekał na niego przy herbacie.

Starszy wartownik, przerwawszy na chwilę, żeby nalać wrzątek do emaliowanych kubków, kontynuował swoją opowieść:

- Tak... Wtedy kazali mi nasłuchiwać przez radio. Ciągle mieli nadzieję, że złapią sygnał z bunkrów rządowych za Uralem. Ale próbowaliśmy, i nic, tamci w pierwszej kolejności uderzyli w obiekty strategiczne. I Ramienki też kaput, i wszystkie podmiejskie dacze z ich schronami na trzydzieści metrów w głąb też kaput... Ramienki może by i oszczędzili... W ludność cywilną starali się nie tak bardzo... W końcu nikt wtedy nie wiedział, że ta wojna będzie do samego końca, dotąd, aż już będzie wszystko jedno. Tak więc, tych Ramienek może by i pożałowali, ale tam obok znajdował się punkt dowodzenia, to w niego walnęli... A ofiary cywilne to już, jak to się mówi, za przeproszeniem straty uboczne. Ale dopóki jeszcze nikt w to nie wierzył, dowództwo posadziło mnie przy radiu, żebym nasłuchiwał, tam w bunkrze, obok Arbackiej. Na początku łapałem dużo ciekawych rzeczy... Syberia milczała, za to odzywali się inni. Łodzie podwodne, strategiczne, atomowe. Pytali, czy mają walić, czy nie... Ludzie nie mogli uwierzyć, że Moskwy już nie ma. Komandorzy płakali prosto w radio, jak dzieci. Wiesz, to dziwne, kiedy zaprawieni oficerowie marynarki, którzy przez całe życie nie powiedzieli jednego cenzuralnego słowa, płaczą, proszą, żeby poszukać, czy wśród ocalałych nie ma ich żon, córek... Idź, poszukaj... A potem różnie, ktoś mówił, jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie, wszystko szlag trafił, i płynął do ich brzegów, żeby wywalić całą baterię w ich miasta. A inni, odwrotnie, decydowali, że jeśli tak czy owak wszystko poszło w diabły, to nie ma sensu dalej walczyć. Po co jeszcze zabijać? Tylko, że to już niczego nie zmieniło. Wystarczyło tych, którzy chcieli pomścić swoje rodziny. A okręty odpowiadały jeszcze długo. Jak są na misji, to potrafią po pół roku siedzieć pod wodą. Niektóre oczywiście załatwili, ale nie dali rady znaleźć wszystkich. Takich historii się wtedy nasłuchałem, że do tej pory, jak sobie przypomnę, to mnie trzęsie. Ale ja nie o tym. Złapałem raz załogę czołgu, który cudem ocalał z ataku: wyjechali akurat z jednostki, czy coś... Sprzęt nowej generacji, mieli ochronę przed promieniowaniem. I tak, jak było ich tam trzech w tym czołgu, tak pojechali na pełnej prędkości na wschód od Moskwy. Przejeżdżali przez płonące wioski, zabrali do siebie jakieś baby - i jechali dalej, na stacji nabrali oleju i znów w drogę. Dojechali na jakieś zadupie, gdzie już nawet nie było czego bombardować, i tam im w końcu brakło paliwa. Promieniowanie i tam oczywiście było takie, że proszę siadać, ale jednak nie takie, jak w pobliżu miast. Rozbili tam obóz, czołg wkopali do połowy w ziemię - zrobili sobie coś w rodzaju bunkra. Obok postawili namioty, z czasem wykopali ziemianki, zbudowali ręczny generator prądu i całkiem długo mieszkali obok tego czołgu. Ze dwa lata rozmawiałem z nimi prawie każdego wieczora, wszystko o nich wiedziałem. Z początku był u nich spokój, prowadzili gospodarstwo, dzieci im się urodziły... prawie normalne. Starczało amunicji. Napatrzyli się różnych dziwów, takie potwory z lasu wychodziły, że nawet nie umiał tego opisać ten porucznik, co z nim gadałem. A potem przepadli. Jeszcze z pół roku próbowałem ich złapać przez radio, ale coś się z nimi stało. Może coś z generatorem, albo odbiornik im się rozstroił, a może amunicja się skończyła...

- Mówiłeś coś o Ramienkach - przypomniał jego kolega - że je zbombardowali, a ja sobie pomyślałem: tyle czasu tu już służę i nikt nie potrafi mi powiedzieć o Kremlu, jak to się stało, że został cały? Czemu go nie ruszyli? No, tam to już na pewno było bunkrów a bunkrów...

- Kto ci powiedział, że nie ruszyli? Ruszyli, i to jeszcze jak! - zapewnił go wartownik. - Po prostu nie chcieli go burzyć, bo to zabytek, zamiast tego wypróbowali na nim nowy wynalazek. No, i żeśmy dostali... Już lepiej by było od razu go zetrzeć z powierzchni ziemi - splunął i umilkł.

Artem siedział cichutko, starając się nie odwracać uwagi weterana od wspomnień. Rzadko kiedy udawało mu się usłyszeć tyle szczegółów o tym, jak to się działo. Ale starszy wartownik umilkł, zamyślił się nad jakimiś swoimi sprawami, aż wreszcie Artem odważył się zadać pytanie, które nurtowało go już wcześniej:

- A przecież w innych miastach też jest metro? Przynajmniej było, tak słyszałem. Czy nigdzie indziej ludzie się nie uratowali? Kiedy pan pracował w łączności, to nie odbierał pan żadnych sygnałów?

- Nie, nic nie nadawali. Ale masz rację, w Piterze, na przykład, jacyś ludzie powinni byli ocaleć, metro było głęboko pod ziemią, niektóre stacje nawet głębiej niż tu, u nas. I tak samo były skonstruowane. Pamiętam, jeździłem tam w młodości. Na jednej linii nie było dostępu do torów, tylko takie solidne metalowe śluzy. Pociąg podjeżdża, i śluzy się otwierają razem z drzwiami wagonu. Pamiętam, że bardzo mnie to wtedy zdziwiło. Choć wypytywałem, to nikt mi tego nie mógł sensownie wyjaśnić, dlaczego tak to zrobili. Jeden mówił, że to ochrona przed powodzią, inny, że zaoszczędzili na wykończeniu przy budowie. A potem poznałem się z takim jednym, co budował to metro, i on mi opowiedział, że kiedy kopali tę linię, to coś im zeżarło połowę brygady, w innych grupach było tak samo. Znajdowali potem tylko ogryzione kości i narzędzia. Mieszkańcom, rzecz jasna, niczego nie powiedzieli, ale postawili te metalowe drzwi na całej linii, na wszelki wypadek. A w końcu kiedy to było... A co tam się zaczęło dziać od promieniowania, to trudno sobie nawet wyobrazić.

Rozmowa się urwała. Do posterunku podszedł Młynarz, a z nim jeszcze jeden człowiek: niewysoki i krępy, z masywną szczęką, porosłą krótkim zarostem i głęboko osadzonymi oczami. Obaj mieli już na sobie kombinezony ochronne i duże plecaki na plecach. Młynarz przyjrzał się w milczeniu Artemowi, postawił przed nim dużą czarną torbę i gestem wskazał na wojskowy namiot.

Artem wcisnął się do środka, rozpiął suwak w torbie i wyjął z niej czarny kombinezon, podobny do tych, w które ubrani byli Młynarz i jego kolega; nietypową maskę przeciwgazową z szybką o szerokim polu widzenia i dwoma filtrami po bokach; wysokie sznurowane buty, i najważniejsze: nowy automat kałasznikowa z celownikiem laserowym i składaną metalową kolbą. To była zupełnie wyjątkowa broń, podobną Artem widział tylko u elitarnych jednostek Hanzy, patrolujących tory na motodrezynach. Na dnie torby leżała długa latarka i okrągły hełm obciągnięty z wierzchu materiałem.

Nie zdążył się jeszcze przebrać, kiedy wejście do namiotu otwarło się, i pojawił się w nim bramin Daniła. W rękach trzymał dokładnie taką samą bezkształtną torbę na suwak. Spojrzeli na siebie nawzajem w zdumieniu. Pierwszy połapał się Artem.

- Idziesz na górę? Odprowadzić nas? Szukać czegoś, nie wiadomo czego? - spytał sarkastycznie.

- Ja akurat wiem czego - odgryzł się Daniła. - Ale jak ty zamierzasz tego szukać, nie mam pojęcia.

- Ja też nie - przyznał Artem. - Powiedzieli mi, że potem wyjaśnią... No, to czekam.

- A mi powiedzieli, że wysyłają na górę jasnowidza, co to sam powinien wiedzieć dokąd iść.

- I to ja mam być tym jasnowidzem? - prychnął Artem.

- Starszyzna uważa, że masz dar i wyjątkowe przeznaczenie. Gdzieś w Kodeksie jest przepowiednia, że ma się zjawić młodzieniec, wiedziony przez przeznaczenie, który znajdzie ukryte tajemnice Wielkiej Biblioteki. Znajdzie to, co nasza kasta nieskutecznie próbowała odkryć przez ostatnią dekadę. Starszyzna jest przekonana, że tym człowiekiem jesteś ty.

- To ta księga, o której mówiłeś? - spytał bez ogródek Artem.

Daniła długo nie odpowiadał, wreszcie skinął głową.

- Powinieneś ją poczuć. Nie przed wszystkimi jest ukryta. Jeśli rzeczywiście jesteś tym „młodzieńcem wiedzionym przez przeznaczenie", nie będziesz nawet musiał przeszukiwać magazynów. Księga znajdzie cię sama - obrzucił Artema pytającym spojrzeniem i dodał niepewnie: - O co poprosiłeś ich w zamian?

Nie było sensu tego ukrywać. Artem zdziwił się tylko nieprzyjemnie, że Daniła, który miał poinformować go o środkach zdolnych uratować WOGN przed inwazją czarnych, nie wiedział nic o tym zagrożeniu ani o warunkach jego umowy z członkami Rady. Pokrótce wyjaśnił Danile, w czym zawiera się jego kontrakt i jakiej katastrofie stara się zapobiec. Ten wysłuchał go uważnie do samego końca, i kiedy Artem wychodził z namiotu, wciąż jeszcze stał nieruchomo i o czymś myślał.

Młynarz i brodaty stalker czekali już na nich w pełnym rynsztunku bojowym, z maskami przeciwgazowymi i hełmami w rękach. Erkaem miał tym razem drugi żołnierz, zaś sam Młynarz trzymał taki sam automat, jak ten, który trafił się Artemowi. Na szyi wisiał mu noktowizor.

Kiedy Daniła wyszedł z namiotu, razem z Artemem przypatrzyli się sobie nawzajem z dumnymi minami, potem Daniła mrugnął, i obaj się roześmiali. Wyglądali teraz jak wytrawni stalkerzy.

- Udało nam się... Stalkerzy ze dwa lata ganiają nowicjuszy na górę tylko po drewno, zanim ich poślą na poważniejsze zadanie, a my od razu na szczyt! - szepnął Daniła do Artema.

Młynarz spojrzał na nich krytycznie, ale nic nie powiedział, tylko pokazał, żeby szli za nim. Przeszli przez bramę, weszli po schodach i zatrzymali się przed kolejną ścianą z betonowych bloków z małymi drzwiami pokrytymi brązem, której pilnowała wzmocniona warta. Stalker przywitał się ze strażnikami i dał znak, żeby otworzyli. Jeden z żołnierzy wstał z miejsca, podszedł do wyjścia i pociągnął za potężny rygiel. Grube stalowe skrzydło drzwi miękko usunęło się na bok. Młynarz przepuścił całą trójkę przodem, odsalutował wartownikom i wyszedł jako ostatni.

Za drzwiami zaczynała się krótka, mniej więcej trzymetrowa strefa buforowa między ścianą a metalową barierą. Miało tam wartę jeszcze dwóch ciężko uzbrojonych żołnierzy i oficer. Zanim wydał rozkaz podniesienia żelaznej zasłony, Młynarz postanowił poinstruować nowicjuszy.

- A więc tak. Po drodze nie gadać. Wychodziliście kiedykolwiek na górę? Nieważne... Daj plan - zwrócił się do oficera. - Do samego westybulu idziecie za mną krok w krok, nigdzie nie zbaczacie. Na boki się nie oglądać. Żadnych rozmów. Przy wyjściu z westybulu niech wam nie przyjdzie do głowy przechodzić przez bramki, bo wam urwie nogi. Cały czas idziecie za mną, żadnych własnych pomysłów. Potem ja wyjdę na zewnątrz, Dziesiąty - wskazał na brodatego stalkera - zostanie z tyłu, będzie trzymał wejście do stacji. Jeśli będzie czysto, jak tylko znajdziemy się na ulicy, od razu skręcamy w lewo. Na razie nie jest jeszcze bardzo ciemno, więc nie korzystać z latarek na ulicy, żeby nie przyciągnąć uwagi. Czy o Kremlu wszystko wiecie? Będzie po prawej, ale jedną wieżę widać nad domami od razu, kiedy wychodzi się z metra. W żadnym wypadku nie patrzeć na Kreml. Kto popatrzy, dostanie ode mnie z liścia.

„A więc to prawda z tym Kremlem i zasadą stalkerów, żeby na niego nie patrzeć, cokolwiek się zdarzy" - pomyślał wstrząśnięty Artem. Nagle coś mignęło mu w głowie, jakieś urywki myśli, obrazów... Zakotłowało się i ucichło.

- Podchodzimy do Biblioteki. Dochodzimy do drzwi przy schodach. Ja wchodzę pierwszy. Jeśli schody są wolne, Dziesiąty trzyma je na celowniku, my wchodzimy na górę, potem osłaniamy Dziesiątego, teraz on wchodzi. Na schodach nie rozmawiać. Jak zobaczycie niebezpieczeństwo, dajecie sygnał latarką. Strzelać tylko wtedy, kiedy to absolutnie konieczne. Wystrzały mogą ich przyciągnąć.

- Kogo? - nie wytrzymał Artem.

- Jak to kogo? - odpowiedział pytaniem Młynarz. - A kogo spodziewasz się spotkać w Bibliotece? Bibliotekarzy, rzecz jasna.

Daniła przełknął ślinę i zbladł. Artem popatrzył na niego, potem na Młynarza i uznał, że to nie czas na udawanie, że jest wszechwiedzący.

- A kto to jest?

Młynarz podniósł brwi ze zdziwieniem. Jego brodaty kolega zasłonił sobie ręką oczy Daniła patrzył w ziemię. Stalker długo nie spuszczał z Artema pytającego spojrzenia i kiedy wreszcie zrozumiał, że ten nie żartuje, powiedział spokojnie:

- Sam zobaczysz. Zapamiętaj najważniejsze: możesz przeszkodzić im w ataku, jeśli będziesz im patrzył w oczy. Prosto w oczy, rozumiesz? I nie daj się zajść od tyłu... Wszystko, idziemy! - naciągnął maskę, na głowę włożył hełm i pokazał strażnikom skierowany do góry kciuk.

Oficer zrobił krok w kierunku wyłączników i otworzył barierę. Stalowa kurtyna powoli ruszyła w górę. Zaczynało się przedstawienie.

Młynarz machnął ręką, dając znak, że można wychodzić. Artem z podniesionym automatem pchnął przezroczyste drzwi i wyskoczył na ulicę. I choć stalker kazał mu iść za sobą krok w krok i nie zostawać w tyle, usłuchać go było niemożliwością...

...Teraz niebo było zupełnie inne, niż wtedy, kiedy Artem widział je jako mały chłopiec. Zamiast bezgranicznej przezroczystogranatowej przestrzeni, nad głową wisiały mu niskie, gęste szare chmury, i to miękkie sklepienie zaczynało spadać na nich pierwszymi kroplami jesiennego deszczu. Wiał zimny, porywisty wiatr. Artem czuł go nawet przez materiał skafandra ochronnego.

Było tu szokująco, niewyobrażalnie dużo miejsca - i z prawej, i z lewej, i z przodu. Ten nieogarniony przestwór urzekał i jednocześnie budził niepojęta tęsknotę. Przez ułamek sekundy Artem chciał wrócić do westybulu Borowickiej, pod ziemię, poczuć, że jest pod ochroną bliskich ścian, otulić się w bezpieczeństwo i przytulność ograniczonej, zamkniętej przestrzeni. Udało mu się poradzić z tym przytłaczającym uczuciem dopiero kiedy zmusił się do skupienia uwagi na studiowaniu pobliskich domów.

Słońce już zaszło i miasto stopniowo pogrążało się w brudnym półmroku. Na wpół zburzone i nadgryzione przez dziesięciolecia kwaśnych deszczów szkielety niskich domów mieszkalnych patrzyły na przybyszów pustymi oczodołami rozbitych okien.

Miasto... Mroczny i piękny widok. Nie słysząc okrzyków, Artem stał jak zaczarowany, rozglądając się dookoła: mógł wreszcie porównać rzeczywistość ze swoimi snami i podobnymi im mglistymi wspomnieniami z dzieciństwa.

Obok niego zamarł i Daniła, który też pewnie nigdy wcześniej nie wychodził na powierzchnię. Ostatni z westybulu stacji wyszedł Dziesiąty. Próbując zwrócić uwagę Artema, poklepał go po ramieniu i pokazał ręką w prawo, tam gdzie w oddali rysowała się sylwetka uwieńczonego kopułą soboru.

- Popatrz na krzyż - zabrzęczał przez filtry maski przeciwgazowej stalker.

Z początku Artem niczego specjalnego nie dostrzegał, nie zauważył nawet samego krzyża. I dopiero, kiedy od poprzecznej belki z przeciągłym, mrożącym krew w żyłach

wyciem oderwał się skrzydlaty cień, zrozumiał, co Dziesiąty miał na myśli. Parę machnięć skrzydłami i potwór nabrał wysokości, zaczął szybować zataczając szerokie kręgi w poszukiwaniu zdobyczy.

- Mają tam gniazdo - machnąwszy ręką wyjaśnił Dziesiąty - prosto na soborze Chrystusa Zbawiciela.

Przyciskając się do ściany, ruszyli w kierunku wejścia do Biblioteki. Młynarz prowadził grupę, trzymając się kilka kroków z przodu, a Dziesiąty za nimi, na wpół odwrócony, osłaniając tyły. Właśnie dlatego, że obaj stalkerzy na niego nie patrzyli, Artem, jeszcze zanim zrównali się z pomnikiem starca w fotelu, zdążył spojrzeć na Kreml.

Artem nie zamierzał tego robić, ale kiedy zobaczył pomnik, doznał wręcz wstrząsu, i coś mu się rozjaśniło w głowie. Nagle na powierzchnię wypłynął cały fragment jego wczorajszego snu. Ale teraz nie wydawało mu się już, że to był tylko sen: panorama, którą wtedy zobaczył, i kolumnada Biblioteki okazały się podobne jak dwie krople wody do widoku, jaki otwierał się przed nim teraz. Czy to oznaczało, że i Kreml wyglądał tak samo, jak w jego wizjach?

Na Artema nikt nie patrzył, nawet Daniły nie było w pobliżu, został z tyłu, z Dziesiątym. Teraz albo nigdy, powiedział sobie Artem.

Zaschło mu w gardle, w skroniach zaszumiała krew. Gwiazda na wieży naprawdę świeciła.

- Hej, Artem! Artem! - ktoś potrząsał go za ramię.

Odrętwiała świadomość z trudem wracała do życia. W oczy ukłuło go ostre światło latarki. Artem zamrugał i zasłonił się dłonią. Siedział na ziemi, oparty plecami o granitowy cokół pomnika, a nad nim pochylali się Daniła i Młynarz. Obaj z niepokojem patrzyli mu w oczy.

- Źrenice się skurczyły - skonstatował Młynarz. - No, i jak ty to przegapiłeś? - spytał z niezadowoleniem Dziesiątego, który stał kawałek dalej i nie spuszczał oczu z ulicy.

- Za nami coś szeleściło, nie mogłem się odwrócić - tłumaczył się stalker. - Skąd miałem wiedzieć, że on taki sprinter... O mało co, a by w minutę dobiegł do Manežu... I już by nie wrócił. Dobrze nam się nasz bramin sprawił - klepnął Daniłę po plecach.

- Ona świeci - słabym głosem powiedział Artem do Młynarza. - Ona świeci - popatrzył na Daniłę.

- Świeci, świeci - uspokajająco potwierdził ten.

- Mówili ci, żebyś się tam nie patrzył, cymbale? - rzucił ze złością Młynarz, upewniwszy się, że niebezpieczeństwo minęło. - Będziesz się słuchał starszych? - i chlasnął go otwartą ręką w tył głowy.

Hełm nieco złagodził efekt pedagogicznego uderzenia, i Artem nadal siedział na ziemi i mrugał oczami. Kiedy stalker skończył go besztać, chwycił go za ramiona, mocno potrząsnął i postawił na nogi.

Artem stopniowo zaczynał dochodzić do siebie. Zrobiło mu się wstyd za to, że nie mógł się oprzeć pokusie. Stał wpatrzony w czubki swoich butów, nie mając odwagi spojrzeć na Młynarza. Na szczęście ten nie miał czasu prawić morałów. Jego uwagę odciągnął stojący na skrzyżowaniu Dziesiąty.

Gestem przyzwał do siebie towarzysza i, przyłożywszy palec do filtra maski przeciwgazowej, nakazał milczenie. Artem postanowił teraz na wszelki wypadek chodzić wszędzie za Młynarzem i w żadnym wypadku nie odwracać się w stronę tajemniczych wież.

Kiedy podszedł do Dziesiątego, Młynarz też znieruchomiał. Brodacz pokazywał palcem gdzieś daleko, w przeciwnym kierunku niż Kreml, gdzie spróchniałymi zębami rozsypujących się ze starości wieżowców szczerzył się Kalininski Prospekt. Artem podszedł do nich ostrożnie, wyjrzał zza szerokich pleców stalkera i od razu zrozumiał w czym rzecz.

Na samym środku bulwaru, jakieś sześćset metrów od nich, w gęstniejącym mroku rozpoznał trzy nieruchome ludzkie sylwetki. Ludzkie? Przy takiej odległości Artem nie mógł ręczyć, że to rzeczywiście są ludzie, ale wzrostu byli średniego i stali na dwóch nogach. To dawało pewną nadzieję.

- Kto to? - szepnął ochrypłym głosem Artem, starając się przez zapoconą szybkę maski przeciwgazowej samodzielnie odgadnąć w dalekich sylwetkach ludzi albo któryś z tych gatunków, o których zdarzyło mu się słyszeć.

Młynarz pokręcił głową w milczeniu, dając do zrozumienia, że wie tyle samo, co on. Skierował na nieruchome postaci promień latarki i zrobił trzy okrężne ruchy, a potem ją wyłączył. W odpowiedzi w oddali też zabłysła ostra plama światła, opisała trzy kręgi i zgasła.

Napięcie natychmiast opadło, i naelektryzowana atmosfera rozładowała się. Artem wyczuł to jeszcze zanim Młynarz dał mu odpowiedź.

- Stalkerzy - wyjaśnił przewodnik. - Naucz się na przyszłość: trzy kółka latarką to nasz znak rozpoznawczy. Jeśli odpowiadają ci tak samo, możesz śmiało iść w ich kierunku, swojemu krzywdy nie zrobią. Jeśli w ogóle nie świecą, albo świecą nie tak, jak trzeba, bierz nogi za pas. Natychmiast.

- Ale przecież jeśli mają latarkę, to znaczy, że to ludzie, a nie jakieś potwory z powierzchni - zaoponował Artem.

- Nie wiadomo, co gorsze - uciął Młynarz i nic więcej nie wyjaśniając, ruszył po schodach w górę, w kierunku wejścia do Biblioteki.

Ciężkie dębowe drzwi, prawie dwa razy większe od człowieka, poddały się powoli, jakby niechętnie. Histerycznie zazgrzytały zardzewiałe zawiasy. Młynarz wślizgnął się do środka, przyciskając do oczu noktowizor i podtrzymując automat jedną ręką. Po chwili dał znak pozostałym.

Przed nimi widniał długi korytarz, ze skorodowanymi szkieletami żelaznych wieszaków po bokach: kiedyś znajdowała się tu szatnia. W oddali, w dochodzącym z zewnątrz słabym świetle gasnącego dnia, rysowały się białe marmurowe stopnie prowadzących w górę szerokich schodów. Sufit był na wysokości około piętnastu metrów i mniej więcej w połowie można było dostrzec kutą balustradę galerii pierwszego piętra. W holu panowała krucha cisza, wypełniająca się donośnym echem przy każdym kroku.

Ściany westybulu porosły nieco kołyszącym się, jakby oddychającym mchem, a z sufitu zwisały dochodzące prawie do ziemi dziwne, lianopodobne rośliny grubości ludzkiej ręki. Łodygi połyskiwały oleiście w świetle latarek, były pokryte olbrzymimi, szkaradnymi kwiatami, roztaczającymi duszący, otumaniający zapach. One również ledwo zauważalnie się poruszały, i Artem nie podjąłby się stwierdzić, czy porusza nimi wiatr przenikający przez rozbite okna na pierwszym piętrze, czy też przemieszczają się z własnej woli.

- Co to? - dotknąwszy liany, Artem spytał Dziesiątego.

- Zazielenienie... - wycedził ten. - Tak wyglądają rośliny doniczkowe pod wpływem promieniowania. To jest powój. Rozpleniła się roślinka...

Idąc za Młynarzem doszli do schodów i - osłaniani przez Dziesiątego - zaczęli się po nich piąć, przyciskając się do lewej ściany. Idący jako pierwszy stalker nie spuszczał oczu z widocznego z przodu czarnego kwadratu wejścia do innych pomieszczeń, pozostali promieniami latarek oblizywali marmurowe ściany i pokryty rdzawym mchem sufit.

Szerokie marmurowe schody, na których stali, prowadziły na pierwsze piętro westybulu. Między piętrami nie było stropu, przez co oba piętra zlewały się w jedną ogromną przestrzeń. Drugi poziom miał kształt litery U: w centrum był otwór, z którego prowadziły schody, a po bokach znajdowały się podesty z drewnianymi szafkami. Większość z nich była spalona lub przegniła, ale niektóre wyglądały tak, jakby ludzie

korzystali z nich jeszcze wczoraj. Każda z nich posiadała setki malutkich wysuwanych szufladek.

- Kartoteka - rozglądając się nabożnie dookoła, cicho wyjaśnił Daniła. - Z tych szuflad można wróżyć. Wtajemniczeni to potrafią. Po rytuale należy wybrać na ślepo jedną z szaf, potem na chybił trafił wyciągnąć szufladkę i wyjąć dowolną karteczkę. Jeśli rytuał przeprowadzono prawidłowo, to tytuł książki przepowie ci przyszłość, ostrzeże albo zapowie sukces.

Przez sekundę Artem chciał podejść do najbliższej szafki i dowiedzieć się, do którego działu tej kartoteki przeznaczenia trafił. Lecz jego uwagę przykuła gigantyczna pajęczyna rozciągnięta na kilka metrów przy rozbitym oknie, w dalszym kącie pomieszczenia. W cienkich, ale najwidoczniej niezwykle mocnych niciach utkwił pokaźnych rozmiarów ptak, który był jeszcze żywy i ostatkiem sił próbował się wyrwać. Tego czegoś, co uplotło tę potworną sieć, Artem, ku swojej uldze, nie zauważył. Oprócz nich, w przestronnym westybulu nie było żądnych oznak życia.

Młynarz dał wszystkim znak, żeby się zatrzymali.

- Teraz się wsłuchaj - zwrócił się do Artema. - Nie słuchaj tego, co na zewnątrz... Postaraj się usłyszeć, co dźwięczy ci w środku, w głowie. Księga powinna cię przyzwać. Starszyzna braminów uważa, że foliał znajduje się najprawdopodobniej na którymś z pięter Głównego Magazynu Książek. Ale może być gdziekolwiek: w jednej z czytelni, na zapomnianym wózku bibliotekarskim, w korytarzu, na stoliku kierowniczki... Dlatego, zanim spróbujemy dostać się do magazynu, postaraj się uchwycić jej głos tutaj. Zamknij oczy. Rozluźnij się.

Artem zmrużył oczy i zaczął usilnie nasłuchiwać. W pełnej ciemności cisza rozpadła się na dziesiątki cichutkich szmerów: skrzypienie drewnianych półek, wiejące po korytarzach przeciągi, niejasne szelesty, dochodzące z dworu dalekie wycie, dochodzący z czytelni dźwięk podobny do starczego kaszlu... Ale niczego podobnego do wołania, głosu, Artem nie usłyszał. Stał tak nieruchomo pięć, dziesięć minut, na próżno wstrzymując oddech, który mógł przeszkodzić mu wychwycić z mieszaniny dźwięków dochodzących od tych książek głos, który wydawała ta, która żyła...

- Nie - pokręcił głową z poczuciem winy, kiedy wreszcie otworzył oczy. - Nic nie słyszę.

Młynarz nic nie powiedział, milczał też Daniła, ale Artemowi udało się pochwycić jego rozczarowany wzrok, który mówił sam za siebie.

- Być może rzeczywiście jej tu nie ma. A więc idziemy do magazynu. Czy raczej, spróbujemy się tam dostać - postanowił po krótkiej pauzie stalker i dał znać, żeby iść za nim.

Ruszył naprzód, przez szerokie drzwi, z których tylko jedno skrzydło, osmalone po brzegach i porysowane niezrozumiałymi symbolami, trzymało się jeszcze na zawiasach. Za drzwiami było niewielkie okrągłe pomieszczenie z sufitem na wysokości sześciu metrów i czterema wyjściami. Dziesiąty poszedł w ślad za Młynarzem, a Daniła, korzystając z tego, że go nie widzą, podszedł do najbliższej ocalałej szafy, wyciągnął jedną z szufladek, wyjął z niej karteczkę, przebiegł wzrokiem to, co było na niej napisane, a potem skrzywił się z niedowierzaniem i wsunął ją do kieszeni na piersi. Widząc, że Artem wszystko zobaczył, przyłożył konspiracyjnie palec do ust i pośpieszył za stalkerami.

Ściany okrągłego pokoju też były pokryte rysunkami i napisami, a w kącie stała zapadnięta kanapa z pociętym obiciem ze skaju. W jednym z czterech przejść na podłodze leżał przewrócony stojak na książki, z którego wypadło kilka broszur.

- Niczego nie dotykać! - ostrzegł Młynarz.

Dziesiąty ze skrzypnięciem sprężyn usiadł na kanapie. Daniła poszedł w jego ślady. Artem wpatrywał się jak zaczarowany w rozrzucone po podłodze książki.

- Nikt ich nie rusza... - mruknął. - U nas na stacji trzeba pryskać bibliotekę trutką na szczury, inaczej wszystko by zjadły... A tu nie ma tych drani? - spytał, znów przypominając sobie słowa Burbona, że niepokoić się należy nie kiedy roi się od szczurów, a kiedy nie ma ich wcale.

- Jakie znowu szczury? Co ty gadasz? - skrzywił się z niezadowoleniem Młynarz. - Skąd tu szczury? Tamci zeżarli wszystkie szczury ze sto lat temu...

- Kto? - spytał zakłopotany Artem.

- Jak to kto? Bibliotekarze, oczywiście - wyjaśnił Dziesiąty.

- Czyli to są zwierzęta, nie ludzie? - spytał Artem.

- Nie zwierzęta, to na pewno - pokręcił głową w zadumie stalker i umilkł.

Znajdujące się w głębi jednego z korytarzy masywne drewniane drzwi nagle przeciągle skrzypnęły. Obaj stalkerzy błyskawicznie rzucili się w różne strony, kryjąc się za kolumnami umieszczonymi przy wyjściu. Daniła zsunął się z kanapy na ziemię i przeczołgał na bok. Artem poszedł za jego przykładem.

- Tam dalej jest Czytelnia Główna - szepnął mu bramin. - Czasem się tam pojawiają...

- Wystarczy tego gadania! - przerwał mu ze złością Młynarz. - Co ty, nie wiesz, że bibliotekarze nie znoszą hałasu? Że działa na nich jak płachta na byka? - Zaklął i wskazał Dziesiątemu wejście do Czytelni.

Ten kiwnął głową. Przyciskając się do ścian, zaczęli powoli iść w kierunku ogromnych dębowych drzwi. Artem i Daniła nie odstępowali ich na krok. Pierwszy do środka wszedł Młynarz.

Przylgnął plecami do jednego ze skrzydeł, podniósł automat lufą do góry, zrobił głęboki wdech i wydech i szybkim ruchem popchnął drzwi ramieniem, jednocześnie celując w otwierającą się czarną czeluść Czytelni Głównej.

Po chwili wszyscy byli w środku. Czytelnia okazała się być pomieszczeniem niewiarygodnych wręcz rozmiarów, ze sklepieniem wznoszącym się na wysokość dwudziestu metrów. Podobnie jak w westybulu, z sufitu zwisały ciężkie, grube liany z kwiatami.

Taką samą potworną winoroślą były pokryte ściany sali. Na każdej z nich znajdowało się po sześć olbrzymich okien, przy czym w kilku z nich zachowała się jeszcze część szyb. Mimo to, światło było bardzo skąpe: promienie księżyca z trudem przebijały się przez gęste sploty połyskujących oleiście pnączy.

Po lewej i prawej stronie kiedyś widocznie rozpościerały się rzędy stołów, przy których siedzieli czytający. Większą część z nich wyniesiono, niektóre zostały spalone lub połamane, ale jeszcze z dziesięć stołów pozostało nietkniętych: te, które stały bliżej przeciwległej, ozdobionej popękanym panneau ściany, na samym środku której wznosiła się słabo widoczna w półmroku rzeźba. Wszędzie były poprzykręcane plastikowe tabliczki z napisem: „Uprasza się o ciszę".

Cisza, która tu panowała, była zupełnie inna niż w westybulu. Tutaj była tak gęsta, że wydawało się, że można by ją było kroić. Wypełniała jakby sobą całą tę gigantyczną salę i strach było ją naruszać.

Stali tak, oświetlając latarkami przestrzeń przed sobą, aż Młynarz podsumował: - Pewnie wiatr...

Ale w tej samej chwili Artem zauważył szary cień, który mignął przed nim, między dwoma połamanymi stołami i zniknął w czarnym wyłomie między regałami. Dostrzegł go również Młynarz. Przyłożył do oczu noktowizor, podniósł automat i ostrożnie stąpając po zarosłej mchem posadzce, zaczął zbliżać się do tajemnego przejścia.

Dziesiąty podążył za nim. Artem z Daniłą, chociaż dali im znak, żeby zostali, nie wytrzymali i też poszli za stalkerami: zbyt się bali, żeby stać przy wejściu samotnie. Przy

tym Artem nie mógł się powstrzymać, żeby nie obrzucić zachwyconym spojrzeniem sali, w której wciąż zachowały się oznaki jej dawnej wspaniałości. Uratowało to życie nie tylko jemu, ale również pozostałym.

Na wysokości kilku metrów, na całym obwodzie pomieszczenie opasywała galeria: wąskie przejście ogrodzone drewnianą balustradą. Można było z niej wyjrzeć przez okno, poza tym w ścianie, pod którą stali, i w przeciwległej, po obu stronach zabytkowego panneau, były drzwi do pomieszczeń służbowych. Na galerię można było wejść dwiema parami schodów, schodzącymi z dwóch stron do posągu czytającego, takie same stopnie prowadziły w górę od wejścia.

I teraz właśnie po tych schodach, do których jeszcze przed chwilą byli ustawieni plecami, powoli i bezszelestnie schodziły przygarbione szare postaci. Było ich ponad dziesięć: ledwo widoczne w półmroku stwory, z których każdy byłby wzrostu Artema, gdyby nie zginał się prawie wpół, tak że długie przednie łapy, porażająco przypominające ludzkie ręce, omal nie sięgały podłogi. Poruszały się te istoty na tylnych łapach, człapiąc jak kaczki, ale przy tym zadziwiająco zwinnie i bezdźwięcznie. Z daleka najbardziej przypominały goryle z podręcznika do biologii, z którego ojczym próbował uczyć Artema, kiedy był dzieckiem.

Na wszystkie te obserwacje Artem miał nie więcej niż sekundę. Jak tylko światło latarki padło na jedną ze zgarbionych postaci, rzucając na ścianę za nią wyrazisty czarny cień, ze wszystkich stron rozległ się diabelski jazgot, i stwory, nie próbując się już ukrywać, rzuciły się na dół.

- Bibliotekarze! - krzyknął ze wszystkich sił Daniła.

- Na ziemię! - nakazał Młynarz.

Artem i Daniła rzucili się na podłogę. Nie decydowali się strzelać, pamiętając ostrzeżenie stalkera, że strzały, jak wszystkie głośne dźwięki, przyciągają i rozdrażniają bibliotekarzy. Ich rozterki rozwiał podbiegając i padając obok nich na ziemię Młynarz, który jako pierwszy otworzył ogień. Kilka stworów ryknęło i runęło w dół, inne co tchu umknęły w ciemność, ale tylko po to, żeby podkraść się bliżej: po kilku chwilach jeden z potworów nieoczekiwanie pojawił się zaledwie dwa metry od nich i długim skokiem próbował wgryźć się Dziesiątemu w gardło. Ten, padając na ziemię, zdołał go przedziurawić krótką serią.

- Uciekajcie stąd! Wracajcie do okrągłego pokoju i spróbujcie przebić się do magazynu! Bramin powinien wiedzieć, jak tam się idzie, uczą ich tego! My tu zostaniemy, osłonimy was i spróbujemy ich odeprzeć - rozkazał Młynarz Artemowi i nie zwracając już na niego uwagi, poczołgał się do swojego towarzysza.

Artem dał Danile znak, i obaj, schyleni niemal do ziemi, rzucili się do wyjścia. Jeden z bibliotekarzy wyskoczył im z ciemności na spotkanie, ale natychmiast zmiótł go grad ołowiu: stalkerzy nie spuszczali chłopców z oka.

Kiedy Daniła wyskoczył z Czytelni Głównej, rzucił się z powrotem do westybulu, skąd przyszli. Artemowi przemknęła przez głowę myśl, że jego towarzysz tak przestraszył się bibliotekarzy, że próbuje uciec. Ale Daniła nie wbiegł na schody prowadzące do wyjścia. Minąwszy je, pomknął obok ocalałych szafek kartoteki w kierunku przeciwległego krańca holu.

Tam pomieszczenie się zwężało i kończyło trzema parami podwójnych drzwi - na wprost i po bokach. Prawe prowadziły na schody, na których panowała absolutna ciemność. Tu bramin wreszcie się zatrzymał i złapał oddech. Artem dogonił go dopiero po kilku sekundach - zupełnie nie spodziewał się po swoim koledze takiej szybkości. Obaj zamarli i zaczęli nasłuchiwać. Z Czytelni dochodziły wystrzały i krzyki, starcie wciąż trwało. Kto będzie w nim górą, było niejasne i nie mogli tracić czasu w oczekiwaniu na rozstrzygnięcie.

- Po co przybiegliśmy tutaj z powrotem? Czemu na początku szliśmy w drugą stronę? - spytał, łapiąc oddech, Artem.

- Nie wiem dokąd oni nas prowadzili - wzruszył ramionami Daniła. - Może zamierzali iść inną drogą. Nas starsi uczyli tylko jednej, i ona prowadzi do magazynu właśnie z tej strony westybulu. Teraz po schodach piętro wyżej, potem korytarzem, znów po schodach, potem przez zapasową kartotekę, i jesteśmy w magazynie.

Skierował automat w ciemność i wszedł na klatkę schodową. Artem poszedł za nim, oświetlając sobie drogę latarką.

Pośrodku schodów znajdował się zagłębiony na jakieś trzy piętra w dół i drugie tyle w górę szyb windy. Kiedyś widocznie był oszklony, z żelaznego szkieletu miejscami jeszcze teraz sterczały ostre szklane odłamki, matowe od nawarstwionego przez dziesięciolecia kurzu. Kwadratową studnię szybu otaczały podgniłe drewniane stopnie schodów, pokryte tłuczonym szkłem, łuskami pocisków i zaschniętymi kupkami czyichś odchodów. O poręczach nie było nawet mowy, i Artem musiał zbliżyć się do ściany i uważnie patrzyć pod nogi, żeby nie poślizgnąć się i nie spaść w przepaść.

Weszli piętro wyżej i znaleźli się w niewielkim kwadratowym pomieszczeniu. Stąd też były trzy wyjścia, i Artem zaczął zdawać sobie sprawę, że bez przewodnika trudno byłoby mu się wydostać z tego labiryntu. Lewe drzwi prowadziły do szerokiego ciemnego korytarza, którego końca nie sięgał promień latarki. Prawe były zamknięte i z jakiegoś powodu zabite deskami, zaś na ścianie obok nich ktoś napisał sadzą: „Nie otwierać! Śmiertelne niebezpieczeństwo!”.

Daniła poprowadził Artema przez środkowe, wychodzące pod kątem drzwi, za którymi był jeszcze jeden korytarz, węższy i pełen kolejnych drzwi. Przez niego bramin szedł już nie tak zdecydowanie, często się zatrzymywał i nasłuchiwał. Podłoga była tu wyłożona parkietem, a na pomalowanych na żółto ścianach, jak wszędzie indziej w Bibliotece, wisiały złowieszcze tabliczki: „Uprasza się o ciszę”. Za tymi drzwiami, które były otwarte, widniały pokoje pełne spustoszonych regałów. Zza tych zamkniętych czasem dochodziły szmery, raz nawet Artemowi wydało się, że usłyszał kroki. Sądząc po minie jego towarzysza, nie zapowiadało to niczego dobrego, i obaj oddalili się stamtąd jak mogli najszybciej.

Potem, tak jak zapowiadał Daniła, po prawej pojawiło się wejście na kolejną klatkę schodową. W porównaniu z ciemnością panującą w korytarzach, było tu w miarę jasno - w ścianach, na każdym półpiętrze, były okna. Z wysokości piątego piętra było przez nie widać dziedziniec, budynki gospodarcze, osmalone szkielety jakichś urządzeń. Jednak Artem nie zdołał dłużej poobserwować podwórka: zza rogu budynku, w którym się znajdowali, wynurzyły się dwie kołyszące się szare postaci. Powoli ruszyły przez dziedziniec, jakby czegoś szukając. Niespodziewanie jedna z nich stanęła, podniosła głowę i, jak wydało się Artemowi, spojrzała prosto w okno, przez które patrzył. Artem odskoczył i ukucnął. Nie musiał mówić swojemu towarzyszowi o co chodzi, ten sam wszystko zrozumiał.

- Bibliotekarze? - szepnął przestraszonym głosem i też się schylił, żeby nie było go widać z zewnątrz.

Artem kiwnął głową w milczeniu. Daniła nie wiadomo po co przetarł ręką plastikową szybkę swojej maski przeciwgazowej, tak jakby mógł w ten sposób osuszyć spocone ze zdenerwowania czoło, potem zebrał myśli i ruszył po schodach na górę, ciągnąc za sobą Artema. Pół piętra w górę, potem znów kręte korytarze... Wreszcie, bramin zatrzymał się niezdecydowany przed kilkoma parami drzwi.

- Tego miejsca w ogóle nie pamiętam - powiedział w rozterce. - Powinno tu być wejście do zapasowej kartoteki. Ale nikt nam nie mówił, że przejść jest kilka.

Zamyślił się, potem nieśmiało nacisnął klamkę pierwszych drzwi. Były zamknięte. Podobnie jak i pozostałe wyjścia. Daniła, nic nie rozumiejąc, jakby nie mogąc uwierzyć, pokręcił głową i nacisnął wszystkie klamki jeszcze raz. Po nim spróbował i Artem, ale też bezskutecznie.

- Zamknięte - skonstatował z rozpaczą w głosie.

Daniła nagle zaczął się trząść, tak że Artem, patrząc na niego z przestrachem, na wszelki wypadek cofnął się od niego o krok. Ale ten po prostu się śmiał.

- A spróbuj zapukać! - zaproponował Artemowi i, westchnąwszy, dodał: - Przepraszam, chyba już popadam w histerię.

Artem poczuł, jak jego też ogarnia bezsensowny śmiech. Wyładowywał napięcie, które nawarstwiało się w nim przez ostatnią godzinę, i choć starał się powstrzymać, głupawy chichot wyrwał mu się z ust. Jakąś minutę obaj stali oparci plecami o ścianę i chichotali.

- Zapukaj! - powtórzył Artem, trzymając się za brzuch i żałując, że nie może zdjąć maski i otrzeć łez.

Podszedł do najbliższych drzwi i trzy razy stuknął w drewno kostkami palców.

Po chwili trzy głuche uderzenia rozległy się w odpowiedzi z drugiej strony. Artemowi błyskawicznie zaschło w gardle, serce szaleńczo zabiło mu w piersi. Za drzwiami ktoś stał, słysząc ich śmiech i czekając. Na co? Daniła rzucił mu oszalałe ze strachu spojrzenie i cofnął się. Z drugiej strony drzwi ktoś znów zapukał, głośniej i bardziej natarczywie.

I wtedy Artem zrobił to, czego kiedyś nauczył go Suchy. Odepchnął się od ściany i kopnął nogą w zamek sąsiednich drzwi. Nie liczył na to, że mu się uda, ale drzwi rozwarły się z trzaskiem. Metalowy mechanizm zamka został wyrwany z korzeniami ze spróchniałego drewna.

Mieszczące się bezpośrednio za drzwiami pomieszczenie niczym nie przypominało innych pokojów i korytarzy w Bibliotece, przez które dzisiaj szli. Z jakiegoś powodu było tu bardzo wilgotno i duszno, a w świetle latarek było widać, że niewielka salka gęsto porosła dziwnymi roślinami. Grube łodygi, ciężkie połyskliwe liście, mieszanka zapachów na tyle silna, że przebijała się nawet przez filtry maski przeciwgazowej, podłoga pokryta splotami korzeni i pnączy, kolce, kwiaty... Korzenie niektórych z nich wychodziły z ocalałych, lub rozbitych doniczek. Znane im już liany oplatały i podtrzymywały rzędy drewnianych szafek, takich samych, jak w wielkim holu, ale na wskroś przegniłych z powodu wysokiej wilgotności. Stało się to jasne, jak tylko Daniła spróbował wyciągnąć jedną z szufladek.

- Zapasowa kartoteka - oznajmił Artemowi z westchnieniem ulgi. - Teraz już niedaleko.

Za nimi znów dało się słyszeć pukanie do drzwi, a potem ktoś ostrożnie, jakby sprawdzając, nacisnął na klamkę. Rozsuwając lufami karabinów liany i starając się nie potknąć o pełzające po podłodze korzenie, starali się jak najszybciej przedostać przez złowieszczy tajemniczy ogród ukryty w głębinach Biblioteki. Po drugiej stronie sali znajdowały się jeszcze jedne drzwi, tym razem otwarte. Ostatni korytarz, i w końcu się zatrzymali.

Byli w magazynie, czuło się to od razu. W powietrzu wisiał książkowy pył; biblioteka spokojnie oddychała, ledwo słyszalnie szeleszcząc miliardami stronic. Artem popatrzył dookoła, i wydało mu się, że czuje ulubiony w dzieciństwie zapach starych książek. Spojrzał pytająco na Daniłę.

- Dobra, jesteśmy - potwierdził ten i dodał z nadzieją w głosie: - No, i jak?

- No, tak... Strasznie - przyznał Artem, nie domyśliwszy się z początku, czego ten od niego chce.

- Nie słyszysz Księgi? - uściślił bramin. - Tutaj jej głos powinien być wyraźniejszy.

Artem zamknął oczy i spróbował się skoncentrować. W głowie miał dźwięczącą pustkę, niczym w opuszczonym tunelu. Stojąc tak przez chwilę, znów zacząć wyróżniać ciche szelesty, które wypełniały budynek Biblioteki, ale niczego, co by przypominało głos, zew, nie udało mu się usłyszeć. Co gorsza, kompletnie niczego też nie czuł, i nawet przy

założeniu, że głos, o którym mówił Daniła, mógł być bodźcem zupełnie innego rodzaju, nic to nie zmieniało.

- Nie, nic nie słychać - rozłożył ręce.

- Dobra... - westchnął po chwili milczenia Daniła. - Pójdziemy na drugi poziom, jest ich tu dziewiętnaście. Będziemy szukać aż znajdziemy. Lepiej żebyśmy nie wrócili z pustymi rękami.

Wyszli na schody służbowe i po betonowych stopniach wspięli się kilka pięter wyżej, zanim spróbowali szczęścia jeszcze raz. Na tym poziomie wszystko przypominało miejsce, w którym byli na początku: średnich rozmiarów pomieszczenie z przeszklonymi oknami, kilka biurek, zwykła już roślinność na suficie i w kątach pokoju i dwa prowadzące w różne strony korytarze, wypełnione niekończącymi się rzędami regałów z książkami po obu stronach wąskiego przejścia. Strop, zarówno w pokoju, jak i w korytarzach, był niski, nieco powyżej dwóch metrów, i po niewiarygodnym ogromie westybulu i Czytelni Głównej wydawało się, że nie tylko przecisnąć się między podłogą a sufitem, ale i oddychać jest tu trudniej. Regały były gęsto zastawione tysiącami przeróżnych książek, przy czym wiele z nich wyglądało na zupełnie nietknięte i świetnie zachowane - najwyraźniej bibliotekę zbudowano tak, że nawet kiedy porzucili ją ludzie, zachował się w niej wyjątkowy mikroklimat.

Od tak bajecznego bogactwa Artem przez chwilę nawet zapomniał, po co tu przyszedł, i zagłębił się w jedno z przejść między regałami, oglądając grzbiety tomów i z czcią przesuwając po nich palcami. Myśląc, że jego kolega usłyszał to, po co się tutaj wybrali, Daniła z początku mu nie przeszkadzał, ale w końcu zrozumiał w czym rzecz, dość brutalnie złapał Artema za rękę i pociągnął dalej.

Trzy, cztery, sześć korytarzy, sto, dwieście regałów, tysiące tysięcy książek, wycięte z ciemności magazynu przez żółtą plamę światła, kolejne piętro, jeszcze jedno...

Wszystko na nic. Artem nie czuł kompletnie nic, co można by było wziąć za głos, za wołanie. Kompletnie nic niezwykłego. Przypomniał sobie, że choć bramini na posiedzeniu Rady Polis uznali go za wybrańca obdarzonego wyjątkowym darem, prowadzonego przez przeznaczenie, to wojskowi mieli własne wyjaśnienie jego wizji: halucynacje.

Na najwyższych piętrach zaczął coś wyczuwać, ale zupełnie nie to, czego oczekiwał i chciał. Było to niejasne poczucie czyjejś obecności, podobne nieco do znanego mu aż za dobrze strachu tuneli. Chociaż wszystkie poziomy, na których byli, wydawały się zupełnie opuszczone i nie było na nich widać ani śladu bibliotekarzy czy jakichkolwiek innych istot, to właśnie tutaj miał cały czas ochotę się odwrócić, wydawało mu się, że zza półek z książkami ktoś ich uważnie obserwuje...

Daniła pociągnął go za ramię i skierował latarkę na swój but. Długie sznurowadło, którego bramin nie potrafił porządnie zawiązać, ciągnął się za nim po podłodze.

- Na razie zawiążę, zobacz, co tam z przodu, może jednak ją usłyszysz - szepnął i ukucnął.

Artem kiwnął głową i powoli ruszył dalej, krok za krokiem, co chwilę oglądając się na Daniłę. Ten się grzebał: zawiązywanie śliskiego sznurowadła palcami w grubych rękawicach nie było łatwe. Podążając naprzód, Artem oświetlił najpierw otwierający się z prawej niekończący rząd regałów, potem szybkim ruchem przesunął promień latarki w lewo, usiłując dojrzeć wśród rzędów zakurzonych i poskręcanych upływem czasu książek zgarbione szare cienie bibliotekarzy. Oddaliwszy się od swojego towarzysza o jakieś trzydzieści metrów, Artem nagle wyraźnie usłyszał szmer jakieś dwa rzędy regałów przed nim. Automat był już odbezpieczony, i z latarką przyciśniętą do lufy, Artem jednym skokiem znalazł się w tym korytarzu, gdzie, według jego obliczeń, ktoś się chował.

Dwa rzędy zbiegających się perspektywicznie półek aż po sufit wypełnionych książkami. Pusto. Promień latarki przeskoczył w lewo - a może to tam, z przeciwnej strony tego niekończącego się korytarza, schował się wróg? Pusto.

Artem wstrzymał oddech, starając się usłyszeć najmniejszy szmer. Nic, tylko nieuchwytny szelest stron. Wrócił do przejścia i poświecił tam, gdzie męczył się ze sznurowadłami Daniła. Pusto. Pusto?!

Nie patrząc którędy biegnie rzucił się z powrotem. Plama światła jego latarki szaleńczo skakała od lewej do prawej, wyławiając z mroku kolejne identyczne rzędy półek. Gdzie on wtedy został? Trzydzieści metrów... Mniej więcej trzydzieści metrów, powinien być tutaj... Nikogo. Gdzie on mógł się podziać, bez uprzedzenia? Jeśli go zaatakowali, czemu nie stawiał oporu? Co się wydarzyło? Co z nim się mogło stać?

Nie, wrócił już za daleko. Daniła powinien być o wiele bliżej... Ale nigdzie go nie było! Artem poczuł, że przestaje zdawać sobie sprawę z tego, co robi, że zaczyna go ogarniać panika. Stojąc w miejscu, gdzie zostawił sznurującego but Daniłę, Artem oparł się bezsilnie o bok regału, gdy z głębi korytarza między półkami usłyszał cichy nieludzki głos, przechodzący w przerażający skrzek:

- Artem...

Dusząc się ze strachu, nic prawie nie widząc przez zapocone szkła maski przeciwgazowej, Artem gwałtownie odwrócił się w kierunku, z którego go przyzywano, i próbując uchwycić korytarz w drżącym celowniku karabinu, ruszył naprzód.

- Artem...

Teraz głos był już bardzo blisko. Niespodziewanie, przez półki przebiła się cienka strużka światła, przenikającego między luźniej ułożonymi książkami tuż nad ziemią. Światło przesuwało się w przód i w tył, zupełnie jakby ktoś wodził latarką od lewej do prawej, od lewej do prawej... Artem usłyszał pobrzękiwanie metalu.

- Artem... - tym razem był to prawie niesłyszalny, ale zwykły ludzki szept, i głos niewątpliwie należący do Daniły.

Artem z radością zrobił duży krok naprzód, oczekując, że ujrzy swojego towarzysza, i wtedy dwa kroki od niego rozległ się ten złowieszczy gardłowy skrzek, który słyszał na początku. Promień latarki nadal błądził bezmyślnie po podłodze, tam i z powrotem.

- Artem... - przyzwał go teraz ten dziwny głos.

Artem zrobił jeszcze jeden krok, spojrzał w prawo i poczuł, jak od tego, co zobaczył, włosy stanęły mu dęba na głowie.

Rząd półek się tu urywał, i w utworzonej przez to niszy, na podłodze, siedział w kałuży krwi Daniła. Jego hełm i maska, zerwane z głowy, walały się w oddali. Chociaż twarz miał bladą jak trup, otwarte oczy patrzyły świadomie, usta starały się złożyć jakieś słowa. A za jego plecami, na wpół zlana z ciemnością, kryła się szara, przygarbiona postać. Długa, porosła szorstką srebrzystą sierścią, koścista ręka - nie łapa, a właśnie ręka - z potężnymi, zagiętymi pazurami, w zadumie turlała tam i z powrotem upuszczoną latarkę, leżącą pół metra od Daniły. Druga była zagłębiona w rozprutym brzuchu bramina.

- Przyszedłeś... - wyszeptał Daniła.

- Przyszedłeś... - wiernie naśladując ton jego głosu, zaskrzeczał głos za jego plecami.

- Bibliotekarz... Jest za mną. Ze mną tak czy inaczej koniec. Strzelaj, zabij go - poprosił słabym głosem Daniła.

- Strzelaj, zabij go - powtórzył cień.

Latarka kolejny raz potoczyła się nieśpiesznie w lewo, żeby wrócić na miejsce i powtórzyć cały cykl jeszcze raz. Artem poczuł, że traci zmysły. W głowie huczały mu słowa Młynarza o tym, że dźwięki wystrzałów mogą przyciągnąć te koszmarne stwory.

- Uciekaj - poprosił bibliotekarza, nie oczekując zresztą, że ten go zrozumie.

- Uciekaj - usłyszał prawie uprzejmą odpowiedź, a koścista ręka znów poruszyła się w brzuchu Daniły, od czego ten cicho jęknął, a z kącika ust grubą kreską pociekła mu na brodę kropla krwi.

- Strzelaj! - zebrawszy siły, nieco głośniej powiedział Daniła.

- Strzelaj! - zażądał bibliotekarz zza jego pleców.

Zabić swojego nowego przyjaciela i przyciągnąć w ten sposób inne potwory, czy zostawić tu Daniłę na śmierć i uciekać, póki nie jest za późno? Raczej nie uda się go uratować: rozpruty brzuch i wypływające wnętrzności dawały braminowi mniej niż godzinę.

Zza odrzuconej do tyłu głowy Daniły ukazało się najpierw spiczaste ucho, a po nim ogromne zielone oko iskrzące się w świetle latarki. Bibliotekarz powoli, jakby wstydliwie, wyjrzał zza jego umierającego towarzysza, i jego wzrok szukał oczu Artema. Nie odwracać się. Patrzeć prosto tam, prosto na niego, prosto w oczy... Zwierzęce, pionowe źrenice. I jak dziwnie było ujrzeć w tych strasznych, niemożliwych do zniesienia oczach przebłyski rozumu!

Teraz, z bliska, bibliotekarz niczym już nie przypominał goryla, i w ogóle małpy. Jego pysk drapieżnika porastała sierść, pełna długich kłów paszcza była szeroka prawie od ucha do ucha, a oczy były tak wielkie, że stwór nie przypominał żadnego ze zwierząt, które Artem kiedykolwiek widział, żywe czy na obrazku.

Wydawało mu się, że trwa to całą wieczność. Napotkawszy wzrok potwora, nijak już nie mógł oderwać się od jego oczu. I dopiero kiedy Daniła wydał przeciągły głuchy jęk, Artem oprzytomniał, nakierował maleńką czerwoną plamkę celownika prosto na niskie, porosłe szarą sierścią czoło bibliotekarza, i przełączył automat na ogień pojedynczy. Słysząc cichy metaliczny trzask, stwór gniewnie syknął i znów schował się za plecami Daniły.

- Uciekaj... - zaskrzeczał nagle stamtąd, wiernie powtarzając intonację usłyszanego od Artema słowa.

Artem znieruchomiał, czując że wariuje. Tym razem bibliotekarz nie odpowiedział jak echo na jego słowa, on jakby je zapamiętał, zrozumiał sens. Czy to możliwe?

- Artem... Póki jeszcze mogę mówić... - zebrawszy siły i próbując skupić z każdą chwilą coraz bardziej zamglony wzrok, powiedział Daniła. - Mam w kieszeni na piersi kopertę... Powiedzieli, żebym ci przekazał, jeśli znajdziesz Księgę...

- Ale niczego nie znalazłem - pokręcił głową Artem.

- Niczego nie znalazłem - potwierdził straszny głos zza pleców Daniły.

- Nieważne... Przecież wiem, czemu się zgodziłeś. Nie chciałeś nic dla siebie... Może ci to pomoże. A mnie już wszystko jedno, czy wypełnię rozkazy czy nie... Najważniejsze, pamiętaj: nie możesz już iść do Polis... Jeśli się dowiedzą, że niczego nie mogłeś znaleźć... I wojskowi, jeśli oni się dowiedzą... Idź przez inne stacje. Teraz strzelaj, bardzo mnie boli... Ja już nie chcę...

- Nie chcę... Boli... - mieszając słowa, ze świstem powtórzył za nim bibliotekarz, i jego ręka gwałtownie poruszyła się w rozprutym brzuchu Daniły, od czego ten szarpnął się konwulsyjnie i krzyknął prawie na cały głos.

Artem nie mógł na to więcej patrzeć. Plunął na środki ostrożności, z powrotem przełączył na ogień ciągły, zamknął oczy i nacisnął na spust puszczając serię w przyjaciela i siedzącą za jego plecami bestię.

Nieoczekiwanie głośny huk rozerwał na strzępy ciszę Biblioteki, po nim zabrzmiał przeraźliwy skowyt, po czym wszystkie dźwięki się urwały; zakurzone książki pochłonęły ich echo niczym gąbka. Kiedy Artem znów otworzył oczy, było już po wszystkim.

Podchodząc na krok do bibliotekarza, który opuścił roztrzaskaną przez kule głowę na ramię swojej ofiary i nawet po śmierci lękliwie chował się za jej plecami, Artem oświetlił ten przerażający widok, czując jak krew stygnie mu w żyłach, a dłonie pocą się ze strachu.

Potem popchnął z obrzydzeniem bibliotekarza czubkiem buta, i ten ciężko opadł do tyłu. Był martwy, nie było żadnych wątpliwości.

Starając się nie patrzeć na obróconą w krwawą miazgę twarz Daniły, Artem zaczął pośpiesznie rozpinać suwak jego skafandra. Ubranie szybko nasiąkało gęstą, czarną krwią, która w chłodnym powietrzu magazynu lekko parowała. Artem poczuł jak zaczyna go mdlić. Kieszeń na piersi... Palce w grubych rękawicach ochronnych niezdarnie próbowały rozpiąć guzik, i przypomniał sobie, że te same rękawiczki być może zatrzymały Daniłę na minutę, która kosztowała go życie.

Z oddali wyraźnie dobiegł go szmer, potem człapanie bosych stóp po korytarzu. Artem odwrócił się nerwowo, obwiódł promieniem latarki przejścia i, upewniwszy się, że blisko niego na razie nikogo nie ma, dalej walczył z guzikiem. Ten wreszcie się poddał, i w głębi kieszeni udało mu się wymacać sztywnymi palcami cienką kopertę z szarego papieru, zawiniętą w przedziurawioną pociskiem plastikową torebkę.

Oprócz niej, Artem znalazł w kieszeni zalany krwią tekturowy prostokącik, pewnie ten sam, który Daniła wyciągnął z szuflady kartoteki w westybulu. Było na nim wydrukowane: „Sznurkow N.E., *Irygacja i perspektywy rolnictwa w Tadżyckiej Republice Sowieckiej,* Duszanbe 1965".

Człapanie i niewyraźne pomruki było teraz słychać zupełnie blisko. Nie było już czasu. Podniósłszy automat i latarkę Daniły, wypuszczoną przez bibliotekarza, Artem zerwał się z podłogi i nie patrząc niemal gdzie idzie, rzucił się z powrotem, wzdłuż niekończących się półek z książkami, tak szybko, jak tylko mógł. Nie miał pewności, czy go ścigają: tupot własnych butów i huczenie krwi w uszach nie pozwalały mu słyszeć dźwięków dobiegających zza jego pleców.

Dopiero kiedy wyskoczył na klatkę schodową i popędził na złamanie karku w dół po betonowych stopniach, przypomniał sobie, że nie wie nawet na którym piętrze znajduje się wejście, przez które dostali się do magazynu. Można było oczywiście zejść na parter, wybić szybę na klatce schodowej, wyskoczyć przez okno na zewnątrz... Artem zatrzymał się na moment i wyjrzał na dwór.

Pośrodku dziedzińca, z pyskami zadartymi do góry, stało nieruchomo i patrzyło w okna - i to, zdaje się, prosto na niego - kilka szarych potworów. Artem skamieniał, przylgnął do bocznej ściany, i zaczął po cichu schodzić dalej. Teraz, kiedy przestał już stukać butami po schodach, usłyszał, jak na górze, człapią po betonie czyjeś bose stopy, coraz głośniej i głośniej. I wtedy, już zupełnie tracąc nad sobą panowanie, znów na łeb na szyję rzucił się w dół.

Zbiegając na kolejne piętro, żeby gorączkowo szukać znajomo wyglądających drzwi, nie znajdując ich i biegnąc dalej, zamierając i wciskając się w ciemne kąty, kiedy wydawało mu się, że w pobliżu słyszy czyjeś kroki, rozglądając się rozpaczliwie wśród głuchych i niskich korytarzy i wracając na schody, żeby zbiec jeszcze piętro niżej albo wbiec dwa poziomy wyżej - a nuż przegapił? - rozumiejąc, że piekielny hałas, który robił, desperacko próbując znaleźć wyjście z tego labiryntu, przyciągnie wszystkie zaludniające Bibliotekę potwory, ale nie będąc na siłach, żeby zmusić się do uspokojenia, Artem bezsensownie i bezskutecznie próbował odnaleźć wyjście. Dopóki po kolejnym powrocie na klatkę schodową nie dostrzegł z przerażeniem na tle wybitego okna znajomej zgiętej w pół sylwetki.

Artem wycofał się, wskoczył w pierwszy lepszy korytarz, przycisnął się plecami do ściany, skierował lufę w otwarte drzwi, w których, jak oceniał, powinien pojawić się bibliotekarz, i wstrzymał oddech...

Cisza. Bestia albo nie zdecydowała się ścigać go samotnie, albo sama czekała aż Artem popełni błąd i wyjdzie ze swojego ukrycia. Ale nie trzeba było wracać, korytarz

prowadził dalej. Po chwili zastanowienia Artem zaczął oddalać się od przejścia, nie spuszczając go z celownika.

Korytarz skręcał w bok, ale w miejscu, gdzie zaczynał się zakręt, w ścianie tkwił czarny otwór drzwi, a wszystko dookoła było zasypane odłamkami cegieł i przyprószone tynkiem. Kierując się impulsem Artem wszedł do środka i znalazł się w pokoju pełnym połamanych mebli. Na podłodze były porozrzucane kawałki taśmy fotograficznej i filmowej. Przed nim widniały uchylone drzwi, zza których na posadzkę padał wąski klin bladego światła księżyca. Ostrożnie stąpając po zdradziecko skrzypiącym parkiecie, Artem dotarł do drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

Nie rozpoznać tego pomieszczenia było niemożliwością, chociaż teraz znalazł się w jego przeciwległym końcu. Sugestywny posąg czytającego człowieka, niewiarygodnie wysokie sklepienie i ogromne okna, ścieżka wiodąca ku dziwacznemu drewnianemu portalowi wejściowemu, i rzędy rozwalonych stolików do czytania po bokach - nie było wątpliwości, znajdował się w Czytelni Głównej. Stał na otoczonym drewnianą balustradą wąskim balkonie, opasującym salę na wysokości czterech metrów. To właśnie z tej galerii zbiegali do nich bibliotekarze. Było zupełnie niezrozumiałe, w jaki sposób udało mu się trafić tu z magazynu, i to jeszcze z drugiej strony, ominąwszy trasę, którą przeszedł z Daniłą, żeby się do niego dostać. Ale czasu na rozmyślania nie było. Bibliotekarze mogli deptać mu po piętach.

Artem zbiegł na dół po jednej z dwóch symetrycznych par schodów prowadzących do cokołu posągu, i rzucił się do drzwi. W pobliżu ozdobnego łuku wyjścia, na ziemi leżało kilka poskręcanych ciał bibliotekarzy, i, mijając miejsce potyczki, Artem o mało nie upadł poślizgnąwszy się w kałuży gęstniejącej krwi. Ciężkie drzwi poddały się niechętnie, i w oczy natychmiast uderzyło go ostre, białe światło. Pamiętając pouczenie Młynarza, Artem chwycił własną latarkę w prawą rękę i pośpiesznie zrobił nią trzy kółka, dając znak, że idzie z pokojowymi zamiarami. Świecące mu w oczy światło od razu skierowało się w bok, i Artem, zarzuciwszy sobie karabin na plecy na znak, że jest przyjaźnie nastawiony, ruszył powoli naprzód, w kierunku okrągłego pokoju z kolumnami i kanapą, nie wiedząc jeszcze, kogo przyjdzie mu tam spotkać.

...erkaem stał z rozłożoną podpórką na ziemi, a Młynarz pochylał się nad swoim towarzyszem. Dziesiąty półleżał z zamkniętymi oczami na kanapie i wydawał krótkie jęki. Jego prawa noga była nienaturalnie wykręcona, i przyjrzawszy się jej, Artem zrozumiał, że była złamana w kolanie i zgięta do przodu zamiast do tyłu. Nie mógł sobie nawet wyobrazić, jak coś takiego mogło się stać i jaką siłę musiał posiadać ktoś, kto potrafił tak okaleczyć potężnego stalkera.

- Gdzie twój kolega? - rzucił Młynarz do Artema, odrywając się na moment od Dziesiątego.

- Bibliotekarze... W magazynie. Zaatakowali - próbował wyjaśnić Artem. Jakoś nie miał ochoty opowiadać, że Daniłę zabił on sam, choćby i z litości.

- Znalazłeś Księgę? - tak samo ostro spytał stalker.

- Nie - pokręcił głową Artem - niczego tam nie słyszałem i nie czułem.

- Pomóż no mi go podnieść... Nie, lepiej weź jego plecak, i mój też. Widzisz, jak mu nogę... O mało co w ogóle nie urwali. Teraz można go tylko nieść na plecach - kiwnął Młynarz na Dziesiątego.

Artem zebrał wszystkie rzeczy: trzy plecaki, dwa automaty i erkaem, co razem ważyło jakieś trzydzieści kilogramów, nie mniej, i niełatwo mu to było nawet podnieść. Młynarz, który z trudem zarzucił sobie na ramiona zwiotczałe ciało swojego towarzysza, miał jeszcze trudniej, i nawet krótka droga w dół po schodach - do wyjścia - zajęła im kilka długich minut.

Bibliotekarzy aż do samego dołu już nie widzieli, ale kiedy Artem rozwarł ciężkie drewniane skrzydła drzwi, przepuszczając stękającego stalkera, z najciemniejszych głębin budynku doszedł ich skrzekliwy wrzask, pełen nienawiści i rozpaczy. Artem poczuł znów gęsią skórkę, i szybko zatrzasnął drzwi. Teraz najważniejsze było, by jak najszybciej dostać się do metra.

- Oczy w dół! - rozkazał Młynarz, kiedy znaleźli się na ulicy. - Gwiazda będzie teraz na wprost ciebie. Nie myśl nawet, żeby patrzeć ponad dachami...

Ciężko poruszając sztywniejącymi nogami, Artem posłusznie skierował wzrok w ziemię, marząc tylko, żeby jak najszybciej pokonać te nieprawdopodobnie ciągnące się dwieście metrów od Biblioteki do wejścia na Borowicką.

Jednak stalker nie pozwolił Artemowi wejść do metra.

- W Polis nie możesz się teraz pokazać. Nie masz Księgi, straciłeś ich przewodnika - ostrożnie kładąc na ziemi swojego rannego towarzysza i ciężko dysząc, powiedział Młynarz. - Braminom to się raczej nie spodoba. I co najważniejsze, to znaczy, że żaden z ciebie wybraniec, i wyjawili swoje tajemnice nie temu, co trzeba. Jeśli wrócisz do Polis, to przepadniesz bez wieści. Mają od tego specjalistów, nie na darmo to inteligencja. I nawet mnie nie uda się ciebie ochronić. Musisz teraz uciekać. Najlepiej na Smoleńską. Idzie się prosto, budynków mało, nie ma konieczności zagłębiania się w zaułki. Może dojdziesz. Jeśli zdążysz przed wschodem.

- Jakim wschodem? - spytał nie dowierzając Artem. Wiadomość, że sam jeden będzie musiał przedostać się na powierzchni do innej stacji metra, do której, sądząc po planie, były ze dwa kilometry, była dla niego jak uderzenie obuchem w głowę.

- Słońca. Ludzie to zwierzęta nocne, i w dzień lepiej im się na powierzchni nie pokazywać. Takie rzeczy wyłażą z ruin, żeby się wygrzać na słoneczku, że sto razy pożałujesz, że tam trafiłeś. O świetle nie wspominając: oślepniesz w sekundę, i ciemne okulary nie pomogą.

- Ale jak ja mam iść, sam? - wciąż jeszcze nie wierząc własnym uszom spytał Artem.

- Nie bój się. Idzie się cały czas prosto. Wyjdziesz na Kaliniński i idź nim, nigdzie nie zbaczaj. Nie pokazuj się na jezdni, no, i trzymaj dystans do domów, tam wszędzie coś mieszka. Idź, aż dojdziesz do skrzyżowania z drugim szerokim bulwarem, to będzie Sadowoje Kolco. Wtedy w lewo i prosto, do kwadratowego budynku, z fasadą z jasnego kamienia. To był kiedyś Dom Mody... Znajdziesz od razu - dokładnie naprzeciwko, po drugiej stronie Sadowego, stoi bardzo wysoki, na wpół zburzony budynek - centrum handlowe. Za Domem Mody będzie taki żółty łuk z napisem „Stacja Metra Smoleńska". Przechodzisz pod nim, będziesz wtedy na takim małym placyku, coś w rodzaju wewnętrznego dziedzińca, tam zobaczysz właściwą stację. Jak będzie spokojnie, spróbuj zejść na dół. U nich jedno wejście jest otwarte i pod strażą, dla ich stalkerów. Zapukasz w bramę o tak: trzy szybko, dwa powoli, trzy szybko. Powinni otworzyć. Powiedz, że jesteś od Młynarza, i czekaj tam na mnie. Zaniosę Dziesiątego i od razu tam pójdę. Do południa będę. Znajdę cię sam. Karabiny sobie zostaw, nie wiadomo, jak wyjdzie.

- Ale na planie jest przecież druga stacja, bliżej... Arbacka - Artem przypomniał sobie nazwę.

- Jest taka stacja. Ale nie można się do niej zbliżać. Zresztą sam nie będziesz miał ochoty. Jak będziesz obok niej przechodził, trzymaj się drugiej strony ulicy, idź szybko, ale nie biegnij. Dobra, nie trać czasu! - zakończył i popchnął Artema w kierunku wyjścia z westybulu.

Artem nie próbował się więcej spierać. Przewiesił jeden z automatów przez ramię, drugi trzymając w gotowości, wyszedł na dwór i pośpieszył z powrotem w kierunku pomnika, osłaniając prawą ręką oczy, żeby przypadkiem nie zobaczyć mamiącego blasku kremlowskich gwiazd.

ROZDZIAŁ 14
TAM, NA GÓRZE

Nie dochodząc do kamiennego starca w fotelu, Artem skręcił w lewo, żeby ściąć zakręt ulicy przez schody Biblioteki. Przechodząc obok niej, jeszcze raz obrzucił spojrzeniem gigantyczny gmach, i przeszył go dreszcz: Artem wspomniał strasznych mieszkańców tego miasta. Teraz Biblioteka znów pogrążyła się w mrocznym milczeniu. Strażnicy panującej w nim ciszy rozeszli się teraz pewnie po ciemnych kątach, wylizując rany po ich nagłym wtargnięciu i gotując się, by za nie odpłacić kolejnym poszukiwaczom przygód.

Przed oczami stanęła mu blada, bezkrwista twarz Daniły. Artemowi przyszło do głowy, że bramin pewnie nie na darmo panicznie bał się tych stworów, nie chcąc nawet o nich mówić. Czyżby przeczuwał, co mu zgotuje los? Widział własną śmierć w nocnych koszmarach? Jego ciało zostanie już na zawsze w magazynie książek, w objęciach tego, który go zabił, bibliotekarza. Oczywiście jeśli te stwory gardzą padliną... Wzdrygnął się. Czy uda mu się kiedykolwiek zapomnieć, jak zginął jego towarzysz, który przez zaledwie dwa dni stał się mu niemal przyjacielem? Pomyślał, że Daniła jeszcze długo będzie trwożyć jego sny, wciąż i wciąż, co noc, próbując z nim porozmawiać, składając niewyraźne słowa nieposłusznymi, pozbawionymi krwi wargami.

Wychodząc na szeroką aleję, Artem szybko przejrzał w pamięci instrukcje, które dał mu Młynarz. Iść prosto, nigdzie nie skręcać, do skrzyżowania Kalinińskiego Prospektu z Sadowym Kolcem... I domyśl się jeszcze, która z ulic to Sadowoje Kolco! Nie wychodzić na środek ulicy, ale też nie zbliżać się zbytnio do ścian domów, a przede wszystkim dotrzeć do Smoleńskiej przed wschodem słońca.

Słynne wieżowce Kalinińskiego Prospektu, które Artem znał z pożółkłych pocztówek z widokami Moskwy, zaczynały się pół kilometra od miejsca, w którym stał. Na razie po obu stronach ulicy stały długie rzędy niewysokich willi, za którymi droga zbaczała w lewo i dokładnie za tym zakrętem przechodziła w Nowy Arbat. Kontury budynków, wyraźne z bliska, przy oddaleniu rozpływały się i mieszały z półmrokiem. Księżyc schował się za nisko wiszącymi obłokami. Słabe, mleczne światło z trudem się przez nie przesączało, i tylko kiedy zasłona mgły nieco się rozpraszała, widmowe sylwetki domów na chwilę znów nabierały realnego kształtu.

Ale nawet przy takim świetle, z lewej strony, w uliczkach, które przecinały aleję co każde sto metrów, widać było potężny kształt starej świątyni. Ogromny skrzydlaty cień znów krążył nad wieńczącym kopułę krzyżem.

Być może właśnie dlatego, że Artem zatrzymał się, żeby popatrzeć na szybującą nad miastem bestię, zauważył to coś. W półmroku trudno było określić, czy to nie wyobraźnia podsuwa mu dziwną postać zamarłą w głębi zaułka i zlewającą się z rozwalonymi ścianami domów. I dopiero kiedy przyjrzał się uważniej, wydało mu się, że ten skrawek ciemności lekko się poruszył i to z własnej woli. Z takiej odległości nie było łatwo dokładnie stwierdzić, jakiego kształtu i rozmiarów była ta istota, ale wyraźnie stała na dwóch nogach, i Artem postanowił zrobić tak, jak polecił mu stalker. Włączył latarkę, skierował promień w uliczkę i trzy razy zatoczył nim koło.

Odpowiedź nie nastąpiła. Artem przez minutę na próżno na nią czekał, aż uświadomił sobie, że stanie w tym miejscu robi się po prostu niebezpieczne. Ale zanim ruszył dalej, nie wytrzymał i jeszcze raz oświetlił nieruchomą postać. To, co zobaczył, sprawiło, że natychmiast wyłączył latarkę i postarał się jak najszybciej minąć uliczkę.

To na pewno nie był człowiek. W świetle kształt tej postaci stał się wyraźniejszy, i można było mieć pewność, że miała nie mniej niż dwa i pół metra wzrostu, barki i szyję prawie niezaznaczone, a wielka okrągła głowa od razu przechodziła w potężny tułów. Stwór

przyczaił się wyczekująco, ale pomimo tego pozornego niezdecydowania, Artem poczuł przez skórę emanującą od niego grozę.

Sto pięćdziesiąt metrów do następnej przecznicy przebył w niecałą minutę. Przyjrzawszy się, zrozumiał, że to nawet nie była przecznica, a wyrwa wypalona w kwartale budynków mieszkalnych przy pomocy jakiejś broni: albo było tu bombardowanie, albo zmietli po prostu cały rząd budynków przy użyciu ciężkiego sprzętu wojskowego. Artem popatrzył przelotnie na ruiny domów, i jego wzrok znów przyciągnął niewyraźny, nieruchomy cień. Wystarczyło na moment oświetlić go promieniem latarki, żeby rozwiać wątpliwości: to był ten sam stwór, albo jego pobratymiec. Stał wprost pośrodku uliczki, jeden kwartał od niego, nawet nie próbując się ukryć.

Jeśli to był ten sam potwór, który obserwował go przecznicę wcześniej, to znaczy, że przemieścił się tu ulicą równoległą do alei, którą szedł on sam, pomyślał Artem. Wyglądało na to, że pokonał tę odległość dwa razy szybciej od niego: przecież w chwili, kiedy dotarł do następnego skrzyżowania, tamten już na niego czekał. Ale jeszcze straszniejsze było co innego: podobną postać zobaczył tym razem również w uliczce po prawe stronie. Tak samo, jak pierwsza, stała nieruchomo, niczym posąg. Przez moment Artem pomyślał, że może to nie są żywe stworzenia, a znaki postawione tu nie wiadomo przez kogo, by odstraszyć czy ostrzec...

Do trzeciego skrzyżowania już biegł, zatrzymawszy się dopiero przy ostatnim domu, żeby ostrożnie wyjrzeć zza rogu... i przekonać się, że tajemniczy prześladowcy znów go wyprzedzili. Ogromnych postaci było już kilka, i teraz widział je o wiele lepiej: warstwa chmur zakrywająca księżyc zrobiła się nieco cieńsza.

Tak jak wcześniej, stwory stały w bezruchu i jakby czekały, aż pojawi się w przerwie między domami. I wciąż nie miał pewności, czy nie pomylił się, biorąc głazy czy betonowe kikuty zburzonych budowli za żywe istoty. Jego wyostrzone zmysły mogły być mu pomocą tam, na dole, w metrze. Na powierzchni leżał niepojęty, zwodniczy świat, tu wszystko było inne i życie rządziło się innymi zasadami. Nie można już było polegać na swoich odczuciach i intuicji.

Artem postarał się jak najszybciej i najdyskretniej przeskoczyć na drugą stronę tej uliczki, potem przylgnął do ściany domu, odczekał chwilę i znów wyjrzał zza rogu. Wstrzymał oddech: postacie ruszały się, przy tym w zadziwiający sposób. Jedna z nich wyciągnęła się jeszcze bardziej do góry, pokręciła głową, jakby węsząc, niespodziewanie opadła na cztery łapy i jednym długim susem skryła się za rogiem. W ciągu kilku sekund pozostałe poszły za jej przykładem. Artem znów się schował, usiadł na ziemi i zaczerpnął tchu.

Nie było już wątpliwości: one go tropiły. Stwory jakby go prowadziły, przemieszczając się równoległymi ulicami z obu stron prospektu, którym szedł Artem. Czekały aż przejdzie kolejny odcinek od kwartału do kwartału, ukazywały się w uliczce, żeby się upewnić, że nie zboczył z drogi, i kontynuowały bezgłośny pościg. Po co? Żeby wybrać dogodny moment do ataku? Po prostu z ciekawości? Dlaczego nie decydowały się wyjść na prospekt i wolały czaić się w ciemnych zaułkach? Znów wspomniał słowa Młynarza, który zabronił mu zbaczać z prostej drogi. Czy dlatego, że tam czyhały one, i Młynarz o tym wiedział?

Żeby się uspokoić, Artem zmienił magazynek w swoim automacie, szczęknął bezpiecznikiem, włączył i wyłączył celownik laserowy. Był w pełnej gotowości i, w odróżnieniu od Biblioteki, tutaj mógł strzelać bez obaw; obronić się przed nieznanymi stworami było łatwiej. Westchnął głęboko i wstał. Cokolwiek by się działo, stać w miejscu i tracić czas stalker mu zabronił. Trzeba się śpieszyć. Zdaje się, że tu, na powierzchni, śpieszyć trzeba się było zawsze.

Minąwszy jeszcze jeden kwartał, Artem zwolnił kroku, żeby się rozejrzeć. Ulica się tutaj rozszerzała, tworząc coś w rodzaju placu, którego część, oddzielona od ulicy ogrodzeniem, była zamieniona w park. W każdym razie, można się było domyślić, że kiedyś był tam park: drzewa wciąż jeszcze rosły na swoich miejscach, ale to już były zupełnie nie te drzewa, które Artem miał okazję widzieć na pocztówkach czy fotografiach. Grube, poskręcane pnie wynosiły rozłożyste korony na wysokość piątego piętra stojącego za parkiem budynku. Pewnie właśnie do takich parków stalkerzy chodzili po drewno, którym potem ogrzewano i oświetlano całe metro. W prześwitach między pniami majaczyły dziwne cienie, a gdzieś w głębi migotał słaby płomień, który Artem mógłby wziąć za ognisko, gdyby nie jego zielonkawy kolor. Sam budynek także wyglądał złowieszczo: sprawiał wrażenie, że wielokrotnie był areną okrutnych i krwawych starć. Jego górne piętra zapadły się, w wielu miejscach czerniały dziury, a gdzieniegdzie ocalały tylko dwie ściany i przez puste okna widać było mgliste nocne niebo.

Za placem budynki w ogóle ustępowały, a ulicę przecinał szeroki bulwar. Nad nim, wynurzając się z ciemności niczym wieże strażnicze, wznosiły się pierwsze wieżowce Nowego Arbatu. Według planu, wejście na stację Arbacką powinno być blisko, po jego lewej stronie. Artem jeszcze raz przyjrzał się mrocznemu parkowi. Młynarz miał rację: zupełnie nie miał ochoty zagłębiać się w ten gąszcz i próbować odszukać w nim zejście do metra. Im dłużej wpatrywał się w ciemne zarośla rozpostarte u podnóża zniszczonego budynku, tym bardziej wydawało mu się, że widzi jak wśród korzeni gigantycznych drzew poruszają się te same tajemnicze postaci, które szły za nim wcześniej.

Podmuch wiatru poruszył ciężkimi gałęziami, i ich korony skrzypnęły z wysiłkiem. Z daleka dobiegło czyjeś przeciągłe wycie. Sama gęstwina milczała, ale nie dlatego, że nie było w niej życia. Jej milczenie było z rodzaju bezgłośnie tropiących Artema stworów, wydawało się, że ona także na coś czeka.

Artema ogarnęło poczucie, że jeśli tu zostanie, zuchwale zaglądając w jej tajemne głębie, nie ominie go kara. Chwycił mocniej automat, rozejrzał się czy stwory nie podeszły bliżej, i ruszył naprzód.

Ale już kilka sekund później znów się zatrzymał: przecinając bulwar tam, gdzie zaczynał się Kaliniński Prospekt. Rozciągał się stąd taki widok, że Artem po prostu nie mógł zmusić się, żeby iść dalej.

Stał na skrzyżowaniu szerokich ulic, po których kiedyś z pewnością jeździły samochody. Węzeł komunikacyjny był nietypowy, część asfaltowej wstęgi skrywała się w tunelu, by potem znów wynurzyć się na powierzchnię. Z prawej strony, w dal ciągnął się bulwar - można było go rozpoznać po czarnym gąszczu wyrośniętych drzew, równie ogromnych jak te, obok których dopiero co przechodził. Z lewej strony widniała wielka, pokryta asfaltem przestrzeń: skomplikowany splot wielopasmowych jezdni, za którym znów wyrastały zarośla. Widoczność była już całkiem duża, i Artem spytał się w duchu, czy to nie dlatego, że zbliża się już wschód strasznego słońca.

Jezdnie były usiane skorodowanymi i osmalonymi wrakami, w których Artem rozpoznał samochody. Niczego w miarę dobrze zachowanego tu już nie było: przez dwadzieścia lat wypraw na powierzchnię stalkerzy zdołali zabrać stąd wszystko, co się dało. Benzyna z baków, akumulatory i generatory prądu, przednie i tylne światła, wyrwane z korzeniami siedzenia: wszystko to można było znaleźć zarówno na WOGN-ie, jak i na dowolnym większym targu w metrze.

Asfalt był tu i ówdzie zryty różnych rozmiarów lejami, wszędzie widać było szerokie pęknięcia, przez które przebijała się trawa i giętkie łodygi uginające się pod ciężarem kulek, z pewnością z nasionami. Wprost przed Artemem otwierała się perspektywa mrocznego wąwozu Nowego Arbatu, z jednej strony zabudowanego nie wiadomo jakim cudem ocalałymi budynkami, przypominającymi kształtem otwarte książki, a z drugiej - częściowo

zburzonymi wysokościowcami, nie mniej niż dwadzieścia pięter każdy. Za plecami Artema została ulica prowadząca do Biblioteki i Kremla.

Stał pośrodku tego wspaniałego cmentarza cywilizacji i czuł się jak archeolog, który odkopał starożytne miasto, w którym resztki jego dawnej potęgi i piękna jeszcze przez wiele stuleci wywołują u oglądających dreszcz zachwytu. Wyobrazić sobie, jak żyli ludzie mieszkający w tych gigantycznych budowlach, przemieszczający się tymi maszynami, wtedy jeszcze błyszczącymi świeżą farbą i miękko sunącymi po równej nawierzchni ulicy na rozgrzanej gumie kół, schodzący do metra tylko po to, żeby jak najszybciej przedostać się z jednego punktu tego bezkresnego miasta w drugi... Niemożliwe. O czym myśleli każdego dnia? Czego się bali? Czego w ogóle mogą się bać ludzie, jeśli nie muszą w każdej sekundzie obawiać się o swoje życie i stale o nie walczyć, próbując przedłużyć je choćby o jeden dzień?

W tym momencie chmury wreszcie się rozstąpiły, ukazując nadgryziony żółtawy dysk księżyca, pokryty dziwnymi rysunkami. Ostre światło, spływające w dół przez wyrwę w obłokach, zalało miasto, stokrotnie zwiększając jego mroczną potęgę. Domy i drzewa, które do tej pory zdawały się tylko płaskimi, bezcielesnymi sylwetkami, ożyły i nabrały objętości, ujawniły się niewidoczne wcześniej detale.

Nie potrafiąc ruszyć się z miejsca, Artem stał jak zaczarowany i zachwyconym wzrokiem wodził dookoła, próbując powstrzymać ogarniające go drżenie. Dopiero teraz zaczynał naprawdę rozumieć tęsknotę, którą słyszał w głosach staruszków wspominających przeszłość, wracających w swojej wyobraźni do miasta, w którym kiedyś mieszkali. Dopiero teraz zaczął zdawać sobie sprawę, jak daleko od swych dawnych osiągnięć i zdobyczy znajduje się teraz człowiek. Jak dumnie szybujący w powietrzu ptak, który, śmiertelnie ranny, spadł na ziemię, żeby zaszyć się w jakiejś dziurze i tam cicho umrzeć. Przypomniała mu się podsłuchana dyskusja ojczyma i Huntera. Czy człowiek może przeżyć, a nawet jeśli tak, czy będzie to ten sam człowiek, który ujarzmił świat i pewną ręką nim rządził? Teraz, kiedy Artem sam mógł ocenić z jakiej wysokości ludzkość spadła w otchłań, jego wiara w piękną przyszłość ostatecznie się ulotniła.

Prosty i szeroki Kaliniński Prospekt biegł w dal, stopniowo się zwężając, póki nie rozpłynął się w ciemności. Artem stał teraz na ulicy całkiem sam, otoczony tylko przez widma i cienie przeszłości, próbując sobie wyobrazić, ilu ludzi, dniem i nocą, przemierzało tu kiedyś chodniki, ile samochodów pędziło z fantastyczną prędkością w tym samym miejscu, w którym się znajduje, jak przytulnie i ciepło świeciły puste teraz i czarne okna domów mieszkalnych. Gdzie to się wszystko podziało? Świat wydawał się opustoszały i porzucony, lecz Artem rozumiał, że to iluzja: Ziemia nie była opuszczona i pusta, po prostu zmieniła gospodarzy. Myśląc o tym, odwrócił się za siebie, w kierunku Biblioteki.

Stały nieruchomo zaledwie nieco ponad sto metrów od niego, tak jak i on, pośrodku ulicy. Stworów było nie mniej niż pięć, i nie próbowały już kryć się w zaułkach, choć nie robiły też nic, by przyciągnąć jego uwagę. Artem nie mógł uwierzyć, jak udało im się do niego podejść tak szybko i bezszelestnie. W świetle księżyca było je widać wyjątkowo dobrze: potężne, z rozwiniętymi tylnymi kończynami i, być może, nawet wyższe niż mu się na początku zdawało. Chociaż Artem nie mógł z takiej odległości dojrzeć ich oczu, i tak dobrze wiedział, że obserwują go teraz wyczekująco i wdychają wilgotne powietrze, badając jego zapach. Z pewnością była w nim znajoma im domieszka prochu, i stwory na razie nie decydują się na atak, podążając za Artemem w pewnej odległości i szukając w jego zachowaniu oznak niezdecydowania, słabości. A może, po prostu odprowadzają Artema do granic swojego terytorium i nie zamierzają robić mu krzywdy? Skąd miał wiedzieć, jak zachowują się istoty, które pojawiły się na Ziemi wbrew prawom ewolucji?

Starając się zachować panowanie nad sobą, Artem odwrócił się i z udawanym spokojem powoli poszedł dalej, na wszelki wypadek oglądając się co kilka kroków przez

ramię. Na początku stwory pozostawały na swoich miejscach, ale potem zaczęły się spełniać jego najgorsze obawy. Opuściły się na cztery łapy i powoli ruszyły za nim. Ale gdy tylko dystans stu metrów, który utrzymywały od samego początku, został przekroczony, znowu stanęły. Artem zaczął się już przyzwyczajać do swojej dziwnej eskorty, tym niemniej bał się spuszczać ją z oka i trzymał karabin w pogotowiu. Tak też szli razem, pustą ulicą zalaną światłem księżyca: z przodu zdenerwowany, napięty jak cięciwa człowiek, zatrzymujący się co pół minuty, by się obejrzeć, za nim pięć lub sześć dziwnych stworów, które doganiały go nieśpiesznie, po czym podnosiły się na tylne łapy, pozwalając z jakiegoś powodu, by znów się oddalił i szedł naprzód.

Jednak szybko zauważył, że odległość, którą utrzymywały, zaczęła się zmniejszać. Oprócz tego, trzymające się dotąd w grupie stwory teraz zaczęły iść półkolem, jakby próbując zajść go z boków. Artem jeszcze nigdy nie miał do czynienia ze stadem polujących drapieżników, ale jakoś nie miał wątpliwości, że te stworzenia szykują się, by go zaatakować. Trzeba było działać. Gwałtownie się odwrócił, podniósł automat i wycelował w jedną z ciemnych postaci.

Ich zachowanie wyraźnie się zmieniło. Tym razem nie zatrzymały się w oczekiwaniu, że ruszy dalej. Ledwo zauważalnie dalej się do niego zbliżały, tworząc stopniowo coraz głębsze półkole. Trzeba było spróbować je odstraszyć, zanim uda im się skrócić dystans na tyle, żeby nastąpił atak.

Artem podniósł nieco lufę i strzelił w powietrze. Huk odbił się od ścian wysokościowców i echem dotarł do drugiego końca prospektu. Spadając na asfalt brzęknęła łuska od naboju. Wtedy rozległ się głuchy, pełen wściekłości ryk, i stwory rzuciły się naprzód. Dzielące ich od Artema kilkadziesiąt metrów mogły przebyć w parę sekund, ale był przygotowany i na taki rozwój wypadków. Gdy tylko najbliższa bestia znalazła się na jego celowniku, puścił w jej kierunku krótką serię i pobiegł w kierunku domów.

Ku jego zdziwieniu, sądząc z rozpaczliwego krzyku, jaki wydał stwór, udało mu się trafić. Czy zatrzyma to pozostałe, czy też przeciwnie, jeszcze je rozjuszy, nie dało się odgadnąć.

I wtedy dał się słyszeć inny krzyk - nie groźny ryk polujących na niego stworzeń, a długi przenikliwy skrzek, od którego krew stygła w żyłach. Dochodził z góry, i Artem zrozumiał, że do gry przystąpił nowy uczestnik. Widocznie dźwięki wystrzałów przyciągnęły uwagę latającego potwora, w rodzaju tego, który uwił sobie gniazdo na kopule soboru.

Nad głową mignął mu ogromny cień. Odwróciwszy się na moment za siebie, Artem zobaczył, że stwory poszły w rozsypkę, i tylko jeden z nich, widocznie ten, którego ranił, został na środku jezdni. Ciągle skowycząc, niezdarnie kuśtykał w kierunku budynków, też mając nadzieję się tam ukryć. Ale szans na ratunek nie miał żadnych: opisawszy jeszcze jeden krąg na wysokości kilkudziesięciu metrów, monstrum złożyło olbrzymie skórzaste skrzydła i runęło na swoją ofiarę. Pikowało z taką prędkością, że Artemowi nie udało się nawet porządnie mu przyjrzeć. Złapawszy stwora, który wydał ostatni, rozdzierający pisk, olbrzymia latająca machina bez większego wysiłku wzleciała ze zdobyczą w powietrze i nieśpiesznie zaniosła ją na dach jednego z wieżowców.

Tropiące go stwory postanowiły na razie nie wychylać się ze swoich kryjówek, w obawie, że potwór może wrócić. Artem nie miał więcej czasu do stracenia. Przyciskając się do ścian domów, pobiegł naprzód, tam, gdzie według jego obliczeń, powinna się znajdować ulica Sadowoje Kolco. Udało mu się przebiec ponad pół kilometra, zanim zabrakło mu tchu i odwrócił się, żeby sprawdzić, czy polujące na niego bestie się nie opamiętały. Prospekt był pusty. Ale kiedy przeszedł jeszcze kilkadziesiąt metrów i zajrzał w jedną z odchodzących od Nowego Arbatu uliczek, ku swojemu przerażeniu zauważył w niej znajome nieruchome cienie. Teraz zaczął rozumieć dlaczego stworom nie było spieszno wychodzić na otwartą

przestrzeń i wolały śledzić swoje ofiary z ciasnych uliczek. Polując na niego, bały się przyciągnąć uwagę jeszcze większych drapieżników i paść ich łupem.

Teraz Artem znów musiał co chwilę się oglądać: pamiętał, że stwory umieją się poruszać niezwykle szybko, a przy tym praktycznie bezszelestnie, i bał się, że zajdą go znienacka. Było już widać koniec prospektu, kiedy znów wychynęły z uliczek i zaczęły go okrążać. Nauczony doświadczeniem, Artem od razu strzelił w powietrze, w nadziei, że tak jak i wcześniej, przyciągnie to skrzydlatego potwora i odstraszy bestie. Te rzeczywiście na chwilę zamarły, stanąwszy na tylnych kończynach i wyciągnąwszy szyje. Ale niebo pozostawało puste: monstrum pewnie nie zdołało jeszcze poradzić sobie z pierwszą porcją. Artem zrozumiał to nieco wcześniej, niż jego prześladowcy, pobiegł w prawo, obszedł jeden z domów i dał nura w najbliższe wejście do budynku. Może i Młynarz go przed tym ostrzegał, mówiąc, że w domach ktoś mieszka, ale zmierzyć się na odkrytej przestrzeni z tak silnym i szybkim przeciwnikiem, jak ścigające go stwory, byłoby głupotą. Rozerwałyby Artema na kawałki, zanim odbezpieczyłby swój automat.

Na klatce było ciemno i musiał włączyć latarkę. W kolistej plamie światła ukazały się zdarte ściany, z wypisanymi na nich kilkadziesiąt lat wcześniej sprośnościami, zapaskudzone schody, wyłamane drzwi spustoszonych i wypalonych mieszkań. Obrazu zapuszczenia dopełniały zadomowione, bez lęku chodzące wokół szczury.

Wejście wybrał trafnie: okna klatki schodowej wychodziły na ulicę, i wszedłszy na wyższe piętro, mógł się upewnić, że stwory na razie nie decydują się za nim pójść. Zbliżyły się już do samych drzwi wejściowych, ale zamiast przekroczyć próg, usadowiły się wokół na tylnych łapach i znów zamieniły się w kamienne posągi. Artem nie wierzył, że odejdą i dadzą zdobyczy uciec. Wcześniej czy później spróbują wyciągnąć go na zewnątrz, oczywiście jeśli w środku nie kryje się coś takiego, co zmusi Artema, żeby sam uciekł.

Wszedł jeszcze jedno piętro wyżej, rutynowo oświetlił drzwi mieszkań i odkrył, że jedne z nich są zatrzaśnięte. Popchnął je ramieniem i upewnił się, że zamek jest zamknięty. Niewiele myśląc przystawił do niego lufę karabinu, wystrzelił i kopniakiem otworzył drzwi na oścież. Generalnie rzecz biorąc, było mu obojętne, w którym z mieszkań będzie się bronił, ale nie mógł przepuścić szansy spojrzenia na nietkniętą siedzibę ludzką z poprzedniej epoki.

Po pierwsze zatrzasnął drzwi i zastawił je stojącą w przedpokoju szafą. Poważnego szturmu taka barykada by nie wytrzymała, ale przynajmniej nie uda im się pokonać jej niepostrzeżenie. Potem Artem podszedł do okna i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Była to niemal idealna pozycja strzelecka: z wysokości czwartego piętra świetnie widział podejście do drzwi wejściowych i około dziesięciu stworów siedzących przy nich półkolem. Teraz przewaga była po jego stronie, i nie omieszkał z niej skorzystać. Włączywszy celownik laserowy, naprowadził czerwony punkcik na głowę największej bestii, wypuścił powietrze i nacisnął spust. Gruchnęła krótka seria i stwór bezgłośnie zwalił się na bok. Pozostałe błyskawicznie rozbiegły się na różne strony, i w mgnieniu oka ulica była pusta. Ale nie można było wątpić, że nie zamierzają odejść daleko. Artem postanowił poczekać i upewnić się, czy śmierć ich pobratymcy rzeczywiście odstraszyła pozostałe.

A na razie miał trochę czasu, żeby zbadać mieszkanie.

Chociaż szyby, tak jak i w całym domu, były tu od dawna wybite, meble i w ogóle całe wyposażenie zachowało się zadziwiająco dobrze. Po podłodze były rozrzucone małe grudki czegoś przypominającego trutkę na szczury, używaną na stacji WOGN. Mogło tak zresztą być, bo Artem nie zauważył w pokojach ani jednego szczura. Im dłużej chodził po mieszkaniu, tym bardziej się upewniał, że mieszkańcy nie porzucili go w popłochu, ale zabezpieczyli, w nadziei, że kiedyś wrócą. Panował w nim idealny porządek, w kuchni nie pozostawiono na wierzchu żadnego jedzenia, które mogłoby przyciągnąć gryzonie lub owady, a większa część mebli była troskliwie owinięta folią.

Przechodząc z pokoju do pokoju, Artem próbował sobie wyobrazić, jak wyglądało życie ludzi, którzy tu mieszkali. Ilu ich tu żyło? O której godzinie wstawali, wracali z pracy, jedli kolację? Kto siedział u szczytu stołu? O wielu zajęciach, rytuałach i przedmiotach miał pojęcie tylko dzięki książkom i teraz, widząc prawdziwe mieszkanie, przekonał się, że wcześniej wiele rzeczy wyobrażał sobie zupełnie nie tak.

Artem ostrożnie podniósł półprzejrzystą folię i przypatrzył się półkom z książkami. Pośród kryminałów, znanych ze straganów w metrze, stało tam kilka kolorowych książeczek dla dzieci. Chwycił za brzeg jednej z nich i powoli pociągnął do siebie. Kiedy przeglądał ozdobione podobiznami wesołych zwierząt stronice, z książki wypadł kawałek sztywnego papieru. Schyliwszy się, Artem podniósł go z podłogi. Okazało się, że była to wyblakła fotografia uśmiechniętej kobiety z małym dzieckiem na ręku. Skamieniał.

Zakłóceniu uległ rytm, w jakim biło jego serce. Rozprowadzające dotąd krew po ciele miarowymi skurczami, nagle przyśpieszyło, zabiło zupełnie inaczej. Artemowi strasznie zachciało się zdjąć ciasną maskę gazową, odetchnąć świeżym powietrzem, jakkolwiek by było trujące. Delikatnie, jakby obawiając się, że zdjęcie rozsypie się w proch, gdy go dotknie, wziął je z półki i podniósł do oczu.

Kobieta miała na oko jakieś trzydzieści lat, malec na jej rękach nie więcej niż dwa, a przez zabawną czapeczkę na głowie trudno było określić, czy to chłopczyk, czy dziewczynka. Dziecko patrzyło prosto w obiektyw, i jego spojrzenie było zadziwiająco dorosłe i poważne. Artem odwrócił fotografię, i szybkę jego maski pokryła mgła. Na odwrocie niebieskim długopisem było napisane: „Artemek ma 2 latka i 5 miesięcy".

Uszło z niego jakby całe powietrze. Nogi się pod nim ugięły, usiadł na ziemi i podstawił zdjęcie pod padające z okna światło księżyca. Dlaczego uśmiech kobiety na fotografii wydał się mu tak znajomy, tak bliski? Dlaczego zaparło mu dech, jak tylko ją zobaczył?

Zanim to miasto umarło, żyło w nim ponad dziesięć milionów ludzi. Artem to nie najpopularniejsze imię w Rosji, ale w wielomilionowym megalopolis dzieci z takim imieniem powinno być kilkadziesiąt tysięcy. To tak, jakby nosili je wszyscy obecni mieszkańcy metra. Szansa była tak znikoma, że liczyć na nią po prostu nie miało sensu. Ale w takim razie dlaczego tak znajomy wydawał mu się uśmiech kobiety na fotografii?

Spróbował wywołać z pamięci urywki wspomnień z dzieciństwa, które czasem przez ułamek sekundy przemykały mu przed oczami albo wypływały w snach. Mały przytulny pokoik, miękkie światło, czytająca książkę kobieta... Szeroki tapczan. Zerwał się z miejsca i przemknął jak wiatr po wszystkich pomieszczeniach, próbując znaleźć w jednym z nich meble, jakie widział w snach. Przez moment wydało mu się, że w jednym z pokoi są one ustawione tak, jak w jego wspomnieniach. Kanapa wyglądała troszkę inaczej, i okno było nie tam, ale co z tego, w końcu w świadomości trzyletniego dziecka ten obraz mógł zachować się w nieco zniekształconej formie...

Trzyletniego? Wiek na zdjęciu był inny, ale to też niczego nie znaczyło. Daty przy opisie nie było. Mogło powstać kiedykolwiek, niekoniecznie parę dni przed tym, jak lokatorzy mieszkania musieli je na zawsze opuścić. Fotografia mogła być zrobiona i pół roku, i rok przedtem, przekonywał sam siebie. Wtedy wiek chłopczyka w czapeczce ze zdjęcia byłby taki sam, jak jego własny... Wtedy prawdopodobieństwo tego, że to on jest na zdjęciu... i jego matka... wzrosłoby dziesiątki razy. „Ale fotografia mogła też być zrobiona i na trzy, czy pięć lat przedtem" - powiedział chłodno siedzący w jego głowie obcy głos. Mogła.

Nagle przyszła mu do głowy jeszcze jedna myśl. Otworzył drzwi do łazienki, rozejrzał się dookoła i z ledwością znalazł to, czego szukał: lustro było pokryte taką warstwą kurzu, że nie odbijało nawet światła jego latarki. Artem zdjął z haczyka pozostawiony przez właścicieli mieszkania ręcznik i wytarł powierzchnię lustra. W utworzonej w ten sposób

wyrwie pokazało się jego odbicie w masce przeciwgazowej i hełmie. Oświetlił się latarką i popatrzył w lustro.

Chudej, wycieńczonej twarzy prawie nie było widać zza plastikowej osłony maski, ale z trudem przebijające się z lustra spojrzenie głęboko zapadłych ciemnych oczu od razu wydał mu się podobny do wzroku chłopczyka na fotografii. Artem podniósł zdjęcie do twarzy, przyjrzał się uważnie twarzyczce chłopca, potem przeniósł wzrok na lustro. Znów poświecił na zdjęcie i jeszcze raz popatrzył na swoją twarz w masce przeciwgazowej, próbując przypomnieć sobie jak wyglądała ostatnim razem, kiedy widział swoje odbicie. Kiedy to było? Niedługo przed wyjściem z WOGN-u, ale ile czasu minęło od tamtej pory, nie podjąłby się powiedzieć. Sądząc po człowieku, którego widział teraz w lustrze, było to kilka lat... Gdyby tylko można było ściągnąć tę cholerną maskę i porównać siebie z dzieckiem na zdjęciu! Oczywiście, dorastając, ludzie zmieniają się czasem nie do poznania, ale przecież w każdej twarzy zawsze zostaje coś, co przypomina o odległym dzieciństwie.

Pozostało mu tylko jedno: kiedy wróci na WOGN, spyta Suchego, czy kobieta uśmiechająca się teraz do niego z kawałka papieru jest podobna do kobiety, która przekazała mu z rąk do rąk życie dziecka na stacji rzuconej na pożarcie szczurom... Do jego matki. Choćby jej twarz wykrzywiał wtedy rozpaczliwy i błagalny grymas, Suchy tak czy owak ją rozpozna. Ma zawodową pamięć, na pewno będzie umiał powiedzieć, kto jest na zdjęciu. Czy to ona, czy nie?

Artem obejrzał zdjęcie jeszcze raz, potem z nieoczekiwaną dla samego siebie tkliwością pogładził podobiznę kobiety, ostrożnie schował fotografię do książki, z której wypadła, i włożył ją do plecaka. To dziwne, pomyślał, zaledwie kilka godzin temu znajdował się w największym magazynie wiedzy na tym kontynencie, gdzie mógł sobie zwyczajnie wziąć dowolny z milionów najróżniejszych tomów, z których wiele było po prostu bezcennych. Ale zostawił je, by pokrywały się kurzem na półkach, i w jego głowie nie powstała nawet myśl, żeby skorzystać z bogactw Biblioteki. Zamiast tego bierze tanią książeczkę z prościutkimi rysunkami dla dzieci i czuje się przy tym tak, jakby trafił mu się najwspanialszy skarb.

Artem wrócił do przedpokoju, zamierzając przejrzeć również pozostałe książki z regału, a może i zajrzeć do szaf w poszukiwaniu albumów ze zdjęciami. Ale kiedy podniósł wzrok do okna, poczuł tam ledwo wyczuwalne zmiany. Ogarnął go lekki niepokój: coś było nie tak. Podchodząc bliżej zrozumiał w czym rzecz: kolor nocy się zmieniał, pojawiły się w nim żółtawo-różowe odcienie. Świtało.

Stwory siedziały obok wejścia, nie decydując się wchodzić do środka. Trupa ich krewniaka nigdzie nie było widać, ale nie wiadomo było, czy zabrał go skrzydlaty gigant, czy też same rozerwały go na strzępy. Artem nie rozumiał, co powstrzymuje je od tego, żeby wziąć mieszkanie szturmem, ale na razie zupełnie go to urządzało.

Czy zdoła dojść do Smoleńskiej przed wschodem słońca? I najważniejsze, czy uda mu się uciec przed pogonią? Można było zostać w zabarykadowanym mieszkaniu, ukryć się przed promieniami słońca w łazience, przeczekać, aż przegonią te wstrętne stwory, i ruszyć w drogę z nastaniem ciemności. Ale ile wytrzyma skafander ochronny? Na jaki czas jest przewidziane działanie filtrów maski przeciwgazowej? Co zrobi Młynarz, kiedy nie znajdzie go w umówionym miejscu o odpowiednim czasie?

Artem podszedł do drzwi wychodzących na klatkę schodową i zaczął nasłuchiwać. Cisza. Ostrożnie usunął szafę i powoli uchylił drzwi. Na piętrze nikogo nie było, ale, kiedy poświecił latarką na schody, zauważył coś, czego wcześniej nie widział. Czy też po prostu nie zwrócił uwagi?

Stopnie pokrywała gęsta warstwa przezroczystego śluzu. Wyglądało to tak, jakby coś przed chwilą po nich pełzło, zostawiając ślad. Do drzwi mieszkania, w którym przesiedział

cały ten czas, ślad się nie zbliżał, ale dla Artema nie było to pociechą. Czyli opuszczone domy rzeczywiście nie były tak puste, jak się wydawało?

Teraz zupełnie mu się odechciało zostawać dłużej w mieszkaniu, a tym bardziej w nim spać. Pozostało mu tylko jedno: odstraszyć bestie, które nadal chciały go zjeść i spróbować dobiec do Smoleńskiej. Zrobić to, zanim słońce wypali mu oczy i obudzi te niebywałe potwory, przed którymi ostrzegał go Młynarz.

Tym razem nie celował tak dokładnie, a po prostu starał się trafić jedną serią jak najwięcej ohydnych stworów. Dwa z nich ryknęły i zwaliły się na ziemię, pozostałe znikły w uliczkach. Droga, jak się zdawało, była wolna.

Artem zbiegł na dół, ostrożnie, w obawie przed zasadzką, wyjrzał na zewnątrz i rzucił się ile sił w nogach w kierunku Sadowego Kolca. Jaka koszmarna dżungla musiała być w sadach na tej ulicy, pomyślał, jeśli nawet wąskie pasma drzew na bulwarach zmieniły się przez te lata w czarny gąszcz... Nie mówiąc już o Ogrodzie Botanicznym i tym, co tam wyrosło.

Jego prześladowcy dali mu małe fory, gromadząc się w stado, i udało mu się dotrzeć prawie do samego końca ulicy. Robiło się coraz jaśniej, ale widocznie promienie słońca wcale tych stworów nie niepokoiły: rozdzieliły się na dwie grupy i mknęły wzdłuż domów, z każdą sekundą skracając dystans dzielący je od Artema. Tu, na otwartej przestrzeni, przewaga była po ich stronie: Artem nie mógł się zatrzymać, żeby wycelować jak należy. Do tego biegły na czterech kończynach, i ich sylwetki nie wznosiły się teraz nad ziemią na więcej niż metr, zlewając się prawie z ulicą. Choć Artem starał się biec najszybciej jak potrafił, skafander ochronny, plecak, dwa automaty i zmęczenie, które nawarstwiło się przez tę niekończącą się noc, dawały o sobie znać.

Wkrótce ta piekielna pogoń doścignie go i zrobi, co ma zrobić, pomyślał tracąc nadzieję. Przypomniały mu się szkaradne, choć potężne ciała drapieżników, leżące w kałużach krwi przy wejściu do budynku, tam, gdzie dosięgła ich seria z karabinu. Artem miał bardzo mało czasu, żeby się im przyjrzeć, ale wystarczył jeden rzut oka, żeby na długo wbiły mu się w pamięć: lśniąca brązowa sierść, ogromna okrągła głowa, paszcza pełna dziesiątków drobnych ostrych zębów, które, jak się zdawało, rosły w kilku rzędach. Artem przejrzał w pamięci wszystkie znane mu zwierzęta, ale nie mógł sobie przypomnieć ani jednego, które pod wpływem promieniowania mogłoby urodzić takie stwory.

Na szczęście na ulicy Sadowoje Kolco, jeśli to rzeczywiście była ona, nie rosły żadne drzewa. Była to po prostu kolejna szeroka ulica, ciągnąca się w lewo i w prawo od skrzyżowania aż po horyzont. Zanim znów rzucił się biegiem, Artem, nie patrząc, puścił w kierunku bestii krótką serię. Były już bliżej niż pięćdziesiąt metrów od niego i znów rozeszły się w półkole, tak że niektóre biegły prawie na jego wysokości. Na Sadowym musiał szukać drogi między kilkoma ogromnymi lejami zagłębiającymi się na pięć, sześć metrów w ziemię, i w jednym miejscu mocno nadłożyć drogi, żeby obiec głęboką szczelinę, która rozcinała na dwoje powierzchnię drogi. Pobliskie budynki wyglądały dziwnie: nie tyle jak po pożarze, co jak po powodzi. Miało się wrażenie, że działo się tu coś wyjątkowego, przez co dzielnica ucierpiała o wiele bardziej niż Kalininski Prospekt. Zaś w pewnym oddaleniu, wspaniałym i mrocznym tłem tego przerażającego pejzażu był wznoszący się na kilkaset metrów nietknięty przez czas ani ogień, nieprawdopodobnych rozmiarów budynek, przypominający średniowieczny zamek. Artem na ułamek sekundy spojrzał w górę, i wyrwało mu się westchnienie ulgi: nad zamkiem szybował straszny skrzydlaty cień, który teraz mógł być dla niego wybawieniem. Trzeba było tylko przyciągnąć jego uwagę, żeby zajął się goniącymi go stworami. Podniósł automat jedną ręką i skierował lufę ku latającemu potworowi, po czym nacisnął spust.

Nic się nie stało.

Skończyły mu się naboje.

W biegu nie było łatwo nawet przełożyć wiszący mu na plecach zapasowy karabin. Artem dał nura w jeden z najbliższych zaułków i zmienił broń. Teraz mógł nie dać im do siebie podejść, aż wystrzela magazynek w drugim automacie.

Pierwszy z nich ukazał się już zza rogu i typowym dla siebie ruchem usiadł na tylnych kończynach, prostując się na całą swoją ogromną wysokość. Miał śmiałość podejść tak blisko, że teraz Artem po raz pierwszy mógł popatrzyć jej w oczy: malutkie, ukryte pod masywnymi łukami brwiowymi, płonące złośliwym zielonym ogniem, podobnym do odblasków tych tajemniczych płomieni w parku.

Kałasznikow Daniły nie miał laserowego celownika, ale z takiej odległości nie pomyli się i ze zwykłym. Znieruchomiała bestia spokojnie pokazała mu się w celowniku. Artem mocniej przycisnął automat do ramienia i nacisnął spust.

Miękko dochodząc połowy język spustu zatrzymał się. Co się stało? Czyżby w popłochu pomylił automaty? Ależ nie, przecież na jego broni był laserowy celownik... Artem spróbował szarpnąć zamek. Zacięło się.

Myśli zawirowały mu w głowie. Daniła, bibliotekarze... To dlatego nie stawiał oporu, kiedy w labiryncie regałów zaatakował go ten szary potwór! Po prostu nie zadziałał mu karabin. Pewnie tak samo rozpaczliwie szarpał zamek, kiedy bibliotekarz ciągnął go w głąb korytarzy...

Obok pierwszej, cicho jak duchy pojawiły się dwie kolejne bestie. Przyglądały się badawczo Artemowi, który stracił już nadzieję, że poradzi sobie z karabinem Daniły, i, jak się zdawało, wyciągały z tego wnioski. Najbliższy ze stworów, pewnie przywódca stada, wykonał skok i wylądował pięć metrów od Artema.

W tym momencie nad ich głowami przemknął ogromny cień. Stwory przylgnęły do ziemi i podniosły głowy. Korzystając z zamieszania, Artem wskoczył w jedną z bram, nie mając już nadziei, że ujdzie z życiem z tych opałów, zupełnie jak zwierzę starając się tylko odsunąć chwilę swojej śmierci. W wąskich uliczkach nie miał z nimi najmniejszych szans, ale droga powrotna, na Sadowoje Kolco, była odcięta.

Znalazł się na środku kawałka wolnej przestrzeni o kształcie kwadratu, ograniczonego ścianami domów, w których widniały bramy i przejścia. Za budynkiem, naprzeciwko którego stał, wznosił się ten sam mroczny zamek, którego widok uderzył go jeszcze na Sadowym Kolcu. Oderwawszy wreszcie od niego wzrok, Artem zobaczył na budynku przed sobą napis: „Metro Moskiewskie im. W.I. Lenina” i troszkę niżej: „Stacja Smoleńska”. Wysokie dębowe drzwi były leciutko uchylone.

Trudno powiedzieć, jak udało mu się uchylić. Była to dziwna mieszanka: wyczuł zagrożenie i poczuł lekki podmuch powietrza, nieodłącznego towarzysza pędzącego ku swej ofierze drapieżnika. Stwór spadł na ziemię zaledwie pół metra od niego. Uskoczywszy w bok, co sił pobiegł w kierunku wejścia do metra. Tam był jego dom, jego świat, tam, pod ziemią, znów stawał się panem sytuacji.

Hol wejściowy Smoleńskiej wyglądał dokładnie tak, jak Artem się spodziewał: ciemny, wilgotny, pusty. Od razu było jasne, że na tej stacji ludzie często wychodzą na powierzchnię: kasy i wszystkie pomieszczenia służbowe były otwarte i wyczyszczone, wszystko, co mogło się przydać, przemieściło się w dół już wiele lat wcześniej. Nie ostały się ani bramki wejściowe, ani budki stróżów - przypominały o nich tylko betonowe fundamenty. Z tyłu widać było półokrągłe sklepienie tunelu, na niesamowitą głębokość schodziło kilka par schodów ruchomych. Światło latarki sięgało gdzieś do połowy zejścia i upewnić się, że tam rzeczywiście można wejść na stację, Artem nie mógł. Ale zostać w tym samym miejscu też nie mógł: stwory dostały się już do westybulu - zorientował się po skrzypnięciu drzwi. Za sekundę mogły dojść do schodów i ta minimalna przewaga, jaką wciąż nad nimi zachowywał, zmalałaby do zera.

Niezdarnie stąpając grubymi podeszwami butów po chwiejących się, karbowanych stopniach, Artem zaczął schodzić. Spróbował przeskoczyć kilka schodków naraz, ale stopa zjechała po mokrej powierzchni trochę dalej niż powinna, i poleciał w dół, uderzając głową o krawędź. Udało mu się zatrzymać dopiero kiedy obił lędźwiami i potylicą jakieś dziesięć stopni. Oświetliwszy latarką pokonany odcinek (jaki on był jednak krótki!) Artem odkrył tam właśnie to, czego szukał i bał się znaleźć: nieruchome ciemne figury. Swoim zwyczajem, zanim rzuciły się do ataku, zamarły badając sytuację lub bezgłośnie się naradzając. Artem odwrócił się i jeszcze raz spróbował przeskoczyć dwa stopnie. Tym razem wyszło mu to lepiej, i sunąc prawą ręką po gumowej taśmie balustrady, a lewą trzymając latarkę, biegł jeszcze jakieś dwadzieścia sekund, póki znowu się nie przewrócił.

Za nim rozległ się ciężki tupot. Stwory ruszyły.

Artem miał ogromną nadzieję, że żałośnie skrzypiące pod jego niewielkim ciężarem stare stopnie pod jego prześladowcami po prostu załamią się. Jednak zbliżający się z ciemności stukot świadczył o tym, że schody ruchome dobrze sobie radziły z obciążeniem.

W świetle latarki zobaczył ceglaną ścianę z dużymi drzwiami pośrodku. Miał do niej nie więcej niż dwadzieścia metrów. Artem z trudem podniósł się na nogi i przebył ostatni odcinek drogi w piętnaście sekund, które ciągnęły się niczym wieczność.

Drzwi były zrobione ze stalowych płyt i odpowiadały na uderzenia pięści głośno niczym dzwon. Artem bębnił w nie ze wszystkich sił - zbliżające się cienie, które niewyraźnie dostrzegał w półmroku, doganiały go. Dopiero po kilku sekundach zrozumiał, jaki straszny błąd popełnił i zrobiło mu się zimno: zamiast zapukać w drzwi umówionym kodem, tylko przepłoszył strażników. Teraz tamci już na pewno nie otworzą, choćby nie wiadomo co się stało. Któż mógłby chcieć tutaj wejść z powierzchni... Tym bardziej, że słońce już wstaje.

Jaki był ten umówiony sygnał? Trzy szybkie - trzy wolne - trzy szybkie? No, nie, to jest SOS. Na pewno były trzy na początku i trzy na końcu, ale szybkie czy wolne, nie mógł już sobie tego przypomnieć. A jeśli zacząłby teraz eksperymentować, o nadziejach na wejście można by w ogóle zapomnieć. Już lepiej SOS... Przynajmniej tak straż się zorientuje, że po drugiej stronie jest człowiek. Chociaż, jak powiedział Młynarz, nie wiadomo jeszcze, co gorsze.

Artem zabębnił po stali jeszcze raz, po czym ściągnął z ramienia automat i trzęsącymi się rękami zmienił magazynek z nabojami. Dobrze, że w karabinie Daniły był jeszcze jeden. Potem przycisnął latarkę do lufy automatu i nerwowo powiódł nią po prowadzących w górę schodach. Długie cienie ocalałych lamp nałożyły się na siebie w błądzącej strudze światła, i nie można było mieć pewności, że w jednym z nich nie przyczaiła się ciemna postać...

Z drugiej strony żelaznych drzwi nadal panowała pełna cisza. Boże, to chyba nie jest ta Smoleńska, pomyślał Artem. Może to wejście było zablokowane od dziesięciu lat i od tej pory nikt z niego nie korzystał? Przecież znalazł się tu całkiem przypadkowo, a nie idąc za instrukcjami stalkera. Mógł się przecież pomylić!

Całkiem blisko, jakieś piętnaście metrów od niego, skrzypnął stopień. Artem nie wytrzymał i puścił w tym kierunku serię z karabinu. Echo boleśnie chlasnęło Artema po uszach i zaczęło biec przez tunel na powierzchnię. Ale nie zabrzmiało nic podobnego do ryku rannej bestii. Naboje poleciały w pustkę.

Nie śmiejąc odwrócić wzroku, Artem oparł się o drzwi plecami i znów zapukał pięścią w żelazo: trzy szybkie, trzy wolne, trzy szybkie. Wydało mu się, że słyszy za drzwiami ciężki metaliczny zgrzyt. I właśnie w tym momencie z ciemności, z piorunującą szybkością, wyleciał drapieżnik.

Artem trzymał automat w prawej ręce i spust nacisnął niemal przypadkowo, kiedy instynktownie odskoczył do tyłu. Kule przecięły ciało stwora w powietrzu, i ten, zamiast

rozszarpać mu gardło, dwa metry przed nim runął na ostatnie stopnie ruchomych schodów. Ale już po chwili podniósł się i nie zwracając uwagi na tryskającą z rany krew, ruszył naprzód. Potem chwiejąc się znów skoczył i przygwoździł Artema do zimnej stali drzwi. Atakować już nie mógł: ostatnie pociski trafiły go w głowę, i kończąc swój skok stwór był już martwy. Ale siła rozpędu, z którą jego ciało uderzyło w Artema, byłaby wystarczająca żeby zmiażdżyć mu czaszkę, uratował go tkwiący na niej hełm.

Drzwi otworzyły się, i na zewnątrz wylało się ostre białe światło. Od strony ruchomych schodów dał się słyszeć ryk strachu: z tego, co usłyszał, tych stworów było tam teraz nie mniej niż pięć. Czyjeś silne ręce złapały go za kołnierz i wciągnęły do środka, po czym znów zazgrzytał metal: drzwi zamknięto i zasuwa wróciła na swoje miejsce.

- Ranny? - spytał obok niego czyjś głos.

- Cholera go wie... - odezwał się drugi. - Widziałeś, kogo ze sobą przyprowadził? Ledwo je odstraszyliśmy poprzednim razem, a i to dopiero gazem. Tego by jeszcze brakowało, żeby na Smoleńskiej się osiedliły, jakby mało im było Arbackiej. A co? To całkiem możliwe! Ludzkie mięso to lubią...

- Zostawcie go. On jest ze mną. Artem! Hej, Artem! No, ocknij się! - zawołał ktoś znajomy, i Artem, z trudem i niechętnie, otworzył oczy.

Pochylało się nad nim trzech ludzi. Dwaj z nich, pewnie strażnicy bramy, byli ubrani w ciepłe szare kurtki i czapki uszanki, obaj mieli kamizelki kuloodporne. W trzecim Artem z ulgą rozpoznał Młynarza.

- Czyli to jest ten, tak? - z lekkim rozczarowaniem w głosie spytał jeden z wartowników. No to zabieraj go pan, tylko niech pan nie zapomni o kwarantannie i dezynfekcji.

- Nie ucz uczonego. - uśmiechnął się stalker. - Wstawaj, Artem. Dużo czasu ci zajęło... - dodał, wyciągając do niego rękę.

Artem spróbował wstać, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Zachwiał się i zaczęło go mdlić, w głowie mu pociemniało.

- Trzeba go zabrać do lazaretu. Jeden mi pomoże, a drugi zamyka śluzę - rozporządził Młynarz.

Kiedy badał go lekarz, Artem oglądał białe kafelki, którymi była wyłożona sala operacyjna.

Pokój lśnił czystością, w powietrzu unosił się ostry zapach chloru, a pod sufitem było zamocowanych aż kilka lamp światła dziennego. Stołów operacyjnych też stało tu niemało, pod każdym wisiała szufladka z gotowymi do użycia instrumentami. Wyposażenie tutejszego małego szpitalika robiło wrażenie, ale do czego był on potrzebny neutralnej, z tego co Artem pamiętał, Smoleńskiej, było niejasne.

- Złamań nie ma, tylko stłuczenia. Kilka zadrapań, zdezynfekowaliśmy je - podsumował doktor, wycierając ręce w czysty ręcznik.

- Mógłby nas pan na chwile zostawić? - poprosił lekarza Młynarz. - Chcielibyśmy coś przedyskutować w cztery oczy.

Medyk kiwnął głową ze zrozumieniem i wyszedł. Stalker przysiadł na skraju kozetki, na której leżał Artem i poprosił go, by dokładnie opowiedział o wszystkim, co się wydarzyło. Według jego obliczeń, Artem powinien był dotrzeć na Smoleńską dwie godziny wcześniej, i Młynarz zamierzał już wychodzić na powierzchnię, by spróbować go odnaleźć. Opowieści o pogoni wysłuchał do końca, choć bez specjalnego zainteresowania, latające potwory nazwał książkowym słowem „pterodaktyl", a silniejsze emocje wywołała w nim tylko opowieść o tym, jak Artem skrył się w budynku. Kiedy się dowiedział, że w tym czasie, kiedy chłopak był w mieszkaniu, po klatce schodowej coś przepełzło, stalker się zasępił.

- Jesteś pewny, że nie wszedłeś w śluz na schodach? - pokręcił głową. - Niech Bóg broni, żebyś przyniósł to cholerstwo na stację. Mówiłem ci przecież, żeby nie zbliżać się do domów! Uważaj to za duże szczęście, że kiedy byłeś w mieszkaniu, to coś nie zdecydowało się wpaść w gości...

Młynarz wstał, podszedł do butów, które Artem zostawił przy wejściu i obejrzał pedantycznie podeszwy każdego z nich. Nie dostrzegłszy niczego podejrzanego, odstawił je na miejsce.

- Do Polis, jak już ci mówiłem, masz na razie zakaz wstępu. Nie mogłem powiedzieć braminom prawdy, dlatego myślą, że podczas wyprawy do Biblioteki obaj zaginęliście, a ja wybrałem się na poszukiwania. Więc jak to było z twoim kolegą?

Artem jeszcze raz opowiedział całą historię od początku do końca, tym razem szczerze wyjaśniając jak dokładnie umarł Daniła. Stalker zmarszczył brwi.

- Tę końcówkę lepiej zachowaj dla siebie. Szczerze mówiąc, pierwsza wersja jakoś bardziej mi się spodobała. Druga wzbudzi u braminów zbyt wiele wątpliwości. Ich człowiek zginął z twojej ręki, Księgi nie znalazłeś, za to wynagrodzenie znalazło się w twojej kieszeni. A tak przy okazji - dodał, patrząc na Artema spode łba - co tam było w tej kopercie?

Podniósłszy się nieco na łokciu, Artem wyciągnął z kieszeni pokrytą zaschłą krwią paczuszkę, spojrzał uważnie na Młynarza i otworzył ją.

ROZDZIAŁ 15
PLAN

Złożona na czworo kartka wyrwana ze szkolnego zeszytu i kawałek grubego kreślarskiego papieru z naszkicowanymi ołówkiem tunelami. To właśnie czegoś takiego spodziewał się Artem wewnątrz koperty: plan i instrukcja do niego. Póki biegł do Smoleńskiej przez Kaliniński Prospekt, zupełnie nie miał czasu pomyśleć o tym, co może być wewnątrz torebki, którą przekazał mu Daniła. Czarodziejskie rozwiązanie z góry nierozwiązywalnego problemu, coś, co będzie w stanie odsunąć od WOGN-u i całego metra ten miecz Damoklesa, to niepojęte i nieubłagane niebezpieczeństwo.

Na środku karteczki z wyjaśnieniami rozlała się brunatnoczerwona plama. Sklejony krwią bramina papierek trzeba było lekko zmoczyć, żeby otworzył się bez szkody dla napisanych drobnym pismem instrukcji.

„Część Nr... tunel... D6... ocalałe stanowiska... do 400 000 metrów kw... huragan... niesprawne... nieprzewidziane...” Ze zdenerwowania słowa skakały Artemowi przed oczyma, próbując wydostać się z poziomych linijek, zlewały się w jedną całość, a ich sens był dla niego absolutnie niezrozumiały. Zwątpił, że złoży z nich cokolwiek sensownego i oddał kartkę Młynarzowi. Ten ostrożnie wziął ją do rąk i chciwym wzrokiem wpił się w litery. Przez jakiś czas nic nie mówił, a potem Artem zobaczył, jak jego brwi uniosły się w niedowierzaniu.

- Nie może być - wyszeptał stalker. - To musi być łgarstwo! Nie przegapiliby czegoś takiego...

Obrócił kartkę i obejrzał ją z drugiej strony, a potem zaczął czytać od początku.

- Zachowali to dla siebie... Wojskowym ani słowa. Nic dziwnego... Pokażesz im coś takiego, a ci zaraz wrócą do tego, co kiedyś - mamrotał niezrozumiale Młynarz, póki Artem cierpliwie czekał na wyjaśnienia. - Ale że to przegapili? Niesprawne... No, powiedzmy, że tak... W każdym razie, to znaczy, że uwierzyli!

- To naprawdę może pomóc? - nie wytrzymał w końcu Artem.

- Jeśli wszystko, co tu napisano jest prawdą, to pojawia się dla nas nadzieja - kiwnął głową stalker.

- O co w tym chodzi? Nic nie zrozumiałem.

Młynarz nie od razu odpowiedział. Jeszcze raz doczytał tekst do końca, potem zamyślił się na kilka sekund i dopiero potem zaczął opowiadać:

- Słyszałem już kiedyś o czymś takim. Wciąż opowiadano legendy, ale przecież w metrze są ich tysiące. Tylko legendami tu żyjemy, nie samym chlebem. I o Uniwersytecie, i o Kremlu, i o Polis, nie odróżnisz, co jest prawdą, a co wymyślili przy ognisku na Placu Ilicza. No, i z tym tak samo... Chodziły niby słuchy, że gdzieś w Moskwie, albo pod Moskwą, ocalała baza rakietowa. Coś takiego, oczywiście, w żaden sposób nie mogło się wydarzyć. Obiekty wojskowe to zawsze cel numer jeden. Ale mówiło się, że tamci nie zdążyli, że nie zauważyli, czy zapomnieli, i jedna baza zupełnie nie ucierpiała. Opowiadali, że ktoś tam nawet chodził, coś tam widział, stoją tam niby wyrzutnie pod brezentem, nowiutkie, w hangarach... Wprawdzie w metrze nie ma z nich żadnego pożytku: tak głęboko pod ziemią i tak nic wrogowi nie zrobisz. Stoją, no i niech sobie stoją.

- To po co nam wyrzutnie rakiet? - Artem spojrzał ze zdziwieniem na stalkera i opuścił nogi z kozetki.

- Czarni podchodzą do WOGN-u od strony Ogrodu Botanicznego. Hunter podejrzewał, że schodzą do metra z powierzchni właśnie w tym rejonie. Logiczne jest założenie, że właśnie tam żyją. Właściwie są dwie możliwości. Pierwsza: miejsce, z którego przychodzą to, mówiąc umownie, ul, położony na powierzchni, niedaleko wejścia do metra.

Druga: w rzeczywistości nie ma żadnego ula, i czarni atakują miasto z zewnątrz. Powstaje pytanie: dlaczego nigdzie indziej ich nie widziano? Nielogiczne. Chociaż może to kwestia czasu. Generalnie sytuacja jest taka: jeśli przychodzą skądś z daleka, to tak czy inaczej, niczego z nimi nie zrobimy. Zasypiemy tunele za WOGN-em, czy nawet za Prospektem Mira - wcześniej czy później znajdą nowe wejścia. Zostanie nam zabarykadować się w metrze, zamknąć się na cztery spusty, zapomnieć o nadziei powrotu na górę i żyć tylko świniami i grzybami. Jako stalker, mogę jasno powiedzieć: długo tak nie pociągniemy. Ale! Jeśli mają swój ul, i jest on gdzie w pobliżu, tak jak myślał Hunter...

- Rakiety? - domyślił się wreszcie Artem.

- Salwa dwunastu rakiet z głowicami kasetowymi i odłamkowo-burzącymi pokrywa powierzchnię 400 000 metrów kwadratowych - Młynarz znalazł odpowiednie miejsce w tekście i przeczytał. - Kilka takich salw i z Ogrodu Botanicznego, jeśli tam oni żyją, zostanie tylko popiół.

- Ale pan przecież mówi, że to legendy - powiedział z niedowierzaniem Artem.

- A tu bramini mówią, że nie - stalker machnął kartką. - Jest tu nawet wyjaśnione, jak dostać się na teren tej jednostki wojskowej. Jest też, co prawda, napisane, że stanowiska są częściowo niesprawne.

- No, i jak się tam dostać?

- D-6. Jest tu mowa o D-6. Metro-2. Jest zaznaczone położenie jednego z wejść. Twierdzą, że prowadzi stamtąd tunel, między innymi do tej bazy. Ale zastrzegają się, że przy próbie przeniknięcia do Metra-2 mogą pojawić się nieprzewidziane przeszkody.

- Niewidzialni Obserwatorzy? - Artem przypomniał sobie zasłyszaną kiedyś rozmowę.

- Obserwatorzy to bzdura i puste gadanie - skrzywił się Młynarz.

- Baza rakietowa też była tylko legendą - wtrącił Artem.

- I będzie legendą, dopóki sam jej nie zobaczę - uciął stalker.

- A gdzie jest wejście do Metra-2?

- Jest napisane: stacja Majakowska. Dziwne... Tyle razy bywałem na Majakowskiej i nigdy o czymś takim nie słyszałem.

- Co teraz będziemy robić? - spytał Artem.

- Pójdziesz ze mną - odparł stalker. - Zjesz, odpoczniesz, a ja się na razie zastanowię. Jutro coś postanowimy.

Dopiero kiedy Młynarz wspomniał o jedzeniu, Artem poczuł, jak bardzo jest głodny. Zeskoczył na pokrytą zimnymi kafelkami posadzkę i pokuśtykał już w kierunku swoich butów, ale stalker zatrzymał go gestem.

- Obuwie i wszystkie ubrania zostaw tutaj, włóż do tej skrzynki. Będą ją czyścić i dezynfekować. Plecak też sprawdzą. Tu, na krześle, masz spodnie i kurtkę, załóż je.

Smoleńska wyglądała ponuro: niskie półokrągłe sklepienie, wąskie przejścia w grubych ścianach, wyłożonych białym kiedyś marmurem. Chociaż w kątach arkad były dekoracyjne półkolumny, a ściany zdobiła nieźle zachowana sztukateria, wszystko to pogłębiało tylko pierwsze odczucie. Stacja sprawiała wrażenie oblężonej od dawna cytadeli, której obrońcy upiększyli ją na swój sposób, od czego twierdza przybrała tylko jeszcze bardziej surowy wygląd. Podwójna betonowa ściana z masywnymi stalowymi drzwiami po obu stronach zapory, chronione betonem stanowiska strzeleckie przy wejściach do tuneli - wszystko mówiło o tym, że tutejsi mieszkańcy mają podstawy, by obawiać się o własne bezpieczeństwo. Kobiet na Smoleńskiej prawie nie było widać, za to wszyscy napotkani mężczyźni chodzili tu pod bronią. Kiedy Artem wprost spytał Młynarza, co się dzieje na tej stacji, ten zrobił tylko nieokreślony gest i powiedział, że niczego niezwykłego tu nie widzi.

Jednak Artema nie opuszczało dziwne poczucie wiszącego w powietrzu napięcia. Wszyscy tu jakby na coś czekali, i ten stan szybko udzielał się nowo przybyłym. Namioty

mieszkalne rozstawiono w szeregu pośrodku holu, a wszystkie przejścia między filarami były wolne, tak jakby bano się je zablokować i przeszkodzić szybkiej ewakuacji. Przy tym wszystkie namioty znajdowały się wyłącznie w przestrzeniach między arkadami, tak że z jednego toru było bezpośrednio widać drugi.

Pośrodku obu peronów, przy zejściu na tory, siedzieli wartownicy, mając bez przerwy w polu widzenia tunele prowadzące w obie strony. Obrazu dopełniała panująca na stacji niemal zupełna cisza. Ludzie rozmawiali tu ze sobą cicho, czasem w ogóle przechodząc na szept, tak jakby bali się, że ich głosy mogą zagłuszyć jakieś niepokojące dźwięki dochodzące z tuneli.

Artem spróbował sobie przypomnieć, co wie o Smoleńskiej. Może mieli niebezpiecznych sąsiadów? Nie, z jednej strony szyny prowadziły do światłej i bogatej Polis, serca metra, z drugiej tunel wiódł na Kijewską, o której Artem pamiętał tylko, że zamieszkiwali ją w większości „ci z Kaukazu", jakich widział na stacji Kitaj-Gorod i w celach więzienia u faszystów, na Puszkińskiej. Ale w końcu byli to zwykli ludzie i chyba nie powinni się ich tu tak obawiać...

Stołówka znajdowała się w środkowym namiocie. Czas obiadu, jak się zdawało, już minął, bo przy prostych stołach własnej roboty siedziało tylko kilka osób. Posadziwszy Artema przy jednym z nich, Młynarz wrócił po paru minutach z miską, w której parowała mało apetyczna szara breja. Pod dodającym otuchy wzrokiem stalkera Artem odważył się jednak jej spróbować i nie przestał jeść aż miska była pusta. W smaku miejscowa potrawa okazała się wprost doskonała, choć miałby trudności z określeniem konkretnych składników. Jedno było pewne: mięsa kucharz nie pożałował.

Kiedy skończył jeść i odsunął miskę na bok, Artem z błogim spokojem rozejrzał się dookoła. Przy sąsiednim stole wciąż jeszcze siedziało dwóch pogrążonych w cichej rozmowie ludzi. Chociaż byli ubrani w zwykłe waciaki, w ich postawie było coś, co zmuszało do wyobrażenia ich sobie w pełnych kombinezonach ochronnych z erkaemami przewieszonymi przez ramię.

Artem dostrzegł uważne spojrzenie, które wymienił jeden z nich z Młynarzem. Nie padło przy tym ani słowo. Mężczyzna w waciaku popatrzył przelotnie na Artema i wrócił do swojej nieśpiesznej rozmowy.

Kilka kolejnych minut minęło w milczeniu. Artem znów próbował porozmawiać z Młynarzem o stacji, na której się znajdowali, ale ten odpowiadał niechętnie i monosylabami.

Potem człowiek w waciaku wstał z miejsca, podszedł do ich stołu, i schylając się do Młynarza powiedział:

- To co zrobimy z tą Kijewską? Coraz bardziej narasta...

- Dobra, Artem, idź odpocząć - powiedział stalker. - Trzeci namiot licząc od naszego jest dla gości. Posłanie masz już przygotowane, wszystko załatwiłem. Na razie tu posiedzę, muszę porozmawiać.

Ze znajomym nieprzyjemnym uczuciem, że wyproszono go, żeby nie podsłuchiwał, kiedy dorośli rozmawiają, Artem posłusznie wstał i powlókł się do wyjścia. Przynajmniej mógł na własną rękę zwiedzić stację, pocieszył sam siebie.

Teraz, kiedy miał możliwość przyjrzeć się jej uważniej, Artem odkrył jeszcze kilka dziwnych szczegółów. Hol był idealnie uprzątnięty i różnoraki chłam, jakim nieodmiennie była zawalona większość zamieszkałych stacji w metrze, tu praktycznie był nieobecny.

Bo i Smoleńska wcale nie sprawiała wrażenia zamieszkałej stacji. Przypomniała mu naraz obrazek z podręcznika do historii, na której przedstawiono obóz wojskowy rzymskich legionistów. Regularnie, symetrycznie zorganizowana zamknięta przestrzeń, prowadząca obserwację we wszystkich kierunkach, żadnych zbędnych elementów, porozstawiani wszędzie wartownicy, umocnione wejścia i wyjścia...

Nie udało mu się długo spacerować po stacji. Natknąwszy się na otwarcie podejrzliwe spojrzenia jej mieszkańców, Artem już po kilku minutach zauważył, że go śledzą, i postanowił skryć się w namiocie gościnnym. Tam rzeczywiście czekało na niego pościelone łóżko polowe, zaś w rogu stała plastikowa torebka z przyklejoną karteczką z jego imieniem. Artem opadł na skrzypiące sprężynami łóżko i otworzył torbę. W środku leżały jego rzeczy osobiste, które zostawił w plecaku. Pogrzebał w nich chwilę i wyciągnął przyniesioną z powierzchni książkę dla dzieci. Ciekawe, czy badali jego mały skarb licznikiem Geigera? Miernik na pewno nerwowo by zaterkotał w pobliżu książki, ale Artem nie chciał o tym myśleć. Przerzucił parę stron, oglądając nieco wyblakłe obrazki na pożółkłym papierze i odwlekając tę chwilę, kiedy między kolejnymi stronicami znajdzie swoje zdjęcie.

Czy na pewno swoje?

Cokolwiek się teraz stanie z nim, z WOGN-em, z całym metrem, najpierw musi wrócić na swoją stację, żeby zapytać Suchego: kto jest na tym zdjęciu? Czy to mama, czy nie? Artem przyłożył fotografię do ust, potem znów wsunął ją między stronice i z powrotem schował książkę do plecaka. Na sekundę wydało mu się, że w jego życiu coś stopniowo wraca na swoje miejsce. W kolejnej sekundzie już spał.

Kiedy Artem otworzył oczy i wyszedł z namiotu, nie od razu uzmysłowił sobie, gdzie się obudził, tak bardzo stacja się zmieniła. Zostało na niej mniej niż dziesięć całych namiotów, pozostałe były porwane lub spalone. Ściany pokryła sadza i dziury od kul, tynk z sufitu opadł i wielkimi kawałami leżał na posadzce. Na skrajach peronu płynęły złowieszcze czarne strumyczki, zwiastujące jej rychłe zatopienie. W holu prawie nikogo nie było, tylko obok jednego z namiotów na podłodze bawiła się zabawkami mała dziewczynka. Na drugim końcu stacji, gdzie na górę prowadziły schody nowego wyjścia, słychać było przytłumione krzyki, i ściany co jakiś czas oświetlały płomienie. Oprócz nich mrok na stacji przebijały tylko dwie ocalałe lampy awaryjne.

Automat, który Artem, jak mu się zdawało, zostawił u wezgłowia łóżka polowego, gdzieś zniknął. Na próżno przeszukał cały namiot i pogodził się z tym, że będzie musiał iść bez broni.

Ale co tu się stało? Artem chciał zapytać baraszkującą dziewczynkę, ale ta, kiedy tylko go zobaczyła, zaczęła tak rozpaczliwie płakać, że dowiedzieć się od niej czegokolwiek było niemożliwe.

Zostawiwszy zanoszącą się płaczem małą, Artem ostrożnie przeszedł na drugą stronę arkad i wyjrzał na tory. Pierwsze, co przykuło jego wzrok, to trzy przytwierdzone do marmuru ściany litery z brązu: „W...GN”. Po drugiej, „O”, której brakowało, by utworzyć znajomy skrót, widniał tylko czarny ślad. Przez całą długość napisu w marmurze była głęboka szrama.

Trzeba było się dowiedzieć co się dzieje w tunelach. Jeśli stację ktoś zdobył, to, zanim przyjdzie z odsieczą, Artem powinien rozeznać się w sytuacji, żeby szczegółowo wyjaśnić sojusznikom z południa, jakie niebezpieczeństwo im grozi.

Po wejściu do tunelu od razu ogarnęły go takie nieprzeniknione ciemności, że nawet własną rękę Artem widział nie dalej niż do łokcia. W głębi coś wydawało dziwne skrzeczące dźwięki i iść tam bez broni było szaleństwem. Kiedy dźwięki na chwilę cichły, zaczynało być słychać, jak po ziemi ciurka woda, opływając ciężkie skórzane buty Artema i płynąc za niego do WOGN-u. Nogi mu drżały i odmawiały posłuszeństwa. Przerażony głos w jego głowie mówił, że iść dalej jest niebezpiecznie, że ryzyko jest nieznane, a w takich ciemnościach i tak nie uda mu się niczego zobaczyć. Ale druga jego część, nie zwracając uwagi na wszystkie racjonalne argumenty, ciągnęła go w głąb, w ciemność. I poddawszy się jej, jakby prowadzony za rękę, zrobił jeszcze jeden krok naprzód.

Mrok wokół stał się absolutny, nie widać było już kompletnie niczego, i przez to Artema ogarnęło dziwne uczucie, jakby jego ciało zniknęło. Z jego poprzedniego „ja" teraz pozostał tylko słuch i całkowicie na nim polegający umysł. Artem szedł tak jeszcze jakiś czas, lecz dźwięki, w kierunku których szedł, ciągle były równie odległe. Dały się za to słyszeć inne. Szuranie butów, kropką w kropkę podobne do tego, które słyszał wcześniej, w takiej samej ciemności, ale choćby nie wiadomo jak się starał, Artem nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie konkretnie i w jakich okolicznościach to było. I z każdym kolejnym krokiem, który dobiegał do niego z niewidocznej otchłani tunelu, Artem czuł jak do serca kropla za kroplą przesącza mu się czarny zimny strach. Po kilku chwilach nie wytrzymał i co tchu rzucił się z powrotem na stację, ale nie widząc w ciemnościach podkładów ani szyn, potknął się o jedną z desek i upadł, rozumiejąc, że teraz spotka go nieunikniony koniec.

Obudził się cały zlany potem i nawet nie od razu zdał sobie sprawę, że we śnie spadł z łóżka. Głowę miał nienormalnie ciężką, w skroniach pulsował mu tępy ból, i jeszcze kilka minut przeleżał na podłodze, zanim przyszedł wreszcie do siebie i udało mu się podnieść.

Ale w chwili, w której w głowie ciut mu się rozjaśniło, całkowicie wywietrzały z niej resztki koszmaru, i nie umiał już nawet w przybliżeniu przypomnieć sobie, co takiego mu się przyśniło. Uchylił wejście do namiotu i wyjrzał na zewnątrz. Oprócz nielicznych wartowników nie było nikogo - widocznie była właśnie noc. Artem kilka razy odetchnął zwyczajnym, wilgotnym powietrzem, wrócił do namiotu, położył się na łóżku polowym i zasnął mocnym, pozbawionym marzeń snem. Obudził go Młynarz.

Ubrany w ciemną ciepłą kurtkę z podniesionym kołnierzem i wojskowe spodnie z kieszeniami, wyglądał jakby miał zamiar za chwilę wyjść ze stacji. Na głowie miał wciąż tę samą starą, czarną furażerkę, a na ziemi przed nim stały dwie duże torby, które wydały mu się znajome.

Młynarz butem popchnął do niego jedną z nich i powiedział:

- Trzymaj. Buty, ubranie, plecak, broń. Przebierz się teraz i przygotuj. Skafandra nie musisz zakładać, nie wychodzimy na powierzchnię, po prostu weź go ze sobą. Wyruszamy za pół godziny.

- Dokąd idziemy? - mrugając oczyma z niewyspania i desperacko próbując powstrzymać ziewnięcie, spytał Artem.

- Kijewska. Jeśli wszystko będzie w porządku, potem wzdłuż Okrężnej do Białoruskiej, i Majakowskiej. A tam zobaczymy. Zbieraj się.

Stalker usiadł na stojącym w kącie stołku, wyciągnął z kieszeni urywek gazety i zabrał się do robienia skręta, od czasu do czasu spoglądając na Artema. Pod tym badawczym spojrzeniem Artemowi wszystko wypadało z rąk, i przygotowania trwały nieco dłużej, niż mogły, gdyby Młynarz zostawił go samego.

Mimo to, dwadzieścia minut później był już gotowy. Młynarz bez słowa wstał z taboretu, wziął swoją torbę i wyszedł na peron. Artem rozejrzał się po namiocie i poszedł za nim.

Przeszli przez arkady i doszli do torów. Młynarz zszedł po dostawionych drewnianych schodkach, kiwnął głową wartownikowi i ruszył w kierunku tunelu. Z tej strony peronu, gdzie szyny prowadziły na Kijewską, pół szerokości tunelu zajmowało obetonowane stanowisko ogniowe z wąskimi otworami strzelniczymi. Przejście zagradzała żelazna krata, której pilnowało dwóch wartowników. Młynarz wymienił z nimi kilka krótkich, niewyraźnych zdań, po czym jeden ze strażników otworzył kłódkę i pchnął kratę.

Wzdłuż jednej ze ścian tunelu ciągnął się owinięty czarną taśmą izolacyjną przewód, z którego co każde dziesięć-piętnaście metrów zwisała słaba żarówka, ale nawet takie oświetlenie w tym miejscu wydało się Artemowi prawdziwym luksusem. Jednak trzysta kroków dalej kabel się kończył, i czekali tam kolejni wartownicy. Nie mieli żadnych mundurów, ale wyglądali jakoś poważniej niż wojskowi w Polis. Jeden z nich, kiedy

rozpoznał twarz Młynarza, kiwnął mu głową, przepuszczając go przodem. Zatrzymawszy się na skraju oświetlonej przestrzeni, stalker wyjął z torby latarkę i włączył ją.

Po następnych kilkuset metrach przed nimi rozległy się głosy i błysnęło światło latarek. Niezauważalnym ruchem automat Młynarza spadł mu z ramienia i znalazł się w jego rękach. Artem poszedł za jego przykładem.

Był to pewnie jeszcze jeden, najdalszy posterunek ze Smoleńskiej. Dwóch potężnych, uzbrojonych mężczyzn, w grubych kurtkach z kołnierzami podbitymi sztucznym futrem kłóciło się z trzema straganiarzami. Strażnicy mieli na głowach okrągłe wiązane czapki, u obu na skórzanych rzemykach wisiały noktowizory. Dwaj straganiarze mieli przy sobie broń, ale Artem dałby głowę, że byli to właśnie handlarze. Olbrzymie wory ze szmatami, plan tuneli w ręku, szczególny, cwaniacki wzrok, czupurnie błyszczące w świetle latarek oczy - wszystko to widział nie pierwszy raz. Straganiarzy zwykle bez problemów wpuszczano na wszystkie stacje, może oprócz tych, które wchodziły w skład Hanzy. Ale jak się zdawało, na Smoleńskiej nikt ich nie oczekiwał.

- No, dobra bracie, co ty tak, ciągle to samo, my nawet nie na tę twoją Smoleńską, a tak tylko, przejazdem - przekonywał strażnika jeden z handlarzy, wąsaty drągal w kusej kufajce.

- Ciuchy tu mamy, proszę, sami zobaczcie, w Polis będziemy handlować - przytakiwał mu drugi straganiarz, krępy i zarośnięty aż po oczy.

- Co my ci za krzywdę zrobimy, tylko skorzystasz, o, popatrz, dżinsy zupełnie jak nówki, zdaje się twój rozmiar, firmowe, ot tak ci oddam - przejął inicjatywę trzeci.

Wartownik kręcił głową w milczeniu, blokując przejście. Prawie nic nie odpowiadał, ale gdy tylko jeden ze straganiarzy wziął jego milczenie za zgodę i spróbował zrobić krok naprzód, obaj strażnicy szczęknęli bezpiecznikami swoich karabinów. Młynarz i Artem stali pięć kroków za ich plecami, i chociaż stalker opuścił broń, w jego postawie dało się wyczuć napięcie.

- Stać! Macie pięć sekund, żeby się odwrócić i odejść. Na stacji jest stan wyjątkowy, nikogo tu nie wpuszczamy. Pięć... cztery... - zaczął liczyć jeden z wartowników.

- To jak mamy teraz iść, znów przez Okrężną? - chciał jeszcze protestować jeden ze straganiarzy, ale drugi pokręcił głową z rezygnacją i pociągnął go za rękaw i handlarze podnieśli z ziemi worki i ruszyli z powrotem.

Odczekawszy minutę stalker dał Artemowi znak, i poszli w kierunku Kijewskiej w ślad za straganiarzami. Kiedy przechodzili obok wartowników jeden z nich milcząco kiwnął Młynarzowi i przyłożył dwa palce do skroni jakby salutując.

- Stan wyjątkowy? - zainteresował się Artem, kiedy minęli posterunek. - Co to znaczy?

- Wróć tam i zapytaj - uciął ten, wybijając Artemowi z głowy dalsze pytania.

Chociaż Artem i Młynarz starali się trzymać z daleka od idących przodem straganiarzy, ich głosy słychać było coraz bliżej, a potem nagle się urwały. Ale nie przeszli nawet dwudziestu kroków, kiedy w twarze zaświeciły im latarki.

- Hej, kto tam? Czego chcecie? - krzyknął ktoś nerwowo, i Artem rozpoznał głos jednego z handlarzy, których zawróciła w pół drogi wystawiona przed Smoleńską straż.

- Spokojnie. Dajcie przejść, nic wam nie zrobimy. Idziemy na Kijowską - niezbyt głośno, ale wyraźnie odpowiedział stalker.

- Idźcie, puścimy was przodem. Nie musicie nam chuchać w plecy - naradziwszy się, oznajmiły głosy.

Młynarz wzruszył ramionami z niezadowoleniem i nieśpiesznie ruszył naprzód. Jakieś trzydzieści metrów dalej rzeczywiście stali ci sami trzej straganiarze. Kiedy Artem i Młynarz się do nich zbliżyli, kupcy grzecznie skierowali lufy w ziemię, rozstąpili się i dali im przejść. Stalker, jak gdyby nigdy nic, ruszył dalej, ale Artem zauważył, że zmienił krok:

szedł teraz bezszelestnie, jakby bojąc się zagłuszyć dochodzące z tyłu dźwięki. I chociaż straganiarze natychmiast ruszyli za nimi, Młynarz ani razu się nie obejrzał. Artem próbował stłumić w sobie chęć, by to zrobić całe trzy minuty, ale potem jednak spojrzał za siebie.

- Hej! - z tyłu dał się słyszeć wytężony głos. - Poczekajcie no!

Stalker stanął. Artem zaczął się zastanawiać, dlaczego ten tak posłusznie spełnia wszystkie polecenia jakichś tam drobnych handlarzy.

- Przez Kijewską się tacy ostrzy zrobili, czy to dlatego, że ochraniają Polis? - dognawszy ich spytał jeden ze straganiarzy.

- Przez Kijewską, wiadoma rzecz - od razu odpowiedział Młynarz, i Artem poczuł ukłucie zazdrości: jemu stalker nie chciał niczego powiedzieć.

- No tak, można ich zrozumieć. Na Kijewskiej robi się teraz strasznie. No, ale nic. Zaraz tym czyścioszkom z waszej warty zrobi się gorąco. Bo jak Hanza przestanie wpuszczać, to wszyscy z Kijewskiej pobiegną do was. Sam rozumiesz, jak się dzieje coś takiego, to kto by chciał tam dalej mieszkać? Lepiej już pod kule... - zwracając się czy to do stalkera, czy to do siebie, mruknął wysoki straganiarz.

- Jasne, bo sam się pod kule rzuciłeś? - fuknął szyderczo drugi. - Też mi, Matrosow się znalazł!

- No bo na razie jeszcze mi nie dopiekło - odparł dryblas.

- A co tam się takiego dzieje? - nie wytrzymał Artem.

Dwaj straganiarze natychmiast spojrzeli na niego tak, jakby zadał głupie pytanie, na które umie odpowiedzieć każde dziecko. Stalker zachował milczenie. Milczeli też handlarze, tak że przez jakiś czas szli w całkowitej ciszy. Przez to, a może dlatego, że przeciągająca się cisza robiła się lekko przerażająca, Artemowi odechciało się słuchać wyjaśnień. I kiedy chciał już machnąć na to ręką, drągal wreszcie niechętnie się odezwał:

- Tunele tam są do Parku Pobiedy, ot co...

Słysząc nazwę stacji, jego dwaj koledzy skulili się ze strachu, i Artemowi wydało się przez moment, że poczuł powiew zatęchłego tunelowego przeciągu, ściany tunelu zbliżyły się do siebie. Nawet Młynarz poruszył ramionami, tak jakby chciał się ogrzać. Artem chyba nigdy nie słyszał niczego złego o Parku Pobiedy i nie mógł sobie przypomnieć ani jednej historyjki zawiązanej z tą stacją. Więc dlaczego na dźwięk tej nazwy nagle zrobiło mu się tak nieswojo?

- Czyli co, robi się gorzej? - ciężko spytał stalker.

- A bo my to wiemy? My jesteśmy postronni ludzie. Tak tylko czasem tamtędy przechodzimy. Żeby się tam zatrzymać, to sami rozumiecie... - burknął coś nieokreślonego brodaty.

- Ludzie tam giną - szeptem oznajmił krępy straganiarz. - Wielu się boi, uciekają. Trudno się już połapać kto zniknął, kto sam uciekł, a pozostałych od tego jeszcze większy strach ogarnia.

- Wszystkie te tunele są przeklęte - splunął na ziemię dryblas.

- Ale przecież są zasypane - ni to spytał, ni to stwierdził Młynarz.

- Już od stu lat są zasypane, i co z tego? Jak jesteś stąd, to powinieneś nas lepiej rozumieć! Wszyscy tam wiedzą, że strach idzie z tuneli, choćby i trzy razy je wysadzili i zagrodzili. Każdy to czuje na własnej skórze, jak tylko tam nos pokaże, nawet Siergiejewicz - dryblas pokazał na swojego brodatego kolegę.

- Dokładnie - potwierdził zarośnięty Siergiejewicz i z jakiegoś powodu się przeżegnał.

- Przecież pilnują tych tuneli? - sprecyzował Młynarz

- Codziennie warty stoją - przytaknął wąsaty.

- A chociaż raz kogoś złapali? Albo widzieli? - dopytywał się stalker.

- A skąd my mamy wiedzieć? - rozłożył ręce straganiarz. - Nic takiego nie słyszałem. Zresztą tam i nie ma kogo łapać.

- A co o tym mówią miejscowi? - nie ustępował Młynarz.

Drągal nic nie odpowiedział, tylko machnął ręką z rezygnacją, za to Siergiejewicz obejrzał się nie wiedzieć czemu za siebie i głośno szepnął:

- Miasto umarłych... - i od razu znów zaczął się żegnać.

Artem chciał się już roześmiać: zbyt wiele już słyszał historii, baśni, legend i teorii o tym, gdzie dokładnie mieszkają w metrze umarli ludzie. I dusze w rurach wzdłuż ścian tuneli, i wrota do piekieł, które kopią na jednej ze stacji... teraz znów miasto umarłych na stacji Park Pobiedy. Ale upiorny powiew sprawił, że śmiech uwiązł mu w gardle, i pomimo ciepłego ubrania przejął go dreszcz. Najgorsze było to, że Młynarz umilkł i nie zadawał już żadnych pytań, choć Artem miał nadzieję, że zbędzie lekceważąco taki głupi pomysł.

Całą pozostałą drogę przeszli w milczeniu, każdy pogrążony w swoich myślach. Do samej Kijewskiej tunel okazał się być zupełnie spokojny, pusty, suchy i czysty, ale wbrew temu ciężkie, przygniatające poczucie, że przed nimi czeka coś złego, narastało z każdym krokiem.

Jak tylko weszli na stację, to uczucie zalało ich jak wzburzone wody gruntowe, tak samo niepowstrzymane, tak samo brudne i lodowate.

Tutaj niepodzielnie panował strach, i było to widać na pierwszy rzut oka. Czy to ta sama „słoneczna Kijewska", o której mówił Artemowi ten więzień z Kaukazu, który siedział z nim w jednej celi w niewoli u faszystów? Czy może miał na myśli stację o tej samej nazwie położoną na Linii Filewskiej?

Nie można było powiedzieć, że stacja była opuszczona i wszyscy mieszkańcy uciekli. Ludzi, jak się okazało, było tu całkiem sporo, ale odnosiło się wrażenie, że Kijewska nie należy do jej mieszkańców. Wszyscy starali się trzymać w grupie, namioty były przylepione do ścian i do siebie nawzajem na środku holu. Odległości, konieczne ze względu na niebezpieczeństwo pożaru, nigdzie nie były zachowane: widać było, że mieszkający w tych namiotach ludzie musieli się obawiać czegoś groźniejszego niż ogień. Przechodnie, kiedy Artem patrzył im w oczy, od razu spuszczali zaszczuty wzrok i, unikając obcych, uciekali im z drogi niczym kryjące się po kątach karaluchy.

Peron, ściśnięty między dwoma rzędami niskich zaokrąglonych arkad, z jednej strony schodził w dół kilkoma ciągami schodów ruchomych, z drugiej nieco się wznosił po krótkich schodach, gdzie otwierało się boczne przejście na drugą stację. W kilku miejscach tliły się węgle i unosił drażniący zapach pieczonego mięsa, gdzieś płakało dziecko. Może i Kijewska znajdowała się na progu wymyślonego przez przestraszonych mieszkańców miasta umarłych, jednak ona sama była absolutnie żywa.

Szybko się pożegnawszy, straganiarze zniknęli w przejściu na inną linię. Młynarz rozejrzał się po gospodarsku dookoła i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę jednego z przejść. Bywał tu regularnie, było to widać od razu. Artem nie mógł wydedukować czemu stalker tak szczegółowo wypytywał straganiarzy o stację. Spodziewał się, że w swoje niestworzone historie przypadkiem wplotą wskazówkę co do rzeczywistej sytuacji? Próbował sprawdzić, czy nie są aby szpiegami?

Po chwili zatrzymali się przed wejściem do pomieszczeń służbowych. Drzwi były tu wybite, lecz na zewnątrz stał wartownik. Dowództwo, domyślił się Artem.

Na spotkanie stalkerowi wyszedł gładko ogolony starszy mężczyzna ze starannie zaczesanymi włosami. Miał na sobie stary niebieski uniform pracownika metra, wytarty i wyblakły, ale zadziwiająco czysty. Niepojęte było jak udaje mu się tak o siebie dbać na tej stacji. Mężczyzna zasalutował Młynarzowi, ale nie na poważnie, jak strażnicy w tunelu, lecz żartobliwie. Jego oczy mrużyły się w uśmiechu.

- Dobry dzień - powiedział przyjemnym głębokim głosem.

- Zdrówka życzę - odparł stalker i uśmiechnął się.

Dziesięć minut później siedzieli w ciepłym pokoju i pili niezmienną grzybową herbatę. Tym razem nie wyprosili Artema na zewnątrz, jak się spodziewał, a pozwolili mu być obecnym podczas dyskusji o poważnych sprawach. Niestety z rozmowy stalkera i naczelnika stacji, którego ten nazywał Arkadijem Siemionowiczem, tak czy inaczej niczego nie zrozumiał. Najpierw Młynarz spytał o niejakiego Tretiaka, a potem dowiadywał się, czy w tunelach nic się nie zmienia. Naczelnik oznajmił, że Tretiak opuścił stację w sprawach osobistych, ale powinien niedługo wrócić, i zaproponował, żeby Młynarz na niego zaczekał. Potem zagłębili się w detale jakichś umów, tak że Artem szybko zupełnie stracił wątek. Po prostu siedział, siorbał gorącą herbatę, której grzybowy aromat przypominał mu o jego stacji, i rozglądał się wokół. Kijewska wyraźnie pamiętała lepsze czasy: ściany pomieszczenia były obwieszone podniszczonymi przez mole, ale mimo to nieźle zachowanymi kobiercami, w niektórych miejscach bezpośrednio na nich przybito zrobione ołówkiem szkice sieci tuneli w grubych pozłacanych ramach, a stół, przy którym siedzieli, wyglądał na najprawdziwszy antyk, i Artem nie umiał sobie nawet wyobrazić, ilu trzeba było stalkerów, żeby wynieść go z czyjegoś opustoszałego mieszkania, i ile władze stacji zgodziły się za niego zapłacić. Na jednej ze ścian wisiała pociemniała ze starości szabla, a obok niej wyglądający na prehistoryczny pistolet, wyraźnie nienadający się do strzelania. W dalszym krańcu pokoju, na szafce, bielała ogromna czaszka, należąca do jakiegoś nieznanego stworzenia.

- Ale nic tam nie ma, w tych tunelach - pokręcił głową Arkadij Siemionowicz. - Straże wystawiłem, żeby ludzi uspokoić. Sam tam przecież chodziłeś, wiesz doskonale, że oba tunele jakieś trzysta metrów od stacji są zasypane. Nic tam nie może przyjść, nie ma skąd. To są przesądy.

- Ale przecież ludzie znikają? - spochmurniał Młynarz.

- Znikają - potwierdził naczelnik - ale przecież nie wiadomo gdzie. Myślę, że się boją i dlatego uciekają. W przejściach posterunków nie trzymamy, a tam - machnął ręką w stronę schodów - jest całe miasto. Jest dokąd iść. I na Okrężną, i na Filewską. Hanza podobno teraz wpuszcza ludzi z naszej stacji.

- A czego się boją? - spytał stalker.

- Jak to czego? Tego, że ludzie znikają. No, i masz błędne koło - Arkadij Siemionowicz rozłożył ręce.

- Dziwne - z niedowierzaniem i przeciągle rzekł Młynarz. - Wiesz co, póki czekamy na Tretiaka, pójdziemy raz z wartownikami. Tak żeby się rozejrzeć. Bo na Smoleńskiej się niepokoją.

- Rozumiem - kiwnął naczelnik. - W takim razie, idźcie teraz do trzeciego namiotu; mieszka tam Anton. Jest dowódcą następnej zmiany. Powiedz, że ja was przysłałem.

W namiocie z narysowaną cyfrą „3” było głośno. Na podłodze dwaj chłopcy w wieku około dziesięciu lat, obaj prawie albinosy, jak większość dzieci urodzonych w metrze, bawili się łuskami po nabojach do automatu. Obok nich siedziała mała dziewczynka patrząca na braci okrągłymi z ciekawości oczyma, ale nie decydująca się na udział w zabawie. Schludna kobieta w średnim wieku w fartuszku kroiła coś do jedzenia na obiad. Było tu przytulnie, w powietrzu czuć było apetyczny domowy zapach.

- Anton wyszedł, usiądźcie i poczekajcie - zaproponowała z serdecznym uśmiechem kobieta.

Chłopcy z początku spoglądali na nich czujnie, a potem jeden z nich podszedł do Artema i, patrząc na niego spode łba, zapytał:

- Masz łuski?

- Oleg, natychmiast przestań żebrać! - surowo powiedziała kobieta, nie odrywając się od gotowania.

Ku zdziwieniu Artema, Młynarz wsunął rękę do kieszeni spodni, pogrzebał w niej i wyciągnął kilka nietypowych, podłużnych łusek, na pewno nie do kałasznikowa. Zamknął pięść i potrząsnął nią jak grzechotką, po czym podał te skarby chłopczykowi. Temu natychmiast błysnęły oczy, ale nie odważył się wziąć podarunku.

- Bierz, bierz! - stalker puścił mu oko i wysypał łuski na wyciągnięta dziecięcą dłoń.

- Ale teraz ja wygram! Patrz, jakie wielkie! To będzie specnaz! - wesoło zawołał malec.

Przyjrzawszy się, Artem zauważył, że łuski, którymi się bawili, były ułożone w równe szeregi i, widocznie, przedstawiały żołnierzy. Sam też tak się kiedyś bawił, ale tylko on miał takie szczęście: miał jeszcze prawdziwe małe ołowiane żołnierzyki, nawet jeśli pochodziły z różnych kompletów.

Kiedy na podłodze rozpoczęła się bitwa, do namiotu wszedł ojciec chłopców - niewysoki szczupły człowiek z rzadkimi jasnymi włosami. Kiedy zobaczył obcych, ukłonił im się w milczeniu i nadal bez słowa popatrzył z niepokojem na Młynarza.

- Tata, tata, przyniosłeś nam więcej łusek? Oleg ma teraz więcej, dostał takie długie! - zaczął szarpać ojca za spodnie drugi chłopczyk.

- My od naczelnika - wyjaśnił stalker. - Pójdziemy z panem na wartę do tunelu. Jako posiłki.

- Po co tu komu posiłki... - burknął gospodarz namiotu, ale twarz mu się rozjaśniła. - Jestem Anton. Zjemy tylko obiad i pójdziemy. Siadajcie - wskazał wypchane worki, które służyły w tym domu jako krzesła.

Pomimo sprzeciwu gości, obaj dostali po dymiącej misce z nieznanymi Artemowi bulwami. Spojrzał pytająco na stalkera, ale ten pewnym ruchem nabił kawałek na widelec, włożył do ust i zaczął gryźć.

Na jego kamiennej twarzy pojawiło się nawet coś na kształt zadowolenia, i to dodało Artemowi odwagi. W smaku bulwy zupełnie nie przypominały grzybów, były słodkawe i nieco tłuste, a nasycić można się było już po kilku chwilach. Z początku Artem chciał spytać, co jedzą, ale potem pomyślał, że lepiej już nic o tym nie wiedzieć. Smaczne, i dobrze. Są miejsca, gdzie szczurzy mózg uważają za przysmak...

- Tata, a mogę iść z tobą na wartę? - po zjedzeniu połowy swojej porcji i rozmazaniu po brzegach reszty, spytał ten chłopiec, któremu stalker podarował łuski.

- Nie, Oleg, przecież wiesz - marszcząc brwi odpowiedział gospodarz.

- Oleg! Jaka znowu warta? Coś ty wymyślił? Tam małych chłopców nie biorą! - łapiąc syna za rękę zawodziła kobieta.

- Mama, wcale nie jestem mały! - oglądając się niezdarnie na gości i próbując mówić basem, odezwał się Oleg.

- Nawet o tym nie myśl! Chcesz, żebym wpadła w histerię? - podniosła głos matka.

- No, dobrze, dobrze... - mruknął chłopczyk.

Ale kiedy tylko kobieta poszła na drugi koniec namiotu, żeby przynieść jeszcze coś do jedzenia, pociągnął ojca za rękaw i głośno szepnął:

- Przecież poprzednim razem mnie brałeś...

- Koniec dyskusji! - surowo powiedział gospodarz.

- Wszystko jedno... - ostatnie słowa Oleg mruknął pod nosem, tak że nie dało się ich zrozumieć.

Anton skończył jeść, wstał od stołu, otworzył stojącą na podłodze żelazną skrzynię, wyciągnął stamtąd stary wojskowy AK-47 i powiedział:

- To co, idziemy? Dziś zmiana jest krótka, za sześć godzin będę z powrotem - oznajmił żonie.

W ślad za nim podnieśli się też Młynarz i Artem. Mały Oleg z rozpaczą w oczach patrzył na ojca i niespokojnie wiercił się na miejscu, ale nic nie powiedział.

Przy czarnym gardle tunelu, na skraju peronu, z nogami zwieszonymi w dół, siedziało dwóch wartowników, trzeci stał na torach i wpatrywał się w ciemność. Na ścianie widniał odbity z szablonu napis: „Konfederacja Arbacka. Witamy!”. Litery były na wpół zatarte, od razu było widać, że go od dawna nie przemalowywali. Strażnicy rozmawiali szeptem, a nawet uciszali się nawzajem, jeśli któryś z nich podniósł głos.

Oprócz stalkera i Artema, z Antonem szło jeszcze dwóch miejscowych. Obaj byli posępni i małomówni, na gości patrzyli nieprzyjaźnie, a jak się nazywają - Artem nie dosłyszał.

Wymieniwszy kilka krótkich zdań ze strzegącymi wejścia do tunelu ludźmi, zeszli na tory i powoli ruszyli naprzód. Półokrągłe sklepienie tunelu było tu zupełnie zwyczajne, posadzka i ściany wyglądały na nietknięte przez czas. A mimo to Artema już od pierwszych kroków zaczęło ogarniać to nieprzyjemne uczucie, o którym mówili straganiarze. Z czeluści pełzł im na spotkanie ciemny, niepojęty strach. W tunelu było cicho, tylko z oddali dochodziły ludzkie głosy: to pewnie tam znajdował się posterunek.

Była to jedna z najdziwniejszych placówek, jakie Artem miał okazję widzieć. Na wypełnionych piaskiem workach siedziało w kręgu kilku ludzi, pośrodku stał żelazny piecyk koza, kawałek dalej wiadro z mazutem. Twarze wartowników oświetlały tylko przeciskające się przez szczeliny w piecyku języczki ognia i rozedrgany płomyk zwisającej z sufitu lampy olejowej. Od smrodliwego oddechu tuneli lampa delikatnie się kołysała, przez co zdawało się, że cienie nieruchomo siedzących ludzi żyją własnym życiem. Wartownicy spokojnie siedzieli plecami do tunelu, co porażało i kłuło w oczy bardziej niż wszystko inne.

Osłaniając oczy od oślepiającego światła latarek zmienników, strażnicy zaczęli zbierać się do domu.

- No, i jak? - spytał ich Anton nabierając czerpakiem mazutu.

- A jak tu może być? - uśmiechnął się niewesoło dowódca zmiany. - Tak jak zawsze. Pusto. Cicho. Cicho... - pociągnął nosem i, przygarbiony, poszedł w kierunku stacji.

Kiedy pozostali przysuwali swoje worki bliżej piecyka i rozsiadali się na nich, Młynarz zwrócił się do Antona:

- To co, podejdziemy dalej, zobaczymy jak to wygląda?

- Kiedy tam nie ma na co patrzeć: zawał jak zawał, już sto razy to oglądałem. Rzuć okiem jeśli chcesz, to tylko piętnaście metrów stąd - Anton wskazał przez ramię w stronę Parku Pobiedy.

Tunel przed zawałem był na wpół rozwalony. Tory były pokryte odłamkami kamieni i ziemią, sufit w niektórych miejscach się zapadł, a ściany osypały, zwężając prześwit. Z boku czerniał przekrzywiony otwór wejścia do niewiadomych pomieszczeń służbowych, zaś na samym końcu tego kawałka tunelu pordzewiałe szyny ginęły w stercie pokruszonych bloków betonu wymieszanych z kamieniami i ziemią. W tej warstwie ziemi pogrążały się też ciągnące się wzdłuż ścian metalowe rury komunikacyjne.

Oświetliwszy latarką zawalony tunel i nie znajdując żadnych ukrytych przejść, Młynarz wzruszył ramionami i wrócił do przekrzywionych drzwi. Skierował tam promień latarki, zajrzał do środka, jednak nie przeszedł przez próg.

- W drugim przejeździe też żadnych zmian? - spytał Antona, kiedy wrócił do piecyka.

- Tak jak dziesięć lat temu, tak i teraz - odparł ten.

Przez dłuższą chwilę milczeli. Teraz, przy wyłączonych latarkach, światło znów pochodziło jedynie od niedokładnie zamkniętej kozy i drobnego płomyczka za zakopconym szkłem lampy olejowej, i ciemność wokół na tyle zgęstniała, że, jak się zdawało, wypierała obce ciała, niczym woda morska. Pewnie dlatego wszyscy wartownicy skupili się wokół piecyka tak blisko, jak to było możliwe: mrok i zimno przebijały tu żółte promienie światła i

oddychało się swobodniej. Artem czekał cierpliwie, ile tylko mógł, ale potrzeba, by usłyszeć jakikolwiek dźwięk sprawiła, że pokonał nieśmiałość:

- Nigdy wcześniej nie byłem na waszej stacji - powiedział Antonowi po odchrząknięciu - i dlatego nie rozumiem, dlaczego trzymacie tu wartę, jeśli tam niczego nie ma? Przecież wy tam nawet nie patrzycie!

- Taki system - wyjaśnił dowódca. - Mówią, że dlatego nic specjalnego się tu nie dzieje, że pilnujemy.

- A co tam jest, za tym zawałem?

- Tunel, jak sądzę. Do samego... - przerwał na moment, obejrzał się za siebie i spojrzał w tamtym kierunku - do samego Parku Pobiedy.

- A tam ktoś mieszka?

Anton nic nie odpowiedział, tylko w nieokreślony sposób pokręcił głową, chwilę milczał, a potem spytał:

- A ty co, w ogóle nic nie wiesz o Parku Pobiedy? - i mimo że nie doczekał się od Artema odpowiedzi, ciągnął: - Bóg jeden wie, co tam teraz zostało, ale kiedyś była tam ogromna, podwójna stacja, jedna z tych, które zostały zbudowane na końcu. Niektórzy starsi nawet tam bywali jeszcze wtedy... no... przed... więc, mówią, że stacja miała bardzo bogaty wystrój i była wykopana bardzo głęboko, nie tak jak inne z tych nowych. I ludzie, jak sądzę, mieli tam jak u pana Boga za piecem. Ale nie trwało to długo. Dopóki tunele się nie zawaliły.

- A jak to się stało? - spytał Artem.

- U nas się mówi - Anton popatrzył na pozostałych - że samo się zawaliło. Źle zaprojektowali, albo ktoś kradł przy budowie, albo jeszcze coś innego. Ale to było już tak dawno, że nikt dokładnie nie pamięta.

- A ja na przykład słyszałem - cicho powiedział jeden z wartowników - że to tutejsze władze zawaliły oba przejazdy w cholerę. Czy to rywalizowali z Parkiem Pobiedy, czy to coś innego... Może bali się, że Park ich z czasem wchłonie. A u nas, na Kijewskiej, to sam wiesz kto wtedy rządził... Ci, co na bazarze owoce sprzedawali. Naród gorącokrwisty, przywykły do rozwałki. Skrzynka dynamitu w jeden tunel, skrzynka w drugi, jak najdalej od swojej stacji, i poszło. W sumie bezkrwawo, a problem załatwiony.

- A co się z nimi potem stało? - zainteresował się Artem.

- No, my to nie wiemy, dopiero potem tu zamieszkaliśmy... - zaczął Anton, ale przeszkodził mu drugi wartownik, który wyraźnie się rozgadał:

- A co się mogło stać? Wszyscy wymarli. Sam pogłówkuj, że jak stacja jest odcięta od metra, to długo się tam nie pożyje. Filtry się zepsuły, albo generatory prądu, albo ich zalało, i koniec, na powierzchnię to i teraz na spacer nie wyjdziesz. Słyszałem, że na początku niby próbowali kopać, ale potem odpuścili. Ci, co tu siedzieli na straży na początku, mówią, że przez rury słyszeli krzyki... Ale to też szybko się skończyło.

Zakaszlał i wyciągnął ręce do piecyka. Ogrzawszy dłonie, wartownik spojrzał na Artema i dodał:

- To nawet nie była wojna. Bo kto tak wojnę prowadzi? Tam przecież były i kobiety, i dzieci. Starcy... Całe miasto. I za co? Tak, zwyczajnie, kasą się nie podzielili. Własnoręcznie niby nikogo nie zabili, a jednak. A ty pytałeś: co tam jest, po drugiej stronie zawału? Śmierć tam jest.

Anton pokręcił głową, ale nic nie powiedział. Młynarz spojrzał uważnie na Artema, otworzył już usta, jakby zamierzał coś dodać do usłyszanej historii, ale się rozmyślił. Artemowi zrobiło się zupełnie zimno i on też przysunął się do przebijających się przez osłonkę piecyka języków ognia. Próbował wyobrazić sobie, jak to jest żyć na tej stacji, której mieszkańcy wierzą, że szyny wychodzące od ich domu prowadzą prosto do królestwa śmierci.

Artem powoli zaczął rozumieć, że ta dziwna warta w zasypanym tunelu była nie tyle koniecznością, a raczej rytuałem. Kogo próbowali odstraszyć siedząc tutaj? Komu mogli przeszkodzić w wejściu na stację, a potem do całej reszty metra? Robiło się coraz zimniej, i od dreszczy nie ratował go już ani piecyk, ani ciepła kurtka od Młynarza.

Nagle stalker błyskawicznie odwrócił się w stronę tunelu prowadzącego na Kijewską i nieco się podniósł, nasłuchując i patrząc. Po kilku sekundach przyczynę jego niepokoju pojął też Artem. Z tamtej strony słychać było szybkie, lekkie kroki, i w oddali mrugało światełko słabej latarki, jakby ktoś pędził w ich kierunku co sił, przeskakując podkłady kolejowe.

Stalker przeturlał się, przylgnął do ściany i wycelował automat w plamę światła. Anton spokojnie wstał, wpatrując się w ciemność, i po jego rozluźnionej pozie od razu było widać, że nie może sobie wyobrazić, aby jakiekolwiek poważne zagrożenie miało nadejść z tej strony. Młynarz włączył swoją latarkę i ciemność niechętnie się cofnęła. Jakieś trzydzieści kroków od nich, na środku torów, zamarła drobna figurka z podniesionymi do góry rękami.

- Tata, tata, to ja, nie strzelajcie! - głos niewątpliwie należał do dziecka.

Stalker odsunął na bok promień latarki, otrzepał się i podniósł z ziemi. Po chwili dziecko stało już przy piecyku, nieśmiało patrząc na swoje buty. Był to syn Antona, ten sam, który tak chciał iść na posterunek.

- Coś się stało? - spytał go z przestrachem ojciec.

- Nic... Po prostu bardzo chciałem z tobą iść. Nie jestem już mały, żeby siedzieć z mamą w namiocie.

- Jak ty się tu przedostałeś? Przecież tam stoi straż!

- Skłamałem, że mama mnie do ciebie posłała. Tam jest wujek Pietia, on mnie zna. Powiedział tylko, żebym szybko szedł i nie zaglądał do żadnych bocznych korytarzy i dał mi przejść.

- Z wujkiem Pietią jeszcze porozmawiam - obiecał ponuro Anton. - A ty się teraz zastanów, jak to wyjaśnisz mamie. Nie puszczę cię samego z powrotem.

- To mogę z wami zostać? - chłopczyk nie mógł powstrzymać zachwytu i zaczął skakać w miejscu.

Anton przesunął się na bok, sadzając syna na wygrzanym worku, zdjął kurtkę i chciał go okryć, ale malec od razu zsunął się na ziemię, wyciągnął z kieszeni i rozłożył na ściereczce przyniesione ze sobą skarby: garść łusek i kilka innych przedmiotów. Siedział obok Artema, i ten miał czas, żeby przyjrzeć się tym wszystkim rzeczom. Najciekawsze okazało się małe metalowe pudełeczko z korbką. Kiedy Oleg trzymał je w jednej ręce a drugą kręcił korbką, pudełeczko, wydając dźwięczne metaliczne dźwięki, zaczynało grać nieskomplikowaną mechaniczną melodię. Zajmujące było też to, że wystarczyło przyłożyć je do innego przedmiotu, żeby ten zaczął rezonować, wielokrotnie wzmacniając dźwięk. Najlepiej wychodziło to z żelaznym piecykiem, ale nie dało się długo utrzymać je w ręku, bo za szybko się nagrzewało. Artem zrobił się tak ciekawy, że postanowił sam spróbować.

- To jest nic! - przekazując mu gorące pudełeczko i dmuchając na oparzone palce, powiedział chłopczyk. - Potem ci pokażę coś niesamowitego! - obiecał mu z miną spiskowca.

Następne pół godziny minęło błyskawicznie - Artem, nie zauważając niezadowolonych spojrzeń wartowników, bez końca kręcił korbką i wsłuchiwał się w muzykę, Młynarz mówił o czymś szeptem z Antonem, chłopiec bawił się na ziemi łuskami.

Melodia, którą odgrywała maleńka katarynka, była dość tęskna, ale pełna niepojętego czaru, i nie dało się po prostu przestać jej słuchać.

- Nie, nie rozumiem - powiedział stalker i wstał z miejsca - jeśli oba tunele są zawalone i pod strażą, to gdzie według was podziewają się ci ludzie?

- A kto powiedział, że cała rzecz w tych tunelach? - Anton spojrzał na niego z dołu. - Są i przejścia na inne linie, aż dwa, i przejazdy na Smoleńską... Myślę, że ktoś po prostu wykorzystuje nasze przesądy.

- Jakie tam przesądy! - wtrącił się ten wartownik, co opowiadał o zasypanych tunelach i zostawionych po drugiej stronie ludziach. - Nasza stacja jest przeklęta za to, co się stało z Parkiem Pobiedy. I my wszyscy, dopóki na niej żyjemy, jesteśmy przeklęci...

- Daj spokój, Sanycz, z tym męczeniem - przerwał mu z niezadowoleniem Anton. - Tu poważnie ludzie pytają, a ty wyskakujesz z tymi twoimi bajkami!

- Chodźmy się przejść, widziałem po drodze drzwi i boczną odnogę, chciałbym się tam rozejrzeć - zaproponował Młynarz. - Na Smoleńskiej też się ludzie niepokoją. Kołpakow osobiście się interesował.

- Akurat teraz się zainteresował, tak? - uśmiechnął się gorzko Anton. - Dobra już, po co udawać, z naszej konfederacji tylko nazwa została, każdy za siebie...

- Już nawet w Polis zadają pytania. O, masz, poczytaj sobie - stalker wyciągnął z kieszenie złożony kawałek gazety.

Artem widział takie gazety w Polis. W jednym z przejść stał stragan, na którym można je było kupić, ale kosztowały dziesięć nabojów za egzemplarz i nie chciał tyle płacić za jedną kartkę z kiepsko wydrukowanymi plotkami. Za to Młynarz nabojów nie pożałował.

Pod dumnym tytułem „Wiadomości Metra", na nierówno wyciętej kartce żółtawego papieru, tłoczyło się kilka krótkich artykułów, z których jednemu towarzyszyła nawet czarno-biała fotografia. Nagłówek głosił: „Ciąg dalszy zagadkowych zaginięć na Kijewskiej".

- Wszelki duch Pana Boga chwali, drukarnię mają - Anton ostrożnie wziął do ręki gazetę i przejrzał ją. - Dobra, chodźmy, pokażę ci te twoje boczne odnogi. Dasz mi później do poczytania?

Stalker kiwnął głową. Anton wstał, spojrzał na syna i powiedział mu:

- Zaraz przyjdę. Uważaj i nigdzie nie chodź beze mnie - i, zwracając się do Artema, poprosił: - Popilnuj go, bądź kolegą.

Artemowi nie zostało nic innego jak się zgodzić.

Kiedy tylko jego ojciec i stalker się oddalili, Oleg zerwał się z miejsca, z łobuzerskim spojrzeniem zabrał Artemowi pudełeczko, krzyknął: „Goń mnie!" i pobiegł do końca tunelu. Przypomniawszy sobie, że chłopczyk jest teraz pod jego opieką, Artem popatrzył z poczuciem winy na pozostałych wartowników, zapalił latarkę i poszedł za Olegiem.

Chłopiec nie wszedł do rozwalonego pomieszczenia służbowego, jak obawiał się tego Artem. Czekał przy samym zawale.

- Patrz, co teraz będzie! - powiedział chłopczyk.

Oleg wgramolił się na stertę kamieni i znalazł się na poziomie ginących w osypisku rur. Potem wyjął swoje pudełeczko, przyłożył je do rury i pokręcił rączką.

- Słuchaj! - powiedział podekscytowany.

Rura zadrżała rezonując i wypełniła się jakby cała prostą smutną melodią, którą grała szkatułka. Chłopiec przycisnął ucho do rury i jak zaczarowany ciągle kręcił korbką, wydobywając dźwięki z metalowego pudełeczka. Zatrzymał się na chwilę słuchając, uśmiechnął się radośnie, a potem zeskoczył z kamieni i wyciągnął szkatułkę do Artema:

- Masz, sam spróbuj!

Artem umiał sobie świetnie wyobrazić, jak zmieni się dźwięk melodii przepuszczony przez pustą metalową rurę. Ale oczy chłopczyka tak płonęły, że postanowił nie zachowywać się jak ostatni nudziarz.

Przystawił skrzyneczkę do rury, przycisnął ucho do zimnego żelaza i zaczął kręcić korbką. Muzyka zagrzmiała tak głośno, że o mało co nie odskoczył. Prawa akustyki nie były

Artemowi znane i to, jakim cudem ten kawałek żelaza może o tyle spotęgować melodię bezsilnie dotąd brzęczącej wewnątrz pudełka, było dla niego niepojęte.

Pokręcił korbką kilka sekund i zagrał króciutki motyw jeszcze dobre trzy razy, po czym kiwnął Olegowi głową:

- Fajnie.

- Słuchaj dalej! - zaśmiał się ten. - Nie graj, tylko posłuchaj!

Artem wzruszył ramionami, obejrzał się w stronę posterunku, czy wartownicy nie wrócili, i znów przyłożył ucho do rury. Co tam można było teraz usłyszeć? Wiatr? Odgłosy strasznego szumu, który zalał tunele między Aleksiejewską a Prospektem Mira?

Z niewyobrażalnej dali, z trudem przebijając się przez warstwę ziemi, słychać było przytłumione dźwięki. Dochodziły od strony Parku Pobiedy, nie było co do tego żadnych wątpliwości. Artem zamarł nasłuchując i powoli robiło mu się zimno: słyszał coś niemożliwego: muzykę.

Nutę za nutą ktoś albo coś kilka kilometrów od niego odtwarzało tęskną melodię muzycznej szkatułki. Ale to nie było echo: w niektórych miejscach nieznany wykonawca się pomylił, tu i ówdzie przeciągnął nutę, ale motyw pozostawał całkowicie rozpoznawalny. I, co najważniejsze, to wcale nie było metaliczne dzwonienie, dźwięk przypominał raczej gwizdanie... Czy może śpiew? Nierozróżnialny chór wielu głosów? Nie, jednak gwizd...

- I co, gra? - z zadowoloną miną spytał go Oleg. - Daj, posłucham jeszcze!

- Co to? - ledwo mogąc rozewrzeć usta, ochryple wybełkotał Artem.

- Muzyka! To rura gra! - prosto wyjaśnił chłopiec.

Smutne, dławiące uczucie, które ten straszny śpiew wywarł na Artemie, chłopczykowi się nie udzielało. Dla niego była to po prostu wesoła muzyka, i raczej nie zajmowała go kwestia, co może odpowiadać na melodię na odciętej od reszty świata stacji, gdzie wszystko co żywe, obróciło się w nicość ponad dziesięć lat wcześniej.

Oleg znów wspiął się na kamienie, chcąc włączyć swoją mechaniczną zabawkę jeszcze raz, ale Artem poczuł nagle niewyjaśniony strach o niego i o siebie. Złapał chłopczyka za rękę i nie zwracając uwagi na jego protesty pociągnął go za sobą w stronę piecyka.

- Tchórz! Tchórz! - krzyczał Oleg. - Tylko małe dzieci wierzą w te bajki!

- Jakie znowu bajki? - Artem zatrzymał się i zajrzał mu w oczy.

- Że oni porywają dzieci, które chodzą do tuneli słuchać rur!

- Kto porywa? - Artem pociągnął go dalej w stronę piecyka.

- Umarli!

Rozmowa się urwała: wartownik, który opowiadał o klątwie, drgnął i obrzucił ich tak badawczym spojrzeniem, że słowa same uwięzły im w gardle. Ich wyprawa zakończyła się w idealnym momencie: na posterunek wracał Anton i stalker, razem z kimś jeszcze. Artem szybko posadził chłopca na miejsce. Ojciec dziecka prosił go, żeby przypilnował Olega, a nie ulegał jego kaprysom... Bo i skąd wiadomo, w jakie przesądy wierzył sam Anton?

- Wybacz, długo nam zeszło - dowódca usiadł na worku obok Artema. - Nie łobuzował za bardzo?

Artem pokręcił głową, mając nadzieję, że chłopiec ma wystarczająco dużo rozumu, żeby nie chwalić się ich przygodą. Ale ten i tak świetnie wszystko rozumiał. Z wyrazem zainteresowania na twarzy Oleg znów zaczął rozstawiać swoje łuski.

Trzeciego człowieka, który przyszedł z dowódcą i stalkerem, łysiejącego chudego mężczyzny z zapadłymi policzkami i worami pod oczyma, Artem nie znał. Do piecyka podszedł tylko na moment, wartownikom kiwnął, Artemowi badawczo się przyjrzał, ale nic mu nie powiedział. Przedstawił go Młynarz.

- To jest Tretiak - powiedział do Artema. - Pójdzie z nami dalej. Specjalista. Rakietowiec.

ROZDZIAŁ 16
PIEŚNI UMARŁYCH

- Tam nie ma żadnych tajemnych wejść, i nigdy nie było. Chyba sam to wiesz? - Tretiak z niezadowoleniem podniósł głos, i jego słowa doleciały do Artema.

Wracali z warty, z powrotem, na Kijewską. Stalker i Tretiak szli nieco za pozostałymi i dyskutowali o czymś z ożywieniem. Kiedy Artem też został w tyle, żeby wziąć udział w ich rozmowie, ci zaczęli mówić szeptem, i zostało mu tylko znów przyłączyć się do głównej grupy. Mały Oleg, który przebierał nogami starając się nie odstawać od dorosłych, i nie chciał, żeby ojciec niósł go na plecach, od razu złapał go radośnie za rękę.

- Ja też jestem rakietowcem! - oznajmił.

Artem spojrzał na chłopca ze zdziwieniem. Stał obok, kiedy Młynarz przedstawiał mu Tretiaka i z pewnością usłyszał to słowo przypadkiem. Czy rozumiał, co ono znaczy?

- Tylko nikomu nie mów! - dodał pośpiesznie Oleg. - Inni nie mogą się dowiedzieć. Tajemnica. Ten pan to pewnie twój przyjaciel, jeśli ci to powiedział.

- Dobrze, nikomu nie powiem - zawtórował mu Artem.

- To nie wstyd, odwrotnie, trzeba być dumnym, ale inni mogą mówić o tobie z zazdrości niedobre rzeczy - wyjaśnił chłopczyk, chociaż Artem nawet nie zamierzał o nic pytać.

Anton szedł jakieś dziesięć kroków przed nimi, oświetlając drogę. Chłopiec kiwnął na jego szczupłą postać i głośno szepnął:

- Tata powiedział, żebym nikomu nie pokazywał, ale przecież ty umiesz zachować tajemnicę. Patrz! - wyciągnął z wewnętrznej kieszeni mały kawałek materiału.

Artem poświecił na niego latarką. Okazało się, że jest to odpruta naszywka: kółko z grubej nagumowanej tkaniny, około siedmiu centymetrów średnicy. Z jednej strony krążek był cały czarny, z drugiej, na ciemnym tle przedstawione było przecięcie trzech nieznanych podłużnych przedmiotów, coś w rodzaju sześcioramiennej papierowej śnieżynki, jakimi ozdabiano WOGN na Nowy Rok. W przedmiocie, który był umieszczony pionowo, Artem, kiedy się przypatrzył, rozpoznał pocisk, chyba od erkaemu albo karabinu snajperskiego, ale z jakimiś skrzydełkami przyczepionymi u podstawy, natomiast pozostałych dwóch, jednakowych, żółtych z dwiema obręczami z każdego końca, nie umiał zidentyfikować. Tajemnicza śnieżynka była wpisana w stylizowany wieniec, jak na starych znaczkach na czapkach, a wokół naszywki biegły litery. Jednak farba była na tyle wytarta, że Artemowi udało się tylko przeczytać „Wojska ...owe i ar...", i jeszcze słowo „...osja", napisane na dole, pod rysunkiem. Gdyby miał troszkę więcej czasu, może i udałoby mu się pojąć, co pokazuje mu chłopczyk, ale stało się inaczej.

- Hej, Oleg! Chodź tu, mam sprawę do ciebie! - zawołał syna Anton.

- Co to jest? - zdążył zapytać chłopca Artem, zanim ten zabrał od niego naszywkę i ukrył ją w kieszeni.

- Wuera! - wymówił starannie Oleg, dumny jak paw, potem mrugnął do niego i pobiegł do ojca.

Kiedy już weszli na peron po przystawionych schodkach, wartownicy zaczęli rozchodzić się do domów. Na Antona, przy samym wyjściu, czekała żona. Ze łzami w oczach pobiegła na spotkanie małemu Olegowi, wzięła go na ręce, a potem naskoczyła na męża:

- Chcesz, żebym kompletnie przez ciebie zwariowała?! Co ja miałam myśleć? Od ilu godzin dziecka nie ma w domu?! Dlaczego ja tu muszę myśleć za wszystkich? Ty też jak dziecko, nie mogłeś go do domu przyprowadzić! - zaczęła lamentować.

- Lena, proszę, nie przy ludziach... - oglądając się ze wstydem, burknął Anton. - Nie mogłem przecież zejść z warty. Zastanów się, co mówisz, dowódca straży i nagle mam zostawić posterunek...

- Dowódca! To sobie dowodź! Tak jakbyś nie wiedział, co tu się wyprawia! Proszę, u sąsiadów młodszy syn tydzień temu zginął...

Młynarz i Tretiak przyśpieszyli kroku i nawet nie pożegnali się z Antonem, zostawiając go sam na sam z żoną. Artem pośpieszył za nimi, i długo jeszcze, chociaż nie dało się już rozróżnić słów, dochodził do nich płacz i wyrzuty żony Antona.

Wszyscy trzej skierowali się do pomieszczeń służbowych, gdzie znajdował się sztab naczelnika stacji. Parę minut później siedzieli już w obwieszonym wytartymi kobiercami pokoju, a sam naczelnik, kiwnąwszy ze zrozumieniem głową, kiedy stalker poprosił, żeby zostawić ich samych, wyszedł.

- Zdaje się, że nie masz paszportu? - bardziej stwierdzając, niż pytając, zauważył Młynarz zwracając się do Artema.

Ten kiwnął głową. Bez skonfiskowanego przez faszystów dokumentu zamieniał się w odszczepieńca, przed którym zamknęła się droga na niemal wszystkie cywilizowane stacje metra. Ani Hanza, ani Linia Czerwona, ani Polis by go nie przyjęły. Póki obok był stalker, Artemowi nikt nie zadawał niepotrzebnych pytań, ale gdyby znalazł się sam, przyszłoby mu włóczyć się między porzuconymi przystankami i dziczejącymi stacjami, takimi jak Kijewska. I już nie mógłby marzyć o tym, że wróci na WOGN.

- Nie przeprowadzę cię do Hanzy bez paszportu, będę musiał najpierw znaleźć ludzi, którzy to załatwią - jakby potwierdzając jego myśli, powiedział Młynarz. - Można by było wyrobić nowy, ale to w końcu zajmie dużo czasu. Jakby nie kombinować, najbliżej na Majakowską idzie się przez Okrężną. Co robić?

Artem wzruszył ramionami. Przeczuwał, ku czemu skłania się stalker. Zwlekać nie można, a omijając Hanzę sam się na Majakowską nie dostanie. Tunel, który prowadził do niej od drugiej strony, biegł prosto od Twerskiej. Wracać do jaskini faszystów, i to jeszcze na stację, którą zmienili w kazamaty, byłoby szaleństwem. Ślepa uliczka.

- Lepiej będzie, jeśli teraz pójdziemy na Majakowską we dwóch, z Tretiakiem - konkludował Młynarz. - Poszukamy wejścia do D-6. Jak znajdziemy, to wrócimy po ciebie, może coś już się wtedy zmieni z paszportem, a na razie porozmawiam z kim trzeba, żeby znaleźli jakiś niewypełniony blankiet. A jak nie znajdziemy, to też wrócimy. Nie będziesz na nas długo czekał. We dwóch szybko przejdziemy po Okrężnej, w jeden dzień obrócimy. Poczekasz? - spojrzał pytająco na Artema.

Artem jeszcze raz wzruszył ramionami. Nie mógł się zmusić, żeby kiwnąć głową na zgodę. Nie opuszczało go poczucie, że postępuje się z nim, jak ze zużytym materiałem. Teraz, kiedy wypełnił swoje podstawowe zadanie, dał znać o niebezpieczeństwie, dorośli wzięli na siebie całą resztę, a jego po prostu odsuwają na bok, żeby nie pałętał im się pod nogami.

- No, to świetnie - zakończył stalker. - Czekaj na nas do rana. Ruszamy od razu, żeby nie tracić czasu. Jeśli chodzi o nocleg i wyżywienie, wszystko z Arkadijem Siemionowiczem obgadałem, źle ci u niego nie będzie. To chyba wszystko... Nie, nie wszystko. - Sięgnął do kieszeni i wyciągnął z niej tę samą zakrwawioną kartkę papieru, na której był plan i wyjaśnienia. - Weź to, ja sobie przerysowałem. Kto wie, jak się to skończy. Tylko nikomu nie pokazuj...

Młynarz i Tretiak wyruszyli przed upływem godziny, namówiwszy się przedtem z naczelnikiem stacji. Skrupulatny Arkadij Siemionowicz od razu zaprowadził Artema do jego namiotu, zaprosił na kolację i zostawił, żeby odpoczął.

Namiot dla gości stał nieco na uboczu, i chociaż zachował się w doskonałym stanie, Artem od samego początku poczuł się w nim bardzo nieswojo. Wyjrzał na zewnątrz i znów

zauważył, że pozostałe namioty kulą się do siebie, i wszystkie są położone jak najdalej od wejść do tuneli.

Teraz, kiedy stalker go opuścił i został sam na obcej stacji, przytłaczające uczucie, którego doświadczył na początku, wróciło. Na Kijewskiej wciąż panował strach, zwykły strach, bez żadnych widocznych powodów. Robiło się już późno, i głosy dzieci cichły, a dorośli mieszkańcy stacji coraz rzadziej opuszczali namioty. Spacerować po peronie zupełnie się mu nie chciało. Przeczytał trzy razy list, który dostał od umierającego Daniły a potem nie wytrzymał i na pół godziny przed umówioną porą poszedł do Arkadija Siemionowicza na kolację.

Przedsionek pomieszczenia służbowego przeistoczył się teraz w kuchnię, w której krzątała się sympatyczna dziewczyna, nieco starsza od Artema. Na dużej patelni dusiło się mięso z jakimiś korzonkami, obok gotowały się białe bulwy, którymi podjęła ich żona Antona. Sam naczelnik stacji siedział obok na stołku i przeglądał podniszczoną książeczkę z okładką, na której widniał rewolwer i kobiece nogi w czarnych pończochach. Kiedy Arkadij Siemionowicz zobaczył Artema, z zawstydzonym wyrazem twarzy odłożył książkę na bok.

- Na pewno ci się u nas nudzi - uśmiechnął się do chłopaka ze zrozumieniem. - Chodźmy do mnie, do gabinetu, Katerina nam tam nakryje. A my sobie na razie chlapniemy - mrugnął do niego.

Teraz ten pokój z kobiercami i czerepem wyglądał zupełnie inaczej: oświetlony stojącą na stole lampą z zielonym materiałowym abażurem zrobił się o wiele przytulniejszy. Napięcie, nieodstępujące Artema na peronie, w promieniach tej lampki ulotniło się bez śladu. Arkadij Siemionowicz wyciągnął z szafy niewielką butelkę i nalał do nietypowego okrągłego kieliszka brązowego płynu o świdrującym w nosie aromacie. Wyszło bardzo niewiele, nie więcej niż na palec, i Artem pomyślał z szacunkiem, że ta butelka na pewno kosztuje przynajmniej tyle, co cała skrzynka tego piwa, którego próbował na Kitaj-Gorodzie.

- Koniaczek - odpowiedział na jego zaciekawione spojrzenie Arkadij Siemionowicz - armeński, oczywiście, za to prawie trzydziestoletni. Z góry - naczelnik spojrzał rozmarzonym wzrokiem w sufit. - Nie bój się, nie jest skażony, sam go sprawdzałem miernikiem.

Nieznany trunek był nieprzeciętnej mocy, ale łagodziły ją przyjemny smak i cierpki aromat. Artem nie połknął wszystkiego od razu, lecz za przykładem gospodarza starał się koniak smakować. Po wnętrznościach powoli rozlewał się jakby ogień, stopniowo stygnąc i zmieniając się w przyjemne ciepło. Pokój zrobił się jeszcze przytulniejszy, a Arkadij Siemionowicz jeszcze sympatyczniejszy.

- Przedziwna rzecz - mrużąc z zadowolenia oczy ocenił Artem.

- Dobry, prawda? Będzie z półtora roku, jak stalkerzy na Krasnoprieznieńskiej znaleźli zupełnie nietknięty spożywczy - wyjaśnił naczelnik stacji - w suterenie, jak to się kiedyś często robiło. Szyld spadł i nikt go nie zauważył. A jeden z nich przypomniał sobie, że kiedyś, jeszcze przed tym, jak walnęło, czasem tam zachodził, więc stwierdził, że sprawdzi. Tyle lat przeleżało i tylko lepsze się zrobiło. Po znajomości za sto kulek oddał mi dwie butelki. Na Kitaj-Gorodzie za jedną biorą dwieście.

Wziął jeszcze jeden malutki łyczek, potem zadumał się patrząc przez koniak na światło lampy.

- Wasyl miał na imię, ten stalker - oznajmił naczelnik. - Dobry był z niego człowiek. Nie jakaś drobnica, co to do nich po drewno biega, tylko solidny chłopak, same cenne rzeczy przynosił. Od razu jak wrócił z góry, to najpierw przychodził do mnie. Patrz, mówił, Siemionowicz, nowe nabytki - słabo się uśmiechnął.

- Coś się z nim stało? - spytał ze współczuciem Artem.

- Bardzo lubił Krasnoprieznieńską, cały czas powtarzał, że tam jest prawdziwe Eldorado - powiedział ze smutkiem Arkadij Siemionowicz. - Wszystko nietknięte, sam wieżowiec ze stalinowskich czasów ile jest wart... Wiadomo, czemu tam wszystko było nieruszone... Wprost po drugiej stronie ulicy jest zoo. Kto by się na tę Krasnoprieznieńską zapuścił? Taki strach... Wariat był z tego Wasyla, ciągle ryzykował, za to dużo zarabiał. Ale w końcu się doigrał. Zaciągnęły go do zoo, koledze ledwo się udało ujść z życiem. Wypijmy za niego - naczelnik ciężko westchnął i nalał jeszcze po jednym.

Pamiętając o niebywale wysokiej cenie koniaku, Artem chciał już zaprotestować, ale Arkadij Siemionowicz zdecydowanym ruchem włożył pękaty kieliszek w jego dłoń, wyjaśniając, że odmowa to obraza dla pamięci stalkera z fantazją, który zdobył ten boski napój.

Tymczasem dziewczyna nakryła do stołu, i Artem z Arkadijem Siemionowiczem gładko przeszli na zwyczajny, ale dobrze oczyszczony samogon. Mięso było wspaniale przygotowane i niemal przezroczysty płyn piło się do niego zadziwiająco łatwo.

- Nieprzyjemnie jest u was na stacji - otworzył się półtorej godziny później Artem. - Strasznie tu coś człowieka przygniata...

- Kwestia przyzwyczajenia - zrobił nieokreślony gest Arkadij Siemionowicz - tu też ludzie żyją. Nie gorzej, niż na niektórych...

- Nie, nie, niech pan mnie źle nie zrozumie, ja wiem - myśląc, że naczelnik Kijewskiej się obraził, zaczął go uspokajać Artem. - Pan na pewno robi wszystko, co się da... Ale taka jest tutaj sytuacja. Wszyscy tylko mówią o tym, że ludzie znikają.

- Bzdury - powiedział ostro Arkadij Siemionowicz. Ale po kolejnym kieliszku samogonu przyznał: - Nie wszyscy znikają. Tylko dzieci.

- Umarli je porywają? - Artem aż się wzdrygnął.

- Kto wie, kto je porywa? Ja sam w umarłych nie wierzę. Przez te wszystkie lata na tym świecie już paru umarłych widziałem, bądź spokojny. Nigdy nikogo nie porywają. Leżą sobie spokojnie. Ale tam, za tymi zawałami - Arkadij Siemionowicz machnął ręką w stronę Parku Pobiedy i o mało nie stracił równowagi - ktoś jest. To pewne. I nie możemy tam chodzić.

- Dlaczego? - Artem starał się skupić wzrok na swoim kieliszku, ale ten cały czas rozmazywał się i gdzieś uciekał.

- Czekaj, pokażę ci...

Naczelnik stacji z hurgotem odsunął się od stołu, ciężko wstał i, zataczając się, podszedł do szafy. Pogrzebał na jednej z półek i ostrożnie podniósł do światła długą, metalową igłę z lotkami na tępym końcu.

- A to co? - zmarszczył brwi Artem.

- Też bym chciał wiedzieć...

- Skąd pan to wziął?

- A z karku wartownika, który pilnował prawego tunelu. Krwi prawie wcale nie było, a on leżał cały siny i z pianą na ustach.

- Przyszli z Parku Pobiedy? - domyślił się Artem.

- Licho ich wie - burknął Arkadij Siemionowicz i jednym ruchem osuszył pół kieliszka. - Tylko uważaj - dodał, chowając igłę z powrotem do szafy - nikomu nie mów.

- A dlaczego sam pan komuś nie powie? Pomogą panu, i ludzie się uspokoją.

- A tam, nikt się nie uspokoi, rozbiegną się wszyscy jak szczury! Już teraz uciekają... Nie ma tu się przed kim bronić, nie ma żadnego wroga. Nie widać go, dlatego się boją. Pokażę im tę igłę, i co? Myślisz, że to wszystko rozwiąże? To śmieszne! Wszyscy zwieją, gady, zostawią mnie tu samego! A jaki ze mnie naczelnik stacji bez mieszkańców? Kapitan bez okrętu! - zawołał, ale głos mu się załamał, i umilkł.

- Arkasza, Arkasza, nie rób tak, wszystko jest w porządku... - dziewczyna przysiadła obok niego w przestrachu i pogłaskała go po głowie. Artem zrozumiał z mglistym poczuciem żalu, że nie była wcale dla naczelnika córką.

- Wszystkie te psy uciekną! Jak szczury z tonącego okrętu! Sam zostanę! Ale się nie dam! - krzyczał cały czas naczelnik.

Artem zmusił się, żeby wstać i niepewnie ruszył do wyjścia. Strażnik przed drzwiami pytająco przystawił sobie grzbiet dłoni do szyi, wskazując na gabinet Arkadija Siemionowicza.

- Jak bela - ledwo udało się wymówić Artemowi. - Do jutra lepiej go nie ruszać - i, zataczając się, powlókł się do swojego namiotu.

Musiał poszukać właściwej drogi. Parę razy próbował wejść do cudzego namiotu i tylko ostre męskie przekleństwa i przenikliwe kobiece piski pomagały mu zrozumieć, że znów nie udało mu się trafić do właściwego. Samogon okazał się bardziej zdradziecki niż tanie piwo, i dopiero teraz zaczął działać z pełną siłą. Arkady płynęły mu przed oczami, a do tego wszystkiego zaczynało go mdlić. O normalnej porze być może ktoś pomógłby Artemowi trafić do namiotu dla gości, ale w tym momencie stacja była kompletnie pusta. Nawet posterunki przy wejściach do tuneli były widać opuszczone.

W nocy na całej stacji paliły się tylko trzy-cztery słabe żarówki, i za wyjątkiem plam światła w miejscach, gdzie zwisały z sufitu, cały peron był pogrążony w ciemności. Kiedy Artem zatrzymywał się i przyglądał uważniej, zaczynało mu się wydawać, że w mroku coś jest i powoli się kołysze. Nie wierząc swoim oczom, z ciekawością i brawurą pijanego poszedł w stronę szczególnie podejrzanego miejsca: niedaleko od przejścia na Linię Filewską, przy jednym z filarów, ruchy ciemnych kształtów były nie płynne, jak w innych zakątkach, a urywane i jakby świadome.

- Hej! Kto tam jest? - zawołał, kiedy zbliżył się na jakieś piętnaście kroków.

Nikt nie odpowiedział, ale wydało mu się, że od dużej plamy ciemności oddzielił się podłużny cień. Zlewał się prawie z mrokiem, jednak w Artemie narastało przekonanie, że z ciemności ktoś na niego patrzy. Zachwiał się, ale ustał na nogach i zrobił jeszcze jeden krok. Cień błyskawicznie zmniejszył rozmiary, jakby się skurczył, i pomknął naprzód. W nos uderzył go ostry mdlący zapach, i Artem się cofnął. Czym to pachniało? Przed oczyma pojawił mu się obrazek, który widział, kiedy zbliżał się do Czwartej Rzeszy: zwalone jeden na drugi trupy ze spętanymi za plecami rękoma. Zapach rozkładu?

W tym samym momencie z nieziemską szybkością, niczym wylatująca z kuszy strzała, cień rzucił się ku niemu. Na sekundę przed oczyma mignęła mu twarz, blada, z głęboko zapadniętymi policzkami, pokryta dziwnymi plamami.

- Umarły! - wychrypiał Artem.

Potem głowa rozpadła mu się na tysiąc części, sklepienie się zakołysało i spadło, i wszystko zgasło. Wynurzając się i znów pogrążając w otulającej go ciszy, rozlegały się czyjeś głosy, pojawiały się i znikały jakieś wizje.

- ...mama mi nie pozwoli, będzie się o mnie bać - mówiło niedaleko dziecko. - Dzisiaj naprawdę nie mogę, ona cały wieczór płakała. Nie, nie boję się, nie jesteś straszny, i ładnie śpiewasz. Po prostu nie chcę, żeby mama znowu płakała. Nie obraź się! To przecież nie na długo... Przyjdziesz jutro?

- Nie ma czasu. Nie ma czasu - powtarzał niski męski głos. - Czas się kończy. Są już blisko. Wstawaj, nie leż, wstawaj! Jeśli stracisz nadzieję, jeśli się zawahasz, skapitulujesz, twoje miejsce zajmą inni. Ja będę dalej walczył. Ty też powinieneś. Wstawaj! Nie rozumiesz...

- ...a to kto? Do naczelnika? Do gościnnego? No, jasne, sam cię zaniosę! Ty też pomagaj... Złap go chociaż za nogi. Ciężki... Ciekawe, co mu tam brzęczy w kieszeniach? Dobra, żartuję. Już, przynieśliśmy. Nie będę, nie będę. Idę już...

Wejście do namiotu gwałtownie się podniosło, w twarz zaświeciła mu latarka.

- To ty jesteś Artem? - twarzy człowieka, który wszedł, nie można było dojrzeć, ale głos brzmiał młodo.

Artem podniósł się z łóżka, ale od razu zakręciło mu się w głowie i zrobiło niedobrze. W tyle głowy pulsował mu tępy ból, każdy dotyk palił. Włosy miał w tym miejscu sklejone, pewnie od zaschłej krwi.

Co mu się przydarzyło?

- Mogę wejść? - spytał gość, i nie czekając na pozwolenie, wszedł do namiotu, zasuwając za sobą wejście.

Wsunął Artemowi w dłoń drobny metalowy przedmiot. Kiedy włączył wreszcie własną latarkę, Artem przyjrzał się mu - była to łuska naboju karabinowego przerobiona na zakręcaną kapsułkę, dokładnie taka, jak ta, którą wręczył mu kiedyś Hunter. Nie wierząc własnym oczom, Artem spróbował otworzyć wieczko, ale wyślizgnęła mu się ze spoconych ze zdenerwowania dłoni. Wreszcie na zewnątrz wypadł maleńki kawałek papieru. Czyżby wiadomość od Huntera?

„Nieprzewidziane trudności. Wejście do D-6 zablokowane. Tretiak zabity. Czekaj na mnie, nigdzie się nie ruszaj. Konieczny jest czas na organizację. Postaram się wrócić jak najszybciej. Młynarz".

Artem przeczytał notatkę jeszcze raz, starając się połapać w jej treści. Tretiak zabity? Wejście do Metra-2 zablokowane? Przecież to oznacza, że wszystkie ich plany i nadzieje rozsypują się w proch! Spojrzał nierozumiejącym wzrokiem na posłańca.

- Młynarz kazał tu zostać i na niego czekać - usłyszał potwierdzenie. - Tretiak nie żyje. Zabili go. Młynarz powiedział, że zatrutą strzałą. Kto to zrobił, nie wiadomo. Będzie teraz przeprowadzał mobilizację. To wszystko, czas na mnie. Będzie odpowiedź?

Artem pomyślał, o czym mógłby napisać do stalkera. Co robić? Na co teraz liczyć? Można rzucić wszystko i wrócić na WOGN, żeby w tych ostatnich chwilach być tam z bliskimi ludźmi? Pokręcił przecząco głową. Posłaniec wstał w milczeniu i wyszedł na zewnątrz.

Artem opadł na posłanie i zamyślił się. Nie miał teraz nawet dokąd stąd iść. Bez paszportu i bez protektora nie mógł wejść ani na Okrężną, ani wrócić na Smoleńską. Zostawała nadzieja, że Arkadij Siemionowicz również w najbliższych dniach będzie tak gościnny, jak wczoraj.

Na Kijewskiej był „dzień". Paliło się dwa razy więcej żarówek, a obok pomieszczeń służbowych, gdzie mieściło się mieszkanie naczelnika stacji, jaśniała jeszcze rtęciowa rurka lampy światła dziennego. Krzywiąc się z powodu bólu w głowie, Artem dowlókł się do gabinetu naczelnika. Strażnik gestem zatrzymał go przed wejściem. Ze środka dochodził hałas. Kilku mężczyzn rozmawiało podniesionymi głosami.

- Zajęty jest - oznajmił wartownik. - Jak chcesz, to poczekaj.

Po kilku minutach z pomieszczenie, jak strzała wyleciał Anton, dowódca warty, na której Artem był dzień wcześniej. Za nim na próg wybiegł też gospodarz gabinetu. Choć włosy miał znów starannie uczesane, pod oczami pojawiły mu się wory, a twarz wyraźnie spuchła i pokryła się srebrzystym zarostem. Artem potarł policzki i pomyślał, że po wczorajszym sam pewnie wygląda niewiele lepiej.

- A co ja mogę zrobić? No, co?! - krzyknął Antonowi na pożegnanie naczelnik, po czym splunął i walnął się dłonią w czoło. - A... Obudziłeś się? - zauważywszy Artema, krzywo się uśmiechnął.

- Będę musiał zostać u was dłużej, aż Młynarz wróci - zaczął się tłumaczyć Artem.

- Wiem, wiem. Dostałem meldunek. Chodźmy do środka, dali mi tu polecenie dotyczące ciebie - Arkadij Siemionowicz gestem zaprosił go do pokoju. - Póki będziesz czekał na Młynarza, mam cię sfotografować, do paszportu. Sprzęt mi został jeszcze z tych

czasów, kiedy Kijewska była normalną stacją... Potem może gdzieś dostanie się jakiś pusty paszport, to zrobimy ci dokument.

Posadziwszy Artema na stołku, skierował w niego obiektyw małego plastikowego aparatu. Błysnął flesz, i kolejne pięć minut Artem spędził w całkowitej ciemności, bezradnie rozglądając się dookoła.

- Wybacz, zapomniałem cię uprzedzić... Jak zgłodniejesz, to przychodź, Katia cię nakarmi, ale nie będę miał dzisiaj dla ciebie czasu. Sytuacja nam się pogarsza... W nocy starszy syn Antona zniknął. Postawi teraz całą stację do góry nogami... Co za życie! Aha, mówili mi, że znaleźli cię rano na środku peronu? Głowa we krwi? Coś się stało?

- Nie pamiętam... Przewróciłem się pewnie po pijaku - nie od razu odparł Artem.

- Tak... Nieźle wczoraj pojechaliśmy - uśmiechnął się krzywo naczelnik. - Dobra, Artem, czas żebym wracał do roboty. Przyjdź później.

Artem zsunął się z taboretu. Przed oczami miał twarz małego Olega. Starszy syn Antona... Czyżby to był on? Przypomniał sobie, jak dzień wcześniej kręcił korbką swojego muzycznego pudełeczka, przykładając je do żelaznej rury, a potem powiedział, że tylko małe dzieci boją się, że porwą je umarli, jeśli będą chodzić do tuneli słuchać rur. Artem poczuł nagle zimny strach. Czyżby to była prawda? Czy to się stało przez niego? Jeszcze raz bezradnie obejrzał się na Arkadija Siemionowicza, chciał już otworzyć usta, ale w końcu nic nie powiedział i wyszedł na zewnątrz.

Kiedy wrócił do swojego namiotu, usiadł na ziemi i przez jakiś czas siedział w milczeniu, patrząc w pustkę. Teraz zaczęło mu się wydawać, że ten nieznajomy, który wybrał go do tej misji, jednocześnie go przeklął: prawie wszyscy, którzy zdecydowali się iść z nim choćby przez część drogi, ginęli. Przed oczami stanął mu szereg ludzi, którzy znaleźli śmierć, kiedy szli z nim jedną ścieżką. Burbon, Michaił Porfiriewicz i jego wnuk, Daniła... Chan przepadł bez śladu, a i bojownicy brygady rewolucyjnej, którzy go uratowali, mogli zostać zabici już w następnym tunelu. Teraz Tretiak. Ale mały Oleg? Czy Artem przynosił swoim towarzyszom śmierć, sam o tym nie wiedząc?

Nie wiedząc, co właściwie robi, zerwał się, zarzucił plecak i automat, wziął latarkę i wyszedł na peron. Nogi same zaniosły go do miejsca, gdzie nocą go zaatakowano. Kiedy podszedł bliżej, znieruchomiał. Przez gęstą mgłę pijackiej amnezji patrzyły na niego martwe, zapadnięte w oczodoły źrenice. Wszystko sobie przypomniał. To nie był sen.

Znaleźć Olega! Cokolwiek ma się stać, musi pomóc dowódcy warty odzyskać syna. To była jego, Artema, wina, nie upilnował chłopczyka, zgodził się zagrać w jego dziwne gry z rurami, i oto teraz on jest tutaj cały i zdrowy, a chłopiec zniknął. I Artem był pewny, że nie uciekł ze stacji sam. Tej nocy stało się tu coś złego, niewyjaśnionego, i Artem jest temu winien podwójnie, bo mógł temu zapobiec, ale nie potrafił.

Obejrzał dokładnie miejsce, gdzie wczoraj w cieniu czaił się straszny przybysz. Była tam sterta śmieci, ale, rozsypawszy ją, Artem wystraszył tylko bezdomnego kota. Bez rezultatu przeszukał peron, a potem podszedł do torów i zeskoczył na dół. Wartownicy przy wejściu do tunelu przyjrzeli mu się leniwie i uprzedzili, że może tam pójść tylko na własne ryzyko i nikt tam nie będzie za niego odpowiadał.

Tym razem Artem nie wszedł do tego tunelu, gdzie poprzedniego dnia siedział na warcie z Młynarzem, a do drugiego, równoległego. Tak jak mówił dowódca straży, ten przejazd też okazał się być zawalony, mniej więcej w takiej samej odległości od stacji. W ślepej uliczce mieścił się posterunek: służąca za piecyk metalowa beczka i zwalone wokół niej worki z piaskiem. Obok nich na szynach stała ręczna drezyna, załadowana wiadrami z węglem. Siedzący na workach wartownicy o czymś do siebie szeptali i kiedy się zbliżył, zerwali się z miejsc, przyglądając mu się w napięciu. Potem jednak jeden z nich odwołał alarm i pozostali uspokoili się i rozsiedli tak, jak poprzednio. Kiedy Artem się przyjrzał, poznał w dowódcy Antona i, burknąwszy coś niezgrabnie, odwrócił się i ruszył z powrotem.

Twarz mu płonęła: nie mógł spojrzeć w oczy człowiekowi, który stracił przez niego syna. Szedł ze spuszczoną głową, powtarzając półgłosem: „Co ja tu robię... Nie mogłem... Co ja mogłem zrobić?”. Rozmazana plama światła jego latarki kołysała się krok przed nim.

Nagle dostrzegł mały przedmiot, leżący samotnie w cieniu między dwiema deskami podkładu kolejowego. Nawet z daleka wydał się mu znajomy, i serce szybciej mu zabiło. Artem schylił się i podniósł z ziemi małe pudełeczko z wystającą z niego zagiętą rączką. Pokręcił korbką i pudełko wydało z siebie drżącą tęskną melodię. Muzyczna szkatułka Olega. Rzucił ją tutaj, albo wypadła mu przypadkiem, zupełnie niedawno.

Artem położył plecak w miejscu, gdzie znalazł szkatułkę, i z podwójną uwagą zaczął badać ściany tunelu. Nieopodal znajdowały się drzwiczki prowadzące do pomieszczenia służbowego, ale za nimi Artem odkrył tylko rozwalony publiczny kibel. Kolejne dwadzieścia minut przeszukiwania tunelu też do niczego nie doprowadziło. Wróciwszy do plecaka, chłopak usiadł na ziemi i oparł się plecami o ścianę, odrzucił głowę do tyłu gapiąc się bezsilnie w sklepienie. Po chwili znów był na nogach, a drżący promień latarki oświetlał czarną szczelinę ledwo widoczną w pociemniałym betonie stropu. Szczelina niedokładnie przymkniętego włazu - dokładnie nad miejscem, gdzie Artem podniósł z ziemi grającą szkatułkę Olega. Jednak o tym, żeby dostać się do włazu nie można było nawet myśleć: sufit znajdował się na wysokości ponad trzech metrów.

Podjął decyzję niemal błyskawicznie. Ściskając w dłoni znalezione pudełeczko, Artem rzucił na tory swój plecak i ruszył z powrotem do wartowników. Już nie bał się spojrzeć w oczy Antonowi.

Zbliżając się do posterunku, Artem zwolnił nieco kroku, żeby wartownicy nie zastrzelili go ze strachu, przybliżył się do Antona i szeptem powiedział mu o swoim znalezisku. Dwie minuty później, pod pytającym wzrokiem pozostałych, odjeżdżali już z posterunku, naciskając na zmianę dźwignię drezyny.

Przejście było dość ciasne i nie można się było w nim wyprostować. Prowadziło wzdłuż tunelu półtora metra nad stropem, i Artem nie umiał sobie nawet wyobrazić, po co je zbudowano. Dla wentylacji? By przemieszczać się w awaryjnych sytuacjach? Dla szczurów? A może wykopano je już po tym, jak wybuch zasypał tunel?

Drezynę zostawili wprost pod włazem. Jej wysokość była akurat wystarczająca, żeby Artem wszedł Antonowi na ramiona, otworzył klapę, wspiął się do środka, a potem pomógł się podciągnąć koledze.

Chociaż ciasny korytarz prowadził w obie strony, Anton zdecydowanie ruszył w stronę Parku Pobiedy. Po kilku sekundach stało się jasne, że się nie mylił: na podłodze, w świetle latarki słabo błysnęła podłużna łuska - jedna z tych, które Młynarz podarował wczoraj chłopcu. Podniesiony na duchu przez znalezisko, Anton przyśpieszył kroku.

Przeszli jeszcze jakieś dwadzieścia metrów, do miejsca, gdzie przejście kończyło się ścianą, a w podłodze czerniał jeszcze jeden luk, też tylko przymknięty. Anton z przekonaniem zaczął zsuwać się w dół. Zanim Artem zdążył coś powiedzieć, już go nie było. Z dołu rozległ się łoskot, przekleństwa, a potem przytłumiony głos powiedział:

- Skacz ostrożnie, to jakieś trzy metry wysokości. Czekaj, poświecę ci latarką. Artem złapał się rękami za krawędź, zawisł, zachybotał się kilka razy i puścił, starając się trafić obiema nogami pomiędzy podkłady kolejowe.

- Jak będziemy szli z powrotem? - spytał, prostując się i otrzepując ręce.

- Później wymyślimy - machnął ręką Anton. - Przede wszystkim, czy jesteś pewny, że z tym umarłym to nie było przywidzenie?

Artem wzruszył ramionami. Pomimo bólu w potylicy, sama myśl, że ostatniej nocy na Kijewskiej napadł na niego jakiś dziwny stwór, na zdrowy rozum wydawała się absurdalna.

- Pójdziemy do Parku Pobiedy - postanowił Anton. - Jeśli to tutaj tworzy się to diabelstwo, to zagrożenie może iść tylko stąd. Sam to powinieneś czuć, przecież byłeś na naszej stacji

- A czemu nie powiedział nam pan tego wczoraj? - spytał Artem, doganiając strażnika i starając się iść równo z nim.

- Władze sobie nie życzyły - ponuro odpowiedział Anton. - Siemionowicz bardzo się boi wybuchu paniki, powiedział, żeby tego nie rozgłaszać. Boi się o swoje stanowisko. Ale wszystko ma swój kres. Już dawno mu mówiłem, że nie uda mu się wiecznie robić z tego tajemnicy... Przez ostatnie dwa miesiące przepadło troje dzieci, cztery rodziny uciekły ze stacji. Nasz wartownik wylądował z tą igłą w szyi. „Nie, mówi, panika się zacznie, stracimy nad tym kontrolę". Tchórz z niego... - Anton siarczyście splunął.

- A kto go tak tą igłą? - Artem urwał w pół słowa i stanął.

Zatrzymał się też Anton.

- A to co? Widziałeś kiedyś coś takiego? - spytał z zakłopotaniem strażnik.

Artem nic nie odpowiedział. Stał dalej, wpatrzony w ziemię, i tylko wodził latarką z boku na bok, żeby dokładniej obejrzeć to, na co wskazywał wartownik.

Na ziemi widniał olbrzymi rysunek, grubo namalowany białą farbą na szynach, podkładach i podłożu: falista linia, przypominająca pełzającego węża albo robaka, gruba na jakieś czterdzieści centymetrów i długa na dwa metry. Z jednej było na niej pogrubienie, przypominające głowę i nadające jej jeszcze większe podobieństwo do ogromnego gada.

- Wąż - uznał Artem.

- Może po prostu farba im się wylała? - próbował żartować Anton.

- Nie, to nie przypadek. Tu jest głowa... Patrzy w tę stronę. Pełznie do Parku Pobiedy...

- To znaczy, że mamy z nim po drodze...

Po kolejnych kilkuset metrach ich przypuszczenia się potwierdziły. Kierunek był prawidłowy, upewniły ich w tym od razu trzy łuski, porzucone pośrodku torów. Obaj przyśpieszyli kroku.

- Zuch chłopak! - powiedział z dumą Anton. - Ale wymyślił sposób na zostawianie śladów!

Artem kiwnął głową. O wiele bardziej zajmowało go to, jak nieznane stworzenie zdołało bezszelestnie zabrać ze sobą jeszcze, jak widać, żywego chłopczyka. Czyżby to, co słyszał w zamroczeniu była prawdą? Więc Oleg zgodził się pójść z tajemniczym porywaczem dobrowolnie? Więc dlaczego i dla kogo zaznaczał drogę?

Artem przycichł na kilka minut, zamilkł też Anton. Teraz, kiedy po prostu szli naprzód, odliczając kolejne kroki, a gryząca ciemność stopniowo pożerała niedawną radość i nadzieję, znów zaczął się trochę bać. W nadziei odkupienia swojej winy przed chłopczykiem i jego ojcem, zapomniał o wszystkich środkach ostrożności i strasznych, szeptem przekazywanych opowieściach. Zapomniał też o nakazie stalkera, by nigdzie się nie ruszał z Kijewskiej, tylko koniecznie czekał na niego na stacji. I jeśli Anton rwał się do przodu, żeby odnaleźć i odzyskać syna, to po co na złowieszczy Park Pobiedy szedł Artem? Dlaczego narażał na niebezpieczeństwo siebie i swoje główne zadanie? Na moment przypomniał sobie dziwnych ludzi z Polianki, którzy mówili mu o przeznaczeniu. Zrobiło mu się jakoś lżej na duszy. Co prawda, bojowego nastroju wystarczyło na jakieś dziesięć minut. Akurat do następnego znaku z podobizną węża.

Ten rysunek był dwa razy większy od poprzedniego, i to powinno było upewnić podróżnych, że idą w dobrym kierunku. Mimo to Artem wcale nie był przekonany czy się z tego cieszy.

Tunel wydawał się nie mieć końca. Wciąż szli i szli, a według obliczeń Artema trwało to już przynajmniej dwie godziny. Chociaż mogło tak mu się wydawać: Anton wciąż milczał, a w ciemności i ciszy, jak wiadomo, minuty rozciągają się nawet dwukrotnie.

Trzeci namalowany na ziemi ogromny wąż, który miał już ponad dziesięć metrów długości, wyznaczał też granicę dźwięku: w tym miejscy. Anton stanął i skierował ucho w głąb tunelu, a w ślad za nim zaczął też nasłuchiwać Artem. Z głębi przejazdu płynęły urywane dziwne dźwięki; z początku nie mógł ich rozpoznać, ale potem zrozumiał: pieśń śpiewana z towarzyszeniem głuchych uderzeń bębnów, podobna do tej, którą słychać było w rurach w odpowiedzi na muzykę ze szkatułki na Kijewskiej.

- Już niedaleko - wskazał głową Anton.

Czas, i bez tego płynący nieśpiesznie, nagle zamienił się w jakąś maź i prawie się zatrzymał: patrząc na swojego towarzysza, Artem porażająco wyraźnie zdawał sobie sprawę, że ten rusza głową za gwałtownie, jakby w konwulsjach, a potem zdziwił się, że podbródek Antona ciągle nie wracał w normalne położenie. I kiedy Anton miękko zwalił się na bok, zabawnie przypominając wypchaną szmatami kukłę, Artem pomyślał, że może go złapać, bo czasu jest na to wystarczająco dużo. Przeszkodziło mu w tym lekkie ukłucie w ramię. Spojrzawszy zdziwiony na bolące miejsce, zobaczył wbitą w kurtkę opierzoną stalową igłę. Chciał ją wyciągnąć, ale już mu się to nie udało: cały skamieniał, a potem jego ciało jakby zniknęło. Miękkie nogi ugięły się pod ciężarem tułowia i Artem znalazł się na ziemi. Świadomość pozostała przy tym prawie niezakłócona, igła oszczędziła też słuch i wzrok, oddychać było wprawdzie trudniej, ale wiele powietrza już teraz nie potrzebował. Nie mógł jednak poruszyć kończynami.

W bliskiej odległości usłyszał kroki, szybkie i lekkie. Zbliżające się stworzenie nie mogło być człowiekiem. Artem nauczył się rozpoznawać ludzkie kroki już dawno temu, na warcie na WOGN-ie: podwójne, ciężkie, najczęściej stukające grubą podeszwą skórzanych wojskowych buciorów, najbardziej rozpowszechnionego obuwia w metrze.

Cały czas było widać tylko kawałek podkładu kolejowego i szynę prowadzącą w przeciwnym kierunku, do Kijewskiej. W nos uderzył go ostry, nieprzyjemny zapach.

- Jeden, dwa. Obcy, leżą - powiedział ktoś z góry.

- Celnie strzelało, daleko. Szyja, ramię - odrzekł drugi.

Głosy były dziwne: pozbawione intonacji, wyblakłe, przypominały raczej monotonne wycie wiatru w tunelach. Mimo to były to właśnie ludzkie głosy, nic innego.

- Jest, celnie. Tak chce Wielki Czerw - ciągnął pierwszy głos.

- Jest. Jeden - ty, dwa - ja, bierzemy obcych do domu - dodał drugi.

Widok przed oczami Artema drgnął: gwałtownie podnieśli go z ziemi. Przez moment mignęła mu twarz: wąska, z ciemnymi wyrwami oczodołów. Potem obie leżące na ziemi latarki, jego i Antona, zgasły i zapadły egipskie ciemności. I tylko po uderzeniu krwi do głowy. Artem zrozumiał, że taszczą go dokądś niczym worek.

Tymczasem dziwna rozmowa toczyła się dalej, chociaż teraz zdania były przerywane postękiwaniem.

- Igła-paraliż, a nie igła-trucizna. Dlaczego?

- Dowódca tak każe. Kapłan tak każe. Wielki Czerw tak chce. Mięso dobrze trzymać.

- Ty mądry. Ty i kapłan przyjaciele. Kapłan uczy.

- Jest.

- Raz, dwa, wrogowie przychodzą. Pachnie proch, ogień. Niedobry wróg. Jak przychodzi?

- Nie wiem. Dowódca i Wartan robią przesłuchanie. Ja i ty łapiemy. Dobrze, Wielki Czerw się cieszy. Ja i ty dostajemy nagrodę.

- Dużo jedzenie? Buty? Kurtka?

- Dużo jedzenie. Kurtka nie. Buty nie.

- Ja młody. Łapię wrogów. Dobrze. Dużo jedzenie. Na-gro-da... Cieszę się.

- Ten dzień dobrze. Wartan przyprowadza nowy mały. Ja, ty łapiemy wrogowie. Wielki Czerw się cieszy, ludzie piją. Święto.

- Święto! Cieszę się. Tańce? Wódka? Ja tańczę Natasza.

- Natasza i dowódca, tańczą. Ty nie.

- Ja młody, silny, dowódca dużo lat. Natasza młoda. Ja łapię wrogowie, odważny, dobrze. Natasza i ja, tańczą.

W pobliżu dały się słyszeć inne głosy, i dyskusja się urwała. Artem domyślił się, że przyniesiono ich na stację. Było tu prawie tak ciemno, jak w tunelach, na całej stacji paliło się tylko jedno małe ognisko, przy którym niedbale rzucili ich na ziemię. Czyjeś stalowe palce złapały go za brodę i obróciły twarzą do góry.

Dookoła stało kilku ludzi o niewyobrażalnie dziwnym wyglądzie. Byli rozebrani prawie do naga, a głowy mieli ogolone, ale zdawało się, że zupełnie nie marzli. U każdego na czole widniała falista linia podobna do rysunków w tunelu. Przy niewysokim wzroście wyglądali niezdrowo: zapadnięte policzki, ziemista skóra, ale przy tym emanowali jakąś nadludzką siłą. Artem przypomniał sobie, z jakim trudem Młynarz niósł rannego Dziesiątego z Biblioteki, i porównał to z tym, jak szybko te dziwne istoty przytargały ich na stację.

Prawie każdy z nich trzymał w rękach długą, wąską rurkę. Kiedy się przyjrzał, Artem ze zdziwieniem poznał w nich plastikowe osłonki, wykorzystywane dla ochrony i izolacji wiązek przewodów elektrycznych. Na pasach wisiały im olbrzymie bagnety, w rodzaju tych od starego typu kałasznikowów. Wszyscy ci dziwni ludzie byli mniej więcej w tym samym wieku, nikt nie miał tu więcej niż trzydzieści lat.

Przez jakiś czas przyglądali się im w milczeniu, potem jeden z mężczyzn, z czerwoną linią na czole i jedyny, który miał brodę, podsumował:

- Dobrze. Cieszę się. To wrogowie Wielkiego Czerwia, ludzie maszyn. Źli ludzie, dobre mięso. Wielki Czerw jest zadowolony. Szarap, Wowan odważni. Ja biorę ludzi maszyn do więzienia, robię przesłuchanie. Jutro święto, wszyscy dobrzy ludzie jedzą wrogów. Wowan! Jaka igła? Paraliż? - zapytał, widocznie zwracając się do jednego z tych, którzy schwytali Artema i Antona.

- Jest, paraliż - potwierdził krępy mężczyzna z niebieską linią na czole.

- Paraliż - dobrze. Mięso się nie psuje - pochwalił brodaty. - Wowan, Szarap! Bierz wrogów, chodź ze mną do więzienia.

Widok przed oczami znów mu się zakołysał, i światło zaczęło się oddalać. Obok słychać było nowe głosy, ktoś w nieartykułowany sposób wyrażał swój zachwyt, ktoś inny żałobnie wył, potem rozległ się niski, gniewny śpiew na granicy słyszalności. Zdawało się, że rzeczywiście śpiewają umarli, i Artem wspomniał opowieści dotyczące Parku Pobiedy.

Potem znów położyli go na ziemię, obok rzucili Antona, i po chwili stracił przytomność.

Coś jakby go popchnęło, podpowiedziało, że trzeba szybko wstawać. Przeciągnął się, zapalił latarkę osłaniając ją ręką, żeby światło nie uraziło mu wrażliwych tuż po przebudzeniu oczu, rozejrzał się po namiocie (gdzie jest karabin?!) i wyszedł na stację. Tak bardzo tęsknił za domem, jednak teraz, kiedy znów znalazł się na WOGN-ie, wcale nie był z tego rad.

Pokryte sadzą sklepienie, podziurawione kulami opustoszałe namioty, w powietrzu ciężki swąd spalenizny... Wyglądało na to, że wydarzyło się tu coś strasznego, i stacja rażąco różniła się od tego, jak ją zapamiętał. Z oddali, prawdopodobnie z przejścia na drugim końcu peronu, słychać było czyjeś dzikie wycie, jakby kogoś tam zarzynali.

Dwie lampy awaryjne skąpo oświetlały stację, ich słabe światło z trudem przebijało się przez ciężkie chmury dymu. Na całym peronie nikogo nie było, tylko przed jednym z

sąsiednich namiotów, na podsadzce, bawiła się mała dziewczynka. Artem chciał się od niej dowiedzieć, co tu się stało i gdzie się podziali pozostali, ale kiedy dziewczynka go zobaczyła, zaczęła głośno płakać, i chłopak zrezygnował.

Tunele. Tunele z WOGN-u do Ogrodu Botanicznego. Jeśli mieszkańcy jego stacji w ogóle gdzieś odeszli, to mogły to być tylko przejazdy wiodące do tego przeklętego miejsca. Gdyby pozostali uciekli do centrum, w stronę Hanzy, nie zostawiliby jego i dziewczynki samych.

Artem zeskoczył na tory i ruszył ku czarnemu kręgowi wejścia do tunelu. Nie miał broni, bez broni jest niebezpiecznie, pomyślał. Ale nie ma nic do stracenia, a poza tym musi zorientować się w sytuacji. A nuż czarnym udało się przerwać szyki obronne? Wtedy cała nadzieja była w nim. Musi poznać prawdę i przekazać ją ich sojusznikom z południa.

Ciemność spadła na niego od razu po wejściu: wystarczyło przestąpić linię, za którą kończyła się stacja, a zaczynał tunel. Razem z mrokiem przyszedł strach. Przed nim nie było widać zupełnie nic, za to dochodziły stamtąd ohydne skrzeczące dźwięki. Artem jeszcze raz pożałował, że nie ma automatu, ale było za późno, żeby się wycofać.

W oddali, a potem coraz bliżej i bliżej zabrzmiały kroki. Jakby ruszały, kiedy Artem szedł naprzód, i zamierały, kiedy się zatrzymywał. Kiedyś działo się z nim coś podobnego, ale kiedy i jak to właściwie było, nie mógł sobie przypomnieć. Budziło to wielki strach: iść naprzeciw niewidzialnemu i nieznanemu... wrogowi? Zdradziecko trzęsące się kolana nie pozwalały mu robić tego szybko, a upływający czas potęgował przerażenie. Na skroniach poczuł zimny pot. Z każdą sekundą czuł się coraz bardziej nieswojo.

Wreszcie, kiedy kroki rozległy się ze trzy metry od niego, Artem nie wytrzymał i potykając się, padając i znów się podnosząc, pobiegł z powrotem na stację. Przy trzecim upadku ostatecznie zabrakło mu sił w nogach, i zrozumiał, że śmierć jest nieunikniona.

- ...Wszystko na tym świecie jest zrodzone z Wielkiego Czerwia. Kiedyś cały świat składał się z kamienia, i nie było w nim nic prócz kamienia. Nie było powietrza, i nie było wody, nie było światła, i nie było ognia. Nie było człowieka, i nie było zwierzęcia. Był tylko martwy kamień. I wtedy zamieszkał w nim Wielki Czerw.

- A skąd Wielki Czerw? Skąd przychodzi? Kto go rodzi?

- Wielki Czerw był zawsze. Nie przerywaj. Zamieszkał w samym centrum świata i powiedział: ten świat będzie mój. Jest zrobiony z twardego kamienia, lecz ja wygryzę w nim swe tunele. Jest zimny, lecz ja ogrzeję go ciepłem swego ciała. Jest ciemny, lecz ja oświetlę go światłem swoich oczu. Jest martwy, lecz ja zasiedlę go swoimi istotami.

- Kto to istoty? Co to?

- Istoty to stwory, które Wielki Czerw wydał na świat ze swego łona. I ty, i ja, wszyscy jesteśmy jego istotami. Więc tak. I wtedy powiedział Wielki Czerw: wszystko będzie tak, jak powiedziałem, bo ten świat od tej chwili jest mój. I zaczął wygryzać tunele w twardym kamieniu i rozmiękczył kamień w swoich wnętrznościach, ślina i soki zmoczyły go, i kamień stał się żywy, i zaczął rodzić grzyby. I gryzł Wielki Czerw kamień, i przepuszczał go przez siebie, i robił tak tysiące lat, póki jego tunele nie przebiły się przez całą ziemię.

- Tysiąc, co to? Jeden, dwa, trzy? Ile? Tysiąc?

- Masz dziesięć palców u rąk. I Szarap ma dziesięć palców... Nie, Szarap ma dwanaście... Nie pasuje. Powiedzmy, że Grom ma dziesięć palców. Gdyby wziąć ciebie, Groma i jeszcze innych, żeby razem było ich tylu, ile masz palców, to wszyscy będą mieli dziesięć razy dziesięć palców. To jest sto. A tysiąc to kiedy jest dziesięć razy sto.

- Dużo palców. Nie umiem policzyć.

- Nieważne. Więc tak. Kiedy w ziemi pojawiły się tunele Wielkiego Czerwia, jego pierwsze dzieło było skończone. I wtedy powiedział on: oto wygryzłem w twardym kamieniu tysiące tysięcy tuneli, i kamień rozsypał się w proch. I przeszedł ten proch przez

moje wnętrzności i został strawiony przez soki mojego życia, i sam stał się żywy. I wcześniej zajmował kamień całą przestrzeń świata, a teraz pojawiło się miejsce puste. Teraz jest miejsce dla moich dzieci, które rodzę. I wyszły z jego łona pierwsze stworzenia jego, których imienia nikt już nie pamięta. I były one duże i silne, przypominając samego Wielkiego Czerwia. I pokochał je Wielki Czerw. Ale nie miały czego pić, bo na świecie nie było wody, i wymarły one z pragnienia. I wtedy Wielki Czerw się zasmucił. Do tej pory nieznany był mu smutek, bowiem nie miał kogo kochać, i nie była mu znana samotność. Lecz kiedy stworzył nowe życie, pokochał je, i trudno mu było się z nim rozstać. I wtedy Wielki Czerw zaczął płakać, i łzy jego wypełniły świat. Tak pojawiła się woda. I powiedział: oto teraz jest i miejsce, żeby w nim żyć i woda, żeby ją pić. I ziemia, nasycona sokami z moich wnętrzności, jest żywa i rodzi grzyby. Stworzę teraz istoty, urodzę dzieci swoje. Będą żyć w tunelach, które wygryzłem, i pić łzy moje, i jeść grzyby wyrosłe na sokach z moich wnętrzności. I bał się urodzić znów ogromne stworzenia, sobie podobne, gdyż mogłoby nie starczyć im miejsca, i wody, i grzybów. Najpierw stworzył pchły, potem szczury, potem koty, potem kury, potem psy, potem świnie, potem człowieka. Ale nie stało się według jego planu: pchły zaczęły pić krew, a koty jeść szczury, a psy zagryzać koty, a człowiek zabijać je wszystkie i jeść. I kiedy pierwszy raz człowiek zabił i zjadł drugiego człowieka, zrozumiał Wielki Czerw, że dzieci jego okazały się niegodne jego, i zapłakał. I za każdym razem, kiedy człowiek je człowieka, Wielki Czerw płacze, i jego łzy płyną tunelami i zatapiają je.

- Człowiek dobry. Smaczne mięso. Słodkie. Ale jeść można tylko wrogów. Ja wiem.

Artem ścisnął i rozluźnił palce u rąk. Nadgarstki miał spętane na plecach kawałkiem drutu i mocno zdrętwiałe, ale przynajmniej znów mógł je kontrolować. Nawet to, że bolało go całe ciało, było teraz dobrym znakiem. Paraliż wywołany przez zatrutą igłę okazał się czasowy. W głowie krążyła mu idiotyczna myśl, że sam, w odróżnieniu od nieznanego opowiadającego, nie miał pojęcia, skąd w metrze wzięły się kury. Najpewniej handlarze zdołali je przynieść z jakiegoś bazaru. Że świnie pochodzą z jednego z pawilonów WOGN-u, to wiedział, ale kury...

Spróbował rozejrzeć się dookoła, ale wszędzie widział absolutną atramentową czerń. Jednak w pobliżu ktoś był. Minęło już pół godziny odkąd Artem odzyskał przytomność i, wstrzymując oddech, podsłuchiwał dziwną rozmowę. Stopniowo zaczynał rozumieć dokąd trafił.

- On się rusza, ja słyszę - rozległ się ochrypły głos - wołam dowódcę. Dowódca robi przesłuchanie.

Coś zaszurało i ucichło. Artem próbował poruszyć nogami. One też okazały się być związane drutem. Spróbował przekręcić się na drugi bok i trafił w coś miękkiego. Rozległ się przeciągły, pełen bólu jęk.

- Anton! To ty? - wyszeptał Artem.

Odpowiedzi nie było.

- Aha... Wrogowie Wielkiego Czerwia się ocknęli... - odezwał się szyderczo ktoś z ciemności. - Lepiej już byście nie dochodzili do siebie.

Był to ten sam brzęczący mądry głos, który przez ostatnie pół godziny nieśpiesznie opowiadał o Wielkim Czerwiu i stworzeniu życia. Od razu było jasne, że jego posiadacz różni się od pozostałych mieszkańców stacji: zamiast krótkich prymitywnych fraz, mówił zwykłymi, choć nieco napuszonymi zdaniami, a i tembr głosu miał zupełnie ludzki, nie to, co u innych.

- Kim jesteś? Niech pan nas wypuści! - z trudem ruszając językiem, wychrypiał Artem.

- Tak, tak. Właśnie tak wszyscy mówią. Niestety nie, dokądkolwiek chcieliście dojść, wasza podróż się skończyła. Przesłuchają was i zeżrą. Co tu zrobić? Dzikusy... - obojętnie odpowiedział głos z ciemności.

- Pan... też jest w niewoli? - domyślił się Artem.

- Wszyscy jesteśmy. Was akurat dzisiaj oswobodzą - zachichotał jego niewidoczny rozmówca.

Anton znów jęknął, poruszył się, wymamrotał coś niezrozumiałego, ale nie odzyskał przytomności.

- Ale czemu my tu siedzimy w ciemności? Zupełnie jak jacyś jaskiniowcy!

Szczęknęła zapalniczka i płomień oświetlił twarz mówiącego: długą siwą brodę, brudne posklejane włosy i ironiczne szare oczy, niknące w siatce zmarszczek. Z wyglądu miał ponad sześćdziesiąt lat. Siedział na krześle po drugiej stronie żelaznej kraty, przecinającej pokój na pół. Na WOGN-ie też taki był: nazywał się dziwnie, „małpiarnia", choć Artem widział małpy tylko w podręcznikach do biologii i w książkach dla dzieci. W rzeczywistości tego pomieszczenia używało się jako więzienia.

- Nijak nie mogę się przyzwyczaić do tej diabelskiej ciemności, muszę korzystać z tego cholerstwa - poskarżył się starzec, osłaniając oczy. - No, i po co żeście tu przyleźli? Co, z tamtej strony nie starcza wam miejsca?

- Niech pan posłucha - nie dał mu dokończyć Artem. - Przecież pan jest wolny... Może nas pan wypuścić! Zanim wrócą ci ludożercy! Przecież pan jest normalnym człowiekiem...

- Rozumie się, że mogę - odparł ten - i, oczywiście, nie zrobię tego. Z wrogami Wielkiego Czerwia żadnych interesów nie robimy.

- Jakiego znowu Wielkiego Czerwia? O czym pan mówi?! Nigdy nawet o nim nie słyszałem, a co dopiero być jego wrogiem...

- Nieważne, czy słyszeliście, czy nie. Przyszliście z tamtej strony, z miejsca, gdzie mieszkają jego wrogowie, czyli możecie być tylko zwiadowcami - szydercze brzęczenie w głosie starca zmieniło się w zgrzyt stali. - Macie broń palną i latarki! Szatańskie mechaniczne zabawki! Maszyny do zabijania! Jakich jeszcze chcesz dowodów na to, że jesteście niewierni, wrogowie życia, wrogowie Wielkiego Czerwia? - poderwał się z krzesła i podszedł do kraty. - To wy i tacy jak wy, jesteście wszystkiemu winni!

Starzec zgasił rozgrzaną zapalniczkę, i w zapadłej ciemności było słychać jak dmucha na oparzone palce. Potem zabrzmiały nowe głosy, syczące i mrożące krew w żyłach. Artem zaczął się bać. Przypomniał sobie o Tretiaku, zabitym zatrutą igłą.

- Proszę! - szepnął żarliwie. - Póki jeszcze nie jest za późno! No, po co to panu?

Starzec nic nie odpowiedział. Po chwili pomieszczenie wypełniły dźwięki: klaśnięcia gołych stóp na betonie, chrapliwe oddechy, świst wciąganego przez nozdrza powietrza. Chociaż Artem nie widział żadnego z tych, którzy weszli, czuł, że jest ich kilku, i wszyscy uważnie go obserwują, przyglądają się mu, węszą, słuchają, jak głośno, na cały pokój, wali mu serce.

- Ludzie ognia. Pachnie prochem, pachnie strachem. Jeden - zapach stacji z tamtej strony. Drugi - obcy. Jeden, drugi - wrogowie - zasyczał wreszcie czyjś głos.

- Niech Wartan działa - rozkazał drugi głos.

- Zapal światło - poprosił ktoś.

Znów trzasnęła zapalniczka.

W pokoju, oprócz starca, w którego ręce drżał płomyczek, stało trzech ogolonych dzikusów, osłaniających dłońmi oczy. Jednego z nich, przysadzistego i brodatego, Artem już dzisiaj widział. Drugi też wydał mu się dziwnie znajomy. Patrząc Artemowi prosto w oczy, zrobił krok do przodu i znalazł się przy kracie. Pachniał inaczej niż pozostali: Artem uchwycił dochodzący od tego człowieka ledwie wyczuwalny odór rozkładającego się mięsa.

Nie mógł oderwać wzroku od jego oczu: jak dwie czarne dziury zaginały cały świat wokół siebie i wciągały go do środka. Artem się wzdrygnął: zrozumiał, gdzie wcześniej widział tę twarz. Był to ten sam stwór, który napadł na niego w nocy na Kijewskiej.

Artema ogarnęło dziwne uczucie, podobne do paraliżu, który unieruchomił jego ciało po ukłuciu zatrutej igły, tylko tym razem całkowicie bezsilny stał się jego umysł. Myśli zatrzymały się, i chłopak zastygł, szybko otworzywszy swoją świadomość przed tą ledwo przypominającą człowieka istotą, która w milczeniu pożerała go oczami.

- Przez luk... Został otwarty... Przyszliśmy po chłopczyka. Po syna Antona. Którego porwano w nocy. To wszystko moja wina, pozwoliłem mu słuchać waszej muzyki, przez rury... Wszedłem z drezyny. Nikomu więcej nie powiedzieliśmy. Przyszliśmy we dwóch. Nie zamknęliśmy... - posłusznie odpowiadał Artem na pytania, które słyszał w głowie.

Sprzeciwić się, albo coś ukryć przed bezdźwięcznym głosem, który żądał od niego odpowiedzi, było niemożliwością. W ciągu minuty przesłuchujący Artema dowiedział się wszystkiego, co go interesowało. Skinął głową i wycofał się. Płomyk zgasł. Powoli, niczym czucie w zdrętwiałej we śnie ręce, Artemowi wróciło poczucie kontroli nad sobą.

- Wowan, Kułak, wracać do tunelu, do przejścia. Zamknąć drzwi - rozkazał jeden z głosów, pewnie należący do brodatego dowódcy. - Wrogowie zostają tutaj. Dron pilnuje wrogów. Jutro święto, ludzie jedzą wrogów, czczą Wielkiego Czerwia.

- Co zrobiliście z Olegiem? Co zrobiliście z dzieckiem? - zachrypiał Artem w ślad za nimi.

Drzwi zamknęły się z hukiem.

ROZDZIAŁ 17
DZIECI CZERWIA

Kilka minut minęło w całkowitej ciszy, i Artem, uznając, że zostali sami, znów się poruszył, próbując chociażby usiąść. Zbyt mocno skrępowane nogi i ręce były zdrętwiałe i obolałe. Przypomniał sobie słowa ojczyma, który wyjaśniał mu kiedyś, że jeśli zbyt długo trzymać opaskę albo bandaż, tkanki mogą nawet zacząć obumierać. Chociaż, przyszło mu do głowy, co to teraz za różnica?

- Wróg, leż spokojnie! - rozległ się nagle głos. - Dron pluje igła-paraliż!

- Nie trzeba - Artem posłusznie znieruchomiał - nie trzeba strzelać.

Błysnęła mu nadzieja: a jeśli rozmówiwszy się ze swoim strażnikiem, zdoła przekonać go, żeby pomógł im się stąd wydostać? Ale o czym można rozmawiać z dzikusem, który pewnie nie zrozumie nawet połowy jego słów?

- Kto to jest Wielki Czerw? - spytał o pierwszą rzecz, jaka przyszła mu do głowy.

- Wielki Czerw robi ziemię. Robi świat, robi człowieka. Wielki Czerw to wszystko. Wielki Czerw to życie. Wrogowie Wielkiego Czerwia, ludzie maszyn, to śmierć.

- Nigdy o nim nie słyszałem - starannie dobierając słowa, powiedział Artem. - Gdzie on mieszka?

- Wielki Czerw mieszka tutaj. Obok. Dookoła. Wszystkie tunele Wielki Czerw kopie. Człowiek potem mówi: on to robi. Nie. To Wielki Czerw. Daje życie, zabiera życie. Kopie nowe tunele, ludzie w nich mieszkają. Dobrzy ludzie czczą Wielkiego Czerwia. Wrogowie Wielkiego Czerwia chcą zabijać. Kapłani tak mówią.

- Kto to są kapłani?

- Starsi ludzie, z włosami na głowie. Tylko oni mogą. Oni wiedzą, słyszą życzenia Wielkiego Czerwia, mówią ludziom. Dobrzy ludzie tak robią. Źli ludzie nie słuchają. Źli ludzi wrogowie, dobrzy ich jedzą.

Przypomniawszy sobie podsłuchaną rozmowę, Artem zaczął stopniowo wszystko sobie układać. Jednym z takich kapłanów był na pewno starzec, który opowiadał legendę o Czerwiu.

- Kapłan mówi: nie wolno jeść ludzi. Mówi, Wielki Czerw płacze, kiedy jeden człowiek je drugiego - starając się wyrażać swoje myśli tak, jak dzikus, przypomniał mu Artem. - Jedzenie ludzi jest wbrew woli Wielkiego Czerwia. Jeśli tu zostaniemy, zjedzą nas. Wielki Czerw będzie zasmucony, będzie płakał... - dodał ostrożnie.

- Oczywiście, że Wielkie Czerw będzie płakał - dobiegł go z ciemności szyderczy głos. - Ale emocje emocjami, a białka z diety niczym się nie zastąpi.

Mówił to ten sam starzec, Artem od razu poznał jego tembr głosu i intonację. Nie mógł tylko zrozumieć, czy ten cały czas był w pokoju, czy dopiero co bezszelestnie się do niego zakradł. Jakkolwiek było, nadzieja, by wydostać się z klatki, zniknęła.

Potem Artemowi przyszła do głowy jeszcze jedna myśl, od której przejął go dreszcz.

Jakie to szczęście, że Anton do tej pory się nie ocknął i tego nie słyszy, pomyślał.

- A dziecko? Dzieci, które porywacie? Je też zjadacie? Chłopczyka? Olega? - spytał prawie niesłyszalnie, wpatrując się w ciemność szeroko otwartymi ze strachu oczami.

- Małych nie jemy - odezwał się dzikus, chociaż Artem myślał, że odpowie starzec. - Mali nie mogą być źli. Nie mogą być wrogowie. Małych zabieramy, żeby nauczyć jak żyć. Mówimy o Wielkim Czerwiu. Uczymy go czcić.

- Brawo, Dron - pochwalił kapłan. - Mój ulubiony uczeń - wyjaśnił.

- Co się stało z chłopczykiem, którego porwali zeszłej nocy? Gdzie on jest? Ten wasz potwór go zabrał, wiem o tym - rzekł Artem.

- Potwór? A niby kto spłodził te potwory?! - wybuchnął starzec. - Kto stworzył tych niemych, bezrękich, sześciopalcych, umierających przy narodzinach i bezpłodnych? Kto pozbawił ich ludzkiego oblicza, obiecując im raj, i porzucił ich, by zdychali w ślepej kiszce tego przeklętego miasta? Kto jest temu winien i kto w takim razie jest prawdziwym potworem?

Artem milczał. Strzec też nic więcej nie mówił i tylko ciężko oddychał, starając się uspokoić. W tym momencie Anton wreszcie się obudził.

- Gdzie on jest? - wychrypiał. - Gdzie mój syn? Gdzie jest mój syn?! Oddajcie mi syna!

Zaczął krzyczeć i, próbując się uwolnić, zaczął się rzucać po podłodze, uderzając to o pręty kraty, to o ścianę.

- Rozrabiaka - dawnym szyderczym tonem zauważył starzec. - Dron, uspokój go.

Dał się słyszeć dziwny dźwięk, jak gdyby ktoś kaszlnął albo zrobił silny wydech.

Coś krótko świsnęło w powietrzu, i po kilku sekundach Anton znów umilkł.

- Bardzo pouczające - powiedział kapłan. - Przyprowadzę chłopca, niech popatrzy na tatę, pożegna się. Zresztą dobry z niego malec, tata może być z niego dumny, bardzo odważnie opiera się hipnozie... - Zaszurał po posadzce i oddalił się, skrzypnęły otwierające się drzwi.

- Nie trzeba się bać - niespodziewanie miękko powiedział strażnik. - Dobrzy ludzie nie zabijają, nie jedzą dzieci wrogów. Mali nie grzeszą. Można nauczyć dobrze żyć. Wielki Czerw wybacza małym wrogom.

- Boże mój, jaki znów Wielki Czerw? Przecież to kompletny absurd! Gorzej od sekciarzy i satanistów! Jak wy możecie w niego wierzyć? Ktokolwiek kiedykolwiek widział tego waszego Czerwia? Może ty go widziałeś? - swoją ostatnią tyradę Artem starał się wypowiedzieć z sarkazmem, ale przekonujące wykonanie, leżąc na podłodze ze związanymi rękami i nogami, okazało się niełatwe.

Tak, jak wtedy, gdy czekał na egzekucję w niewoli u faszystów, zaczęła go ogarniać obojętność co do własnego losu. Położył głowę na zimnej podłodze i zamknął oczy nie licząc na odpowiedź.

- Na Wielkiego Czerwia nie wolno patrzeć. Zabronione! - odparł dzikus.

- Przecież to niemożliwe - niechętnie odezwał się Artem. - Nie ma żadnego Czerwia... A tunele robili ludzie. Wszystkie są zaznaczone na planach... Jeden jest nawet okrągły, tam gdzie Hanza, coś takiego tylko ludzie mogą zbudować. Ale ty pewnie nawet nie wiesz, co to jest plan...

- Ja wiem - spokojnie powiedział Dron. - Uczę się u kapłana, on pokazuje. Na planie dużo tuneli nie ma. Nawet tu, u nas w domu, są nowe tunele, święte, a na planie nie ma. Ludzie maszyn robią plany, myślą, że tunele oni kopią. Głupi, pyszni. Niczego nie wiedzą. Za to Wielki Czerw ich karze.

- Za co ich karze? - nie zrozumiał Artem.

- Za py... py-szę - starannie wymówił dzikus.

- Za pychę - potwierdził głos kapłana. - Wielki Czerw stworzył człowieka jako ostatniego, i był człowiek jego ukochanym dzieckiem. Albowiem innym nie dał rozumu, a człowiekowi dał. Wiedział on, że rozum to niebezpieczna zabawka, i dlatego nakazał: żyj w pokoju ze sobą, w pokoju z ziemią, w pokoju z życiem i wszystkimi stworzeniami, i czcij mnie. Potem odszedł Wielki Czerw do najgłębszych wnętrzności Ziemi, ale przedtem powiedział: przyjdzie dzień, że wrócę. Rób tak, jakbym był tuż obok. I ludzie posłuchali swojego stwórcy i żyli w pokoju z ziemią, którą stworzył, i w pokoju ze sobą nawzajem, i w pokoju z innymi stworzeniami, i czcili Wielkiego Czerwia. I rodziły im się dzieci, i ich dzieciom rodziły się dzieci, i z ojca na syna, z matki na córkę przekazywali słowa Wielkiego Czerwia. Lecz umarli ci, którzy na własne uszy słyszeli jego nakaz, i umarły ich dzieci, i

minęło wiele pokoleń, a Wielki Czerw wciąż nie wracał. I wtedy jeden za drugim przestali ludzie przestrzegać jego przykazań i robić tak, jak chciał. I pojawili się ci, którzy powiedzieli: Wielkiego Czerwia nigdy nie było i nie ma teraz. A inni czekali, aż Wielki Czerw powróci i ich ukaże. Spali ich ogniem swoich oczu, pożre ich ciała i zasypie tunele, w których mieszkają. Ale Wielki Czerw nie wracał i tylko płakał nad ludźmi. I łzy jego podnosiły się z głębi ziemi i podtapiały dolne tunele. Ale ci, co odwrócili się od swego stwórcy, powiedzieli: nikt nas nie stworzył, my byliśmy zawsze. Piękny i potężny jest człowiek, nie mógł być stworzony przez ziemnego Czerwia! I powiedzieli: cała ziemia jest nasza, i była nasza, i będzie, a tunele w niej zrobił nie Wielki Czerw, a my i przodkowie nasi. I rozpalili ogień i zaczęli zabijać istoty, które stworzył Wielki Czerw, mówiąc: oto całe życie, które jest wokół, jest nasze, i wszystko jest tu tylko po to, żeby nasycić nasz głód. I stworzyli maszyny, żeby zabijać szybciej, żeby siać śmierć, żeby niszczyć życie stworzone przez Wielkiego Czerwia, i podporządkować jego świat sobie. Ale i wtedy nie wyszedł on ze swych nieprzebytych głębin, do których odszedł. I zaśmiali się oni, i zaczęli dalej czynić wbrew temu, co mówił. I postanowili go poniżyć, stworzyć takie maszyny, które będą naśladować postać jego. I stworzyli takie maszyny, i weszli do ich wnętrza, i śmiali się: oto, powiedzieli, teraz możemy sami kontrolować Wielkiego Czerwia, i to nie jednego, a dziesiątki. I bije światło z ich oczu, i słychać grom, gdy pełzną, i ludzie wychodzą z jego łona. To my stworzyliśmy Czerwia, a nie Czerw nas. Ale i to im nie wystarczyło. Rosła w ich sercu nienawiść. Postanowili, że zniszczą samą ziemię, w której żyli. I stworzyli tysiące różnych maszyn: buchających płomieniem, i plujących żelazem, i rozrywających ziemię na części. I zaczęli niszczyć ziemię i wszystko co żyje, co w niej było. I wtedy nie wytrzymał Wielki Czerw i przeklął ich: odebrał im swój najcenniejszy dar: rozum. Owładnęło nimi szaleństwo, obrócili swe maszyny przeciwko sobie nawzajem i zaczęli się wzajemnie zabijać. I już nie pamiętali, dlaczego robią to, co robią, ale nie mogli przestać. Tak Wielki Czerw pokarał człowieka za pychę.

- Ale nie wszystkich? - spytał dziecinny głos.

- Nie. Byli tacy, którzy zawsze pamiętali o Wielkim Czerwiu i czcili go. Wyrzekli się maszyn i świata i żyli w pokoju z ziemią. Oni się uratowali, i Wielki Czerw nie zapomniał o ich wierności, i zachował rozum ich, i obiecał oddać im cały świat, kiedy jego wrogowie padną. I tak będzie.

- I tak będzie - chórem powtórzyli dzikus i dziecko.

- Oleg? - słysząc w dziecięcym głosiku coś znajomego, zawołał Artem.

Dziecko nic nie odpowiedziało.

- I po dziś dzień wrogowie Wielkiego Czerwia mieszkają w wykopanych przez niego tunelach, bo nie mogą już nigdzie się ukryć, ale nadal sławią nie jego, a swoje maszyny. Cierpliwość Wielkiego Czerwia jest wielka i starczyło jej na długie wieki ludzkich wybryków. Ale ona też nie jest nieskończona. Powiedziane jest, że kiedy zada on ostatni cios w ciemne serce kraju wrogów, ich wola będzie złamana, a mir dostaną dobrzy ludzie. Powiedziane jest, że wybije godzina, i Wielki Czerw wezwie na pomoc rzeki, i ziemię, i powietrze. I zawali się ziemia, i runą grzmiące potoki, i ciemne serce wroga zniknie w otchłani. I wtedy wreszcie zatriumfują sprawiedliwi, i dobrzy będą szczęśliwi, i zapanuje życie bez chorób, i grzybów będzie do syta, i wszelakiego mięsa obfitość.

Zapłonął płomyczek. Artemowi udało się jakoś oprzeć plecami o ścianę, i teraz nie musiał już męczyć się i wyginać, żeby mieć w polu widzenia ludzi po tamtej stronie kraty.

Na podłodze pośrodku pokoju, plecami do niego, siedział po turecku mały chłopiec. Nad nim wznosiła się zasuszona postać kapłana, oświetlona płomieniem zapalniczki. Dzikus z rurką do dmuchania stał obok, oparty o futrynę drzwi. Wszystkie oczy były skierowane na starca, który dopiero co zakończył swoją opowieść.

Artem z trudem obrócił głowę i spojrzał na Antona, zastygłego w tej konwulsyjnej pozie, w której dosięgła go paraliżująca strzałka. Wpatrywał się w sufit i nie mógł widzieć syna, ale na pewno wszystko słyszał.

- Wstań, synku, i popatrz na tych ludzi - powiedział kapłan.

Chłopiec od razu zerwał się na nogi i odwrócił w stronę Artema. To był Oleg.

- Podejdź do nich bliżej. Poznajesz któregoś z nich? - spytał starzec.

- Tak - przytaknął chłopiec, patrząc spode łba na Artema. - To mój tata, a razem z tym wujkiem słuchaliśmy waszych piosenek. Przez rury.

- Twój tata i jego przyjaciel to źli ludzie. Używali maszyn i chcieli poniżyć Wielkiego Czerwia. Pamiętasz, opowiadałeś mi i wujkowi Wartanowi, co robił twój tata, kiedy źli ludzie chcieli rozwalić świat?

- Tak - jeszcze raz kiwnął głową Oleg.

- To powiedz nam to jeszcze raz - starzec przełożył zapalniczkę do drugiej ręki.

- Mój tata pracował w wuera. W wojskach rakietowych. Był rakietowcem. Chciałem być taki jak on, kiedy dorosnę.

Artemowi zaschło w gardle. Jakże on wcześniej nie mógł rozwikłać tej zagadki? To stąd chłopczyk wziął tę dziwną naszywkę i to dlatego oznajmił, że też jest rakietowcem, tak jak i zabity Tretiak! Był to niewiarygodny zbieg okoliczności, w całym metrze ostali się pojedynczy ludzie, którzy służyli w wojskach rakietowych... I dwóch z nich znalazło się na Kijewskiej. Czy to mógł być przypadek?

- Rakietowcem... Ci ludzie uczynili światu więcej zła, niż wszyscy pozostali razem wzięci. Obsługiwali maszyny i urządzenia, które spaliły i unicestwiły ziemię i prawie całe życie na niej. Wielki Czerw wybacza wielu, którzy pobłądzili, ale nie tym, którzy wydawali rozkazy zburzenia świata i siania w nim śmierci, i nie tym, którzy je wypełniali. Twój ojciec zadał niewysłowiony ból Wielkiemu Czerwiowi. Twój ojciec swoimi rękoma zburzył nasz świat. Czy wiesz, na co zasługuje? - głos starca stał się surowy, znów zabrzmiała w nim stal.

- Na śmierć? - niepewnie spytał chłopiec, oglądając się to na kapłana, to na swojego ojca skulonego na podłodze małpiarni.

- Na śmierć - potwierdził kapłan. - On musi umrzeć. Im prędzej umrą źli ludzie, którzy zadali ból Wielkiemu Czerwiowi, tym wcześniej wypełni się jego obietnica, i świat odrodzi się i zostanie oddany dobrym ludziom.

- To znaczy, że tata musi umrzeć - zgodził się Oleg.

- Brawo! - starzec delikatnie poklepał chłopca po głowie. - A teraz biegnij, pobaw się jeszcze z wujkiem Wartanem i z dziećmi! Tylko uważaj w ciemności, nie przewróć się! Dron, odprowadź go, posiedzę sobie jeszcze z nimi. Wróć z pozostałymi za pół godziny, i zabierzcie ze sobą worki, będziemy wszystko szykować.

Światło zgasło. Energiczne kroki dzikusa i lekkie dziecięce tupanie ucichły w oddali. Kapłan odkaszlnął i odezwał się do Artema:

- Pogawędzę sobie z tobą trochę, jeśli nie masz nic przeciwko. Jeńców u nas zwykle nie biorą, co najwyżej dzieci, bo rodzą im się wciąż tylko wątłe i chore... A dorosłych najczęściej przynoszą ogłuszonych. Chętnie bym nawet z nimi porozmawiał, a i może oni sami by nie odmówili, tylko widzisz, za szybko ich zjadają...

- To po co ich uczycie, że jedzenie ludzi jest złe? - obojętnie spytał Artem. - Że ten Czerw płacze i tak dalej?

- Cóż, jak by to powiedzieć... Przyda im się to w przyszłości. Wy oczywiście nie doczekacie tej chwili, ja zresztą też, ale teraz tworzą się podstawy przyszłej cywilizacji: kultury, która będzie żyć w zgodzie z przyrodą. Dla nich kanibalizm to zło konieczne. Bez białka zwierzęcego, jak widzisz, się nie da. Lecz zostaną podania, i kiedy bezpośrednia potrzeba, by zabijać i żreć sobie podobnych minie, powinni z tym skończyć. I to wtedy

Wielki Czerw o sobie przypomni. Szkoda tylko, że nie dożyję tych pięknych czasów... - starzec znów nieprzyjemnie się zaśmiał.

- Wie pan, tyle się już napatrzyłem w metrze - powiedział Artem. - Na jednej stacji wierzą, że jeśli kopać głęboko, to można dokopać się do piekła. Na innej, że mieszkamy już w przedsionku raju, gdyż ostatnia bitwa dobra i zła już się dokonała, i ci, którzy przeżyli, są wybrani by wejść do Królestwa Bożego. Po tym wszystkim historia o tym waszym Czerwiu już nie brzmi zbyt przekonująco. Pan sam chociaż w to wierzy?

- A co za różnica, w co wierzę ja, albo inni kapłani? - uśmiechnął się starzec. - Życia zostało ci niewiele, parę godzin, tak więc opowiem ci coś niecoś. Z nikim nie można być tak szczerym, jak z tym, kto wszystkie twoje wyznania zabierze do grobu... Tak więc to, w co wierzę ja sam jest nieważne. Najważniejsze, w co wierzą ludzie. Nie jest łatwo uwierzyć w boga, którego sam stworzyłem... - kapłan przerwał na chwilę i zamyślił się, a potem ciągnął: - Jakby ci to wytłumaczyć? Kiedyś byłem studentem, studiowałem filozofię i psychologię na uniwersytecie, chociaż wątpię, że coś ci to mówi. I miałem takiego profesora: wykładowcę psychologii poznawczej, bardzo mądry człowiek, tak rozkładał cały proces myślowy na czynniki pierwsze, że aż miło było posłuchać. Akurat wtedy, podobnie jak i inni w tym wieku, zadawałem sobie pytanie o istnienie Boga, czytałem różne książki, prowadziłem całonocne kuchenne dyskusje, no, tak jak wszyscy. I skłaniałem się ku temu, że prawdopodobnie jednak go nie ma. I w którymś momencie stwierdziłem, że właśnie ten profesor, wielki znawca ludzkiej duszy, może mi jasno odpowiedzieć na to trapiące mnie pytanie. Przyszedłem do niego do gabinetu, niby żeby porozmawiać o referacie, i potem pytam: a jak to jest według pana, Iwanie Michajłowiczu, czy Bóg jednak istnieje? Bardzo mnie wtedy zdziwił. Dla mnie, mówi, taka kwestia nie istnieje. Sam pochodzę z wierzącej rodziny, przywykłem do myśli, że istnieje. Nie próbuję analizować wiary z psychologicznego punktu widzenia, a to dlatego, że nie chcę. I w ogóle, mówi, jest to dla mnie nie tyle kwestia zasadniczej wiedzy, co codziennego postępowania. Moja wiara nie zawiera się w tym, że jestem szczerze przekonany o istnieniu siły wyższej, ale w tym, że wypełniam przykazania, modlę się co wieczór, chodzę do cerkwi. Jest mi od tego lepiej, spokojniej. Tak to było - starzec umilkł.

- I co? - nie wytrzymał Artem po minutowej pauzie.

- A to. Wierzę w Wielkiego Czerwia, czy nie wierzę, nie jest takie ważne. Ale przykazania włożone w boże usta żyją przez wieki. Sprawa jest prosta: stworzyć boga i nauczać o nim właściwymi słowami. I uwierz mi, Wielki Czerw nie jest gorszy od innych bogów i przeżyje wielu z nich.

Artem zamknął oczy. Ani Dron, ani wódz tego przedziwnego plemienia, ani nawet takie dziwne stwory jak Wartan, na pewno nie poddają wiary w Wielkiego Czerwia w najmniejszą nawet wątpliwość. Dla nich była to oczywistość, jedyne wyjaśnienie tego, co widzieli dookoła, jedyna zasada postępowania i miara dobra i zła. W co innego mógł wierzyć człowiek, który nie widział w swoim życiu niczego, prócz metra? Ale było też w legendach o Czerwiu coś, czego Artem nie rozumiał.

- Ale dlaczego nastawia ich pan przeciwko maszynom? Co jest złego w technice? Elektryczność, światło, broń palna, jak pan chce, żeby pana lud bez tego przeżył? - zapytał.

- Co jest złego w maszynach?! - ton starca całkowicie się zmienił: fałszywa dobroduszność i cierpliwość, z którymi dopiero co wyrażał swoje myśli, zniknęły. - Chcesz na godzinę przed śmiercią przekonywać mnie o potrzebie maszyn?! Rozejrzyj się dookoła! Tylko ślepiec by nie dostrzegł, że jeśli ludzkość zawdzięcza czemuś swój upadek, to tylko temu, że zbytnio polegała na maszynach! Jak śmiesz zająknąć się chociaż o ważnej roli techniki tutaj, na mojej stacji? Ty miernoto!

Artem zupełnie się nie spodziewał, że jego pytanie, chyba mniej buntownicze od poprzedniego, o wiarę w Wielkiego Czerwia, wywoła u starca taką reakcję. Nie wiedząc, co

odpowiedzieć, umilkł. W ciemności słychać było, jak kapłan ciężko oddycha, szepcząc jakieś przekleństwa i starając się uspokoić. Przemówił dopiero po kilku minutach.

- Odwykłem od rozmów z niewiernymi - sądząc z głosu, starzec znów wziął się w garść. - Zagadałem się z panem, ale młodzież coś zatrzymało, nie przynoszą worków - zaakcentował ostatnie słowo i zrobił dramatyczną pauzę.

- Jakich znowu worków? - dał się złapać Artem.

- Będą was przygotowywać. Kiedy wspominałem o torturach, wyraziłem się nieprecyzyjnie. Wielki Czerw nie pochwala bezmyślnego okrucieństwa. Po co przesłuchiwać, jeśli nie zdążysz jeszcze zadać pytania, a człowiek już sam na nie odpowiada? Miałem na myśli coś innego. Ja i koledzy, kiedy zrozumieliśmy, że zwyczaj kanibalizmu się tu zakorzenił i nic się na to nie poradzi, postanowiliśmy zatroszczyć się przynajmniej o kulinarny aspekt problemu. Ktoś sobie wtedy przypomniał, że Koreańczycy, kiedy jedzą psy, wsadzają je żywcem do worka i biją pałkami na śmierć. Mięso dużo na tym zyskuje. Robi się miękkie, delikatne. Można powiedzieć, że dla jednego to oznacza liczne krwiaki, dla drugiego bite kotlety. Tak że proszę nas nie sądzić zbyt surowo. Ja to bym nawet chętnie najpierw uśmiercał, a potem dopiero tymi pałkami, ale to jest jednak konieczne, żeby te krwotoki wewnętrzne były. Przepis to przepis - starzec zapalił nawet zapalniczkę, żeby ponapawać się wywołanym efektem. - Ale coś im długo schodzi, czyżby coś się sta... - dodał.

Zdanie przerwał mu przenikliwy krzyk. Dały się słyszeć krzyki, odgłosy bieganiny, dziecięcy płacz, złowieszcze świsty... Na stacji coś się działo. Kapłan przysłuchiwał się z niepokojem hałasowi, potem zgasił zapalniczkę i ucichł.

Kilka minut później na progu zagrzmiały ciężkie buciory, i zabrzmiał niski głos:

- Jest tu kto?

- Tak! My tu jesteśmy! Artem i Anton! - co sił krzyknął Artem, w nadziei, że starzec nie ma za pazuchą rurki z trującymi strzałami.

- Tutaj są! Osłaniaj mnie i młodego! - krzyknął jakiś głos.

Zapłonęło oślepiająco jasne światło. Starzec rzucił się do wyjścia, ale człowiek blokujący wyjście zbił go z nóg uderzeniem w szyję. Kapłan krótko zarzęził i padł na ziemię.

- Drzwi, trzymaj drzwi!

Coś huknęło, z sufitu posypał się tynk, i Artem zamknął oczy. Kiedy je otworzył, w pokoju stało już dwóch ludzi. Wyglądali niezwykle, czegoś takiego jeszcze nie widział.

Ubrani w ciężkie, długie kamizelki kuloodporne, założone na obcisłe czarne uniformy, obaj byli uzbrojeni w nietypowe krótkie automaty z celownikami laserowymi i tłumikami. I bez tego groźnego wyglądu dopełniały masywne tytanowe hełmy z przyłbicami, jak u komandosów Hanzy, i niewiadomego przeznaczenia duże metalowe tarcze ze szczelinami do patrzenia.

Jednemu z nich wisiał na plecach miotacz płomieni. Szybko obejrzeli pokój, oświetlając go długą i niewiarygodnie silną latarką, kształtem przypominającą raczej pałkę policyjną.

- To oni? - spytał jeden z nich.

- Tak - potwierdził drugi.

Przyjrzawszy się w skupieniu zamkowi na drzwiach do małpiarni, pierwszy cofnął się, zrobił kilka kroków i z wyskoku uderzył butem w kratę. Zardzewiałe zawiasy nie wytrzymały naporu, i drzwi runęły pół kroku od Artema. Mężczyzna ukląkł przy nim na jedno kolano i podniósł przyłbicę. Wszystko wróciło na swoje miejsce: na Artema, mrużąc oczy, patrzył Młynarz. Szeroki zębaty nóż zazgrzytał o druty pętające jego nogi i ręce i kilkoma pociągnięciami stalker go uwolnił.

- Żyjesz - z zadowoleniem zauważył Młynarz. - Dasz radę iść?

Artem skinął głową, ale nie udało mu się stanąć na nogi. Zdrętwiałe ciało wciąż jeszcze odmawiało mu posłuszeństwa.

Do pokoju wbiegło jeszcze kilku ludzi, z których dwóch natychmiast zajęło pozycje obronne przy drzwiach. W oddziale było dokładnie ośmiu żołnierzy: byli ubrani i wyposażeni prawie tak samo jak ci, którzy wdarli się do pokoju jako pierwsi, ale niektórzy mieli jeszcze na sobie długie skórzane płaszcze, takie jak Hunter. Jeden z nich postawił na ziemi chłopczyka, którego do tej pory trzymał pod pachą, osłaniając założoną na rękę tarczą. Ten od razu rzucił się do klatki i schylił nad Antonem.

- Tata! Tata! Ja ich specjalnie oszukałem, że jestem z nimi, naprawdę! Pokazałem wujkowi gdzie jesteś! Przepraszam, tato! Tata, powiedz coś! - chłopczyk ledwo powstrzymywał łzy.

Szklanymi oczyma Anton obojętnie patrzył w sufit. Artem przestraszył się, że druga dawka środka paraliżującego jednego dnia dla dowódcy warty mogła się okazać ostatnią. Młynarz przyłożył palec wskazujący do szyi rozciągniętego na podłodze Antona.

- W porządku - stwierdził po kilku sekundach. - Żyje. Dajcie nosze!

W czasie kiedy Artem opowiadał o działaniu zatrutych strzał, dwóch żołnierzy rozłożyło na podłodze nosze z materiału i położyli na nich Antona.

Na ziemi poruszył się i zabełkotał coś znokautowany starzec.

- A to kto? - spytał Młynarz, i kiedy Artem wyjaśnił, zdecydował: - Bierzemy go ze sobą, będzie nasza tarczą. Jaka sytuacja?

- Wszędzie spokój - zameldował komandos pilnujący drzwi wejściowych.

- Wycofujemy się do tunelu, z którego przyszliśmy - oznajmił stalker. - Musimy wrócić do bazy z rannym i zakładnikiem, żeby go przesłuchać. Trzymaj - podał Artemowi automat - jeśli wszystko będzie w porządku, nie trzeba będzie z niego korzystać. Nie masz nawet pancerza, więc będziesz pod naszą ochroną. Pilnuj chłopca.

Artem kiwnął głową i wziął Olega za rękę, ledwo oderwawszy go od noszy, na których leżał jego ojciec.

- Formujemy „żółwia" - rozkazał Młynarz.

Komandosi błyskawicznie utworzyli owal, wystawiając na zewnątrz tarcze, znad których wystawały tylko hełmy. Wolnymi rękami czterech z nich złapało za nosze. Chłopiec i Artem znaleźli się wewnątrz formacji, całkowicie zasłonięci tarczami. Wziętemu do niewoli starcowi zakneblowali usta, związali ręce za plecami i umieścili go na czele. Po kilku silnych szturchańcach zrezygnował z prób ucieczki i umilkł, ponuro wpatrując się w ziemię.

Oczami „żółwia" było dwóch pierwszych komandosów, którzy mieli specjalne noktowizory przykręcone wprost do hełmów, tak że ręce pozostawały wolne. Na rozkaz żołnierze pochylili się, zasłaniając tarczami nogi, i ruszyli szybko naprzód.

Wciśnięty pomiędzy komandosów, Artem ciągnął za rękę nienadążającego Olega. Nic nie widział i tego, co się działo, mógł się domyślać tylko z urywanych komunikatów pozostałych.

- Troje z prawej... kobiety, dziecko.

- Z lewej! Arkady, arkady! Strzelają! - o metal tarcz zadzwoniły igły.

- Zdejmij ich!

Dał się słyszeć przytłumiony terkot automatów.

- Jeden leży... Drugi leży... Idziemy, idziemy!

- Z tyłu! Łomow! - znów wystrzały.

- Dokąd, dokąd? Tamtędy się nie da!

- Naprzód, powiedziałem! Trzymaj zakładnika!

- Cholera, przeleciała mi tuż przed oczami...

- Stój! Stój! Stać!

- Co jest?

- Wszystko zablokowane! Ze czterdziestu ludzi! Barykady!

- Daleko?

- Dwadzieścia metrów. Nie strzelają.

- Zachodzą z boków!

- Kiedy oni zdążyli zbudować barykady?!

Na tarcze spadł prawdziwy grad strzał. Na sygnał wszyscy przyklęknęli na jedno kolano, tak że teraz pancerz w całości ich okrywał. Artem pochylił się, osłaniając chłopczyka. Postawili nosze z Antonem na ziemi, i teraz strzelców było dwa razy więcej.

- Nie odpowiadać! Nie odpowiadać! Czekamy...

- W but trafili...

- Światło gotowe... Na trzy - latarki i ognia. Kto ma noktowizor, wybierać cele... Raz...

- Ale walą...

- Dwa! Trzy!

W tym samy momencie zapaliło się kilka silnych latarek i zagrały karabiny. Gdzieś przed nimi dało się słyszeć krzyki i jęki umierających. Potem strzelanina nieoczekiwanie się skończyła. Artem zaczął nasłuchiwać.

- Tam są, z białą flagą... Poddają się, czy co?

- Przerwać ogień! Będziemy rozmawiać. Pokażcie zakładnika!

- Stój, ścierwo, gdzie leziesz? Trzymam, trzymam! Skubany staruch...

- Mamy waszego kapłana! Dajcie nam odejść! - krzyknął Młynarz. - Dajcie nam wrócić do tunelu! Powtarzam, dajcie nam odejść!

- No, i co? Co tam się dzieje?

- Zero reakcji. Milczą.

- Czy oni nas w ogóle rozumieją?

- Poświeć mi lepiej na niego...

- Dajcie popatrzeć...

Potem nagle przestali mówić. Komandosi jakby pogrążyli się w zadumie, najpierw ci, którzy stali z przodu, potem również ochraniający tyły. Nastąpiła niedobra, pełna napięcia cisza.

- Co się dzieje? - spytał z niepokojem Artem.

Nikt mu nie odpowiedział. Ludzie przestali się nawet poruszać. Artem poczuł, jak chłopczyk ścisnął mu dłoń swoją spoconą ze zdenerwowania rączką.

Trząsł się.

- Czuję to... On na nich patrzy... - powiedział cicho.

- Wypuścić zakładnika - odezwał się nagle Młynarz.

- Wypuścić zakładnika - powtórzył drugi komandos. Wtedy Artem nie wytrzymał, wyprostował się i wyjrzał zza tarcz i hełmów: na przedzie, dziesięć kroków od nich, oświetlony trzema promieniami latarek, nie mrużąc oczu i nie osłaniając się rękami, stał wysoki, przygarbiony człowiek z kawałkiem białego materiału w wyciągniętej żylastej ręce. Z tej odległości jego twarz było widać bardzo dobrze... Zbyt dobrze. Był to stwór podobny do Wartana, który przesłuchiwał go kilka godzin wcześniej. Artem schował się za tarczami i odbezpieczył automat.

Scena, którą dopiero co zobaczył, stała mu jeszcze przed oczami. Zarazem straszna i hipnotyzująca, przypomniała mu na sekundę o starej książce „Baśnie i mity starożytnej Grecji", którą lubił przeglądać, kiedy był mały. Jedna z legend opowiadała o potworze w połowie podobnym do człowieka, którego wzrok zamienił w kamień wielu śmiałych wojowników.

Wstrzymał oddech, zebrał się w sobie, starał się nie patrzeć hipnotyzerowi w oczy, wyskoczył ponad tarcze, niczym diabeł z pudełka, i nacisnął spust. Po tej dziwnej bezdźwięcznej walce, którą prowadzili między sobą przeciwnicy uzbrojeni w automaty z tłumikami i zatrute strzały, wydało się, że seria z kałasznikowa zatrzęsła sklepieniem stacji.

Chociaż Artem był pewny, że nie może się z takiej odległości pomylić, stało się to, czego bał się najbardziej: niewiadomym sposobem stwór odgadł jego ruch, i gdy tylko głowa Artema pojawiła się nad tarczami jego wzrok wpadł w sidła tych martwych oczu. Zdążył nacisnąć na spust, ale niewidzialna ręka płynnie skręciła lufę w bok. Prawie cała seria poszła obok, i tylko jedna kula trafiła stwora w ramię. Wydał rozrywający bębenki gardłowy dźwięk i jednym niedostrzegalnym ruchem zniknął w ciemności.

Mamy kilka sekund, pomyślał Artem. Tylko kilka sekund. Kiedy oddział Młynarza wkraczał na Park Pobiedy, miał po swojej stronie element zaskoczenia. Ale teraz, kiedy dzicy zorganizowali obronę i wystawili swoich nieludzi, zdawało się, że nie ma szans przebić się przez tę zasłonę. Jedynym wyjściem była ucieczka inną drogą. W głowie błysnęły mu słowa ich strażnika: ze stacji w nieznanym kierunku idą tunele, których nie ma na mapie metra.

- Są tu inne tunele? - zapytał Olega.

- Tam za przejściem jest jeszcze jedna stacja, taka jak ta, jak w lustrze - malec pokazał ręką. - My się tam bawiliśmy. Tam są inne tunele, jak tutaj, ale nam powiedzieli, że tam nie wolno chodzić.

- Wycofujemy się! Do przejścia! - starając się zniżyć głos i upodobnić go do rozkazującego basu Młynarza, ryknął Artem.

- A po cholerę?! - zawołał z niezadowoleniem stalker. Zdaje się, że dochodził do siebie. Artem złapał go za ramię.

- Szybciej, mają tam hipnotyzera - powiedział szybko. - Nie przebijemy się przez tę blokadę! Tam jest drugie wyjście, za przejściem!

- Racja, ta stacja jest przecież podwójna... Odwrót! - podjął decyzję stalker. - Trzymajcie barykadę! Do tyłu! Ruchy, ruchy!

Pozostali powoli, jakby niechętnie, zaczęli iść. Mobilizując ich kolejnymi rozkazami, Młynarz zdołał przeformować oddział i zacząć odwrót, zanim z ciemności znów poleciały na nich strzały. Kiedy zaczęli się wspinać na schody w przejściu, komandos, który szedł ostatni, krzyknął i złapał się za goleń. Szedł jeszcze na sztywniejących nogach przez kilka sekund, Artem widział to w rozbłyskach latarki. Ale potem całe ciało rannego ogarnęły potworne konwulsje, skręciło go, niczym wyciśniętą ścierkę, i padł na ziemię. Oddział stanął. Pod osłoną tarcz dwóch wolnych żołnierzy rzuciło się, by podnieść swojego towarzysza z ziemi, ale było już po wszystkim. Na ich oczach jego skóra zsiniała, a na ustach pojawiła się piana. Artem wiedział już, co to oznacza, podobnie jak Młynarz.

- Weź jego tarczę, hełm i automat! Szybko! - nakazał Artemowi. - Wycofujemy się, wycofujemy się! - krzyknął pozostałym.

Tytanowy hełm był upaćkany okropną pianą i trzeba by go było zdejmować z głowy trupa. Artem nie mógł się jednak do tego zmusić. Ograniczył się do karabinu i tarczy i wystrzelił wokół siebie serię, w nadziei, że odstraszy ukrytych w ciemności zabójców, po czym zajął pozycję w ogonie szyku, osłonił się tarczą i ruszył za pozostałymi.

Już prawie biegli. Potem ktoś daleko przed siebie rzucił granat dymny, i korzystając z zamieszania, oddział zaczął schodzić na tory. Jeszcze jeden żołnierz wydał zdziwiony krzyk i padł na ziemię. Nosze z rannym Antonem musiało teraz nieść tylko trzech ludzi. Artem nadal nie decydował się wychylać zza tarczy i kilka razy strzelił do tyłu na oślep. Potem nastąpiła dziwna cisza: nie leciały już w ich kierunku igły, chociaż, sądząc z szelestu kroków i głosów wokół, pościgu nie zaniechano. Nabrawszy odwagi, Artem wyjrzał na zewnątrz.

Oddział znajdował się około dziesięć kroków od wejścia do tunelu. Pierwsi komandosi wkroczyli już do środka, dwóch ukryło się i oświetlali latarkami podejście i osłaniali pozostałych. Nie było jednak takiej potrzeby: dzikusy, jak się zdawało, nie zamierzali iść za nimi. Tłoczyli się w półkolu, opuścili swoje rurki do strzelania i osłaniając się dłońmi przed oślepiającym światłem latarek, czekali na coś w milczeniu.

- Wrogowie, Wielkiego Czerwia, słuchajcie!

Z tłumu wystąpił naprzód ten sam brodaty wódz, który wydawał polecenie podczas przesłuchania.

- Wrogowie idą do świętych tuneli Wielkiego Czerwia. Dobrzy ludzie nie idą za wami. Dzisiaj nie wolno tam iść. Wielkie niebezpieczeństwo. Śmierć, przekleństwo. Niech wrogowie oddają starego kapłana i odejdą.

- Nie ustępować, nie słuchać ich - natychmiast rozkazał Młynarz. - Idziemy.

Ostrożnie szli dalej. Artem z kilkoma komandosami, którzy szli na końcu, wycofywali się nie spuszczając zostającej w tyle stacji z celowników. Na początku rzeczywiście nikt za nimi nie szedł. Ze stacji dochodziły głosy: ktoś się kłócił, z początku cicho, potem zaczął krzyczeć.

- Dron nie może! Dron musi iść! Za nauczycielem!

- Nie wolno iść! Stać! Stać!

Czarna sylwetka wyskoczyła z ciemności w światło latarek z taką szybkością, że trafić w nią było zupełnie niemożliwe. W ślad za nią w oddali ukazały się inne. Nie mogąc wziąć na cel pierwszego dzikusa, jeden z komandosów rzucił coś przed siebie.

- Padnij! Granat!

Artem rzucił się na szyny twarzą w dół, osłaniając rękami głowę, i otworzył usta, tak, jak uczył go ojczym. Niewyobrażalny huk i ogłuszająca siła fali wybuchu uderzyły go w uszy, przyciskając do ziemi. Leżał jeszcze kilka minut, otwierając i zamykając oczy i próbując dojść do siebie. W głowie mu dzwoniło, przed oczami krążyły kolorowe plamy. Pierwszym dźwiękiem, który trafił do jego świadomości, były niezgrabne, wciąż powtarzające się słowa:

- Nie, nie, nie strzelaj, nie strzelaj, nie strzelaj, Dron nie ma broni, nie strzelaj!

Podniósł głowę i rozejrzał się. Na przecięciu smug światła latarek, z wysoko podniesionymi rękami, stał ten sam dzikus, który pilnował ich, kiedy siedzieli w małpiarni. Dwóch komandosów trzymało go na celowniku, oczekując rozkazów, pozostali wstawali i otrzepywali się. W powietrzu wisiał ciężki kamienny pył, od strony stacji leciał ostry dym.

- Co, zawaliło się? - spytał ktoś.

- Od jednego granatu... Całe metro ledwo się trzyma...

- No, przynajmniej już za nami nie pójdą. Zanim się przekopią...

- Tego związać i bierzemy go ze sobą. Idziemy, nie ma czasu, nie wiadomo, kiedy tamci się opamiętają - rozporządził Młynarz.

Przerwę zrobili dopiero po godzinie. Przez ten czas tunel kilka razy się rozdwajał, i stalker, który szedł na przedzie, wybierał między odnogami. W jednym miejscu na ścianach widniały ogromne żeliwne zawiasy, kiedyś pewnie należące do potężnej bramy. Obok nich walały się kawałki hermetycznej zapory. Oprócz tego, nie było tu nic ciekawego: tunel był zupełnie pusty, czarny i pozbawiony życia.

Szli powoli: uwięzionemu starcowi plątały się nogi, i kilka razy, potknąwszy się, padał na ziemię. Dron szedł niechętnie i przez cały czas mruczał pod nosem coś o klątwie, i że nie wolno, aż jego też zakneblowali.

Kiedy stalker postanowił wreszcie się zatrzymać i wysłał wartowników z noktowizorami na pięćdziesiąt metrów w obie strony, pozbawiony sił kapłan zwalił się na ziemię. Dzikus, błagalnie jęcząc przez knebel, osiągnął to, że żołnierze przyciągnęli go do starca, i, padając przed nim na kolana, związanymi rękoma pogładził go po głowie.

Mały Oleg rzucił się do noszy, na których leżał jego ojciec, i rozpłakał się. Paraliż Antona minął, ale wciąż był zamroczony, tak samo jak po pierwszym ukłuciu igłą. Tymczasem stalker wziął Artema na bok. Ten nie mógł już powstrzymać ciekawości.

- Jak nas znaleźliście? Już myślałem, że to koniec, że nas zjedzą - przyznał się Młynarzowi.

- A to was trzeba było szukać? Drezynę zostawiliście prosto pod włazem. Wartownicy zauważyli ją po półgodzinie, kiedy Anton nie przychodził na herbatę. Po prostu sami nie odważyli się tam wejść. Postawili straż, zameldowali naczelnikowi. Przecież o mały włos, a w ogóle byś się na mnie nie doczekał. Potem jeszcze na Smoleńską poszedłem, do bazy, po posiłki. To była zbiórka alarmowa, ale wszystko wymaga czasu. Jeszcze sprzęt... Już na Majakowskiej zacząłem rozumieć, co tu się dzieje. Tam było podobnie: też zawalony boczny tunel, tam się z Tretiakiem rozdzieliliśmy, szukaliśmy według planu wejścia na D-6. Byliśmy od siebie najwyżej o pięćdziesiąt metrów. Pewnie podszedł bliżej do przejścia. Odszedłem na całe trzy minuty, krzyczę do niego, nie odpowiada. Podbiegam, a on leży cały siny, opuchnięty, usta pokryte tym cholerstwem. To już nie był czas na poszukiwania tajemnego wejścia. Wziąłem go za nogi i na stację. Kiedy go tak ciągnąłem, przypomniałem sobie Siemionowicza i jego historię z otrutym wartownikiem. Poświeciłem na Tretiaka - to samo, igła w nodze. Tu wszystko zaczęło się układać w całość. Jak najszybciej wysłałem do ciebie gońca, żebyś został na stacji, załatwiłem wszystkie sprawy i wróciłem. Ale nie zdążyłem.

- Więc na Majakowskiej też są? - zdziwił się Artem. - Ale jak oni się tam dostają z Parku Pobiedy?

- A tak - stalker zdjął ciężki hełm i postawił go na ziemi. - Musisz mi wybaczyć, ale nie tylko po ciebie tu przyszliśmy, ale i na zwiady. Myślę, że tu powinno być jeszcze jedno wejście do Metra-2. To przez nie ci twoi ludożercy doszli do Majakowskiej. Tam jest zresztą ta sama historia, co tutaj: dzieci w nocy znikają ze stacji. I w ogóle licho wie, gdzie oni jeszcze się szlajają, a my o nich ani widu, ani słychu.

- To znaczy... chce pan powiedzieć... - sama myśl wydała się Artemowi tak niewiarygodna, że nie od razu odważył się wypowiedzieć ją na głos. - Według pana wejście do Metra-2 jest gdzieś tu?

Czyżby wrota do D-6, tajemniczego cienia metra, znajdowały się tuż obok? Artem przypomniał sobie opowieści, legendy i teorie o Metrze-2, których zdążył się nasłuchać przez całe życie. Ile choćby była warta wiara w Niewidzialnych Obserwatorów, o której opowiedzieli mu jego dwaj dziwni rozmówcy na Poliance! Mimo woli rozejrzał się dookoła, jakby licząc na to, że zobaczy coś, czego nie widać.

- Powiem ci więcej - mignął do niego stalker. - Myślę, że już w nim jesteśmy.

W to już zupełnie nie dało się wierzyć. Artem poprosił jednego z żołnierzy o latarkę i zaczął badać ściany tunelu. Widział zdziwione spojrzenia pozostałych, doskonale rozumiejąc, że wygląda pewnie teraz jak idiota, ale nic nie mógł na to poradzić.

Sam nie do końca wiedział, co spodziewał się zobaczyć w Metrze-2. Złote szyny? Ludzi, żyjących tak, jak żyli wcześniej, nie wiedzących o strasznej dzisiejszej egzystencji, opływających w bajkowy dobrobyt? Bogów? Przeszedł cały odcinek od jednego wartownika do drugiego, ale niczego w końcu nie zauważył i wrócił do Młynarza. Ten rozmawiał z komandosem pilnującym dzikusów.

- Co z zakładnikami? Sprzątnąć ich?

- Najpierw porozmawiamy - odparł stalker.

Schylił się, wyciągnął knebel z ust starca, potem zrobił to samo z drugim jeńcem.

- Nauczyciel! Nauczyciel! Dron idzie z tobą! Ja idę z tobą, nauczyciel! - natychmiast zatrajkotał dzikus, zataczając się z boku na bok nad jęczącym kapłanem. - Dron łamie zakaz, Dron gotowy umrzeć z ręki wrogów Wielkiego Czerwia, ale Dron idzie z tobą, do końca!

- A to co? Co to znowu za czerw? Jaki zakaz? - spytał Młynarz.

Starzec milczał.

Oglądając się z przestrachem na konwojentów, Dron rzekł pośpiesznie:

- Święte tunele Wielkiego Czerwia są zakazane dla dobrych ludzi. Tam może się pokazać Wielki Czerw. Człowiek może zobaczyć. Nie wolno patrzeć! Tylko kapłani mogą. Dron się boi, ale idzie. Dron idzie z nauczycielem.

- Ale co to za czerw? - zmarszczył brwi stalker.

- Wielki Czerw... Stwórca życia - wyjaśnił Dron. - Dalej są święte tunele. Nie każdego dnia można chodzić. Są dni zakazu. Dziś dzień zakazu. Jak się zobaczy Wielkiego Czerwia, zrobisz się popiół. Jak usłyszysz, zrobisz się przeklęty, szybko umrzesz. Wszyscy wiedzą. Starszyzna mówi.

- Oni wszyscy są tacy zdegenerowani? - stalker obejrzał się na Artema.

- Nie - pokręcił głową chłopak - niech pan porozmawia z kapłanem.

- Wasza przewielebność - kpiąco zwrócił się do starca Młynarz. - Proszę mi wybaczyć, jestem, że tak powiem, starym żołnierzem... Jakby to powiedzieć... Stylem wysokim nie potrafię. Ale gdzieś w waszych włościach jest pewne miejsce, którego szukamy. Jakby to ująć... Przechowuje się tam... Ogniste strzały? Grona Gniewu?

Wpatrywał się w twarz starca, w nadziei, że ten odpowie na jedną z jego metafor, ale kapłan milczał uparcie, ponuro patrząc na niego spode łba.

- Płonące łzy bogów? - pod zdziwionymi spojrzeniami Artema i konwojentów ciągnął stalker. - Gromy Zeusa?

- Przestań pan pajacować - przerwał mu wreszcie z pogardą starzec. - Nie ma po co deptać transcendencji brudnymi żołdackimi buciorami.

- Rakiety - natychmiast spoważniał Młynarz. - Baza rakietowa pod Moskwą. Wychodzi się z tunelu od Majakowskiej. Powinien pan rozumieć, o czym mówię. Musimy się tam szybko dostać, i lepiej dla pana, jeśli nam pan pomoże.

- Rakiety... - powoli, jakby smakując to słowo, powtórzył starzec. - Rakiety... Ma pan pewnie jakieś pięćdziesiąt lat, prawda? Jeszcze pan pamięta. SS-18 na Zachodzie nazwano „Szatanem". Był to jedyny przebłysk ślepej od urodzenia ludzkiej cywilizacji. Jeszcze wam mało?! Unicestwiliście cały świat i jeszcze wam mało?!!

- Słuchaj pan, wasza przewielebność, nie mamy na to czasu - przerwał mu Młynarz. - Ma pan pięć minut - strzelił stawami rozprostowując dłonie.

Starzec się skrzywił. Najwidoczniej, ani rynsztunek Młynarza i jego komandosów, ani słabo skrywana groźba w jego głosie nie zrobiły na nim najmniejszego wrażenia.

- A co mi możecie zrobić? - uśmiechnął się. - Torturować? Zabić? Wyrządzicie mi przysługę, tak czy inaczej jestem stary, a naszej wierze brakuje męczenników. Więc zabijcie mnie, tak jak zabiliście setki milionów innych ludzi! Jak zabiliście cały mój świat! Cały nasz świat! Proszę, naciskaj pan na spust swojej diabelskiej maszynki, jak naciskaliście na spusty i przyciski dziesiątków tysięcy różnych śmiercionośnych urządzeń!

Głos starca, z początku słaby i ochrypły, szybko stał się twardy jak stal. Pomimo swoich poplątanych siwych włosów, związanych rąk i niskiego wzrostu, nie wyglądał już żałośnie: biła od niego dziwna siła, każde kolejne słowo brzmiało pewniej i groźniej niż poprzednie.

- Nie musicie dusić mnie własnymi rękami, nie musicie nawet patrzeć na moją agonię... Bądźcie przeklęci ze swoimi maszynami! Pozbawiliście wartości i życie, i śmierć... Uważacie mnie za szaleńca? Ale prawdziwymi szaleńcami jesteście wy, wasi ojcowie i wasze dzieci! Czy nie było niebezpiecznym szaleństwem, by próbować podporządkować sobie całą ziemię, nakładając na naturę wędzidło, zamęczyć ją aż do piany na ustach i konwulsji? A potem, z nienawiści do siebie i takich, jak wy, próbować ostatecznie się z nią rozprawić? Gdzie wy byliście, kiedy świat się rozpadł? Widzieliście jak to było?

Widzieliście to, co widziałem ja? Niebo, które najpierw spłonęło, a potem zasnuło się kamiennymi obłokami? Wrzące rzeki i morza, wypluwające na brzeg ugotowane żywcem stworzenia, a potem tężejące w lodową galaretę? Słońce, które zniknęło z nieboskłonu na długie lata? Domy, w ułamku sekundy obrócone w pył, i żyjących w nich ludzi, obróconych w popiół? Słyszeliście ich krzyki o pomoc?! A umierających od epidemii i okaleczonych przez promieniowanie? Słyszeliście ich przekleństwa?! Popatrzcie na niego! - wskazał na Drona. - Popatrzcie na wszystkich bezrękich, bezgłowych, sześciopalcych! Nawet ci, którzy zyskali nowe zdolności, przeklinają was!

Dzikus upadł na kolana i ze czcią łowił każde słowo swojego kapłana. Sam Artem miał w tym momencie na to ochotę. Nawet konwojenci zrobili bezwolnie krok do tyłu, i tylko Młynarz, wciąż mrużąc powieki, patrzył starcowi w oczy.

- Czy widzieliście śmierć tego świata? - ciągnął kapłan. - Czy rozumiecie, kto jest jej winien? Kto wie, jak nazywali się ci, którzy jednym przyciśnięciem guzika, nawet nie widząc tego, co to powoduje, ścierali z powierzchni ziemi setki tysięcy ludzi? Zmieniali bezkresne zielone lasy w wypalone pustynie? Co wyście zrobili z tym światem? Z moim światem?! Jak śmieliście wziąć odpowiedzialność za to, by obrócić go w nicość? Ziemia nie poznała większego zła, niż wasza piekielna cywilizacja maszyn, cywilizacja przeciwstawiająca nieżywe mechanizmy naturze! Zrobiła wszystko, co możliwe, żeby ostatecznie zmiażdżyć, pożreć i przetrawić świat, lecz poszła za daleko i zniszczyła samą siebie... Wasza cywilizacja to złośliwy guz, to ogromna ameba, chciwie wsysająca wszystko, co jest przydatne i jadalne wokół i wydalająca tylko śmierdzące, trujące odchody. I teraz znów potrzebujecie rakiet! Po co? Żeby skończyć to, co zaczęliście? Żeby szantażować ostatnich pozostałych przy życiu? Dorwać się do władzy? Mordercy! Nienawidzę was, nienawidzę was wszystkich! - krzyknął w szale, potem zaczął kaszleć i umilkł.

Nikt nie powiedział ani słowa, dopóki nie opanował kaszlu i nie kontynuował:

- Ale wasz czas się kończy... I chociaż sam tego nie dożyję, zastąpią mnie inni, przyjdą ci, którzy rozumieją, że technika przynosi zgubę, ci, którzy będą potrafili obejść się bez niej! Wyradzacie się, i niewiele czasu wam pozostało. Jaka szkoda, że nie zobaczę waszej agonii! Ale wychowamy synów, którzy to zobaczą! Człowiek pożałuje, że w swojej pysze unicestwił wszystko, co miał wartościowego! Po wiekach oszustwa i iluzji, wreszcie nauczy się odróżniać dobro od zła, prawdę od kłamstwa! Wychowamy tych, którzy zasiedlą ziemię po was. A żeby wasza agonia się nie przeciągała, wkrótce wbijemy wam sztylet miłosierdzia w samo serce! W zwiotczałe serce waszej przegniłej cywilizacji... Ten dzień się zbliża! - Splunął Młynarzowi pod nogi.

Stalker odpowiedział nie od razu. Przyglądał się badawczo trzęsącemu się ze złości starcowi. Potem skrzyżował ręce na piersi i zapytał z zainteresowaniem:

- No, i co, wymyśliliście tego jakiegoś robaka i jakieś niestworzone historie, tylko po to, żeby zaszczepić waszym ludożercom nienawiść do techniki i postępu?

- Milcz pan! Co pan wie o mojej nienawiści do waszej przeklętej, waszej szatańskiej techniki! Co pan wie o ludziach, ich nadziejach, celach, potrzebach?! Człowiekowi brakowało właśnie takiego boga... Takiego, jakiego stworzyliśmy! Jeśli stare bóstwa pozwoliły człowiekowi rzucić się w przepaść i same zginęły razem ze swoim światem, to nie ma sensu przywracać ich do życia... W pańskich słowa słyszę tę wyniosłość, tę pogardę, tę pychę, które doprowadziły ludzkość na skraj przepaści. Tak, choćby Wielkiego Czerwia nie było, choćbyśmy go wymyślili, bardzo szybko będziecie mogli się przekonać, że ten wymyślony podziemny bóg jest o wiele potężniejszy niż wasze bóstwa z nieba, te idole, co spadły ze swoich tronów i rozpadły się na kawałki! Śmiejecie się z Wielkiego Czerwia? Śmiejcie się! Ale to nie wy będziecie się śmiać ostatni!

- Wystarczy. Knebel! - rozkazał stalker. - Na razie go nie ruszać, może nam się jeszcze przydać.

Opierającemu się i wykrzykującemu przekleństwa starcowi znów wsadzili do ust szmatę.

Dzikus, którego na wszelki wypadek trzymało za ręce dwóch komandosów, w żaden sposób nie okazywał współczucia. Stał w milczeniu, z bezsilnie opuszczonymi ramionami, jego zgaszony wzrok nie odrywał się od kapłana.

- Nauczyciel... Co znaczy: Wielkiego Czerwia nie ma? - w końcu ciężko przemówił.

Starzec nawet na niego nie spojrzał.

- Co znaczy: nauczyciel wymyślił Wielkiego Czerwia? - mówił tępo Dron, kołysząc głową z boku na bok.

Kapłan nie odpowiadał. Artemowi wydało się, że na swoją przemowę starzec przeznaczył całą swoją energię życiową i wolę, i teraz, kiedy wypluł już z siebie cały ogień nienawiści i pogardy, wpadł w otępienie.

- Nauczyciel... Nauczyciel... Wielki Czerw jest... Ty oszukujesz! Dlaczego? Mówisz nieprawdę, zmylić wrogów! On jest... Jest!

Niespodziewanie Dron zaczął głucho i strasznie wyć. W tym płaczliwym wyciu brzmiała taka rozpacz, że Artem miał ochotę podejść do niego i go pocieszyć. Starzec, jak się zdaje, pożegnał się już z życiem i stracił całe zainteresowanie swoim uczniem, niepokoiły go teraz zupełnie inne problemy.

- Jest! Jest! On jest! Jesteśmy jego dzieci! Wszyscy jesteśmy jego dzieci! On jest, i był zawsze, i będzie zawsze! On jest! Jeśli Wielkiego Czerwia nie ma... Znaczy... Jesteśmy całkiem sami...

Z zostawionym samemu sobie dzikusem działo się coś strasznego. Dron wpadł w trans, machając głową, jakby w nadziei, że zapomni to, co usłyszał, ciągnąc ciągle tę samą nutę, i kapiące mu z oczu łzy mieszały się z cieknącą mu obficie śliną. Nawet nie próbował się wytrzeć, wpił się tylko rękami w swoją ogoloną czaszkę. Konwojenci cofnęli się, i upadł na ziemię, zatykając uszy rękami, waląc się w głowę, miotając się coraz bardziej i bardziej, aż jego ciało zaczęło wykonywać dzikie, niekontrolowane konwulsje, a krzyk wypełnił cały tunel. Komandosi próbowali go uspokoić, ale nawet kopniaki i uderzenia tylko na sekundę potrafiły zagłuszyć i powstrzymać wyrywający się z jego piersi ryk.

Młynarz spojrzał z dezaprobatą na ogarniętego atakiem ludożercę, potem rozpiął boczną kaburę, wyciągnął z niej stieczkina z tłumikiem, wycelował nim w Drona i nacisnął spust. Tłumik cicho stuknął, i miotający się na ziemi dzikus natychmiast oklapł.

Nieartykułowany krzyk, którym się zanosił, urwał się, ale echo jeszcze przez kilka sekund powtarzało ostatni dźwięk, jakby na chwilę przedłużając Dronowi życie:

- Iiiiiiiiiiiiiiii...

I dopiero wtedy do Artema zaczęło docierać, co dokładnie krzyczał przed śmiercią dzikus. „Sami!”

Stalker wsunął pistolet z powrotem do kabury. Artem jakoś nie mógł się zmusić, żeby podnieść na niego wzrok, zamiast tego obserwował uspokojonego Drona i siedzącego nieopodal kapłana. Ten w ogóle nie zareagował na śmierć swojego ucznia. Kiedy rozległ się trzask pistoletu, starzec ledwie drgnął, potem spojrzał przelotnie na ciało dzikusa i znów obojętnie się odwrócił.

- Idziemy dalej - rozkazał Młynarz. - Od takiego hałasu zaraz pół metra się tu zbiegnie.

Oddział błyskawicznie się uformował. Artema umieścili na tyłach, jako zamykającego, ekwipując go w silną latarkę i kamizelkę kuloodporną jednego z komandosów, którzy nieśli Antona. W ciągu minuty ruszyli w drogę w głąb tuneli.

W tej chwili Artem nie nadawał się do roli zamykającego. Z trudem przestawiał nogi, potykając się o podkłady kolejowe i oglądając się bezradnie na idących przodem komandosów.

W uszach wciąż jeszcze brzmiał mu przedśmiertny płacz Drona. Jego rozpacz, rozczarowanie i niemożność wiary w to, że w tym strasznym ponurym świecie człowiek został zupełnie sam, udzieliły się Artemowi. To dziwne, ale dopiero kiedy usłyszał krzyk dzikusa, pełen beznadziejnej tęsknoty za absurdalnym, wymyślonym bóstwem, zaczął rozumieć to poczucie samotności we Wszechświecie, które karmiło ludzką wiarę.

Idąc przez pusty, martwy tunel, sam odczuwał coś podobnego. Jeśli stalker miał rację i już od ponad godziny zagłębiali się we wnętrze Metra-2, to tajemnicze miejsce okazywało się być zwykłą inżynierską konstrukcją, dawno temu porzuconą przez jej panów i przejętą przez na wpół rozumnych ludożerców i ich fanatycznych kapłanów.

Komandosi zaczęli szeptać. Oddział wkraczał na pustą stację o skrajnie nietypowym wyglądzie. Krótki peron, niskie sklepienie, grube filary z żelbetonu i ściany pokryte kafelkami zamiast marmuru: wszystko to wskazywało, że od stacji nie wymagano, by cieszyła oczy, lecz jedynym jej przeznaczeniem było najlepiej jak to możliwe chronić tych, którzy z niej korzystali.

Pociemniałe od upływu lat litery z brązu na ścianach tworzyły niezrozumiałą frazę „Rada Ministrów". Gdzie indziej widniał napis „Siedziba Rządu FR". Artem dobrze wiedział, że w zwykłym metrze nie było stacji o żadnej z tych nazw, i mogło to znaczyć tylko jedno: już dawno opuścili jego granice. Młynarz jednak nie zamierzał się tu zatrzymywać. Szybko rozejrzał się dookoła, omówił coś cicho ze swoimi żołnierzami, i oddział ruszył dalej.

Artema przepełniało dziwne uczucie, które trudno by mu było wyrazić słowami Jakby w podarowanym mu na urodziny przez ojczyma kolorowym zawiniątku znalazł tylko papier gazetowy, a samego prezentu nie udało mu się znaleźć.

Niewidzialni Obserwatorzy na jego oczach zastygali, przeobrażając się z groźnej, mądrej i wszechmocnej siły w fantasmagoryczne antyczne posągi, ilustrujące dawne mity, kruszące się od wilgoci i przeciągów tuneli. Razem z nimi, jak domek z kart, rozsypały się wszystkie inne wierzenia, z którymi miał okazję się zetknąć w ciągu swojej podróży.

Otwierała się przed nim jedna z największych tajemnic metra. Szedł po D-6, nazwanej przez któregoś z jego rozmówców Złotym Mitem metra. Jednak zamiast radosnego podniecenia, Artem doświadczał niepojętej goryczy. Zaczynał rozumieć, że niektóre zagadki są piękne właśnie dlatego, że nie mają rozwiązania, i że są pytania, na które lepiej nie znać odpowiedzi.

Artem poczuł chłód na policzku: w miejscu, gdzie oddech tuneli trafił na ślad płynącej po nim łzy. Pokręcił przecząco głową, zupełnie tak samo, jak robił to niedawno zastrzelony dzikus. Zaczął mieć dreszcze, czy to od zimnego przeciągu niosącego zapach wilgoci i zapuszczenia, czy to od przejmującego poczucia samotności i pustki.

Przez ułamek sekundy wydało mu się, że wszystko na świecie nagle straciło sens: i jego misja, i starania człowieka, by przeżyć w zmienionym świecie, i w ogóle życie we wszystkich jego przejawach. Nie było w nim nic, tylko pusty ciemny tunel odmierzony dla każdego czasu, którym człowiek ma iść na oślep od stacji „Narodziny" do stacji „Śmierć". Poszukujący wiary próbowali po prostu znaleźć w tym przejeździe boczne tunele. Ale stacje były tylko dwie, i tunel powstał tylko po to, żeby je połączyć, dlatego żadnych odnóg w nim nie było i być nie mogło.

Kiedy Artem się ocknął, okazało się, że został kilkadziesiąt metrów za oddziałem. Nie od razu zrozumiał, co sprawiło, że przyszedł do siebie. Potem, kiedy rozejrzał się dookoła i zaczął nasłuchiwać, uświadomił to sobie: w jednej ze ścian widniały niedokładnie przymknięte drzwi, przez które dochodził do niego dziwny, narastający dźwięk: jakieś

głuche brzęczenie albo niezadowolenie warczenie. Pewnie zupełnie nie było tego słychać, kiedy obok drzwi przechodzili pozostali. Ale teraz dźwięk był coraz wyraźniej słyszalny.

W tym momencie oddział wyprzedzał go chyba o jakieś sto metrów. Artem stłumił w sobie chęć, by rzucić się za nim, wstrzymał oddech, zbliżył się drzwi i popchnął je. Za nimi otwierał się dość długi i szeroki korytarz zakończony czarnym prostokątem wyjścia. Właśnie stamtąd dobiegał warkot, coraz bardziej przypominający ryk ogromnego zwierzęcia.

Wejść do środka Artem się nie odważył. Stał jak zaczarowany wpatrując się w czerniejącą pustkę wyjścia z korytarza i nasłuchując, aż ryk zrobił się wielokrotnie głośniejszy i w otworze w ostrym świetle latarki pojawiło się coś niewyraźnego, niewiarygodnych rozmiarów, niepowstrzymanie sunącego naprzód, mijając otwarte przejście.

Artem odskoczył, zatrzasnął drzwi i rzucił się w pogoń za oddziałem.

ROZDZIAŁ18
WŁADZA

Tamci zdążyli już zauważyć jego nieobecność i zatrzymali się. Biała smuga światła niespokojnie wędrowała po tunelu, i kiedy Artem w nią wszedł, na wszelki wypadek podniósł ręce do góry i zawołał:

- To ja! Nie strzelajcie!

Latarka zgasła. Artem pośpieszył naprzód, gotując się na to, że zaraz dostanie burę. Ale kiedy dotarł do pozostałych, Młynarz zapytał go tylko cicho:

- Nic nie słyszałeś?

Artem skinął głową w milczeniu. Nie chciało mu się mówić o tym, co przed chwilą widział, poza tym nie był już pewny, czy wszystko to mu się nie przywidziało. Od jakiegoś czasu przywykł do tego, że w metrze do swoich wrażeń trzeba podchodzić ostrożnie.

Ale co to było? Tak mógł wyglądać przejeżdżający pociąg, ale to było wykluczone: w metrze już od dziesiątków lat nie było energii elektrycznej w ilości potrzebnej do poruszania pociągów. Druga możliwość była jeszcze bardziej nieprawdopodobna. Artem wspomniał ostrzeżenia dzikusów dotyczące świętych tuneli Wielkiego Czerwia i tego, że dzisiejszy dzień jest dniem zakazu. Nic innego nie przychodziło mu do głowy.

- Przecież pociągi już nie jeżdżą, prawda? - zapytał na wszelki wypadek stalkera.

Ten spojrzał na niego z niezadowoleniem.

- Jakie znowu pociągi? Od kiedy stanęły, już ani razu nie ruszyły, aż rozłożyli je na części. Chodzi ci o te dźwięki? Myślę, że to wody gruntowe. Tuż obok jest rzeka. Przeszliśmy pod nią. Dobra, czort z nią, mamy poważniejsze problemy. Nie wiemy jeszcze jak dalej iść.

Artem nie miał zupełnie ochoty obstawać przy swoim i utwierdzać stalkera w przekonaniu, że ma do czynienia z wariatem. A ponieważ jego druga hipoteza była szaleństwem, wolał zamilknąć i więcej nie wracać do tego tematu.

Rzeka chyba rzeczywiście była niedaleko. Mroczną ciszę tunelu zakłócały tu nieprzyjemne odgłosy kapiącej wody i szmer cienkich czarnych strumyczków po bokach szyn. Ściany i sklepienia pobłyskiwały wilgocią, pokrywał je białawy nalot pleśni, tu i tam tworzyły się kałuże. Artem przywykł, by bać się wody w tunelach, i czuł się w tym miejscu bardzo nieswojo. Wilgoć przesiąkała do porzuconych i zapomnianych przez człowieka miejsc: bez remontów i wiecznej walki z wodami gruntowymi niektóre przejazdy w metrze przeciekały. Ojczym opowiadał mu nawet o zatopionych tunelach i stacjach. Na szczęście leżały one dość nisko, albo na uboczu, więc powódź nie rozprzestrzeniała się na całą linię. Dlatego drobne krople na ścianach wydawały się Artemowi przedśmiertnym potem na ciele porzuconego w chwili agonii człowieka.

Jednak im dalej szli, tym bardziej sucho robiło się wokół. Strumyczki stopniowo zniknęły, pleśń na ścianach pojawiała się teraz coraz rzadziej, a powietrze stało się nieco lżejsze. Tunel opadał w dół, ciągle tak samo pusty, i to nie mogło nie niepokoić. Który to już raz Artem wspominał słowa Burbona, że pusty tunel to najgorsze, co może być. Pozostali chyba też to rozumieli i coraz częściej oglądali się nerwowo za siebie, ale dostrzegając idącego na końcu Artema, i napotykając jego wzrok, szybko odwracali się z powrotem.

Cały czas szli na wprost, nie zatrzymując się przy odciętych kratami bocznych tunelach i umieszczonych w ścianach grubych żelaznych drzwiach z kolistymi zaworami. Dopiero teraz dla Artema stało się jasne, jakie niewyobrażalne rozmiary miał labirynt wyryty w warstwach ziemi pod miastem przez dziesiątki pokoleń jego mieszkańców. Okazywało się, że metro było zaledwie częścią splecionej z niezliczonych tuneli i korytarzy, rozpiętej w głębi ziemi gigantycznej pajęczyny.

Niektóre drzwi, obok których przechodził oddział, były otwarte. Światło latarki na kilka sekund wracało do życia widma porzuconych pomieszczeń, pordzewiałych dwupiętrowych łóżek, tonęło w czeluściach wijących się korytarzy. Wszędzie panowało straszne zaniedbanie, i choć Artem starał się wyszukiwać choćby najdrobniejsze ślady ludzkiej obecności, wszystko na próżno. Cała ta olbrzymia konstrukcja była od wielu lat opuszczona i martwa.

Właściwie, gdyby nawet Artem ujrzał na ziemi czyjeś zetlałe szczątki, nie byłoby to tak straszne.

Zdawało się, że ich marsz ciągnie się w nieskończoność. Starzec szedł coraz wolniej, tracił siły, i ani szturchanie go po plecach, ani ordynarne przekleństwa konwojentów nie mogły sprawić, żeby przyśpieszył kroku. Przerw nie było, i najdłuższy przystanek trwał pół minuty: dokładnie tyle potrzebowali komandosi niosący nosze z Antonem, żeby zmienić ręce. Jego syn trzymał się zadziwiająco dobrze. I choć było widać, że Oleg jest już zmęczony, ani razu się nie poskarżył, lecz tylko dyszał z uporem, starając się iść tak szybko, jak pozostali.

Z przodu rozległy się ożywione głosy. Wyjrzawszy zza szerokich pleców żołnierzy, Artem zrozumiał w czym rzecz. Wchodzili na nową stację. Wyglądała prawie tak samo, jak poprzednia: niskie sklepienia, filary przypominające słoniowe nogi, pomalowane farbą olejną betonowe ściany, brak jakichkolwiek elementów dekoracyjnych. Peron był niezwykle szeroki, i nie dało się wyraźnie dojrzeć, co było z jego drugiej strony. Na pierwszy rzut oka, w oczekiwaniu na pociąg mogłoby się tu pomieścić nie mniej niż dwa tysiące ludzi. Ale tutaj również nie było żywej duszy, a ostatni pociąg odjechał do niewiadomego miejsca przeznaczenia tak dawno, że szyny pokryły się czarną rdzą, a przegniłe podkłady porosły mchem. Wypisana litymi literami z brązu nazwa stacji sprawiła, że Artem się wzdrygnął. Był to ten sam tajemniczy „Sztab Generalny". Od razu przypomniał sobie wojskowych w Polis i straszne ogniki na zakazanym skwerze pod murami Ministerstwa Obrony.

Młynarz podniósł rękę w rękawicy. Oddział natychmiast się zatrzymał.

- Ulman, za mną - rzucił stalker i lekko wspiął się na peron.

Potężny, przypominający niedźwiedzia komandos, który szedł obok niego, podciągnął się na rękach i ruszył w ślad za dowódcą. Odgłosy ich miękkich, skradających się kroków, szybko rozpłynęły się w ciszy stacji. Pozostali członkowie grupy, jakby na rozkaz, zajęli pozycje obronne, trzymając na celownikach tunel w obu kierunkach. Znalazłszy się pod ich osłoną, Artem uznał, że może tymczasem obejrzeć tę dziwną stację.

- Tata nie umrze? - poczuł, jak chłopiec ciągnie go za rękaw.

Artem spojrzał w dół. Oleg stał patrząc na niego błagalnie, i Artem zrozumiał, że zaraz się rozpłacze. Uspokajająco pokręcił głową i poklepał chłopczyka po główce.

- To dlatego, że powiedziałem, gdzie tata pracował? Dlatego go ukłuli? - spytał Oleg. - Tata zawsze mi mówił, żebym nikomu nie wygadał... - chlipnął. - Mówił, że ludzie nie lubią rakietowców. Tata powiedział, że to nie wstyd i nic złego, że rakietowcy bronili ojczyzny. Że inni po prostu im zazdroszczą.

Artem spojrzał z obawą na kapłana, ale ten, wyczerpany drogą, usiadł na ziemi i zgaszonym wzrokiem wpatrywał się w pustkę, nie zwracając najmniejszej uwagi na ich rozmowę.

Po kilku minutach wrócili zwiadowcy. Oddział skupił się wokół stalkera, który krótko objaśnił wszystkim sytuację:

- Stacje jest pusta. Ale nie porzucona. W kilku miejscach są podobizny tego ich czerwia. Poza tym... Znaleźliśmy na ścianie narysowany ręcznie plan. Jeśli mu wierzyć, ta linia prowadzi do Kremla. Tam jest centralna stacja i przesiadka na inne linie. Jedna z nich idzie w kierunku Majakowskiej. Będzie trzeba iść tamtędy, droga powinna być wolna. W boczne tunele nie będziemy skręcać. Są pytania?

Komandosi spojrzeli po sobie, ale nikt niczego nie powiedział.

Za to starzec, siedzący dotąd obojętnie na ziemi, przy słowie „Kreml" zaniepokoił się, pokręcił głową i zaczął coś jęczeć. Młynarz schylił się i wyrwał mu knebel z ust.

- Tam nie wolno iść! Nie wolno! Nie pójdę na Kreml! Zostawcie mnie tutaj! - mamrotał kapłan.

- W czym rzecz? - spytał z niezadowoleniem stalker.

- No Kreml nie wolno iść! My tam nie chodzimy! Nie pójdę! - jak nakręcony powtarzał starzec, lekko się trzęsąc.

- No i świetnie, że tam nie chodzicie - odparł stalker. - Przynajmniej waszych tam nie będzie. Tunel jest pusty i czysty. W boczne przejścia nie zamierzam wchodzić. Według mnie, lepiej będzie na wprost, przez Kreml.

W oddziale rozległy się szepty. Wspomniawszy złowieszcze światło kremlowskich wież, Artem zrozumiał dlaczego nie tylko kapłan bał się tam iść.

- Dosyć! - uciął Młynarz. - Idziemy dalej, nie mamy czasu. Dzisiaj mają dzień zakazu, w tunelach nikogo nie ma. Nie wiadomo, kiedy się to skończy, ale wtedy będzie ciężko. Podnieście go!

- Nie! Nie idźcie tam! Nie wolno! Nie pójdę! - wydawało się, że starzec zupełnie zwariował.

Kiedy podszedł do niego komandos, kapłan błyskawicznym wężowym ruchem wyślizgnął mu się z rąk, potem z udawaną uległością znieruchomiał pod wycelowanymi w niego lufami karabinów i nagle krótko szarpnął związanymi za plecami rękoma.

- No, i gińcie! - jego triumfalny śmiech po kilku sekundach przeszedł w zdławiony charkot, ciało chwyciły konwulsje, a z ust poszła obfita piana. Atak przeobraził mięśnie jego twarzy w szkaradną maskę, tym straszniejszą, że usta były na niej wygięte kącikami w górę. Był to najbardziej przerażający uśmiech, jaki Artem widział w życiu.

- Po nim - oznajmił Młynarz.

Zbliżył się do leżącego na ziemi starca i obrócił go czubkiem buta. Sztywny, jakby zamarznięty trup poddał się opornie i odwrócił się twarzą do ziemi. Z początku Artem pomyślał, że stalker zrobił to, żeby nie widzieć twarzy nieboszczyka, ale potem zrozumiał właściwy powód. Młynarz oświetlił latarką związane drutem nadgarstki starca. Ten w prawej dłoni ściskał igłę wbitą w przedramię lewej ręki. Jak kapłan zdołał to zrobić, gdzie trujące żądło było przez cały ten czas schowane i dlaczego nie użył go wcześniej, było dla Artema niepojęte. Odwrócił się i zasłonił oczy małemu Olegowi.

Oddział znieruchomiał. Chociaż padł rozkaz wymarszu, nikt z komandosów się nie poruszył. Stalker patrzył na nich badawczo. Można sobie było wyobrazić, co dzieje się w głowach żołnierzy: co mogło na nich czekać na Kremlu, jeśli zakładnik wolał ze sobą skończyć, żeby tylko tam nie iść?

Nie tracąc czasu na ich przekonywanie, Młynarz podszedł do noszy z jęczącym Antonem, pochylił się i złapał za jedną z rączek.

- Ulman! - zawołał.

Po chwili wahania barczysty zwiadowca zajął miejsce po drugiej strony noszy. Poddając się nieoczekiwanemu impulsowi, Artem podszedł do nich i chwycił tylny uchwyt. Obok niego stanął ktoś jeszcze. Stalker wyprostował się bez słowa i ruszyli naprzód. Pozostali podążyli za nimi, i oddział znowu uformował szyk bojowy.

- Niewiele już zostało - cicho powiedział Młynarz. - Ze dwieście metrów. Najważniejsze, żeby znaleźć przejście na drugą linię. Potem na Majakowską. Co dalej, nie wiem. Tretiak nie żyje... Coś wymyślimy. Teraz mamy tylko jedną drogę. Nie możemy z niej zbaczać.

Jego słowa o drodze poruszyły coś w Artemie, znów wspomniał o swoim własnym szlaku. Zamyślił się i nie od razu uświadomił sobie, co Młynarz wcześniej powiedział. Ale kiedy tylko dotarły do niego słowa stalkera o Tretiaku, drgnął i głośno szepnął:

- Anton... Ten ranny... przecież on służył w WRA... Przecież to rakietowiec! To znaczy, że jeszcze możemy! Możemy?

Młynarz obejrzał się z niedowierzaniem przez ramię, potem spojrzał na rozciągniętego na noszach dowódcę warty. Jak się zdawało, było z nim bardzo źle. Paraliż już dawno ustąpił, ale teraz nękały go gorączkowe majaczenia. Jęki były przetykane urywkami fraz, niejasnymi, lecz pełnymi gniewu rozkazami, rozpaczliwymi błaganiami, płaczem i mamrotaniem. I im bliżej byli Kremla, tym głośniejsze stawały się krzyki rannego, tym bardziej miotał się na noszach.

- Powiedziałem! Bez dyskusji! Idą tu... Padnij! Tchórze... Ale jak to... jak z pozostałymi?! Nikt tam nie może, nikt! - przekonywał Anton swoich towarzyszy, których widział tylko on.

Czoło pokrył mu pot, i Oleg, biegnący obok noszy, skorzystał z krótkiej przerwy, kiedy komandosi zmieniali ręce, i wytarł mu je chusteczką. Młynarz poświecił na dowódcę warty, jakby starając się zorientować, czy uda mu się przyjść do siebie. Było widać, jak ten zaciska zęby, jak pod powiekami niespokojnie latają mu gałki oczne. Pięści miał zaciśnięte, a ciało rzucało się to w jedną, to w drugą stronę. Płócienne rzemienie nie pozwalały, by Anton spadł z noszy, ale nieść go było coraz trudniej.

Po kolejnych pięćdziesięciu metrach Młynarz podniósł rękę w górę, i oddział znów się zatrzymał. Na ziemi bielał grubą kreską namalowany znak: znana im już falista linia dotykała zgrubieniem głowy szerokiej czerwonej krechy, odcinającej leżący przed nimi odcinek tunelu. Ulman gwizdnął.

- Gdy czerwone światło świeci - stójcie w miejscu dzieci - zaśmiał się nerwowo ktoś z tyłu.

- To dla czerwiaków, nas to nie dotyczy - uciął stalker. - Idziemy!

Jednak teraz szli naprzód jeszcze wolniej. Młynarz założył noktowizor i zajął miejsce na czele oddziału. Ale przestali się śpieszyć nie tylko z ostrożności. Za stacją „Sztab Generalny" tunel zaczął jeszcze bardziej stromo schodzić w dół i chociaż nadal był tak samo pusty, od strony Kremla pełzła niewidoczna, ale wyczuwalna mgiełka czyjejś obecności. Osnuwając ludzi, upewniała ich, że tam, w czarnej, pozbawionej światła otchłani, kryje się coś niepojętego, ogromnego i złego. Nie przypominało to niczego, co Artem miał okazję czuć do tej pory: nie był to ani ciemny wicher ścigający go w tunelach na Suchariewskiej, ani głosy w rurach, ani powstały w głowach ludzi zabobonny strach przed tunelami prowadzącymi do Parku Pobiedy. Coraz silniej dało się odczuć, że tym razem za tym niepokojem czai się coś... co nie było żywą istotą, a jednak żyło.

Artem popatrzył na krzepkiego komandosa, który szedł po drugiej stronie noszy, którego stalker nazywał Ulman. Nagle bardzo zachciało mu się rozmawiać, nieważne o czym, byle by tylko usłyszeć ludzki głos.

- A dlaczego na Kremlu świecą gwiazdy na wieżach? - Artem przypomniał sobie nurtujące go pytanie.

- Kto ci powiedział, że świecą? - odparł ze zdziwieniem komandos. - Nic tam nie świeci. Z Kremlem naprawdę jest tak: każdy widzi tam, co chce. Niektórzy mówią, że w ogóle go już nie ma, po prostu każdy ma nadzieję go zobaczyć. Chce się wierzyć, że chociaż największa świętość ocalała.

- A co się z nim stało?

- Nikt nie wie - odezwał się zwiadowca - oprócz tych twoich ludożerców. Jestem zbyt młody, miałem wtedy dziesięć lat. A ci, co wtedy byli w wojsku, mówią, że Kremla nie chcieli burzyć i zrzucili na niego jakiś tajny wynalazek... Broń biologiczną. Na samym

początku. Nie od razu ją zauważyli i nawet nie ogłosili alarmu, a kiedy się połapali, było już za późno, bo to coś wszystkich tam zeżarło, a i jeszcze z okolicy zassało sporo ludzi. Mieszka sobie za murem do tej pory i świetnie się czuje.

- A jak to coś... zasysa? - Artem nie mógł pozbyć się wspomnienia świecących nieziemskim światłem gwiazd na szczytach kremlowskich wież.

- Wiesz, że był taki owad, mrówkolew? Kopał w piasku dołki, a sam właził na dno i otwierał paszczę. Jeśli przebiegała w pobliżu mrówka i przypadkiem stanęła na skraju leja, to już po niej. Koniec życiorysu. Mrówkolew się poruszał, piasek się osypywał, i mrówka leciała mu prosto do paszczy. No, i z Kremlem jest tak samo. Wystarczy stanąć na skraju leja i cię wciąga - uśmiechnął się krzywo komandos.

- Ale czemu ludzie sami wchodzą do środka? - nie ustępował Artem.

- A skąd mam wiedzieć? Pewnie hipnoza... Weź choćby tych twoich ludożerców-hipnotyzerów. Normalnie mózg człowiekowi sztywnieje! A przecież, póki sam nie zobaczysz, to nie uwierzysz. O mało co tak tam nie zostaliśmy...

- To dlaczego idziemy prosto do paszczy lwa? - z niedowierzaniem spytał Artem.

- To nie do mnie pytanie, a do dowództwa. Ale podejrzewam, że trzeba być na górze i popatrzyć na wieże i mury, żeby cię dorwało. A my niby już jesteśmy w środku... To na co tu patrzeć? Młynarz odwrócił się i syknął na nich ze złością. Rozmawiający z Artemem żołnierz natychmiast urwał i nic już nie mówił. I zaczęło być słychać to, co zagłuszał dźwięk jego głosu: płynące z głębi ziemi nieprzyjemne, ciche... bulgotanie? Brzęczenie? Wystarczyło raz usłyszeć ten dźwięk, niby niezapowiadający niczego strasznego, ale jakoś tak uporczywy i niemiły dla ucha, żeby nie można już było o nim zapomnieć.

Przeszli kolejno przez trzy potężne śluzy. Wszystkie były zapraszająco otwarte na oścież i ich ciężkie żelazne zapory podniesione do sufitu. „Drzwi - pomyślał Artem. - Jesteśmy na progu”.

Ściany nagle się rozstąpiły i znaleźli się w pokrytej marmurem sali, na tyle przestronnej, że światła silnych latarek ledwo dosięgały przeciwległej ściany, przemieniając się w blade, rozproszone plamy. Sklepienie, w odróżnieniu od innych tajemnych stacji, było wysokie, podtrzymywały je potężne, bogato zdobione kolumny. Z góry zwisały pociemniałe od upływu czasu, masywne, pozłacane żyrandole, wciąż jeszcze reagując na światło latarki kokietującym blaskiem.

W niektórych miejscach ściany były pokryte olbrzymimi mozaikami przedstawiającymi niemłodego mężczyznę w marynarce z małą bródką i łysiną i uśmiechających się do niego ludzi w robotniczych uniformach, młode dziewczyny w skromnych strojach i lekkich białych chustkach, żołnierzy w staromodnych czapkach, lecące po niebie eskadry myśliwców, jadące w szyku czołgi, a wreszcie sam Kreml.

Ta zadziwiająca stacja nie miała nazwy, ale właśnie jej brak najlepiej dawał do zrozumienia, dokąd trafili.

Kolumny i ściany były pokryte grubą, prawie centymetrową warstwą szarego pyłu. Najwidoczniej stopa człowieka nie stanęła tu przez dziesiątki lat; strach było nawet domyślać się powodów, dla których tego miejsca unikali nawet nieustraszeni dzicy.

Dalej, na torach stał nietypowy pociąg. Miał tylko dwa wagony, ale za to grubo opancerzone, pomalowane na ochronny ciemnozielony kolor. Zamiast okien były wąskie, przypominające strzelnice szczeliny, pokryte zaciemnionym szkłem. Drzwi - po jednej parze w każdym wagonie - były zamknięte. Artemowi przyszło do głowy, że panom Kremla chyba jednak rzeczywiście nie udało się skorzystać ze swojej tajnej drogi ucieczki. Wdrapali się na peron i stanęli.

- To tutaj... - Stalker zadarł głowę do góry, na ile pozwalał mu hełm. - Tyle już opowieści słyszałem... A jednak wszystko jest inaczej...

- Którędy teraz? - spytał go Ulman.

- Pojęcia nie mam - przyznał Młynarz. - Trzeba się rozejrzeć.

Tym razem nie zostawił oddziału, i powoli ruszyli wszyscy razem. Stacja mimo wszystko przypominała czymś te znane im z metra: na krańcach peronu tak samo znajdowały się dwa tory. Ograniczały pomieszczenie z lewej i prawej strony, a z przodu i z tyłu podłużna sala kończyła się dwiema parami schodów ruchomych, które zatrzymały się na zawsze, ginąc w olbrzymich półokrągłych arkadach. Te, które znajdowały się bliżej ich oddziału, prowadziły w górę, drugie schodziły w dół, na całkiem już niewyobrażalną głębokość. Gdzieś tutaj była też na pewno winda: trudno było sądzić, że dawni mieszkańcy Kremla mieli, jak zwykli śmiertelnicy, zbędny czas, by nieśpiesznie sunąć w dół schodami ruchomymi.

Oczarowanie, które ogarnęło Młynarza, udzieliło się też innym. Próbując dosięgnąć światłem latarek wysokich sklepień, oglądając postawione pośrodku rzeźby z brązu, zachwycając się wspaniałą mozaiką i chłonąc wspaniałość stacji, tego istnego podziemnego pałacu, zaczęli nawet mówić szeptem, żeby nie zakłócać jego spokoju. Rozglądając się z nabożeństwem wokół, Artem zupełnie zapomniał o niebezpieczeństwie, o samobójstwie kapłana i o mamiącym blasku kremlowskich gwiazd. Miał w głowie tylko jedną myśl: wciąż starał się wyobrazić sobie, jak niewypowiedzianie piękna musiała być ta stacja w jaskrawym świetle tych cudownych żyrandoli.

Zbliżali się do przeciwległego końca sali, gdzie zaczynały się stopnie prowadzących w dół schodów ruchomych. Artem spróbował wyobrazić sobie, co kryje się tam, na dole. Może jeszcze jedna, dodatkowa stacja, z której pociągi szły bezpośrednio do tajnych bunkrów na Uralu? Albo przejście prowadzące do niezliczonych korytarzy wybitych jeszcze w niepamiętnych czasach podziemi i kazamatów? Podziemna twierdza? Strategiczne magazyny broni, medykamentów i zapasy jedzenia? Czy po prostu niekończąca się podwójna taśma stopni prowadzących w dół dokąd okiem sięgnąć? Czy to nie tu znajdował się ten właśnie najgłębszy punkt metra, o którym mówił Chan?

Artem specjalnie podrażniał swoją fantazję najbardziej nieprawdopodobnymi obrazami, odwlekając ten moment, kiedy podejdzie do szczytu schodów i wreszcie zobaczy, co jest na dole w rzeczywistości. Dlatego nie był pierwszy przy poręczach. Komandos, który dopiero co opowiadał mu o mrówkolwie, dotarł do nich wcześniej. Krzyknął i odskoczył z przestrachem do tyłu. Ułamek sekundy później przyszła kolej na Artema.

Powoli, niczym jakieś bajkowe stwory, pogrążone w wielowiekowym śnie, a potem rozbudzone i rozciągające zdrętwiałe mięśnie, schody ruchome ruszyły. Z wysiłkiem i starczym skrzypieniem stopnie pojechały w dół, i coś w tym widoku było niewyobrażalnie strasznego... Coś tu nie pasowało, nie odpowiadało temu, co Artem wiedział i pamiętał na temat ruchomych schodów. Czuł to, ale nijak nie mógł uchwycić tego śliskiego cienia zrozumienia.

- Słyszysz, jak cicho? To nie może być silnik... Maszyna nie pracuje - pomógł mu Ulman.

Oczywiście, właśnie o to chodziło. Skrzypienie schodów i zgrzyt nienaoliwionych kół zębatych - to były wszystkie dźwięki, jakie wydawał mechanizm, w który wróciło życie. Na pewno wszystkie? Artem znów usłyszał obrzydliwe bulgotanie i chlupot, które słyszał wtedy w tunelu. Dźwięki dochodziły z dołu, z miejsca, do którego prowadziły schody. Zebrał się na odwagę, zbliżył do schodów i oświetlił pochyły tunel, w którym coraz szybciej sunęła czarnobrunatna wstęga stopni.

Przez chwilę wydało mu się, że odkryła się przed nim tajemnica Kremla. Zobaczył jak przez szczeliny między stopniami przesącza się coś brudnobrązowego, oleistego, płynnego i jednoznacznie żywego. Krótkimi pluśnięciami prawie z tych szczelin wypływało, miarowo podnosząc się i opadając na całej długości schodów, którą Artem mógł dojrzeć. Ale to nie było bezmyślne pulsowanie. Wszystkie te pluski żywej istoty były niewątpliwie

częścią gigantycznej całości, która ciężko poruszała schodami. A gdzieś daleko w dole, na głębokości kilkudziesięciu metrów, ta sama błotnista, oleista substancja szeroko rozlała się po posadzce, puchnąc i rozszerzając się, cieknąc i falując, wydając te same dziwne i ohydne dźwięki. Łuk wejścia na schody wydał się Artemowi potworną paszczą, tunel gardzielą, a same stopnie głodnym jęzorem rozbudzonego przez przybyłych starożytnego bóstwa.

A potem jego świadomość jakby złapała czyjaś ręka. W głowie zrobiło mu się zupełnie pusto, jak w tunelu, którym tutaj przyszli. Chciał tylko jednego: wejść na schody i powoli pojechać w dół, gdzie w końcu czeka go ukojenie i odpowiedź na wszystkie pytania. Przed oczami znów zapaliły mu się kremlowskie gwiazdy...

- Artem! Uciekaj! - po policzkach, paląc skórę, chlasnęła go rękawica.

Otrząsnął się i opamiętał: brązowa ciecz płynęła w górę tunelu, puchnąc w oczach, rozrastając się, pieniąc jak wykipiałe świńskie mleko. Nogi odmówiły mu posłuszeństwa, i przebłysk świadomości był bardzo krótki: niewidzialne macki tylko na mgnienie oka wypuściły jego umysł, żeby znów mocno go złapać i pociągnąć z powrotem w ciemność.

- Ciągnij go!

- Najpierw dzieciaka! No, nie płacz...

- Ciężki... Jest jeszcze ten ranny...

- Zostaw, zostaw nosze! Gdzie ty chcesz z noszami!

- Poczekaj, pomogę ci, we dwóch będzie lżej...

- Rękę, podaj mi rękę! No, szybciej!

- Matko Boska... Już wypłynęło...

- Wciągnij go... Nie patrz, nie patrz tam! Słyszysz mnie?

- Daj mu w gębę! O, tak!

- Do mnie! To rozkaz! Bo cię zastrzelę!

Przed oczami migały mu dziwne obrazy: zielony, usiany nitami bok wagonu, z jakiegoś powodu przechylony sufit, potem zalana posadzka... ciemność... znów zielony pancerz pociągu... potem świat przestał się kołysać, uspokoił się i znieruchomiał.

Artem podniósł się na łokciu i rozejrzał wokół. Siedzieli w kręgu na dachu pociągu pancernego. Wszystkie latarki były wyłączone, paliła się tylko jedna, mała, kieszonkowa, leżąca w środku. Jej światła nie wystarczało, żeby było widać, co dzieje się w sali, ale wyraźnie słyszał, jak ze wszystkich stron coś bulgocze, kotłuje się i przelewa.

Coś znów ostrożnie, jakby na oślep, próbowało się przyssać do jego umysłu, ale potrząsnął głową i mrok się rozwiał.

Obejrzał się i mechanicznie przeliczył ściśniętych na dachu członków oddziału. Było ich teraz pięciu, jeśli nie liczyć Antona, który nadal nie doszedł do siebie, i jego syna. Artem tępo zauważył, że jeden z komandosów gdzieś przepadł, potem jego myśli znów zamarły. Jak tylko w głowie zrobiło mu się pusto, rozum znów zaczął osuwać się w mętne bagno.

Walczyć z tym samemu było trudno. Uświadomiwszy sobie mimochodem, co się z nim dzieje, Artem spróbował uczepić się tej myśli; koniecznie trzeba było o czymś myśleć, żeby tylko nie zostawić swojego umysłu bez zajęcia. Z pozostałymi najwidoczniej działo się to samo.

- Proszę, co się z tym cholerstwem porobiło pod wpływem promieniowania... Mieli rację, broń biologiczna! Ale sami nie myśleli, że powstanie taki efekt kumulatywny. Dobrze przynajmniej, że za murami siedzi i nie wyłazi na miasto... - mówił Młynarz.

Nikt mu nie odpowiedział. Komandosi ucichli i słuchali z roztargnieniem.

- Mówcie, mówcie! Nie milczcie! Ta swołocz działa na was podkorowo! Hej, Oganesjan! Oganesjan! O czym myślisz? - potrząsał stalker jednym ze swoich podkomendnych. - Ulman, w mordę go! Na co patrzysz? Na mnie patrz! Mówcie coś!

- Jest dobra... Woła... - powiedział potężny Ulman mrugając powiekami.

- Jaka niby dobra! Nie widziałeś, co się stało z Dielaginem? - stalker wyciął mu zamaszysty policzek, i osowiały wzrok komandosa rozjaśnił się.

- Za ręce! Złapmy się wszyscy za ręce! - darł się Młynarz. - Nie milczcie! Artem! Siergiej! Na mnie, na mnie patrzcie!

A metr niżej bulgotała, kipiała straszna masa, która wypełniła już chyba sobą cały peron. Stawała się coraz bardziej natarczywa, i nie mogli już wytrzymać jej naporu.

- Chłopaki! Dzieciaki! Nie poddawajcie się! Dawajcie... wszyscy razem! Zaśpiewajmy! - zatrzymując swoich żołnierzy, wymierzając im policzki lub prawie czule ich dotykając i doprowadzając do przytomności, nie poddawał się stalker. - Żołnierzu do szeregu stań... Karabin w dłonie bierz! - ochryple i fałszując zaintonował Młynarz. - Faszyści nasz pustoszą kraj... Faszyyystom powiedz precz...

- Szlachetny niech uderza gniew... Niech biiije niby zdrój - podchwycił Ulman.

Wokół pojazdu zabulgotało ze zdwojoną siłą. Artem nie śpiewał: nie znał słów tej pieśni, i w ogóle pomyślał, że ten zdrój pojawił się nieprzypadkowo.

Nikt oprócz Młynarza nie znał więcej słów niż pierwsza zwrotka i refren, i dalej stalker śpiewał sam, groźnie pobłyskując oczami i nie pozwalając nikomu się oderwać:

Kochaaamy światło, poookój, śmiech,
Stąd nasza płynie moc,
O wooolność my bijemy się,
A ci - o wieczną noc...

Tym razem refren śpiewali prawie wszyscy, nawet mały Oleg starał się wtórować dorosłym. Nieharmonijny chór grubych i przepalonych męskich głosów zabrzmiał rozlegając się echem w niekończącej się mrocznej sali. Dźwięk ich śpiewu wzlatywał ku wysokiemu, ozdobionemu mozaiką sklepieniu, odbijał się od niego, opadał i niknął w gotującej się na dole żywej masie. I choć w każdej innej sytuacji ten obrazek - siedmiu potężnych facetów zebranych na dachu pociągu i śpiewających tam, trzymając się za ręce, absurdalne piosenki - wydałby się Artemowi niedorzeczny i śmieszny, teraz przypominało to raczej mrożącą krew w żyłach scenę z sennego koszmaru. Miał niepowstrzymaną chęć się obudzić.

Szlacheeetny niech udeeerza gniew,
niech biiije niby zdróóój!
Za wolność przelejemy krew,
pójdzieeemy w święty bóóój[8].

Artem też, chociaż nie śpiewał, otwierał usta i kołysał się w takt muzyki. Nie dosłyszał słów w pierwszej zwrotce i myślał z początku, że chodzi w niej czy to o przeżycie ludzi w metrze, czy to o przeciwstawienie się czarnym, pod których naporem wkrótce mogła upaść jego rodzima stacja. Potem w kolejnej zwrotce mignęło mu coś o faszystach, i Artem zrozumiał, że rzecz jest o walce bojowników Czerwonej Brygady z mieszkańcami Puszkińskiej...

Kiedy oderwał się od swoich rozmyślań, odkrył, że chór zamilkł. Może następnych zwrotek nie znał nawet sam Młynarz, a może po prostu pozostali przestali mu wtórować.

- Chłopaki! A dawajcie choćby *Kombata,* co? - próbował zagadać komandosów stalker. - Kombat tatko, tatko kombat, nie kryłeś serca za plecy kolegów... - zaintonował, ale potem sam umilkł.

Oddział ogarnęło groźne otępienie. Żołnierze zaczęli puszczać swoje ręce i kółko się rozpadło. Wszyscy milczeli, nawet majaczący dotąd i mruczący coś pod nosem Anton. Czując, jak w powstałą w głowie pustkę wlewa się ciepła i mętna ciecz apatii i znużenia,

[8] *Święta wojna* autorstwa W.I. Lebiediewa-Kumacza, tekst polski: Krzysztof Gruszczyński [przyp. tłum.].

Artem starał się ją wypchnąć, myśląc o swojej misji, potem deklamując sobie dziecinne wierszyki, ile tylko pamiętał, a potem po prostu powtarzając: „Ja myślę, myślę, myślę, nie wejdziesz we mnie...”.

Komandos, na którego stalker mówił Oganesjan, nagle wstał z miejsca i wyprostował się. Artem obojętnie podniósł na niego wzrok.

- No, czas na mnie. Bywajcie - pożegnał się żołnierz.

Pozostali tępo popatrzyli na towarzysza, nic nie odpowiadając, tylko stalker skinął mu na pożegnanie. Oganesjan podszedł do krawędzi i bez wahania zrobił krok do przodu. Wcale nie krzyczał, ale w dole dał się słyszeć nieprzyjemny dźwięk, połączenie plusku z głodnym pomrukiem.

- Woła... Woooła... - powiedział śpiewnie Ulman i też zaczął wstawać.

Zaklęcie w głowie Artema - „Ja myślę, nie wejdziesz we mnie!” - zacięło się na słowie „ja”, i teraz powtarzał po prostu, nie zauważając, że robi to pełnym głosem: „Ja, ja, ja, ja, ja”. Potem poczuł silną, niepowstrzymaną chęć, by popatrzeć w dół, żeby dowiedzieć się, czy jest tam ta potworna bulgocząca masa, jak wydawało mu się na początku. Może się pomylił? Znów przypomniały mu się gwiazdy na kremlowskich wieżach, dalekie i mamiące...

I wtedy mały Oleg lekko zerwał się na nogi, zrobił krótki rozbieg i z wesołym śmiechem skoczył w dół. Żywe bagno w dole cicho mlasnęło pochłaniając ciało chłopca. Artem zrozumiał, że mu zazdrości, i zaczął iść w jego ślady. Ale kilka sekund po tym, jak masa zamknęła się nad głową Olega, być może w chwili, kiedy pozbawiała go życia, jego ojciec krzyknął i się obudził.

Ciężko dysząc i rozglądając się dookoła jak zaszczute zwierzę, Anton usiadł i zaczął potrząsać pozostałymi, żądając odpowiedzi:

- Gdzie on jest? Co z nim? Gdzie mój syn?! Gdzie jest Oleg? Oleg! Oleżek!

Twarze komandosów z wolna zaczęły przybierać świadomy wyraz. Zaczął też przychodzić do siebie Artem. Nie był już pewny, czy naprawdę widział, jak Oleg zeskoczył w kipiącą ciecz. Dlatego nic nie odpowiadał, próbował tylko uspokoić Antona, który, jak się zdaje, niewiadomym sposobem poczuł, że stało się nieodwracalne, i coraz bardziej szalał. Przy tym, przez jego histerię, otępienie ostatecznie ustąpiło tak u Artema, jak u Młynarza i wszystkich pozostałych członków oddziału. Udzieliło im się jego wzburzenie, jego wściekłość i rozpacz, i niewidzialna ręka, która władczo zaciskała się na ich świadomości, cofnęła się, jakby poparzona przez kipiącą w nich nienawiść. Artem, jak i chyba wszyscy pozostali, odzyskał wreszcie zdolność jasnego myślenia, którą - teraz to zrozumiał - wszyscy stracili już wówczas kiedy zbliżali się do stacji.

Stalker kilka razy strzelił na próbę w bulgoczącą masę, ale nie dało to żadnych rezultatów. Wtedy kazał komandosowi z miotaczem płomieni, żeby zdjął z pleców kanister z paliwem i rzucił go na sygnał jak najdalej od pociągu. Rozkazał reszcie oświetlać miejsce, w którym spadnie, przygotował się do strzału i machnął ręką. Kręcąc się w miejscu, komandos rzucił zbiornik i sam prawie poleciał w ślad za nim, ledwo się zatrzymując na skraju dachu. Kanister ciężko wzleciał w powietrze i zaczął opadać jakieś piętnaście metrów od pociągu.

- Padnij! - Młynarz poczekał aż przedmiot dotknie ruchomej oleistej powierzchni i nacisnął spust.

Ostatnie sekundy lotu kanistra Artem śledził leżąc na dachu. Jak tylko rozległ się huk wystrzału, ukrył twarz w zgięciu łokcia i co sił przywarł do zimnej stali. Wybuch był potężny: Artema o mało nie zwiało z dachu, pociąg się zachwiał. Przez zaciśnięte powieki przebiła się brudnopomarańczowa łuna rozpryskującego się po peronie płonącego paliwa.

Przez około minutę nic się nie działo. Bulgotanie i mlaskanie bagna nie osłabło, i Artem gotował się już na to, że za chwilę otrząśnie się po tym przykrym zdarzeniu i znów zacznie zasnuwać mu umysł.

Ale zamiast tego szum zaczął się stopniowo oddalać.

- Cofa się! Ono się cofa! - tuż przy uchu usłyszał radosny ryk Ulmana.

Artem podniósł głowę. W świetle latarek było wyraźnie widać, jak masa, zajmująca niedawno prawie całą ogromną salę, kurczy się i ustępuje, wracając w kierunku schodów.

- Szybko! - Młynarz zerwał się na nogi. - Jak tylko zlezie na dół, wszyscy za mną, do tego tunelu!

Artem zdziwił się, skąd nagle u Młynarza takie zdecydowanie, ale o nic nie pytał, zrzucając jego wcześniejsze wahanie na hipnozę. Teraz stalker całkowicie się zmienił: to znów był trzeźwy, zdecydowany i niecierpiący sprzeciwu dowódca oddziału.

Na rozmyślania nie tylko nie było czasu, Artem nie miał też na nie ochoty. Jedyne, co go teraz zajmowało, to żeby jak najszybciej wynieść się z tej przeklętej stacji, póki dziwny stwór zamieszkujący podziemia Kremla się nie opamięta i nie wróci, żeby ich pożreć. Stacja nie wydawała mu się już zadziwiająca i piękna: teraz wszystko było tu nieprzyjazne i odpychające. Nawet robotnicy i chłopki patrzyli na niego z gniewem z naściennych mozaik, a te postaci, które wciąż jeszcze się uśmiechały, robiły to ckliwie i na siłę.

Zeskoczywszy jakoś na peron, rzucili się do przeciwległego krańca stacji. Anton całkowicie przyszedł do siebie i biegł równie szybko, jak pozostali, więc oddziału nic teraz nie opóźniało. Po dwudziestu minutach szaleńczego biegu przez ciemny tunel Artem złapał zadyszkę, pozostali też zaczęli zwalniać ze zmęczenia. Wreszcie stalker pozwolił im przejść do szybkiego marszu.

- Dokąd idziemy? - dogoniwszy Młynarza spytał Artem.

- Myślę, że jesteśmy teraz pod ulicą Twerską... Wkrótce powinniśmy wyjść na Majakowską. Tam się zastanowimy.

- A skąd pan wiedział, którym tunelem mamy iść? - zainteresował się Artem.

- Na planie było zaznaczone, na tym, który znaleźliśmy w Sztabie Generalnym. Ale przypomniałem sobie o tym dopiero w ostatniej chwili. Wierz mi, albo nie, kiedy weszliśmy na stację, wszystko wyleciało mi z głowy.

Artem się zamyślił. Wychodziło na to, że jego zachwyt kremlowską stacją, obrazami i posągami, jej ogromem i wspaniałością był jak by nie jego własny? Czy to nie była tylko iluzja wywołana przez tę straszną istotą przyczajoną na Kremlu?

Potem przypomniał sobie wstręt i przerażenie, które zaczęła w nim wzbudzać stacja, kiedy minęło otumanienie. I zaczął wątpić, czy te uczucia też należały do niego. Być może dokładnie tak samo, jak wcześniej „mrówkolew" wywołał w nich zachwyt i chęć pozostanie na stacji jak najdłużej, potem, kiedy zadali mu ból, sprawił, że poczuli nieodpartą chęć, by uciekać stamtąd na łeb na szyję?

Jakie uczucia w ogóle należały do samego Artema i rodziły się w jego głowie? Czy ta potworna istota wypuściła już jego umysł, czy też to ona wciąż dyktowała mu myśli i nasuwała przeżycia? W którym momencie Artem znalazł się pod jej hipnotycznym wpływem? A zresztą, czy choć raz był wolny w swoim wyborze? I czy jego wybór w ogóle mógł być wolny? Artemowi znów przypomniała się dyskusja z dwoma dziwnymi mieszkańcami Polianki.

Obejrzał się: dwa kroki za nim szedł Anton. Nie zadawał już nikomu pytań o to, co się stało z jego synem - ktoś już mu powiedział. Twarz mu zastygła i zmartwiała, wzrok miał skierowany w pustkę. Czy Anton rozumiał, że byli zaledwie o krok od uratowania chłopca? Że jego śmierć była bezsensownym przypadkiem? Ale to właśnie ona uratowała życie pozostałym. Przypadek czy ofiara?

- Wie pan, my ocaleliśmy chyba tylko dzięki Olegowi. To przez niego pan... się ocknął - nie wchodząc w szczegóły tego, jak to się stało, powiedział chłopak Antonowi.

- Tak - zgodził się ten obojętnie.

- Powiedział nam, że służył pan w wojskach rakietowych. Strategicznych.

- Taktycznych - odparł Anton. - „Toczka", „Iskander".

- Tak? A inne systemy artylerii rakietowej? „Smiercz", „Uragan"? - zwolnił nieco i zapytał stalker, który usłyszał ich rozmowę.

- Też mogę. Byłem w służbie nadterminowej, tego też nas uczyli. I sam się interesowałem, wszystkiego chciałem spróbować. Aż zrozumiałem, do czego to prowadzi.

W jego głosie nie było najmniejszych oznak zainteresowania, tak jak nie było też niepokoju z powodu tego, że skrywany przez niego sekret poznali postronni. Odpowiadał krótko, mechanicznie.

Młynarz kiwnął głową i znów wysforował się na czoło.

- Bardzo potrzebujemy pańskiej pomocy - ostrożnie, badając grunt, powiedział Artem. - Rozumie pan, u nas na WOGN-ie dzieją się straszne rzeczy... - zaczął.

I od razu się zaciął: po tym, co widział przez ostatnią dobę, to co działo się na WOGN-ie już tak nie przerażało, nie zdawało się być jedynym zjawiskiem zdolnym ostatecznie wytrzebić człowieka, jako gatunek biologiczny. Artem poradził sobie z tą myślą przypomniawszy sobie, że ona też może nie należeć do niego, a pochodzić z zewnątrz.

- Przechodzą do nas z powierzchni takie stwory... - wziął się w garść i kontynuował.

Ale Anton powstrzymał go ruchem ręki.

- Po prostu powiedz, co trzeba zrobić, a zrobię to - powiedział pozbawionym emocji głosem. - Mam teraz czas... Jak mam wrócić do domu bez syna?

Artem gorączkowo pokiwał głową i odszedł od wartownika, zostawiając go z samym sobą; czuł się teraz podle: wymagać pomocy od człowieka, który dopiero co stracił dziecko... I to stracił z jego, Artema, winy...

Znów dogonił stalkera. Ten wyraźnie odzyskał już dobry nastrój: wyprzedził rozciągnięty w długi szereg oddział i podśpiewywał sobie coś pod nosem, a zobaczywszy Artema, uśmiechnął się do niego. Wsłuchawszy się w melodię, którą próbował odtworzyć Młynarz, Artem rozpoznał tę samą pieśń o świętej wojnie, którą śpiewali na dachu pociągu.

- Wie pan, na początku myślałem, że to piosenka o naszej wojnie z czarnymi - wyznał - a potem zrozumiałem, że to o faszystach. Kto ją ułożył, komuniści z Linii Czerwonej?

- Ta pieśń ma już sto lat, jeśli nie sto pięćdziesiąt - pokręcił głową Młynarz. - Napisano ją najpierw na jedną wojnę, potem zaadaptowano do drugiej. Właśnie dlatego jest dobra: pasuje do każdej wojny. Jak długo człowiek będzie żył, zawsze będzie uważał siebie za kochającego światło, a wrogów za kochających ciemność.

„I będą tak myśleć po obu stronach frontu", dodał w duchu Artem. Czy to znaczy, że... - jego myśl wróciła do czarnych. Czy to może znaczyć, że dla nich złem i ciemnością są ludzie, powiedzmy mieszkańcy WOGN-u? Artem spostrzegł się i starał się nie myśleć o czarnych, jak o zwykłych przeciwnikach. Wystarczy uchylić im drzwi współczucia, i już niczym się ich nie zatrzyma...

- Powiedziałeś o tej pieśni, że pasuje ci do wszystkich czasów - niespodziewanie odezwał się Młynarz - i przyszło mi coś do głowy. Żyjemy w takim kraju, że generalnie rzecz biorąc, cały czas jest w nim tak samo. Tacy są ludzie... Nie da się ich zmienić. Tępi są jak nogi stołowe. Wydawałoby się, że nadszedł już koniec świata, na dworze bez skafandra nie dasz rady żyć, i namnożyło się takich stworów, że wcześniej tylko w kinie można było zobaczyć... A tu nie! Nic ich nie rusza. Ciągle tacy sami. Czasem mi się wydaje, że nic się nie zmieniło. Proszę, odwiedziłem dziś Kreml - uśmiechnął się krzywo - i myślę sobie, że w

zasadzie tam też nic nowego. To samo się dzieje, co i wcześniej. Ja już teraz nie mam takiej pewności, kiedy ta zaraza się tam dostała: trzydzieści lat temu, czy trzysta.

- To trzysta lat temu już była taka broń? - nie dowierzał Artem, ale stalker nic mu nie odpowiedział.

Dwa czy trzy razy napotkali namalowane na ziemi wizerunki Wielkiego Czerwia, ale nie dało się zauważyć ani samych dzikusów, ani jakichkolwiek śladów ich niedawnej obecności. I jeśli po zobaczeniu pierwszego rysunku komandosi stali się czujni, przegrupowawszy się tak, żeby łatwiej się było bronić, to już po trzecim napięcie spadło.

- Nie kłamali, to znaczy, że dziś naprawdę jest święty dzień, siedzą na stacjach i do tuneli nie zaglądają - zauważył z ulgą Ulman.

Stalkera zajmowało coś innego. Według jego obliczeń miejsce, gdzie znajdowało się przejście do metra i zaczynał tunel prowadzący do bazy rakietowej, powinno było być całkiem blisko. Co chwilę sprawdzając narysowany ręcznie plan, powtarzał w rozterce:

- Gdzieś tutaj... Nie tu? Nie, nie taki zakręt, no i gdzie śluza? Powinniśmy już się zbliżać...

W końcu zatrzymali się na rozwidleniu: w lewo była zagrodzona kratą ślepa uliczka, na której końcu widać było resztki metalowej zapory, z prawej na tyle, na ile starczało światła latarek, ciągnął się prosty jak strzała tunel.

- To tu! - stwierdził Młynarz. - Jesteśmy. Według planu wszystko się zgadza. Za tą kratą jest zawał, jak przy Parku Pobiedy. I powinno być przejście, przy którym załatwili Tretiaka. Tak... - świecąc na plan kieszonkową latarką, myślał na głos: - Od tego rozwidlenia ten tunel idzie prosto do tego dywizjonu, a ten do Kremla, my przyszliśmy stąd, zgadza się.

Potem razem z Ulmanem przelazł przez kratę, i z dziesięć minut chodzili po odnodze, oglądając z latarką ściany i sufit.

- W porządku! Jest przejście, tym razem w podłodze, okrągła klapa, pewnie studzienka kanalizacyjna - oznajmił stalker po powrocie. - Koniec, jesteśmy na miejscu. Przerwa.

Jak tylko wszyscy zrzucili plecaki i usiedli na ziemi, z Artemem stało się coś dziwnego: pomimo niewygodnej pozycji, natychmiast zmorzył go sen. Czy to odezwało się nawarstwione przez ostatnią dobę zmęczenie, czy to trucizna z paraliżującej igły ciągle jeszcze działała powodując skutki uboczne...

Artem znów zobaczył, jak się budzi, w namiocie na WOGN-ie. Jak we wcześniejszych snach, na stacji było ciemno i pusto. Nie zdając sobie do końca sprawy, że to wszystko tylko mu się śni, Artem wiedział jednak z wyprzedzeniem, co się z nim zaraz stanie. Jak zwykle przywitał się z bawiącą się dziewczynką, ale nie zaczął jej o nic pytać, zamiast tego skierował się wprost w stronę torów.

Dochodzące z oddali krzyki i błagania o litość prawie go nie przestraszyły. Wiedział, że uporczywy sen śni mu się już któryś raz z innej przyczyny. I przyczyna ta kryła się w tunelach. Powinien był poznać naturę zagrożenia, rozeznać się w sytuacji i poinformować o niej sojuszników z południa. Ale gdy tylko otulił go mrok tunelu, jego pewność siebie i tego, że wie po co się tu znalazł i jak ma dalej postępować, ulotniła się.

Znów zaczął się bać, zupełnie jak wtedy, gdy po raz pierwszy samotnie wyszedł poza obręb stacji. I tak samo jak wtedy, przerażała go nawet nie sama ciemność i szmery w tunelach, a nieznane, niemożność przewidzenia jakie niebezpieczeństwo kryje się w następnych stu metrach drogi.

Niewyraźnie, jak gdyby były to wydarzenia z poprzedniego życia, pamiętając jak postępował w poprzednich snach, postanowił tym razem nie ulec temu lękowi, a iść naprzód, póki nie spotka się twarzą w twarz z tym, kto kryje się w mroku i czeka na niego.

Ktoś szedł mu na spotkanie. Nie śpiesząc się, z tą samą prędkością, z jaką poruszał się Artem, lecz nie jego tchórzliwymi, skradającymi się kroczkami, lecz zdecydowanym, ciężkim krokiem. Gdy chłopak zamierał wstrzymując oddech - zatrzymywał się też ten drugi. Artem przyrzekł sobie, że tym razem nie ucieknie, cokolwiek się stanie. Kiedy do jego skrytego w ciemności bliźniaka zostało, sądząc po odgłosach, jakieś trzy metry, kolana Artema nie tyle drżały, ile trzęsły się tak, że ledwo trzymał równowagę, jednak znalazł w sobie siłę, żeby uczynić jeszcze jeden krok. Czując jednak na twarzy lekki powiew powietrza przez to, że ktoś zbliżył się do niego na kilka centymetrów, Artem nie wytrzymał. Machnął ręką, odepchnął niewidzialną istotę i rzucił się do ucieczki. Tym razem się nie potknął i biegł niewyobrażalnie długo, godzinę albo dwie, ale jego rodzimej stacji nie było nawet widać, nie było żadnych innych stacji, w ogóle niczego, tylko niekończący się ciemny tunel. I to było jeszcze straszniejsze.

- Hej, starczy już tego spania, zebranie prześpisz - szarpnął go za ramię Ulman. - Jak ci się to udało? - dodał z zazdrością.

Artem otrząsnął się i z poczuciem winy spojrzał na pozostałych. Zorientował się, że odpłynął tylko na kilka minut. Oddział siedział w kręgu, w którego centrum rozsiadł się z planem Młynarz, pokazując i objaśniając.

- Więc tak... - rozprawiał - do miejsca przeznaczenia jest pewnie jakieś dwadzieścia kilometrów. To nic, jeśli pójdziemy szybkim krokiem i bez przeszkód, damy radę w pół dnia. Baza wojskowa znajduje się na powierzchni, ale pod nią jest bunkier, i tunel prowadzi właśnie do niego. Ale nie mamy czasu na zastanowienie. Będziemy musieli się rozdzielić. Obudziłeś się? Wracasz do metra, dołączę do ciebie Ulmana - powiedział do Artema - ja i pozostali idziemy do bazy rakietowej.

Artem chciał już otworzyć usta, zamierzał protestować, ale stalker przerwał mu niecierpliwym gestem. Schyliwszy się nad zwalonymi na kupę plecakami, Młynarz zaczął rozdzielać ekwipunek.

- Wy bierzecie dwa skafandry ochronne, dla nas zostają cztery - nie wiadomo, jak tam będzie. Plus racje żywnościowe, jedna dla was, jedna dla nas. Teraz odprawa. Idziecie na Prospekt Mira. Tam powinni na was czekać, wysłałem gońców - popatrzył na zegarek. - Równo za dwanaście godzin wyjdziecie na powierzchnię i złapiecie nasz sygnał. Jeśli wszystko będzie w porządku i będziemy mieć łączność, następuje kolejny etap operacji. Zadanie: podejść jak najbliżej do Ogrodu Botanicznego i wleźć jak najwyżej, żeby pomóc nam nakierowywać i korygować ogień. Powierzchnia rażenia rakiet „Smiercz" jest ograniczona, ile ich tam zostało, nie wiadomo. A Ogród nie jest mały. Nie bój się - uspokoił Artema - to wszystko będzie robił Ulman, ty tam będziesz dla towarzystwa. Oczywiście pożytek też z ciebie będzie: przynajmniej wiesz, jak ci czarni wyglądają. Uważam - ciągnął - że wieża telewizyjna Ostankino nawet dobrze się nada do kierowania ogniem. Ma pośrodku takie zgrubienie: w tej kuli była restauracja. Kiedyś dawali tam takie malutkie kanapeczki z kawiorem po niebotycznych cenach. Ale ludzie nie po to tam przychodzili, tylko dla widoku na Moskwę. Ogród Botaniczny widać stamtąd jak na dłoni. Spróbujcie wejść na tę wieżę. Nie uda się, to obok stoją wielopiętrowe budynki, takie w kształcie litery „U", sądząc z raportów prawie niezamieszkałe. Tak... Jeden plan Moskwy dla was, drugi dla nas. Na nim są już wytyczone kwadraty. Po prostu patrzycie i przekazujecie. Reszta należy do nas. Nic w tym trudnego - zapewnił ich. - Są pytania?

- A jeśli oni tam nie mają żadnego gniazda? - spytał Artem.

- No, jak nie, to nie - stalker pacnął dłonią w plan. - Ale, ale... Mam tu dla ciebie niespodziankę - dodał i puścił Artemowi oczko.

Zajrzawszy do swojego plecaka, Młynarz wyciągnął z niego białą plastikową torebkę z wytartym kolorowym obrazkiem. Artem otworzył ją i wyjął paszport, wypisany na nieco podniszczonym formularzu, i książkę dla dzieci z wsuniętą między kartki drogocenną

fotografią, którą znalazł w opuszczonym mieszkaniu na Kalinińskim. Kiedy wybrał się w ślad za Olegiem, zostawił swoje skarby na Kijewskiej, a Młynarzowi chciało się je wziąć ze sobą i nieść przez cały ten czas. Siedzący obok Ulman nie rozumiejąc popatrzył na Artema, a potem na stalkera.

- Rzeczy osobiste - z uśmiechem rozłożył ręce Młynarz.

Artemowi nagle przyszła ochota, żeby powiedzieć mu coś miłego i ciepłego, ale ten już wstawał z miejsca, wydając rozkazy idącym z nim komandosom.

Zbliżył się do pogrążonego w swoich myślach Antona.

- Powodzenia! - Artem wyciągnął do wartownika rękę.

Ten skinął w milczeniu głową, zakładając plecak. Oczy miał zupełnie puste.

- No, to wszystko! Żegnać się nie będziemy. Kontrolujcie czas! - powiedział Młynarz.

Odwrócił się i, nie mówiąc nic więcej, odszedł.

ROZDZIAŁ 19
OSTATNIA BITWA

We dwóch zdjęli ciężką żelazną płytę zasłaniającą właz i zaczęli schodzić na dół. Wąski pionowy szyb składał się z betonowych pierścieni, w każdym z nich tkwiła metalowa klamra. Jak tylko zostali we dwóch, Ulman zmienił zachowanie. Z Artemem komunikował się krótkimi, prostymi zdaniami, głównie wydając rozkazy lub przed czymś go ostrzegając. Gdy tylko pokrywa włazu była odsunięta, polecił Artemowi wyłączyć latarkę, założył na oczy noktowizor i pierwszy zszedł do środka.

Artem musiał schodzić w dół trzymając się klamer na ślepo. Nie bardzo rozumiał, po co te wszystkie środki ostrożności, przecież po Kremlu nie napotkali na swoje drodze żadnego zagrożenia. W końcu Artem uznał, że stalker dał Ulmanowi jakieś specjalne instrukcje, a może ten, kiedy został bez dowódcy, zaczął z przyjemnością sam pełnić jego rolę.

Żołnierz smagnął Artema po nodze, dając znak, by się zatrzymał. Artem posłusznie znieruchomiał, czekając aż ten wyjaśni mu, w czym rzecz. Ale zamiast tego usłyszał z dołu miękkie uderzenie - to Ulman zeskoczył na ziemię - a kilka sekund później rozległy się ciche odgłosy wystrzałów.

- Możesz złazić - szeptem powiedział do Artema jego towarzysz, i na dole zapaliło się światło.

Kiedy skończyły się klamry, puścił się i przeleciawszy około dwóch metrów wylądował na betonowej podłodze. Podniósł się, otrzepał i rozejrzał dookoła. Znajdowali się w krótkim, mierzącym mniej więcej piętnaście kroków korytarzu. Z jednej jego strony, w suficie ział otwór włazu - to tędy się tu dostali - a z drugiej w podłodze widniał jeszcze jeden luk, z taką samą karbowaną żelazną pokrywą. Obok niego w kałuży krwi leżał twarzą do ziemi martwy dzikus, nawet po śmierci ściskając w dłoni swoją rurkę do strzelania.

- Pilnował przejścia - cicho odparł Ulman na pytające spojrzenie Artema - ale zasnął. Pewnie nie oczekiwał, że ktokolwiek przyjdzie z tej strony. Położył się z uchem na włazie i przysnął.

- Ty go... we śnie? - upewnił się Artem.

- A co? Nie po rycersku? - prychnął Ulman. - I dobrze, odechciało mu się spać na warcie. Poza tym i tak był złym człowiekiem: nie przestrzegał świętego dnia. A było powiedziane: nie wchodzić do tuneli.

Odciągnął ciało za nogi na bok, odsunął pokrywę i znów wyłączył latarkę.

Tym razem szyb był całkiem płytki i prowadził do zawalonego rzeczami pomieszczenia służbowego. Właz był całkowicie ukryty przed wzrokiem postronnych przez górę metalowych płyt, kół zębatych, resorów i niklowanych uchwytów - części starczyłoby na cały wagon. Chaotycznie zwalone na kupę wznosiły się pod sam sufit i tylko cudem trzymały się w równowadze. Między tą stertą a ścianą było wąskie przejście, ale przecisnąć się przez nie było prawie niemożliwością.

Zasypane do połowy ziemią drzwi z pomieszczenia prowadziły do nietypowego kwadratowego tunelu. Z lewej strony przejazd się urywał: czy to był zasypany, czy to w tym miejscu przerwano roboty budowlane. Z prawej wychodził w tunel standardowy, okrągły i szeroki. Od razu dało się poczuć, że granica między dwoma przeplatającymi się podziemnymi światami została przekroczona. Tutaj, w metrze, nawet oddychało się inaczej: powietrze, chociaż wilgotne, nie było tak martwe i nieruchome jak w tajemnych tunelach D-6.

Powstało pytanie, dokąd iść dalej. Nie zdecydowali się iść na chybił trafił - w tym przejeździe mógł się znajdować posterunek graniczny Czwartej Rzeszy. Od Majakowskiej do Czechowskiej, według planu, było zaledwie dwadzieścia minut na piechotę. Artem

pogrzebał w torbie ze swoimi rzeczami i znalazł zakrwawiony plan, który miał po Danile, i na nim określił właściwy kierunek.

Nie minęło nawet pięć minut, a byli już na Majakowskiej. Usiadłszy na ławce, Ulman z westchnieniem ulgi zdjął z głowy ciężki hełm, wytarł rękawem zaczerwienioną, mokrą od potu twarz i przejechał dłonią po krótkich jasnych włosach. Pomimo potężnej budowy i nawyków starego tunelowego wilka, Ulman, jak się zdawało, nie miał wiele więcej lat niż Artem.

Kiedy szukali miejsca, gdzie mogliby kupić jedzenie, Artem zdążył obejrzeć stację. Ile czasu minęło, odkąd ostatnim razem coś jadł, Artem sam już nie pamiętał, ale ssało go w żołądku nie na żarty. Ulman nie miał ze sobą żadnych zapasów: wyruszali w pośpiechu i brali tylko to, co niezbędne.

Majakowska sytuacją i nastrojem przypominała Kijewską. Po niegdyś eleganckiej i zwiewnej stacji pozostał tylko mroczny cień. Na tej w połowie zburzonej stacji ludzie gnieździli się w porwanych namiotach albo wprost na peronie, ściany i sufit były pokryte zaciekami i pęknięciami od przesiąkającej wody. Na całej stacji płonęło jedno małe ognisko: nie było czym palić. Mieszkańcy Majakowskiej rozmawiali ze sobą bardzo cicho, jakby byli przy łóżku umierającego.

Jednak i na tej ledwie żywej stacji znalazł się sklep: połatany trzyosobowy namiot z wystawionym przed wejściem rozkładanym stolikiem. Asortyment był dość ubogi: obdarte ze skóry szczurze tuszki, zaschnięte i pomarszczone grzyby, dostarczone tu nie wiadomo kiedy, a nawet pocięty w kwadraciki mech. Obok każdego towaru dumnie widniała cena: przybity łuską od naboju urywek papieru gazetowego z równo wykaligrafowanymi cyframi.

Oprócz nich, klientów właściwie nie było, tylko wymizerowana przygarbiona kobieta, trzymająca za rękę małego chłopczyka. Dziecko ciągnęło do leżącego na straganie szczura, ale matka szarpnęła go za rękę:

- Zostaw! W tym tygodniu już jedliśmy mięso!

Chłopczyk usłuchał, ale nie udało mu się zapomnieć o szczurze na długo. Kiedy tylko matka się odwróciła, znów spróbował dorwać się do martwego zwierzaka.

- Kolka! Powiedziałam ci coś! Jak będziesz niegrzeczny, to diabły z tuneli po ciebie przyjdą! Twój Saszka nie słuchał się swojej mamusi i go zabrali! - nastraszyła go kobieta, w ostatniej chwili zdoławszy odciągnąć go od straganu.

Artem i Ulman nijak nie mogli się zdecydować. Artem zaczął myśleć, że spokojnie wytrzyma do Prospektu Mira, gdzie chociaż grzyby będą świeższe.

- Może szczurka? Pieczemy w obecności klienta - z godnością zaproponował łysy sklepikarz. - Certyfikat jakości! - dodał tajemniczo.

- Dziękuję, ja już po obiedzie - pośpiesznie odmówił Ulman. - Artem, co ty tam chciałeś? Tylko mchu nie bierz, po nim ma się w żołądku czwartą wojnę światową.

Kobieta zerknęła na niego z dezaprobatą. W dłoni miała tylko dwa naboje, które, według cennika, mogły jej starczyć właśnie tylko na mech.

Zauważywszy, że Artem patrzy na jej skromny kapitał, schowała zaciśniętą pięść za plecy.

- Czego tu stoi! - warknęła ze złością. - Sam nic nie kupujesz, to wynocha stąd! Nie każdy jest milionerem! Czego się gapisz?

Artem chciał odpowiedzieć, ale popatrzył na jej syna. Był bardzo podobny do Olega: takie same cienkie, bezbarwne włosy, czerwonawe oczy, zadarty nos. Malec wsadził sobie kciuk do ust i nieśmiało uśmiechnął się do Artema, patrząc na niego nieco spode łba.

Ten poczuł, jak mimowolnie usta rozciągają mu się w uśmiechu, a oczy wypełniają łzy. Kobieta zauważyła jego spojrzenie i wpadła we wściekłość.

- Cholerni zwyrodnialcy! - pisnęła błyskając oczami. - Chodź, synku, idziemy do domu! - pociągnęła chłopca za rękę.

- Niech pani zaczeka! Proszę!

Artem wyciągnął z zapasowego magazynka swojego automatu kilka nabojów, dogonił kobietę i jej je dał.

- Proszę... To dla was. Dla pani synka.

Ta spojrzała na niego z niedowierzaniem, potem skrzywiła się pogardliwie.

- Co ty sobie myślisz, że za pięć nabojów się zgodzę? Żeby własne dziecko?!

Artem nie od razu zrozumiał, co miała na myśli. Wreszcie do niego dotarło i otworzył już usta, żeby zacząć się tłumaczyć, ale nic nie mogło mu przejść przez gardło, stał tylko i mrugał oczami. Kobieta, zadowolona z wrażenia, jakie zrobiła, zmieniła ton z gniewnego na łaskawy.

- No, dobrze już! Dwadzieścia nabojów za pół godziny. Artem, ogłuszony, potrząsnął głową, odwrócił się i odszedł prawie biegiem.

- Sknera! Dobra, daj chociaż piętnaście! - krzyknęła za nim kobieta.

Ulman stał w tym samym miejscu, rozmawiając o czymś ze sprzedawcą.

- To co, jak będzie z tym szczurkiem, zdecydował się pan? - zainteresował się uprzejmie właściciel namiotu widząc wracającego Artema.

„Jeszcze trochę i się porzygam", pomyślał Artem. Pociągnął Ulmana za sobą i szybko uciekł z tej zapomnianej przez Boga stacji.

- Gdzie się tak śpieszymy? - spytał ten, kiedy szli już tunelem w kierunku Białoruskiej.

Starając się powstrzymać nudności, Artem opowiedział, co się wydarzyło. Na Ulmanie jego historia nie zrobiła specjalnego wrażenia.

- A co? Jakoś trzeba żyć - powiedział.

- A po co w ogóle takie życie? - Artem się wzdrygnął.

- A masz jakiś inny pomysł? - Ulman wzruszył potężnymi ramionami.

- Bo jaki sens ma takie życie? Czepiać się go, wytrzymywać cały ten brud, poniżenie, własnymi dziećmi handlować, żreć mech, w imię czego?

Artem urwał przypomniawszy sobie Huntera i to, jak mówił o instynkcie samozachowawczym, o tym, że ze wszystkich sił, jak zwierzę, będzie walczył o swoje życie i przeżycie pozostałych. Wtedy jego słowa rzeczywiście rozpaliły w Artemie nadzieję i wolę walki, jak u tej żaby, która własnymi łapkami ubiła śmietanę w dzbanku i zmieniła ją w masło. Ale teraz jakoś bliższe prawdy wydawały mu się słowa ojczyma.

- W imię czego? - przedrzeźniał go Ulman. - A ty co, chłopcze, „w imię czego" żyjesz?

Artem pożałował, że w ogóle zaczął tę rozmowę. Ulman był świetnym żołnierzem, trzeba mu to było przyznać, ale rozmówcą okazał się niespecjalnie ciekawym. I dyskutować z nim na temat sensu życia zdawało mu się bezcelowe.

- No właśnie, „w imię czego" - odpowiedział ponuro, nie wytrzymując.

- No, i w imię czego? - roześmiał się Ulman. - W imię zbawienia ludzkości? Daj spokój, to są bzdury. Nie ty wybawisz, to ktoś inny. Na przykład ja - oświetlił sobie latarką twarz, żeby Artem ją widział, i zrobił bohaterską minę.

Artem spojrzał na niego z zazdrością, ale nic nie powiedział.

- Poza tym - ciągnął komandos - wszyscy nie mogą po to żyć.

- A jak ci się podoba takie życie bez sensu? - Artem starał się zadać to pytanie z ironią.

- Jak to bez sensu? W moim życiu jest sens, ten sam, co u wszystkich. I w ogóle, poszukiwania sensu życia zwykle przypadają na okres dojrzewania płciowego. Tak więc, u ciebie się to chyba przeciągnęło.

Jego ton nie był obraźliwy, lecz żartobliwy, więc Artem nie zareagował. Natchniony sukcesem, Ulman perorował dalej:

- Dobrze pamiętam siebie, jak miałem siedemnaście lat. Też wszystko chciałem zrozumieć: jak, po co, i jaki to ma sens? Potem to mija. Sens, bracie, życie ma tylko jeden: narobić dzieci i je wychować. A potem niech już one się męczą z tymi pytaniami. I niech na nie odpowiadają, jak umieją. I na tym stoi świat. O, taką mam teorię - i znów się roześmiał.

- W takim razie po co ze mną idziesz? Po co ryzykujesz życiem? Jeśli nie wierzysz w zbawienie ludzkości, to po co? - po jakimś czasie spytał Artem.

- Po pierwsze, rozkaz - surowo powiedział Ulman. - Z rozkazami się nie dyskutuje. Po drugie, jak pamiętasz, dzieci nie wystarczy zrobić, trzeba je jeszcze wychować. A jak je mam wychowywać, jak je zeżre ta wasza hałastra z WOGN-u?

Biła od niego taka pewność siebie, swojej siły i swoich słów, jego obraz świata był tak kusząco prosty i spójny, że Artem nie miał już ochoty więcej się z nim kłócić. Przeciwnie, poczuł, że komandos i w nim wzbudza pewność, której tak mu brakowało.

Tak jak mówił Młynarz, tunel między Majakowską a Białoruską okazał się być spokojny. Co prawda coś chlupało w szybach wentylacyjnych, ale za to obok nich parę razy przemknęły zupełnie zwyczajnych rozmiarów szczury, i Artema to uspokoiło. Przejazd był zadziwiająco krótki: ledwo skończyli się kłócić, jak przed nimi ukazały się światła stacji.

Sąsiedztwo Hanzy odbiło się na Białoruskiej jak najbardziej pozytywnie. Było to widać od razu, chociażby dlatego, że w porównaniu do Majakowskiej czy Kijewskiej, była całkiem nieźle strzeżona. Na dziesięć metrów przed wejściem urządzono posterunek: na workach z ziemią stał erkaem, a oddział wartowników składał się z pięciu ludzi.

Po sprawdzeniu dokumentów (tu przydał się nowy paszport), spytano ich uprzejmie, czy nie są aby z Rzeszy. Nie, nie - zapewnili Artema - nikt tu nie ma nic przeciwko Rzeszy, Białoruska jest stacją handlową, zachowuje pełną neutralność, w konflikty między mocarstwami - tak dowódca warty nazwał Hanzę, Rzeszę i Linię Czerwoną - się nie miesza.

Zanim ruszyli w dalszą drogę wzdłuż Linii Okrężnej, Artem i Ulman postanowili jednak odsapnąć i coś przekąsić. Siedząc w bogatym, a nawet z pewnym szykiem urządzonym bufecie, oprócz świetnie przygotowanego, a przy tym całkiem niedrogiego kotleta, Artem otrzymał pełną informację o Białoruskiej. Siedzący przy stole naprzeciwko blondyn z okrągłą twarzą, który przedstawił się jako Leonid Piotrowicz, pałaszował aż mu się uszy trzęsły gigantycznych rozmiarów jajecznicę na boczku, a kiedy nie miał akurat pełnych ust, z przyjemnością opowiadał o swojej stacji.

Białoruska, jak się okazało, żyła z tranzytu wieprzowiny i kur. Po drugiej stronie Okrężnej, bliżej stacji Sokoł, a nawet Wojkowskiej, chociaż ta znajdowała się już niebezpiecznie blisko powierzchni, rozciągały się ogromne i bardzo dobrze prosperujące gospodarstwa. Kilometry tuneli i przejazdów technicznych przekształcono w niekończące się farmy zwierząt hodowlanych, które żywiły całą Hanzę, dostarczając jednocześnie żywność i Czwartej Rzeszy, i wiecznie głodnej Linii Czerwonej. Oprócz tego, mieszkańcy stacji Dinamo odziedziczyli po swoich przedsiębiorczych poprzednikach talenty krawieckie. To właśnie tam szyto te kurtki ze świńskiej skóry, które Artem widział na Prospekcie Mira.

Na tym krańcu Linii Zamoskworieckiej nie było żadnych zewnętrznych zagrożeń, i przez wszystkie lata życia w metrze, ani Sokoła, ani Aeroportu, ani Dinama nikt ani razu nie splądrował. Hanza do nich nie aspirowała, zadowalając się możliwością pobierania cła z przewożonych towarów, a jednocześnie oferowała im obronę przez faszystami i czerwonymi.

Prawie wszyscy mieszkańcy Białoruskiej trudnili się handlem. Farmerzy z Sokoła i krawcy z Dinama rzadko zatrzymywali się tu, żeby zbyć swoje towary: profitów z dostaw hurtowych mieli aż nadto. Ludzie z tamtej strony, jak ich tu nazywano, przywozili partie wieprzowiny lub żywych kur na drezynach i w ręcznie napędzanych wagonikach, wyładowywali towar - do tego celu na peronach były nawet zamontowane specjalne dźwigi - rozliczali się i wracali do domu.

Stacja kipiała życiem. Żwawi handlowcy (na Białoruskiej nazywali się nie wiadomo dlaczego „menedżerami") uwijali się między „terminalem", czyli miejscem wyładunku, a magazynami, pobrzękując mieszkami z nabojami, wydając polecenia krzepkim tragarzom. Wózki ze skrzyniami i pakunkami na dobrze nasmarowanych kółkach toczyły się bezszelestnie do rzędów straganów, lub do granicy Okrężnej, skąd odbierali towar kupcy Hanzy, lub też na przeciwległy koniec peronu, gdzie realizacji swoich zamówień oczekiwali emisariusze Rzeszy.

Faszystów było tu sporo, ale nie szeregowych, a przeważnie oficerów. Zachowywali się tutaj zupełnie inaczej niż u siebie: chociaż dość chamsko, to w granicach przyzwoitości. Zerkali wrogo na smagłych brunetów, których nie brakowało wśród tutejszych handlarzy i robotników, ale nie decydowali się zaprowadzać własnych porządków.

- W końcu mamy też tutaj banki... Od nich, z Rzeszy, wielu do nas przyjeżdża niby to po towary, a tak naprawdę, żeby wpłacić oszczędności - poinformował Artema jego rozmówca. - Dlatego nie zaatakują nas znienacka. Jesteśmy dla nich jak Szwajcaria - dodał niezrozumiale.

- Fajnie tu u was - na wszelki wypadek zauważył uprzejmie Artem.

- Ale co my tak ciągle o Białoruskiej... A panowie to skąd pochodzą? - spytał wreszcie z grzeczności Leonid Piotrowicz.

Ulman udał, że jest tak zajęty swoim kotletem, że nie usłyszał pytania.

- Ja jestem z WOGN-u - obejrzawszy się na niego, odpowiedział Artem.

- Co pan mówi! To straszne! - Leonid Piotrowicz aż odłożył sztućce. - Mówi się, że sytuacja tam jest beznadziejna! Słyszałem, że bronią się już ostatnimi siłami. Pół stacji zginęło... To prawda?

Kawałek kotleta stanął Artemowi w gardle. Cokolwiek się działo, musi się dostać do WOGN-u, zobaczyć się ze swoimi, może ostatni raz. Jak on mógł tracić teraz cenny czas na jedzenie? Odsunął talerz, poprosił o rachunek, i nie zwracając uwagi na protesty Ulmana, pociągnął go za sobą, mijając ustawione w arkadach kramy z mięsem i ubraniami, mijając zwalone na stertę towary, wypytujących o ceny straganiarzy snujących się tragarzy, przechadzających się godnie faszystowskich oficerów, w kierunku ogrodzonego metalową barierką przejścia na Linię Okrężną. Nad wejściem wisiała biała płachta z brązowym kołem w środku, a dwóch strażników z karabinami w znajomych szarych uniformach sprawdzało dokumenty i przeszukiwało rzeczy.

Artemowi jeszcze nigdy nie udało się dostać na terytorium Hanzy z taką łatwością. Ulman, żując jeszcze kawałek kotleta, pogrzebał w kieszeni i pokazał pogranicznikom niepozornie wyglądający dokument. Ci bez słowa otworzyli bramkę przepuszczając ich do środka.

- Co to jest? - zainteresował się Artem.

- A... Książeczka do orderu „Za zasługi dla Ojczyzny" - odpowiedział żartem Ulman. - U naszego pułkownika wszyscy mają dług.

Przejście na Okrężną było dziwną mieszanką twierdzy i magazynu. Druga granica Hanzy zaczynała się za przerzuconymi przez tory kładkami: mieściły się tam najprawdziwsze bastiony z erkaemami, a nawet miotaczem płomieni. A dalej, obok pomnika z brązu, przedstawiającego brodatego mędrca z karabinem, wiotką dziewczynę i rozmarzonego chłopaka z bronią (pewnie założyciele Białoruskiej albo bohaterowie walki z mutantami, pomyślał Artem) znajdował się cały garnizon, z co najmniej dwudziestoma żołnierzami.

- To przez Rzeszę - wyjaśnił Artemowi Ulman. - Z faszystami jest tak: ufaj, ale sprawdzaj. Szwajcarii rzeczywiście nie ruszyli, ale Francję już tak.

- Mam kłopoty z historią - przyznał ze wstydem Artem. - Ojczym za nic nie mógł znaleźć podręcznika do dziesiątej klasy. Za to o starożytnej Grecji sporo czytałem.

Żołnierzy mijał niekończący się sznur podobnych do mrówek tragarzy z workami na plecach: Hanza chciwie wsysała prawie całą produkcję Sokoła, Dinama i Aeroportu. Ruch był dobrze zorganizowany: jednymi schodami tragarze schodzili z ładunkiem, drugimi podchodzili na pusto. Trzecie były przeznaczone dla pozostałych przechodniów.

Na dole, w oszklonej budce, siedział, obserwując schody, strażnik z automatem. Jeszcze raz sprawdził Artemowi i Ulmanowi dokumenty i wydał im papierki z pieczątką „Rejestracja tymczasowa - tranzyt" i datą. Droga była wolna.

Ta stacja też nazywała się Białoruska, ale różnica z jej siostrą spoza Hanzy była uderzająca: jak między rozdzielonymi przy narodzinach bliźniakami, z których jeden trafił do rodziny królewskiej, a drugie przygarnął i wychował biedak. Cały dobrobyt i rozkwit tamtej pierwszej Białoruskiej, blakły w porównaniu ze stacją z Okrężnej. Lśniła czystą bielą ścian, czarowała wymyślną mozaiką na sklepieniu i oślepiała neonowymi lampami, które na całej stacji paliły się tylko trzy, co jednak wystarczało aż nadto.

Na peronie sznur tragarzy rozdzielał się na dwie części: jedni przez arkady szli do torów po lewej, drudzy - po prawej, zrzucając swoje worki na stertę i biegiem wracając po następne.

Przy torach były dwa przystanki: towarowy, gdzie zamontowano mały dźwig, i pasażerski, z kasą biletową. Raz na piętnaście-dwadzieścia minut obok stacji przejeżdżała drezyna towarowa, obudowana swego rodzaju karoserią - pomostem z desek, załadowanym skrzyniami i workami. Obok trzech-czterech ludzi stojących za dźwigniami każdej drezyny stał jeszcze ochroniarz.

Drezyny pasażerskie jeździły rzadziej - Artemowi i Ulmanowi przyszło czekać ponad czterdzieści minut. Jak wyjaśnił im bileter, marszrutki czekały aż zbierze się wystarczająco dużo ludzi, żeby nie męczyć niepotrzebnie pracowników. Ale sama ta okoliczność, że gdzieś w metrze do tej pory można kupić bilet - po naboju za każdą przejechaną stację - i pojechać tunelem, tak jak wtedy, wprost Artema oczarowała. Na jakiś czas zapomniał nawet o wszystkich swoich problemach i wątpliwościach, a po prostu stał i obserwował ładowanie towarów, wyobrażając sobie, jak piękne musiało być życie w metrze kiedyś, gdy torami jeździły nie ręczne drezyny, a ogromne lśniące pociągi.

- Proszę, jest już panów marszrutka! - oznajmił bileter i zadzwonił dzwoneczkiem.

Na przystanek podjechała duża drezyna, do której był podczepiony wagonik z drewnianymi ławkami. Po okazaniu biletów usiedli na wolnych miejscach. Po kilku minutach i zabraniu jeszcze kilku brakujących pasażerów, tramwaj ruszył dalej.

Połowa ławeczek była umieszczona tak, że pasażerowie siedzieli twarzą w kierunku jazdy, a połowa odwrotnie. Artem dostał miejsce tyłem do kierunku jazdy, Ulman usiadł na wolnym miejscu, plecami do niego.

- Dlaczego siedzenia są tak dziwnie rozstawione, w różnych kierunkach? - spytał Artem swoją sąsiadkę, tęgą babę około sześćdziesiątki w dziurawym futrzanym paltociku. - Przecież tak jest niewygodnie.

- A jak inaczej? - kobieta klasnęła w dłonie ze zdziwienia. - Co ty, tunel bez dozoru chcesz zostawić? Wy, młodzi, to jesteście lekkomyślni! Choćby przedwczoraj, nie słyszałeś, co było? O, taki szczur - babina rozłożyła ręce, na ile mogła - wyskoczył z bocznego tunelu i porwał pasażera!

- Przecież to nie był żaden szczur! - odwracając się, wtrącił facet w pikowanym waciaku. - Mutan to był! Na Kurskiej się strasznie mutany rozpleniły...

- A ja ci mówię, że to był szczur! Mówiła mi Nina Prokofiewna, moja sąsiadka, co ja nie wiem, jak było? - oburzyła się baba.

Długo się jeszcze kłócili, ale Artem nie słuchał już ich rozmowy. Jego myśli znów wróciły do WOGN-u. Postanowił już sobie, że zanim wyjdzie na powierzchnię, żeby razem z Ulmanem wspiąć się na wieżę Ostankino, koniecznie spróbuje się dostać na swoją

rodzinną stację. Jak przekonać do tego towarzysza, jeszcze nie wiedział. Ale miał złe przeczucie, że ostatnia szansa, by zobaczyć swój dom i ukochanych ludzi, otwiera się przed nim właśnie teraz, zanim jeszcze wyjdzie na górę. I stracić jej nijak nie może - kto wie, co będzie później? Chociaż stalker mówił, że w ich zadaniu nie ma nic skomplikowanego, sam Artem nie za bardzo wierzył, że jeszcze go kiedyś spotka. Tak, czy owak, przed swoim, być może, ostatnim wyjściem na powierzchnię, koniecznie musi choć na chwilę wrócić na WOGN.

Jak to brzmi... WOGN... Dźwięcznie, ciepło. Słuchałby tego i słuchał, pomyślał Artem. Czyżby ten przypadkowy człowiek na Białoruskiej mówił prawdę, i stacja rzeczywiście jest o włos od upadku pod naporem czarnych, a połowa jej obrońców już zginęła, próbując powstrzymać to co nieuchronne? Jak długo go nie było? Dwa tygodnie? Trzy? Zamknął oczy, próbując wyobrazić sobie ukochane sklepienia, eleganckie, lecz łagodne linie arkad, ażurowe okucia miedzianych kratek wentylacyjnych pomiędzy łukami, rzędy namiotów w holu: ten tam to Żeńki, a tutaj, bliżej, jego.

Drezyna kołysała się łagodnie w takt usypiającego stukotu kół, i Artem nawet nie zauważył, jak ogarnął go sen. Znów śnił mu się WOGN.

Niczemu się już nie dziwił, nie nasłuchiwał i nie próbował zrozumieć. Cel jego snu był nie na stacji, a w tunelu, dobrze o tym pamiętał. Wyszedłszy z namiotu, Artem od razu skierował się ku torom, zeskoczył na dół i poszedł na południe, w stronę Ogrodu Botanicznego. Egipskie ciemności już go nie przerażały, lękał się czego innego: mającego nastąpić spotkania w tunelu. Kto tam na niego czekał? Jaki był sens tego zdarzenia? Dlaczego nigdy nie starczało mu śmiałości, żeby wytrzymać do końca?

Jego bliźniak pojawił się w końcu w głębi tunelu: miękkie pewne kroki stopniowo się zbliżały, jak za każdym poprzednim razem, doszczętnie pozbawiając Artema pewności siebie. Jednak tym razem trzymał się lepiej: chociaż kolana mu zadrżały, Artem mógł powstrzymać dreszcze i dotrwać do chwili, kiedy zrównał się z niewidoczną istotą. Oblał się zimnym lepkim potem, ale wziął się w garść i nie rzucił do ucieczki, kiedy słaby podmuch powietrza podpowiedział mu, że tylko centymetry dzielą tajemniczego stwora od jego twarzy.

- Nie uciekaj... Spójrz w twarz swojemu przeznaczeniu... - szepnął mu na ucho suchy syczący głos.

I wtedy Artem sobie przypomniał - jak mógł o tym zapomnieć w poprzednich koszmarach - że w kieszeni ma zapalniczkę. Wymacał plastikowy przedmiot i pstryknął krzesiwem, przygotowując się, że zobaczy tego, kto do niego mówił.

I wtedy oniemiał, czując tylko, jak sztywnieją mu nogi.

Tuż przed nim nieruchomo stał czarny. Szeroko otwarte ciemne oczy bez źrenic szukały jego wzroku. Artem krzyknął, jak najgłośniej umiał.

- O matko i córko! - babina złapała się za serce ciężko dysząc. - Ale żeś mnie przestraszył, co za chamstwo!

- Pani wybaczy. Chłopak jest tego... Nerwowy - przeprosił, odwróciwszy się, Ulman.

- Coś tam takiego zobaczył, że krzyczysz jak opętany? - baba rzuciła mu ciekawskie spojrzenie spod ciężkich opuchniętych powiek.

- Sen... Koszmar mi się przyśnił - odparł Artem. - Przepraszam.

- Sen?! Och, wy, młodzi, to jesteście wrażliwi - i znów zaczęła jęczeć i pomstować.

Tym razem, ku swojemu zaskoczeniu, Artem spał całkiem długo - przegapił nawet przystanek na Nowosłobodskiej. I nie zdążył już sobie przypomnieć, co takiego ważnego zrozumiał na końcu swojego koszmaru, aż marszrutka przybyła na Prospekt Mira.

Sytuacja bardzo się tu różniła od sytego dobrobytu Białoruskiej. Po ożywionym handlu nie było nawet śladu, za to od razu rzucała się w oczy duża liczba wojskowych: specnazu i oficerów z naszywkami wojsk inżynieryjnych. Na drugim krańcu peronu, na

torach, stało kilka strzeżonych towarowych drezyn spalinowych z tajemniczymi skrzynkami przykrytymi brezentem. W holu, wprost na podłodze, siedziało jakieś pół setki byle jak ubranych ludzi z ogromnymi kuframi, którzy rozglądali się zagubionym wzrokiem wokoło.

- Co tu się dzieje? - spytał Artem.

- To nie tutaj się dzieje, tylko u was, na WOGN-ie - odpowiedział Ulman. - Widać zabierają się do zasypania tunelu... Jeśli czarni wylezą z Prospektu Mira, Hanza nie ujdzie bez szwanku. Pewnie przygotowują uderzenie prewencyjne.

Zanim przeszli na Linię Kałużsko-Ryżską, Artem zdążył się przekonać, że domysły Ulmana są prawdopodobnie słuszne. Specnaz Hanzy operował na stacji linii promienistej, gdzie nie powinien się w ogóle pojawiać. Oba wejścia do tuneli, prowadzące na północ, do WOGN-u i Ogrodu Botanicznego, były zablokowane. Ktoś naprędce postawił tu posterunki, na których wartę pełnili pogranicznicy z Hanzy. Na targu prawie nie było klientów, połowa kramów świeciła pustkami, ludzie szeptali coś do siebie z przestrachem, nad stacją zawisło jakby nieuchronne nieszczęście. W jednym rogu tłoczyło się kilkadziesiąt osób, całe rodziny z workami i torbami. Kolejka zawijała się wokół stolika z napisem „Rejestracja uchodźców".

- Poczekaj tu na mnie, pójdę poszukać naszego człowieka. - Ulman zostawił go przy straganach i zniknął.

Ale Artem miał swoje sprawy. Zeskoczył na tory, podszedł do posterunku i zagadał z posępnym pogranicznikiem.

- Czy na WOGN można jeszcze przejść?

- Na razie jeszcze puszczamy, ale nie radzę - odparł tamten. - Co, nie słyszałeś, co tam się dzieje? Jakieś wampiry przyłażą, i to tak, że ich nie powstrzymasz. Już prawie cała stacja im tam poległa. Widać jest tam gorąco, bo jak nawet te nasze kutwy z dowództwa przyznały im bezzwrotną pożyczkę amunicji, tylko żeby tamci do jutra wytrzymali...

- A co będzie jutro?

- Jutro zawalimy wszystko w cholerę. Trzysta metrów od Prospektu w obu tunelach założymy dynamit, i koniec, zostanie tylko wspomnienie.

- Ale dlaczego po prostu im nie pomożecie? Czyżby Hanzie nie starczało sił?

- Przecież słyszysz - tam są wampiry. Aż się tam od nich roi, żadne posiłki nie wystarczą.

- A co z ludźmi z Ryżskiej? Z samego WOGN-u?! - Artem nie wierzył swoim uszom.

- Uprzedziliśmy ich już kilka dni temu. Widzisz, że powoli do nas uciekają - Hanza przyjmuje, my też jesteśmy ludzie. Ale lepiej, żeby się pośpieszyli. Jak czas minie, to nic już nie pomoże. Więc postaraj się szybko obrócić. Co tam masz? Sprawy? Rodzinę?

- Wszystko - odparł Artem, i pogranicznik kiwnął ze zrozumieniem.

Ulman stał przy filarze, cicho rozmawiając z wysokim młodym człowiekiem i poważnym mężczyzną w uniformie maszynisty i z pełnymi insygniami naczelnika stacji.

- Samochód jest na górze, z pełnym bakiem. Mam tu jeszcze na wszelki wypadek prowiant i skafandry ochronne, i jeszcze karabin pieczenieg z lunetą SWD - chłopak wskazał dwie duże czarne torby. - Wyjść możemy w dowolnym momencie. Kiedy mamy być na górze?

- Będziemy łapać sygnał za osiem godzin. Do tego czasu powinniśmy już być na stanowisku - odparł Ulman. - Śluza działa? - zwrócił się do naczelnika.

- Działa - potwierdził ten. - Powiedzcie, kiedy. Tylko ludzi trzeba będzie odpędzić, żeby się nie przestraszyli.

- To już wszystko mam. Czyli odpoczywamy jakieś pięć godzin, a potem cała naprzód - podsumował Ulman. - No, co, Artem? Fajrant?

- Ja nie mogę - odciągając towarzysza na bok, powiedział mu Artem. - Koniecznie muszę iść najpierw na WOGN. Pożegnać się i w ogóle spotkać. Miałeś rację, będą zawalać wszystkie tunele od Prospektu Mira. Nawet jeśli wrócimy stamtąd żywi, więcej nie zobaczę swojej stacji. Muszę. Naprawdę.

- Słuchaj, jeśli po prostu boisz się iść na górę, do tych swoich czarnych, to powiedz - zaczął Ulman, ale napotkawszy spojrzenie Artema, zreflektował się. - Żartowałem. Wybacz.

- Naprawdę, muszę - powtórzył Artem.

Nie umiałby wyjaśnić tego uczucia, ale wiedział, że tak czy inaczej pójdzie na WOGN - za wszelką cenę.

- No, jak musisz... - odparł zakłopotany komandos. - Wrócić tu już nie zdążysz, szczególnie, jeśli zamierzasz się z kimś tam żegnać. Zróbmy tak: my tu z Paszką - to ten z torbami - pojedziemy stąd samochodem ulicą Prospekt Mira. Na początku zamierzaliśmy jechać od razu do wieży, ale możemy pojechać naokoło i podjechać do starego wejścia do WOGN-u. Nowe jest całe rozwalone, wasi powinni wiedzieć. Będziemy tam na ciebie czekać. Za pięć godzin, pięćdziesiąt minut. Tylko się nie spóźnij! Kombinezon masz? Zegarek? Masz, weź mój, ja pożyczę od Paszki - ściągnął metalową bransoletkę.

- Za pięć godzin pięćdziesiąt minut - kiwnął głową Artem, ścisnął Ulmanowi rękę i rzucił się biegiem do posterunku.

Zobaczywszy go znowu, pogranicznik pokręcił głową.

- A w tym tunelu, czy dzieją się wciąż te dziwne rzeczy - przypomniał sobie Artem.

- Mówisz o tych rurach, tak? Wszystko dobrze, zakleili jakoś. Mówią, że ma się tylko zawroty głowy, kiedy przechodzi się obok, ale żeby ktoś umarł, to nie - odparł pogranicznik.

Artem podziękował mu skinieniem, zapalił latarkę i wszedł do tunelu.

Przez pierwsze dziesięć minut w głowie szaleńczo wirowały mu jakieś myśli: o niebezpieczeństwie w rozciągających się przed nim tunelach, o przemyślanym i rozsądnie urządzonym życiu na Białoruskiej, potem o „marszrutkach" i prawdziwych pociągach. Ale krok po kroku mrok tunelu wysysał z niego te nieistotne, bezsensownie przemykające mu przed oczami obrazki i urywki zdań. Z początku przyszedł spokój i pustka, potem zaczął myśleć o czymś innym.

Jego podróż zbliżała się do końca. Artem sam nie umiałby powiedzieć, ile czasu go tu nie było. Być może minęły dwa tygodnie, może ponad miesiąc.

Jaka prosta, jakże krótka wydawała mu się ta droga, kiedy, siedząc na drezynie na Aleksiejewskiej oglądał w świetle latarki swój stary plan, próbując wytyczyć trasę do Polis... Wtedy leżał przed nim nieznany świat, o którym nie wiedział nic pewnego, i dlatego mógł wyznaczać szlak zastanawiając się tylko nad tym, jak będzie szybciej, a nie nad tym, jak ta droga zmieni przemierzającego ją wędrowca. Życie przygotowało dla niego zupełnie inny scenariusz, pełny błądzenia i komplikacji, śmiertelnie niebezpieczny, i nawet przypadkowi towarzysze podróży, dzieląc z nim małe urywki jego drogi, często płacili za to życiem.

Artem wspomniał Olega. Każdy ma swoje przeznaczenie, mówił mu na Poliance Siergiej Andriejewicz. Czy mogło być tak, że przeznaczeniem tego krótkiego dziecięcego życia okazała się straszne, bezsensowna śmierć, która uratowała życie kilku innym ludziom? Aby kontynuowali swoją misję?

Artemowi zrobiło się jakoś zimno i nieprzyjemnie. Przyjęcie takiego założenia oznaczało akceptację tej ofiary wiarę w to, że fakt, iż jest wybrańcem, pozwala mu kontynuować swoją drogę za cenę życia innych, ich cierpienia... Jak to, miałby deptać po innych, łamać, kaleczyć ich losy tylko po to, żeby wypełnić swoje przeznaczenie?

Oleg był oczywiście jeszcze za mały, żeby zadawać sobie pytanie o to, po co pojawił się na świecie. Ale gdyby miał się nad tym zastanawiać, raczej nie zgodziłby się na taką rolę. Chłopczyk na pewno chciałby liczyć na bardziej świadomą i znaczącą funkcję na tym

świecie... A jeśli już nawet poświęcić własne życie, żeby uratować innych, to tylko biorąc na siebie ten krzyż świadomie i dobrowolnie.

Przed oczami stanęły mu twarze Michaiła Porfiriewicza, Daniły Tretiaka. Za co oni zginęli? Dlaczego właśnie Artem przeżył? Co dało mu tę możliwość, to prawo? Artem pożałował, że nie ma tu z nim Ulmana, który jedną żartobliwą repliką rozwiałby jego wątpliwości. Różnica między nimi była taka, że podróż po metrze sprawiła, że Artem zobaczył świat jakby przez wieloboczny pryzmat, a surowe życie Ulmana nauczyło go patrzeć na rzeczy prosto: przez celownik karabinu snajperskiego. Nie wiadomo, który z nich dwóch miał rację, ale uwierzyć, że każde pytanie może mieć jedną, jedynie prawdziwą odpowiedź, Artem już nie potrafił.

W życiu w ogóle, a w metrze w szczególności, wszystko było nieostre, zmienne, względne. Na początku wyjaśnił mu to Chan na przykładzie zegarów na stacjach. Jeśli taka podstawa postrzegania świata, jak czas, okazała się wymyślona i względna, to co dopiero mówić o innych niezachwianych ludzkich wyobrażeniach co do życia?

Wszystko: od głosu w rurach w tunelu, przez który szedł, i blasku kremlowskich gwiazd do wiecznych tajemnic ludzkiej duszy, miało od razu kilka wyjaśnień. A szczególnie wiele odpowiedzi było na pytanie „dlaczego?". Spotkani przez Artema ludzie, od kanibali z Parku Pobiedy do bojowników Brygady im. Che Guevary, potrafili na nie odpowiedzieć. Swoje odpowiedzi mieli wszyscy: sekciarze i sataniści, faszyści i filozofowie z automatami, w rodzaju Chana. Właśnie dlatego tak trudno było Artemowi wybrać i przyjąć choć jedno jedyne z nich. Poznając codziennie nową wersję odpowiedzi, nie mógł się zmusić, by uwierzyć w to, że to właśnie ta jest prawdziwa, bo nazajutrz mogła pojawić się kolejna, nie mniej celna i wszechogarniająca.

Komu wierzyć? W co? W Wielkiego Czerwia - boga ludożerców, skrojonego na obraz pociągu elektrycznego i na nowo zaludniającego żywymi stworzeniami bezpłodną wypaloną ziemię; w gniewnego i zazdrosnego Jehowę; w jego zbuntowane odbicie, Szatana; w zwycięstwo komunizmu w całym metrze; w wyższość zadartonosych blondynów nad smagłymi kędzierzawymi brunetami? Coś podpowiadało Artemowi, że żadnej różnicy między tym wszystkim nie było. Każda wiara służyła człowiekowi tylko jako laska, która podtrzymywała, by nie upaść i pomagała wstać, kiedy ludzie jednak się potykali i przewracali. Kiedy Artem był mały, rozśmieszyła go opowieść ojczyma o tym, jak to małpa wzięła do ręki kij i stała się człowiekiem. Jak widać, od tej pory zmyślny małpiszon nie wypuszczał tego kija z rąk, przez co nigdy się do końca nie wyprostował - myślał Artem.

Rozumiał dlaczego i po co człowiek potrzebuje tej podpory. Bez niej życie stawało się puste, jak opuszczony tunel. Artemowi wciąż dźwięczał w uszach pełen rozpaczy krzyk dzikusa z Parku Pobiedy, który zrozumiał, że Wielki Czerw jest tylko wymysłem kapłanów jego ludu. Coś podobnego Artem poczuł sam, dowiadując się, że Niewidzialni Obserwatorzy nie istnieją. Jednak dla niego rezygnacja z Obserwatorów, Czerwia i innych bogów metra była o wiele łatwiejsza.

W czym rzecz? Czy to znaczy, że jest inny, silniejszy, niż pozostali? Artem zrozumiał, że sam się oszukuje. Kij był i w jego rękach, i musi wziąć się na odwagę, żeby to przyznać.

Jako podpora służyła mu świadomość tego, że wypełnia zadanie wielkiej wagi, że na jedną kartę postawiono ocalenie całego metra i że ta misja nieprzypadkowo dostała się właśnie jemu. Świadomie czy nie, Artem we wszystkim doszukiwał się dowodów tego, że został wybrany, by wykonać to zadanie, jednak nie przez Huntera, lecz przez kogoś, lub coś większego. Zniszczyć czarnych, wybawić od nich rodzinną stację i bliskich ludzi, przeszkodzić im w zburzeniu metra - to było zadanie godne tego, by stać się sednem życia. I wszystko, co przydarzyło się Artemowi podczas jego wyprawy, dowodziło tylko jednego: jest inny, niż wszyscy. Zgotowano mu coś wyjątkowego. To właśnie on ma zetrzeć na

proch, wytrzebić potwory, które w przeciwnym wypadku same rozprawią się z niedobitkami ludzkości. Póki szedł tą drogą, prawidłowo odczytując wysyłane do niego znaki, jego wola zwycięstwa zwyciężała z rzeczywistością, igrając ze statystycznym prawdopodobieństwem, zakrzywiając tory lotu pocisków, oślepiając potwory i przeciwników, i sprawiając, że sojusznicy zjawiali się w odpowiednim czasie i miejscu. Jak inaczej można zrozumieć, dlaczego Daniła oddał mu plan położenia bazy rakietowej, a sama baza jakimś cudem nie została unicestwiona dziesiątki lat temu? Jak inaczej wyjaśnić to, że wbrew zdrowemu rozsądkowi, spotkał jednego z nielicznych, a może jedynego żyjącego rakietowca w całym metrze? Osobista Opatrzność Artema wkładała mu w ręce potężne narzędzie i posyłała mu człowieka, który pomoże mu zadać śmiertelne uderzenie niepojętej i bezlitosnej sile, zmiażdżyć ją? Jak inaczej wyjaśnić wszystkie cudowne ocalenia Artema z najbardziej beznadziejnych sytuacjach? Póki wierzył w swoje przeznaczenie, był nietykalny, choć idący obok niego ludzie ginęli jeden po drugim.

Myśli Artema powędrowały ku temu, co powiedział na Poliance Siergiej Andriejewicz o przeznaczeniu i fabule. Wtedy te słowa popchnęły go naprzód, niczym nowa, naoliwiona sprężyna wsadzona do zniszczonego, zardzewiałego mechanizmu nakręcanej zabawki. Ale przy tym, z jakiegoś powodu, były dla niego nieprzyjemne. Może z tego, że ta teoria pozbawiała Artema wolnej woli, i jeśli teraz podejmowałby jakąś decyzję, to nie ulegałby własnej zachciance, lecz linii fabularnej swojego losu. A z drugiej strony, po wszystkim, co mu się przydarzyło, jak można było zaprzeczyć, że ta linia istnieje? Teraz nie mógł już dłużej wierzyć, że jego życie jest tylko splotem przypadków. Zbyt wiele już przeszedł, i z tych kolein nie można było o tak się wydobyć. Jeśli zaszedł tak daleko, to jest zmuszony iść jeszcze dalej: taka była nieubłagana logika obranej przez niego drogi. Teraz było już za późno na wątpliwości. Musi iść naprzód, nawet jeśli oznacza to ponoszenie odpowiedzialności nie tylko za życie własne, ale i innych. Wszystkie ofiary nie były próżne, on musi je przyjąć, jest zobowiązany przejść swoją drogę do końca i wypełnić to, po co znalazł się na tym świecie. To właśnie jest jego przeznaczenie.

Dlaczego to wcześniej nie myślał tak jasno! Wciąż wątpił w to, że jest wybrańcem, rozpraszał się dla jakichś głupot, wahał się, a odpowiedź zawsze była tuż obok. Rację miał Ulman: nie ma po co komplikować życia.

Teraz Artem szedł szybkim krokiem. Żadnego szumu z rur w końcu nie usłyszał; w tunelach do samej stacji WOGN w ogóle nie napotkał nic groźnego. Jednak cały czas widział ludzi idących w kierunku Prospektu Mira: naprzeciw szedł mu potok nieszczęśliwych, zaszczutych ludzi, którzy wszystko rzucili i uciekli przed niebezpieczeństwem. Spoglądali na niego, jak na szaleńca: tylko on wchodził w samo jądro strachu, podczas gdy pozostali starali się zostawić za sobą to przeklęte miejsce. Ani na Ryżskiej, ani na Aleksiejewskiej nie było posterunków. Pogrążony w myślach, Artem sam nie zauważył, jak dotarł do WOGN-u, chociaż minęło już przynajmniej półtorej godziny.

Kiedy wszedł na stację i rozejrzał się dookoła, mimowolnie się wzdrygnął - na tyle przypominała mu ten WOGN, który widział w swoich koszmarach. Połowa lamp nie działała, w powietrzu unosił się zapach spalenizny, gdzieś w oddali słychać było jęki i gwałtowny kobiecy płacz.

Artem wziął automat do rąk i ruszył naprzód, ostrożnie okrążając filary i uważnie przyglądając się cieniom. Widać było, że czarnym przynajmniej raz udało się przebić i dostać na samą stację. Część namiotów było rozwalonych, w kilku miejscach na posadzce widniały zaschłe ślady krwi. Gdzieniegdzie mieszkali jeszcze ludzie, raz przez brezent błysnęła nawet latarka.

Z północnego tunelu dochodziły dalekie wystrzały. Wyjście do niego blokowała sterta worków z piaskiem wysokości człowieka. Trzech ludzi stało przyciśniętych do tej osłony, obserwując tunel przez otwory strzelnicze i trzymając podejście do stacji na muszce.

- Artem? Artem! Co ty tu robisz? - zawołał go znajomy głos. Odwrócił się i zobaczył Kiriła, jednego z członków grupy, z którą na samym początku swojej podróży wyruszył z WOGN-u. Ręka zwisała mu na temblaku, a włosy zdawał się mieć jeszcze bardziej rozczochrane niż zwykle.

- Po prostu, wróciłem - wymijająco odpowiedział Artem, po czym zapytał: - Jak tu się trzymacie? Gdzie wujek Sasza? Gdzie Żeńka?

- Żeńka! Widzisz... Zabili go, już z tydzień będzie - ponuro powiedział Kirił.

Serce mu zamarło.

- A ojczym?

- Suchy jest cały i zdrów, dowodzi. Teraz jest w lazarecie - Kirił machnął ręką w stronę schodów prowadzących do nowego wyjścia ze stacji.

- Dziękuję! - Artem rzucił się biegiem.

- A gdzie ty byłeś? - krzyknął za nim Kirił.

„Lazaret" wyglądał złowieszczo. Prawdziwych rannych było tu niewielu - wszystkiego pięcioro, większość miejsc zajmowali inni pacjenci. Zawinięci jak niemowlaki, i wciśnięci w śpiwory, leżeli w szeregu. Wszyscy mieli szeroko rozwarte oczy, a z ich otwartych ust dochodziły nieartykułowane jęki. Opiekowała się nimi nie pielęgniarka, a człowiek z karabinem trzymający w ręku butelkę z chloroformem. Od czasu do czasu jeden z tych w śpiworach zaczynał kręcić się po podłodze, cicho wyć, zarażając swoim pobudzeniem pozostałych, a wtedy strażnik przykładał mu do twarzy nasączoną środkiem usypiającym gazę. Sen nie przychodził i oczy się nie zamykały, ale człowiek na jakiś czas cichł, uspokajał się.

Suchego Artem zobaczył nie od razu: siedział w pomieszczeniu służbowym, dyskutując o czymś z lekarzem. Wychodząc, natknął się na Artema i zastygł.

- Ty żyjesz... Artemka! Żyjesz... Chwała Bogu... Artem! - bełkotał potrząsając Artema za ramię, jakby chcąc się upewnić, że ten naprawdę przed nim stoi.

Artem mocno go objął. W głębi duszy, jak dziecko, bał się, że kiedy wróci na stację, ojczym zacznie go rugać: będzie pytał, gdzie się podziewał, cóż to za brak odpowiedzialności, jak długo można się zachowywać jak mały chłopiec... Zamiast tego Suchy po prostu przycisnął go do siebie i długo nie puszczał. Kiedy ojcowskie objęcia wreszcie go puściły, Artem spojrzał w jego błyszczące od łez oczy, i zrobiło mu się wstyd.

Krótko, nie wchodząc w opisy swoich przygód, opowiedział ojczymowi, gdzie przepadł i co udało mu się przez ten czas zrobić, wyjaśnił, dlaczego wrócił. Ten tylko kręcił głową i wymyślał Hunterowi. Potem się opamiętał, stwierdzając, że o umarłych należy mówić albo dobrze, albo wcale. Zresztą, co dokładnie stało się z Myśliwym, nie wiedział.

- A przecież widzisz, co się u nas dzieje! - głos Suchego znów stał się twardy. - Co noc tak walą, wszystkie naboje się kończą. Z Prospektu Mira przyszła drezyna z amunicją, ale to schodzi w jedną chwilę.

- Chcą zawalić tunel przy samym Prospekcie, żeby całkowicie odciąć WOGN i pozostałe stacje - oznajmił Artem.

- Tak... Boją się wód gruntowych, dlatego nie chcą tego robić blisko WOGN-u. Ale na długo im to nie pomoże. Czarni znajdą sobie inne wejścia.

- Kiedy zamierzasz się stąd wycofać? Zostało już mało czasu. Mniej niż doba, przecież musisz wszystko przygotować...

Ojczym obrzucił go długim spojrzeniem, jakby oceniając.

- Nie, Artem, przede mną tylko jedna droga, i to nie na Prospekt Mira. Rannych mamy trzydziestu ludzi, i co, mamy ich zostawić samych? A poza tym, kto będzie prowadzić obronę, kiedy będę ratował własną skórę? Jak to tak, mam podejść do człowieka i powiedzieć mu: to ty tu zostaniesz, żeby ich zatrzymać i umrzeć, a ja idę? Nie... - westchnął. - Niech zawalają. Ile wytrzymamy, tyle wytrzymamy. Umierać też trzeba jak człowiek.

- W takim razie zostanę z wami - powiedział Artem. Poradzą sobie z tymi rakietami i beze mnie, jaki tam ze mnie pożytek. A tak przynajmniej wam pomogę...

- Nie, nie, ty koniecznie musisz iść - przerwał mu z przestrachem Suchy. - Śluza jest w dobrym stanie, jeszcze działa, i schody ruchome są całe, możesz szybko wyjść. Musisz pójść z nimi, oni nawet nie wiedzą, z kim mają do czynienia!

Artem miał wątpliwości, czy ojczym nie wyprawia go ze stacji, po prostu, żeby uratować mu życie. Próbował się opierać, ale Suchy nie chciał o tym nawet słyszeć.

- W twoim oddziale tylko ty wiesz, jak czarni potrafią doprowadzać do szaleństwa - wskazał zawiniętych rannych.

- Co z nimi?

- Stali w tunelach i nie wytrzymali. I to dobrze, że innym udało się zaciągnąć z powrotem. A ilu czarni porwali żywcem! Niewiarygodna siła. Najważniejsze, że kiedy podchodzą i zaczynają wyć, to mało kto wytrzymuje, no, sam pamiętasz. Nasi ochotnicy przykuwali się kajdankami, żeby nie uciec. No, i tutaj leżą ci, których zdążyli odczepić. Rannych jest mało, bo jak czarni już kogoś złapią, to trudno się wyrwać.

- Żeńkę... złapali? - przełykając ślinę, spytał Artem.

Suchy skinął głową.

Artem nie zdecydował się pytać o szczegóły.

- Chodźmy, póki jest w miarę spokojnie - korzystając z jego zmieszania, szybko zaproponował Suchy - porozmawiamy, napijemy się herbatki, jeszcze nam zostało. Jesteś głodny?

Ojczym objął go i zaprowadził do pokoju dowództwa. Artem, w szoku, rozglądał się wokół: w żaden sposób nie mógł uwierzyć, że przez trzy tygodnie jego nieobecności WOGN mógł się tak zmienić. Przytulna, zamieszkała stacja budziła teraz smutek i przerażenie. Miało się ochotę jak najszybciej stąd uciec.

Za nimi gruchnął cekaem. Artem chwycił za broń.

- To tylko, żeby ich odstraszyć - powstrzymał go Suchy. - Najgorsze zacznie się za parę godzin, już to czuję. Czarni przychodzą falami, dopiero co jedną odparliśmy. Nie bój się, jeśli zacznie się coś poważniejszego, nasi włączą syrenę, żeby ogłosić alarm dla całej stacji.

Artem zamyślił się.

Jego sen z wejściem do tunelu... Teraz to było niemożliwe, a i realne spotkanie z czarnymi raczej nie skończyłoby się tak nieszkodliwie. Nie mówiąc już o tym, że Suchy w życiu nie pozwoli mu pójść do tunelu w pojedynkę. Z tego szalonego pomysłu trzeba było zrezygnować. Ma poważniejsze sprawy.

- A ja wiedziałem, że jeszcze się z tobą zobaczę, że przyjdziesz - już w pokoju dowództwa, nalewając herbatę, powiedział Suchy. - Tydzień temu przyszedł do nas pewien człowiek, szukał cię.

- Jaki człowiek? - zaniepokoił się Artem.

- Powiedział, że jesteście znajomymi. Taki wysoki, chudy, z bródką. Jakoś dziwnie się nazywał, podobnie do Huntera.

- Chan? - zdziwił się Artem.

- Właśnie. Powiedział mi, że jeszcze tu wrócisz, i to takim pewnym tonem, że od razu się uspokoiłem. I jeszcze coś dla ciebie zostawił.

Suchy wziął portfel, w którym miał dla siebie tylko zrozumiałe notatki i przedmioty i wyciągnął z niego złożoną na czworo karteczkę. Rozwinął papier i podniósł ją do oczu. Była to krótka, zawierająca tylko jedno zdanie notatka. Zapisane niedbałym, pochyłym charakterem pisma słowa zbiły go z tropu.

„Ten, któremu starczy odwagi i wytrwałości, by przez całe życie wpatrywać się w mrok, pierwszy dojrzy w nim przebłysk światła”.

- I nic więcej nie zostawił? - spytał z niedowierzaniem Artem.

- Nie - odrzekł Suchy - Myślałem, że to jakaś zaszyfrowana wiadomość. W końcu człowiek szedł tu specjalnie po to.

Artem wzruszył ramionami. Połowa tego, co mówił i robił Chan, wydawała mu się kompletnie bez sensu, za to druga połowa sprawiała, że zaczynał inaczej patrzyć na świat. Skąd ma wiedzieć, do której części odnosiła się ta wiadomość?

Długo jeszcze pili herbatę i rozmawiali. Artem nie mógł pozbyć się uczucia, że widzi ojczyma ostatni raz, i jakby starał się nagadać z nim na całe życie na zapas...

Potem przyszedł czas, żeby wyruszyć.

Suchy pociągnął za dźwignię i ciężka zasłona ze zgrzytem podniosła się na metr. Z zewnątrz chlusnęła zastała deszczówka. Stojąc po kostki w grzęzawisku, Artem uśmiechnął się do Suchego, chociaż do oczu napływały mu łzy. Miał już się pożegnać, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie o najważniejszym. Wyciągnął z plecaka książeczkę dla dzieci, odnalazł stronicę z wsuniętą fotografią i pokazał ją ojczymowi. Serce niespokojnie mu zabiło.

- Co to? - zdziwił się Suchy.

- Poznajesz? - spytał Artem z nadzieją w głosie. - Przyjrzyj się lepiej. To nie moja matka? Widziałeś ją przecież, kiedy ci mnie przekazała.

- Artem... - Suchy uśmiechnął się ze smutkiem - ja jej twarzy prawie nie widziałem. Było bardzo ciemno, a ja ciągle patrzyłem na szczury. Zupełnie jej nie pamiętam. Ciebie dobrze zapamiętałem, jak mnie wtedy chwyciłeś za rękę i wcale nie płakałeś, ale jej nie. Wybacz.

- Dziękuję. Żegnaj... - Artem bardzo chciał dodać „tato”, ale słowa uwięzły mu w gardle. - Może jeszcze się spotkamy...

Założył maskę przeciwgazową, schylił się, przecisnął pod zaporą i pobiegł na górę po chwiejących się stopniach ruchomych schodów, troskliwie przyciskając do piersi pomiętą fotografię.

ROZDZIAŁ 20
URODZENI, BY PEŁZAĆ

Schody wydawały się wprost nie mieć końca. Stąpać po nich trzeba było powoli i bardzo ostrożnie, stopnie skrzypiały i trzeszczały pod nogami, a w jednym miejscu niespodziewanie zapadły się, tak że Artem ledwo zdążył zabrać nogę. Wszędzie walały się omszałe konary i małe drzewka, które być może przywiało tu jeszcze wtedy, przy wybuchu. Ściany porosły powojem i mchem, a przez dziury w plastikowym poszyciu bocznych barierek widać było zardzewiałe części mechanizmu. Ani razu nie obejrzał się za siebie.

Na górze było zupełnie ciemno. Niczego dobrego to nie zapowiadało: A co, jeśli pawilon stacji się zawalił i nie uda mu się przecisnąć przez gruzy? A jeśli była to po prostu bezksiężycowa noc, to też nie było dobrze: kierować ogniem wyrzutni rakiet przy kiepskiej widoczności nie będzie łatwo.

Ale im bliżej było do szczytu schodów, tym jaśniejsze stawały się odblaski na ścianach i przebijające się przez szczeliny cienkie smużki światła. Wejście do górnego holu stacji rzeczywiście było zawalone, ale nie gruzem, a powalonymi drzewami. Po kilku minutach poszukiwań Artem odkrył wśród nich wąskie przejście, przez które jakoś udało mu się przecisnąć.

W dachu westybulu ziała ogromna, obejmująca prawie cały sufit, dziura, przez którą do środka wpadało blade światło księżyca. Posadzka była tu też zawalona połamanymi gałęziami, a nawet całymi poskręcanymi drzewami, które tworzyły rodzaj poszycia. Przy jednej ze ścian Artem zauważył kilka dziwnych przedmiotów: ukrytych w suchych gałęziach, dużych, wysokości człowieka, skórzastych ciemnoszarych kul. Wyglądały odpychająco, i Artem nie odważył się do nich zbliżyć. Na wszelki wypadek wyłączył latarkę i wyszedł na dwór.

Górny hol stacji stał pośród skupiska rozwalonych szkieletów niegdyś stylowych handlowych pawilonów i kiosków. Przed nim wznosił się ogromny budynek o dziwnym wygiętym kształcie, którego jedno skrzydło było na wpół zburzone. Artem rozejrzał się wokół: Ulmana i jego towarzysza nigdzie nie było widać, widocznie coś ich zatrzymało. Miał nieco czasu, żeby zwiedzić okolicę.

Na moment wstrzymał oddech i nasłuchiwał, starając się wychwycić rozdzierające wycie czarnych. Ogród Botaniczny znajdował się całkiem niedaleko i Artem nie mógł pojąć, dlaczego te stwory do tej pory nie podeszły do ich stacji górą.

Było zupełnie cicho, tylko gdzieś w oddali wyły dzikie psy, żałośnie, tęsknie, zupełnie jakby płakały. Jednak Artem zupełnie nie miał ochoty się z nimi spotykać: jeśli udało im się przeżyć na powierzchni przez wszystkie te lata, to musiały się czymś różnić od zwykłych psów, które trzymali mieszkańcy metra.

Kiedy odszedł nieco dalej od wejścia na stację, zauważył jeszcze jedną dziwną rzecz: pawilon opasywał płytki, niedbale wykopany rów. Niczym miniaturową fosę wypełniała go stojąca ciemna ciecz. Artem przeskoczył przez rów, podszedł do jednego z kiosków i zajrzał do środka.

Był zupełnie pusty. Na ziemi walało się zbite szkło butelek, wszystkie pozostałe rzeczy wyniesiono. Zbadał jeszcze kilka innych budek, aż natknął się na taką, która zdawała się być ciekawsza od innych. Z zewnątrz przypominała miniaturową twierdzę: był to sześcian zbity z grubych żelaznych płyt, z malutkim lustrzanym okienkiem. Tabliczka nad oknem głosiła: „Wymiana walut”.

Drzwi były zamknięte na nietypowy zamek, otwierany nie kluczem, a prawidłową kombinacją cyfr. Artem podszedł do okienka i próbował je otworzyć, ale nic z tego nie wyszło. Za to na parapecie zauważył niemal zatarty przez te wszystkie lata napis. Umocniony kiosk go zaintrygował i, zapominając o ostrożności, włączył latarkę.

Z trudem udało mu się odczytać koślawe, jakby pisane lewą ręką, litery: „Pochowajcie po ludzku. Kod 767”. I kiedy tylko zrozumiał, co to mogło oznaczać, w górze rozległ się gniewny skrzek. Artem od razu go rozpoznał: dokładnie tak skrzeczały latające potwory nad Kalinińskim.

Pośpiesznie zgasił latarkę, ale było już za późno: okrzyk dał się słyszeć znowu, tym razem wprost nad jego głową. Artem gorączkowo rozejrzał się, szukając miejsca, gdzie mógłby się schować. Jednak jedynym wyjściem było zaufać swoim domysłom.

Nacisnął przyciski z cyframi w odpowiedniej kolejności i pociągnął za klamkę. Myśl okazała się słuszna: wewnątrz zamka rozległ się głuchy szczęk, i drzwi poddały się ociężale, piekielnie skrzypiąc zardzewiałymi zawiasami. Artem wsunął się do środka, zamknął drzwi i znów włączył światło.

W rogu, oparta plecami o ścianę, siedziała na ziemi wyschła mumia kobiety. W jednej ręce trzymała gruby flamaster, w drugiej plastikową butelkę. Oklejone linoleum ściany od góry do dołu pokrywało staranne kobiece pismo. Przez grube szkło okienka widać było wejście na stację. Na podłodze walało się puste opakowanie po tabletkach, kolorowe opakowania po czekoladzie, metalowe butle z gazem, w kącie stał przymknięty sejf. Artem nie przestraszył się trupa, poczuł tylko narastającą litość dla nieznajomej dziewczyny. Z jakiegoś powodu wydawało mu się, że była to właśnie młoda dziewczyna.

Znów rozległ się skrzek skrzydlatej bestii, a potem na dach spadło silne uderzenie, od którego cały kiosk się zakołysał. Artem padł na ziemię i czekał. Ataki się nie powtórzyły, pisk rozdrażnionego stwora zaczął się oddalać, i chłopak postanowił wstać. Właściwie mógł się tu ukrywać, ile chciał: trup dziewczyny przez cały ten czas pozostawał nietknięty, chociaż drapieżników, które by się na niego połakomiły, na pewno nie brakowało w okolicy.

Można było, oczywiście, spróbować zabić czy chociaż zranić potwora, ale wtedy trzeba by było wyjść na zewnątrz. A jeśli nie trafi, lub bestia okaże się zakuta w pancerz, na otwartej przestrzeni nie będzie miał już drugiej szansy. Mądrzej będzie poczekać na Ulmana. Jeśli jeszcze żyje.

Żeby się oderwać, Artem zaczął czytać napisy na ścianach.

„...Piszę, bo mi nudno, i żeby nie zwariować. Już trzy dni siedzę w tej budce, boję się wyjść na dwór. Na moich oczach dziesięć osób, które nie zdążyły dobiec do metra, udusiło się i do tej pory leżą wprost na środku ulicy. Dobrze, że zdążyłam przeczytać w gazecie, jak zaklejać skoczem okna i drzwi. Czekam, aż wiatr zwieje chmurę, pisali, że po jednym dniu zagrożenie minie.

9 lipca. Próbowałam dostać się do metra. Za schodami ruchomymi zaczyna się jakaś metalowa ściana, nie mogłam jej podnieść, pukałam i pukałam, nikt mi nie otworzył. Po 10 minutach zrobiło mi się bardzo słabo, wróciłam do siebie. Dookoła jest dużo trupów. Wszystkie są okropne, opuchnięte i śmierdzą. Wybiłam szybę w spożywczym, wzięłam czekoladę i wodę mineralną. Z głodu teraz nie umrę. Poczułam się strasznie słabo. Pełny sejf dolarów i rubli, i nie ma co z nimi zrobić. Dziwne. Okazuje się, że to po prostu papierki.

10 lipca. Znowu bombardują. Z prawej, z Prospektu Mira, cały dzień słychać było straszny huk. Myślałam, że nikogo już nie ma, ale wczoraj po ulicy z dużą prędkością przejechał czołg. Chciałam wybiec i ich zawołać, ale nie zdążyłam. Bardzo tęsknię za mamą i Lwem. Cały dzień miałam torsje. Potem zasnęłam.

11 lipca. Obok budki przeszedł strasznie poparzony człowiek. Nie wiem, gdzie się ukrywał przez cały ten czas. Bez przerwy płakał i rzęził. To było straszne. Poszedł do metra, usłyszałam potem głośne walenie. Pewnie też dobijał się przez tą ścianę. Potem wszystko ucichło. Jutro pójdę zobaczyć, czy mu otworzyli.”

Budką wstrząsnęło kolejne uderzenie - potwór nie miał zamiaru rezygnować ze swojej ofiary. Artem zachwiał się i o mało co nie przewrócił się na martwe ciało, z trudem

utrzymał równowagę złapawszy za ladę. Schylił się i poczekał jeszcze minutę, potem wrócił do czytania.

„12 lipca. Nie mogę wyjść. Mam dreszcze, nie wiem, czy śpię, czy nie. Dzisiaj przez godzinę rozmawiałam z Lwem, mówił, że niedługo się ze mną ożeni. Potem przyszła mama, wypłynęły jej oczy. Potem znów zostałam sama. Jestem taka samotna. Kiedy to się wszystko skończy, kiedy nas uratują? Przyszły psy, jedzą trupy. Nareszcie, dzięki. Potem miałam torsje.

13 lipca. Zostały jeszcze konserwy, czekolada i woda, ale już nie chcę. Zanim życie wróci do normy, minie przynajmniej rok. Wielka Wojna Ojczyźniana trwała 5 lat, dłużej nic nie może trwać. Wszystko będzie dobrze. Odnajdą mnie.

14 lipca. Ja już nie chcę. Ja już nie chcę. Pochowajcie mnie jak człowieka, ja nie chcę w tym przeklętym metalowym pudle... Ciasno mi. Na szczęście mam fenazepam. Dobrej nocy."

Obok były jeszcze jakieś napisy, ale coraz bardziej bezsensowne, urywane, i rysunki: diabełki, małe dziewczynki w dużych kapeluszach albo kokardach, ludzkie twarze.

„Ona na serio miała nadzieję, że koszmar, który przeżywała, wkrótce się skończy - pomyślał Artem. - Rok, dwa, i wszystko wróci na swoje tory, wszystko będzie tak, jak dawniej. Życie będzie się toczyć dalej, a o tym, co się stało, wszyscy zapomną. Ile lat minęło od tamtej pory? Przez ten czas ludzkość tylko oddaliła się od powrotu na powierzchnię. Czy przyszło jej do głowy, że przeżyją tylko ci, co wtedy zdążyli zejść do metra, i nieliczni szczęśliwcy, którym, łamiąc instrukcje i regulamin, otwierali drzwi przez następne kilka dni?"

Artem pomyślał o sobie. Sam też zawsze chciał wierzyć, że kiedyś ludziom uda się wyjść z metra, żeby znów żyć jak dawniej, żeby odbudować te wspaniałe budowle, wzniesione przez ich przodków, i zamieszkać w nich, żeby nie mrużyć oczu patrząc na wschodzące słońce, żeby oddychać nie bezzapachową mieszanką tlenu i azotu, przepuszczoną przez filtry maski gazowej, a z rozkoszą połykać powietrze pełne zapachu roślinności... Sam nie wiedział, jak one kiedyś pachnęły, ale to musiało być piękne, szczególnie kwiaty, które wspominała jego matka.

Ale spoglądając na wyschłe ciało nieznanej dziewczyny, która nie doczekała się pięknego dnia, w którym koszmar się skończy, zaczął wątpić, czy i jemu uda się go dożyć. Czym jego nadzieja ujrzenia powrotu dawnego życia różni się od jej pewności tego, że ten dzień niechybnie przyjdzie, i to nie później, niż za pięć lat? Przez wszystkie lata swojej egzystencji w metrze człowiek nie nabrał sił, by triumfalnie wyjść po stopniach świetlistych schodów prowadzących do dawnej chwały i wielkości. Przeciwnie, skurczył się, przywykł do ciemności i ciasnoty. Większość ludzi pozbyła się, jako nieprzydatnych, wspomnień o niegdysiejszej absolutnej władzy ludzkości nad światem, inni wciąż za tym światem tęsknili, jeszcze inni go przeklęli. Do kogo należała przyszłość?

Z zewnątrz rozległ się klakson i Artem rzucił się do okna. Na skrawku ziemi przed budkami stało przedziwnie wyglądające auto.

Już wcześniej zdarzało mu się widzieć samochody: najpierw we wczesnym dzieciństwie, potem na obrazkach i fotografiach w książkach i wreszcie podczas swojego poprzedniego wyjścia na powierzchnię. Ale żaden z nich tak nie wyglądał.

Potężna sześciokołowa ciężarówka była pomalowana na czerwono. Za jego obszerną, mieszczącą dwa rzędy siedzeń, kabiną mieściła się metalowa buda, na boku ciągnęła się biała linia, a na dachu piętrzyły się jakieś rury. Tam też stały przyczepione dwa okrągłe szklane walce, w których obracały się, migając, niebieskie lampy.

Zamiast wyjść z kiosku poświecił przez szybkę latarką, oczekując sygnału zwrotnego. Reflektory ciężarówki kilka razy zabłysły i zgasły, i Artem chciał już wychodzić, ale nie zdążył: z góry, jeden za drugim, ostro zanurkowały dwa ogromne czarne

cienie. Jeden złapał pazurami za dach i próbował podnieść samochód do góry, ale taki ciężar był ponad jego siły. Potwór podniósł karoserię na pół metra nad ziemię, oderwał obie rury, po czym krzyknął z niezadowoleniem i rzucił je w dół. Drugi stwór z piskiem uderzył samochód z boku, chcąc go przewrócić.

Drzwi ciężarówki się otworzyły, i na asfalt wyskoczył człowiek w skafandrze ochronnym z potężnym karabinem maszynowym w rękach. Podniósł lufę do góry i czekał kilka sekund, widocznie dopuszczając potwora bliżej, a potem wystrzelił serię. Z góry dał się słyszeć urażony skrzek. Artem szybko otworzył zamek i wybiegł na zewnątrz.

Jeden ze skrzydlatych potworów zataczał szeroki krąg jakieś trzydzieści metrów nad ich głowami, gotując się, by znów zaatakować, drugiego na razie nigdzie nie było widać.

- Do samochodu! - krzyknął człowiek z karabinem.

Artem rzucił się do niego, wgramolił się do kabiny i usiadł na szerokim siedzeniu. Człowiek z karabinem wycelował i wystrzelił jeszcze kilka razy, potem wskoczył na stopień, wsunął się do szoferki i zatrzasnął za sobą drzwi. Samochód ryknął, ostro ruszając z miejsca.

- Gołębie karmisz? - zagadał Ulman, patrząc na Artema przez szkła maski przeciwgazowej.

Artem spodziewał się, że latające stwory będą ich ścigać, ale te leciały za samochodem jeszcze ze sto metrów i zawróciły w kierunku WOGN-u.

- Bronią gniazda - stwierdził komandos. - Widzieliście kiedyś taki numer? Tak po prostu by samochodu nie atakowały, to nie ich rozmiar. Ciekawe, gdzie to gniazdo jest?

Artem nagle pojął gdzie potwory uwiły sobie gniazdo, i dlaczego w pobliżu wyjścia z WOGN-u nie było żadnego żywego stworzenia, w tym widać i czarnych.

- Wprost w pawilonie naszej stacji, nad schodami ruchomymi. - powiedział.

- Tak? Dziwne, zwykle gnieżdżą się wyżej, na budynkach - odparł komandos. - Widać jakiś inny gatunek. Tak... Przepraszamy, przeciągnęło nam się.

W skafandrach i z ciężkim uzbrojeniem w kabinie samochodu okazało się jednak dość ciasno. Tylna kanapa była zajęta przez jakieś plecaki i skrzynie. Ulman usiadł z boku, Artem znalazł się w środku, a po lewej stronie siedział Paweł, kolega Ulmana z Prospektu Mira.

- Za co tu przepraszać? To nie nasza wina - powiedział kierowca. - Pułkownik jakoś nas nie uprzedzał jak Prospekt Mira, to znaczy ulica, od Ryżskiej i dalej, teraz wygląda. Zupełnie jakby walec po niej przeszedł. A już dlaczego ten most jeszcze się trzyma, to naprawdę nie wiem. Nie było się tam nawet gdzie schować, ledwie się przed psami opędziliśmy.

- Widziałeś już psy? - spytał Ulman.

- Tylko słyszałem - odparł Artem.

- No widzisz, a my sobie na nie popatrzyliśmy - powiedział Paweł, skręcając kierownicą.

- No, i jak? - zainteresował się Artem.

- Nic dobrego. Zderzak urwały i o mało nie przegryzły opony, i to podczas jazdy. Odczepiły się dopiero, jak Pietro załatwił przywódcę stada z pieczeniega - Paweł kiwnął na Ulmana.

Jechało się niełatwo: ziemia była zryta transzejami i dołami, asfalt był popękany, i drogę trzeba było uważnie wybierać. W pewnym miejscu przyhamowali i przez jakieś pięć minut próbowali przedostać się przez górę kawałów betonu, które pozostały po zawalonej estakadzie. Artem patrzył w okno, ściskając w rękach automat.

- Dobrze sobie radzi - pochwalił samochód Paweł. - A mówili, że zwietrzeje wacha, zwietrzeje... To nic, nasi chemicy nie takie rzeczy widzieli. Nie na darmo bronimy Polis. I z jajogłowych jest pożytek.

- Gdzie go znaleźliście? - spytał Artem.

- W remizie stał, zepsuty. Nie zdążyli go naprawić, żeby jeździł do pożarów, kiedy Moskwa się paliła. Wykorzystujemy go teraz od czasu do czasu, oczywiście niezgodnie z przeznaczeniem, a po prostu jako środek transportu.

- Jasne - Artem znów obrócił się do okna.

- Udało się nam z pogodą - Paweł, jak się zdawało, miał ochotę porozmawiać - niebo bez jednej chmurki. To dobrze, z wieży będzie dużo widać, jeśli uda nam się na nią wejść.

- Wolałbym już na nią, niż chodzić po domach - kiwnął głową Ulman. - Pułkownik wprawdzie mówił, że w nich prawie nic nie mieszka, ale to „prawie" jakoś mi się nie podoba.

Wóz skręcił w lewo i potoczył się po prostej szerokiej ulicy, podzielonej na dwie części pasem zieleni. Z lewej biegł szereg prawie nietkniętych ceglanych domów, z prawej ciągnął się mroczny, czarny las, podchodzący do samej jezdni. W kilku miejscach potężne korzenie przebiły nawierzchnię drogi, i trzeba było je omijać. Ale na wszystko to Artem zdążył spojrzeć tylko przelotnie.

- Tam jest, ślicznotka! - powiedział z zachwytem Paweł.

Prosto przed nimi podpierała nieboskłon wieża Ostankino, wznosząc się na setki metrów niczym gigantyczna buława, grożąca dawno pokonanym wrogom. Była to naprawdę fantastyczna konstrukcja, Artem nigdy niczego podobnego nie widział, nawet na ilustracjach w książkach i czasopismach. Ojczym oczywiście opowiadał mu o jakiejś gigantycznej budowli, znajdującej się zaledwie dwa kilometry od ich stacji, ale nawet z tego, co mówił, Artem nie umiał sobie wyobrazić, jak wstrząsający to będzie widok.

Całą pozostałą część drogi siedział z otwartymi ze zdziwienia ustami i pożerał oczyma gigantyczną sylwetkę wieży. Na widok tego dzieła ludzkich rąk czuł teraz dziwną mieszankę zachwytu i goryczy, gdy ostatecznie zrozumiał, że tym bardziej ludzkość już nigdy nie będzie w stanie stworzyć czegoś podobnego.

- Przez cały ten czas była tak blisko, a ja nic nie wiedziałem... - spróbował ująć w słowa swoją udrękę.

- Jak człowiek nie wyjdzie na górę, to w ogóle mało co zrozumie w tym życiu - odezwał się Paweł. - Wiesz chociaż, dlaczego wasza stacja nazywa się WOGN? To skrót od „Wielkie Osiągnięcia Gospodarki Narodowej". Tam był taki wielki park z różnymi zwierzętami i roślinami. I wiesz, co ci powiem? Nieźle wam się pofarciło, że te „ptaszki" urządziły sobie gniazdo tuż przy wejściu na waszą stację. Bo niektóre z tych osiągnięć tak się rozwinęły pod wpływem promieniowania, że teraz nawet bezpośrednie trafienie z granatnika ich nie rusza.

- Ale dla waszych pierzastych przyjaciół mają respekt - dodał Ulman. - To jest, jakby to powiedzieć, wasz dach.

Obaj się zaśmiali, i Artem, nie zamierzając nawet poprawiać Pawła co do nazwy swojej stacji, znów spojrzał na wieżę. Przyjrzawszy się jej, zauważył, że olbrzymia konstrukcja nieco się pochyliła, ale widocznie znów złapała delikatną równowagę i uratowała się przed upadkiem. Jak ona ocalała w tym piekle, które tu powstało przed laty? Sąsiednie domy były w całości, lub częściowo obrócone w gruzy, lecz wieża dumnie wznosiła się pośród tych ruin, jakby jakiś czar chronił ją przed wrogimi bombami i rakietami.

- Ciekawe, jak ona to wytrzymała - mruknął Artem.

- Pewnie nie chcieli jej niszczyć - przypuszczał Paweł. - W końcu to cenna infrastruktura. Kiedyś była zresztą jeszcze o jedną czwartą wyższa, a na górze była taka ostra iglica. A teraz, widzisz, urywa się prawie od razu nad tarasem widokowym.

- A po co ją mieli oszczędzić... Nie było im już wszystko jedno? Boję się, żeby nie było tak jak z Kremlem... - wątpił Ulman.

Przemknąwszy przez bramę w metalowym ogrodzeniu, wóz podjechał do samej podstawy wieży i zatrzymał się. Ulman wziął noktowizor i automat i zeskoczył na ziemię. Po minucie dał im sygnał ręką: wszystko było w porządku. Paweł też wyszedł z kabiny, otworzył tylne drzwi i zaczął wyciągać na zewnątrz plecaki ze sprzętem.

- Sygnał powinien przyjść za dwadzieścia minut - powiedział.

- Spróbujemy złapać stąd - Ulman znalazł tornister z nadajnikiem radiowym i zaczął rozkładać długą antenę polową.

Wkrótce maszt nad przenośną radiostacją wznosił się już na sześć metrów i leniwie kołysał na słabym wietrze.

Komandos usiadł przy nadajniku, przyłożył do uszu słuchawki z mikrofonem i zaczął nasłuchiwać. Zaczęły się długie minuty oczekiwania.

Na moment przykrył ich cień „pterodaktyla", ale potwór zatoczył kilka kręgów nad ich głowami i skrył się za domami: widocznie starczyło mu jednego spotkania z uzbrojonymi ludźmi, żeby zapamiętać niebezpiecznego przeciwnika i go unikać.

- A jak ci czarni w ogóle wyglądają? W końcu jesteś naszym specjalistą w tej kwestii - spytał Artema Paweł.

- Są straszni. Niby jak... ludzie, ale przenicowani - spróbował ich opisać chłopak. - Całkowite przeciwieństwo człowieka. Zresztą nazwa mówi sama za siebie: czarni - właśnie tacy są.

- No tak... A skąd się wzięli? Przecież nikt o nich wcześniej nawet nie słyszał. Co się u was o tym mówi?

- Mało to jest rzeczy, o których nigdy nikt w metrze nie słyszał - Artem szybko zmienił temat rozmowy. - Czy na przykład ktokolwiek wiedział coś o ludożercach z Parku Pobiedy?

- To prawda - ożywił się kierowca. - Znajdowali ludzi z igłami w szyi, ale nikt nie potrafił powiedzieć, kto to zrobił. Co poradzisz? Metro! Ten Wielki Czerw to jednak jakaś bzdura! Ale ci wasi czarni, to w końcu skąd...

- Widziałem go - przerwał mu Artem.

- Czerwia? - z niedowierzaniem spytał Paweł.

- No, albo coś podobnego. Może pociąg. Ogromny, ryczy tak, że uszy zatyka. Nie zdążyłem mu się dobrze przyjrzeć - przemknął obok.

- Nie, to nie może być pociąg... Niby na czym miałby jeździć? Na grzybach? Pociągi pracują na prąd. Wiesz, co mi to przypomina? Maszynę wiertniczą.

- Dlaczego? - speszył się Artem.

Słyszał wcześniej o maszynach wiertniczych, ale myśl, że Wielki Czerw wygryzający nowe tunele, o których mówił Dron, mógłby się okazać takim urządzeniem, nie przyszła mu wcześniej do głowy. I czy cała ta wiara w Czerwia nie była zbudowana na odrzuceniu maszyn?

- Tylko nie mów o tej maszynie wiertniczej Ulmanowi, ani pułkownikowi: przez nią oni wszyscy uważają mnie za wariata - poprosił go Paweł. - Rzecz w tym, że kiedyś zbierałem na Polis informacje, wynajdywałem różnych szpiegów, w skrócie zajmowałem się dywersantami i bezpieczeństwem wewnętrznym. I raz trafił mi się jeden staruszek, który zapewniał, że w pewnym zakątku, w tunelu obok Borowickiej, cały czas słychać hałas, tak jakby za ścianą pracowała taka maszyna. Sam bym go oczywiście od razu uznał za wariata, ale był wcześniej budowniczym i się na tym znał.

- A kto może mieć ochotę tam wiercić?

- Nie mam pojęcia. Staruch ciągle gadał, że jacyś złoczyńcy chcą się dokopać do rzeki, żeby całą Polis zalało, a on niby podsłuchał ich rozmowę. Od razu uprzedziłem kogo trzeba, tyle że nikt mi nie uwierzył. Zacząłem szukać tego staruszka, żeby go wziąć na świadka, a ten, jakby naumyślnie, gdzieś się zapodział. Może to był prowokator. A może -

Paweł zerknął ostrożnie na Ulmana, i zniżył głos - rzeczywiście słyszał, jak wojskowi coś w tajemnicy wiercą. I od razu tego mojego staruszka też zakopali, żeby już nie słuchał co się za ścianą dzieje. No, i od tej pory noszę się z ideą maszyny wiertniczej, i przez to uważają mnie za świra. Wystarczy, że coś powiem, i od razu zaczynają mi na ten temat dogadywać.

Umilkł, patrząc pytająco na Artema, jak on odniesie się do jego historii. Ten w nieokreślony sposób wzruszył ramionami: niby czemu nie.

- Ni cholery nie słychać, cisza w eterze! - rzucił ze złością Ulman. - Nie łapie stąd, zaraza! Trzeba wejść wyżej. Młynarz jest pewnie za daleko.

Artem i Paweł od razu zaczęli się zbierać. Nikt nie chciał myśleć o innych przyczynach tego, że grupa stalkera nie ma z nimi łączności. Ulman po kawałku złożył antenę, schował radiostację do plecaka, zarzucił na ramię karabin maszynowy i pierwszy ruszył w kierunku oszklonego westybulu, skrytego za potężnymi podporami wieży. Paweł wręczył jedną ze skrzyń Artemowi, sam wziął plecak i sztucer, zatrzasnął drzwi samochodu, i obaj poszli w ślad za Ulmanem.

W środku było cicho, brudno i pusto: widać ludzie uciekali stąd kiedyś w popłochu i już nigdy nie wrócili. Księżyc patrzył ze zdziwieniem przez potłuczone, zakurzone szyby na poprzewracane ławeczki i rozwalony kontuar kasy, na posterunek milicji z resztkami zapomnianej w pośpiechu czapki z daszkiem i połamane bramki przy wejściu, oświetlając odbite z szablonu instrukcje i ostrzeżenia dla odwiedzających wieżę.

Włączyli latarki i, po krótkich poszukiwaniach, znaleźli wejście na schody. Bezużyteczne windy, które kiedyś mogły wwieźć ludzi na samą górę w mniej niż minutę, stały na pierwszym piętrze z drzwiami rozwartymi bezsilnie jak usta paralityka.

Teraz przed grupą stanęło najtrudniejsze zadanie. Ulman oznajmił, że będzie trzeba wejść na wysokość ponad trzystu metrów.

Pierwsze dwieście stopni Artem pokonał łatwo: przez kilka tygodni podróży po metrze nogi przywykły do wysiłku. Na trzysta pięćdziesiątym schodku zaczął tracić poczucie, że się porusza. Ślimak schodów niestrudzenie szedł w górę, i nie dało się odczuć żadnej różnicy między piętrami. Wewnątrz wieży było wilgotno i zimno, wzrok ześlizgiwał się z gołych betonowych ścian, napotykane z rzadka drzwi były otwarte na oścież, ukazując porzucone kabiny projekcyjne.

Po pięciuset stopniach Ulman zarządził pierwszą przerwę, i dopiero wtedy Artem poczuł, jak bardzo się zmęczył. Komandos wyznaczył na odpoczynek tylko pięć minut - bał się przegapić moment, w którym stalker spróbuje się z nimi połączyć.

Po osiemsetnym stopniu Artem stracił rachubę. Nogi stały się jak z ołowiu, i każda ważyła teraz trzy razy więcej, niż na początku podejścia. Najtrudniej było oderwać stopę od ziemi: ta, jak magnes, przyciągała ją z powrotem. Oczy zalewał mu pot, szare ściany rozpływały mu się przed oczami niczym we mgle, a zdradzieckie stopnie zaczęły kleić się do jego butów. Zatrzymać się i odpocząć nie mógł: za nim ciężko sapał Paweł, który do tego niósł dwa razy większy ciężar niż Artem.

Kolejne piętnaście minut i Ulman znów dał im odpocząć. Sam też wyglądał na zmęczonego, pierś ciężko mu się poruszała pod bezkształtnym kombinezonem ochronnym, a ręce szukały na ścianach jakiegoś oparcia. Komandos wyciągnął z plecaka butelkę wody i podał ją najpierw Artemowi.

W masce przeciwgazowej był przewidziany specjalny zawór, przez który przechodził cewnik: można było przez niego wciągać wodę. Artem miał świadomość, jak bardzo chce się pić pozostałym, ale i tak nie potrafił oderwać się od gumowej rurki, póki nie osuszył połowy butelki. Potem usiadł na podłodze i zamknął oczy.

- Chodź, już niedaleko! - zawołał do niego Ulman.

Poderwał Artema na nogi, wziął od niego skrzynkę, zarzucił ją sobie na ramiona i poszedł dalej.

Ile trwała ostatnia część podejścia, Artem nie pamiętał. Stopnie i ściany zlały mu się w jedną mętną całość, smugi i plamy światła zza zaparowanych szkieł maski gazowej wyglądały jak świetliste chmury, i przez jakiś czas odwracał swoją uwagę od zmęczenia tym, że rozkoszował się ich tęczowymi odblaskami. Krew huczała mu w głowie niczym uderzenia młota, zimne powietrze rozdzierało płuca, a schody wciąż się nie kończyły. Artem kilka razy siadał na ziemi, ale podnosili go i zmuszali, by szedł.

W imię czego on to robi?

Żeby życie w metrze dalej trwało?

Tak.

Żeby na WOGN-ie dalej hodowali grzyby i świnie, i żeby żyli tam w spokoju jego ojczym i rodzina Żeńki, żeby nieznajomi mu ludzie znów osiedlili się na Aleksiejewskiej i na Ryżskiej, i żeby nie zamierała niekończąca się handlowa krzątanina na Białoruskiej. Żeby bramini przechadzali się w swoich chałatach po Polis i szeleścili stronicami książek, wskrzeszając starożytną wiedzę i przekazując ją następnym pokoleniom. Żeby faszyści budowali swoją Rzeszę, wynajdując wrogów rasy i przesłuchując ich na śmierć, a ludzie Czerwia porywali cudze dzieci i zjadali dorosłych, zaś kobieta na Majakowskiej dalej mogła sprzedawać swojego synka, zarabiając na chleb dla siebie i dla niego. Żeby na Pawieleckiej nadal organizowano wyścigi szczurów, bojownicy rewolucyjnej brygady wciąż podgryzali faszystów i prowadzili śmieszne dialektyczne dyskusje. I żeby tysiące ludzi w całym metrze oddychały, jadły, kochały, dawały życie swoim dzieciom, wypróżniały się i spały, marzyły, walczyły, zabijały, wpadały w zachwyt i zdradzały filozofowały i nienawidziły i żeby każdy wierzył w swój raj i swoje piekło...

Żeby życie w metrze - bezsensowne i bezużyteczne, wzniosłe i pełne światła, brudne i tętniące energią, nieskończenie różnorodne i właśnie dlatego tak magiczne i piękne - ludzkie życie w metrze dalej trwało.

Myślał o tym, i w jego plecach obracała się jakby ogromna korbka, która popychała go, by zrobił jeszcze krok, a po nim kolejny i jeszcze jeden. Dzięki temu, i wbrew wszystkiemu innemu, wciąż przestawiał nogi.

I nagle wszystko się skończyło.

Wpadli do przestronnego pomieszczenia: szerokiego korytarza w kształcie pierścienia. Jego wewnętrzna ściana była pokryta marmurem, od czego Artem od razu poczuł się jak w domu, ale zewnętrzna...

Za zewnętrzną ścianą, całkowicie przezroczystą, od razu zaczynało się niebo, a gdzieś daleko, daleko w dole rozciągały się setki maluteńkich domków, pociętych ulicami na kwartały, czerniały plamki parków i ogromne leje po bombach, widniały prostokąty ocalałych wysokościowców...

Widać stąd było całe bezkresne miasto, szarą masą ciągnące się aż do ciemnej linii horyzontu. Artem osunął się na podłogę, oparł o ścianę i długo, jak tylko mógł, patrzył na Moskwę i na powoli różowiejące niebo.

- Artem! Wstawaj, wystarczy tego siedzenia! Masz, pomóż nam - potrząsnął go za ramię Ulman.

Komandos wręczył mu duży kłębek drutu, a Artem spojrzał na niego nic nie rozumiejąc.

- Ta cholerna antena nic nie łapie - Ulman wskazał na walający się po ziemi skręcony sześciometrowy pręt. - Będziemy próbować z ramową. O, tamte drzwi prowadzą na balkon techniczny, który jest piętro niżej. Wyjście jest akurat od strony Ogrodu Botanicznego. Ja posiedzę przy radiostacji, a ty wyjdź z Paszką na zewnątrz, on będzie zakładał antenę, a ty go ubezpieczaj. Tylko żywiej, bo niedługo zacznie świtać.

Artem kiwnął głową. Przypomniał sobie, dlaczego tu jest, i złapał drugi oddech. Ktoś pokręcił niewidoczną korbką w jego plecach, i sprężyna znów zaczęła działać. Do celu było już bardzo blisko. Wziął drut i ruszył w kierunku drzwi na balkon.

Klamka nie chciała się poddać, i Ulman musiał wystrzelić w drzwi całą serię, aż podziurawione kulami szkło trzasnęło i się rozsypało. Silny poryw wiatru o mało nie zwalił ich z nóg. Artem wyszedł na balkon otoczony kratą wysokości człowieka.

- Masz, popatrz na nich - Paweł podał mu lornetkę polową i machnął ręką we właściwym kierunku.

Artem przytknął oczy do szkieł i długo wodził bez celu wzrokiem po powiększonym przez soczewki mieście, póki Paweł nie naprowadził go na właściwe miejsce.

Ogród Botaniczny i WOGN zrosły się w jedną ciemną, nieprzebytą gęstwinę, z której wystawały obdarte z tynku kopuły i dachy pawilonów wystawowych. W tym gęstym lesie pozostały tylko dwa prześwity - wąziutka dróżka między głównymi pawilonami („Główna aleja" - szepnął z przestrachem Paweł) i to.

Na samym środku Ogrodu utworzyła się ogromna polana, zupełnie jakby nawet drzewa uciekały z obrzydzeniem przed tą niespotykaną plagą. Był to dziwny i odpychający widok: ni to miasto, ni to ogromny organ rodny, drgający i pulsujący, rozciągający się na kilka kilometrów kwadratowych.

Niebo stopniowo nabierało porannych barw i ten straszny guz był coraz lepiej widoczny: żywa, pokryta żyłkami błona, wychodzące z ciasnych otworów czarne figurki, krzątające się w skupieniu, jak mrówki...

Właśnie, mrówki, a ich miasto-matka przypominało Artemowi gigantyczne mrowisko. Jedna ze ścieżek - teraz dobrze to widział - prowadziła do stojącej na uboczu białej okrągłej budowli, bliźniaczo podobnej do wejścia na stację WOGN. Czarne figurki dochodziły do drzwi i znikały. Ich dalszą trasę Artem znał aż za dobrze.

Rzeczywiście byli tuż obok, nie przyszli gdzieś z daleka. I rzeczywiście można ich było unicestwić, po prostu unicestwić. Teraz najważniejsze, żeby Młynarz nie nawalił. Artem westchnął z ulgą. Z jakiegoś powodu przypomniał mu się czarny tunel z ostatnich snów, ale potrząsnął głową i zaczął rozplątywać linkę.

Balkon opasywał wieżę dookoła, ale czterdziestometrowego drutu nie starczyło, żeby zrobić pełne koło. Przywiązawszy przewód do prętów kraty zawrócili.

- Jest! Jest sygnał! - zaczął wydzierać się radośnie Ulman, kiedy ich zobaczył. - Mamy łączność! Pułkownik nas sklął, pyta, gdzie my byliśmy wcześniej - przyłożył słuchawki do uszu, wsłuchał się i dodał: - Mówi, że wszystko wyszło nawet lepiej, niż myśleli, znaleźli cztery stanowiska, wszystkie w świetnym stanie, były zakonserwowane... smarem, pod brezentem... Mówi, że z Antona złota rączka, we wszystkim się połapał. Niedługo będą gotowi. Trzeba im przekazać koordynaty. Artem, pułkownik cię pozdrawia!

Paweł rozłożył olbrzymi, podzielony na kwadraty plan terenu i patrząc w lornetkę zaczął dyktować współrzędne, a Ulman powtarzał je do mikrofonu swojej radiostacji.

- Samą stację też na wszelki wypadek zaplombujemy - komandos sprawdził plan i podał jeszcze kilka liczb.

- Już, koordynaty poszły, teraz będą naprowadzać. - Ulman zdjął słuchawki i otarł czoło. - To jeszcze zajmie trochę czasu, twój rakietowiec jest tam jeden od wszystkiego. Ale to nic, poczekamy...

Artem wziął lornetkę i znów wyszedł na taras. Coś ciągnęło go do tego ohydnego mrowiska, jakieś niepojęte ściskające uczucie, nieuchwytny i niewysłowiony smutek, jakby pierś przygniotło mu coś ciężkiego, nie dając mu głęboko odetchnąć. Przed oczami znów stanął mu czarny tunel, i to nagle tak jasno, tak wyraźnie, jak Artem nie widział go nawet w nieodstępujących go koszmarach. Teraz jednak można było się nie bać: wampiry niedługo już miały królować w jego snach.

- Koniec, poleciały! Pułkownik mówi, żebyśmy czekali na kontakt! Zaraz wam usmażymy te wasze czarne dupy! - wrzasnął Ulman.

I właśnie w tym momencie miasto pod nogami zniknęło, niebo zapadło się w ciemną otchłań, ucichły radosne krzyki za jego plecami - został tylko jeden pusty czarny tunel, którym Artem tyle już razy szedł na spotkanie... czego?

Czas zgęstniał i zatrzymał się.

Wyciągnął z kieszeni plastikową zapalniczkę i pstryknął krzemieniem. Mały wesoły płomyczek wyskoczył mu z palców i drżąc oświetlił przestrzeń wokół niego.

Artem wiedział, co zobaczy, i rozumiał, że teraz nie powinien się już tego bać, dlatego po prostu podniósł głowę i zajrzał w ogromne czarne oczy bez białek i źrenic. I usłyszał.

- Ty jesteś wybrańcem.

Świat przewrócił się na drugą stronę.

W tych bezdennych oczach nagle, na ułamek sekundy, ujrzał odpowiedź na wszystko, co pozostawało dla niego niezrozumiałe i niewyjaśnione. Odpowiedź na wszystkie jego wątpliwości, wahania, tęsknoty.

I odpowiedź ta okazała się zupełnie inna, niż Artem się spodziewał.

Pogrążył się w spojrzeniu czarnego i zobaczył świat jego oczami.

Rodzące się nowe życie, braterstwo i zjednoczenie setek i tysięcy oddzielnych umysłów, ale nietworzące między nimi granic, a łączące myśli wszystkich jednostek w całość...

Elastyczna czarna skóra, odbijająca zgubne promienie, pozwalająca z łatwością znieść palące słońce i styczniowe mrozy, cienkie, zręczne telepatyczne czułki pozwalające delikatnie gładzić psychikę ukochanej istoty i boleśnie żądlić wroga, całkowita odporność na ból...

Czarni byli prawdziwą koroną stworzenia zburzonego wszechświata, feniksem, odradzającym się z popiołów ludzkości. I posiadali rozum - żądny wiedzy, żywy, lecz, niestety, na tyle niepodobny do ludzkiego, że nie było żadnej możliwości nawiązania kontaktu. Aż pojawił się on, Artem.

Oczami czarnych zobaczył ludzi: gniewnych, zagnanych pod ziemię brudnych degeneratów, odgryzających się ogniem i ołowiem, mordujących emisariuszy, którzy szli do nich z pieśnią pokoju, a ci wyrywali im białą flagę z rąk i jej drzewcem przebijali im gardła.

Potem Artem zrozumiał ich narastającą rozpacz nad tym, że niemożliwe jest nawiązanie kontaktu, osiągnięcie wzajemnego zrozumienia, gdyż głęboko pod ziemią, w krecich tunelach, siedzą nierozumne oszalałe stwory, które unicestwiły swój świat, nadal szarpią się między sobą, i wkrótce wyginą, jeśli nie zmienią swojego sposobu życia. Czarni przedsiębiorą kolejną próbę wyciągnięcia do ludzi pomocnej dłoni, a oni znów gryzą ją z taką nienawiścią, że budzą już teraz lęk. I chęć uwolnienia się od tych wściekłych jak bezdomne psy, lecz piekielnie inteligentnych istot, póki nie zrobi im się za ciasno w ich podziemnych norach i nie wynurzą się z nich na powierzchnię.

Ale przez cały ten czas trwają rozpaczliwe poszukiwania choćby jednego z wygnańców, jedynego, który mógłby się stać tłumaczem, mostem między dwoma światami, który wytłumaczy obu stronom sens tego, co robi, i czego chce druga z nich, który przekaże ludziom, że nie mają się czego bać, i pomoże czarnym porozumieć się z nimi. Ponieważ ludzi i czarnych nic nie dzieli. Ponieważ nie są rywalizującymi o przetrwanie gatunkami, lecz dwoma organizmami przeznaczonymi przez naturę do symbiozy. I razem - z ludzką znajomością techniki i historii tego otrutego świata, ze zdolnością czarnych do przeciwstawienia się jego niebezpieczeństwom - mogą wyprowadzić ludzkość na nowe okrążenie, i zatrzymana Ziemia zaskrzypi i znów zacznie się kręcić wokół własnej osi.

Ponieważ czarni to też część ludzkości, jej nowa odnoga, urodzona tu, na szczątkach zmiażdżonego przez wojnę megalopolis.

Czarni to twór ostatniej wojny, są dziećmi tego świata, lepiej przystosowanymi do nowych reguł gry. Jak wiele innych stworzeń, które pojawiły się potem, odbierają świat nie tylko znanymi człowiekowi zmysłami, ale i czułkami świadomości.

Artem przypomniał sobie tajemniczy szum w rurach, dzikusów hipnotyzujących wzrokiem, atakującą umysł obrzydliwą masę w sercu Kremla... Człowiek nie był zdolny poradzić sobie z ich wpływem na psychikę, ale czarni byli do tego jakby stworzeni. Potrzebowali tylko partnera, sojusznika... Przyjaciela. Kogoś, kto pomoże im się porozumieć z ich głuchymi i ślepymi starszymi braćmi: ludźmi.

I właśnie wtedy zaczęły się długie, cierpliwe poszukiwania Pośrednika, zakończone powodzeniem, radością, gdyż taki tłumacz, wybraniec, został znaleziony. Ale jeszcze zanim kontakt z nim zostaje nawiązany, on znika. Macki ich wspólnej świadomości szukają go wszędzie, czasem znajdują, żeby rozpocząć dialog, ale on też się boi, wyrywa się i ucieka. Trzeba go wspierać i ratować, zatrzymywać, ostrzegać o niebezpieczeństwie, popychać i znów prowadzić do domu, tam gdzie łączność z nim będzie szczególnie silna i niezakłócona. Wreszcie kontakt jest stały, codziennie, czasem po kilka razy, udaje się zbliżyć do wybrańca, i wtedy, za każdym razem, robi on jeszcze jeden nieśmiały krok w kierunku zrozumienia swojego zadania. Swojego przeznaczenia. Od zawsze był przeznaczony właśnie do tego, przecież nawet drogę do metra, do ludzi, otworzył czarnym nie kto inny, lecz on.

Artem chciał już zadać niepokojące go pytanie: co w takim razie stało się z Hunterem? Lecz myśl ta zniknęła wśród nowych niewiarygodnych odczuć i, choćby nie wiem jak starał się ją zatrzymać, wyślizgnęła mu się, wpadła w kipiący wir przeżyć i zginęła w nim bez śladu. Ułamek sekundy później nie pamiętał już, że chciał spytać o to, jaki los spotkał Myśliwego.

Teraz nic już nie odciągało go od najważniejszego i znów otworzył swój umysł przed ich umysłem.

Artem stał teraz na granicy poznania czegoś niesłychanie ważnego: czuł to już na samym początku swojej wyprawy, kiedy siedział przy ognisku na Aleksiejewskiej. To było właśnie to: jasno zobaczył, że kilometry tuneli i tygodnie błądzenia po metrze znów zaprowadziły go do ukrytych drzwi, które wystarczyło otworzyć, by zyskać zrozumienie wszystkich tajemnic wszechświata i wznieść się ponad ograniczonych ludzi, którzy wydłubali sobie swój światek w twardej, zamarzniętej ziemi i zakopali się w nim po uszy. Mógł otworzyć te drzwi już wtedy i cała jego późniejsza wyprawa byłaby niepotrzebna. Lecz tamtego dnia trafił do tych drzwi przypadkowo, zajrzał przez dziurkę od klucza i odskoczył, bojąc się tego, co zobaczył. A teraz długa droga, którą przeszedł, sprawiała, że Artem mógł bez wahania je rozewrzeć i stanąć w świetle absolutnej wiedzy, które kryło się za nimi. I niech to światło go oślepi: oczy będą niezgrabnym i nieprzydatnym instrumentem, dobrym tylko dla tych, którzy w swoim życiu nie widzieli nic prócz okopconych sufitów tuneli i wytartego granitu stacji.

Artem musiał tylko wyciągnąć rękę naprzeciw podanej mu dłoni, choćby strasznej, choćby niezwykłej, pokrytej połyskującą czarną skórą, lecz niewątpliwie przyjaznej. I wtedy drzwi się otworzą. I wszystko będzie inaczej. Otworzyły się przed nim nieogarnione nowe horyzonty, przepiękne i wspaniałe. Serce wypełniała mu radość i pewność, i był tylko cień żalu, że nie udało mu się zrozumieć tego wszystkiego wcześniej, że odpychał od siebie przyjaciół i braci, garnących się do niego, liczących na jego pomoc, jego wsparcie, ponieważ tylko on jeden na całym świecie może to zrobić.

Chwycił za klamkę drzwi i pociągnął ją w dół. Serca tysięcy czarnych daleko w dole wypełniła radość i nadzieja.

Ciemność przed oczami rozwiała się i zobaczył przez lornetkę, że setki czarnych figurek na dalekiej ziemi zatrzymały się. Miał wrażenie, że wszyscy oni patrzą teraz na niego, nie wierząc, że tak długo oczekiwany cud się wydarzył i nastąpił kres bezsensownej bratobójczej walki.

W tym momencie pierwsza rakieta jak błyskawica wycięła na niebie pełen dymu i ognia ślad i uderzyła w sam środek miasta. I natychmiast czerwone niebo przecięły jeszcze trzy takie meteory.

Artem rzucił się do tyłu, w nadziei, że salwę da się jeszcze zatrzymać, zabronić im, wyjaśnić... Ale od razu zgasł, rozumiejąc, że już po wszystkim.

Pomarańczowe płomienie zalały „mrowisko", w górę uniosła się smolista chmura, kolejne wybuchy okrążyły je ze wszystkich stron i zawaliło się, zniknęło, wydając zmęczony, przedśmiertny jęk. Przykrył je czarny dym płonącego lasu i ciał. A z nieba wciąż spadały kolejne rakiety, i każda śmierć odznaczała się bólem i smutkiem w duszy Artema.

Rozpaczliwie próbował znaleźć w świadomości choćby ślad tej obecności, która przed sekundą tak przyjemnie wypełniała i ogrzewała jego umysł, która była obietnicą ratunku dla niego i całej ludzkości, która nadawała sens jego istnieniu... Ale nic z niej nie zostało. Jego świadomość była jak opuszczony tunel w metrze, którego całkowitej pustki nie można dojrzeć tylko przez panującą w nim absolutną ciemność. I Artem wyraźnie, jaskrawo poczuł, że już nigdy nie pojawi się tam światło, którym mógłby oświetlić swoje życie i znaleźć w nim cel.

- Pięknie ich załatwiliśmy, co? Niech wiedzą jak to jest z nami zaczynać! - zacierał ręce Ulman. - Co, Artem? Artem!

Cały Ogród Botaniczny i jednocześnie cała Wystawa obróciły się w jedną straszną, płonącą miazgę, olbrzymie kłęby tłustego czarnego dymu leniwie podnosiły się ku jesiennemu niebu, a szkarłatna łuna potwornego pożaru mieszała się z delikatnymi promieniami wschodzącego słońca.

Artemowi zrobiło się nie do zniesienia duszno i ciasno. Złapał za maskę przeciwgazową, ściągnął ją, i chciwie, pełną piersią, zaczerpnął gorzkiego chłodnego powietrza. Potem otarł łzy i, nie zwracając uwagi na okrzyki, zaczął schodzić po schodach.

Wracał do metra.

Do domu.

KONIEC